

BRIAN DAMATO

KRÓLESTWO  
SŁOŃCA

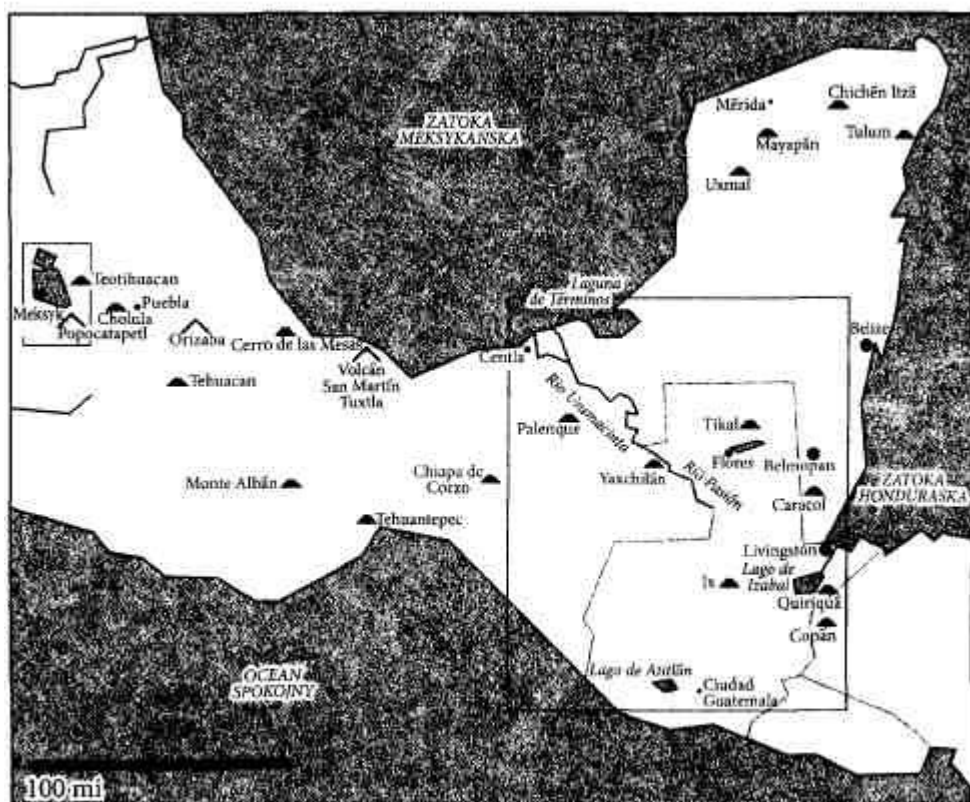
Księga I

Większość słów z języka Majów pojawiających się w tej książce została zapisana według norm ortograficznych stworzonych przez Academia de Lenguas Mayas w Gwatemali. Jednak dla pewnych wyrazów zachowałem starszą transkrypcję, na przykład zapis *uay* zamiast nowszego *way*, głównie po to, by odróżnić to pojęcie od angielskiego wyrazu o tej samej pisowni. Znaczący zauważają zapewne, że wymowa niektórych słów jest cholska, co znaczy, że w miejsce wymawianego *k* zapisuje się *ch*. Kiedy w tekście pojawia się słowo z języka Majów lub hiszpańskie, jest to zaznaczone kursywą.

Samogłoski w językach Majów wymawiane są mniej więcej podobnie do hiszpańskich, na przykład *-ay* w słowie *uay* wymawia się jak *-aj*. *J* wymawiane jest jak hiszpańskie *j* czyli gardłowe *h* z cofniętym językiem. *X* to *sz*. *Tz - ts* jak w angielskim wyrazie *pots*. Poza tym spółgłoski przypominają angielskie. Apostrofem oznaczone zostało zwarcie kraniowe - rozdzielna artykulacja podwójnych głosek, jak na przykład *tt* w wyrazie *bottle* wymawianym ze szkockim lub brooklyńskim akcentem. Wyrazy z języka Majów zawsze akcentowane są na ostatniej sylabie, jednak akcent ten jest słabszy niż w języku angielskim. Język Majów jest nieco toniczny, a jego prozodia ma tendencję do podkreślania krótkich wypowiedzi. Nadaje to charakterystyczny rytm wypowiedziom, który starałem się przekazać przy pomocy metrum - daktylem - jednak można dyskutować, czy mi się to udało.

Wyrazy z języka używanego w Teotihuacan mają, tak jak nazwa miasta, akcent na przedostatniej sylabie.

## MEZOAMERYKA



▲ góry    ▲ starożytne miasta    ● współczesne miasta

Uwaga: mapa uwzględnia tylko miejsca wspomniane w powieści



Uwaga: proszę pamiętać, że mapa uwzględnia tylko miejsca wspomniane w powieści

**ZERO**

## 0

Najpierw zobaczyłem błękitne tło, na którym pojawił się czerwony punkt, Zaraz obok niego - nieco wyżej i po lewej - wykwitła następna czerwona kropka, trzecia ukazała się poniżej, a potem kolejne. Wkrótce było ich już pięć, dziewięć, wreszcie trzynaście. Kropki rosły, a kiedy się zetknęły, zlały się i dopiero wówczas zrozumiałem, że to krople mojej krwi, kapiące z języka na błękitny arkusz.

Udało się, pomyślałem. Jasna cholera.

To już nie rok 2012. Jest 664. Dwudziestego marca. Albo według kalendarza Majów: 3 Grzechotnik, 5 Deszczowa Ropucha, jedenaśty *uinal* jedenastego *k'atun* dziesiątego *b'ak'tun*. Godzina 4.48 rano. Niedziela.

Hmm.

Zdaje się, że oto mam do czynienia ze zdarzeniem podobnym do tych, które są milowymi kamieniami w życiu, wielką zmianą. Jak na przykład: O Boże, zostałem aresztowany! Jestem ranny! Żenię się! Albo: będę miał dziecko, ten budynek naprawdę się zaraz zawali, naprawdę czeka mnie operacja potrójnego bypassu... Za każdym razem ma się uczucie, że tak poważne wypadki nie przydarzają się mnie, lecz komuś nieznanemu i obcemu. *Hijo de puta*, pomyślałem. Uniosłem głowę i spojrzałem w niewielki otwór wyjściowy o kształcie trapezu. Niebo było teraz purpurowe, lecz w życiu nie widziałem tyłu gwiazd - pasma i gromady gwiazd nawet czwartej wielkości. Przesunęły się, rzecz jasna, ale Taro tak ustawił czas przerzutu, by końcówka

cygarowatej konstelacji Jedyne Ocelota - Algenib w gwiazdozbiore Pegaza - znajdowała się w tej samej niemal pozycji, w środku trapezowego otworu. Po lewej świeciła nowa, w połowie odległości od Homam, czyli Zeta Pegasi, i była dość jasna, by przyrównać ją do Gammy Andromedy. Poświeci jeszcze ze sto lat z okładem, nim przygaśnie. Gdyby nadal jaśniała na nieboskłonie, ten perski astronom, Al-Chuwarizmi, na pewno by o niej wspomniał.

Szlag, nie do wiary. Teoria się sprawdziła. Nowe wspaniałe czasy, to samo stare miejsce. Oczywiście to nie znaczy, że znalazłem się w tym samym punkcie wszechświata, tak w ogóle. Układ Słoneczny sporo się przesunął przez tysiąc trzysta czterdzieści siedem lat. Ale byłem w tym samym miejscu na Ziemi. Nadal znajdowałem się w małej komnacie przy wierzchołku najwyższej piramidy w Ix, na równinie, która później zostanie nazwana Alta Verapaz, w Gwatemali. Tu i teraz jednak pomieszczenie zalewała pomarańczowa poświata pochodni, a kolumny robaczkowatych rytów na ścianach były gładkie i niezniszczone, polichromowane w czerni, błękicie i koszenilowej czerwieni. A miasto żyło. Słyszałem ludzi na zewnątrz, a raczej wyczuwałem ich śpiew przez kamienne mury. Rzecz w tym, że subiektywnie moja pozycja w przestrzeni nie uległa zmianie. Ale przemieściłem się...

Ach. Chciałem już powiedzieć, że cofnąłem się w czasie. Nie wypada mi jednak pleść bzdur.

Jak powszechnie wiadomo, podróże w czasie są niestety niemożliwe. Przynajmniej nie w przeszłość. Jeżeli chce się przeskoczyć szybciej w przyszłość, wystarczy się zamrozić. Jednak cofanie się w czasie jest absolutnie niewykonalne. Z wielu dobrze znanych powodów.

Po pierwsze, tak zwany „paradoks dziadka”. Jeżeli ktoś cofnie się do okresu, gdy żył jego przodek, i zabije na przykład swojego dziadka, to najprawdopodobniej okaże się, że ów ktoś nigdy się nie urodził, nie istniał, a zatem nie mógł się cofnąć w czasie, by dokonać mordu.

Po drugie, nawet jeżeli człowiek zostałby wysłany w przeszłość i nic nie zrobił, prawie na pewno trochę tych samych cząstek znajdowałoby się w ciele podróżnika (chrononauty) i jego młodszego wcie-

lenia. Co oznacza, że te same molekuly znajdują się w dwóch różnych miejscach równocześnie, a to nie może się zdarzyć.

Trzeci problem stanowi mechanika. Jedyna znana droga do przeszłości wiedzie przez sławetny tunel czasoprzestrzenny. Jednak umieszczenie materii w tunelu czasoprzestrzennym przypomina wepchnięcie wazy z miśnieńskiej porcelany w maszynkę do mielenia mięsa. Wszystko, co wpada do tunelu, wychodzi z niego rozdrobnione, przemielone i roztrzaskane w drobny mak - słowem: nie nadaje się do niczego.

Ale, ale! Istnieje sposób, aby to obejść.

W laboratoriach Warren Group postawiono hipotezę, że chociaż przesyłanie materii w przeszłość jest niemożliwe, nie wyklucza to innych opcji. Skoro wszystko ulega zniszczeniu podczas takiej podróży, to znaczy, że „nic” zniszczeniu nie ulegnie. A takie „nic” - z grubsza rzecz ujmując - to choćby elektromagnetyzm. Naukowcy odkryli, że wyładowanie energii może przejść przez maleńki, sztucznie stworzony tunel Krasnikowa. A seria wyładowań o określonej sekwencji może przenosić informacje. Mnóstwo informacji, jak się okazało. Sygnał, jaki wysłano w przeszłość, zawierał wyselekcjonowane wspomnienia całego życia człowieka, innymi słowy - wszystko, co tworzy złudzenie, które zwykło nazywać się poczuciem własnego ja.

Oczywiście kolejną trudność stanowiło znalezienie dla takiego sygnału odbiornika po drugiej stronie tunelu Krasnikowa.

W okresie, jaki interesował badaczy, nie było radarów, anten satelitarnych, dysków pamięci i silikonowych procesorów oraz radioteleoskopów czy nawet radia lampowego. Około sześćset sześćdziesiątego czwartego roku istniał tylko jeden odbiornik, który mógłby przyjąć i zachować tak wielki pakiet danych.

Mózg.

Poruszyłem oczyma. Zdążyłem już zauważyć, że moja prawa ręka -ta, w której trzymałem parciany sznurek - jest wielka, muskularna i poznaczona grubymi odciskami po wewnętrznej stronie. Paznokcie były długie, zastrzone, ozdobione wzorami o barwie karneolu



i kształcie litery T. Na palcach miałem tatuaże, czerwono-czarne obrączki przypominające koralowe węże. Bransoleta z jadeitowych łusek obejmowała mi niemal całe przedramię - od nadgarstka po łokieć. Nieosłonięte części ciała - tors i wielkie niczym kalafior lewe kolano - pokrywała skorupa jasnoniebieskiej glinki.

Punkt dla ekipy „Zakręconego piątku” pomyślałem. Naprawdę znalazłem się w ciele innego człowieka. A dokładniej w umyśle człowieka nazywanego 9 Szponiastym Kolibrem.

My - to znaczy zespół naukowców z laboratoriów Warren Group - niewiele o nim wiedzieliśmy. Tyle, że był patriarchą Klanu Ocelota i *ahau*, co znaczy królem, wodzem lub czarownikiem prawie dwutysięcznego miasta Ix oraz pobliskich wiosek. Był też synem dwunastego *ahau*, 22 Pożaru Lasu, i kobiety o imieniu Cyklon. Koliber liczył sobie w tej chwili czterdzieści osiem lat i sześćdziesiąt jeden dni. Siedział w tej komnacie od czterdziestu dwóch godzin i pościł. Miał wyjść, kiedy tylko wszędzie słońce, by ponownie objąć tron na następną dwudziestoletnią kadencję *ahau*.

Pięć cali od mojego prawego kolana stała misa z żarzącymi się węglami. Bez zastanowienia uniosłem z trzciny maty prostokątnej, przesiąknięty krwią arkusz i przytrzymałem go nad płomieniem. Blask żaru przeświecił papier, ujawniając piktogramy na drugiej stronie, znaki, które układały się w słowa: „Chroń nas, otocz opieką”, a także rysunek - profil orła:



Dokładniej był to orzeł z rodziny harpii, *Thrasyaetus harpyia*. Po hiszpańsku *arpia*, a w języku Majów *hunk'uk*, czyli „złoty rozpruwacz”. Aztekowie natomiast mówili o tym ptaku Wilk ze Skrzydłami. Stanowił znak klanu, mojego klanu - a raczej klanu osoby, w której umyśle się znalazłem. Arkusz zaś był listem z prośbą mojego klanu do Jedyne Ocelota, przebywającego w Gwiezdnym Łonie. Odruchowo złożyłem kartę w skomplikowany trójkątny kształt - nie było to łatwe, przypominało składanie żurawia w origami, lecz udało się

bez problemu, najwidoczniej wcześniejszy właściciel mojego ciała robił to tysiące razy. Złożony lepki arkusz wrzuciłem do miski.

List chyba nasączono jakimiś solami miedzi, ponieważ z sykiem zajął się zielonym płomieniem.

Język mi pulsował. Wysunąłem go... Nie, zaraz, już był wysunięty...

Uch. Nic się nie stało.

Próbowałem cofnąć język, przełknąć, a potem zamknąć usta, ale nie mogłem. Jakby moja twarz była sparaliżowana. Żadnego ruchu.

*M'AX ECHE?* - pomyślałem w języku ch'ol. *Ktoś ty?*

Nie, zaraz.

To nie była moja myśl. Pochodziła od kogoś innego.

Jakbym usłyszał głos, choć wiedziałem, że nie dotarł do mnie żaden dźwięk poza pomrukiem tłumy w dole na placu i stłumionym łomotaniem w dziwnym rytmie na pięć czwartych, wybijanym na bębnach z wydrążonych cedrowych pni. Albo raczej miałem wrażenie, jakbym przeczytał wiadomość przemykającą mi przed oczyma. I choć przekaz był bezdźwięczny, wydawał się głośny, a dokładniej -natarczywy, niczym napisany wielkimi literami. Jakbym go pomyślał, lecz bez myślenia...

*M'AX ECHE?*

O cholera.

Nie byłem w tym ciele sam.

Byłem sam w komnacie, ale nie w moim umyśle.

*Oh, coño Dios.*

A przecież pierwszym etapem operacji „Zakręcony piątek” miało być wymazanie wspomnień z umysłu docelowego, aby zapewnić mojej świadomości jak najdogodniejsze warunki działania. Zdaje się, że ten etap się nie udał, a przynajmniej niezbyt dobrze.

Ten facet nadal uważał, że jest sobą.

*M'AX ECHE?*

*Nazywam się Jed DeLanda, pomyślałem w odpowiedzi.*

*B'A'AX UKA'AJ CHOK B'OLECH TEN?* W topornym przekładzie znaczyło to: dlaczego mnie opętałeś?

Me opętałem cię - odparłem myślami. Właśnie. *Jestem w tobie, to znaczy moja świadomość jest w tobie, ponieważ... ponieważ zostałem do ciebie przysłany...*

*TECHE HUN BALAMAC? Jesteś Jedynym Ocelotem?*

*Nie. - Za szybko to pomyślałem. To znaczy...*

Niech to, ale ze mnie głupiec.

No, Jed, pomyślałem sobie. Skorzystaj z rady Winstona: jeżeli ktoś zapyta, czy jesteś bogiem, bez namysłu odpowiedz, że tak. Kapujesz? Świetnie.

No, to do dzieła.

*Tak! - pomyślałem do mojego współlokatora w umyśle. Jestem Jedynym Ocelotem. Ocelotem Ocelotyjskim. Jestem Ocelot i mam wielka moc...*

*MA-T'UJ TEC. Nie, nie jesteś.*

*Właśnie, że jestem - pomyślałem. Jestem... Och, demonio. Nie tak łatwo okłamać tego faceta. Nic dziwnego. Słyszy wszystkie moje myśli. A chociaż posługiwał się tylko językiem ch'ol, podczas gdy ja myślałem mieszanką angielszczyzny i hiszpańskiego oraz późnego, zdege-nerowanego cholskiego, rozumieliśmy się doskonale. Ta komunikacja bardziej niż rozmowę z drugim człowiekiem przypominała dyskusję z sobą samym - Jed, może powinieneś się tym zająć; nie, Jed, nie wolno ci tego zrobić. Na dodatek w tym wewnętrznym dialogu jedna strona była pewna siebie i nie miała żadnych problemów z wyrażaniem myśli, a druga - ja - z trudem radziła sobie z łączeniem pojęć w sensowną całość.*

*Dlaczego mnie zakaziłeś, dlaczego mnie opętałeś?*

*Co? - powiedziałem, a raczej pomyślałem ze zdumieniem. Przybyłem, by nauczyć się reguł Gry Ofiarnej.*

To była prawda.

*Dlaczego?*

*Cóż... Ponieważ... Ponieważ u mnie nadeszły ostatnie dni, trzynasty b'ak'tun. Mój świat znajduje się w naprawdę wielkich kłopotach. Ja i moi ludzie chcemy go ocalić, a przynajmniej spróbować. Właśnie dlatego musimy nauczyć się Gry.*

*Wynoś się - pomyślał Koliber.*

*Nie mogę.*

*Precz.*

*Wybacz, ale naprawdę nie mogę. Tylko ty jesteś w stanie...*

*IM OT'XEN. Wynoś się z mojej głowy.*

*Nie mogę. Ale posłuchaj, co powiesz, żebym...*

*Zatem się wycofaj. Ukryj się i siedź cicho.*

*Zamilkłem. Miałem jednak złe przeczucia.*

Moja dłoń uniosła się do otwartych ust i zacisnęła na kolczastym sznurku, praktycznie linie cierniowej, która przechodziła przez otwór w moim języku. Pociągnąłem za sznur. Pięć cierniowych węzłów precisnęło się przez dziurę, z której buchnęła krew, po czym koniec linki opadł. Hmm, bolesne doświadczenie, pomyślałem obojętnie. W dawnym ciele po czymś takim byłbym godzinami ze strachu, ale teraz nawet nie drgnęła mi powieka. A co dziwniejsze, nie poczułem typowego lęku hemofilityka przed wykrwawieniem - lęku, od którego jako Jed nie potrafiłem się uwolnić. Zwinąłem sznurek i wrzuciłem do misy równie odruchowo, jak pilot myśliwca składa swój spadochron. Sznurek pociemniał i skurczył się z gorąca, przypalona krew wypełniła komnatę miedzianą wonią.

Przełknąłem krew wypełniającą mi usta. Smaczna. Śpiew na placu stał się głośniejszy i mogłem już rozpoznać słowa, chociaż tutejszy cholski różnił się - kto by pomyślał, że tak bardzo! - od rekonstrukcji z dwudziestego pierwszego wieku. A jednak rozumiałem, co śpiewa tłum w oddali:

*¡Juk ahau K'alomte yaxoc...*

„Władco, wielki ojczu,

Praojczu-pramatko.

Jadeitowe Słońce, Jadeitowy Ocelocie,

Zwycięzco 25 Wojownika Jeziora Trzech Wzgórz,

zwycięzco 1000 Dusiciela Burzowego Nieba..."

Ja i Koliber rozprostowaliśmy nogi. Nasze ręce poprawiły nakrycie głowy przypominające wysoką, sztywną poduszkę z kitą jak koci ogon. Nie starły jednak krwi z warg.

„Zwycięzco 17 Piaskowej Burzy z Wypalonych Gór,

Żywicielu, strażniku, Jadeitowy  
9 Szponiasty Kolibrze,

Kiedy znowu zstąpisz ze swej niebiańskiej jaskini,  
By nas wysłuchać, by na nas spojrzeć?"

Pochyleni i z opuszczoną głową przeszliśmy przez niewielki otwór. Na twarzy poczuliśmy chłód otwartej przestrzeni. I nagle zapadła cisza, gdy tłum na placu znieruchomiał, a potem z setek gardeł dobyło się głębokie westchnienie. Zdawało mi się, że wyczuwam zmianę ciśnienia, gdy tak wielu ludzi równocześnie zrobiło wydech. Wyprostowaliśmy się powoli. Jadeitowe łuski i robaczkowe sploty paciorków zaklekotały cicho, gdy się poruszyliśmy. Wydawało się, że resztki krwi odpłynęły nam z głowy i w normalnych warunkach nawet ten człowiek zemdlałby, jednak teraz bez trudu zachował przytomność, zapewne dzięki hormonom. Nawet się nie zachwialiśmy, choć na stopach mieliśmy sandały na wysokim koturnie, praktycznie na wysokim obcasie, grubym na osiem cali. Podejrzewałem, że jestem niższy niż jako Jed. A także lżejszy i silniejszy. I z całą pewnością nie czułem się jak czterdziestoosmiolatek. Czułem się, jakbym miał najwyżej szesnaście lat. Dziwne. Rozejrzałem się. W dole po horyzont rozciągało się Ix. Nasze oczy prześlizgnęły się po mieście, co trwało nie dłużej niż dwie i pół sekundy, po czym ponownie uniosły się ku niebu, na Algenib. Jednak to krótkie spojrzenie wystarczyło, by zrozumieć, że nikt z nas - ludzi z 2012 roku lub w ogóle z okresu wcześniejszych pięciu stuleci - nie miał najmniejszego pojęcia, jak wyglądało to miejsce za czasów Majów.

Myliliśmy się bardziej, niż nam się wydawało, pomyślałem. Byliśmy głupi. Jakbyśmy znaleźli na pustyni pięć zbieleiałych kości z dwustu sześciu, które tworzą ludzki szkielet, i zamiast na ich podstawie sprawdzić płeć, wiek, obciążenia genetyczne i co tam jeszcze można wywnioskować z kawałków żeber i kręgosłupa naukowymi metodami, po czym na tym poprzestać, próbowaliśmy jeszcze wymyślić scenariusz, jak wyglądało życie tej dawno zmarłej osoby, jej ubiory, co robiła w wolnym czasie, jakie imiona nadała dzieciom i tak dalej, a potem zabraliśmy się do pisania o niej biograficznego podręcznika z bladymi beżowymi wykresami i anemicznymi rycinami podobnymi do niechlujnych gwaszy. A ja właśnie spotkałem tę osobę - żywą i prawdziwą. I okazało się, że nie tylko nie przypomina ona z wyglądu rekonstrukcji, ale również jej osobowość oraz życiorys, a nawet miejsce w świecie różnią się diametralnie od spekulacji badaczy.

Rozrzucone resztki ruin, które dotrwały do dwudziestego pierwszego wieku, stanowiły mniej niż pięć procent rzeczywistego obrazu, były zaledwie kamiennymi podwalinami miasta, które nie zostało zbudowane, lecz raczej utkane, wplecione w trzciny, listowie i bagna-wiklinowa metropolia, tak niepodobna do moich wyobrażeń, że nie rozpoznałem nawet znajomych kształtów.

Ja i Koliber spojrzeliśmy na wschód za rzekę, w stronę Cerro San Enero, najwyższego szczytu kordyliery otaczającej dolinę IX. Trwała erupcja, fontanny czarnego popiołu strzelały w purpurowe niebo, zwiastujące świt... Nie, zaraz!

Nie ma mowy, to nie wulkan. To musi być ognisko z pni drzew kauczukowych na szczycie wzniesienia. Ale inne wzgórza też nie wyglądały tak, jak powinny. Wcześniej zbocza porastał las, lecz teraz były ogołoczone, wykuto w nich tarasy i place, opadające kaskadami jak piętra wodospadów. Grodziły je wyplecione z trzciny płoty, które kształtem przypominały koronę Statuy Wolności. Ławice kropek i cętek przepływały po zboczach oraz wieżach. Kiedy za pierwszym razem przez pół sekundy podziwiałem miasto, uznałem te plamki za złudzenie optyczne, migrenowe przywidzenia opalizujących nici

przesuwających się przed moimi załzawionymi oczyma, ale teraz uświadomiłem sobie, że to setki zdobnych w pióra latawców, każdy rozmiarów dorosłego człowieka. Niektóre miały kształt pięciokąta, inne owalu, ale wszystkie zdobiły czarne, białe i błękitne wzory. Latawce falowały nad tłumem, unosząc się w gorących podmuchach, i odbijały kształt miasta jak fale jeziora.

Ludzie podjęli nową pieśń - inne słowa, inna melodia:

*Hun k'in, ka k'inob, ox k'inob...*

„Jedno słońce, dwa słońca, trzy słońca...”

*De todos modos*, pomyślałem. Skup się. Trzeba się zorientować w terenie.

Muszę *znaleźć* punkty charakterystyczne. Gdzie jest rzeka? Odniosłem wrażenie, że rozlewała się w jezioro, ale nigdzie nie dostrzegłem wody. Widziałem za to mozaikę prowizorycznych tratw i olbrzymich canoe, a pomiędzy łodziami jasnożółte pasma - to chyba były girlandy z nagietków. Wydawało mi się również, że na drugim brzegu stoją budowle spojone poprzecznymi belkami, masywne jak stegozaury, z grzebieniem wież o nawisach drwiących z praw grawitacji. Musiały być lekkie jak piórko, może spleciono je z łodyg i liści kukurydzy... Lecz, jak wspomniałem, było to tylko wrażenie, ponieważ każda płaszczyzna, pionowa czy pozioma, od szczytów wzgórz po plac w dole, tętniła życiem. Zwarte szeregi *ajche'ejob* - Roześmianych Ludzi, czyli *Ixian* - jak dywan pokrywały place i przywierały do słupów i rusztowań, i fasad w pulsującej masie, jak warstwa polipów, która marszczy się na szkielecie tysiącletniej rafy i faluje mackami w morskiej głębinie. Wolne od ludzi pozostawały jedynie strome ściany czterech *mulob*, niższych piramid, wznoszących się nad tłumem niczym bryły wycięte z wyhodowanego laboratoryjnie karborundu. Ale nawet *mulob* nie wyglądały na budowle z kamienia, pokrywały je bowiem płaskorzeźby i malowidła oraz mozaiki kwiatów, wszystko to z przeplatających się pasm błękitu, żółci i czerni, o wyraźnie za-

znaczonych konturach, złośliwe niemal, niczym eleganckie, lecz za-  
trute dania. Każdą *mul* wieńczył grzebień kominów, z ich ukrytych  
wylotów unosiły się kłęby dymu.

Ile tysięcy ludzi znajdowało się w tym mieście? Pięćdziesiąt? Sie-  
demdziesiąt? Widziałem zaledwie niewielki ułamek tego mrowia. Po-  
wiedzmy, że na placu Ocelota, który ma powierzchnię około dwa i pół  
akra, jest ich około dwóch tysięcy, w Ix znajduje się natomiast pew-  
nie ze trzydzieści podobnych placów, co daje... Nieważne. Trzeba się  
skoncentrować na misji. *De todos modos*. Czas zacząć się zachowy-  
wać jak 9 Szponiasty Koliber.

*Wak k'inob, wuk k'inob...*

„Sześć słońc, siedem słońc...”

Ups. Uch-och.

Coś było nie tak.

W sensie - coś było nie tak poza tym, że ten gość nadal był w swo-  
im umyśle. Chodziło o coś jeszcze. Coś, co poszło bardzo, bardzo nie  
tak. Tylko co?

Próbowałem słuchać myśli człowieka, z którym dzieliłem ciało,  
w ten sam sposób, w jaki on słuchał moich. I udało mi się wychwy-  
cić pojedyncze przebłyski, obrazy pomarszczonych bezzębnych twa-  
rzy rolników, nagich dzieci o wzdętych brzuchach, trzciniowych chat,  
krwawych śladów na żółtym, nasłonecznionym bruku, wielkich gu-  
mowych piłek przecinających purpurowe niebo, pędzących na mnie  
lub ode mnie... No, to na pewno nie były wspomnienia króla. Skrawki  
osobowości właściciela ciała przebiły się przez strumień obrazów i  
uświadomiłem sobie, że znam jego imię. Szakal.

Nie 9 Szponiasty Koliber. Szakal.

I wiedziałem już, że to nie *ahau*. Nie. Byłem - ten człowiek był  
-jest... graczem w piłkę.

Właśnie. Coś nie tak. Coś poszło naprawdę bardzo, ale to bardzo  
źle.



Ten facet, który wyszedł z komnaty *ahau* w ceremonialnych szatach *ahau*, nie był...

*Bolón k'inob, lahun k'inob* - śpiewał tłum.

„Dziewięć słońc, dziesięć słońc  
Jedenaście słońc, dwanaście słońc...”

To było odliczanie. Tyle że w górę, do dziewiętnastu.

Okej, co, u diabła, jest nie tak z tym kolesiem? Nie jest *ahau*, ale wyszedł z komnaty *ahau* i grywa...

Zrozumienie spadło na mnie jak ulewa. Ten facet zajął miejsce 9 Szponiastego Kolibra. A to nie kolejna intronizacja, to poświęcenie. Ten człowiek jest ofiarą.

Chętną, radosną ofiarą. Tłum w dole odliczał chwile do odejścia, a raczej skoku. Po dziewiętnastu odliczanie ruszy do zera. A ja spadnę.

Och, psiakrew.

Głupiec ze mnie. Powinienem się tego domyślić. Oczywiściej możliwości.

Po zastanowieniu przypomniałem sobie nawet, gdzie czytałem o podobnych ofiarach - w artykule z „The Journal of Postcolonial Cultures and Societies” pod tytułem „Zastępcy królów w ceremoniach ofiarnych Ameryki przedkolumbijskiej”. Hipoteza głosiła, że w dawnych czasach, naprawdę dawnych, nawet wcześniej niż za rządów 9 Szponiastego Kolibra - *ahau* mógł być złożony w ofierze, gdy minie *k'atun*. A *k'atun* to vicennium, okres około dwudziestu lat. Chodziło o to, by stary *ahau*, który utraci sprawność, nie przeniósł tej słabości na politykę - dlatego musiał oddać rządy młodszemu następcy i popełnić samobójstwo. Ale pewnego razu jakiś genialny *ahau* uznał, że może sobie ułatwić życie, a przy tym nie złamać tradycji. Zorganizował zatem wielką ceremonię, podczas której przekazał swoje imię i atrybuty władzy komuś innemu - komuś, kto nie musiał nawet wyglądać podobnie, nie sobowtórówi, lecz ochotniko-

wi lub jeńcowi, komukolwiek - i ta właśnie osoba żyła z przekazaną tożsamością i zachowywała się jak *ahau* przez pięć dni. A kiedy ten okres minął, zastępca składał siebie w ofierze. Przypominało to spalenie podobizny. Żywej podobizny. A po wszystkim stary *ahau* brał udział w nowym rytuale, podczas którego nadawał sobie nowe imię i zasiadał na tronie na kolejny *k'atun*.

Świetnie. Przynajmniej wiem, co się dzieje. Nadal jednak jestem uwięziony w tym przeklętym obcym ciele. Zupełnie sam - wszyscy, których znałem, jeszcze się nie narodzili - i wychodzi na to, że zaraz popełnię samobójstwo. I co teraz?

No dobra. Nie pora na panikę. Nadal mogę to naprawić. Jestem w złym ciele. *Ve al grano*. To tylko drobna niedogodność, prawda? Na szczęście, mam plan awaryjny, na właśnie taki wypadek. Do operacji „Zakrecony piątek” i projektu Twix - dużo tych głupich nazw od przekąsek i słodyczy, co tu kryć - instytut włączył także zespół lingwistów, nazwanych Jankesi z Connecticut. Ich zadaniem było stworzyć zestaw wypowiedzi i gestów, których mam użyć, gdy pojawią się problemy. Wytrenowali mnie tak, że znałem każdą sekwencję równie dobrze, jak słowa „Sto lat”. Na obecną okoliczność miałem akcję pod kryptonimem „Przepowiednia o wulkanie”. Dobra. Powtórzyłem parę razy wypowiedź w swoim zakamarku umysłu, żeby dopasować ją do zaskakująco innej wersji cholskiego. *Bueno*. Gotowe. Bez problemu. No, to do dzieła. Trzeba tylko to wykrzyczeć. „Oślepiło mnie...” - i tak dalej. Kiedy ludzie usłyszą przepowiednię, będą chcieli sprawdzić, czy jest prawdziwa - a kiedy wulkan wybuchnie, moja wartość jako proroka będzie zbyt wysoka, by mnie zabić. Pewnie dostanę nawet własny pałac. Skromny, najwyżej pięćdziesiąt komnat, trzy lub cztery setki urodziwych konkubin i może piramidę lub dwie. Albo nawet zostanę *ahau*. Będę jak pan Jim z Dżungli, który rozbił się samolotem w dziczy. Wystarczy, że błysnął kanibalom swoją zippo, a już z posiłku zmienił się w białego pana. Czyż to nie słodkie? Prawda? Pewnie. *Estas bien*. Głęboki wdech. I do roboty.

No już.

Nic?

Jeszcze raz. Ruszamy.

Nic.

No, idziemy.

Nic.

No, rusz się wreszcie. Krzycz! Teraz!

Nawet nie drgnie.

Och, do diabła.

No, Jed, przecież wiesz, co powiedzieć. Wykrztuś to. „Oślepiło mnie wschodzące słońce”. Dalej. Otwórz usta. Otwórz usta. Muszę tylko otworzyć...

MOJE USTA.

Och, szlag, szlag! *Ni mierditas!*

No, dobrze, chłopcze, mówi.... i-i-ich!!!

Napiąłem się, by otworzyć szczęki, ale jedynym fizycznym skutkiem, jaki udało mi się osiągnąć, był stłumiony ból, jakbym przygryzł kamień.

O Boże! O Boże, Boże! To się nie dzieje naprawdę. Szakał NIE MOŻE kontrolować tego ciała. Ono jest moje. No już. Rusz się. Jakoś. Po prostu drgnij, na Boga! Krzyknij. Unieś dłoń.

Nic.

UNIEŚ DŁOŃ.

Nic.

UNIEŚ DŁOŃ, unieś dłoń! UNIEŚ palec...

Szlag.

Nie udało się, nic się nie udało. Wszystko zepsułem. Głupi, głupi, głupi, głupi, głupi.

Robimy pięć formalnych kroków do krawędzi schodów. Ja i Szakał. Znowu się napinam, by zapanować nad ciałem. Bez skutku. Jakbym był uwięziony w wielkim robocie, może takim jak z „Obcego”, który idzie zgodnie z zaprogramowanym poleceniem, a ja nie potrafię nawet znaleźć panelu sterowania. Stajemy. Palce naszych stóp dotykają krawędzi otchłani.

Wiem, że znajdujemy się dokładnie sto szesnaście stóp mierzo-nych w pionie nad placem Ocelota albo trzysta osiemdziesiąt dzie-

więc stóp, jeżeli zmierzyć odległość do pokonania po schodach, czyli jakieś dwieście sześćdziesiąt kroków. Ale teraz mam wrażenie, że wysokość jest dwukrotnie większa, i to nie dlatego, że ciało mam mniejsze niż wcześniej. Spoglądamy w dół na wirujące latawce. Wir, który nas wciągnie. Turkusowe stopnie pokryte różową pianą, mieszanką piwa z agawy i krwi wcześniejszych ofiar. Każdy schodek ma z boku trójkątny kamień, przez co krawędzie przypominają ogromne ząbkowane ostrza piły. Architektura jako broń.

Chodziło o to, że mam się stoczyć z gracją po schodach. Na dół dotrę na pewno w częściach. A ludzie zbiorą je wtedy i przygotują ze mnie jajecznicę, po czym zaczną częstować porcjami wszystkich, którzy zgromadzili się na placu między trzema piramidami.

Niech to szlag. Prawdziwy pech. Może zbyt wiele oczekiwałem. Myślałem, że zjawię się w mieście Majów i wszystko będzie jak należy: usadowię się w ładnym, czystym mózgu na najwyższym stołku obecnego świata i stąd, skoro zostanę władcą, będę mógł robić, co mi się żywnie podoba: może nawet będę miał prawdziwą okazję, by wziąć udział w Grze, zbuduję sobie grobowiec według własnego widzimisię, a wcześniej nawet trochę poużywam życia, bez problemu. Gdybym tylko...

Dość, powiedziałem sobie. Wróc do rzeczywistości. W rzeczywistości po prostu NIE KONTROLUJĘ motorycznych ścieżek nerwowych Szakala. Jestem tylko bagażem, zwisam bezwładnie z kory mózgowej jego płatów czołowych. A Szakal ma zamiar z godnością i wiarą, imbecyl jeden, rzucić się ze schodów, umrzeć w spektakularnym akcie heroizmu - i to już za chwilę...

„Czternaście słońc, piętnaście słońc...”

Pieśń staje się coraz głośniejsza i bardziej napięta. Ludzie mnie dopingują, zachęcają do skoku, i czuję pragnienie, by nie tylko postąpić zgodnie z tymi oczekiwaniami, ale nawet powyżej oczekiwań. Mieli tyle nadziei, tyle wiary - ode mnie chcieli tylko jednego małego kroku...

Chyba każdy na tym miejscu mógłby skoczyć w przepaść, byle sprostać oczekiwaniom tłumu na dole. Może to właśnie należało zrobić...

Nie. Odrzuć tę myśl, Jed, napomniałem się. No, dalej. Przerzuć dźwignię biegu obok fotela kierowcy, chwyc kierownicę i zawróć wóz. Tubylcy przekroczyli granicę. Żadnych waha...

*MAI* - warknął na mnie Szakal. *Nie!*

Poczułem pęta zaciskające się na moich myślach, jakby mentalne okowy, i w ułamku sekundy ogarnęła mnie klaustrofobia, a wraz z nią fala paniki, gdy zacząłem się dusić. Wydawało mi się, że zacząłem krzyczeć, ale usta miałem zamknięte, a do płuc nie wciągnąłem głęboko powietrza - nic się nie stało. Tylko stałem jak łania w świetle reflektorów, drżałem z przerażenia i powtarzałem: o mój Boże, o mój Boże. A potem wydało mi się, że słyszę lub wyczuwam, jak świadomość Szakala śmieje się ze mnie, praktycznie rży ze śmiechu w orgiastycznej rozkoszy.

To jest to. Ostatnie chwile przed upadkiem w zapomnienie. Upadkiem, który wydaje mi się coraz bardziej atrakcyjny.

*Estoy jodido*. Wszystko się popieprzyło. Mnie też popieprzyło. Więc tak to wygląda przed śmiercią...

Zaraz, zaraz! Zapomnij o śmierci. Wróć do meritum, Jed. Myśl!

*En todos modos*. Złe posunięcie. Czas na zmianę taktyki.

To, czego potrzebujemy... Nie! Czego mi trzeba, to Szakal po mojej stronie.

Właśnie. Dobra.

*Szakal?* - pomyślałem do swojego nosiciela. *Uspokójmy się na chwilę*. Preñez un chill pill. *Me musisz tego robić*.

Cisza. To znaczy mentalna cisza.

*Szaki, kolego? Compadre? Chcę ci tylko coś powiedzieć. Zgoda? Zgoda. To nie jest cały świat. Świat jest o wiele większy. Po prostu zerknij w moje wspomnienia. Możesz do nich zajrzeć, prawda? Sprawdź. Europa, Azja, komputery, jedzenie... widzisz, jak wszystko jest ze sobą powiązane? Spójrz w moje wspomnienia. Na pewno nie wiedziałeś, że Ziemia ma kształt piłki. Niezłe, co? A jeszcze tyle nie wiesz... Czy nie czujesz choć trochę potrzeby, by jeszcze raz zastanowić się, co robisz?*

*Ty plużący robakami uay, to kłamstwa - pomyślał Szakal.*

Hę? Najwyraźniej nie kupił tego. Ale przynajmniej zaczęliśmy rozmawiać. To dobrze. Świetnie.

*Szakal? Słuchaj. Wiesz, że nie kłamię. Jesteśmy teraz zespołem. Razem w tym siedzimy. Rozumiem to. Co sądzisz? Mnie się wydaje, że idzie nam całkiem nieźle. Szakal?*

*Jesteś nieczysty, boisz się. Nie pozwolę, byś zbrukał święte miejsce.*

Jasne, pomyślałem. Jak chcesz.

*Słuchaj, Szaki, kumplu. Ocknij się. Wykorzystano cię.*

*Za późno na twoje kłamstwa. Dokonałem przemyślanego wyboru, przyjąłem obowiązki.*

*Och, świetnie - pomyślałem. Po prostu świetnie. Szanuję to. Przynajmniej wiesz teraz, że nie istnieje Jedyny Ocelot, prawda? Nie w Gwiezdnym Łonie ani nigdzie indziej. To tylko propaganda. Wiesz, co to propaganda? Nieważne... Ważne, że nawet jeżeli wcześniej był to rozsądny wybór, teraz należy postąpić inaczej. Mogę pomóc twojej rodzinie. Powinieneś przynajmniej sprawdzić, co mam do zaoferowania i dopiero wtedy...*

*Milcz, ty robaczywy uay.*

„Siedemnaście słońc, osiemnaście słońc...”

*Dobra, słuchaj, Szaki, po prostu odetchnij. Pozwól, bym powiedział to, co mam do powiedzenia, a potem zobaczymy, co z tego wyniknie. Przrzekam, że nam obu się to bardzo opłaci...*

*Ani słowa więcej.*

*Chwileczkę. Naprawdę mam parę dobrych pomysłów. Parę dni i będziesz władcą. Zniszczysz swoich wrogów, nagrodzisz przyjaciół. Wykorzystaj to. Znam magię. Powiem tylko parę potężnych czarodziejskich słów i...*

*Nie!*

To było jego ostatnie słowo.

Wokół mnie znowu zaciskają się pięta. Nie mogę oddychać. Nie mogę nawet myśleć.

Nnn...

Muszę stawić opór. Muszę zmusić Szakala, by mówił. Tak czy inaczej - muszę coś wymyślić.

Nnn...

No, dobra. Do roboty, Jed. Nadal istnieje możliwość, że jednak potrafię zapanować nad tym ciałem. Może jego świadomość wcale nie jest dominująca. Może tylko tak mu się wydaje. To zapewne kwestia punktu widzenia. Chodzi o siłę charakteru. O umiejętność przewodzenia. Choć raz muszę być *menschem*.

No, dalej. Muszę po prostu pokazać, że jestem od niego silniejszy. Mów! „Oślepiło mnie wschodzące słońce”. Powiedz to. No już, Jed, zbierz swoje *chingado* choć raz. „Oślepiło mnie wschodzące słońce”. No już, chwyć kierownicę. Wyplączmy się z tego. „Oślepiło mnie słońce...”

Nnn...

„Dziewiętnaście słońc...”

No, Jed. Trzeba się oprzeć temu dziwakowi. Opór MA sens. Napiałem się.

Nnn...

Właśnie tak! Teraz!

Muszę coś zrobić. Powiedzieć, krzyknąć, warknąć, cokolwiek...

NnnnnnnnnmmmmNNNZzznnkk. Kurwa! Byłem związany jak baleron, ale miotałem się i szarpałem bezsilnie. Bez skutku. Cały czas bez skutku. Nic...

„Zero słońc”.

No, już. Muszę ocalić Projekt, ocalić świat, ocalić swój tyłek. No, tylko ten jeden raz. Zrobić coś, muszę coś zrobić. No, muszę. Muszę zrobić coś naprawdę spryt...

**JEDEN**

**NAJWIĘKSZA QARAFKA  
ŚWIATA**



## [1]

Chwileczkę. Chyba robi się zbyt rzewnie. Może za bardzo się rozgadałem. Potrzeba najpierw paru odpowiedzi na najprostsze pytania. W końcu to wyjątkowe przedsięwzięcie. Należy gwizdnąć z podziwu. Więc może powinienem podejść do tego troszkę bardziej poważnie, nie nadymać się, tylko krótko wyjaśnić, skąd się tutaj wzięłam, do cholery. Może nie da się uniknąć zagmatwanej nieco opowieści tak, jak nie da się uniknąć, powiedzmy, przyszłości.

Nazywam się Joaquín Carlos Xul Mixoc DeLanda. W przeciwieństwie do większości Indian Maja urodziłem się w prawdziwym szpitalu, w miasteczku San Cristóbal Verapaz, na terenie Alta Verapaz w południowo-wschodniej Gwatemali, jakieś trzydzieści mil na zachód od Zatoki Fonseca. San Cristóbal Verapaz, czyli scv, leży około dziewięćdziesięciu mil na północny wschód od CG - Ciudad Guatemala lub Guatemala City, i dziesięć mil na zachód od T'ozal, wioski, a raczej osady, gdzie dorastałem. Mój dzień nadania imienia, ważniejszy niż urodziny, odbył się trzy dni po nich - 2 listopada 1974 roku, a w naszej rachubie: 11 Wyjec, 4 Biel, w piątą *uinal* pierwszego *tun* osiemnastego *k'atun* trzynastego i ostatniego *b'ak'tun*. Czyli dokładnie milion osiemset pięćdziesiąt osiem tysięcy siedemdziesiąt jeden *k'inob* - słońce (czyli światła, czyli dni) temu - to znaczy: od pierwszego dnia Starej Rachuby, 4 Pan, 8 Mroczne Jajo, 0.0.0.0. lub od 11 sierpnia 3113 roku przed naszą erą. A to było zaledwie trzynaście tysięcy dziewięćset dwadzieścia osiem dni przed ostatnim słońcem, na

4 Pan, 3 Żółć, w ostatni dzień ostatniego *k'atun* z trzynastego *b'ak'tun*. To znaczy przed 21 grudnia Anno Domini 2012. W którym to podobno dniu, jak powszechnie wiadomo, czas się zatrzyma.

Mój ojciec był półkrwi hiszpańskim rzecznikiem K'ekchi i można powiedzieć, że należał do intelektualistów, przynajmniej według miejscowych standardów. Uczęszczał do miejskiej szkoły imienia Santiago w Gwatemali i zdobył prymitywne podstawowe wykształcenie. Matka natomiast mówiła po cholsku. Ze wszystkich używanych w Ameryce Południowej dialektów ch'ol jest najbliższy językowi, jakim mówili starożytni Majowie. Rodzina matki w 1930 została przymusowo przesiedlona z Chiapas do małej enklawy na południe od terenów zamieszkałych przez inne grupy władające cholskim.

Nauczyłem się więcej niż inne dzieci o tym, kim byliśmy, o historii naszego kraju i całej reszcie. Nadal jednak wiedziałem niewiele. Wiedziałem, że dawniej byliśmy architektami i władcami, a teraz klepiemy biedę. Nie wiedziałem jednak, że nasza kultura wymarła. Myślałem, że *akal*, czyli chata o ścianach ze żwiru i dachu z trzciny -Jezu Chryste, dorastałem w CHACIE KRYTEJ TRZCINĄ, naprawdę, jak jakiś dzikus, choć czasami sam w to nie mogę uwierzyć - oraz *jonka'til*, czyli plac w wiosce, są pępkiem bardzo małego wszechświata. Kiedy wspominam dzieciństwo, wydaje mi się to nierealne. Zapewne znałem historię nie lepiej niż przeciętny uczeń publicznego liceum w USA. Większość zdaje sobie sprawę, że gdzieś w Ameryce Południowej znajdują się dziwne ruiny piramid. Nieliczna grupa wie zapewne, że istniały starożytne ludy zwane Aztekami, Toltekami, Inkami i Majami. Mnóstwo ludzi widziało film Mela Gibsona o Majach, może nawet byli w Meksyku i zwiedzali ruiny Teotihuacan. Ale w Stanach nie spotka się tak po prostu człowieka, który na przykład będzie umiał powiedzieć, czym różnili się Aztekowie od Tolteków, albo będzie wiedział, że obok nich żyły równie przedsiębiorcze, choć znacznie mniej sławne plemiona Misteków, Zapoteków i Tarasków oraz że ludy te zamieszkiwały tereny od środkowego Meksyku po Honduras, obecną Mezoamerykę. Wątpliwe, by przeciętny Amerykanin wiedział, że Inkowie żyli tysiące mil na południowy wschód, właściwie na innym

kontynencie - i jeżeli chodzi o Majów, Inkowie mogli równie dobrze mieszkać na Neptunie. Na dodatek obie cywilizacje dzieliło sporo czasu. Toltekowie osiągnęli szczyt rozwoju około 1100 roku. Opuszczenie Teotihuacan nastąpiło z grubsza między 600 a 700 rokiem naszej ery. To, co nazywane jest późnoklasycznym okresem Majów trwało od około 600 do 850 roku naszej ery. Aztekowie zaczęli się rozwijać dopiero sześć stuleci później, gdy społeczności Majów znalazły się w zaawansowanym stadium politycznego rozkładu. Powszechne przekonanie studentów historii Mezoameryki porównuje Majów do starożytnych Greków, a Tolteków i Azteków do Rzymian. A przecież jedyne, co Majowie mieli wspólnego z Grekami, to geniusz.

W dzisiejszych czasach mówi się, rzecz jasna, że każda kultura ma swoją specyfikę i własne osiągnięcia. Pewnego dnia, gdy jeszcze chodziłem do szkoły, zmieniano etykiety w uniwersyteckim muzeum. Zamiast „Gówniany fetysz, plemię Ookaboolakonga, xix wiek” pojawiło się na nich „Gówniany fetysz, kultura Ookaboolakonga, xix wiek”. Jakby pięć chat i parę drewnianych rzeźb czyniło cywilizację. Smutna prawda jest taka, że kultury są jak artyści - tylko nieliczne okazują się prawdziwie genialne. A, jak się zdaje, ze wszystkich kultur na świecie tylko Majowie rozwinęli się z niczego. Pismo fonetyczne zostało wynalezione zaledwie trzy razy: w Chinach, w Mezopotamii i przez przodków Majów. Zero zostało odkryte tylko dwa razy: przez kulturę niedaleko obecnego Pakistanu i o wiele wcześniej - przez Majów. Majowie byli i są wyjątkowi - o tym należy pamiętać.

A jednak nawet tego nie wie zbyt wielu ludzi. Zapewne z dwóch przyczyn. Po pierwsze, z powodu zwyczajnych uprzedzeń. Po drugie, pewnie dlatego że uczciwie mówiąc, żadna inna kultura - a już na pewno żadna kultura piśmienna - nigdy nie została tak totalnie wymazana. Za to pozostało po niej ponad sześć milionów użytkowników języka Majów, więcej niż połowa żyjąca w Gwatemali i wiedząca coś niecoś o naszej dawnej chwale.

Zwłaszcza moja matka wiedziała. Chociaż wtedy nie miałem pojęcia, że jest wyjątkowa - poza tym, że była dla mnie najważniejszą osobą na świecie. Można oczywiście twierdzić, że nie była, ale to

właśnie ona nauczyła mnie jednej małej, acz ważnej rzeczy - w ty-  
siąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym podczas pory deszczo-  
wej, kiedy leżałem chory czy też, jak to uroczo określił nasz ksiądz,  
śmiertelnie chory.

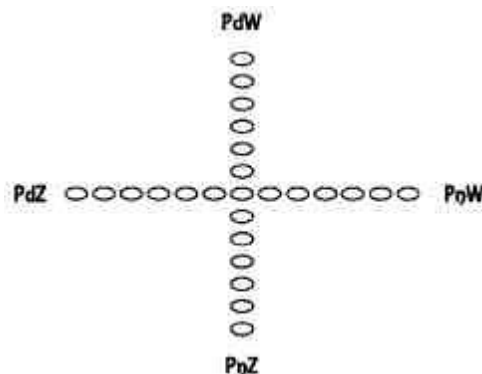
## [2]

Byłem chory na gorączkę denga. O wiele bardziej niebezpieczną wtedy niż obecnie, a na dodatek miałem krwotok w płucach i plułem krwią z powodu tego, co nazywa się dzisiaj VIII czynnikiem ryzyka czyli hemofilią typu A. Spędziłem trzy miesiące, wierząc się na posłaniu przy ognisku, licząc jasnoczerwone pasma na moim bawełnianym kocu i nasłuchując psów. Matka karmiła mnie kukurydzianą papką i sztucznym mlekiem „Incaparina” oraz opowiadała historie cichym, śpiewnym tonem, czasami po hiszpańsku, czasami w ch'ol. Reszta rodziny, nawet młodsze siostry, pracowała na *fincas* - nizinach. Pewnego wieczoru leżałem na boku i starałem się opanować mdłości. Zauważyłem wtedy ślimaka drzewnego pełznącego powoli po żwirowej ścianie. Miał błękitno-zieloną spiralną muszlę z czarno--pomarańczowymi pasmami. Był to *Liguus fasciatus bourboni*, jak się dowiedziałem dużo później. Matka powiedziała, że ten ślimak to mój drugi *chanul* - dokładniej mówiąc *chanul de brujo*-, czyli chowaniec czarnoksiężnika.

Zgodnie z tradycją każdy z Majów miał *chanul* - albo raczej, Używając słowa z tradycyjnego języka Majów, *uay*. Choć znajdował się poza ciałem człowieka, był zarazem jedną z jego dusz. Jeżeli było się głodnym, *uay* również odczuwał głód, a jeżeli został zabity, człowiek również umierał. Niektórzy ludzie byli bliżej swoich *uay* niż inni, a nieliczni umieli zmieniać ciała na kształt swoich *uay* i chodzić po świecie pod postacią zwierząt. *Uay* to trochę jak zwierzę-

-chowaniec w europejskich książkach o magii, jednak jest bardziej związany z człowiekiem. Miałem już normalnego *uay* - *sa'bin-'och*, czyli mniej więcej jeża - ale według matki ten również był ważny. Chociaż ślimak nieczęsto występuje jako *uay* i nie jest szczególnie potężny, wielu *brujos* miało za *uay* małe, skryte stworzenia.

W tym samym mniej więcej czasie matka zaczęła ze mną grywać w liczenie. Na początku, jak mi się zdaje, chodziło o to, by nauczyć mnie liczb. Wkrótce graliśmy co wieczór. Matka rozkładała obok mojego posłania trzciniową matę. W klepisku robiła krzyż z dwudziestu pięciu małych otworów. W Grze chodzi o to, by wyobrazić sobie, że się leży na ziemi - z głową wskazującą azymut na słońce, czyli na południe - a krzyż widzi się na niebie.



Matka przykrywała krzyż cienką, białą szmatką i dociskała ją tak, by wgłębiła się nieco w otwory, a potem przeżuwała trochę tytoniu i rozsmarowywała brązową smugę śliny po wewnętrznej stronie lewego uda. Kiedy i ja nauczyłem się żuć tytoń, matka kazała mi znaczyć prawe udo. Potem otwierała z dumą plastikowe pudełko „Tupperware” i wyciągała swoje *grandeza* - amulety i kamienie oraz różne drobiazgi. Następnie usypywała w kupkę czerwone ziarna *tz'ite*, naprawdę twarde nasiona drzewa koralowego, a obok układała okruchy kwarcu. Lubilem je oglądać, obserwować, jak światło migocze na ich gładkich płaszczyznach i ostrych krawędziach. Nigdy jednak nie pojąłem znaczenia tego, co matka robiła potem - palcem smarowała na

twarzy ukośną linię, czarną i wilgotną, od lewego ucha, pod lewym okiem, przecinającą usta i prawy policzek, by zniknąć za krzywizną szczęki. Po tym każde z nas brało garść ziaren i układało je na skraju szmatki, po wschodniej i zachodniej stronie dołków. Podczas układania zwracaliśmy się o błogosławieństwo do patrona dnia. Wreszcie matka uderzała pięć razy w ziemię, intonując:

*Hatz-kab ik, Ixpaayeen  
b'aje'laj...*

Znaczyło to:

„A teraz wezmę Tchnienie  
dzisiejszego słońca, A teraz  
pożyczę Tchnienie jutrzejszego  
słońca.

Zapuszczam korzenie I  
rozrastam się, Rozrzucam czarne  
nasiona I rzucam żółte nasiona,  
Dodaję białe czaszki I dodaję  
czaszki czerwone, Liczę  
niebiesko-zielone dni, Liczę  
brązowo-szare dni”.

W cholskim słowo słońce znaczy też dzień, a czaszka to również kolba kukurydzy.

Na przemian z matką liczyliśmy ziarna i układaliśmy je po cztery, a fasolek używaliśmy na zakończenie do oznaczenia daty dnia. Na koniec matka wybierała kamień - kwarcowy kryształ wielkości kciuka. Ten pełnił rolę pionka.

Jak w chińczyku, pionek poruszał się po planszy. Zamiast kostki używaliśmy kolb kukurydzy, które miały czarną kropkę - podrzucało

się kolby i liczyło, ile spadło czarnym do góry. W przeciwieństwie jednak do chińczyka liczba, jaką się wyrzuciło, miała różne znaczenie w zależności od etapu. W Grze obowiązywało kilka protokołów związanych z liczeniem, na przykład: jeżeli wypadło trzy w ostatnim rzucie, czasami można było podzielić je na dwa i jeden, po czym użyć tylko dwójki, a odrzucić resztę.

Grę komplikowało nie tylko liczenie wyrzuconych oczek. Rządziły nią zasady oparte na schemacie pytanie-odpowiedź, a odpowiedzi należało odszyfrować. Ich składniki zaczynały się od dwustu sześćdziesięciu kombinacji nazwy i numeru, służących do opisu określonego dnia w rytualnym kalendarzu. Każda z tych nazw mogła być jeszcze wzbogacona o kolejne trzysta sześćdziesiąt nazw dni z rachuby słonecznej. Do tego wszystkiego dochodziły tradycyjne powiedzenia oraz mnóstwo niuansów znaczeniowych, związanych z pozycją pionka na planszy. Przypominało to trochę chiński I-Cing lub afrykańską Ifa - w Grze powstawały krótkie frazy, które można było odczytać jako zdania. A ponieważ istniało tak wiele kombinacji, odpowiedzi były praktycznie nieprzewidywalne. Zwykle matka mówiła, że to słowa świętej Teresy, którą uważała za jakąś boginię Gry, interpretatorkę dla graczy. Kiedy jednak wychodziło coś źle, matka twierdziła, że to mówi święty Szymon, brodaty mężczyzna siedzący na skrzyżowaniu w środku Gry, którego wielu ludzi nadal nazywało Maximón.

Nieważne. W każdym razie Grę można określić jako połączenie mapy, liczydła i kalendarza cyklicznego. Ruchy kwarcu, pionka, można było wybierać w zależności od tego, jak wiele chciało się odczytać i w jakim stopniu polegało na intuicji. Czasami, gdy pojawiały się dwie możliwości ruchu - obie rozsądne i korzystne - jedna z nich wydawała się po prostu lepsza. Istniał specjalny sposób, by korzystać z intuicji w Grze. Matka nauczyła mnie siedzieć spokojnie i czekać na *tzam lic* - oświecenie z krwi.

To jakby lekki spazm lub łaskotanie pod skórą, może rodzaj skurczu drobnych mięśni. Pewnie można by to nazwać dreszczem. Kiedy się pojawiał, jego intensywność oraz miejsce pojawienia się stanowiły wskazówkę lub rozszerzenie odpowiedzi Gry. Na przykład, jeżeli



dreszcz pojawiał się po wewnętrznej stronie lewego uda, w miejscu zaznaczonym smugą z przeżutego tytoniu, mogło to znaczyć, że od północnego wschodu zbliża się krewniak, a jeżeli to samo doznanie było po zewnętrznej stronie uda - znaczyć mogło, że gościem jest krewniaczka. Zazwyczaj matka próbowała zgadnąć (nie chcę mówić: przewidzieć) banalne sprawy, jak kwestie, czy stonka znów zaatakuje. Równie często chodziło o pogodę - matka używała wtedy czerwonego kwarcu jako reprezentacji słońca, a innych kamyków, by symbolizowały chmury lub góry. Czasami pionki reprezentowały krewnych lub sąsiadów, których matka próbowała wspierać w ważnych momentach ich życia, takich jak małżeństwo, lub sprawdzić, kiedy poczują się lepiej, gdy chorowali. Pamiętam, jak kiedyś poprosiłem, by zagrała dla mojej babki ze strony ojca, cierpiącej od pasożyta w układzie pokarmowym, a matka przerwała w środku Gry. O wiele później dowiedziałem się, że zrobiła to, ponieważ odczytała, że stara kobieta już nie wyzdrowieje.

Gra nie sprawdza się dobrze przy małych sprawach, mawiała matka. Kiedyś próbowałem namówić ją, by zgadła, kiedy ojciec wróci do domu. Na początku nie chciała, bo to zbyt trywialne, ale wreszcie pozwoliła mi poruszać się kawałkiem kryształu górskiego, który reprezentował tatę. Matka grała przeciwko niemu. Dlatego musiałem tak wyliczyć ruchy, by mój pionek zawsze znajdował się przed nasionami matki, które go goniły. Gdyby nasiona matki dopadły mojego pionka w północno-zachodnim ramieniu krzyża, znaczyłoby to, że ojciec wróci do domu późno, drogą z miasta na północnym zachodzie. Gdyby rozgrywka zakończyła się w dołku na południowym ramieniu - znaczyłoby to, że ojciec nadal jest w szkole. A gdyby pionek znalazł się w środku krzyża - że zaraz wejdzie do domu. I tak się stało. Kilka minut później pojawił się w drzwiach.

Nie przypominało to wróżenia z kart lub astrologii ani niczego podobnego. To była Gra - i choć to trochę przedczesne, powinno się ją nazywać Grą Ofiarną, choć jak dotąd nie opisałem dokładnie, na czym polegała. Gra Ofiarna służyła raczej do tego, by uświadomić sobie sprawy, które już się podświadomie zauważyło. Pewnego razu

jeden z moich wujów powiedział, że dawno temu ludzie mieli swoje oczy i potrafili przenikać wzrokiem przez skorupę nieba i przez zbocza gór do jaskiń, gdzie spoczywali umarli i nienarodzeni. Jeżeli ktoś był chory, można było zajrzeć mu pod skórę, sprawdzić organy wewnętrzne i znaleźć źródło złego samopoczucia lub dolegliwości. Każdy człowiek za plecami mógł ujrzyć swoje narodziny, a przed sobą - jeżeli się uważnie wpatrzył - swoją śmierć. Ale z upływem czasu nasze oczy się zamgliły i teraz możemy jedynie dostrzec ułamek otaczającego nas świata, tylko to, co na powierzchni. Ćwiczyłem sporo. Pierwszego dnia mojego dwunastego *tz'olk'in* - czyli kiedy miałem około ośmiu i pół roku - matka wprowadziła mnie w życie *h'mena*. Słowo to można przetłumaczyć jako „Strażnik Dnia”, „Strażnik Czasu”, „Strażnik Słońca” i nawet „Rachmistrz Czasu”. Bardziej dosłownie należałoby przełożyć jako „Zjednoczony ze Słońcem” albo, powiedzmy, „Oddany Słońcu”. Oddany Słońcu to właściwie wioskowy szaman, pogańska alternatywa katolickiego księdza. Matka orientowała się, kiedy ktoś choruje, ponieważ pionki na to wskazywały, a wtedy proponowała drobną pomoc - podpowiadała, jakie zioła powiesić w domu, by przyspieszyć zdrowienie. Albo mówiła, kiedy należy wypalić *milpa* - czyli rodzinne pole kukurydzy, albo czy to dobry dzień, by wybrać się autobusem do stolicy, ochrzcić dziecko i tym podobne... Nasze wierzenia mieszały się z chrześcijańskimi, odprawialiśmy więc często katolickie rytuały, nieco kościelnej liturgii. Nie zamierzam się tego wstydzić. Matka pełniła funkcję wioskowej babki, zamawiaczki. Ale prawdziwy powód, dla którego przywoływaliśmy Strażników Słońca, stanowiło pragnienie, by zachować tradycyjny rytualny kalendarz.

Te małe rytuały ofiarne, które odprawialiśmy, a nawet cała Gra Ofiarna - którą, jakby się uprzeć, można określić mianem przepowiadania przyszłości - miały poślednie znaczenie.

W cholskim pojęcia układają się parami, szczególnie te złe. Nie-szczęścia chodzą parami - wiedzieliśmy to od początku.

Jednak w przypadku Gwatemali było nieco inaczej - tu konkwista nadal się toczyła. Pobieżne zerknięcie w historię pokazuje, że panował tu spokój do końca dziewiętnastego stulecia i na początku dwu-

dziestego, tak gdzieś do lat pięćdziesiątych. Nie było wtedy źle. Ale latem 1954 CIA w imieniu United Fruit Company Chiquita - tej od bananów - zorganizowała przewrót i zamiast wybranego legalnie prezydenta osadziła w rządzie marionetkowego dyktatora Carlosa Castillo Armasa. Pulpo, czyli Ośmiornica, jak nazywaliśmy korporację owocarską, chciała, by marionetkowy prezydent natychmiast rozpoczął nieoficjalne czystki etniczne wśród Majów. Według szacunków Organizacji Narodów Zjednoczonych między rokiem 1958 a 1985 zaginęło lub zostało zabitych ponad dwieście tysięcy Majów, a Gwatemala spadła na ostatnią pozycję w spisie miejsc na półkuli zachodniej, gdzie obowiązuje humanitaryzm i szanuje się ludzkie prawa. Dla mnie i moich rodaków był to najgorszy okres w dziejach po inwazji hiszpańskiej w szesnastym wieku.

Kongres Stanów Zjednoczonych wstrzymał oficjalną pomoc rządową dla mojego kraju w 1982, ale administracja Reagana nadal w sekrecie wspierała Gwatemalę, wysyłała broń i szkoliła w Fort Benning tutejszą kadrę oficerską w walkach antypartyzanckich. Może nawet wśród tych ludzi byli prawdziwi antykomuniści, którzy wierzyli, że guerrilla stanowi realne zagrożenie, ale tak naprawdę chodziło o przejęcie terenów i kiedy w 1983 ludobójstwo sięgnęło zenitu, i codziennie ginęło czteremastu tubylców, nie było co do tego wątpliwości. Rzecz jasna, zawsze można powiedzieć, że wszyscy byliśmy guerrillas, więc nam się należało. Rok później każdy żyzny obszar kontrolowali Latynosi.

W Stanach większość ludzi uważa, że CIA to organizacja szpiegowska o dużej skuteczności działań, zrzeszająca dobrze wyglądających pracowników z futurystycznymi gadżetami. Latynosi wiedzą od dawna, że to jeszcze jeden kartel, wielki, nienasycony, za to lepiej finansowany niż inne, który załatwia sprawy dla wielkich organizacji zajmujących się produkcją i sprzedażą narkotyków oraz eliminuje mniejsze gangi. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wojsko zbudowało tysiące małych lądowisk na rolniczych terenach Gwatemali, zapewne jako element systemu zniechęcającego różne ciemne typki do machlojek na lokalnych rynkach, ale lotniska pozwalały też szybko dotrzeć i uderzyć w tubylców, gdy zaszła taka konieczność.

Kilka takich pasów znajdowało się w okolicach Tozal. Jeden ze stryjów mojego ojca, *parcelista* nazwiskiem Generoso Xul, oznaczył i wypalił *milpas*, które, jak się później okazało, znajdowały się zbyt blisko jednego ze wspomnianych pasów startowych. Pod koniec czerwca Generoso zaginął, a mój ojciec i kilku innych krewnych rozpoczęli poszukiwania. Drugiego dnia znaleziono buty wiszące na gałęzi eukaliptusa, symbol o takim samym znaczeniu, jak śnięta ryba zapakowana w gazetę. Ostrzeżenie.

Ojciec spotkał się z pewnym człowiekiem, który należał do miejscowego ruchu oporu. Człowiek ów przypominał *subcomandante* Mareosa - nazywaliśmy go Teniente Xac, a częściej wujek Xac. Tio Xac podejrzewał, że rodzina Soreano *habian dado agua al Tio G* - zabiła Generoso. Wtedy ojciec zebrał dzieci *parcelisty* i dzieci ich dzieci, by wypatrywały samolotów używających pasa i zapisywały kody identyfikacyjne maszyn. Dzieciaki robiły to na opakowaniach cygar, po czym przynosiły ojcu, a ten skompletował całkiem długą listę. Przyjaciel ze stolicy sprawdził ją w bazie danych Aero-Transportu. Gwatemala stanowiła dogodne podwórko dla właścicieli samolotów, więc nie wysilali się nawet, by zmieniać numery rejestracyjne. Większość maszyn należała do firm leasingowych w Teksasie i na Florydzie, a jak się później okazało, samoloty stanowiły jedynie przykrywkę, bo tak naprawdę należały do Johna Hulla i były czarterowane na Kostaryce. Hull, obywatel amerykański, prał pieniądze i zaopatrywał w kokainę Oliviera Northa. Wydawać by się mogło, że to jeszcze jedna teoria spiskowa, gdyby nie była tak dobrze udokumentowana, na przykład w raporcie podkomisji kongresowej Kerryego z 1998 roku pod tytułem „Prywatne organizacje i kontras”, nr 10/14/86, łatwo dostępny w bibliotece prezydenckiej na półce „Biały Dom, Oficjalne Zadania Sił Zbrojnych”, zapisy - skrzynka 92768. Większość wypranych przez Hulla pieniędzy przekazano kontras w El Salvador, ale kartel Northa, przydupasy Busha oraz grupy Rios Montta - marionetkowego prezydenta Gwatemali w tamtym okresie - zgarnęli miliony. Podejrzewam, że wujek Xac chciał ujawnić listę choćby po to, by skupić uwagę opinii publicznej na Soreano - wielkiej, zniechwalonej po-

wszechnie rodzinie - albo by zdyskredytować generałów przed kolejnymi wyborami prezydenckimi. Co tylko świadczy, jak bardzo wujek Xac był naiwny.

W Boże Narodzenie osiemdziesiątego drugiego zachorowałem na zapalenie płuc i straciłem dużo krwi, więc rodzice zabrali mnie do Szpitala Sióstr Miłosierdzia w San Cristóbal. Rzecz jasna, narzekałem i marudziłem. Zajął się mną jedna z młodszych zakonnice, siostra, czyli *sor*, Elena. Uważałem, że jest cudowna. Myślałem o niej każdego dnia, może nawet co godzinę, a przynajmniej wtedy, gdy nie byłem zbyt zmęczony. *Todo por mi culpa* - to wszystko moja wina. Cztery dni później byłem na *la fiesta de la Sagrada Familia*, 29 grudnia 1982. *Sor* Elena powiedziała, że rządowi agenci otoczyli Tozal i przesłuchują *cofradías*, właścicieli cargo lub zwierzchników, czyli w zasadzie starszych wiosek, którzy zmieniali się na stanowiskach przywódczych rotacyjnie. Później dowiedziałem się więcej. Było to w dniu targowym, kiedy niemal wszyscy przybyli do wioski. Biało-niebieski helikopter zawisł nad jarmarkiem jak wieloryb, a przez jego głośniki padł rozkaz, by mieszkańcy zebrali się na placu, by ustalić zasięg i częstotliwość cywilnych patroli okolicy w nowym roku. Wkrótce rzadko używanymi drogami na plac wmaszerowali żołnierze. Według mojego przyjaciela, José Xilocha, przezywanego Za Nic, który widział wszystko z daleka, nikt z miejscowych nie próbował uciekać lub się ukryć. Większość zbrojnych była półkrwi Majami, rekrutami z Suchitepequez, poza dwoma wysokimi, jasnowłosymi mężczyznami w butach armii amerykańskiej. Oddziałem dowodził, co niezwykle, major - Antonio Garcia-Torres.

Tego dnia zastrzelono tylko dwóch ludzi, a moich rodziców oraz sześcioro ich przyjaciół załadowano na ciężarówkę i zabrano do bazy wojskowej Coban. Wieczorem rekruci spalili wioskową świetlicę, miejsce spotkań, wraz z jedenastoma żywymi ludźmi, którzy nie chcieli do tego dopuścić - celowo, by zasiać strach wśród miejscowych. Taktyka.

Tamtego wieczora po raz ostatni również widziano moich braci, choć nie wiadomo do końca, co się z nimi stało. Wiele lat później moja

siostra odkryła, że znaleźli schronienie w Meksyku. Żołnierze pozostali tam przez dwa dni. Zmusili mieszkańców, by zrównali wioskę z ziemią, po czym zapakowali ich na ciężarówki i wywieźli.

Tozal znalazła się na oficjalnej liście gwatemalskiego rządu jako jedna z czterech tysięcy czterdziestu zlikwidowanych osad. W końcowym rozrachunku zginęło wtedy trzydzieści osiem osób, a dwadzieścia sześć znikło bez śladu. Na dziewięćdziesiąt procent jestem pewien, że moich rodziców poddano torturom przez *submarino*, czyli duszenie w wodzie, i prawdopodobnie uwięziono w bazie za wysokim ogrodzeniem, gdzie można tylko czekać na śmierć (*todo por mi culpa*) i spoglądać w niebo. Świadek twierdził, że mój ojciec umarł, kiedy próbowano zmusić go do mówienia - założono mu na głowę worek wypełniony owadami. Nie wiadomo, czy właśnie to go zabiło. Nie ma pewności, co naprawdę się stało. Matkę, jak większość kobiet, zmuszono do wypicia benzyny. Wiadomo natomiast, że ciała moich rodziców wrzucono do jednego z dziewięciu znanych masowych grobów w Alta Verapaz, lecz jak dotąd Centrum Dochodzeń i Dokumentacji Historii Majów nie dopasowało żadnych szczątków do mojego DNA.

Ale dość dygresji. Latami zastanawiałem się, czy rodzice odesłali mnie, ponieważ przeczuwali kłopoty. Może to był pomysł matki. Niejeden raz używała Gry, by sprawdzić, czy pojawia się zagrożenie ze strony G2, czyli tajnej policji. Może matka coś wyczuła?

Tydzień później zakonnice ze szpitala dostały rozkaz, by mnie i czworo innych dzieci z Tozal, w tym także José „Za Nic” Xilocha, mojego jedyne go ocalałego przyjaciela, odesłać do *la capital*, czyli do stolicy, Ciudad Guate, skąd zostaniemy przeniesieni do obozu przejściowego. Mgliście pamiętam katolicki sierociniec - nic dziwnego, uciekłem pierwszego dnia, gdy się tam znalazłem. Właściwie trudno to nazwać ucieczką, po prostu wyszedłem. Pobłądziłem trochę po mieście, aż natknąłem się na szpital dziecięcy - na pewno lepiej dotowany niż sierociniec. Szpital nosił nazwę AYUDA, zarządzał nim Kościół, ale nie katolicki, lecz pod wezwaniem Jezusa Chrystusa Świątych w Dniach Ostatnich, którego członkowie powszechnie znani są jako mormoni, choć nie lubią być tak nazywani. Krążyły

po głoski, że mormoni wysyłają dzieci ze szpitala do Stanów Zjednoczonych. Jako dziecko wyobrażałem sobie Stany jako ogród rozkoszy ziemskich, z przyciętymi równo żywopłotami, klombami i elegancko zmeliorowanymi rzekami, więc perspektywa mnie nie przerażała. W tylnych drzwiach szpitala wysoka, korpulentna kobieta z jasnymi włosami wahała się długą chwilę, ale potem, wbrew przepisom, pozwoliła mi wejść. Później widywałem ją czasami, ale nigdy nie poznałem jej imienia, jednak metalicznie jasne włosy przypominają mi zawsze tę kobietę. W szpitalu wciągnięto mnie na listę sierot, po czym odesłano do ośrodka wychowawczo-szkolnego „Rajska Dolina” na peryferiach stolicy.

Dużo czasu zajęło mi dojście, co się stało z moją rodziną, a szczerze mówiąc, nadal tego nie wiem do końca. Ani przez chwilę nie czułem, że rodzice nie żyją, tylko nieustanny, potworny ucisk w sercu, z którym musiałem się pogodzić.

Soboty w Rajskiej Dolinie były wolne i krewni, jeżeli tacy byli, mogli odwiedzać podopiecznych, spotkania odbywały się w wolnych salach lekcyjnych. Co niedziela natomiast pożyczalem od starszych roczników podręcznik do matematyki, szedłem do opustoszałej klasy, siadałem w kącie na zielonym linoleum, między groszkowymi ścianami, i po prostu obserwowałem, co się dzieje. Nikt się nigdy nie pojawił i nie próbował mnie znaleźć. *La mara*, gang, naśmiewał się ze mnie i z mojego zachowania, ale wtedy już mało mnie to obchodziło. Nadal jednak miałem problemy z sobotami - robiłem się nerwowo, ciągle zerkałem w okno albo kilkanaście razy na godzinę sprawdzałem e-maile.

Przebywałem w Rajskiej Dolinie prawie dwa lata, zanim włączono mnie do Programu Adaptacyjnego dla Rdzennych Amerykanów, który należał do fundacji adopcyjnej, i zaraz po moim szesnastym *tz'olk'in* - dniu nadania imienia - kiedy miałem jedenaście lat, rodzina Odegardów z niewielką pomocą finansową Kościoła wysłała mnie do Utah.

Muszę oddać diabłu co diabelskie - chrześcijańskie fundacje edukacyjno-wychowawcze zrobiły sporo dobrego dla rdzennych Amery-

kanów. Na przykład pomogły Zuni wygrać największy w historii Indian proces przeciwko rządowi Stanów Zjednoczonych. I to właśnie Kościół prowadził akcje dobroczynne w całej Ameryce Łacińskiej, choć do tysięcy dziewięćset siedemdziesiątego ósmego oficjalnie głosił supremację białych. Wierzano wtedy, że niektórzy rdzenni Amerykanie - ci z jaśniejszą skórą - są potomkami żydowskiego patriarchy Nefiego, jednej z ważnych postaci Księgi Mormona. Zresztą co za różnica, jakie motywy przyświecały działaniom mormonów? Zastroszczyli się o mnie i wielu innych.

Nie mogłem uwierzyć, jak bogaci są Odegardowie. Nie tylko mieli bieżącą wodę, ale i nieograniczone zapasy *angelitos*, czyli pianki cukrowej - zarówno w postaci półtwardej masy, jak i w formie półpłynnej. W ogóle byłem przekonany, że USA podbiły mój kraj, a ja stałem się jeńcem trzymanym w luksusowym więzieniu w stolicy imperium. Dużo czasu zajęło mi zrozumienie, że jak na amerykańskie standardy moi rodzice zastępczy należą do biedniejszej klasy średniej. Co znaczy, że Odegardowie mówili na przykład „kolacja” na wieczorny posiłek, a nie „obiad”, bo ten jedli w porze lunchu, oraz mieli w kuchni obrazek z przepisem na Słodkie Maślane Ciasteczka Miłości Dziecięcia Jezus, a wśród składników tego przysmaku znajdowały się między innymi „odrobina zrozumienia” i „szczypta dyscypliny”. Ale poza tym można ich było uznać za intelektualistów. Dlatego zajęło mi tak dużo czasu, nim stałem się tym steranym mądrą, jakiego zgrywam do dziś.

Wracając do meritum: państwo O. byli mili, a raczej próbowali za takich uchodzić, co pochłaniało tyle ich energii, że nie mieli jej zbyt wiele dla swoich dzieci. Zresztą moi przybrani bracia byli straszni - pozbawieni dziecięcych używek: telewizji i gier wideo, zabawiali się dręczeniem małych zwierząt. Ich rodzice oczywiście uważali te potwory za aniołki wybrane przez Boga.

Dość rzec, że nigdy nie dałem się przechrzcić na mormona. Czy raczej nie „doznałem zrozumienia”, jak określali to państwo O. Czyli nie udało się mnie przekonać, że jestem jednym ze Świętych w Dniach Ostatnich. Zresztą zgodnie z założeniami programu nawracaniem można się zająć, gdy przybrane dziecko będzie nieco starsze. Do tego



czasu zdążyłem już sobie uświadomić, że ochrzzczenie swoich dawno zmarłych przodków, leżenie krzyżem czy noszenie długich mormońskich surdutów nie jest normalnym zachowaniem, nawet na El Norte. Ojczym i macocha zabrali mnie nawet parę razy do kościoła katolickiego, ale tamtejszy zapach mi się nie spodobał, katolickich świętych nie znałem, a na podłodze nie stały butelki ofiarne, jak w Gwatemali, więc powiedziałem państwu O., żeby sobie dali spokój. Przyjęli to dość spokojnie jak na nich. Nawet czasami nadal nazywam ich mamą O i tatą O, chociaż ich nie znoszę.

Moi przybrani bracia byli bliźniakami i płodzili kolejne pokolenia bliźniąt. To połączenie wiary, dogmatów i płodności mnożyło się jak króliki.

Ponieważ nie planowałem zmienić się w żywego świętego, przybrani rodzice zachęcali mnie do uczestnictwa w zajęciach pozalekcyjnych i sportowych. Zacząłem od drużyny szachowej oraz grupy grającej w monopol. Uczniowie proroka Nefiego z K-12 zmusili mnie też do spróbowania gry na wiolonczeli, najbardziej pogardzanym instrumencie w orkiestrze. Nie okazałem się w tym dobry. Uważałem, że muzyka to upośledzona siostra matematyki. Ukryłem się w bibliotece i zająłem przeglądaniem słownika, zapamiętując obrazy stron, by później przejrzeć je w pamięci. Często tak robiłem. Nauczyłem się czytać po angielsku, zapamiętując najpierw obrazy stron w książkach Lovecrafta, i nawet dzisiaj niektórzy uważają, że mówię stylem tego autora. Grzecznie odmówiłem też wzięcia udziału w grze polegającej na wyciąganiu ustami jabłek pływających w wypełnionej wodą balii. Było to podczas szkolnej zabawy z okazji Halloween. Właściwie to uciekłem z krzykiem z kolorowej sali, bo myślałem, że zostanę utopiony we wspomnianej balii. Potem zaangażowałem się w zajęcia grupy programistów, miłośników gier komputerowych i gier strategicznych. Wydawać by się mogło, że ktoś, kto chodzi na tyle spotkań, będzie dużo rozmawiał z innymi, jednak ja nie. Nawet w szkole trzymałem się z boku, głównie z powodu problemów zdrowotnych związanych z hemofilią. Zwłaszcza na lekcjach wychowania fizycznego. Podczas meczów mnie i innych cherlaków sadzano w kącie i kazano udawać,

że podnosimy *ciężary*. Okazało się, że jeśli chodzi o sport, to sprawdzam się tylko jako cel strzelniczy. Rodzina O. miała fioła na punkcie strzelania i mnie też w to wciągnęła. Poza tym przyłączyłem się do kółka matematycznego, chociaż nie uważałem, żeby matematykę można było uznać za dyscyplinę sportową - równie dobrze można by uznać za sport masturbację.

Pewnego razu nauczyciel z kółka matematycznego dał mi stos zadań z topologii. Był zdumiony, że rozwiązałem wszystkie szybko i bezbłędnie. On i inny nauczyciel zaczęli mnie trochę testować i wkrótce oświadczyli, że jeżeli chodzi o kalendarz, jestem sawantem, ponieważ potrafię obliczyć każdą datę, podczas gdy większość ludzi po prostu je zapamiętuje. Mogłem im sam to powiedzieć. Niestety, ta umiejętność nie należała do poszukiwanych na rynku, chociaż to coś, czego potrafi dokonać jeden człowiek na dziesięć tysięcy. Podobnie jak zdolność do polizania się po genitaliach. W tym samym okresie zapisałem się też do kółka miłośników ryb egzotycznych i zbudowałem swój pierwszy system akwariów przy użyciu szlauchu i starych plastikowych pojemników na żywność. Zdecydowałem również, że kiedy dorosnę, zostanę zawodowym szachistą. Potem zdecydowałem, że jednak zostanę zawodowym graczem w Sonic Team. W tym samym czasie wspomniano o mnie w artykule z „Medical Hypotheses” pod tytułem „Zdolności matematyczne sawantów u młodocianych pacjentów z zespołem stresu pourazowego”, opisano mnie jako J. Postanowiłem też, że zamiast uczyć się gry na wiolonczeli, nauczę się BUDOWAĆ wiolonczele. Słuchałem wtedy Cocteau Twins, a nie Motley Crue jak większość moich rówieśników. Zarobiłem swój pierwszy tysiąc, kupując i sprzedając karty do wróżb. Zdobyłem też swój pierwszy nick w społeczności graczy. Spróbowałem extasy, choć byłem sam. Dzięki nowym lekom opanowano moją hemofilię, ale przy okazji zdiagnozowano u mnie traumę, syndrom stresu pourazowego przejawiający się „niekontrolowanym wycofaniem emocji” oraz „sporadycznie pojawiającą się pamięcią ejdetyczną”. Zapewne syndrom stresu pourazowego przypomina chorobę Aspergerá. Ale nie byłem autystyczny, nie miałem typowych, charakterystycznych objawów - na przykład,

choć lubiłem się uczyć języków obcych i nowych pojęć, nie miałem nic przeciwko poznawaniu nowych miejsc i ludzi. Jeden lekarz z Salt Lake powiedział mi, że „syndrom stresu pourazowego” jest pojęciem -wytrychem, które tak naprawdę wcale nie wyjaśnia, co mi dolega, a co nie. Wywnioskowałem z tego, że nie dostanę zatem renty lub innego finansowego wsparcia.

We wrześniu 1988 absolwentka BYU, Brigham Young University, wygłosiła pogadankę w mojej szkole i zmieniła bieg mego życia. Studentka pokazywała film z tańcami kukurydzy Zuni oraz prekolumbijskimi *kiva* - pomieszczeniami pod ziemią pełniącymi rolę świątyń u Indian Pueblo. Prawie zasypiałem, kiedy na ekranie pojawiły się piramidy Majów. I wtedy się wyprostowałem. Oglądałem czujnie i uważnie, a po wykładzie zadałem kilka pytań. Studentka poprosiła, bym powiedział wszystkim, skąd pochodzę, więc powiedziałem. Kilka dni później wysłano mnie i innych czerwonoskórych do Salt Lake na konferencję zorganizowaną przez fundację z Programu Adaptacyjnego dla Rdzennych Amerykanów. Spotkanie odbywało się w sali gimnastycznej tamtejszego liceum i można było podczas niego nauczyć się łupania kamienia lub malowania twarzy farbami akrylowymi. Absolwentka BYU przedstawiła mnie swojej nauczycielce, profesor June Sexton, a ta, gdy dowiedziała się, skąd pochodzę, zaczęła do mnie mówić w całkiem płynnym jukatańskim, co mnie totalnie zaskoczyło. W pewnym momencie profesor zapytała, czy umiem grać w *el juego del mundo*, a kiedy przyznałem, że nie rozumiem, o co jej chodzi, wyjaśniła, że inna nazwa to *alka kalab'eeraj*, czyli „Gra Ofiarna”, co było dość podobne do określenia używanego przez moją matkę. Potwierdziłem, a wtedy nauczycielka wyciągnęła pudełko po miętówkach pełne jaskrawoczerwonych nasion drzewa *tz'ite*. W pierwszej chwili nie potrafiłem się skupić, bo miałem atak czegoś, co chyba należy określić jako nostalgię, a może raczej biedną daleką krewniaczkę nostalgii, ale kiedy w końcu wziąłem się w garść, udało mi się rozegrać z June Sexton kilka niezłych rund. Profesor powiedziała mi także, że jej kolega matematyk prowadzi badania nad wróżbami Majów i na pewno chciałby, abym nauczył go mojej wersji gry. Jasne,

odpowiedziałem natychmiast, zastanawiając się, czy to wystarczy, by urwać się z lekcji. Zrobiłbym wszystko, byle uniknąć wf.

Zdumiewające, ale tydzień później pod szkołą pojawiła się zielona półciężarówka Stowarzyszenia Badań Starożytności oraz Teologii Mormońskiej i zabrała mnie tuż przed lunchem na północ, w góry, na uniwersytet w Provo. Asystentka zaprowadziła mnie do niewyróżniającego się budynku i przedstawiła jednemu z tutejszych profesorów. Taro Mora, choć miał zaledwie czterdziestkę, wydał mi się starym mędrce, jak Pat Morita z serii filmów „Karate Kid”. Gabinet profesora Mory był zwyczajny z regałem wypełnionym książkami i opracowaniami o go - azjatyckiej grze planszowej rozgrywanej przy pomocy czarnych i białych kamyków - oraz tablicami z równaniami prawdopodobieństwa i obliczeniami dotyczącymi aspektów teorii gier. Taro Mora pracował nad matematycznym modelowaniem katastrof. Przyznał, że zebrał wersje Gry Ofiarnej z różnych zakątków Ameryki Środkowej, ale o wariancie, którego się nauczyłem w dzieciństwie, słyszało tylko paru informatorów. Moja wersja różniła się znacząco od tych, które profesor Mora już znał. Przede wszystkim tym, że zazwyczaj klient przychodził i mówił: „Zapytaj, proszę, czaszki/nasiona o to czy tamto w moim imieniu”, a Strażnik Dnia robił resztę. W wersji mojej matki petent musiał grać PRZECIWKO Strażnikowi Dnia, to po pierwsze. Po drugie, matka stosowała do gry kształt krzyża, podczas gdy większość znanych matematykowi graczy układała nasiona po prostu w rząd na płaskiej powierzchni przykrytej materiałem. Trzecią i najbardziej zaskakującą różnicę stanowiło to, że nauczyłem się gry od kobiety.

Profesorowi trudno w to było uwierzyć. Na dziewięćdziesięciu ośmiu procentach terenów zamieszkiwanych przez Majów graczami byli tylko mężczyźni. Taro przyznał, że nie jest antropologiem, ale przypuszczał, że moja matka była jedną z nielicznych spadkobierczyń cholskich tradycji z sekretnych stowarzyszeń kobiet. Tradycje i tajemnicze zgromadzenia zniknęły zapewne niedługo po przybyciu konkwistadorów.

Taro i ja spotykaliśmy dwa razy w tygodniu do końca semestru. Potem profesor wrócił do New Haven. Podczas tych spotkań dowiedziałem się, że kieruje projektem badawczym o kryptonimie „Parcheesi”\*. On i jego doktoranci opracowali hipotezę, że prawie wszystkie dzisiejsze gry pochodzą od jednej starożytnej - *ur*. Grupa próbowała zrekonstruować tę pierwotną grę na podstawie gier plemion środkowoazjatyckich, ale szybko badania zaprowadziły naukowców do obu Ameryk.

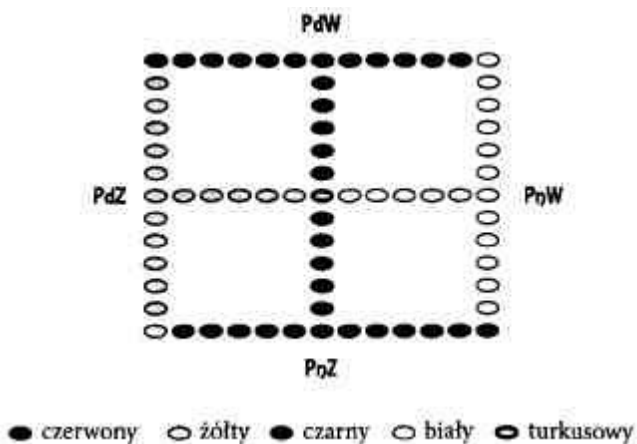
Wielu antropologów podważało hipotezę Mory, gdyż podejrzanie przypominała pomysły Dánikena. Ale Taro był przede wszystkim matematykiem, więc nie przejmował się antropologami. Miał naturę badacza i jako jeden z niewielu ludzi zajmował się teorią katastrof, fizyką układów złożonych oraz matematyką gier. A także szczególnie aspektami tej ostatniej, jak choćby kombinatoryczną teorią gier. Kombinatoryczna teoria gier opiera się na teorii gier jak go i szachy, w których pionki formują różne układy sił na planszy i w których przypadek nie odgrywa roli. Tradycyjna teoria gier używana była przez ekonomistów i generałów, ale wcześniej, przed drugą wojną światową, dotyczyła tylko hazardu. Kombinatoryczną pojawiła się dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Taro natomiast wpadł na pomysł, że zastosowanie zrekonstruowanej Gry Ofiarnej jako ludzkiego interfejsu może znacząco ulepszyć rezultaty działań strategicznych, jak na przykład symulacji ekonomicznych, militarnych, a nawet pogodowych. Miał nawet parę sukcesów w eksperymentach, jeszcze zanim się poznaliśmy, ale wolał osiągnąć bardziej spektakularne wyniki, by je opublikować. Jego grupa pracowała nad różnymi rekonstrukcjami pierwotnej Gry planszowej. Poświęciłem temu wraz ze studentami profesora Mory tysiące godzin, gdy jeszcze chodziłem do szkoły i później, gdy dostałem się na studia. Jednak problem polegał na tym, że nawet jeżeli byliśmy pewni, jak wygląda plansza, nie mieliśmy pojęcia, jaki protokół liczenia stosowano w dawnych czasach, ilu ziaren lub kamyków

\* W Polsce gra znana jako chińczyk.

czy innych pionków należało użyć. Dlatego Taro zdecydował się na inne podejście do zagadnienia. Wprowadził parapsychologię.

Nadal mam pięć kwarcowych kamyków z Gwatemali. To jedyne pamiątki z dzieciństwa, jakie mi pozostały, ponieważ nasiona *tz'ite* rozsypały się w różowy pył. Zastępowałem je drażetkami lub podobnymi cukierkami. Odkąd znalazłem się w USA, tylko kilka razy rozrzucałem, to znaczy grałem w Grę Ofiarną. Ale kiedy znowu się do tego wzięłem, siedząc w uniwersyteckiej piwnicy, opleciony czujnikami i ze słuchawkami, w których rozlegał się biały szum, by wyciszyć otoczenie na potrzeby eksperymentu, przyszło mi to łatwo, jakby lata bez ćwiczeń działały na moją korzyść. Wraz z Taro zaczęliśmy od eksperymentów z przewidywaniem, co zrobią ludzie w pomieszczeniu po drugiej stronie budynku. Wybrane grupy odgrywały różne scenariusze, a ja próbowałem przewidzieć, co robią. Wychodziło mi całkiem nieźle. Potem okazało się, że przewidyuję lepiej, gdy uczestnicy doświadczeń naprawdę tracą pieniądze, doznają bólu lub w ogóle czegoś realnego. Po kilku miesiącach zająłem się przewidywaniami zdarzeń w prawdziwym świecie, zasięgiem i rozprzestrzenianiem się wirusa AIDS, początkami konfliktu naftowego i podobnymi wydarzeniami, co było o wiele trudniej nie tylko kontrolować, ale przede wszystkim ustawić w Grze. Udawało mi się coraz lepiej przewidywać, ale nadal wyniki poprawiały się w bardzo powolnym tempie. Taro powiedział, że moje kalendarzowe zdolności sawanta pomagają mi grać szybciej, ale jak dotąd nie gram głębiej. Co znaczy, że nie koncentruję się wystarczająco. Ale przecież byłem tylko nastolatkiem, jak miałem się skupić? Cóż, nieważne. Pięć lat później, kiedy zacząłem znowu pracę z Taro na Yale, profesor porzucił już parapsychologiczne eksperymenty z izolacją zmysłów od otoczenia i powrócił do prób odtworzenia pierwotnej gry *ur*. Kiedy odszedłem, używaliśmy dwóch pionków i graliśmy na planszy, która sprawdzała się lepiej w przewidywaniach zdarzeń, ale Taro nadal nie uważał, że wzór jest zgodny z oryginałem sprzed wieków. Zrekonstruowana plansza sprawiała, że Gra była bardziej elastyczna, łatwiej ją można było dopasować do warunków przewidywania określonego zdarzenia, a także łatwiej było

rozgrywać kolejne partie, choć układ stawał się bardziej skomplikowany niż ten, jakiego nauczyłem się od matki.



Rozstałem się z Taro z powodów głupich i nieważnych. Myślałem, że mój udział w badaniach jest opłacany przez Fundację Berlencamp i jej laboratoria w Yale, ale okazało się, że pieniądze przekazuje Stowarzyszenie Badań Starożytności oraz Teologii Mormońskiej, czyli te same świry, dla których Taro pracował w Provo. Od jakiegoś czasu wiedziałem, że fundacja ma na celu udowodnienie między innymi, że Indianie amerykańscy pochodzą z plemienia Judy. Natychmiast wpadłem w fazę świętego oburzenia właściwego zwolennikowi poglądu o supremacji Majów nad resztą ludzkich kultur i zacząłem się kłócić z profesorem. Nie ma to jak zrażać do siebie ludzi, co? Byłem strasznym niewdzięcznikiem. Jestem. Taro zapewnił, że stowarzyszenie tak naprawdę nie płaci, fundusze pochodzą od tych samych osób, które finansują badania, ale nie chciał mi powiedzieć, kim są. Wkurzyłem się i odszedłem. W najlepszym razie chodzi pewnie o reklamę, pomyślałem. Grupa najemnych ekonomistów szuka sposobu na podbicie jakiegoś rynku.

A zbliżały się kolejne zmiany. Zanim Taro wyjechał z Utah, skierował mnie do badaczy z uniwersytetu w Teksasie, którzy zajmowali się terapią pacjentów z wycofaniem emocjonalnym, na co prawdopo-

dobnie cierpiałem. Profesor upewnił się, że nie trafię do grupy kontrolnej i zostaną poddany pełnej kuracji.

Kiedy wreszcie udało mi się (ledwie ledwie) zakończyć naukę w szkole średniej i trzymać się z daleka od New Haven, doznałem czegoś, co można określić jako prawdziwe emocje. Zacząłem się uczyć czegoś zupełnie nowego o ludziach. Jakbym po raz pierwszy odkrył tajemnicę wyrazów twarzy - co znaczą, jak za ich pomocą można ukrywać emocje lub udawać uczucia. Dziwne. Całe spektrum odcieni szarości, świat stosunków interpersonalnych wychynął zza tej wiedzy: przesadne udawanie, afektacja i maski, niedopowiedzenia, podteksty i zwyczajne kłamstwa. Stałem się wrażliwy na punkcie swojego wyglądu, a raczej odkryłem, że MAM wygląd. Zrzuciłem trzydzieści funtów. Przeczytałem książkę „Podrywanie dziewczyn dla opornych”. Wykonałem sto osiemdziesiąt dwa tysiące pięćset dwadzieścia pompek. Przeprowadziłem się na Grand Avenue w Los Angeles. Poderwałem kilka dziewczyn dla opornych. Postanowiłem, że zostaną ornitologiem. Zacząłem używać Gry do przewidywania giełdy. Zarobiłem trochę grosza, ale może tylko dzięki szczęściu początkującego. Miałem też niewielką motywację, ponieważ w tamtym okresie profilaktyczne leczenie hemofilii typu A kosztowało około trzystu tysięcy dolarów rocznie, a bez tego leczenia cały czas trzeba było uważać i przejmować się każdym siniakiem czy drobnym skaleczeniem, bo z każdego krew lała się jak z zepsutej rury w „Super Mario Bros”. Zrezygnowałem z ornitologii, kiedy przekonałem się, że tak naprawdę ludzkość wie o ptakach wszystko, co wiedzieć powinna. Postanowiłem zostać zawodowym szachistą. Osiągnąłem dwa tysiące trzysta osiemdziesiąt punktów w rankingu FIDE, Międzynarodowej Federacji Szachowej. 11 maja 1997, kiedy Deep Blue pokonał Kasparowa, zrezygnowałem z kariery profesjonalnego szachisty. Jaki miałyby to sens? Maszyna i tak wygrała z człowiekiem. Postanowiłem zatem udać się do Seulu, by zostać zawodowym graczem w go. Nauczyłem się trochę koreańskiego. Wtedy okazało się, że aby dobrze rozumieć koreański, należy poznać chiński, więc nauczyłem się podstaw dialektu kantońskiego. Porzuciłem karierę w go, gdy okazało się, że w Azji nie ma



*empanadas de achiote*. Postanowiłem, że zostanę biologiem morskim, i przeprowadziłem się do Miami. Zrezygnowałem z planów, by zostać biologiem morskim, ponieważ stwierdziłem, że analiza próbek wody i oznaczanie toksycznych zanieczyszczeń z różnych okresów doprowadza mnie do depresji. Uznałem jednak, że nie zrezygnuję całkiem z biologii i zajmę się biochemią zmysłów węchu i smaku. Zrezygnowałem za to z planów, by nauczyć się budować wiolonczele, ze względu na szkodliwe lakiery, politory i kleje. Zdecydowałem, że lepiej studiować olfaktologię. Po czym porzuciłem biochemię, bo stała się tak uprzemysłowioną gałęzią nauki, że musiałbym mieć dużo szczęścia, by natrafić choć na jedną przyzwoitą, naturalną cząsteczkę. Postanowiłem dać sobie spokój z naukami ścisłymi i napisać powieść. Przeprowadziłem się więc do Williamsburga na Brooklynie. Zamieściłem parę felietonów o grach komputerowych w paru czasopismach, takich jak „Wired”, „Artforum”, a nawet „Harper's Bazaar”. Redaktor powiedział mi, że wymagany jest beztroski, lekceważący ton artykułów. Szlajałem się po klubach i podrywałem dziewczyny dla opornych. Faza na pisanie szybko mi przeszła. Zająłem się sprzedażą przez Internet. Zrezygnowałem z pisarstwa, ponieważ kiedy zacząłem rozumieć coraz lepiej tę dziedzinę, okazało się, że nawet dzisiaj od pisarzy oczekuje się, że będą poruszali tylko dość wąski zakres zagadnień. Pisarz powinien się zajmować takimi sprawami jak, powiedzmy, uczucia, motywy działań, ekspresja swoich przeżyć, związki, rodziny, miłość, strata, miłość i strata, płeć, rasa, odkupienie, kobiety, mężczyźni, kobiety i mężczyźni, sympatie, polityka, sympatie polityczne, pisarze, Brooklyn, pisarze z Brooklynu, czytelnicy, którzy pragnęliby zostać pisarzami z Brooklynu, swoje ja, inni, ja kontra inni, studia, postkolonializm, dojrzewanie, przedmieścia, lata siedemdziesiąte, osiemdziesiąte, dziewięćdziesiąte, dojrzewanie na przedmieściach w latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych lub dziewięćdziesiątych, osobowość, miejsca, ludzie, ludzie potrzebujący ludzi, charaktery, wymyślone postacie, życie wewnętrzne wymyślonych postaci, życie, śmierć, społeczeństwo, kondycja ludzkości oraz zapewne Irlandii. A ja, oczywiście, przejawiałem dokładnie zero zainteresowania wyżej wymienionymi

kwestiami. Zresztą kto chciałby czytać o wewnętrznym życiu wymyślonych postaci? Mnie nie interesuje nawet moje życie. Postanowiłem zatem zawodowo zająć się hazardem. Przeniosłem się do Reno w Nevadzie. Kasyna wyrastały wtedy jak grzyby po deszczu i praktycznie każdy, kto choć trochę umiał liczyć, mógł całkiem sporo wygrać. Wygrałem całkiem sporo. Zrobiłem parę obliczeń dla kasyn w rezerwatach Indian w Utah, Arizonie i na Florydzie - kasyna okazały się jeszcze jednym sposobem na dojenie białego człowieka. Zarobiłem więcej pieniędzy. Zrezygnowałem z kariery zawodowego pokerzysty, ponieważ więcej zarabiałem na sprzedaży on-line niż przy wirtualnym lub nawet realnym karcianym stole, a przy tym nie musiałem się nawet kontaktować z ludźmi. Pisywałem jednak regularnie do czasopisma „Strategy” - ot, z czystego sentymentu. I zarobiłem jeszcze więcej pieniędzy.

Pieniądze. Właśnie. Chyba powinienem wspomnieć o tym wcześniej.

Około dwa tysiące pierwszego roku miałem dość kasy, by robić, co zechcę, o ile nie przeszkadzało mi noszenie wytartych marynarek. Nawiązałem kontakt z Za Nic, moim *cuate viejo* z Tozal. Za Nic spędził cztery lata w Gwatemali i nadal utrzymywał ściśle kontakty z Enero 31, ruchem oporu, który zszedł do podziemia po zamieszkach w dziewięćdziesiątym szóstym. Zacząłem pracować dla jego przyjaciół z SRO, czyli Społecznego Ruchu Oporu, i po cichu starałem się dowiedzieć, co (*todo por mi culpa*) się stało z moimi rodzicami. Zacząłem także wędrować po kraju i rozpytywać starych Strażników Dnia o Grę. Przekonałem się, że Taro i jego grupa mieli rację - istniała skomplikowana Gra Ofiarna, ale teraz pozostało po niej jedynie mgliste wspomnienie. Większość starych *h'menob'* używała mocno uproszczonej wersji, a nawet wtedy rozgrywała ją na wycucie, jak osoby dotknięte alzheimerem, które nie potrafią już zrozumieć znaczenia kart, ale nadal sprawia im przyjemność rozegranie robra lub dwóch. Nie udało mi się jednak natrafić na bardziej kompletny wariant Gry. Do tego przez moją obsesję wpłatałem się w kłopoty -

w dwa tysiące jedenastym Policja Narodowa nadal miała na mnie nakaz aresztowania.

Garcia-Torres, jak przystało na typowego Gwatemalczyka, nadal był w wojsku, dorobił się stopnia generała. Za Nic i ja pracowaliśmy nad jego profilem: jakie miał zwyczaje, gdzie znajdowały się jego domy, do jakiej kryjówki udawał się najczęściej, gdzie mieszkali jego goryle i tym podobne. Ale chyba nie wykonaliśmy zbyt dobrze naszej roboty, ponieważ pewnego wieczoru Za Nic - który miał kojota za *uay* i potrafił się skradać w ciemności bezszelestnie i niezauważalnie - wślizgnął się i powiedział, że G2 podobno mnie ściga. Jak mi wyjaśnił, są dwa wyjścia: albo zniknę dobrowolnie jeszcze przed świtem, albo ktoś sprawi, że zniknę na zawsze. Wybrałem tę pierwszą opcję. Wyjechałem do Indiantown, stolicy majańskiej emigracji nad jeziorem Okeechobee na Florydzie, około dwadzieścia mil od wybrzeża Atlantyku.

Na Florydzie rozniosła się wieść, że nieźle sobie radziłem z Grą Ofiarną, i paru petentów nie dało się zbyć. Nigdy jednak nie mógłbym zostać Strażnikiem Dnia w jakiegokolwiek społeczeństwie. Głównie dlatego, że w tradycyjnej wiosce taki strażnik musi sporo pić, a alkohol nigdy tak naprawdę nie miał dla mnie uroku. Jak dla mnie  $C_2H_5OH$  jest narkotykiem dla ubogich i nieważne, jak go ulepszać i mieszać, nadal nim pozostanie. Poza tym porządny szaman musi umieć słuchać. No, i powinien być filarem społeczności, strażnikiem tradycji i zwyczajów oraz skarbnicą wiedzy przodków. A co w tym zabawnego? Na dodatek powinien być jeszcze urodzonym psychologiem, Osobą, Która Radzi Sobie z Ludźmi. Nie wspominając o tym, że większość tego, co robili Oddani Słońcu, było zwykłym oszustwem, hochszta-plerką - używaniem niejasności, zdobywaniem informacji za plecami petentów, aktorstwem, a czasami nawet kuglarstwem. A ja nie potrafię udawać przekonująco religijności i nie znoszę zwodzenia ludzi, jak to robią często media z telewizji. Świadomość, że niektórzy ludzie są tak zdesperowani i łatwowierni, by uwierzyć w to oszustwo, wywołuje u mnie depresję. Często słyszałem, że jestem tak drażliwy

w kwestii Strażników Dnia, ponieważ uważam skrycie, że to tylko głupie sztuczki. Zresztą w rankingach dotyczących najbardziej - i najmniej, rzecz jasna - szanowanych zawodów „wróżenie” i „przepowiadanie przyszłości” stoi tylko trochę wyżej od najbardziej pogardzanej profesji - telemarketera.

Co prowadzi do osobistego i oczywistego pytania: jeżeli Jed mówi prawdę, to czemu nie jest bogaty?

I równie prostej odpowiedzi: szczerze mówiąc - jestem.

### [3]

Nienawidzę autobiografii. Każdy nienawidzi autobiografii. To najbardziej obrzydliwy gatunek literatury, zaraz po przełożonych na angielski haiku. Ostatnim razem, kiedy odwiedziłem księgarnię - i to tylko po to, aby się napić kawy, tak na marginesie - natrafiłem na autobiografię Avy Gardner. Zaczynała się od: „W Johnston Gounty, na północy Karoliny, nie można uchodzić za farmera, jeżeli nie posiada się muła”. Jak słodko, Avo, ale - ach! - jeżeli do końca tej strony nie będzie wzmianki o uroczym tete á tete w łóżku z Howardem Hughe-sem, Frankiem Sinatrą, Johnnym Stompanto, Artiem Shawem, Mi-ckeyem Rooneyem albo kombinacją wymienionych, ewentualnie jeżeli nie pojawi się porównanie genitaliów Franka i muła, ta książka pokona drogę do kosza z prędkością światła. Autobiografie są zawsze podobne, przyświeca im jedna myśl: „Okej, skoro udało mi się przyciągnąć uwagę sporej grupy ludzi, to opowiem wszystko, co mi się przydarzyło, nawet jeżeli dziewięćdziesiąt dziewięć koma czterdzieści cztery procenta tych zdarzeń to *basura*, które mogły się przytrafić dosłownie każdemu”. A jeżeli mowa o mojej autobiografii, to nie chodzi w niej o mnie. Chodzi tylko o Grę.

No dobra. Jeszcze trochę i zacznę mówić o Grze jak o kopalni złota.

Może lepiej przeskoczę trochę dalej.

W czwartej straży 4 Sowa, 4 Żółć, 12.19.18.17.16 - albo według notowacji rachuby o wpół do piątej rano w piątek, 23 grudnia 2011 - noto-

wania na japońskiej giełdzie podskoczyły, indeks Nikkei wzrósł do jednego i dwóch dziesiątych procenta, co sprawiło, że mój pakiet obligacji zyskał wartość pięciu milionów dolarów amerykańskich. Leżałem na podłodze - lubię czuć pod sobą cement lub kamienie - z niedowierzaniem spoglądając na wielki monitor pod niskim sufitem mojego tak zwanego domu w zachodniej części Indiantown, tylko jedną opuszczoną przecnicę od jeziora Okeechobee, Domu Estrogennej Obojnaczej Ropuchy. W zasadzie nie był to dom, lecz raczej barak, który wcześniej służył jako magazyn sklepu z rybami egzotycznymi Lenny'ego Refina. Sklep splajtował, a ja przejąłem barak jako splatę długu z odsetkami. Zmieniłem czterysta pięćdziesiąt tysięcy stóp sześciennych wielkiej hali w pomieszczenie doświadczalno-mieszkalne. Jedynym źródłem światła były tutaj jarzeniówki nad cylindrycznym zbiornikiem-akwariem o pojemności czterystu czterdziestu galonów. W akwarium znajdowały się *Baja nudibranchs*, czyli morskie ślimaki z wewnętrzną muszlą.

Cholera, pomyślałem, mrużąc oczy wpatrzone w monitor. Po latach *vagar*, oszczędzania i życia na resztkach, nareszcie udało mi się wymyślić, jak użyć Gry Ofiarnej do zarabiania dużych pieniędzy. Gra nie mogła się przydać w kasynach, oczywiście - znalezienie rozwiązania trwało za długo. Niezbyt też pomagała przy loteriach, ponieważ loterie były za bardzo przypadkowe.

Gra musiała się opierać na czymś, co już się wiedziało. W uproszczeniu - pomagała zauważyć to, co ważne. Nie było to właściwie przewidywanie przyszłości, ale i tak biło na głowę zgadywanie „na czuja”, do jakiego uciekała się większość ludzi. W każdym razie Gra Ofiarna sprawdzała się, choć niezbyt dobrze, w przypadku zakładów sportowych, szczególnie przy koszykówce, jak również w przypadku wyścigów konnych, ale musiałem nauczyć się wszystkiego, co można o koniach, fuksach, torach i podobnych, a kiedy w końcu zagrałem parę razy, ledwie zdążyłem przed zamknięciem obstawiania. Potrzebowałem czegoś wolniejszego. Zacząłem poważnie zastanawiać się nad giełdą, jednak kursy akcji okazały się o wiele

bardziej zależne od przypadku, niż mi się wydawało i prawie się poddałem. Bez większej nadziei spróbowałem na giełdzie towarowej inwestowania w kontrakty terminowe na kukurydzę. Ot, dla sprawdzenia.

Towary żywnościowe mają jedną ważną zaletę - cykl ich wzrostu i zbierania jest powolny. Na dodatek niewielu giełdowych graczy się nimi zajmuje. Zacząłem zatem poznawać historie największych inwestorów indywidualnych oraz traktować ich jak nieobecnych graczy w ogromnej Grze Ofiarnej. Zwykle robiłem dwadzieścia długoterminowych symulacji pogody i odrzucałem te, w których prognozy były niejasne. Szybko zacząłem wcale nieźle zarabiać. Pół roku temu zdobyłem pierwsze pół miliona, a teraz myślałem, czy nie zainwestować w prywatnych przewoźników. A skoro mowa o inwestycjach, przydałoby się zarobić trochę gotówki. Dobra. Pora poklikać. „Sprzedaż/ grudniowe kontrakty: 3350, po: otwarcie giełdy”. Kliknąłem. Ha! Wcisnąłem „zatwierdzenie transakcji”, przeliczyłem dwa razy zera i ponownie zaległem na podłodze.

Krótką piłką, pomyślałem. Tak! Jestem KRÓLEM PIEPRZONEGO WSZECHŚWIATA! *DOMINO EL MUNDO!* To ja rządzę na peryferiach! Nareszcie jestem zjadaczem, a nie zjadanym. To tak jakby oczy, które miałem po bokach głowy, przeniosły się do przodu, zapewniając mi trójwymiarowe widzenie. Drapieżnik, nie ofiara. Dzyń, dzyń! Niedługo Jed będzie miliarderem.

Ach, co teraz? Cóż, z potęgą i władzą wiąże się odpowiedzialność, zatem muszę użyć swoich pieniędzy w imię jakiejś dobrej sprawy.

Skontaktowałem się z Toddem Rosentalem z Naples Motorsport. Todd to ranny ptaszek, szybko przeszedł do interesów.

- Okej, biorę cudę - oznajmiłem. Odnowiona bestia z siedemdziesiątego roku, ognistoczerwony metalik (odcień Aztec Red), dwudrzwiowy coupé, z oryginalną karoserią i potężnym silnikiem oraz dodaną nowoczesną elektroniką. Miałem oko na tego potwora już od jakiegoś czasu. Udało mi się utargować cenę do dwustu dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów. Todd ostrzegł, że samochód i papiery wyśle

o dziewiątej, więc nie ma mowy, żebym mógł się rozmyślić. Nie zamierzałem. Klik.

Ach! I o to chodzi. Przyczyniłem się odrobinę do polepszenia świata. Nie mogłem pozwolić, żeby jakiś nuworysz położył łapę na tym dziele sztuki. Co prawda miałem już na podjeździe krążownik szos z siedemdziesiątego trzeciego oraz jeszcze jedną barracudę w garażu, ale jeszcze mi się nie przejadły plymouthy. Chyba mam zły gust. Ale przynajmniej dobrze się bawię. No dobra, co teraz? Może coś z oceanem w tle. Jakaś posiadłość na średniej wysepce, kromka chleba, butelka piwa, nieduży basen, jacuzzi o pojemności pięciu tysięcy galonów, parę pornogwiazdek i trochę porządnej muzyki. Dziewczęta z Orientu lubią luksusy. *No problemo.*

Rzecz jasna, ten ciąg nie trwał długo. Dwie godziny później nadal leżałem na podłodze, przyglądając się monitorowi na suficie i czytając na zlecenie matki Flor de Mayo, jednej z niewielu osób, którym nie miałem serca odmawiać. Matka uczyła w wiejskiej szkółce i zastanawiała się, czy powinna w tym roku przejść na emeryturę.

-*Podré caminar después de la operación?* - zabrzmiał jej stary głos w głośnikach.

-*Déme un momento* - odpowiedziałem. Miałem trochę kłopotów, ponieważ jej operacja była wyznaczona na rano, a z nieznanых powodów Gra działała lepiej w przypadku zdarzeń z późniejszych pór dnia. - *Estoy dispersando estas semillas amarillas y las semillas negras...*

Kodeks. To słowo nagle pojawiło się na monitorze, wyskoczyło w moim okienku stałego wyszukiwania - na początku listy wyników Google. Kliknąłem pierwszy link. Zwykle podobne wyniki pochodziły z dość niejasnych źródeł, jak Fundacja do spraw Badań Starożytnych Mieszkańców Ameryki Środkowej, albo z jakiegoś spam-generatora, ale tym razem okazało się, że to artykuł z „Timesa”.

Starożytna księga...

Łał! *Tzam lic.* Znaczą iskry pod skórą.



Starożytna księga o naszych czasach „Codex Nurnberg” - osiemdziesięciostronicowa księga Majów, która kurzyła się w Germanisches Nationalmuseum i budziła wiele kontrowersji od lat pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, została nareszcie odczytana...

Fotografia przy artykule pokazywała pół strony z kodeksu Majów, splątaną rycinę z Jaguarem w Lotosie na tle hieroglifów z okresu klasycznego, czyli sprzed około roku dziewięćsetnego.

*Ni modos* - pomyślałem. Niemożliwe.

*-Joaquinito? Está allí?* - zapytała matka Flor.

*-Madre? Perdóneme* - odparłem. - *No estoy teniendo mucha suerte con las calaveras esta noche. Usted piensa que podría venir mañana y la intentaremos otra vez?*

-Oczywiście, mój drogi - odpowiedziała, a ja podziękowałem i rozłączyłem rozmowę.

*En todos modos.*

Przewinałem zdjęcie Kodeksu - co od wypuszczenia na rynek szczytu ludzkiej pomysłowości nazywanego laserową myszą Logitechu mogłem zrobić machnięciem palca - i powiększyłem fragment z hieroglifami-liczbami. Hmm... Kaligrafia wydała mi się trochę późniejsza niż klasyczna, ale nie wyglądała na podróbkę czy fałszerstwo. Fałszerstwa zwykle były albo bardzo nieudane, albo zbyt piękne. A z tego, co słyszałem, Kodeks z Norymbergi miał dość dobrze udokumentowane pochodzenie. Od prawie pięćdziesięciu lat badacze próbowali go odczytać. Może to stara kopia klasycznego tekstu...

Ach.

Jedno z zestawień dat wyglądało trochę niepokojąco. Przyciągnąłem je i powiększyłem. Rozmyło się trochę, ale dało się odczytać jako chyba 7 Quetzal, 7 Umykający Nietoperz, 12.19.17.7.7, czyli 2 czerwca 2010 roku Pańskiego - data implozji akceleratora przy Universidad Tecnológica de la Mixteca w Oaxaca. Dwaj członkowie Tzotzil-Zapatista trafili do więzienia za sabotaż, czyli prawdopodobnie wywo-

łanie wybuchu, jednak i ja, i każdy rozsądny człowiek wiedział, że byli niewinni. Zdjęcia lotnicze na stronie uniwersytetu pokazywały płytki krater o średnicy może pół mili otoczony piaskiem z ciemno-obsydianowymi pasmami. Hm...

Kodeks został przywieziony z Nowego Świata do Europy. Przez wieki wykonane z kory figowca karty księgi - napisanej zapewne ponad tysiąc lat temu - sklejały się, przez co księga już kilkaset lat temu przypominała solidną cegłę. Do dzisiaj badacze nie umieli rozdzielić stron. Majowie do barwienia i utrwalania pisma używali bowiem komponentów podobnych do kleju uzyskanych z obróbki skór zwierzęcych. Rozwiązaniem okazał się dopiero mikroskop oparty na tunelowym skanowaniu akustycznym (STAM - Scanning Tunneling Acoustic Microscope), dzięki któremu można „zobaczyć” barwniki pomimo posklejanych arkuszy.

„To największe osiągnięcie w dziedzinie studiów nad historią Majów od 2000 roku, gdy odkryty został pałac w Cancuen” - cieszy się profesor Michael Weiner z wydziału studiów nad kulturami Ameryki Łacińskiej na University of Central Florida oraz kierownik projektu odczytania Kodeksu z Norymbergi. „Z literatury Majów ocalały zaledwie skrawki” - dodaje, wyjaśniając, że winą za taki stan rzeczy należy obarczyć konkwistadorów hiszpańskich, którzy rozpoczęli podbijanie Ameryki Środkowej około 1500 roku naszej ery.

Och, chodzi o ten podbój Ameryki? Uniosłem brew.

Kodeks Cktórego obszerne fragmenty zostaną opublikowane w przyszłym roku na łamach prestiżowego „Journal of Ethnographic Science”] jest jedną z czterech znanych „ksiąg” Majów, które przetrwały pomimo sprzeciwu katolickich władz kościelnych tamtych czasów.

Weiner i jego zespół badawczy milczą jak dotąd na temat poznanej już treści, jednak krążą pogłoski, że tekst zawiera „planszą wróżebną” w kształcie krzyża, rodzaj gry używanej do przewidywania przyszłości, oraz zestaw przepowiedni dotyczących katastrof, które miały miejsce stulecia po napisaniu księgi.

Majowie, którzy zamieszkiwali Ameryką Środkową między rokiem 200 naszej ery a ich tajemniczym upadkiem około roku 900, stworzyli bardzo rozwiniętą cywilizację. Wynaleźli skomplikowane pismo, rozwinęli mistrzowsko matematykę i astronomię, a także architekturę i inżynierię, o czym świadczą wielkie piramidy budowane przez nich w Hondurasie i na Półwyspie Jukatańskim - obecnie cel wszystkich wycieczek w tamte rejony. Jeszcze bardziej tajemnicze niż ich osiągnięcia techniczne były wierzenia i unikalne ceremonie religijne związane z duchowością tej kultury - z rytuałami wymagającymi przelewu krwi oraz ludzkich ofiar. Majowie znani są również ze skomplikowanej podwójnej rachuby czasu, ich kalendarz uwzględnia ważne momenty historii Ziemi oraz zawiera przewidywania podobnych zdarzeń w przyszłości. Przynajmniej jedna z dat jest dobrze znana badaczom kultury Majów, jak i zwykłym ludziom: 21 grudnia 2012 roku, lub - jak mówią specjaliści: 4 *Ahau*.

W artykule chodziło o *Kan Ahau, Ox K'ank'in* lub 4 Pan, 3 Żółć, 13.0.0.0.0. Czyli stary dobry Koniec Świata. Znowu te *bolazo*. Idioci.

Może powinienem wspomnieć, że mam dość poważny problem z panowaniem nad sobą, gdy pada ta data. Ludzie zawsze mnie o nią pytali, a ja zwykle wyjaśniałem, że apokalipsa to bardzo, ale to bardzo wielka nadinterpretacja. Dwudziesty pierwszy to bez wątpienia ważna data, ale niekoniecznie koniec czegokolwiek, a tym bardziej wszystkiego. Tylko nadęci religijni durnie, rozczarowani, że apokalipsa nie zdarzyła się na koniec chrześcijańskiego tysiąclecia, mogą pleść takie bzdury. Pewnie ich guru byli zaskoczeni, że wre zniszczono jedenastego września. A teraz szukają następnej dogodnej daty

granicznej. Za każdym razem, gdy ogłasza się bliski koniec świata, w kościołach rośnie liczba wiernych. Bo lepiej się zabezpieczyć, nie? To prawda stara jak świat i wiecznie skuteczna.

Jeżeli jest się choćby w jednej ósmej rdzennym Amerykaninem, wiadomo, jak to się odbywa: ci nawiedzeni idioci traktują cię, jakbyś roztaczał jakąś duchową aurę. Jeżeli w filmie występuje bohater Indianin, to musi mieć jakieś zdolności paranormalne albo takie zdolności - telekinezę, uzdrawianie dotykiem, a czasami trzecie oko. Z rokiem 2012 jest jeszcze gorzej.

Każdy ma swoją interpretację, a wszystkie łączy jedno - są błędne. Majowie odkryli asteroidę, która uderzy w Ziemię właśnie 21 grudnia 2012 roku. Majowie opuścili swoje miasta i odlecieli na Wenus, a w 2012 powrócą. Majowie wiedzieli, że wtedy właśnie nastąpi wielkie trzęsienie ziemi, erupcja wulkanu, plaga, zaraza, początek epoki lodowcowej, spadek poziomu morza lub wszystko to naraz. Albo że w ten konkretny dzień bieguny Ziemi zamienią się wartościami lub miejscami. Albo że nasze żółte słońce zmieni się w błękitnego karła. Quetzalcoatl wynurzy się z między wymiarowego wiru na szmaragdowym latającym spodku. Wszyscy prawdziwi bogowie nieba-ziemi-morza, jacy narodzili się przez wieki, wychyną z kosmicznego eteru. Czas się zwinie. Tury i mastodonty będą wędrować po autostradach międzystanowych. Zaginiony kontynent Mu wynurzy się w okolicach Galapagos. Prawdziwy mesjasz, Joseph Smith Młodszy, pojawi się na wzgórzach Golan w koszulce U2. Shirley MacLaine zrzuci swoją ludzką powłokę i objawi się jako Minona/Minerwa/Mama Cocha/Yoko/Mori/Mariammar/ Mbabamuwana/Minihaha. A Scarlett Johansson urodzi śnieżnobiałego bizona. Indeks NASDAQ skoczy o trzy tysiące punktów. Świnie zaczną latać, piekło zamarźnie, a chłopcy pozostaną chłopcami...

Trzeba jednak przyznać, że dokładność tej daty i jej regularność: 21.12.12 kryje w sobie jakąś grozę, która musi budzić niepokój. Nie przypomina to przepowiedni Nostradamusa, tak niejasnych i ogólnych, że można podstawić pod nie cokolwiek i zawsze będzie się wydawać, że pasuje. Rzecz jasna, nam - czyli Majom - nigdy nie brakowało pewności siebie.

To długo wyczekiwana ostatnia data w Długiej Rachubie, zdumiewająco dokładnym świętym cyklu kalendarza Majów, który można precyzyjnie skorelować z datami w kalendarzu gregoriańskim. Za około rok od teraz, dokładnie 21 grudnia 2012, zakończy się ostatni cykl według rachuby czasu Majów.

Weiner nie wierzy w przepowiednie światowej zagłady. „Nie zamierzamy ujawniać treści dotyczących tej daty przed 21 grudnia 2012” - wyjaśnia. „Ludzie mogą to przyjąć nieracjonalnie. Zresztą chcemy najpierw zakończyć badania”. Profesor obiecał za to, że ze względu na spekulacje dotyczące komety ujawni kilka interesujących fragmentów dotyczących Ixchel.

Czy koniec kalendarza Majów jest związany z pojawieniem się komety Ixchel? Kometę tę odkryto na Swinburne University w Nowej Południowej Walii. Otrzymała ona nazwę na cześć bogini z panteonu bóstw Majów. Kometą niedługo będzie widoczna gołym okiem na niebie. Ixchel pojawia się raz na 5 125 lat, tyle trwa czas jej obiegu wokół Słońca po wydłużonej orbicie. Z tego wynika, że wcześniej była widziana w roku 3011 przed naszą erą, czyli w Roku Pierwszym Długiej Rachuby w kalendarzu Majów. Jeżeli ktokolwiek mógł tak dawno temu obliczyć jej orbitę, to tylko Majowie. Jednak zwolennicy teorii o końcu świata będą musieli poszukać innego zagrożenia, kometa Ixchel - odłamek skalny otoczony powłoką zamrożonych gazów - minie Ziemię w odległości minimum pięciu tysięcy mil.

Dla 2,3 miliona Majów nadal zamieszkujących Amerykę Środkową data jest związana z sytuacją polityczną w ich kraju. 21 grudnia 2012 to graniczny termin negocjacji między Belize a Republiką Gwatemali. Belize, niewielkie terytorium pod protektorałem brytyjskim, po raz kolejny w 2010 roku zostało ogłoszone dwudziestym trzecim stanem, czy raczej *departamento* Republiki Gwatemalskiej. Pojawiły się nowe groźby w konflikcie, który trwa od stu lat. Jeżeli strony nie skorzystają z okazji do pokojowych rozwiązań, feralna data może wyznaczyć początek nowego

okresu w historii Majów - wojny. Albo - jeżeli negocjacje zakończą się sukcesem - może to być data początku epoki pokoju w tym konfliktowym regionie.

Działania USA wspierające proces pokojowy natrafiają na przeszkody. Jedną z nich jest przekonanie rządu meksykańskiego, że winą za wybuch akceleratora w Oaxaca w Huajapan de León, gdy zginęło ponad 30 000 osób, ponosi Zapatist, ugrupowanie indiańskich rewolucjonistów walczących o prawa autochtonicznej ludności, które działa na terenach Gwatemali i Belize. Obserwatorzy i przedstawiciele mediów obawiają się również, że jeżeli sytuacja w tym regionie Ameryki nie zostanie opanowana, Międzynarodowy Komitet Olimpijski pominie Belize podczas wyborów miejsca letnich igrzysk w 2020 roku.

Jakie przepowiednie zawiera „Codex Nurnberg”? Poza danymi astronomicznymi, typowymi dla tekstów majańskich, w księdze znajdują się wzmianki zarówno o eksplozji akceleratora, jak i o pojawieniu się komety Ixchel. Przepowiednie ilustrowane są rycinami „tych, którzy przynoszą lata” - wyobrażanych pod postaciami królików, wijów...

Auć!

Dobrze znane *tzam lic* pod lewym udem. Coś było nie w porządku z tym ostatnim słowem. Wije.

Nie potrafiłem powiedzieć, co to oznacza, a im bardziej się starałem, tym gorzej mi wychodziło. Postanowiłem wrócić do tego później.

...wijų, niebieskich jeleni i zielonych jaguarów - mogą wydawać się nieco naciągane. Ich interpretacja na pewno wymagać będzie długich i niełatwych badań.

Interesujące jest także pytanie, czy gra do przepowiadania przyszłości może nas czegoś nauczyć? Profesor Taro Mora, fizyk

i specjalista od modelowania matematycznego, który z pomocą Weinera badał gry Majów, uważa, że tak. Mora, żwawy sześćdziesięcioośmiolatek, który spędza osiemnaście godzin dziennie, „ucząc komputery, jak się uczyć”, nie kryje swojego entuzjazmu i przekonania, że gra ma wielki potencjał.

„Możemy się wiele nauczyć ze starożytnego podejścia do badań” - twierdzi Mora. „Już teraz używamy go (starożytnej japońskiej gry strategicznej), aby stworzyć w komputerach podstawy świadomości. Użycie innych gier może przydać się w uczeniu ich innych zagadnień”.

Dobre zagranie, drogi Taro. Oto sposób, by zyskać sławę - wykorzystaj go jak najlepiej.

Zapytany, czy w grze zawarte są jakieś wskazówki lub sygnały dotyczące ewentualnego końca świata, Mora zażartował: „Nie, ale jeżeli wszechświat nagle zniknie, przynajmniej zyskamy pewność, że Majowie coś wiedzieli”.

Czy Data Końca przepowiada nieszczęście, jakie zdarzy się na terenach zamieszkałych przez Majów czy też na całym świecie? A jeżeli to ostatnie, co powinniśmy zrobić w takiej sytuacji?

Wielu ludzi chyba znalazło odpowiedź na to pytanie. „Skoro to przepowiednia Majów, należy zrobić to, co Majowie”. Tysiące turystów z całego świata planuje wybrać się do Chichón Itzá i innych znanych ośrodków kultury Majów, by tam uczcić pojawienie się komety, uczcić zachód słońca i poprosić starych bogów o następne pięć tysięcy i więcej lat dla ludzkości. A chociaż większość z nas nie posunie się aż tak daleko, musimy przyznać, że tajemniczy starożytni Majowie mieli zdumiewającą wiedzę o swojej przyszłości, a kto wie - może i naszej.

*Pendejos*, pomyślałem. Dupki. Nie, zaraz, to JA jestem dupkiem.

Chwilę - no, dekadę - po tym, jak go porzuciłem, Taro znalazł coś interesującego. Poczulem się, jakbym trzymał przez trzydzieści lat obligacje i sprzedał je tuż przed tym, jak ich wartość się potroiła.

Cóż, pomyślałem, na pewno nie zamierzam czekać, aż opublikujesz swoje badania. Muszę zobaczyć planszę już teraz. Zaraz. Za minutę. Sekundę. Pikosekundę.

Poszukałem strony Taro. Okazało się, że profesor pracuje na University of Central Florida, a fundusze na jego badania pochodzą z grantów Programu Wymiany UCF. Program natomiast został sfinansowany - co bez trudu znalazłem w sieci - z działu symulacji i przewidywań inwestycyjnych Warren Investment Group. Pamiętałem tę korporację, ponieważ była jednym z największych pracodawców w Salt Lake. W gazetach pisano również, że parę lat temu firma miała problemy z etyką w sprawie dotyczącej alternatywnych źródeł energii. Zdarza się.

Wypróbowałem stare hasło Taro. Działało nadal i pozwoliło mi dostać się do jego komunikatora. Nie udało mi się wymyślić jakiejś przekonującej wymówki, dlaczego się odzywam, więc napisałem, że trafiłem na artykuł i zastanawiam się, czy mógłbym wpaść, niedługo, najlepiej jeszcze dziś.

- Wyślij - powiedziałem. I wiadomość została wysłana.

*Estas bien.* Przełączyłem monitor na parametry zbiornika. Wyniki wskazywały, że w akwarium spadł poziom wapnia, ale nie miałem siły, by się tym zająć. Może Taro nie odpisze? Nie, na pewno odpisze. Jedną z zalet współczesnej technologii było to, że jeżeli straci się z kimś kontakt, nawet po latach łatwo go odnowić. Tyle tylko, że trzeba wymyślić dobrą wymówkę, by to zrobić.

Hm... 4 *Ahau*. 21.12.12. Nadal budzi emocje, jak widać.

Cóż, wystarczy poczekać jakieś dwadzieścia sekund. Nic nie popada szybciej w zapomnienie niż apokalipsa, która się nie zdarzyła...

Prawda?



## [4]

Barrakuda miała nowoczesną przednią szybę, więc podczas jazdy do Orlando sprawdziłem nowego sponsora Taro, czyli Warren Group. Okazało się, że prezesem i przewodniczącym zarządu jest Lindsay Warren, inwestor i wielki filantrop z Salt Lake, który zbudował stadiony na zimowe igrzyska olimpijskie w 2002 roku. Bywałem w szpitalu, który nazwano jego imieniem. Zapewne to właśnie Lindsay Warren przez cały czas finansował badania Taro, nawet w Pro-vo, gdzie posłużył się widać pośrednictwem fundacji Stowarzyszenie Badań Starożytności oraz Teologii Mormońskiej. Korporacja Warrena była jednym z najszybciej rozwijających się holdingów w Stanach. Cztery lata temu jednakże konglomerat miał problemy, znalazł się na krawędzi bankructwa i nie znalazłem żadnych dokładnych danych, w jaki sposób udało się go wyciągnąć. Może firma rozwijała się dzięki użyciu Gry.

Warren miał swoje macki na różnych rynkach, od ezoteryki do zwyczajnych i nudnych przedsięwzięć. Firma produkowała sprzęt sportowy i pamiątki. Sprzedawała też rozwiązania motywacyjne, systemy zarządzania personelem, poradniki służące do podnoszenia poczucia własnej wartości, działała w branży rozrywki internetowej... Słowem, mydło i powidło w nowej erze, gdzie konsumenci mieli stanowczo za dużo wolnego czasu. Obecnie firma wprowadzała na rynek towar pod nazwą Segway, rodzaj elektrycznego dwuśladu z systemem żyroskopowym, doskonały pojazd do szybkiego przemieszczania się

po asfalcie i innych dość gładkich powierzchniach. Warren zaangażował również środki w transport powietrzny oraz zakontrował sporo programów badawczych. W 2008 jedno z laboratoriów firmowych znalazło się na pierwszych stronach gazet, gdy ogłosiło, że udało się w nim zbudować podręczny tunel czasoprzestrzenny. Najbardziej interesująca wzmianka z całego artykułu dotyczyła jednak czegoś, co nazwano Protokołem Transferu Świadomości i co - jak skomentowano - miało być badaniami o wiele ważniejszymi i bardziej przełomowymi niż Projekt GENOM, zapomniany już od ponad dekady. Jednak według sprawozdania rocznego kurą znoszącą złote jaja dla Warren Group była branża rozrywkowa - franczyza sieci lokali do strzelanek, sale sławy i coś, co nazywało się socjoingenierią wizerunku. Jak napisano na stronie firmy, Warren Group jest czołowym developerem ic (Wspólnot Intencjonalnych). Najwyraźniej dywersyfikację i rozszerzenie działalności firma rozpoczęła od wejścia do kręgów miłośników rekonstrukcji historycznych, na przykład ludzi nieustannie walczących w wojnie secesyjnej i podobnych. Warren Group zaczęła produkować rekwizyty z epoki, potem dostała kontrakt na zbudowanie miasteczka Star Trek, a teraz - zaledwie dziesięć lat później - ich najnowsze dzieło miało dziewięćdziesiąt pięć procent uczestnictwa (a raczej zainteresowania klientów). Chodziło o Erewhynn, wzniesioną około pięćdziesiąt mil na północ od Orlando wioskę, imitującą angielskie osady średniowieczne z Cotswold. Dla odwiedzających i zatrzymujących się w zrekonstruowanej osadzie gości prowadzono kursy średniowiecznych rzemiosł, szkockich dialektów, odbywały się tu również jarmarki oraz święta majowe, noce świętego Michała i podobne gówna. Warren Group zbudowała również miasteczko pod nazwą Błękitny Atol. Powstało ono na jednej z wysp archipelagu Bahama, wykupionej przez firmę. Była też japońska wioska feudalna w północnej Kalifornii. I wielkie plany dotyczące rekonstrukcji osady z Dalekiego Wschodu oraz z Ameryki Łacińskiej. Strona pod uroczym tytułem „Warren kantuje” twierdziła, że firma chce zbudować tandetne butiki kultury i zasiedlić je społecznościami, które rządzą się własnymi prawami, oraz że to tylko podstępny ruch, mający na

celu atomizację globalnego społeczeństwa oraz sposób na uzyskanie dostępu do świata polityki, próba indoktrynacji na szeroką skalę, czyli urządzenie nam prania mózgow - a to, co tu kryć, czyste krętactwo.

Pracownia badawcza Taro mieściła się w uniwersyteckim kampusie, zbudowanym na podobieństwo hacjendy. Prawdziwe getto kujanów. Gołym okiem można było zobaczyć linię demarkacyjną wyznaczaną przez trawnik, który oddzielał to miejsce od zwyczajnego świata. Chociaż przerwa bożonarodzeniowa skończyła się zaledwie dzień wcześniej, wszyscy tu pracowali. Po terenie kręcili się goryle z prywatnej ochrony. Rozmawiali między sobą, ewentualnie rzucili słówko lub dwa do pracowników umysłowych. Każdy miał w uchu bezprzewodową słuchawkę i inne gadżety bluetooth, przez co przypominali cyberpoganiaczy, którzy pilnują, by ich ludzkie bytło się nie rozlazło. Cóż, oto jestem, przyczołgałem się z powrotem, pomyślałem. Czy Taro nadal jest na mnie wściekły? Może wystarczy zapytać. Cześć, jesteś na mnie zły? Nie, nie tak. Nie wypada go zawstydząć. Albo siebie. Taro pewnie się domyśli, że dostrzegłem swój błąd. Może to profesor miał rację. Wiem, że uznałem go za jeszcze jednego najemnika i czułem do niego odrazę, ale teraz nie potrafiłem sobie przypomnieć, co tak naprawdę wywołało to odczucie.

Taro czekał na mnie przy jednym z trzech wejść. Nie postarzał się bardzo, ale pamiętałem go jako jowialnego mężczyznę podobnego do śmiejącego się Buddy, teraz zaś przypominał bardziej Hsun Tzu, surowego i poważnego konfucjańskiego filozofa. Do tego tylko połowicznie wyglądał na Japończyka. Nadal za to nosił swój stary niebieski fartuch laboratoryjny z logo uniwersytetu w Tokio.

-Miło cię znowu widzieć - przywitał mnie i przytrzymał dłoń w uścisku. Dla niego było to jak polizanie mnie po twarzy. Dłoń miał giętką, suchą, pomarszczoną i trochę szorstką, jak powierzchnia czerpanego papieru.

-Ciebie również - odparłem. Wydawało się, że Taro naprawdę jest zadowolony z naszego spotkania. Cóż, należał do ludzi dość otwartych i proslinijnych. Kiedy mówił, że jest mu miło, było mu

miło. Mógłbym go nawet objąć, ale przestałem na uścisku ręki. Żaden z nas nie należał do osób demonstracyjnie okazujących emocje. Nie jestem takim Latynosem. Raczej Indiańcem, wodzem Kamienna Twarz.

-Dzięki, że zgodziłeś się mnie przyjąć - wymamrotałem. - Wiesz, czuję się trochę niezręcznie po tak długim milczeniu.

-Nie przejmuj się - zapewnił Taro. Nie mówił z obcym akcentem. To znaczy miał manierę, by wymawiać słowa jak absolwent Oxfordu lub Cambridge, ale żadnych orientalnych naleciałości. Mówił jednak z tą charakterystyczną precyzją, która wywoływała wrażenie, że gdzieś tam w głębi kryje się akcent z Azji Wschodniej. - Rozumiem, że czasami jest trudno.

Mimowolnie poczułem fałę ciepła rozlewającą się w piersi, jakbym po zjedzeniu lodów popił czymś gorącym. Nienawidzę tego doznania. Związek nauczyciel-uczeń to jedna z najdziwaczniejszych relacji interpersonalnych na świecie. Taro zapewne podejrzewał, że odezwę się, gdy tylko natrafię na artykuł z „Timesa”.

-Chodź, pokażę ci pacjenta - uśmiechnął się Taro.

-Świetnie - odrzekłem. Wszystko sprowadza się do pracy, pomyślałem. A zatem spójrzmy na to чудо w laboratorium...

Przeszliśmy przez jedne drzwi, potem kolejne i wsiedliśmy do windy uruchamianej kluczem. Brr, zimno tu. Zjechaliśmy trzy piętra niżej, do podziemi. Gabinet Taro, w którym również panowały warunki arktyczne, znajdował się na końcu długiego holu. Odniosłem wrażenie, że podziemny kompleks przypomina korporacyjną placówkę naukową. Mijaliśmy drzwi do pracowni z napisami: „Dział badań podstawowych” oraz „Materiały o niskim współczynniku tarcia”. Taro przyłożył dłoń do czytnika i wejście rozsunęło się z cichym sykkiem.

Pomieszczenie przypominało pudło długie na ponad czterdzieści stóp i wysokie na osiemnaście. Oświetlały je ostre bezcieniowe jarzeniówki, jak w kostnicy. Na pierwszy rzut oka widać było tylko komputer na podwyższeniu pośrodku pokoju oraz podświetlony przezroczysty zbiornik pod ścianą, wielki jak półcieżarówka. LEON,

jak pieszczotliwie nazywano Learning Engine 1.9, sztuczną sieć neuronową z umiejętnością uczenia się, znajdował się właśnie w zbiorniku - ciemne, długie pudło jak od zegara szafkowego z wahadłem. Wychodząca z niego płatanina kabli i rurek wiła się po kafelkowej, białej posadzce do agregatów i pomp Eheim oraz napędów pamięci Acer 6000, ustawionych pod drugą ścianą. Nie było tu okien, ani nawet lufcików pod sufitem. Czwórka studentów płci nieokreślonej garbiła się przy konsolach w kącie, klepiąc w klawiatury i mamrocząc do siebie w HLASM, Assemblerze czy innym języku programowania.

- Większość krzemowych chipów została wzbogacona germanem - wyjaśnił Taro. - Ale rozproszenie ciepła nadal jest prawie trzystuwatowe. Dlatego mrozimy tę maszynę jak staroświeckiego Craya. Oziębacz podobnego typu jest stosowany do przechowywania plazmy i sztucznej krwi do transfuzji.

Podprowadził mnie do zbiornika jak przewodnik turystę po rezerwacie masywów wulkanicznych Pinnacles National Monument. Zerknąłem. Z bliska czarna skrzynia nie wyglądała już wcale jak solidna bryła, lecz zestaw cieniutkich czarnych arkuszy o powierzchni trzech stóp kwadratowych, oddalonych od siebie może o ćwierć cala. Spirale rozproszonego ciepła krążyły w przejrzystym płynie nad różnymi warstwami arkuszy niczym drżące powietrze nad autostradą w lecie.

-Ach, niezłe - mruknąłem. *Demonio*, tym właśnie była chłodna pracownia. Temperatura nie podnosiła się tu zapewne nigdy powyżej dziesięciu, piętnastu stopni Celsjusza. Przydałby mi się ciepły koc. Albo ze dwie kolejki Tres Annos. Brr...

-To oczywiście tylko procesor - wyjaśnił Taro. - Sterowniki są w innym budynku. A pamięć... Cóż, nie wiem, gdzie jest pamięć. Większość zapewne w Korei.

-Szybki jest? - zapytałem ciekawie.

- W tej chwili ma wydajność prawie sześć petaflopów.

Łał! To brzmi kosztownie, pomyślałem.

- LEON oblicza dwieście pięćdziesiąt sześć symulacji wyprzedzających rzeczywistość o około dziesięć minut. A dla każdej z tych sy-

mulacji rozgrywa symultanicznie partie Gry Ofiarnej dla około pięciu milionów zazębiających się branży. Każda z tych Gier odbywa się trzema pionkami.

-Ile symulowanych transakcji przeprowadzasz w ten sposób?

-Okolo dwudziestu tysięcy dziennie. Nie znam dokładnych danych.

-Och - westchnąłem tylko. To jedna z ogromnych zalet Taro. Większość ludzi obruszyłaby się i zapytała: „Skąd ci przyszło do głowy, że w ogóle zajmuję się giełdą?”, ale Taro Mora nie był taki jak większość.

-Chciałbyś zagrać przeciwko LEON-OWI? - zapytał.

-O niczym innym nie marzę.

-Grałeś trzema pionkami?

Potwierdziłem. Do tego rodzaju gry używa się trzech pionków: kamienia, który reprezentuje to, co się dzieje, oraz dwóch kamieni ścigających, myśliwych, które symbolizują różne potencjalne możliwości rozwoju zdarzeń. Rzecz w tym, że grać w taki sposób nie jest trzy razy trudniej niż jednym kamieniem, jak może się wydawać. To trzy do sześcianu, czyli dwadzieścia siedem razy trudniej. To trochę jak w szachach: rozwiązanie problemu, jak dać mata w trzech ruchach, bywa wielokrotnie trudniejsze niż mat w dwóch posunięciach. W każdym razie - zwykle używałem dwóch pionków, ale zdarzało mi się również rozgrywać partie trzema. Uznałem, że się nie zblażnię, przynajmniej nie w rozgrywce z maszyną. Doprawdy, nawet najlepszy komputer bardzo marnie sobie radzi z Grą Ofiarną.

Taro usiadł na rozchybotanym stolku przed starym monitorem. Przysunął się do laminowanego blatu i zaczął klikać myszką.

-Wiesz, że przeciętnie ludzki mózg wykonuje około dwóch miliardów operacji na sekundę? - zapytał. Myszka klikała teraz szybciej: pac-pac-pac-pac...

-Zdaje się, że trzeba się mocno napracować, by być przeciętnym.

-LEON wykonuje sześć do ośmiu miliardów obliczeń równocześnie. - Skinąłem głową, choć tego mogłem się domyślić. - A to wszyst-

ko trzeba jeszcze podwoić, bo kompiluje dane, zapisuje je, w tym także kopie zapasowe. I tak wychodzi nam około dwudziestu miliardów operacji na sekundę. A ponieważ nie trzeba nic zapisywać bezpośrednio w pamięci procesora, więc to zupełnie wystarcza.

-Świetnie - przyznałem. Wystarcza do czego? - zastanawiałem się przy tym. Do stworzenia superrasy sztucznych istot? Przynajmniej będę miał z kim pogadać. Właśnie, jeżeli nadejdzie ostatnie starcie między człowiekiem i maszyną, wiem, po której stronie się opowiem.

-Nie sądzę, by kiedykolwiek komputer przewyższył gracza-człowieka - oznajmił w tym momencie Taro. - Nawet jeżeli rozbuduje się LEON-a, nawet jeżeli jego moc obliczeniowa dorówna procesom w ludzkim mózgu i komputer stanie się równie inteligentny jak człowiek, maszyny nie nauczy się intuicji.

Gra Ofiarna jest jak go i bardzo się różni od szachów. Dlatego w tym pierwszym ludzie nadal są lepsi od komputerów. Słaby i mało doświadczony człowiek może pokonać najlepszy na świecie program do gry w go, choć przecież go rządzą bardzo dokładne i drobiazgowo reguły - programiści nazywają to czystym środowiskiem. Gra Ofiarna jest jeszcze bardziej przypadkowa, bardziej związana ze światem, co oznacza, że jest też milion razy bardziej chaotyczna i nieokreślona.

-Cóż, nie daj się tanio kupić - powiedziałem. - A przynajmniej nie podpisuj żadnego cyrografu.

-To już się stało - westchnął Taro. - Dlatego trafiliśmy do korporacji... W każdym razie na tym etapie LEON jest przydatny jako wsparcie, asysta raczej. Wprowadził mnie na rynek monitorów LCD. Pomaga podszkolić początkujących w Grze Ofiarnej. Jak w zaawansowanych szachach, gdy gracz rozgrywa partię przy wsparciu pary komputerów.

Pokiwałem głową. Taro usiadł. Ja również.

- Pracujemy z pięcioma graczami, studentami - wyjaśnił Taro. - Dwóch nauczyło się Gry Ofiarnej bezpośrednio od Majów, pozosta-

łych wyszkolono tutaj. Jeden jest bardzo obiecujący. Jednak nigdy nie był Strażnikiem Dnia.

Czekałem, aż powie: „Rzecz jasna, nie może się równać z tobą, Jed”, ale Taro tego nie zrobił. Pokazał mi wykresy i wyjaśnił, czego dotyczą najwyższe wartości, co oznaczają spadki. Jak to ładnie ujmował tytuł, wykres symbolizował ogół zdarzeń na świecie. Zgrubnie rzecz biorąc, wynikało z niego, że Gra najlepiej się sprawdza w przewidywaniu, co grupy ludzi zrobią w sytuacjach kryzysowych.

- To, rzecz jasna, dość przydatne - zapewnił Taro. - A z czasem na pewno zaczniesz przynosić ogromne zyski.

Ale nie takich osiągnięć oczekiwali fundatorzy jego badań. Niestety, Gra niezbyt się nadawała do, przykładowo, przewidywań zmian i zdarzeń na rynku. Wydawać by się mogło, że to tak samo, jak w przypadku sytuacji kryzysowych, bo na rynek ma wpływ psychologia, ale tak naprawdę rządzą nim również czynniki inne niż ludzkie, które decydują o fluktuacjach i trendach, jak choćby awarie w przemyśle, prędkość przepływu kapitału, pogoda i podobne, a jeżeli jeszcze doda się do tego rys psychologiczny, potrzebna będzie interpretacja. A to jedna z rzeczy, których bardzo trudno nauczyć komputer. O ile w ogóle to możliwe.

Krótko mówiąc, Taro zmagał się z tym samym problemem co ja.

A jednak... Ach.

Zapewne symulacje zmian rynku sprawdzały się, powiedzmy, w dwóch setnych przypadków. To i tak dawało korporacji przewagę w grze na giełdzie na tyle, by zarabiała parę milionów na minutę. W dzisiejszych czasach znacznie mniejsza skuteczność mogła przemienić dowolną firemkę w pożeracza rynku i rekina giełdowego. Warren Group była zatem na najlepszej drodze do zdobycia pozycji najbogatszego przedsiębiorstwa świata. Chociaż wydawało mi się, że teraz jest większa. Może firma wydawała więcej, niż zgłaszała w rocznych sprawozdaniach. Co wyjaśniało również, dlaczego badania nad Grą trzymane w takiej tajemnicy. Korporacja chwaliłaby się na prawo i lewo swoimi znakomitymi, zyskowymi posunięciami, chyba że istniał ważny powód, by milczeć. Badania nad gramami nie są już prze-



cięż potępiane lub lekceważone. Co więcej, przedsiębiorcy próbują uszczknąć dla siebie coś z ich rezultatów. W końcu każdy chciałby zatrudnić u siebie geniusza na miarę Johnny'ego von Neumanna, twórcy teorii gier.

Albo Warren Group nie chce zarządzać cudzymi pieniędzmi, a jedynie powiększać własny kapitał. Może Lindsay Warren i członkowie zarządu postanowili wykupić publiczny udział w pakiecie akcji firmy, zanim świat pograży się w chaosie. Albo obawiają się, że rząd dowie się o Grze - potencjalnie interesującym narzędziu militarnym - i zabierze im źródło łatwych dochodów. To budzi niepokój, prawda? A jeżeli Warren lub ktoś inny pchnie Grę na wyższy poziom? Co wtedy? Może chodzi o to, by korporacja przejęła wszystko i w ten sposób zapanowała nad światem? To trochę tak, jakby Taro zarządzał projektem „Manhattan”, ale pracował nie dla Departamentu Obrony, lecz dla korporacji Disneya.

Może powinienem spisać wszystko, co wiem o Grze Ofiarnej, i wydać książkę? Najlepiej zaraz. Myślałem o tym i właściwie miałem gotową większą część podręcznika. Przynajmniej ludzie wiedzieliby, z czym mają do czynienia, a nawet mogliby tę wiedzę wykorzystać. Odwlekałem jednak ostateczną decyzję o publikacji. Z kilku powodów. Przede wszystkim miałem wrażenie, że nie wszystko jeszcze rozumiem. Gra nie jest łatwa, jeszcze trudniej osiągnąć w niej biegłość. Poza tym musiałem zamknąć parę spraw, zanim uwaga publiki skupi się na mnie. Nie zamierzałem o tym wspominać, ale może powinienem. Prawda jest taka, że oszczędzałem, żeby wystawić anonimowe zlecenie na zlikwidowanie Garcii-Torresa. Nielatwo jest dzisiaj wynająć zabójcę, zleceniobiorcy mieli brzydki zwyczaj wrabiania swoich pracodawców, nawet jeżeli wykonali zadanie. Może jednak warto... -zastanawiałem się czasami. Nadal jednak nie byłem pewien, czy ujawnienie Gry światu będzie dobrym posunięciem. To jak z atomówkami - niedobrze, że trzymają na nich łapy jacyś szemrani politycy, ale i tak to lepsze rozwiązanie niż podarowanie każdemu obywatelowi Ziemi po jednej główicy, bo kto wie w ręce jakich szaleńców mogłaby trafić taka broń?

Właśnie...

Jednak gdyby Warren chciał utajnić Grę, czemu pozwolił Taro na wywiad w „Timesie”? Jeżeli nawet korporacja nie mogła zapobiec ujawnieniu Kodeksu i jego publikacji, ponieważ o księdze wiedzieli zbyt wielu specjalistów od kultury Majów, to przecież mogła zmusić Taro do bardziej zdawkowych wypowiedzi.

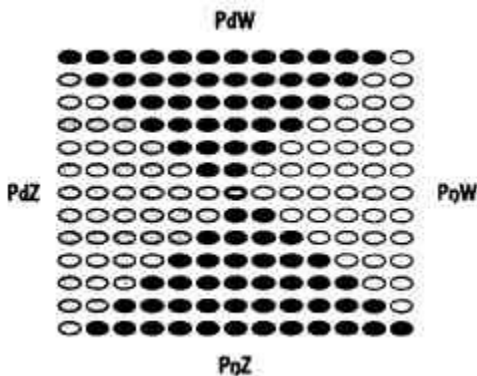
- Chcesz zobaczyć planszę? - zapytał Taro.

Pewnie, że chciałem.

- W zasadzie nie powinienem ci jej pokazywać, bo to absolut na tajemnica, ale pomogłeś w jej opracowaniu. I wiem, że można ci ufać.

Podziękowałem. Szlag, pomyślałem. Wyszedłem na prawdziwego *pisado*. Trochę mnie to dusiło w gardle.

Taro kliknięciem otworzył okno i oto ujrzałem:



Ożeż! - przemknęło mi przez głowę. Prostota i elegancja. Czasami widzi się coś i już wiadomo, że to po prostu doskonale rozwiązanie.

Cholera, czemu sam na to nie wpadłem?

-Och - wykrztusiłem. - To plansza w oparciu o Kodeks Norymberski?

-Głównie tak.

Pół godziny spędziłem na klikaniu po planszy i próbach wprowadzenia różnych ram kalendarzowych oraz przyzwyczajaniu się do

obsługi cyfrowej wersji Gry Ofiarnej. Nie było to takie trudne, jak się początkowo wydawało. Powszechnie uważa się, że gry planszowe mają zawsze określoną liczbę pól, na przykład dziewięć pól w grze kółko i krzyżyk, sześćdziesiąt cztery na szachownicy. Ale to nie do końca prawda. Niekiedy początkujących szachistów uczy się rozgrywek na trzydziestosześciopolewej szachownicy. *Shogi*, czyli japońskie szachy, rozgrywane są na planszy o osiemdziesięciu jeden polach. Standardowa plansza do go ma trzysta sześćdziesiąt jeden pól, ale nawet zawodowcom zdarza się grywać szybkie partie na osiemdziesięciu jeden. A prawdziwi mistrzowie kółka i krzyżyka grają na skomplikowanych wielowymiarowych planszach. W feudalnej Japonii generałowie i dworzanie grali na planszy o sześciuset dwudziestu pięciu polach i używali mnóstwa wymyślnych figur, jak „niebieskie smoki”, „złe wilki” czy „pijane słonie”. I, rzecz jasna, w pierwszym, trzecim i dwudziestym odcinku pierwszej serii „Star Treka” oraz w odcinku czternastym trzeciej serii Spock i Kirk grali w trójpoziomowe szachy, których replikę bez trudu można kupić teraz nawet w supermarketach. Z Grą Ofiarną jest podobnie, można ją rozgrywać na mniejszej lub większej planszy i nie trzeba zmieniać zasad, choć oczywiście należy dostosować strategię. Jednak przystosowanie się do innej skali i rozmiaru planszy wymaga czasu. Co tu kryć, przez dziesięć lat grałem w wersję dla dzieci. Tutaj miałem wersję dla naprawdę zaawansowanych. Niech to, pomyślałem. Gdybym używał tej wersji, zarobiłbym już nie miliony, a miliardy. Firma finansująca badania Taro MUSIAŁA używać tej planszy do przewidywania giełdy. Zarząd byłby szalony, gdyby z tego nie skorzystał.

Cóż, nie warto rozpaczać nad rozlanym mlekiem. Trzeba się skupić.

-Chyba jestem gotów spróbować - oznajmiłem.

-Doskonale - odpowiedział Taro. - Mam pierwsze pytanie.

Wyciągnąłem z kieszeni pudełko tytoniu do żucia i zaintonowałem: *Ajpaayeen b'a'je'laj kin'ik'...* („Pożyczam dzisiejsze tchnienie dnia”). Kliknąłem pięć razy w ekran, ustawiając przy planszy „wirtualne nasiona”, i zerknąłem na LEON-a. Przez płyn chłodzący prze-

biegły fale dreszczy, jakby komputer naprawdę zaczął myśleć. Skinąłem głową na znak, że możemy zaczynać.

Taro rzucił mi kilka łatwych pytań na rozgrzewkę, a potem przeszedł do trudniejszych. Nagle ta nowa plansza wydała mi się większa i zacząłem się bać, że moje pionki zgubią się na obrzeżach i nigdy nie znajdą drogi. A LEON był rozgrywającym. W pierwszej chwili uznałem go nawet za jednego z najlepszych graczy, jakich w życiu widziałem. A na pewno najszybszego. Ale i ja nieźle sobie dałem radę w pierwszych rozgrywkach. Jeżeli chodzi o Grę, nigdy nie brakowało mi wiary i pewności siebie.

- Nasz najlepszy uczeń już tu idzie - oznajmił Taro po dwóch godzinach. - Nie miałbyś ochoty na przewidywanie w czasie rze czywistym?

Jasne, że tak. Ale poczułem też dreszcz. Nigdy nie przepadałem za rywalizacją.

-Pi są na dole. - Taro miał na myśli pokoje izolacyjne.

-Świetnie - odparłem, zastanawiając się gorączkowo, co się dzieje.

Zrobiłem sobie przerwę. Poszedłem na wyższe piętro, znalazłem automat do kawy, zaprogramowałem sobie mocne espresso i ciastko, po czym wróciłem. Taro poprowadził mnie zimnym korytarzem na najniższej kondygnacji do małej sali konferencyjnej.

-Ta rozgrywka wygląda mi na test - zauważyłem. Taro uśmiechnął się lekko.

-Wiesz, jak lubię wszystko testować.

-Jak dobrze wypadnę, będę mógł zerknąć na Kodeks?

-O ile uda się znaleźć Marenę Park. - W pierwszej chwili pomyślałem, że mówi o jakimś miejscu, ale wtedy dodał: - To nasza szefowa.

Wyraziłem zgodę niepewnym „okej”.

- Tony ćwiczy na takiej planszy już ponad miesiąc - wyznał Taro. - Nie spodziewam się zatem, że zagraasz lepiej od niego.

Skinąłem głową, jakbym chciał powiedzieć: „Ja także nie, tym bardziej że trochę wyszedłem z wprawy”.

-Wiem jednak, że lepiej grasz pod presją, rywalizacja dobrze ci zrobi.

-Świetnie, dzięki.

Jasne, potrzebowałem tylko odrobiny motywacji. Pewnie poradziłbym sobie jeszcze lepiej, gdyby w oczy świecił mi reflektor, a do krocza miałbym przypięte elektrody. Zacząłem sobie przypominać, dlaczego dziesięć lat temu rzuciłem w cholerę te badania.

Rozległo się energiczne pukanie i do sali weszły dwie osoby: młoda krępa Azjatka w okularach, którą Taro przedstawił jako Ashley Thieu, oraz chłopak z wyglądu przypominający nieco Maja - Tony Sic, jak się zaraz dowiedziałem. Przywitaliśmy się po angielsku, a potem Sic przeszedł na jukatański i zagaił, że podobno pochodzę z Alta Verapaz. Potwierdziłem. Włosy miał ogolone niemal na zero, ale nie wyglądał na typa z armii. Pochwalił się, że jeszcze przed chwilą grał w piłkę nożną. Miał na sobie spodenki i stare buty Diadora RTX, których, o ile dobrze pamiętałem, często używali zawodowi futboliści, i śmierdział potem. Starąłem się oddychać przez usta.

-Ten zielony wóz przed kampusem to twój? - zapytał Sic po angielsku.

-Owszem.

-Ładny.

-Dziękuję. Chociaż fachowo ten kolor nie nazywa się zielony.

-Mój starszy brat też miał takie auto. W Meridzie. Tyle że jego było poskładane z wraków, jak Frankenstein.

Powiedziałem, że przez dwa miesiące pracowałem w muzeum w Meridzie. Sic zapytał, czy w tym przy Calle 48. Nie, pod 58, poprawiłem i Sic się uśmiechnął.

Wyszliśmy na pusty korytarz. Ściany, podłoga i sufit z betonowych płyt nie zostały nawet otynkowane, nie dało się tu ukryć kabli lub przekaźników, dzięki którym można by fałszować wyniki badań. Sic otworzył jedne z solidnych metalowych drzwi i zniknął w środku. Mnie Taro wskazał wejście kawałek dalej. Betonowe pomieszczenie oświetlała naga żarówka pod sufitem, pod nią stał roboczy laminowany stół ze starym monitorem LCD i włączonym ekranem dotykowym

z planszą do Gry, twarde plastikowe krzesło oraz bezprzewodowa kamera na baterie, a także przenośny encefalograf.

Kurde, poważna sprawa, pomyślałem. Pewnie pojawił się jakiś duży problem. W takiej sytuacji wzywa się fachowca, prawda? No właśnie.

Ashley przymocowała mi na głowie czujniki EEG. Moje dość długie włosy trochę jej to utrudniły. A potem rzuciła:

- Świetnie. Teraz cię zostawimy.

Miała na myśli, że naprawdę będę tu sam. Bez obaw, nie mam klaustrofobii - chciałem odpowiedzieć, ale jak zwykle tylko wymamrotałem coś niezrozumiale. Sic i ja mieliśmy grać na tych samych danych wyjściowych i w tym samym czasie. Taro natomiast zamierzał nas obserwować na wideo i badać. Tylko on stanowił łącznik między oboma pomieszczeniami, poza tym były one od siebie całkowicie odizolowane, dzięki czemu ani ja nie wpłynę na Sica, ani on na mnie. Nie mieliśmy stawać przeciwko sobie, a jedynie się ścigać, traktując Taro jak zwykłego petenta, i w jego imieniu rozgrywać partię przeciwko nieobecnemu bogu.

Wyjąłem tytoń, przeżulem trochę i namalowałem smugę na udzie, „ugruntowałem się”. W drugim izolowanym pomieszczeniu Sic zrobił to samo.

- Gotowi? - zapytał Taro. Jego głos przetworzony przez syntezyzator mowy brzmiał beznamiętnie w głośniku - chodziło o to, by mimowolnie nie przekazywać nam żadnych wskazówek barwą lub intonacją wypowiedzi. Sic zapewne powiedział „tak”, ja również.

No to czas pokazać, co potrafię, pomyślałem. Nawet się nie spo-cę.

Na monitorze LCD pojawił się film zawierający opis zdarzenia, które mieliśmy rozpracować przy pomocy Gry.

## [5]

Było to nagranie z kamery ochrony, znajdującej się nad skwerem lub placem miasta, prawdopodobnie muzułmańskiego, przynajmniej w większej części. Panowała tam noc, ale plac przecinały smugi ostrego, błękitnego światła, zapewne reflektory wojskowe. Ekran ukazywał w dole wielki tłum mężczyzn w brudnych białych tunikach. Na czołach mieli rany, które zadali sobie sami, krew spływała im po szyjach strużkami, które wyglądały na filmie jak czarna emalia. Dalej widać było wysokie kute ogrodzenie i stojących za nim dziesięciu, może piętnastu żołnierzy. Nosili mundury khaki z ozdobnymi pagonami i wszyscy mieli wąsy. Nie udało się dostrzec szarż. Za to łatwo było zauważyć, że wszyscy mają ten charakterystyczny napięty wyraz twarzy, którym chcieli pokryć zdenerwowanie. Za zbrojnymi wznosił się okazały budynek, jakby rządowy - może ambasada - o białych ścianach i pilastrach przy dwuskrzydłowych drzwiach z ciemnego drewna w stylu jakby wiktoriańskim. Były tam znaki, może pismo, ale rozmazany obraz nie pozwalał dokładniej się przyjrzeć. Na filmie wyłączono dźwięk, a niebieski prostokąt w dole i górnym prawym rogu ekranu zasłaniał zarówno pasek z newsami, jak i logo Stacji, która nadawała wiadomości. Kilku mężczyzn w tłumie trzymało tablice, zapewne z hasłami, lecz albo były odwrócone w inną stronę, albo napisy rozpixselowano, by nie były widoczne.

Szlag, powinienem był odrobić zadanie domowe, pomyślałem. Ktoś, kto trochę lepiej znał świat islamu, tamtejsze style ubioru i zwy-

czaję dotyczące na przykład zarostu, zapewne bez trudu zidentyfikowałby pokazywane miejsce. No dobra, Jed, pomyśl. Gdzie to, cholera, może być? Chyba słońce zaszło tam już dawno. Zakładając, że relacja idzie w czasie rzeczywistym, to nie może być zatem Środkowy Wschód, tam jeszcze trwa dzień, jak na całym obszarze przy siódmym stopniu długości geograficznej, czyli to musi być w Indiach, na północy Indii. Przypuszczalnie gdzieś blisko Bangladeszu - zwłaszcza że to dość gorący punkt, mnóstwo zamieszek... Dobra. A mężczyźni pokaleczyli sobie głowy, ponieważ... Cóż, islam nie wymaga samookaleczeń, hinduizm też ich nie przewiduje, o ile wiem... czyli to spontaniczny protest.

Co jeszcze...? To chyba nie jest żadna tamtejsza metropolia... Czyli tłum zgromadził się pod ratuszem, nie pod ambasadą, bo w mniejszych miastach nie ma ambasad. A ten rozwścieczony muzułmański motłoch czego chce? No właśnie, czego? Nie chodzi o rozwalenie ratusza... nie, *pues*, ten tłum chce wejść. Prawda? Może to z obawy przed wojną? Jeżeli zaczną się prawdziwe starcia, hinduska większość zlincuje islamską mniejszość.

Coś w tym stylu. Oczywiście, film nie pomógł mi za bardzo, nadal nie byłem pewien, co dokładnie zamierzają zrobić ludzie na placu.

Oglądałem, starając się zapamiętać każdą scenę. Minutę później ekran ściemniał i zgasł.

- No, dobrze - rozległ się zniekształcony vocoderem głos Taro. - Macie odpowiedzieć na trzy pytania. Pierwsze: czy tłum przedrze się za ogrodzenie i zaatakuje budynek? Drugie: jeżeli tak, kiedy to się stanie? I trzecie: jeżeli to się stanie, czy napastnikom uda się zdobyć budynek? Macie pół godziny. Jakież pytania?

O, tak, pomyślałem. Czy brązowa kredka świecowa ma ten sam kolor co kredka ołówkowa?

- A zatem żadnych pytań - skwitował Taro. - Zaczynajcie, proszę.

Rozrzuciłem wirtualne nasiona wokół planszy. Rozsypały się trochę za bardzo, ale to nie miało znaczenia. Ważne, że temat badania,



czyli zdarzenie w Azji, zawierał przypadkowość - przypadkowość była również na planszy. Oczywiście grupa Taro na pewno uruchomi odpowiednie oprogramowanie do sprawdzenia nagrania i spróbuje wyciągnąć jak najwięcej danych z Internetu. Użyją tego samego programu do modelowania i symulacji katastrof oraz zachowań tłumu, jakiego rząd używa, gdy dochodzi do zamieszek, oraz wszystkich możliwości, jakimi dysponuje LEON. Jednak ja poradzę sobie lepiej niż grupa Taro. Czyż nie? Ustawiłem mojego pionka na środkowym polu.

Z grubsza rzecz ujmując, w Grze chodzi przede wszystkim o to, by złapać uciekiniera. Jeżeli gra się jednym kamieniem, to znaczy, że ma się jednego piona, podczas gdy przeciwnik ma ich wiele. Wielu ludzi zaskakuje ta nierówność szans, chociaż przecież w dwudziestym pierwszym pierwszym wieku nadal istnieje sporo podobnych gier planszowych. Najbardziej popularne to owca i wilki czy polowanie na zająca. Więcej takich jest w Azji. W każdym razie określa się je jako asymetryczne. We wszystkich takich grach jedna osoba ma do dyspozycji kilka szybkich, silnych pionków, podczas gdy druga porusza się tylko jednym, wolniejszym i słabszym. Jeżeli gra się uciekinierem lub ofiarą, zdobyczą czy jak tam jeszcze zostanie to określone, trzeba uciec przed ścigającymi, myśliwymi, napastnikami. W owcy i wilkach, do której używa się zwykłej szachownicy, ucieczka oznacza przejście pionkiem-owcą na drugą stronę planszy. W Grze Ofiarnej zaczyna się od środkowego pola, a żeby wygrać, trzeba dostać się do jednego z czterech kwadratów w rogach planszy. Nie jest to wcale łatwe, nie tylko z powodu ścigających, lecz także dlatego, że na ruchy uciekającego pionka ma częściowo wpływ losowość. Poza tym w Grze uciekający pionek zostawia po sobie ślad. Za każdym razem, gdy pion dotknie pola lub raczej punktu, ustawia się tam kamyk, by to zaznaczyć. Ten trop jest niczym prawdziwa historia, w przeciwieństwie do reszty planszy, która przypomina labirynt możliwości. Każdy ruch oznacza jakąś datę. Dlatego w pewien sposób plansza przypomina wieczny kalendarz - z tabelami do określania dni tygodnia,

miesiąca i tym podobnych. W Grze każdy ruch w przestrzeni pozostawia ślad, reprezentujący czas. A jeżeli umie się odczytać ten trop i ekstrapolować go oraz zgadywać kolejny ruch, zaczyna się myślenie o przyszłości.

Każda wielka gra wprowadza poważnych graczy w stan podobny do transu, a Gra Ofiarna pod tym względem ma wyjątkowo silne działanie, trudne do opisania. Zapewne wielu ludzi grało w dzieciństwie w chińczyka i pamięta jeszcze, jakie to było podniecające. To napięcie, gdy rzucano kostki i przesuwano pionki z bazy na ścieżkę; ten triumf, gdy doprowadzało się ostatniego pionka do celu tuż przed pionkami przeciwników; i to bezgraniczne rozczarowanie, gdy przeciwnik zbijał człowiekowi pionka i trzeba zaczynać od nowa długą odyseję przez planszę, a jedyne, co pozwalało znieść owo rozczarowanie, to przyjemność, gdy zbiło się pionka innemu graczowi. I, rzecz jasna, nie było mowy, by przerwać czy choćby na chwilę odejść od planszy. Albowiem gra stawała się jedyną rzeczywistością, która się liczyła. A chociaż chińczyk znany na Zachodzie jest tylko zabawą dla dzieci, to zarazem stanowi podstawę wielu gier dla dorosłych, jak na przykład tryktraka. Nie wspominając, że monopol, najpopularniejsza gra planszowa świata, oparta jest właśnie na chińczyku. Tak czy inaczej, te gry budzą ekscytację, którą niełatwo określić i której trudno się oprzeć.

Chodzi o to, jak mi się zdaje, że podczas Gry doznaje się uczucia, jakby panowało się nad chaosem, porządkowało świat. Gracz ślizga się po falach prawdopodobieństwa, gdzie dwa aspekty wszechświata - przypadkowość i determinizm - zderzają się i ścierają, ale w tym małym świecie planszy i pionków można nad tym zapanować, ponieważ ma się do dyspozycji kostki, których rzucenie tworzy nowe fale - podstawową osiągnającą szczyt przy siedmiu oraz tę, która otwiera szanse na zmiany z amplitudą od dwa do dwanaście. Nawet dla kogoś, kto niezbyt dobrze sobie radzi z matematyką, to hipnotyzujące doznanie - jakby się na powrót było małym dzieckiem, które patrzy na obracający się walec z ukośnymi pasmami tradycyjnie umieszcza-

ny przed starymi fryzjerniami i zastanawia się, skąd wychodzą spiralne pasy i gdzie znikają albo - gdy się osiągnie pewien wiek - skąd to uczucie pulsowania, które przenosi się na ciało. W głośniku zabrzmiał znowu syntetyczny głos Taro:

- Czas minął.

Spojrzałem na planszę. Mój pionek znajdował się o dwa pola od północno-zachodniego narożnika. To nie wyglądało dla niego dobrze. To znaczy w krótkoterminowym aspekcie. W głębi, z dalszej perspektywy, kryło się coś jeszcze, wrażenie, że cała scena zbliża się szybko do ostatecznego końca, ale nie potrafiłem dokładnie tego wyczuć. Niech to...

- Protestujący zamierzają przedrzeć się przez ogrodzenie za około dwie i pół godziny - powiedziałem. - Spróbują zająć budynek, ale im się nie uda. Wielu z nich, szacuję, że ponad pięćdziesięciu, zostanie zabitych lub poważnie rannych.

Taro powiedział, że dobrze. Odpiąłem czujniki EEG, zanim przyszła Ashley, i wróciłem do sali konferencyjnej.

Relacja z zamieszek leciała na ściennym ekranie, tym razem z dźwiękiem, i wszyscy oglądali. Okazało się, że protest odbywa się w miasteczku na północ od Kalkuty, a budynek to siedziba sztabu północno-wschodnich sił hinduskich walczących z partyzantami, natomiast tłum stanowią muhadzirowie, czyli muzułmańscy uchodźcy. Demonstranci chcą uwolnić jednego ze swoich przywódców, przetrzymywanego w środku. Nie przejąłem się, że na takie motywy działania zgromadzonych nie wpadłem. Ale na pewno poza zasięgiem kamer pozostawali grożący protestującym Hindusi.

Sic wszedł do sali z Taro, usiedli za stołem. Zapadła niezręczna cisza.

- No i co ci wyszło? - przerwał milczenie Sic. Opowiedziałem o swoich przypuszczeniach. Sic przyznał, że jego zdaniem protestujący ruszą na budynek w ciągu najwyżej pół godziny i zajmą go nie długo potem. Mruknąłem z namysłem, starając się, by zabrzmiało to przyjaźnie i profesjonalnie, nie protekcjonalnie.

Taro wtrącił, że obserwatorzy z Departamentu Obrony oraz program modelujący wskazują na zupełnie inny scenariusz: demonstracja się rozproszy, zanim dojdzie do jakichkolwiek ofiar. Pokiwałem głową. Ashley Thieu przyniosła tacę z gorącą czekoladą i tanimi herbatkami ziołowymi. Na filmie zaszła jedna zmiana - ktoś znalazł jakąś skrzynię czy inny przedmiot, użył go jak podwyższenia i teraz przemawiał w urdu. Siedzieliśmy przed ekranem w napięciu, jak przy oczekiwaniu na wynik wyborów. Miałem wrażenie, że to wybory prezydenckie w dwutysięcznym - to niekończące się liczenie głosów, te powracające wątpliwości, kto wygrał: Bush czy Gore, to obgryzanie paznokci podczas oczekiwania na decyzję Sądu Najwyższego i nadzieja, że będzie dobrze, chociaż w głębi duszy rosło przekonanie, że to wszystko zakończy się katastrofą.

Dwadzieścia minut później jeden z demonstrantów wspiał się na ogrodzenie. Rozległ się niezbyt głośny trzask, gdy strażnik wystrzelił z karabinu w powietrze. Chwilę potem na ogrodzenie wdrapało się więcej ludzi i zabrzmiały kolejne strzały. Ktoś spadł, ale trudno powiedzieć, czy został postrzelony, czy po prostu wypchnięty przez tłum. Niełatwo było określić, co się dzieje, bo ogrodzenie i ludzie zasłaniali dwie trzecie ekranu, ale niecałe pięć minut później w oknie na drugim piętrze zawisła biała flaga z ręcznie wymalowanymi arabskimi znakami.

Demonstranci byli zatem w środku. Spieprzyłem. Sic przewidział prawidłowo, a ja się pomyliłem. Nie mogłem nawet spojrzeć na Taro. Już miałem wyjść i poszukać cichego miejsca, by lizać zranioną dumę, ale nikt inny się nawet nie poruszył. Potarłem różowy bąbel na palcu wskazującym. Nie goił się. Przeklęty *Millepora alcicornis*. Powiniem po prostu wywalić zawartość mojego wielkiego akwarium i patrzeć, jak koralowce i ślimaki duszą się, zdychając na śmietniku. Powiedziałem, że wychodzę, by odetchnąć cieplejszym powietrzem.

- Oglądajmy - zaproponował Sic. - To jeszcze nie koniec.

Zapewniłem, że będę oglądał, i podłączyłem komórkę do systemu w pokoju. Dłuższą chwilę zajęło mi znalezienie windy, a kiedy wreszcie wydostałem się na dziedziniec, oddychałem szybko i głę-

boko - hiperwentylacja, a raczej ultrawentylacja - jakbym się wcześniej dusił. Gorące, wilgotne powietrze przyniosło mi ulgę. Jak ludzie mogą wytrzymać w ochłodzonych klimatyzacją wnętrzach? Rozumiem jeszcze, gdyby to byli Finowie czy inni Skandynawowie, ale nie. Sic pochodził z tropików, a wyglądał, jakby mu było dobrze w tym arktycznym mrozie.

Szlag. Sic. Drań.

No i co teraz? Stałem w środku rozciągającego się na milę kwadratową kompleksu architektonicznego, który w założeniach miał być elegancki, choć nijak nie da się tego powiedzieć o budynku wzniesionym z tanich cegieł. Było tu mnóstwo wejść dla niepełnosprawnych, wszędzie rosły miejscowe gatunki krzewów. Niebo przesłoniła chmura smogu, nadając mu zielonkawoszarą tłustą barwę, coś jak #6699cc z bezpiecznej palety kolorów na stronach internetowych, przez co krajobraz wydawał się groźny, jakby zza krzaków mieli wyskoczyć Niemcy z czasów drugiej wojny światowej. Ponury, pomyślałem. Ponury, posępny pejzaż. Nie mogłem się powstrzymać, by nie zerknąć na ekran komórki. Na pierwszy rzut oka wyglądało, jakby obraz jedynie śnieżył i nie było sygnału, ale gdy się przyjrzałem bliżej, dostrzegłem, że to po prostu tuman kurzu. Demonstranci wrzeszczeli, a komentator powiedział, że nie wie, co się dzieje. Obserwowałem. Po chwili pył się trochę rozwiął. Część budynku zniknęła. Został wysadzony - jak stwierdził komentator. Nie powiedział, kto to zrobił, ale nawet ja - a słabo znam się na eksplozjach - nawet ja wiedziałem, że zniszczenia były zbyt rozległe, by wywołał je człowiek, który wszedł tam z plecakiem materiałów wybuchowych i detonował ładunek w samobójczym akcie terroryzmu. Ktoś wewnątrz musiał rozstawić ładunki, nim tłum wdarł się do budynku, i detonować je w chwili, gdy wyrządzą napastnikom jak największe szkody.

No i co z tego, że pomyliłem się w oszacowaniu czasu? Sic pomylił się jeszcze bardziej. Utalentowany, doprawdy. Ha! Mam cię, Sicus! To ja jestem KRÓLEM RINGU! Ja jestem...

Spokojnie, *pisado*, napomniałem się. Tam umierają ludzie. Wystarczy zerknąć na gruzy, na te dwa skulone nieruchome ciała w dole

ekranu. Wyglądają jak rzeźby z szarego kamienia, ledwie odcinające się od tła tej samej barwy. Ale ze mnie dupek. Cholera. Nienawidzę zachowywać się wbrew sobie, wbrew mojej naturze. Każdemu się wydaje, że taki obraz jak ten z Indii powinien bardziej nim wstrząsnąć, zasmucić - bo to wskazywałoby, że jest się dobrym człowiekiem. Może jednak samo pragnienie, by czuć większy smutek, jest tak samo ważne, jak przeżywanie tego smutku? Mam nadzieję...

## [6]

Ponad dwie godziny później... No dobrze, dokładnie o 16:32:29 według zegara na przedniej szybie cudzy znalazłem się przed biurami Warren Entertainment, na zachodnim brzegu jeziora Tohopeka-liga na południe niedaleko Orlando. Moje wielkie zwycięstwo nad Sikiem zapewniło mi spotkanie z Mareną Park, szefową Taro, a zarazem dyrektorką Działu Rozrywek Interaktywnych. Sprawdziłem ją przez Google podczas podróży. Okazało się, że jest nowa w korporacji Warrena. Jeszcze dwa lata temu pracowała jako dyrektor kreatywny edukacyjno-technicznego parku tematycznego Disneya -Epcot. Potem przejął ją Warren i zatrudnił do tworzenia „Neo-Teo”, mojej ulubionej zabijanki FPP.

Większość poważnych graczy w go czy pokera nie uznaje nawet gier komputerowych za gry. I ma rację, szczerze mówiąc, bo to raczej symulacje. Jednak ja je lubię - pomagają mi się rozluźnić, upuścić toksycznej pary. „Neo-Teo” to ogłupiająca, komercyjna wersja mitologii Majów, gdzie trzeba się zakradać do pałaców, które przypominają architektonicznie budowle w stylu Puuc, zbierać klejnoty mocy i włącznią przebijać flaki demonów-jaguarów. Historyczne bzdury i tandeta na początku doprowadzały mnie do szału, ale było w tej grze coś piekielnie wciągającego i teraz, choć nie zaliczyłbym się do nałogowców, to z pewnością do wielbicieli. A grafika zaprojektowana przez Marenę Park bardzo mi się podobała. Tej kobiecie udało się oddać płynne spłoty i wstęgi typowe dla wzornictwa Majów na glinianych naczyniach

z okresu klasycznego. A potem pani Park dostała Oscara za projekty scenografii do ekranizacji „Neo-Teo”. Dlatego właśnie zastanawiałem się, czemu ktoś taki zarządza projektem badawczym Taro. Marena Park nie była naukowcem. Zatem co ją z tym łączyło? Poza tym że w dzisiejszych czasach każdy biznes to show-biznes, rzecz jasna.

Zatrzymałem się przed wielką bramą i musiałem powiedzieć gorylowatym ochroniarzom, kim jestem. Z tego, jak dokładnie mnie sprawdzili, wywnioskowałem, że Marena Park jest prawdziwą szycią. Strażnik dał mi identyfikator-przepustkę, który założyłem na prawy przegub, po czym minąłem bramę i zaparkowałem wóz we wskazanym miejscu. Kompleks biurowy korporacji był niebezpiecznie elegancki, nawet zieleń otaczająca niskie domy wydawała się zaprojektowana. Konary rozłożystego drzewa odbijały się w nerkowatej sadzawce. Główny budynek miał sześć pięter i był najwyższy. Szklane tafle rozsunęły się bezszelestnie, wpuszczając mnie do klimatyzowanego holu. Przestronne pomieszczenie przypominało clerestorium z mnóstwem drzwi prowadzących do biur i sal konferencyjnych, a na środku wznosił się stożek z monitorami prezentującymi reklamy i szczęśliwe twarze Dzieci ze Wszystkich Stron Świata. Powitała mnie kobieta z kręconymi włosami, która przekreśliła moje nazwisko i skierowała do atrium, gdzie znajdował się bufet oraz kamienny piec do pizzy. Najwyraźniej serwowano tu naturalną kawę oraz zdrową żywność, choć nie tylko. Mijali nas młodzi technicy i pracownicy biurowi, niektórzy pieszo, inni na rolnkach lub na sławetnych żyroskopowych dwuśladoch Segway.

-To tam. - Moja przewodniczka zrobiła zapraszający gest, jakby chciała powiedzieć: „No chodź, zobaczysz, będzie fajnie”.

-Jasne. Dzięki. - Ruszyłem za nią pośpiesznie. Ciekawe, jak by to było mieć tu pracę? - pomyślałem. Chyba musiałbym zacząć się myć! Żartowałem. Myję się. Od czasu do czasu.

-Profesor Mora powiedział, że masz majskie pochodzenie? - zagała. Słowo „majskie” wymówiła jak rym do „tajskie”.

-Pochodzę od Majów - przyznałem, po raz tysięczny gryząc się w język, by jej nie poprawić. Nie ma przymiotnika „majski”, nie ma



nawet języka majańskiego, chociaż istnieje rodzina języków maja. Mówi się w języku Majów, na przykład cholskim czy jukatańskim, ewentualnie językiem maja. I tyle.

-To strasznie faaascynujące - uśmiechnęła się moja towarzyszka. Była wysoką kobietą z jasnym runem i zapewne można by ją uznać za ładną, jeżeli się lubi takie laleczki-owieczki.

-Co takiego?

-Życie w Ameryce Południowej i w ogóle.

-Ameryce Środkowej.

-Co proszę?

-Majowie nie mieszkają w Ameryce Południowej, lecz w Środkowej. Tam, gdzie leży na przykład północna część Panamy.

-Och, to cieeekawe. - Roześmiała się. Poprowadziła mnie na drugie piętro, obok pustej sali konferencyjnej w stylu lat trzydziestych. -Wiesz, dwa tygodnie temu byłam na otwarciu warsztatu halacha.

-Och? - *Halach uinic* znaczy to samo, co *ahau*, ale laleczka-owieczka najwyraźniej nie miała o tym bladego pojęcia.

-Nauczył nas robić majskie pułapki na sny.

-Świetnie. I co, działają?

-Halach powiedział, że Majowie duchowo byli bardziej rozwinięci niż współcześni ludzie.

-Doprawdy?

-To tutaj.

Powiodła mnie do poczekalni z czarną posadzką i zielonymi sofami o abstrakcyjnych, designerskich kształtach, przez co pomieszczenie przypominało negatyw sceny z „2001: Odysei kosmicznej”. Stąd przejęła mnie recepcjonistka. Poszedłem za nią przez salę biurową, gdzie radośni pracownicy siedzieli przy biurkach oddzielonych szklanymi przepierzeniami. Bardzo się starali zindywidualizować swoje stanowiska, dodając zdjęcia, kolorowe gadgety i kubki. Stały tu też automaty z przekąskami oraz automaty z kawą - na najmniejszym przyklejono żółtą karteczkę głoszącą: „Mleko bezglutenowe tutaj!”. Recepcjonistka powiodła mnie dalej po miękkiej wykładzinie, zajrzała za uchylone drzwi i otrzymawszy pozwolenie, zaprosiła mnie do gabinetu.

Marena Park siedziała po turecku na biurku i spoglądała w duży zielony monitor na swoich kolanach. Był to nowy, modny wynalazek -ekran, który nie tylko reagował na dotyk, lecz na ruch ręki właściciela, nawet z większej odległości. Kobieta poruszała palcem, jakby rysowała w powietrzu, choć na pewno urządzenie przetwarzało to na odpowiedni obraz. Marena była drobniejsza, niż się spodziewałem po obejrzeniu jej zdjęć w Internecie, niższa ode mnie co najmniej o głowę, przez co sprawiała wrażenie nastolatki. Jej twarz wydawała się bardziej płaska i koreańska niż w pełnym makijażu, ale moim zdaniem taka była ładniejsza; „twarz niczym księżyc w pełni” - jak opisałyby to „Księga tysiąca i jednej nocy”. Kobieta nosiła kosztowny srebrzysty kombinezon z kolekcji Issey Miyake, w którym przypominała futurystyczną gimnastyczkę. Uniosła palec w uniwersalnym geście „chwileczkę!”, więc skorzystałem z okazji, by rozejrzeć się po pokoju. W jedną ze ścian wbudowane było studwudziestopięciogalonowe akwarium z najnowszą odmianą migotliwych welonów oranda wyhodowanych przez biotechnologiczny koncern Monsanto. Postarałem się nie skrzywić. System odpornościowy tych stworzeń praktycznie nie istniał, stulecia chowu wsobnego sprawiły, że gdyby dwa razy puknąć w szybę zbiornika, nieszczęsne złote rybki dostałyby chyba sepsy. Na podłodze leżała katsura-goban, plansza do gry w go z ukośnie ciętego drewna, a obok dwie stare miseczki z pnia morwy, wypełnione czarnymi i białymi kamykami, zapewne z naturalnej masy perłowej. Jeżeli tak, to zestaw był wart przynajmniej sto tysięcy dolarów. Okno za biurkiem wychodziło na północny zachód i rozciągał się za nim widok na park oraz kulę Epcot spoczywającą wśród zieleni drzew i krzewów, jak stara piłka futbolowa na trawniku. Marena Park podniosła wzrok.

- Dzień dobry, proszę dać mi jeszcze chwilę.

Miała cichy głos, niewysoki - a przynajmniej nie tak, jak komicy, którzy udają kobiety. Krótka pauza i...

- Więc Babel chce wykorzystać sanskryt czy jakim tam narzeczem mówią. W czym problem?

Nie od razu zrozumiałem, że musi mieć w uchu bezprzewodową słuchawkę, zapewne od komórki. Nie usiadłem. Serce za bardzo mi łomotało. Wsunąłem ręce w kieszenie i podszedłem, by przyjrzeć się dużej półce z bibelotami na wschodniej ścianie. Największy z nich był mosiężny zegar szkieletowy w szklanym kloszu. Wyglądał na zrobiony w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku i miał pięć obracających się tarcz - cztery wyznaczające daty kalendarza Majów oraz zewnętrzną, największą i najwolniejszą, odmierzającą czas według rachuby gregoriańskiej od 3113 roku przed naszą erą do 21 grudnia 2012 naszej ery. W zegarze była też obręcz z hieroglifami, ale napis nie miał sensu. Może zrobił go rzemieślnik lub artysta - nie mając pojęcia o znaczeniu znaków. Obok stał mniejszy zegar, z trójkątną masońską tarczą, wyświetlającą „Waltham/17 Klejnotów/Kochaj Bliźniego Swego”, oraz malutkim młoteczkim uderzającym w kielnię co minutę. Poza tym na półce znajdowały się trofea: niewielkie srebrne puchary za rozgrywki go i wspinaczkę skałkową, kilka nagród za najlepszą stronę internetową - Webby, nagrody za najlepsze oprogramowanie na licencji - World Shareware Award, za najlepszą grę - Game Critics Award, dwie smukłe szklane piramidy od Akademii Nauki i Sztuki Interaktywnej, mnóstwo innych, o których w życiu nie słyszałem, i z tyłu - jakby właścicielka nie chciała sprawiać wrażenia, że jej zależy - stał Oscar w stroju z „Neo-Teo”, niczym Jezus w tłumie oddających mu cześć Nefitów.

Lubisz mnie? - zagadnąłem go w myślach. Mnie, maluczkiego, królu świata? Szkoda, że nie mam komu dziękować. Cóż, chyba wyrażę jakoś wdzięczność szatanowi, skoro pozwolił mi sprzedać duszę za to spotkanie.

Obok półki na ścianie wisiał dziecinny rysunek Świętego Mikołaja trzymającego wielkiego pilota i sterującego saniami zaprzężonymi w renifery-roboty. Rysunek częściowo przesłaniał oprawione w ramki powiększenie ze slajdu na papierze Cibachrome. Zdjęcie dowodziło, że Marena Park ma nie tylko chwytny palce u rąk, ale i u nóg - wspinała się po pionowym, żółtawo-brązowym bloku skalnym. Poniżej był podpis: „Samotne wejście, Chocolate Swastika, E7 6c. w Hallam

View Buttress, Gritstone, 14/09/09". Obok, mała w porównaniu do slajdu, wisiała ramka ze zdjęciem w prześwietlonych odcieniach niebieskiego i rdzawych czerwieniach, typowa dla zdjęć Kodaka z dwudziestego wieku. Na fotografii widać było młodego, uśmiechniętego Koreańczyka w kombinezonie pilota oraz pięciogwiazdkowego generała, który wydał mi się znajomy, na tle zakurzonego B-29 z wymalowaną na dziobie parą kostek do gry, biuściastą brunetką i słowami: „Podwójnie albo wcale”. Ręczny napis w górnym lewym rogu głosił: „Dziękuję, Pak Jung, za wierną i pełną poświęceń służbę na ziemi i w powietrzu - gen. Douglas C. MacArthur, Kadena 27/12/1951”.

- Właśnie - rzuciła Marena Park w przestrzeń, a po krótkiej pauzie dodała: - Pa-payonara.

I spojrzała na mnie.

- Witam.

Nie wstała. Zazwyczaj cieszę się, że ludzie dzisiaj nie ściskają sobie rąk tak często jak ongiś, ale tym razem nie miałbym nic przeciwko dotknięciu. Przywitałem się krótkim „cześć”, zastanawiając się, czy powinienem powiedzieć, kim jestem, choć przecież wiedziała. Nie zrobiłem tego.

-Taro uważa, że jest pan najlepszy - odezwała się pani Park.

-To miło z jego strony.

-Zalóżę się, że gra pan w go. Mam rację?

Potwierdziłem skinieniem głowy. Może widziała, jak przyglądam się planszy. Zawsze mnie zdumiewa, ile ludzie potrafią się domyślić na mój temat tylko dzięki obserwacji. W takich chwilach mam wrażenie, że żyję na planecie telepatów. Rzecz jasna, pewnie ma to coś wspólnego z moim domniemanym syndromem stresu pourazowego.

-Jak dobry pan jest? - indagowała Marena Park.

-Ach... szósty dan. Amatorsko.

-To bosko. Ja mam piąty. Może kiedyś zagramy?

-Jasne - zapewniłem. Piąty dan robi wrażenie, zwłaszcza że większość pracowników korporacji miałaby pewnie trudności z grą na poziomie dla dzieci. Go uważane jest w Azji za sztukę walki, a dan to

stopień przy czarnym pasie. Zatem szósty dan oznacza szósty stopień wtajemniczenia. Oczywiście nie mógłbym się równać z zawodowym graczem. Jednak handicap przy rozgrywce między graczem z szóstym danem a piątym wynosi tylko jeden kamień, więc gra byłaby wyrównana. Marena i ja gralibyśmy do późna w nocy, siedząc na tatami w jej minimalistycznie urządzonej apartamencie na szczycie jakiegoś wysokościewca przy romantycznych piosenkach Jello Biafry, a kiedy przeproszałbym za pokonanie jej siedemdziesięcioma i pół punktami, odsunęłaby planszę i chwyciła mnie za...

- *Setzen Sie sich*, proszę - powiedziała.

Usiadłem. Chociaż krzesło wyglądało na solidne, zatrzeszczało pode mną i przez chwilę nie wiedziałem, gdzie podziąć nogi. Ale ze mnie niezłoda.

-Wie pani, jestem fanem „Neo-Teo”. Gram dość często - rzucilem, by pokryć zmieszanie.

-Och? Dzięki. Do którego poziomu pan doszedł?

-Trzydziestego drugiego.

-Wcale nieźle, naprawdę.

-Dzięki. - Choć to był jej produkt, wstydzilem się przyznać, że spędzam przy nim większość wolnego czasu.

-Szczerze mówiąc, nic nie wiem o starożytnych Majach, chociaż zaprojektowałam o nich grę.

Co ty nie powiesz, pomyślałam z ironią.

-Ale pewnie się pan zorientował, skoro w nią gra - uśmiechnęła się Marena trochę wyzywająco.

-Cóż...

-W porządku, to tylko fikcja. Fantasy. Wiem, że nie ma nic wspólnego z prawdą historyczną.

-Jasne.

I wtedy zorientowałem się, że nie zdjąłem czapki. Szlag. Noszę ją tam, gdzie nie wypada mieć odkrytej głowy, i ciągle zapominam, że należy ją ściągać w domach czy biurach. Lepiej zdjąć ją teraz? - zastanawiałem się. Nie, za późno. Ale Marena pomyśli, że jestem jakimś

dziwakiem. No to co? Taki mój image. Image w czapce. Wolę po prostu czuć się wygodnie, tak? *Bueno*. Czapka zostaje.

-Wychował się pan, mówiąc językiem majańskim, tak? - zapytała Marena.

-Tak. - Zdjąłem czapkę. - A język, jakim się mówi w moich strojach, to cholski.

-Taro wspomniał, że pochodzi pan z Alta Verapaz. -Tak.

-Są tam może ruiny, gdzieś w okolicy... eee... Kabon?

-Gdzie? Ma pani na myśli Rio Cahabón?

-Właśnie. Michael wspomniał o starorzeczu.

-Dorzeczu Tozal?

-Chyba tak.

-Tam jest pełno ruin. Tubylcy wiedzą, że wzgórza nie powstały naturalnie. Moi wujowie twierdzili, że zbudowały je garbusy przed potopem.

-Jakie garbusy?

-No, takie magiczne krasnale, dzieci kamienia, trolle... Zawsze ich sobie wyobrażałem jako masywnych, przysadzistych facetów z wielkimi głowami.

-Ach, jasne...

-Czemu pani pyta? Zna pani te okolice?

-Tylko z mapy. Ale Michael próbował dostać pozwolenie na wykopaliska w królewskich grobowcach. Zanim powstanie tam a i tereny w pobliżu zostaną zalane.

-Dobry pomysł.

-Może nie powinnam tego mówić, ale nie wygląda pan jak Indianin.

-W porządku, wiem o tym. Majowie nie przypominają z wyglądu Navajo czy innych plemion północnoamerykańskich. Czasami nawet myli się nas z mieszkańcami południowo-wschodniej Azji.

-Na Azjatę też pan nie wygląda. Ani na Latynosa. - Uśmiechnęła się kokietyrnie, jakby w obawie, że mogłaby wyjść na rasistkę. Ale to prawda, nie wyglądam jakoś szczególnie charakterystycznie. Majowie

są niscy i krępi, ale jestem półkrwi Ladino, a dzięki wapnu, które dostawałem w Utah, oraz mleku - ponieważ, co zaskakujące, nie miałem skazy białkowej i wylądowałem na planecie, gdzie mleko uznawano za jedyny odpowiedni napitek - wyrosłem jak wieża na prawie sześć stóp, przewyższałbym co najmniej o głowę każdego w rodzinie. Obecnie ważyłem sto trzydzieści pięć funtów, więc do krzepkich raczej się nie zaliczałem, a przez to twarz też miałem szczupłą. Twarze Majów czystej krwi są szerokie; z profilu przypominają sokoła, en face - sowę. A ja tylko trochę przypominałem ludzi ze stref tropikalnych. Czasami, gdy ktoś słyszał moje nazwisko, myślał, że jestem z Filipin. Sylvana, w pewnym sensie moja eks, zwykła powtarzać, że długie włosy upodoba mi się do brzydszej wersji Keanu Reevesa z „Małego Buddy”. Zastanawiałem się, czy powiedzieć o tym Marenie, ale zdecydowałem, że lepiej milczeć. Nie zaszkodzi trochę tajemniczości, na litość boską. Kiedy się nie odezwałem, Marena musiała poczuć zakłopotanie.

-Ale nie uważa pan, że moja gra jest obraźliwa, mam nadzieję? - zapytała.

-Och, nie, jasne, że nie.

-Obawiałam się, że może Majowie wychodzą w niej na... czy ja wiem? No...

-Dzikusów?

-Właśnie.

-Cóż... Przynajmniej nie zrobiła z nich pani mięczaków.

-Racja.

-Zresztą myślę, że w tamtych czasach życie było okrutne.

-Tak... Wrywanie serc na żywca i takie tam.

-Właściwie Majowie tego robili - zauważyłem. - To znaczy o ile wiadomo, to nie.

-Naprawdę?

-Może w późniejszych wiekach, gdzieś w czternastym stuleciu. Ale nie w okresie klasycznym. Wrywanie serc to raczej meksykańska tradycja.

-Och, proszę wybaczyć. Ale Majowie uprawiali kanibalizm, prawda?

-Nie wiem. Może to hiszpańska propaganda. Na pewno składali ludzi w ofierze od czasu do czasu, ale nie jest pewne, czy ich także zjadali.

-Przepraszam.

-Czemu to taki wielki problem? W tamtych czasach kanibalizm był dość powszechny, jak dzisiaj golf.

-No tak.

-W dziewiętnastym wieku w Anglii stosowano kanibalizm ze względów medycznych.

-Prochy matki i inne takie?

-Właśnie. Na przykład uważano, że krew kogoś, kto umarł gwałtowną śmiercią, leczyc epilepsję, więc aptekarze wykrwawiali ciała wisielców po egzekucji i mieszały ich krew z alkoholem, by ją przechować. Taki medykament można było kupić choćby w aptece Harrisa.

-Cudnie.

-Prawda? A gdzie działa chrześcijańska sekta, która praktykuje dobrowolny kanibalizm. Nazywa się Kościołem Żywej i Prawdziwej Komunii czy jakoś tak.

-O, to, to! Słyszałam o niej. Ale może to kolejna bzdura lub fanaberie mediów.

-Może.

-Ale ma pan rację, nie wiem, czemu to taki problem. Ja, na przykład, zjadłam swoje łożysko.

To sprawiło, że zmarłam.

-Proszę wybaczyć, zrobiło się panu niedobrze? - zapytała Mariana.

-Trochę.

Zmieniła szybko temat.

- Taro mówił, że robi pan sztuczki z astronomii.

-Doprawdy?

-Aha.

-A wspomniał, że umiem złapać frisbee ustami?

-Och, proszę przestać. Niech się pan pochwali.

-Dobrze. Proszę wybrać datę.



-Jaką datę?

-Dowolną.

-Dobra. Hm... dwudziesty dziewiąty lutego... dwa tysiące pięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku.

-To nie jest rok przestępny.

-No to dwudziesty ósmy lutego.

-To piątek - stwierdziłem.

-Nabiera mnie pan.

-Wcale nie. To naprawdę piątek.

-Serio?

-Tak. Mogę jeszcze powiedzieć, że - zakładając, że ten dzień nadejdzie - słońce wzejdzie około szóstej pięćdziesiąt czasu Greenwich, a zajdzie mniej więcej o osiemnastej dwadzieścia cztery.

-Pewnie. A ja jestem Anastazja Romanowa.

-Wiem jeszcze, że Wenus wzejdzie wtedy o ósmej pięćdziesiąt siedem rano, chociaż nie będzie tego widać gołym okiem, a zajdzie o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt sześć. Oczywiście, o ile się tam będzie i dokona stosownych obserwacji oraz pomiarów. A Saturn zajdzie o czwartej trzydziści cztery rano.

-Bzdury.

-Proszę sprawdzić w Google.

-Nieważne. - Uśmiechnęła się szeroko. - To boskie.

Najwyraźniej „boskie” znaczyło teraz „wspaniałe”.

-Jak wielu ludzi potrafi to, co pan?

-Nie znam nikogo. Ale są ludzie, którzy potrafią robić podobne rzeczy.

-Niesamowite. - Zachichotała cicho.

Tak, wiem, pomyślałem. Mam piękny umysł, jasne. Ułożę ci starą kostkę Rubika, rozwiążę niedokończone sudoku w twoich krzyżówkach, przeliczę podatki do szesnastu lat wstecz, tylko pokaż mi książkę...

-To prawda, że zna pan dwanaście języków? - zapytała.

-O, nie, wcale - zaprzeczyłem stanowczo. - Mówię tylko w trzech. Chyba że doliczy się języki z rodziny maja. Znam większość.

-Czyli mówi pan po angielsku, hiszpańsku i majańsku.  
-Właśnie. Kilka innych rozumiem. Na tyle, by w nich czytać. Może umiałbym też coś powiedzieć na tyle zrozumiale, by kupić pomidory.  
-W jakich językach pan czyta?  
-No, tych najczęściej spotykanych: niemieckim, francuskim, greckim. Dochodzą jeszcze nahuatl... i... mixtecki, otomi...  
-A co - przerwała mi wyliczankę - sądzi pan o końcu świata? Czy czeka nas zagłada?  
-Cóż... - zawahałem się. Houston, mamy problem... Wbrew sobie trochę się niepokoiłem końcem kalendarza. Ale też nie miałem żadnego dowodu uzasadniającego ten niepokój. Chciałbym, rzecz jasna, powiedzieć, że to problem i chętnie pomogę, ale zdążyłem już się zorientować, że Marena Park nie należy do kobiet, które można oczarować równie łatwo jak przeciętne *chica alegre*.  
-Ja... - Odchrząknąłem. - Nie, nie mam podstaw, by tak sądzić. A co? Ktoś się tutaj tym martwi?  
-Parę osób się niepokoiło, ale Taro powiedział, że to może się odnosić tylko do Majów... Co oczywiście nie znaczy, że to nieistotne...  
-Oczywiście.  
-Ale poważnie, co myśli pan o końcu świata?  
-Bez wątpienia to ważna data - stwierdziłem z namysłem. - Za dawnych czasów Majowie urządziliby święto. I zebraliby wszystkich starych i mądrych uczonych w piśmie, by zastanowić się, co dalej. Zapewne stworzyliby nowy kalendarz.  
-Więc nie ma się czego bać?  
-Tak mi się zdaje.  
-Och - westchnęła. Zabrzmiało w tym niemal rozczarowanie. -A więc to prawda, że Majowie czcili czas?  
-To chyba za mocno powiedziane. Chociaż uczciwie trzeba przyznać, że chyba żadna inna kultura nie miała takiej... takiej OBSESJI na punkcie czasu.  
-No, ale to przecież Majowie wymyślili te niemożliwie skomplikowane daty z dziwacznymi nazwami i jeszcze dziwniejszą numeracją.

-Szczerze mówiąc, gdyby dzieci uczyły się zapisu liczbowego Majów, uznałyby go pewnie za łatwiejszy od arabskiego. To jak w domino - tylko kreski i kropki.

-Ale kiedy Taro próbował mi wytłumaczyć, na czym polega kalendarz Majów, nic nie rozumiałam. A przecież uwielbiam kody i szyfry.

-To wspaniały zegar. - Wskazałem na półkę.

-Dzięki. Należał kiedyś do Johna Hustona, tego reżysera od „Skarbu Sierra Madre”.

-Fajnie.

-Dostałam go od grupy pracującej nad „Neo-Teo”, gdy dostaliśmy nagrodę recenzentów.

-Wspaniale.

-Ale, jak powiedziałam, nie udało mi się go zrozumieć. Chociaż zapewniono mnie, że chodzi dobrze.

-To nie takie trudne, jak się wydaje.

-Chce pan powiedzieć, że kalendarz Majów nie jest wcale trudny.

-Właśnie. Ma parę komplikacji, ale podstawy są proste. Niech pani nie myśli o nim jak o zegarze czy kalendarzu, niech pani sobie wyobrazi, że to... licznik przebiegu, drogomierz. Wie pani, taki, jak w starych samochodach, nie elektroniczny, lecz mechaniczny.

-Okej...

-Taki licznik ma dwie zębatki, każda do określonej odległości. Kiedy jedna obróci się o pełne trzysta sześćdziesiąt stopni, druga tylko o trzydzieści. Albo dwadzieścia. Daty Majów, czyli zębatki w takim liczniku, odmierzająby wartość dwadzieścia - zębatki miałyby po dwadzieścia zębów. Poza jedną, która miałaby ich osiemnaście. I jeszcze jedną ważną, która miałaby trzynaście zębów - tę do kalendarza rytualnego, w której występują nazwy. Zatem co trzynaście razy dwadzieścia dni pojawia się ta sama kombinacja numerów i nazw. Powiedzmy, że mamy 0 Nietoperz, dzisiejszą datę. Następny taki dzień, 0 Nietoperz, pojawi się za dwieście sześćdziesiąt dni. Dlatego to ważna data, gdy spotyka się większość, a nawet wszystkie cykle. To jak...

-...jak wtedy, gdy drogomierz ma wskazać kolejne sto tysięcy mil. Dzieciaki na tylnych siedzeniach są wtedy naprawdę podniecone, wychylają się i patrzą na cyfry, czekając, aż się zmienią w okrągłą liczbę.

-Właśnie. Tyle że za każdym razem to będzie inny *tun*, czyli jakby pakiet trzystu sześćdziesięciu dni. Dwadzieścia *tun* to *k'atun*, a dwadzieścia *k'atun* to *b'ak'tun*. A osiemnaście...

-Okej, już łapię.

-Świetnie. Tyle że dochodzą jeszcze inne przeliczenia dla Wenus i niektórych zjawisk astronomicznych, a także dla rocznic i dla istot nadnaturalnych, ponieważ każdy dzień ma innych protektorów i przeciwników. To jak katolicycy święci, patroni różnych dni, tyle że...

-Tyle że to o wiele bardziej skomplikowane.

-No... Ale i w naszych czasach mamy podobne cykle, prawda? Choćby olimpiady i wybory prezydenckie, które odbywają się co cztery lata, podczas gdy senatorów wybiera się co sześć lat, więc każde z tych zdarzeń inaczej rozkłada się w czasie. Do tego dochodzą jeszcze cykle ekonomiczne i plany pięcioletnie, plagi szarańczy co siedemnaście lat i stutrzydziestoletnie bambusy. A John Travolta powraca w wielkim stylu co piętnaście i pół roku...

-No dobrze, rozumiem.

-Tak naprawdę wystarczy tylko znać cykl słoneczny. Te trzysta sześćdziesiąt dni i *tz'ol'kin*, czyli sprzężenie dwudziestodniowych i trzynastodniowych okresów, co daje *b'ak'tun*. *B'ak'tun* ma około dwustu sześćdziesięciu pięciu lat. *Tz'ol'kin* określa osadzenie cyklu i główne...

-Co to jest osadzenie cyklu?

-To jak tymczasowa stolica. Tam, gdzie się handluje, buduje miasto i wyznacza miejsce na świątynię, gdzie spotkają się władcy i decydują o stosunkach politycznych między ich domenami oraz gdzie odbywają się święta czy inne imprezy. A na końcu dwudziestoletniego cyklu ten obszar zostaje rytualnie zniszczony. Zapisy są urywane, rodzina królewska odchodzi, pomniki się przewraca i tym podobne. Miejsce staje się tabu i na następne dwadzieścia lat stolicę ustanawia się gdzie indziej.

-Czy to dlatego Majowie opuścili swoje miasta?

-Zapewne to jedna z przyczyn, że święte miejsca, centra rytualne, zostały opuszczone, ale...

-Nieważne. - Machnęła ręką. - Domyślam się, że używa pan Gry Ofiarnej do zarabiania na akcjach?

-Na towarach.

-Właśnie. I robi to pan własnoręcznie, prawda? - Miała na myśli, że nie gram przy pomocy komputera.

-Mam jeszcze stary program Taro - przyznałem. - Ale tak, głównie gram na prawdziwej planszy.

-I ma pan pudełko z kamykami i innymi rzeczami?

-*Grandeza*. Owszem, mam.

-Przy sobie?

-No tak...

Nie poprosiła, abym jej pokazał. Może byłoby to zbyt dwuznaczne.

- Ale nie jestem żadnym astrologiem czy innym wróżbitą - podkreśliłem pośpiesznie. - Gra nie ma nic wspólnego z parapsychologią czy innymi nadnaturalnymi sprawami.

Co byś powiedziała na to, pomyślałem, ty mi pokażesz księgę, a ja ci pokażę moje klejnoty?

-Jednak Gra naprawdę pomaga przepowiadać przyszłość, prawda?

-Uważa pani, że jestem jakimś jasnowidzem albo wróżką?

-Ach... - Zamilkła na dłuższą chwilę. Nie powinienem być zbyt szczery. Jeżeli ta kobieta nie uzna mnie za kogoś wyjątkowego, nie pokaże mi księgi, prawda? Chociaż istnieje jeszcze teoria reklamy nienachalnej... No, ale przecież nie chcę się umówić z tą kobietą na randkę. Chociaż to niezła laska. Ale teraz muszę ją tylko skłonić, by pokazała mi Kodeks. Ot co!

-Czyli - Marena zmarszczyła brwi - starożytni Majowie nie przepowiedzieli przyszłości?

-Nie, raczej... Wydaje mi się, że oni nie uznawali tego za przepowiadanie przyszłości. Uważali raczej, że wszystkie dni mają cechy

permanentne, jak smaki lub, powiedzmy, cechy charakteru czy wyglądu, że to wynika z natury. Coś jak opisy w almanachu rolnika, które mówią, że w takim a takim dniu zaczną się opady śniegu czy deszczu, tyle że opisy Majów dotyczą katastrof lub wojen czy plag. Jak smak może pojawić się lub stać intensywniejszy z upływem czasu, tak według Majów niektóre wydarzenia mogą nadać cechę określoneму dniowi. Na przykład jeżeli danego dnia odbyła się wielka bitwa, może to dodać do każdego dnia tej samej daty posmak przemocy. To tak, jak przekonanie, że dzień urodzin władcy jest szczęśliwy. Nawet dzisiaj się tak uważa.

-Rozumiem.

-Rzecz w tym, że Gra tak naprawdę nie jest czymś, co pozwala zobaczyć przyszłość. Tylko wspomaga i wzmacnia zdolność prawidłowego zgadywania.

-Jak?

-Ujmując to najprościej, myślę, że przyspiesza pracę mózgu. Albo pomaga się lepiej skupić, co - jak mi się zdaje - na jedno wychodzi. To tworzy grachronię. Kiedy więc...

-Chwileczkę, co to jest „grachronia”?

-Taki żargonowy termin ze StrategyNet. Chodzi o to, że każda gra generuje własny, alternatywny do rzeczywistego przepływ czasu. To tak samo, jak w grach strategicznych, gdzie używa się innych miar czasu niż te z zegarka na przegubie, miar często niezwiązanych nawet z upływem czasu, lecz ze zdarzeniami w grze. Wie pani, o czym mówię, prawda?

-Jasne.

-Zwykle grę mierzy się na tempa. To znaczy w ruchach. Jeżeli gracz wykona ruch, na którym nic nie zyskuje, traci tempo. Czas mierzony zegarem jest jedynie udogodnieniem, które nie ma nic wspólnego z dynamiką rozgrywanej partii.

Skinęła głową.

- Jeżeli ruchy nie posuwają gracza do celu, jeżeli nie pozwalają mu wystarczająco szybko zbierać przedmiotów lub kluczy itepe, jeżeli nie utrzymują go w grze - to znaczy, że gracz ma za wolne tempo.

Marena znowu przytaknęła, że rozumie.

- Zatem czas gry, grachronia, jest odmierzany zmianami stanu gry, a nie upływem czasu.

I jeszcze jedno skinienie głowy.

- To pojęcie dotyczy czegoś jeszcze. Na pewno zauważyła pani, że kiedy się gra, wszystko wokół wydaje się dziać o wiele wolniej?

Skinienie głowy.

Tym razem to ja zamilkłem.

- Mówi pan - przerwała ciszę - że to tylko odczytuje kilka ruchów naprzód?

W go odczytywanie oznacza przewidywanie kolejnej sekwencji ruchów. Zawodowi gracze w go potrafią odczytać setki ruchów naprzód.

- Właśnie - przyznałem. Tak jest, pomyślałem. O to chodzi! Więż! Więż z grą! Braterstwo graczołohików! Teraz, rzecz jasna, bez waha nia pokażesz mi księgę, czyż nie? Oczywiście.

Rzecz w tym, że ci z nas, którzy grają w poważne gry - czyli takie, które matematycy określają jako nieszablonowe, jak go, *shogi*, brydż, poker czy Gra Ofiarna, lub w te należące do najważniejszych komputerowych rozgrywek, jak „Sims” - przeczuwają, że istnieje inny i bardziej uporządkowany, celowy świat - świat gry, dostrojony do silniejszej fali. Ta wiedza jednak czyni z nas wygnańców. I, oczywiście, wywołuje w nas poczucie wyższości nad innymi, pomimo że tamci wydają się zdrowsi, szczęśliwsi i bardziej spełnieni socjoekonomicznie, przez co my stajemy się nie do zniesienia.

-Ale odczytywanie naprzód wystarcza do robienia dobrych inwestycji - stwierdziła Marena.

-Tak przypuszczam.

-Jak rozumiem, dokonał pan wielu opłacalnych transakcji.

-Mogę spytać, według kogo?

-Według FIRMY - zaakcentowała ostatnie słowo, jakby miało jakieś nadrzędne metaforyczne znaczenie, niczym z powieści Grisha-ma.

-Hm.

-Proszę się tym nie martwić.

-Dobrze.

-A zatem nie wyczytał pan żadnych apokaliptycznych... to znaczy żadnej nadchodzącej katastrofy za rok, prawda?

-Chodzi o 4 *Ahau*<sup>7</sup>. Koniec kalendarza?

-Właśnie. Dwudziestego pierwszego-dwunastego-dwunastego.

-Nie, nie wyczytałem - potwierdziłem. - Przynajmniej jeszcze nie.

To było dobre. Chyba. Miałem wrażenie, że zbliżamy się do końca rozmowy, jakbym słyszał brzęk pustej butelki. No, dalej. Jak mogę stać się dla tej kobiety niezastąpiony? Muszę szybko coś wymyślić, coś przekonującego, spektakularnego, wstrząsającego... Nie, nie warto nawet próbować. Ale można zapytać.

-Mam pytanie - rzuciłem.

-Słucham.

-Dlaczego dział rozrywkowy sponsoruje badania Taro? O ile wiem, to niezupełnie rozrywka.

- Wszystko jest teraz rozrywką - zaproponowała Marena.

Pewnie. Tylko pokaż mi księgę, pomyślałem. Pokaż mi KSIĘGĘ.

Pokaż MI. Księgę. MNIE.

- Zresztą Lindsay zawsze był dobry w rozszerzaniu rozrywki na inne dziedziny. To dlatego studio zrobiło remake filmu „Niemy wyścig” - ponieważ firma kupiła Botaniat, producenta zamkniętych systemów hydroponicznych.

Oczywiście.

- A jedno z drugim się łączy.

Świetnie, pomyślałem, po prostu świetnie. Przetrwanie. Survival. Jeszcze więcej mormońskich bzdur. Zapasy na mękę. Przecież nie można spotkać się z Jezusem o pustym żołądku.

-Zainteresowanie survivaliem rośnie - stwierdziła. Najwyraźniej dostrzegła, o czym myślałem. Jak ja nienawidzę psychologii!

-Aha - mruknąłem. - Dorastałem w Utah...

-Ach, tak...

-Więc niewiele wiem o survivalu.



- No tak.

-Właśnie.

-Widzi pan, to prawda, że Lindsay jest jednym ze Świętych i w ogóle. Właśnie został wybrany do Siedemdziesiątki.

No, pięknie. Rada Siedemdziesięciu stanowiła organ władzy u Świętych w Dniach Ostatnich, coś jak konklawe kardynałów.

-Ale ja prawie nie rozmawiam z tymi ludźmi.

Pewnie.

-Przerażają mnie - wyznała.

To miło, że chce mi poprawić nastrój, pomyślałem. Ale nie to...

-Na szczęście, Lindsay jest o wiele bardziej oświecony niż reszta. W każdym razie ci ludzie finansują projekty, jakich nikt inny nie chce nawet tknąć.

-Jak zimna fuzja?

-Tak, takie też - potwierdziła. - Ale też tysiące innych. Nie wszystkie dotyczą przemysłu energetycznego lub łatwych zysków.

Jasne. Ci, którzy nie mieli szczęścia mieszkać i/lub pracować w Salt Lake i okolicach, pewnie nie wiedzą, czego dotyczy kwestia wspomniana przez Marenę. Wszystko zaczęło się w roku 1989, gdy uniwersytet w Utah puścił fałszywą pogłoskę, że udało się tam uzyskać zimną fuzję, oraz od skandalu związanego z promem kosmicznym „Challenger”, kiedy to okazało się, że mormoński kongresman skierował budowę promu do Morton-Thiokol, co wyssało z przedsięwzięcia miliony dolarów i przyniosło wątpliwe rezultaty, jak niektórzy może pamiętają. A to był zaledwie wierzchołek góry lodowej. Śmieszne, ile głupich i bezsensownych badań finansowali mormoni. Przynajmniej ci z południowo-wschodnich stanów. Organizacje Świętych w Dniach Ostatnich wydają rocznie miliony na wykrywanie duszy, pamięć genetyczną, badania nad DNA wspomagające genealogię, wątpliwe projekty archeologiczne, oznaki końca świata i tym podobne pseudonaukowe bzdury. Szczyt głupoty mormoni osiągnęli chyba w 1998, gdy para badaczy z Instytutu Fizyki Stosowanej w Layton oznajmiła, że zmieszali kwantową pianę i stworzyli uniwersum w bańce. To znaczy -po raz pierwszy od Wielkiego Wybuchu. Zdublikowany wszechświat

miał się kształtować wewnątrz naszego. Naukowcy dodali, że oba wszechświaty powinny być identyczne w chwili rozszczepienia, ale ze względu na subatomową przypadkowość szybko zaczęły się tworzyć w nich różnice. Kiedy dziennikarz z CNN spytał, gdzie jest ten nowy wszechświat, starszy z rozmówców odpowiedział: „Właśnie się w nim znajdujemy”. Niestety, choć bez zaskoczenia - rezultatów tego eksperymentu nie udało się powtórzyć.

-Zresztą - Marena Park podjęła rozmowę - lepiej wypadam w sprawozdaniach i wnioskach o budżet, odkąd mam na liście projekt związany z Majami.

-Rozumiem.

Znowu zapadła cisza. No, świetnie, pomyślałem. To chyba znaczy, że do niczego jej nie jestem potrzebny. Pozostaje mi tylko wymknąć się stąd po cichu z podwiniętym ogonem i...

-Czy to prawda, że umie pan czytać pismo Majów? - zapytała nagle.

-No... Tak. Jestem w tym całkiem niezły. Chociaż to nie jest takie normalne czytanie, zazwyczaj w zapiskach nie pojawiają się nawet pełne zdania, sporo zależy też od interpretacji.

-Jasne. I zapewne chciałby pan rzucić okiem na Kodeks Koh?

-No pewnie. Oczywiście, że chciałbym - powiedziałem, TAK, TAK, TAK!

-Problem w tym, że Kodeks nie został jeszcze opublikowany, więc nie wolno mi go udostępniać. To największa tajemnica od czasu operacji nosa Natalie Portman.

- Och...

Cisza.

- Ale... Bo ja wiem? - westchnęła Marena. - Może gdyby chciał pan pracować znowu z Taro i wpadłby, gdy profesor zacznie kolejne testy... Ale to nie nastąpi szybko, niestety.

Jasne, dzięki za wyproszenie mnie. Jestem frajerem. Odruchowo zacisnąłem dłonie na poręczach krzesła, niechący prowokując je do ponownej próby dostosowania się do moich kształtów. Właśnie doświadczałem tak głębokiego rozczarowania, że chyba sięgało poziomu

molekularnego - jak odwrotna transformacja w Załodze G, jak koniec zjazdu kolejką w parku rozrywki Six Flags w Teksasie, jak... Nieważne. Tak czy inaczej, spieprzyłem, a wszystko, co mówi Marena, to tylko dym w oczy. Pewnie FIRMA chce zrobić z Kodeksu sensację na miarę tej, która wybuchła przy zwojach znad Morza Martwego, albo tak naprawdę Warren nie ma nic ciekawego, może ten Kodeks to jedynie zestawienie tablic astronomicznych dotyczących Wenus, parę starych imion i ewentualnie przepis na sos z awokado, czyli guacamole...

-Chciałby pan zobaczyć stronę Końca Kalendarza? - zapytała nagle Marena. - Chyba nie wpadnę w kłopoty, jak ją panu pokażę...

-Och, jasne...

Och, Boże, BOŻE mój! Panie WszechMOGAĆY! A1LELUJA-A! Alle--  
LU-JA!

-No dobrze. - Sięgnęła do szuflady i bez patrzenia znalazła komórkę z wielkim wyświetlaczem. Wpisała coś, przycisnęła kilka guzików. Pochyliłem się bardziej, bo nie mogłem się doczekać, ale zaraz trochę się opanowałem. Lepiej nie kusić losu.

-Mam podpisać jakieś zobowiązanie o zachowaniu tajemnicy?

-zapytałem na wszelki wypadek. Wzruszyła ramionami.

-Może pan mi dać zakładnika.

-To ja jestem zakładnikiem.

Marena położyła telefon na biurku, odwróciła go i przysunęła w moją stronę. Był to nowy model z wyświetlaczem trójwymiarowym. Na ekranie widniała długa, wąska stronica - żadnego rozmycia, żadnych pikseli. Skamieniały arkusz z kory figowca zapewne nie widział słońca przez stulecia, ponieważ trzeba było chronić jego delikatne barwniki przed zblaknięciem, za to cyfrowa wersja, jaka powstała po zeskanowaniu, była całkiem jaskrawa i jej kolory odcinały się od czarnych konturów jak na średniowiecznym witrażu.



Plansza do Gry znajdowała się na środku, pomiędzy dwiema figurami. Po lewej z ramionami splecionymi na piersi siedział władca w regaliach jaguara. Według adnotacji Michaela Weinerja, które irytująco polatywały nad skanem stronicy, był to zapewne 9 Szponiasty Koliber, *ahau*, który rządził od 644 do mniej więcej 666 w mieście na Alta Verapaz, zidentyfikowanym przez grupę Weinerja jako Ixnichi-Sotzor, obecnie w ruinie przez miejscowych nazywanej po prostu Ix.

Glify emblematowe nad drugą postacią, która siedziała z twarzą zwróconą w przyszłość, czyli na południowy zachód planszy» można by chyba odczytać jako Ahau-Na Hun Koh, czyli Pani 1 Ząb.



Prawą dolną część jej twarzy, a także prawą rękę, mającą, zapewne z powodu *lapsus peniculus*, jak się wydawało, siedem palców, pomalowano na czarno. Styl stroju częściowo wskazywał na pochodzenie z Teotihuacan, ówczesnej stolicy Wyżyny Meksykańskiej. Widać też było znak ptaka muwan oraz znajdujący się nad postacią kobiety poziomy znak dwugłowego węża, a pod nimi stworzenie, które specjaliści od kultury Majów nazywają Cauac Monstera - krępa, wstrętna

sylwetka ni to aligatora, ni to ropuchy, z rozwartą paszczą gotową do połknięcia całej sceny. Rząd hieroglifów na górze mówił, że Gra miała miejsce 9 Pan, 13 Zgromadzenie, 9.11.6.16.0, czyli 28 czerwca 659 roku naszej ery, w czwartek. Kolejny rząd na dole podawał początkową datę, od której zaczyna się rachuba kalendarzowa Majów, a potem następował blok dziesięciu ideogramów:



To na pewno część ostrzeżenia. Tłumacze skatalogowali już główne daty, przypisali je do zjawisk astronomicznych i udokumentowanych

wydarzeń historycznych oraz hipotetycznych zdarzeń z przyszłości. Niektóre z liczb zapisano formalnie, ideogramami głów, a niektóre tylko uproszczonymi znakami złożonymi z kropek i poprzeczek. Znajdowały się wszędzie i zawsze odnosiły do oznaczeń czasu.

Hm. Jeżeli jednak przyjrzeć się czasownikom, blok sprawiał wrażenie, jakby stanowił zapis wyników rozgrywek. To znaczy terminologia przypominała tę, której Majowie używali do opisu świętej gry w piłkę. Gra była czymś pomiędzy siatkówką, piłką ręczną i futbolem, rozgrywano ją twardą gumową piłką wielkości tej do koszykówki, odbijaną biodrami i udami. Karta kryła wiele dziwactw - a skoro stanowiła zaledwie drobny fragment, jedną osiemdziesiątą, to cała księga była bezcennym skarbem, bonanzą. Największym problemem epigrafów zajmujących się dorobkiem Majów jest to, że do współczesności zachowało się bardzo niewiele inskrypcji. Dlatego do większości słów można dopasować tylko jeden glif, nie ma alternatywnych wersji z użyciem danego znaku...

Marena musiała odezwać się już wcześniej, ale chyba jej nie słyszałem.

-Jed?

-Och? Przepraszam. Zamyśliłem się. Ujrzenie tej księgi to dla mnie ogromne przeżycie...

-Mogę zwracać się do ciebie po imieniu?

-Hm? Och, jasne. To przecież USA, ludzie, których nigdy nie widziałem, mówią mi po imieniu.

-No tak. I co myślisz o karcie?

-Cóż... - Zmarszczyłem czoło w zamyśleniu. - Język to na pewno dialekt nizinny z okresu klasycznego. Ale grafologia, to znaczy styl hieroglifów, wygląda mi bardziej na taką z okresu poklasycznego, czyli między dwunastym a czternastym wiekiem naszej ery. Tak na oko.

Czy to test? Jeżeli nie wpadnę na coś odkrywczego, nie będę mógł zerknąć do Kodeksu jeszcze raz?

- To prawda. - Marena skinęła głową. - Michael powiedział, że to kopia wykonana siedemset lub osiemset lat po napisaniu księgi. Ale nadal przed... e... kontaktem.

Ach, ta poprawność polityczna. Naprawdę nie da się ukryć, że ten kontakt był zwyczajną konkwistą - Marena niepotrzebnie się wysilała.

-A czy Michael Weiner jest pewien, że ta lady Koh żyła na terenach Majów? A może pochodziła z Teotihuacan?

-Nie wiem, nie mówił. Czy tak właśnie się wymawia tę nazwę?

-Co? Och, tak. *Tej-ou-tii-huha-cun*.

Szlag, rozegrałem partię, by się dowiedzieć, i cały czas wymawiałem to źle.

-Nie przejmowałbym się tym specjalnie. Niewiele wiadomo o Teotihuacan. Włącznie z kwestią, jak się naprawdę nazywało.

-Niesamowite.

-Tak. To bardzo tajemnicze miejsce.

To prawda. Nikt nie wie, jakim językiem mówili jego mieszkańcy i jak siebie nazywali ani kim byli ich przodkowie. A przede wszystkim nie wiadomo - i to jest największa zagadka Teotihuacan - dlaczego właśnie to miasto przetrwało o wiele dłużej niż inne w Ameryce. Rozwijało się i przez osiemset lat było praktycznie środkiem Mezoameryki. Nawet po zniszczeniu Teotihuacan obszar zachował swoją moc. Siedemset lat później, za panowania Azteków, na tym samym terenie wznesiono największą metropolię półkuli południowej. Dzisiaj, czyli pięć stuleci później, znowu znajdowało się tutaj duże miasto.

-Co jeszcze cię uderzyło, gdy oglądałaś kartę? - zapytała Marena.

-Daty wyglądają dość przejrzysto - stwierdziłem. - Ale niektóre z czasowników są przewrotnie użyte. Założę się, że większość z nich występuje w unikalnych wariantach. Musiałbym spędzić trochę czasu nad tą kartą i sięgnąć do swoich słowników.

-Dotknij w dowolnym miejscu, a pojawi się tłumaczenie Michaela Weinerja.

Zrobiłem, jak kazała. Rzędy glifów poszarzały i na ich tle rozbłysły błękitem wyrazy angielskie. Tak na oko Weinerowi udało się przełożyć dziewięćdziesiąt procent tekstu.

- Hm... Nie widzę błędów.



Zawsze mi się wydawało, że Michael Weiner to trochę dupek, ale może się myliłem. Przecież go nie znałem. Widziałem go kilka razy w „Tajemnicach starożytności” - dużego, brodatego, mówiącego basem Nowozelandczyka, któremu jakimś cudem udało się wcisnąć do grona archeologów badających Nowy Świat. Discovery Channel próbował wykreować Weinerja na swoisty ekwiwalent Steve'a Irwina, tyle że na polu badań kultur mezoamerykańskich. Pamiętam, jak Weiner, przechodząc przez plac targowy Teotihuacan, stwierdził: „Oto Rodeo Drive starożytnego Meksyku”. Świetny tekst, bracie. A ty jesteś Ben-nym Hillem współczesnej archeologii.

Ale całkiem sporo wyciągnął z tej karty. Wszystkie znane teksty Majów są irytująco lakoniczne. Ten, który miałem przed sobą, był najbardziej opisowym, jaki widziałem. No, ale też nie ma tego dużo do oglądania, co tu kryć. Pierwsza fraza, *bolon tan*, oznaczała dziewiąty cel, z czego wynikało, że wcześniej zapewne była mowa o ośmiu celach, zadaniach, jeńcach - na stronach, których nie czytałem. To znaczyło także, że do Gry użyto dziewięciu osobnych pionków-uciekierów, czy raczej ofiar lub nawet piłek, zamiast jednego. A to czyniło Grę dwieście sześćdziesiąt do dziewiątej potęgi, czyli 1411 670 956 537 760 000 000 000, razy trudniejszą niż w wersji z jednym pionkiem, jaką stosowaliśmy Taro i ja.

Wyglądało na to, że za każdym razem, gdy pion został złapany, stało się to na innym skrzyżowaniu planszy, a każde z tych skrzyżowań odpowiadało konkretnej dacie w kalendarzu Majów. Weiner określił, że dotyczą one głównie okresu klasycznego. Każda z tych dat zapisana została kolumną glifów, która w dolnej części zawiera znaki mówiące, co się stało w określonym dniu lub co ma się stać. Większość dotyczyła zjawisk astronomicznych, ale w dole niektórych kolumn pojawiły się wzmianki o zdarzeniach historycznych. Pierwsza linia glifów przy dwunastym celu zaczynała się od daty: 3 Ząb, 15 Ozdobny Sęp, 10.14.3.9.12. Weiner przeliczył ją prawidłowo na 30 sierpnia 1109 roku. Notka, jaką załączył, głosiła: „Opuszczenie Chichén?”. Jak powie każdy przewodnik, Chichén Itzá było największym ośrodkiem Majów w okresie klasycznym. Kolejną datą był 14 maja 1430 roku.

Notka wyjaśniała, że to dzień zdobycia Champotón przez meksykańskich wojowników. W tamtym okresie Champotón w Campeche na Jukatanie stanowiło miejsce *k'atun*, czyli ośrodek najbardziej zbliżony do stolicy uznawanej przez wszystkie społeczności Majów. Jak dla mnie lokalizacja wydawała się zbyt dokładna, ale kiedy kliknąłem w notkę, rozwinęło się okno z szerszym wyjaśnieniem. Okazało się, że Weinerowi udało się dopasować położenie geograficzne na podstawie danych astronomicznych zawartych w Kodeksie. Dokładniej rzecz ujmując, Weiner miał podaną szerokość geograficzną do każdego opisanego wydarzenia. Kliknąłem na znaki opisujące zjawiska astronomiczne - i rzeczywiście, pasowały. Każda grupa glyfów astronomicznych wskazywała na opis miejsca, do którego się odnosiła, po czym osobno pojawiały się dla tego miejsca dane o pierwszym zenicie słońca, czyli pierwszym dniu wiosny, kiedy słońce znajduje się w najwyższym punkcie nad ziemią - a, rzecz jasna, im dalej na północ, tym później nadchodzi ten dzień.

-Wiesz może więcej o współrzędnych geograficznych w tym Kodeksie? - zapytałem Marenę.

-Co proszę?

-Nigdy nie widziałem inskrypcji, w której Majowie wymieniliby dokładną lokalizację. Oczywiście rozumiem, jak została obliczona, ale to całkowita nowość.

-Aha.

-Mógłbym zobaczyć inne karty?

-Hm... - zastanowiła się. - Zgoda, ale nikomu nie mów.

Pochyliła się i nabazgrała coś na swoim dużym ekranie dotykowym. Przeskoczyłem do następnej strony. Nie było tam żadnych obrazów, ale glyfy opisywały kolejne zdarzenie - w 1498, w Mayapan - coś o tym, jak Roześmiani Ludzie, czyli Ixianie, zostaną zjedzeni przez krwawniki, czyli rubiny lub przenośnie - krosty. Weiner przylinkował notkę: „Przywiezienie ospy z Hiszpanii?”. Piętnasty cel miał datę 20 lutego 1524 roku. Kodeks opisał ją jako: „Łzy [za] miedzianym olbrzymem”, a poniżej Weiner zanotował: „Ostatni stawiający opór Majowie poddali się Pedro de Alvarado po bitwie o Xelaju”. Następ-

na była data, którą pamiętałem tak dobrze, jakbym miał ją wytatowaną na przedramieniu: 10 Ostrze, 16 Mroczne Jajo, 11.17.2.17.18, czyli 12 lipca Anno Domini 1562. Weiner opisał to jako „autodafe, Mani”. Był to dzień, w którym *fra* Diego de Landa spalił wszystkie ocalałe księgozbiory Majów z Jukatanu. Mam głęboką i szczerą nadzieję, że nie jestem w żaden sposób spokrewniony z tym draniem.

Zaczynało mnie ogarniać niepokojące uczucie, gdy patrzyłem na kartę. To musi być fałszerstwo, pomyślałem po raz kolejny. Ale księga nie wyglądała jak inne podróbki. Była zbyt dziwaczna. Dobre fałszywki charakteryzował konserwatyzm. A Kodeks był dziwny nie tylko ze względu na to, co opisywał, lecz także - jak. Pojawiało się w nim zbyt wiele glifów w nieznannej formie, czego można się spodziewać właśnie po tekście znalezionym w mieście trochę mniej znaczącym niż główne ośrodki kultury Majów. Co oczywiście genialny fałszerz mógł podrobić... ale trudno mi było zlekceważyć wrażenie autentyczności, jakie wzbudzały we mnie oglądane karty. Miałem niejasne przeczucie, że są prawdziwe.

-Czy Taro wspomniał może, ile kamieni zostało użytych? - zapytałem Marenę.

-Nie rozumiem?

-No, pionków. Ile ich Majowie użyli do Gry.

-Nie wiem, o co chodzi.

-Nieważne, spytam później Taro.

Siedemnastym celem okazał się 13 marca 1697, kiedy to Martin de Ursúa y Arizmendi pojmał *ahau* Kan Ek', króla Nojpetén w Tayasal nad jeziorem Peten Itzá, ostatnim przyczółku tradycji i kultury Majów. Nojpetén było ostatnim miejscem, gdzie prowadzono Długą Rachubę.

Następnym celem był 29 lipca 1773 - trzęsienie ziemi w Antigua Ciudad Guatemala, po którym zdecydowano o przeniesieniu stolicy tam, gdzie znajduje się obecnie. A potem 4 maja 1901 - dzień okupacji Chan Santa Cruz, ostatniej twierdzy Majów-rebeliantów na Jukatanie. Datą czwartą od końca był 9 listopada 1954. W wolnym przekładzie opis dnia głosił:

„Ostatniego *b'ak'tun*,  
Siedemnastego *k'atun*,

Pierwszego *tun*,  
Zerowego *uinal*, I  
trzynastego słońca,

6 Trzcina, 4 Biel,  
Kaminaljuyu, Nie  
Kaminaljuyu:

Wielu jest oszukanych  
Przez dalekiego  
*ahau*, A my  
dźwigamy winę.

Umykamy  
Przed cuchnącymi gównem ludźmi.

Kryjemy się w krzakach Jak  
małpy, jak szczury. Gotujemy  
się na szarosć".

Był to dzień, gdy Carlos Castillo Armas wmaszerował do Guate City po zamachu stanu przeprowadzonym przez CIA i - jak gdzieś wcześniej wspomniałem - sprawy zaczęły iść bardzo źle. A od tej daty do końca pozostały tylko trzy. Jedną była ta, o której przeczytałem w „Timesie” - data wybuchu w Oaxaca:

„Ostatniego *b'ak'tun*,  
Dziewiętnastego *k'atun*,  
Szesnastego *tun*,

Siódmego *uinal*,  
Zerowego słońca,

4 Pan 18  
Jeleń

Teraz  
Pod Choula  
Nasze imiona nie zostały stworzone,

W czystym jeziorze noży, A  
my dźwigamy winę".

Ostatnia data to wielki dzień. Miał nadejść za niecały rok: *Kan Ahau, OxK'ank'in*, czyli 4 Pan, 3 Żółć, 13.0.0.0.0. albo 21 grudnia 2012-  
ostatni dzień w kalendarzu Majów i data, którą ludzie posępni i ła-  
twowierni ogłosili końcem czasu.

.Ostatniego  
Ostatniego *k'atun*,  
Ostatniego *tun*,  
Ostatniego *uinal*,  
Ostatnie słońce,  
Ostatnia warta,  
4 Pan,  
3 Żółć:

Bezdymnymi oczyma  
Rozrywacz Ciała widzi

Czterystu Chłopców I co  
mówią.

Są czymś więcej niż wcześniej, A  
jednak są niczym.

Błagają go, by im dał  
To, czego Rozrywacz Ciała  
może im tylko odmówić.

Wszystkie słońca  
Ich radości,

Wszystkie słońca  
Ich mąk:

Wszystko łatwo pokonać.

Poszukaj miejsca  
Kłamstwa i zdrady:  
Nadal go nie widzisz.

Szukaj wszędzie Rozrywacza  
Ciała: jednak Nie możesz go  
złapać i jednak Nie ujrzysz jego  
twarzy.

Słońca bez nazwy  
Nazwy bez słońc:

Weź dwa z dwunastu: A  
wyjdzie ci Oszust,

Samowładny Jedyny Ocelot".

Hm... Popadłem w głęboki namysł.  
Niezbyt jasny opis. Trzeba się nad nim dobrze zastanowić. *En todos modos*, jaka jest najbliższa data do dzisiejszej w tym Kodeksie? Wróciłem do drugiej przed końcem: 9 *Imix*, 9 *K'ank'in*, 12.19.19.0.1,

czyli 28 grudnia 2011, środa. Pięć dni od dziś. Opis dnia z grubsza był następujący:

„Ostatniego *b'ak'tun*, W jego  
dziewiętnastym *k'atun*,

Dziewiętnastym *tun*,  
Zerowym *uinal*,  
pierwszym słońcu,

Na 9 Morski Grzechotnik i 9 Żółć:

Teraz wielu pognało na północ  
I do miasta  
Pielgrzymów w świetle dnia.  
To się kończy w zerowe słońce,  
Kiedy czarownik roznieca ogień  
Z ostrzy, z krzemienia,  
A my dźwigamy winę".

Weiner zapisał też bardziej dosłowną translację trzech glifów ze środka ostatniego wersu:



Zero-słońce



zakończy



miejsce  
światła dnia



pielgrzymów cenne  
miejsce ze schodami.

Prawda, że hieroglify na samym końcu po lewej, głowa z ręką na policzku, można przetłumaczyć jako „zero”, ale także „uwieńczenie” lub „początek”. Ręka zaś oznacza, że człowiek ów będzie miał wyrwaną szczękę, co było zapewne jedną z ulubionych przez moich przodków

metod wymierzania okrutnej kary. Przypuszczam jednak, że to dobrze, jeżeli posiada się rękę. Za to drugi glif - dłoń sięgająca po ozdóbkę, ale jej nie dotykająca - bez wątpienia znaczy „koniec”. Ideogram symbolizujący podróż lub pielgrzymkę też był bardzo oczywisty... ale drugiego elementu czwartego glifu, tego z trójkątami na cztery strony, nigdy nie widziałem.

Hm... Istnieje zawsze możliwość, że ta lady Koh czy ktokolwiek, kto stworzył ten tekst, też nie widziała takiego znaku. Może akurat osoba przepisująca lub pisząca księgę popadła w zadumę i po prostu zebrała te nagłe rozproszone myśli razem. Mnie przytrafiło się to samo całkiem niedawno - w pracowni Taro. A tak w ogóle, zdarza mi się to niekiedy. Przez głowę przepływają wtedy obrazy, ale nie można ich powiązać z określonym czasem lub miejscem czy nawet okolicznością. A często, gdy wypłyną z pamięci później, odnoszą się do czegoś, czego się absolutnie nie można było spodziewać.

W innym przypadku... hm. Dane astronomiczne wyglądały na poprawne, ale kwestia szerokości geograficznej była niejasna. Niepokoiło mnie to i kłopotalo - chodziło o coś więcej niż słońce nad głową, co Weiner zinterpretował jako zwrotnik Raka. W notatce dorzucił: „Monterrey, Meksyk?” - jako prawdopodobną lokalizację zapowiadającego w księdze zdarzenia. Jakie jeszcze miasta są...

Zaraz, zaraz, pomyślałem. O, cholera. BEZ NAZWY. To na pewno nie to. ZA NIC. To jakiś żart...

-Patrzysz na punkt dwudziesty ósmy? - wyrwała mnie z gorączkowych myśli Marena.

-Uch, tak.

-I co myślisz?

-No, to naprawdę wygląda dziwnie.

Nie powiedziałem, że i mnie wyszło parę dziwnych wyników w odniesieniu do tej daty. Nie cierpię mówić jak kawiarniane medium.

-To naprawdę zły dzień?

-To zależy, kim jesteś. Wiesz, w kraju ślepców...

-Jasne, jasne. A co myślisz o przekładzie Michaela?



-Cóż... Przede wszystkim wydaje mi się, że pierwszy glif tutaj oznacza nazwę miejsca. To nie jest zwykłe miasto, jak to zinterpretował Weiner. Chodzi o szczególne miasto.

-No i co to za miasto?

-Sama zobacz. - Odwróciłem komórkę i przesunąłem do niej. Marena pochylała się nieco, kosmyki jej włosów niemal musnęły mi czoło. - Infiks ma, eee...

-Co to jest infiks?

-To takie coś, co dodajesz w środku wyrazu. Albo w tym przypadku - w środku hieroglifu. Na przykład angielski ma prefiksy i su-fiksy, ale żadnych infiksów...

-A co z „kurwa”?

-Z czym? - Spojrzałem na nią zaskoczony.

-No wiesz, jak wtedy, gdy się mówi: prze-kurwa-ślicznie.

-Och. No tak, masz rację. Może zatem jeden jest.

-No nieważne, *mian hamnida*, mów dalej, proszę.

-Jasne. Hm... Widzisz ten toponim, to jest piktogram w środku, ten w kształcie krzyża z czterema jakby piramidkami?

-Tak.

-Weiner nie dał sobie z nim rady. Ten toponim jest inny niż znaki miast. To kosmogram, który bardzo przypomina planszę Gry Ofiarnej. Wiesz, że Taro prowadził badania nad Grą, prawda?

-Wiem o tym bardzo niewiele.

-Ale wiesz, że plansza ma pięć kierunków?

-Nie cztery?

-Cztery strony świata i jeszcze środek.

-A, tak, tak.

-Chodzi o to, że każdemu kierunkowi odpowiada inny kolor. Rozumiesz?

-Jasne.

-Wielu Indian i mnóstwo Azjatów właśnie w ten sposób wizualizuje sobie strony świata.

-Naprawdę?

-Owszem. A czy Taro wspomniał ci o Dżajpurze?

-O czym? - zdziwiła się Marena. - Nie, nic nie mówił.

-Ale wiesz, że Dżajpur to miasto w Indiach, prawda?

-*Aniyo*. - Potrzaśnęła lekko głową tak, że nawet gdy się nie znało koreańskiego, można było się domyślić, że to przeczenie.

-Okej, dobra... Ale wiesz, że badania Taro opierają się na hipotezie, że dawna wersja Gry Ofiarnej dała początek większości współczesnych gier? A może nawet wszystkim grom? Jak wiesz, nawet szachy i go opierały się na czterostronnej symetrii, to znaczy na początku były przeznaczone dla czterech graczy. I na pewno takie gry jak brydż, madżong czy tryktrak są...

-Taro powiedział, że chodzi o grę podobną do chińczyka - zaproponowała Marena.

-Owszem - zapewniłem. - A dokładniej, chodziło o Parcheesi, najstarszą grę wywodzącą się z Gry Ofiarnej. Nadal się w nią grywa. Parcheesi była świętą grą braminów. Do dziś na całym świecie istnieją setki wersji, a jedną z nich jest właśnie chińczyk. Plansza do Parcheesi to także *thanka*. No wiesz: mandala. Jak ta do medytacji i różnych takich.

-Głupio się czuję, wiesz? Okazuje się, że chociaż projektuję gry, niewiele o nich wiem.

-Co tu kryć, to dość ezoteryczna wiedza.

-No tak.

-Wracając do meritum, chodzi o to, że mądale nie służyły tylko do tego, by na nie patrzeć. Grało się na nich. Albo chodziło po nich. Choćby pagody w południowo-wschodniej Azji - są zbudowane na planie mandali. Można też powiedzieć, że na bazie planszy do Parcheesi. Na tej samej zasadzie, jak katedry gotyckie budowano na bazie krzyża. A w całej Azji pełno jest świątyń, stup i innych takich...

-O rany.

-A Dżajpur to całe miasto wzniesione na planszy do Parcheesi.

- Ach, *narohodo* ~ westchnęła. - To znaczy rozumiem.

Podkreśliła przesadnie swoje azjatyckie korzenie. Dobrą stroną obcego pochodzenia jest świadomość, że przynajmniej z tego można drwić bez oglądania się na polityczną poprawność.

-Ale jest także mnóstwo wersji tej gry z Mezoameryki. Nie tylko Gra Ofiarna. Aztekowie mieli grę jak Parcheesi, którą nazywali *pa-tolli*. Montezuma grał w nią z Cortezem. I tak jak w Azji, to nie był jedynie prosty wzór na planszy, ten sam wzór powtarzał się choćby na boiskach Majów do gry w piłkę, zapewne także w ich piramidach, a czasami całe miasta były rozplanowane według tego właśnie wzoru. I, jak w Dżajpurze, odbywały się procesje i podobne ceremonialne pochody, które wyrażały lub symbolizowały coś innego zależnie od kierunku, w jakim się przemieszczały. Rozumiesz, o czym mówię?

-Chyba tak.

-Każdą częścią planszy albo w tym przypadku miasta, każdą stroną świata rządził inny bóg, zatem obowiązywały tam inne zasady, inne rytuały, które należało przeprowadzić w innych, określonych dniach i porach. W różnych częściach miasta obowiązywały nawet różne rodzaje potraw. Na dodatek kierunek północno-zachodni i południowo-zachodni symbolizowały ziemię i świat podziemny, natomiast północno-wschodni i południowo-wschodni to jakby niebo i gwiazdy. Środek stanowił natomiast kierunek piąty.

-Dlaczego nie ma sześciu kierunków? Cztery strony świata oraz góra i dół?

-Góra i dół to zupełnie inny zakres. Z dwudziestoma dwoma pozostałymi wchodzi do warstw wszechświata. Środek to kierunek w tym sensie: jestem tutaj. Albo... Cóż, pewnie się rozpędziłem i za dużo gadam.

-Nie, proszę - zapewniła. - Mów dalej.

-Strony świata, kierunki, są związane również z czasem, okresem lub porą. Wschód to przyszłość, zachód to przeszłość. Północny zachód jest związany z kobiecością, a także z hipotetycznością. Południowy wschód natomiast jest męski, zwykle interpretuje się go jako kierunek, który wiedzie do tu i teraz w środku.

Czy jestem przekonujący? - zastanawiałem się. Powinienem się trochę bardziej wyprostować. Ale nie aż TAK bardzo...

- Wybacz, ale chyba się pogubiłam - powiedziała Marena. - Co to ma wspólnego z nazwą miejsca, o którym mówi Kodeks?

-Zmierzam do tego. Ten ostatni glif wygląda mi na miniaturową, stylizowaną mapę centrum miasta charakterystycznego dla Majów. Hieroglif można odczytać jako „cenne miejsce schodów tutaj”, ale tak naprawdę oznacza on strefę świętą, teren świątyni.

-Rozumiem.

-A sufiks znaczy, znaczy coś jak osadzenie w *k'atun*. Zatem to, co ma się zdarzyć za trzy dni od dziś, wydarzy się w mieście podzielonym na cztery kolory. Albo pięć, jeżeli weźmiemy pod uwagę piąty kierunek - centrum. Ci, którzy przebywają w tym mieście-miej-scu, uważają je za środek świata. Albo przynajmniej centrum czegoś ważnego.

-Czyli to jakieś stare miasto Majów.

-Nie, nie wydaje mi się. Przypuszczam, że chodzi o jakiś ośrodek ceremonialny, centrum rytualne, które działa do dziś. Nie stare ruiny, na pewno nie, ponieważ w tej frazie pojawia się również glif do pary, który oznacza osadzenie w *k'atun*.

-Przypomnij mi, co to jest ten kałdun?

-*K'atun*. To okres około dwudziestu lat w cyklu słonecznym kalendarza Majów.

-A, tak.

-Właśnie. Zatem osadzenie w *k'atun* oznacza, że mowa o mieście, które od około dwóch dziesięcioleci jest najważniejsze na świecie. Jak stolica. W każdym razie bardzo ważne miasto, którego okres największego rozkwitu przypada mniej więcej na teraz.

-Dobra. Czyli Majowie mieli na myśli Waszyngton. To trochę przerażające...

-Może. - Skrzywiłem się lekko. - Ale moim zdaniem Waszyngton nie pasuje do opisu.

-Dlaczego nie?

-Bo to zbyt zwyczajne, zbyt normalne miasto. A glif oznacza raczej obszar świątyni. Miasto królewskich ceremonii, nie miasto rządu. Nie musi nawet mieć mieszkańców, choć zapewne chodzą do niego pielgrzymi, by otrzymać łaski i przychylność jakiegoś potężnego zmarłego. A przy okazji mogą handlować oczywiście, robić interesy.

Ale budowle i place oraz wszystko inne w centrum tego rytualnego miasta służy tylko specjalnym celom, wielkim ceremoniom, świętom i tym podobnym okazjom. Poza tym Waszyngton nie ma konkretnych kolorów lub pór przypisanych do określonych dzielnic. No i ta stolica położona jest za daleko na północ, co się nie zgadza z koordynatami szerokości geograficznej, jaką wyliczył doktor Weiner.

-Dobrze, dobrze! - Marena uniosła ręce. - Więc twoim zdaniem jakie miasto mieli na myśli Majowie?

-To musi być miejsce, do którego z różnych stron przybywa mnóstwo ludzi, może w jakimś istotnym momencie ich życia, może w określonym wieku. I, jak wspomniałem, będzie to rodzaj świętego miejsca, rytualnego, ceremonialnego. I jeszcze musi być zbudowane w określonej konfiguracji, według określonego planu - to znaczy z dzielnicami lub częściami, które są związane z różnymi stronami świata. Każda strona musi być związana z innym kolorem i innym wycinkiem czasu, innym okresem.

-No, mów. Twoim zdaniem, co to jest?

-Disney World.

Co? Marena aż się zatchnęła. Mówię poważnie - zapewniłem.  
Człowieku, my praktycznie STOIMY w środku Disney World.

Możesz stąd zobaczyć Epcot.

-Wiem, zauważyłem.

-Pracowałam tam przez lata. Właściwie nadal mieszkam w Disneylandzie! Walt ZBUDOWAŁ MÓJ DOM.

-Wybacz, nie wiem, co powiedzieć. Może się myślę, może księga się myli...

-Może. Ale spójrz tam. - Marena zsunęła się z biurka i podeszła do okna. Była niska, lecz zwinna. - U Disneya kolory są przyporządkowane do różnych stref, jak mówiłeś. Na przykład park tematyczny Fantasyland ma czerwień jako kolor identyfikacyjny. Oczywiście, nie jest to widoczne wszędzie, tylko na logach i w pomieszczeniach obsługi, w tunelach i innych takich. Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam twoje wyjaśnienie dotyczące czasu, ale Adventureland i Frontierland leżą na zachodzie, czyli - jak się domyślam - należą do przeszłości, tak?

-Tak - potwierdziłem. Po czym wstałem.

-A park tematyczny Tomorrowland jest na wschodzie. To oczywiste - przyszłość. Ale na południu jest po prostu Main Street USA.

-Cóż, racja. Ale czy nie jest to jak... powiedzmy, teraźniejszość? Albo bardzo niedawna przeszłość?

-No tak. Ale co z Fantasylandem? To na północy. To nie jest żaden czas, żadna określona pora.

-Może to hipotetyczność - zauważyłem. - W systemie wierzeń Majów nazywało się to nieobjawione, nieujawnione.

Na długą chwilę Marena zamilkła. A potem usłyszałem:

-Szlag.

-Właśnie...

Wydawała się zaniepokojona i zmartwiona, ale nie byłem pewien, czy naprawdę mi uwiaryła.

-Dobra - stwierdziła. - Jak myślisz, co się stanie?

-Nie wiem... Zresztą nie jestem pewny tłumaczenia, to nie całym...

-Co?

- Chodzi o te glyfy dotyczące zdarzenia, które przełożył Weiner, ten kawałek: „czarnoksiężnicy rozniecają ogień z ostrzy, z krzemienia .

-No i?

-To dobry przekład, dosłowny, ale nie oddaje całego sensu tej frazy. To znaczy Weiner to przetłumaczył, ale nie zinterpretował.

-A według ciebie co znaczą te glyfy?

-Nie wiem, ale weźmy na przykład tych czarnoksiężników. To z idiomu, który dosłownie znaczy w języku Majów: ci, którzy zadają krosty, parchy.

-Czyli kto?

-Ludzie, którzy mogą wywołać chorobę na odległość. Tacy, którzy mogą spowodować u kogoś chorobę samą myślą. Czarownicy.

-Jasne.

-Ale tutaj występuje forma czasownikowa, czyli chodzi raczej o to, że ktoś rzuca krosty. Czyli to może oznaczać, że ktoś przesyła nieszczęście lub chorobę.

-Rozumiem.

-A ten fragment „rozniecają ogień” to raczej podmiot. Tak mi się wydaje. A ogień może równie dobrze znaczyć też światło lub dzień. Tak samo ten kawałek „z krzemienia”. Przypuszczam, że chodzi bar-

dziej o coś z wnętrza kamienia, ze środka kamyka, odłamka... coś w tym rodzaju.

-Więc jak się powinno przetłumaczyć tę część?

-Mniej więcej: „Światło rzuca krosty z daleka, ze skał. A my dzwigamy winę”.

-Okej. - Marena skinęła głową. Znowu zapadło między nami milczenie. - I to wszystko? - zapytała w końcu.

-Wszystko, co mi przychodzi do głowy - przyznałem.

-Czy to nam mówi coś więcej niż dotychczas?

-Um... Może nie... - urwałem. Tym razem cisza wydała mi się bardziej ponura.

-Chciałam tylko powiedzieć, że to nie jest zbyt precyzyjny opis. Nie można przecież powiedzieć ludziom, aby uważali na cokolwiek.

Pokiwałem głową.

-No cóż. - Marena westchnęła. - Nie wiem, czy powinnam się bać, panikować nawet, czy po prostu to zlekceważyć i zapomnieć.

-Wiem, jak się czujesz.

-Zresztą pewnie codziennie powstaje mnóstwo przepowiedni dotyczących parku Disneya.

-Tak... Jak zawsze.

Nie powiedziałem: „Istnieje też możliwość, że ten twój Kodeks to jedno wielkie oszustwo”, ale Marena pewnie wyczuła, o czym myślałem.

-A tak zupełnie prywatnie... Co naprawdę o tym sądzisz?

-Wiem, że ten Kodeks się sprawdza, więc traktuję poważnie to, o czym w nim napisano. Ale mogę się mylić, nie zrozumieć czegoś. Powinienem rozegrać to parę razy.

-Masz na myśli Grę Ofiarną.

-Właśnie.

-Dobry pomysł. - Marena spacerowała przed biurkiem, wydeptując w dywanie ósemkę. Nie wiedziałem, czy wypada mi chodzić za nią, więc tylko stałem za oparciem krzesła. - Możemy też zasięgnąć opinii innego specjalisty. Lub specjalistów.



-Tak.

Zatrzymała się i oboje znieruchomieliśmy na długą chwilę. To zdecydowanie zepsuło nastrój. Wreszcie postanowiłem przerwać ponurą ciszę.

-Może zapytamy Taro, co o tym myśli.

-Dobrze. - Marena energicznie skinęła głową. - Zadzwoń do niego. Ja muszę się jeszcze czymś zająć.

Tak zrobiłem. Dochodziła szósta wieczorem - pora, gdy Taro kończył swoją dziewiętnastogodzinną zmianę. Na szczęście, nadal był w pracowni, gdy zadzwoniłem. Powiedział, że ja i Marena powinniśmy do niego zajrzeć. Zapewniłem, że zajrzę, ale nie sądzę, by pani Park też przyszła. Włączyła swoją słuchawkę i była zajęta wydawaniem poleceń przez komórkę.

- Po prostu trzymaj go krótko - nakazała właśnie, a potem spojrzała na mnie. - Czekaj - zatrzymała mnie. - Rzuć na to okiem.

I odwróciła swój duży ekran do mnie. Widniało na nim sprawozdanie, które głosiło, że o tej porze roku park odwiedza prawie ćwierć miliona gości dziennie. Poniżej znajdował się spis imprez, jakie odbędą się w Disney World dwudziestego ósmego grudnia. Był tam uliczny festiwal jamajski, pokaz starych samochodów, pokazy lotnictwa, parada na pożegnanie odchodzącego na emeryturę iluzjonisty, parada tematyczna „Królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków u”, zimowy festiwal „Zapalmy lampki choinkowe na całym świecie”, zabawa z Grinchem, który ukradł święta, wielki pokaz fajerwerków w studiach MGM. Były też wystawy przed otwarciem rozgrywek futbolu, przedpremierowa wystawa dotycząca gry o piratach, zawody golfistów - ojców i synów, jak również mnóstwo imprez związanych z nowymi komiksami i grami komputerowymi - dominowała tematyka SF, fantasy, wielkie komiksy, gry i figurki i tym podobne. Miał się też odbyć koncert w nowo otwartej William Hendrix Harmony Hall. Na terenie parku organizowano też mnóstwo konferencji, włączając w to zjazdy: ortodontów, wirusologów, agentów nieruchomości, dekarzy, zaopatrzeniowców, grafików stron internetowych, wytwórców

zabawek erotycznych oraz komorników. Poza parkiem na terenie stanu Floryda odbywały się jeszcze ćwiczenia marynarki w okolicach Fort Lauderdale, wielkie regaty w Tampa i latynoska fiesta w Miami. Normalnie zasnąłbym nad takim spisem, zanim doszedłbym do końca, ale teraz byłem zbyt przestraszony, by się znużyć.

- Zauważyłeś coś? - zapytała Marena.

Zaprzeczyłem i dodałem, że i tak niczego się nie spodziewałem dostrzec, ponieważ *cuaranderos* tak nie działają.

-Szkoda, że nie jestem medium i nie mam żadnych mocy parapsychicznych. - Westchnąłem. - Ale jest jak jest. Muszę usiąść i...

-Dobra, zapomnij. - Machnęła ręką. - Ale, jak myślisz, co powinniśmy zrobić? Zakładając, że się nie pomyliłeś.

-Hm...

-Bo wiesz, jeżeli ty i ja zaczniemy po prostu dzwonić do ludzi lub wysyłać nieokreślone ostrzeżenia na prawo i lewo, to nikt raczej nie potraktuje tego poważnie.

Prawda. Spodobało mi się również, że powiedziała „ty i ja”.

-A nawet jeżeli Taro i jego grupa potraktują to poważnie i chociaż robili zlecenia dla różnych agencji rządowych, to jednak ich przewidywania dotyczyły głównie ekonomii. I nie mówiło się o tym zbyt wiele. To nie fundacja, gdzie trzeba składać sprawozdania co tydzień i tłumaczyć się z każdego wydanego centa.

-Rozumiem.

-Co oznacza, że ostrzeżenie Taro może mieć większą wagę niż twoje czy moje, ale nie aż tak wielką, by ruszyć siły rządowe. Musisz zebrać więcej danych.

-Zdecydowanie.

Z szuflady biurka Marena wyjęła stare, emaliowane na zielono pudełko. Wyciągnęła zeń camela bez filtra, przyjrzała mu się, po czym włożyła z powrotem, a papierośnicę schowała do szuflady.

- No, i dobrze, że Lindsay ma pewne nieoficjalne wpływy w DHS - dodała. Domyśliłem się, że miała na myśli Departament Bezpieczeństwa Narodowego. - Lepiej, żeby wzmianka o potencjalnym niebezpieczeństwie wyszła stamtąd, nie od nas.

- Racja - przyznałem natychmiast. Uznałem, że to dobre posunięcie, o ile się uda, ale powinno się zrobić coś jeszcze: jak najszybciej umieścić wszystko, co wiem o Grze Ofiarnej, o badaniach Taro, o treści Kodeksu na jak największej liczbie znanych mi blogów. Może ktoś z sieci wpadnie na dobry pomysł.

Marena spojrzała na mnie i odniosłem znowu wrażenie, że ta kobieta zna moje myśli. Nagle ogarnęła mnie przemożna ochota, by uciec do jakiegoś spokojnego pokoju, zatrzaskać za sobą drzwi i zacząć gorączkowo pisać posty. *Calmate*, Joaquin, pomyślałem. To tylko *el paranoia de las repúblicas bananeras*. Nie ma strachu, tu nie przyjdą zamaskowani zbrojni, by wywlec mnie do jakiegoś więzienia czy obozu...

-Zróbmy tak: ty wrócisz do Taro, a ja zadzwonię później. - Marena wyrwała mnie z zamyślenia. Już miałem odpowiedzieć, gdy weszła sekretarka, przepraszam - asystentka, i oznajmiła, że na piątą Marena ma umówione spotkanie z Laurence'em Boyle'em.

-Dobrze. Załatwię to i skontaktuję się z Lindsayem - oznajmiła. Pomachała mi, jakbym już wychodził. To było jak pożegnanie w stylu: „Przepraszam, ale zaraz mam wideokonferencję z Kim Jongiem II, Davidem Geffenem i papieżem”. Co tu kryć, zostałem po prostu uprzejmie wyrzucony za drzwi.

Większość pracowników biura już wyszła, ale laleczka-owieczka odprowadziła mnie do samochodu. W budynku było jasno i chłodno, na dworze powoli zapadał zmierzch i niebo szarzało, a wilgotne gorące powietrze ciężko osiadało w płucach, przez co miałem wrażenie, że nie wyszedłem, lecz wszedłem do jakiegoś dusznego domu. Zażyłem leki i zrobiłem sobie zastrzyk na czynnik VIII, a potem ruszyłem do laboratorium Taro. Marena Park nie kazała mi trzymać gęby na kłódkę, zapewne wiedziała, że i tak nie posłuchałbym. Albo od pierwszego wejrzenia rozpoznała we mnie paranoika.

Rozmawiałem z Taro przez ponad godzinę. Powiedział, że nie jest pewny, czy przepowiednia dotyczy Disney World, ale potraktowałby ostrzeżenie poważnie i przede wszystkim pomyślałby o ochronie parku i gości. Przyznał też, że jego zdaniem autor Kodeksu musiał

grać dziewięcioma kamieniami, to znaczy dziewięcioma pionami--uciekierami. Chociaż to nie do wiary - jak podkreślił. Mnie też wydawało się to niemożliwe. W grze dziewięcioma pionkami byłoby dziewięć do dziewiętej potęgi WIĘCEJ możliwych ruchów niż w tej z jednym uciekierem. A gra jednym kamieniem ma średnio około dziesięć do dwudziestej czwartej możliwych ruchów. Co znaczy, że gra dziewięcioma kamieniami ma więcej możliwych ruchów niż jest elektronów we wszechświecie.

Około ósmej Taro posadził mnie przed monitorem. Wyciągnąłem tytoń, ugruntowałem się i zacząłem grać trzema kamieniami, szukając czegokolwiek, co mi się skojarzy z Kodeksem. Było to trudne. Jeden ze studentów Taro przyniósł mi wegańską sałatkę z automatu. Potem zajrzał Tony Sic. Taro powiedział mu o moich podejrzeniach dotyczących dwudziestego ósmego grudnia. Sic zamknął się w izolatce i zaczął rozgrywać partię Gry dotyczącą nadchodzących wydarzeń. Później dołączyło do niego dwóch Strażników Dnia - stażystów. Nie byli Majami, lecz Koreańczykami. Nie znałem żadnego z nich, nie wiedziałem, jakiego typu graczami byli. Zasiedli do Gry jak eksperci.

Marena nie odezwała się aż do dwudziestej drugiej. Porozmawiała z Taro i może ze dwie minuty poświęciła mnie. Spotkała się ze swoimi kontaktami. Powiedziała, że Michael Weiner, specjalista od Majów znany z telewizji, odrzucił taką interpretację przepowiedni, naturalnie. Marena i Laurence Boyle, ktokolwiek to jest, rozmawiali z paroma osobami od burmistrza Orlando, ale z braku konkretnych danych trudno było ustalić, czy powinno się podnosić alarm.

- Nie chciałam nawet wspominać o powiązaniach z Majami - wyjaśniła mi Marena. - To by wyglądało, jakbyśmy się przyznali, że chodzi o paleoastronautykę i podobne bzdury.

Dlatego powiedzieli, że Taro otrzymał nieoczekiwane i zaskakujące wyniki badań nad symulacjami zdarzeń. Przywołanie badań naukowych miało przydać informacji wiarygodności.

Ale przynajmniej Taro mnie poparł. Powiedział Marenie, że nie chce wszczynać alarmu, ale wcześniej „często miałem rację w swoich przewidywaniach”.

Co znaczy „często”? - pomyślałem. Jeżeli chodzi o rozgrywki pucharowe w baseballu w 1992, to mówiłem przecież, że nie czuję się dobrze w tym temacie.

-Może zatem powinno się potraktować poważnie interpretację Jeda - dokończył Taro.

-Rano mam spotkanie z gościem z Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego - oznajmiła Marena. - Dam znać, jak poszło.

Powiedziałem, że świetnie, i wróciłem do komputera. Miałem dręczące wrażenie, że Taro coś przede mną ukrywa. Cóż, nieważne.

Wtarłem w udo jeszcze trochę tytoniu, chociaż poniżej kolana zaczynałem mieć ciarki, jak wtedy, gdy zaczyna się poruszać odrętwiała kończyna. *Bueno. Ajpaayeen b'aje'laj k'in ik...*

No dobrze.

O co zapytać?

Zadać właściwe pytanie - o to chodzi. Nie można zgadywać w kwestiach, o których nic się nie wie. Czasami nie trzeba wiedzieć tak wiele, jak się wydaje, ale zawsze jednak coś wiedzieć trzeba. Zwykle wystarczało przeczytanie wiadomości z kraju i ze świata. Kliknąłem „nagłówki”.

Najnowsze artykuły - sprzed godziny. Przebiegłem wzrokiem listę.

*Jorge Pena zdobył 89 bieżni w nowym sezonie...*

*Pięcioro studentów Uniwersytetu Stanowego w Michigan zostało zabitych w zamieszkach...*

*Dwie osoby zamordowane na Wieży Strachu Universal Studio...*

*Bangladesz próbuje wyjaśnić przyczyny zatonięcia transportowca...*

*„Vanessa” Boba Zemeckisa, film oparty na prawdziwej historii artystki Vanessy Bell, wchodzi na ekrany kin...*

*Człowiek zmarł podczas zawodów w pluciu na odległość...*

*Zapowiedź zamachu na Heartland...*

Hm.

Przypisałem hipotetycznego zamachowca, który nazywał siebie Dr X, do czarnego pionka. Społeczeństwo ogółem przypisałem do żółtego pionka, a sam wziąłem czerwony - jak zwykle. I jak zwykle biel

zatrzymałem w rezerwie. A skoro chciałem spojrzeć tylko w nadchodzące trzy dni, wystarczy, że użyję tylko trzech zewnętrznych rzędów planszy. Świetnie. Wyznaczyłem odpowiednio słońca.

*Bueno.*

Skoncentrowałem się na moim *uay* na tyle długo, by poczuć, jak się kurczę. Wspomniałem już, że mój *uay* to ślimak? Ale wyobrażam go sobie jako ślimaka morskiego, który może poruszać się trochę szybciej, a to znaczy, że i ja mogę poruszać się trochę szybciej. Rzuciłem i policzyłem nasiona, a potem zacząłem płynąć do dwadzieścia osiem 9 Morski Grzechotnik, 9 Żółć, balansując na linii przypadkowości. Wkrótce musiałem zacząć skakać. Przypuszczam, że trudno sobie wyobrazić skaczącego ślimaka, ale w wodzie to robią - skaczą ze skały na skałę, powoli i majestatycznie. A przynajmniej tak mi się wydaje. Świetnie. Ale nie tędy. Nie. Dobrze, myślę, że teraz trzeba przejść tędy. Nie, zaraz, tędy. *Claro.* Ślimak idzie, ja idę. A potem reaguje. *Primer, segundo*, to się stanie, a ludzie zareagują tak. Dobrze. *Claro que si. Bueno. Zaraz. Nie. Nie tędy.*

Szlag. Prawie to miałem, wrażenie, ulotne przecucie, jak - nie wiem - kształty majaczące w czerwonej mgle, niewyraźne grudy wirujące w powolnym, bezgłośnym rytmie. Ale nic, co można by określić, nic konkretnego.

Grałem przez cztery godziny. Zrobiłem sobie przerwę. A potem grałem przez kolejne pięć godzin. Przed świtem cała nasza czwórka Strażników Dnia przycupnęła przy ekspresie z kawą, by porównać notatki i wrażenia. Nasze rezultaty z Gry były podobne. Okazało się, że coś w tym dniu, dwudziestym ósmym grudnia, niepokoi nas, ale nie umiemy powiedzieć co - wszystko jest zbyt niejasne, rozmyte. Żaden z nas nie potrafiłby też powiązać rezultatów Gry z Disney World, gdybyśmy wcześniej nie wiedzieli o tym z Kodeksu. Nie miałem sił, by grać dalej, więc zdrzemnąłem się na podłodze w jednej z izolatek, a potem pojechałem do domu. Dotarłem tam w południe. Była Wigilia.

Niewiele posiadam. Ale przygotowałem ekwipunek Wiecznego Uchodźcy na wypadek, gdyby coś się jutro stało. Podłączyłem dysk

z supertajnym oprogramowaniem, który dostałem od Taro, do swojego komputera i odpaliłem system. Najwyraźniej mi ufał. Po godzinie ustawiania nareszcie zaczął działać, więc mogłem przystąpić do Gry. Jednak nie zaszedłem dalej niż w poprzednich partiach. Okres po dwudziestym ósmym był po prostu pusty. Nie znaczyło to, że świat miał się nieoczekiwanie skończyć przed ustalonym przez Majów terminem, lecz jedynie, że zdarzenia i ich skutki były zbyt trudne do odczytania, LEON też do niczego nie doszedł, ale nikt z naszej czwórki graczy - Strażników Dnia - nie spodziewał się po maszynie, że wyliczy coś przydatnego. Za mało wie, pomyślałem. Nieważne, ile strumieni danych przyjmie, LEON po prostu nie rozumie ich znaczenia. Nie liczy się, ile partii ten komputer może rozegrać przez sekundę. Szybkość to nie wszystko.

Nie obchodzę Bożego Narodzenia. Wielkanocy też nie, choć tego się po mnie oczekuje, skoro robię za *cuandero*. Powinienem też obchodzić urodziny, świętować w niedziele i w ogóle. Ale teraz jeszcze bardziej niż zazwyczaj nie miałem ochoty świętować. Cały dzień spędziłem, grając. Raz po raz podczas kolejnych partii powracały liczby: 84, 209, 210 i 124 030, ale nie potrafiłem ich do niczego dopasować. Marena zadzwoniła o szóstej. W tle usłyszałem piski dzieci. Powiedziała, że na dwudziestego ósmego Departament Bezpieczeństwa jest skłonny podnieść poziom gotowości o jeden stopień w okręgach Orange, Polk, Osceola, Hardee, DeSoto i Highland. Co oznaczało, że policja i straż pożarna będzie tego dnia w gotowości do rozpoczęcia ewakuacji mieszkańców. Dzięki temu ludziom będzie łatwiej uciec, jeżeli zdarzy się coś niedobrego. Albo po prostu biurokracja zyska wymówkę, że coś zrobiła, pomyślałem. Cóż, Marenie przynajmniej udało się coś osiągnąć. Czyja również powinienem zrobić coś więcej? Czy może „coś więcej” tylko pogorszy sprawę?

Do wieczora dwudziestego siódmego nikomu nie udało się uzyskać nowych rezultatów w Grze. To znaczy ani graczom od Taro, ani mnie. Jedyne, co mi przyszło do głowy, to przyjrzeć się jeszcze raz Kodeksowi i translacji Michaela Weinera. Nadal niepokoiło mnie parę

kwestii z tym związanych, szczególnie fragment o rzucaniu krost. To określenie zwykle dotyczy wiedźmy lub czarownika, ale tutaj użyte zostało w formie czasownika - jakby czarować. Tyle że takie pojęcie nie występowało - o ile było mi wiadomo - w żadnym z języków maja. Oczywiście starożytne dialekty mogły się różnić od współczesnych, ale... Jednak do niczego nowego nie doszedłem.

To bzdury. Za dużo o tym myślę, upominałem się w duchu. Może niepotrzebnie panikuję?

Poddałem się dwie minuty przed wielką godziną. Cokolwiek miało się zdarzyć, właśnie się zaczynało.

Dwudziesty ósmy grudnia byłby ślicznym dniem, jak to zwykle na środkowej Florydzie, gdyby nie większe niż zazwyczaj stężenie smogu. Podniesienie poziomu gotowości znalazło się w głównych newsach lokalnych dzienników, ale w mediach mówiło się o tym bez przekonania. Ludzie po świętach byli apatyczni - żeby ich poruszyć, musiałby się pojawić spektakularny przelew krwi, a najlepiej hekatomba. Ale też trudno ewakuować ludzi z powodu jakiegoś zespołu naukowego, zajmującego się matematycznym modelowaniem katastrof, oraz stwierdzenia Taro, że ma niedobre przeczucie dotyczące gęsto zaludnionych miejsc w niedalekiej, acz niejasnej przyszłości. Tym bardziej że nad podobnymi zagadnieniami pracowało pięć innych zespołów badawczych, w tym jeden przy Departamencie Bezpieczeństwa, który dysponował równie wyszukanim, jeśli nie lepszym, systemem operacyjnym od LEON-a (i bez wątpienia był z tego dumny), i nie otrzymał równie spektakularnych rezultatów. Przez cały dzień oglądałem wiadomości i śledziłem doniesienia z sieci oraz lokalne czaty i fora. Znajdowałem się dość daleko od Orlando, ale i tak siedziałem na przysłowiowych walizkach. Gdy tylko usłyszałem lub przeczytałem jakieś niepokojące zdanie, zaczynałem szczerkać zębami. Jednak najgorsze, co zdarzyło się na terenie parku rozrywki, to kilka fałszywych alarmów pożarowych oraz garstka gości, która za-truła się jedzeniem w Domku Pinokia. Nic apokaliptycznego. Położyłem się spać po północy.



*Dios*, pomyślałem. Jestem skonany.

Byłem na nogach prawie dwadzieścia osiem godzin, ale już mi się tak nieraz zdarzało. Mam zespół opóźnionej fazy snu powiązany pewnie z moją domniemaną traumą. No dobrze. Zrobię sobie po prostu dwudziestosekundową *pestaną*. W oddali szczekał pies, nie jakiś mały miejscowy xoloitzcuintle, ale - sądząc po odgłosach - o wiele większy osobnik. Wcześniej go nie słyszałem, musiał być nowy w domu państwa Villanueva. Przypomnił mi Pustynnego Psa. Chyba jeszcze nie opowiadałem tej historii? Może i lepiej, bo jest trochę dołująca. Ale już o niej wspominałem, czyli wypada, żebym jednak opowiedział. Cholera.

Krótko rzecz ujmując, Pustynny Pies był brzydkim żółto-szarym indywiduum rasy nieokreślonej, czymś pomiędzy terierem, dogiem a kojotem. Ezra, średni z moich trzech przybranych braci, twierdził, że pies go zaatakował podczas koszenia pola golfowego. Nie wierzyłem w to. W każdym razie w hali zrujnowanej gipsowni znajdowało się mnóstwo starych zagród dla owiec i kojców dla kurczaków oraz podobnych śmieci. W jednej z tych klatek Ezra zamknął Pustynnego Psa. Kiedy przybrane rodzeństwo mi go pokazało, pies nie miał przednich łap. Jedynie poszarpane, skrwawione kikuty. Może został zaatakowany, ale bardziej prawdopodobne, że wpadł w pułapkę lub sidła i odgryzł sobie przednie kończyny. Sądziłem, że zdechnie, ale rany się zaczęły goić i nieszczęsny kundel kuśtykał niezdarnie po metalowej podłodze klatki, wstając i upadając raz za razem, a w jego wielkich oczach czaiło się przerażenie, gdy na nas patrzył. Moi przybrani bracia trzymali go tam bez wody i jedzenia. Zapytałem Ezrę, co...

- ...nie ćwiczenia. Jed? To ja. Odbierz. Mówię poważnie.

-He?

Włączyłem głośnik nad frontowymi drzwiami.

- Nie sprzedajemy już ryb... - zacząłem ochryple, ale gdy skończyłem wymawiać „sprzedajemy”, zorientowałem się, że leżę w łóżku i chyba jest środek dnia. Najwyraźniej zaspałem.

- Jed? - usłyszałem znowu. Rozpoznałem głos Mareny.

Co ona tutaj robi, do diabła? To znaczy w mojej sypialni. W zasadzie to nie była nawet sypialnia, bo trudno mówić o sypialni, skoro to nawet nie pokój, lecz Mitsubishi *capseru*, czyli dźwiękoszczelna, klimatyzowana kapsuła z włókna szklanego, jakie produkuje się do tanich japońskich hoteli.

-Mówię poważnie, odbierz, to pilne - głos Mareny dochodził z telefonu, co mnie zaskoczyło, bo nie przypominałem sobie, żebym dawał jej mój numer alarmowy.

-Cześć - odezwałem się, by sprawdzić, czy jeszcze mogę mówić. Zabrzmiało to jak u tego aktora, któremu z powodu raka wycięto struny głosowe - Jacka Klugmana. Spróbowałem jeszcze raz.

-Cześć!

Lepiej. *Estas bien*. Znalazłem słuchawkę i odebrałem.

-Cześć! - powiedziałem radośnie.

-Cześć - odpowiedziała Marena. - Jednak żyjesz.

-Nie przesadzałbym...

-Jest mały problem w Disney World. Pewnie to nic takiego, ale -wiesz.

-Co? Myszka Miki zwiął?

-Proszę?

-Och, przepraszam, nieważne.

To musiały być skutki przerwane snu. Chociaż już go zapomniałem, pozostało wrażenie, że właśnie przestałem się przedzierać przez wielką, poplątaną przestrzeń...

-Jed?

-Tak?

Co jest, ku...? Czyżbym przespał cały dzień? Niemożliwe. Gdybym spał tak długo, nie czułbym się jak *mierditas refritas*. Znalazłem przycisk „zegar” i włączyłem. Po suficie zaczęły płynąć wielkie zielone cyfry: 14:55:02... 29-12-11... 14:55:05...

-E... Co za problem? - zapytałem przytomniej.

-Nie wiem dokładnie. Stary znajomy twierdzi, że to nie zatrucie jedzeniem i że około osiemdziesiąt osób.

Och... Ach... Osiemdziesiąt osób. Ale co? - zacząłem się zastanawiać. Zmarło? Zachorowało? Zrobiło awanturę?

-W każdym razie jesteśmy w pobliżu czterysta czterdziestej pierwszej i Orange Avenue - oznajmiła Marena. - A skoro coś się stało, pomyślałam, że wpadniemy do ciebie. Na wszelki wypadek.

-Do mnie? Tutaj? - Musiałaby przejechać tylko czterdzieści pięć mil.

-Właśnie - stwierdziła z zadowoleniem.

-Och, jasne - mruknąłem. Nie ma mowy, pomyślałem w tej samej chwili. Marena nie może tu wejść. Tu wszędzie są zdechłe ślimaki, wylinki tarantuli i inne tego rodzaju śmieci. Jednego nauczyłem się o laskach - nie lubią martwych bezkręgowców.

-Dlaczego w ogóle tu jedziesz? To znaczy świetnie, że wpadniesz, ale dlaczego...

-Bo wieje z południowego wschodu.

-Ach - zdołałem wykrztusić. Och, och, pomyślałem. Gaz. Kurwa. - Dobra, świetnie. Wiesz, gdzie mieszkam?

Jasne, że wie, pomyślałem. Próbowałem wymazać swój adres domowy ze spisów internetowych, ale dni, gdy można było to zrobić skutecznie, dawno przeminęły.

-Nieważne. Słuchaj, mógłbyś wjechać na stanową numer dziewięćdziesiąt osiem i tam się ze mną spotkać? Jestem w samochodzie, więc dotrę tam w trzydzieści pięć minut.

-No...

-Chwilkę. Jasne, jedź - Marena odezwała się do kogoś w wozie.

- Nie, jestem w drodze. Pa, pa. Wybacz, Jed. Za czterdzieści minut, dobrze?

-Dobrze...

-Zadzwoń, jak będę blisko.

-Świetnie.

Zacząła mówić „do zobaczenia”, ale rozłączyła się w pół słowa. Ludzie często tak robią - głupi zwyczaj.

To nic takiego - wróciłem myślami do tego, co powiedziała o parku. Zresztą wypadki chodzą po ludziach. Co dzień. Co minutę. To

zapewne podobny incydent. Nic zaskakującego, zbieg okoliczności, bez związku z zapisem w Kodeksie.

Marena po prostu panikuje. Albo chce mnie dorwać i połamać mi kości. Heh. Może dostała czerwonej furii. Jak doda się mój żółty spokój, wyjdzie pomarańczowa namiętność. *Esta belleza* - ta kobieta ma panterę za *uay*. Lepiej wziąć prysznic.

Włączyłem komputer i wybrałem: strona główna, najnowsze wiadomości, regionalne. Pierwszy nagłówek głosił: *Park zamknięty do odwołania*.

Cholera...

Pod nagłówkiem znalazłem informację, że wszystko zaczęło się wczoraj około trzeciej. Ludzie zaczęli wymiotować i narzekać na różne dolegliwości w tym zawroty głowy i wysypkę. Opowieść rozwi-jała się w podobnym tonie, ale nie wspomniano o gazie. Poszukałem słów kluczy poza artykułem, ale natrafiłem jedynie na forum parku, gdzie paru pracowników zastanawiało się, skąd ta panika, oraz utyskiwało, że na karetkę trzeba było czekać dwie godziny. Oni też nie wspomnieli o gazie.

Rzeczywiście, wygląda, że to nic takiego, pomyślałem. Marená zwyczajnie panikuje. Nieważne, lubię ją. I już się umówiłem. Świetnie. Trzeba się wziąć w garść.

Wygramoliłem się z kapsuły, a po bezskutecznych próbach uruchomienia prysznicza przestałem na użyciu biodegradowalnych jednorazowych chusteczek do mycia, przetarłem zęby, zamiast je wyszczotkować, podgrzałem kawę w ekspresie, pośpiesznie zjadłem miskę płatków. *Bueno*. Temperatura w akwarium - sprawdziłem. Maszynka do karmienia - sprawdzona. Monitoring zanieczyszczeń zbiornika - sprawdzony. System bezpieczeństwa podłączony do telefonu - tak. Pokarm - jest. *Bueno*. Włosy, oddech, dezodorant. Zrobione. Włożyłem czystą wersję mojego zimowego uniformu, zresetowa-łem automat do karmienia, dozownik oraz alarm, połknąłem jeszcze garść płatków i pokuśtykałem do tylnych drzwi. Jak na grudzień było gorąco. *De todos modos*. Portfel, kluczyki, pas z pieniędzmi, paszport,

komórka. Mam. Zastrzyki dla hemofiliaków, chusteczki higieniczne, lekarstwa - mam. Buty, koszula, czapka, zabezpieczenie...

Ups!

Wróciłem, wszedłem do Beta-Strefy Bałaganu, dopadłem do starego sejfu po Lennym, wyjąłem dwie sakwy. Ciężkie, bo każda wypchana trzydziestoma krugerrandami, dziesięcioma tysiącami dolarów w setkach i dwoma w starych nienamagnetyzowanych dwudziestkach. Zebrałem to na wypadek, gdyby zdarzyło się coś naprawdę paskudnego. Dobra. Alarm - sprawdzony. Główny zamek - sprawdzony. Teczka - w rękę. Można wyjść.

Było za gorąco na marynarkę, ale jej nie zdjąłem. Powietrze było czyste. Jeziora Okeechobee nie marszczyły duże fale, ale tafla nie lśniła w słońcu, przypominała raczej brzuch zdechłego miecznika. Stado wron wariowało przy moło, ale poza tym wszystko wyglądało zupełnie normalnie. Nawet banalnie. Tak jak wszyscy lubią. Barracuda świetnie się prezentowała między starym mini Cooperem i vanem Dodgea na moim prywatnym dziesięciomiejscowym parkingu. Powinienem zabrać ją na długą przejażdżkę, przypalić te stare opony i kupić jej nowe, Pirelli. Przeszedłem trzy przecznice na zachód. Moi sąsiedzi, państwo Villanueva, wychynęli z domu, by popracować w ogródku. Witali mnie radośnie i przyjaźnie jak w serialu familijnym. Zastanawiałem się, czy powinienem ich ostrzec, by się stąd wynieśli. Ale nie miałem przed czym. Dwie wojskowe ciężarówki, pewnie c-17, przejeżdżały na zachód, kierując się zapewne do parku. Zawsze zaskakiwało mnie, jak piekielnie głośne są te pojazdy, choć już dawno powinienem do tego przywyknąć. Zawibrowała komórka. Wcisnąłem słuchawkę w ucho i powiedziałem „cześć”. Marena oznajmiła, że wjeżdża na stanówkę numer siedemset dziesięć.

-Świetnie. Zjazd siedemdziesiąt sześć, bar Baja. Tam możemy się spotkać...

-Nie zjedziemy z autostrady.

-Hm. Dobra, to będę jakies sto jardów za...

-Możesz włączyć lokalizator?

-Ach, racja. Jasne.

Znalazłem w komórce odpowiednią funkcję pod GPS i włączyłem.

- Dobra, widzę cię - stwierdziła Marena. Nie, pomyślałem. Wi dzisz kropkę, która mnie reprezentuje na mapie. Powlokłem się wzdłuż jezdni, starając się unikać tumanów kurzu wzniesanych przez przejeżdżające ciężarówki. *La gran puta*, pomyślałem ponuro. Wyświetliłem Local6.com na ekranie komórki i przejrzałem w palących promieniach słońca. Jak się okazało, w parku wzburzyło się nie kilka osób, ale prawie setka, a policja rozpendziła tłum przy pomocy bro ni mikrofalowej - Active Denial System - rażącej promieniowaniem wywołującym uczucie bólu jak przy oparzeniach. Nadal jednak nie wydawało się to poważnym incydentem. Marena panikuje, pomyśla łem po raz kolejny. To zrozumiałe, prawda? Właśnie.

Hm. Wysypka oznacza, że skóra jest zaczerwieniona, tak? Czy taki objaw występuje przy zatruciu...

Czarny cherokee zwolnił i zatrzymał się przede mną z pomru kiem silnika. **INTOWN**- odczytałem na tablicy rejestracyjnej. Drzwi po stronie pasażera otworzyły się z sykiem i poczułem ucisk odru chowego strachu, że zostałem przyłapany i zaraz nastąpi aresztowa nie. *Calmate, mano*, upomniałem się w duchu. Jeżeli pochodzi się z miejsca, gdzie czasownik „zniknąć” ma wiele znaczeń, trudno nie pocić się za każdym razem, gdy obok siebie nagle zobaczy się wielki, lśniący czarny wóz. Ale to są Stany Zjednoczone, nie totalitarny reżim, prawda?

Opadłem na sztuczną skórę fotela. Przywitałem się z Marena. Pachniało tu winylem, sokiem owocowym i chyba perfumami Shi seido Zen. Samochód ruszył, zanim zdążyłem zatrzaskać drzwi. W ro gach deski rozdzielczej dwa bliźniacze ekrany wyświetlały wiadomo ści na kanale News6, z głośników płynęły ciche słowa.

-...Anne-Marie Garcia-McCarthy. Witaj, Ron, miło cię słyszeć.

-Ja również się cieszę. Co u ciebie?

-Świetnie, dziękuję. - Anne-Marie uśmiechnęła się promiennie.

-To wspaniale. Witam wszystkich. - Ron zrobił pauzę. - Wraca my do informacji. „Czarodzieje” i „Jaguary” wypadli z...

-Och, Jed? To Max - rzuciła Marena. - Poznaj Jeda, Max. Mówiłam ci o nim.

-Cześć - zabrzmiał cichy głos chłopca z tylnego siedzenia. Odwróciłem się, żeby odpowiedzieć na powitanie. Chłopak wyglądał jak miniatura Mareny, tyle że z kręconymi włosami i skórą barwy słabej herbaty. Nosił wirtualne gogle Sony VRG, które uniósł, by na mnie spojrzeć, i za dużą koszulkę z królem lwem Simbą zjadającym jelonka Bambi. Na oko mógł mieć z dziewięć lat. Wokół niego na siedzeniu walały się opakowania po batonach i chipsach. Dzieciak przyjrzał się mojej czapce, mnie, a potem znowu czapce.

-Miło pana poznać - przypomniał sobie uprzejmą formułkę.

-Popatrz na to - wtrąciła Marena. Wskazała mi WARUNKI OTOCZENIA na monitorze obok miejsca kierowcy. KOREK NA PRAWYM PASIE - głosiła etykieta przy pomarańczowej kropce najwyższej centymetr od nas na trasie do Port Mayaca. SZACOWANE OCZEKIWANIE: 45 minut.

-Gdzie jedziemy? - zapytałem.

-Na południe.

-Możesz się trochę cofnąć i wjechać w boczną drogę, by ominąć ten korek.

-Dobry pomysł.

Dojechała do rozjazdu i zawróciła. Luksusowy wóz wszedł płynnie w ostry skręt, niczym katamaran na wietrze. Monitor zabrzączał alarmowo, a nad mapą pojawiły się wielkie czerwone litery: OSTRZEŻENIE: DROGA OZNAKOWANA JAKO NIEBEZPIECZNA/NIELEGALNA. Marena wystukała dwunastoznakowe hasło na kierownicy i monitor zgasł, choć alarm nadal brzączał cicho.

-*Shipyong shin, a shi!* - wymamrotała pod nosem, najwyraźniej przeklinając w jakimś swoim narzeczu.

-Ja to zrobię. - Max wcisnął się między oparcia foteli, wpisał coś na klawiaturze i uciszył system nawigacji samochodu.

- Dzięki. - Marena westchnęła z ulgą. - Powinieneś zapiąć pas.

Max posłusznie wykonał polecenie, jego matka spojrzała na mnie znad kierownicy.



-Co u ciebie? - spytała.

-Nieźle, dzięki!... Nie znalazłem wiele o tym, co się tutaj dzieje.

-Wkrótce na pewno się dowiemy. - Nie wchodziła w szczegóły, może nie chciała o nich mówić przy dziecku.

-Znam się na oprogramowaniu samochodów - oznajmił mi Max. - Jestem autozaklinaczem.

-Ach, naprawdę?

-Pewnie. Pokażę panu. - Max uśmiechnął się z zadowoleniem, po czym rzucił: - *Nigechatta dame da!*

Wiatr zawył wokół nas, potem zapaliły się światła. Dzieciak otworzył szyberdach.

-*A-Ay, muy listo* - krzyknąłem do niego.

-*A-De nada!* - odparł. Każdy bogaty dzieciak zna przynajmniej trochę hiszpański.

-Świetnie, ale chcielibyśmy też móc rozmawiać - krzyknęła Mariana. - Wiesz, jak to zamknąć?

-Jasne, patrzcie! *Saite!*

-To naprawdę coś - przyznałem, gdy powróciła cisza.

-No - zgodził się Max. - Zawsze nosi pan tę czapkę?

-Proszę? - zdziwiłem się. - Och, tę? Nie, mam jeszcze kilka innych.

-Ale zawsze pan nosi czapkę?

-No... Tak.

-Ale nic panu nie jest w głowę, co nie?

-Nie. Przynajmniej nic, co widać. Po prostu niektóre grupy Indian nie czują się dobrze bez nakrycia głowy.

-A ma pan czapkę z piórami orła?

-Nie, takie noszą inni Indianie. Moi ziomkowie przyzwyczaili się do czapek, nie pióropuszy. Ale kiedyś nosili także nakrycia z głów zwierząt.

-Ma pan wizje?

-Nie, a przynajmniej jeszcze nie. - Westchnąłem. - Niestety.

-Szkoda.

-No...

-Gra pan w „Neo-Teo”?

-Jasne, że tak. Uwielbiam „Neo-Teo”. - Palce mnie zaświerbiły, by otworzyć komórkę, ale zdułem to pragnienie.

-Na którym poziomie pan jest?

-Na trzydziestym drugim.

Mały prychnął.

-Ja jestem na siedemdziesiątym.

-Łał! - przyznałem z należnym podziwem. - Hej, a czy twoja mama nie zrobiła przypadkiem „Neo-Teo”?

-Tak. Jakie ma pan awatary?

-Zwykle, z Domu Krwi Papugi.

Znowu prychnął.

-Chce pan przejść „Wyprawę do Jadeitowego Kanionu”?

-Nie jestem jeszcze dość silny.

-Podciągnę pana.

-Cóż...

-Nie wydaje mi się, żeby Jed chciał teraz grać - wtrąciła Marena.

-Może później? - zaproponowałem Maksowi.

-Kiedy? - zainteresował się Max.

-Zobaczmy - mruknęła Marena.

-Nienawidzę, jak to mówisz - stwierdził dzieciak.

-Jeżeli podciągniesz się poziom wyżej, będziesz mógł pomóc Jedowi wyjść, gdy wejdzie do kanionu. - Marena sprytnie zmieniła zagrywkę. Max prychnął, ale zsunął gogle na oczy, a do uszu wetknął na powrót słuchawki. Zaraz też zaczął lekko poruszać dłońią w wirtualnej rękawicy-joysticku, po czym raz i drugi dmuchnął, co znaczyło, że używa funkcji „dmuchnięcie” do uruchomienia broni. Ale przynajmniej nie płuł.

-Pewnie myślisz, że przesadzam? - zwróciła się do mnie.

-Nie, wcale...

-Po prostu jestem matką, więc się trochę denerwuję. Wiesz, wyjechaliśmy w poniedziałek i teraz zastanawiam się, czy jesteśmy wy-

starczająco daleko od miasta. W takich sytuacjach budzą się hormony, chronić młode - każdemu, kto podejdzie do mojego gniazda lub choćby krzywo spojrzy na moje potomstwo, zatopię kły w tętnicy szyjnej.

- Uważam, że postępujesz słusznie - zapewniłem. Lamer, pomyślałem.

Przełączyła monitor kierowcy na wiadomości lokalne CNN. Wkrótce pojawiła się plansza z Myszką Miki z Disney World.

-Włączyć głośniki - rozkazała Marena.

-...mówiła Anne-Marie Garcia-McCarthy na żywo z Zimowego Raju w Disney World - rozległo się natychmiast. - Połączymy się znowu o szóstej. Oddaję głos do studia. Ron?

-Dziękujemy, Anne-Marie - zabrzmiał głos prezentera. - Czekamy niecierpliwie na kolejne wieści. Mówi Ron Zugema z Orlando. -Przerwał na chwilę. - Oficjalne raporty z Disney World donoszą, że ponad pięciuset osobom, które odwiedziły park, udzielono pomocy medycznej. Przyczyną było zatrucie pokarmowe. Ośmioro pacjentów zmarło, jak donoszą lekarze, na skutek przyjęcia nieznanego substancji toksycznych...

Ucisk w żołądku, pierwszy objaw lęku, przyjąłem niemal z nostalgicznym uśmiechem - jak starego przyjaciela, który jeszcze nie zapukał do drzwi, ale już napisał wiadomość, że zaraz się pojawi.

- Mamy także niepotwierdzone doniesienia, że osoby te zginęły w wypadku. W tej chwili pracownicy i goście zostali ostrzeżeni, by unikali centrum Disney World oraz przepuszczali karetki i lekarzy. To...

Marena spoglądała na mnie znowu. To nie wróży dobrze - mówiła jej mina.

Nie, niezbyt - zgodziłem się bez słów. Odwróciła oczy na drogę. Moim zdaniem prowadziła dość lekkomyślnie, może za bardzo ufała pasom, poduszkom powietrznym, strefom zgniotu i innym systemom bezpieczeństwa, ale nie próbowałem jej zwracać uwagi.

- Mówił Ron Zugema - brzęczał zaafektowany głos spikera. - A te raz łączymy się z Kristin...

- Dziękujemy, Ron. - Na monitorze pojawiła się blondynka. - Będziemy informować o rozwoju tej dramatycznej sytuacji. A teraz wracamy do wiadomości sportowych. Tu stacja WSVN TV, jest piętnasta czterdzieści dwa. Mówi Kristin Calvados. Zaczęło się zimowe szaleństwo wśród fanów futbolu...

Marena wyłączyła ekran.

-Co myślisz? - zapytała.

-Nie wiem. To nadal nie wygląda na nic wielkiego... To znaczy, kiedy ludzie umierają, zawsze to coś, ale...

-Wiem, o co chodzi. Różnie się zdarza...

-Właśnie.

-Jeżeli to nic poważnego, przepraszam, że cię wyciągnęłam z domu.

-Nic nie szkodzi - zapewniłem. - Lubię jeździć. Jako pasażer.

-Muszę zadzwonić.

-Jasne.

Właśnie. Sięgnąłem po swoje słuchawki, by pokazać, że też mam co robić. Zacząłem dzwonić, a potem wysłałem mejle do paru znajomych. Okazało się, że nie ma ich tak wielu. Próbowałem się połączyć z instytucjami - z radą miejską i ze szkołą prowincjonalną prowadzoną przez matkę Flor de Mayo - ale prawie nikogo tam nie było. Zresztą nie wiedziałem, co mówić, więc tylko wyjaśniłem, że chciałem przekazać ostrzeżenie i zadzwonię później. Połączyłem się z siecią sprawdzając nowości. Ładowanie stron ślimaczyło się strasznie, na większości pojawiało się „404”. W końcu natrafiłem na grupę nazywającą się TomTomClub, nieoficjalne prawie -podziemie wścibskich amatorów, którzy zawsze są pierwsi na scenie zdarzeń i gotowi złożyć relację. Wśród członków dominowali libertarianie, rozgoryczeni weterani, wielbiciele teorii spiskowych oraz zwolennicy ruchu żądającego legalizacji wszystkiego, ale prym wiodło paru podstarzałych hakerów i crackerów, którzy podsłuchiwali radia policyjne oraz stacje wojskowe, wybierali najciekawsze kawałki i natychmiast zamieszczali na stronie, opatrzone, rzecz jasna, stosownym komentarzem. Na TomTom nie wiedziano dokładnie, co się

dzieje w Disney World, ale cokolwiek się stało, pociągnęło więcej ofiar śmiertelnych, niż podano do publicznej wiadomości. W szpitalach -zarówno w Orlando, jak i tym przy parku - sale były przepełnione. Na dodatek w jednym z sektorów wybuchł pożar, prawdopodobnie na skutek zamieszek. Krążyły też pogłoski, że ludzie próbowali wyjść z Epcot, ale strażnicy im nie pozwolili.

-Dobrze, oddzwon. - Marena zakończyła rozmowę. Wyjęła słuchawkę i roztarła ucho, po czym spojrzała na mnie.

-Wszyscy mówią, że w całym okręgu Orange pojawiły się kłopoty. I że najlepsze, co można zrobić, to jechać na południe.

Odparłem coś nieistotnego - że w porządku lub że to wydaje się rozsądnym rozwiązaniem.

-Jeep, ile czasu zajmie droga do Miami? - rzuciła Marena do deski rozdzielczej. Na monitorze kierowcy rozwinęła się zakładka i komunikat, że każda wybrana trasa będzie trwała dwa razy dłużej niż zwykle. Zerknąłem, ale kobieta patrzyła na drogę. Z tej perspektywy jej twarz wydawała się mniej miła, a bardziej władcza. Skręciła na zjazd do drogi numer dziewięćdziesiąt jeden i przyśpieszyła. Nad naszym samochodem przeleciał z hukiem samolot o dziwacznym kształcie. Na pewno znajdował się poniżej pułapu dwóch tysięcy stóp. Max wykręcił się na siedzeniu, nie zwracając uwagi na pas krępujący mu ruchy.

-Co to za samolot? - zapytał.

-Nie wiem. - Marena wzruszyła ramionami.

-To Grumman AEW Hawkeye - wyjaśniłem. - A ta wystająca z niego szufla to próbnik powietrza.

-Rany! - Max przylgnął do tylnej szyby, żeby przyjrzeć się dokładniej.

-No - przyznałem.

-Hej, zobacz tutaj - Marena ściszyła głos. Na ekranie kierowcy pojawiła się mapa parku. Kobieta dotknęła dwóch ikon i monitor wypełniło zdjęcie satelitarne. - Włączyć monitor pasażera - rzuciła do deski rozdzielczej i na ekranie koło mnie pojawił się ten sam obraz. Spodziewałem się, że to będzie jakieś stare zdjęcie z Google

Earth, ale strona, z której pochodziło, miała adres 983724jh0017272.gov i przekazywała obrazy w czasie rzeczywistym. I to na pewno nie z NOAA, sądząc po ostrości. To były wojskowe zdjęcia satelitarne. 3-324Cc6/9200OFT/w445OFT/ORLANDO\_CURRENT - jak wskazywała sygnatura - najświeższe fotki z orbity, na bieżąco. Rozpoznałem zarys jeziora Apopka po lewej, ale oddalenie było zbyt duże, by dostrzec szczegóły.

-Niesamowite. Ja tak nie mogę.

-Myślisz, że naprawdę pracuję dla rządu, co?

-No wiesz, wszyscy tak...

-Wystarczy znać jedną linię kodu i już masz dostęp do zdjęć.

-Fajnie. Można zrobić zbliżenie?

-Nie, ale co parę minut zbliżenie pokazuje się automatycznie.

-Super.

Jeep rozgniótł szczątki zdechłego zająca. Truchło idealne do kuchni w stylu Szechuan, pomyślałem.

-Co właściwie się dzieje, jak myślisz? - zapytała Marena. - I czy to nie powinno się zdarzyć wczoraj?

-Nie wiem. Ale parę osób pochorowało się właśnie wczoraj.

-Ano tak.

-Właśnie.

-Myślisz, że to jest powiązane?

-Właściwie tak - przyznałem. - Może to coś więcej, nie mam pojęcia, może ktoś, kto to zrobił, widział Kodeks i wpadł na ten sam pomysł co ja...

-Nikt nie widział tego przeklętego Kodeksu. To znaczy na palcach jednej ręki można policzyć ludzi, którzy go widzieli. Założę się, że za incydentami stoją jacyś kolesie w turbanach.

-Pewnie masz rację.

Marena zaczęła znowu dzwonić, w pięć minut załatwiła chyba z piętnaście rozmów - od lokalnej stacji CNN zaczynając, przez obywatelską grupę wczesnego ostrzegania, policję z Orlando aż po ochronę parku Disney World. Z tego, co usłyszałem, trudno jednak było wyciągnąć jakieś wnioski. Marena skontaktowała się także ze szkołą

Maksa, biurem Warren Group w Orlando, a także z co najmniej pięciorgiem znajomych, którym nakazała jak najszybsze opuszczenie miasta. Upewniła się, by do każdej rozmowy dołączyć wiadomość tekstową. Próbowwała również skontaktować się z Taro i jego pracownikami oraz asystentami. Bez skutku. To nie wróżyło dobrze. Cholera. W błysku olśnienia posłałem esemesa do meksykańskiej skrzynki internetowej Za Nic z prośbą, by oddzwonił. Udało mi się też złapać jedną z sąsiadek, panią Villanueva, i przekazać, żeby zebrała rodzinę, znajomych i kogo się da, wpakowała do ciężarówki i wyjechała na południe. Kobieta nie przestawała pytać: „*Que? Por que?*”, więc w końcu odpowiedziałem po prostu: „*Por favor*” i się rozłączyłem. Spróbowałem raz jeszcze nawiązać kontakt z Za Nic.

-Muszę zatrzymać się przy bankomacie - oznajmiła Marena. Zapytałem, czy mówi do mnie. Owszem.

-Mam trochę gotówki - powiedziałem.

-Naprawdę muszę, mam przy sobie może z pięć centów...

-Mówię serio. Wziąłem ze sobą pieniądze na czarną godzinę. I mam naprawdę... no, sporo. Nie musisz się zatrzymywać. Poza tym bankomat może nie działać. Wiem, że mi oddasz.

-Ile to „sporo”? - zapytała. Powiedziałem jej. Stwierdziła, że w porządku, nie będzie się zatrzymywać. Chyba jej naprawdę ulżyło. W samochodzie panował nastrój nierealnego lęku i wiedzieliśmy oboje, że nie wrócimy w okolice największego parku rozrywki na świecie wcześniej niż pojutrze. Może to było po prostu *folie a deux* - paranoja, która zaczęła mi się udzielać, indukowany obłęd.

-Przepraszamy - rozległ się kobiecy głos z automatu operatora.

-Numer, który wybrałeś, jest czasowo niedostępny. Prosimy...

-Ty też masz problemy z połączeniem? - zaniepokoiła się Marena.

-Co? Ach. Tak, mam.

-...tylko za pięćdziesiąt centów - syntetyczny głos brzęczał dalej

-możemy powtarzać próby połączenia co dwie minuty...

-Nie mogę się do nikogo dodzwonić - wyznała Marena. - Spróbuję do ciebie, dobrze?

Powiedziałem, że dobrze, i rozłączyłem się.

-Jed DeLanda. Zadzwoń. - Marena uruchomiła swój aparat głosem. Jak głupek zbliżyłem swój telefon do jej, jakby to miało przyspieszyć połączenie, choć przecież wiedziałem, że sygnał musi najpierw dojść do przekaźnika, potem w przestrzeń kosmiczną, a potem z powrotem do kolejnego przekaźnika i dopiero do mojego telefonu. Ale i tak komórka nie zadzwoniła.

-Nic - westchnąłem. - Przykro mi. Może oni, kimkolwiek dzisiaj są „oni”, wyłączyli sieć komórkową.

Przełączyłem się na panaudio - nową usługę, w której zastosowano VOIP. Przez telefonię internetową podobno można się połączyć wszędzie, FBI jej używa. Marena zrobiła to, co ja, i tym razem udało się zdzwonić. Od razu poczuliśmy się lepiej. Jednak poza samochodem komunikacja nie działała zbyt dobrze. Udało mi się złapać kontakt z paroma osobami, ale nie dodzwoniłem się do domu, do nikogo w Indiantown, ani też do Za Nic. Skype, GAN i trzy pozostałe wielkie sieci VOIP nie odpowiadały. Co tu kryć, pomyślałem, czas, gdy mogłem jeszcze kogoś ostrzec lub wezwać na pomoc, minął. I niewiele więcej mogłem już zrobić.

Obróciłem wyświetlacz tak, by Marena nie mogła go widzieć, i włączyłem Schwab. Przerwano sprzedaż akcji Disneya. Zły znak. Sprawdziłem opcje dodatkowe na giełdzie w Chicago. Kukurydza szła w górę. Szlag, dranie szybko się połapali w koniunkturze. Jedna z zalet inwestowania w zboża - zawsze zwyżkują, przy najmniejszym nawet kryzysie. Jeżeli prezydent uderzy się w paluch u nogi, ceny zbóż rosną. Jeżeli jednak nadchodzi trzecia wojna/katastrofa światowa, to raczej nie należy liczyć, że jakiegokolwiek transakcje dojdą do skutku. Gotówka może się zdewaluować. I nawet złoto i pallad czy cokolwiek może całkowicie stracić wartość. A to oznacza nie tylko wielki ekonomiczny wstrząs na wszystkich giełdach, w tym towarowych, lecz także...

- Mamo? - głos Maksa zabrzmiał tuż przy moim uchu. - Popatrz, dostałem się do Dziewiątego Kręgu Piekieł! Mamo?!



-Nie mogę teraz - odpowiedziała Marena. - Ale to wspaniale.

-Fantastycznie - dodałem.

-Zobaczę, jak będziemy na miejscu - zapewniła Marena. - Hej, patrzcie na to.

Wskazała za okno po swojej stronie. Dwa sterowce Aerocraft szybowały po niebie, ciągnąc za sobą cumy, wyglądały jak sumy z długimi wąsami.

Max zerknął. Potem usiadł wygodniej, otworzył grę i zamknął się w świecie Bolgia Nono. Jak reszta z nas. Sprawdziłem stronę Straży Obywatelskiej przez telefon... Po wyświetlaczu zaczął się tylko przesuwać napis: „Zaleca się, by osoby, które się przemieszczają, ruszyły na południe lub południowy zachód”. No, właśnie tak robimy. „Pozostałe osoby powinny pozostać w domach lub miejscach pracy”.

Cholera.

Sprawdziłem system bezpieczeństwa domu w Indiantown. Drzwi były zamknięte, generator buczał, a kamery pokazywały, że wnętrza są w nienaruszonym stanie. Sprawdziłem akwarium. Szlag. Moja mała podwodna farma była w tarapatach, dużych tarapatach. Stężenie soli amoniaku przekroczyło normę wiele razy. Przez lata starałem się tak wszystko urządzić, by akwarium poradziło sobie przez tydzień bez nadzoru, ale w praktyce chyba to nie wyszło. Gdzie, do diabła, jest Lenny? Trzy dni i będę tu miał hekatombę jak po wycieku ropy. Potem zajrzałem na StrategyNet. Tylko dwie osoby były on-line, a i to z Japonii.

„Pomóżcie proszę zanalizować sytuację w Orlando Foryda” - wpisałem. „Właśnie tu jestem. Wdzięczny będę za wszelkie informacje. Pilne. Dzięk. Jsonic”.

Wjechaliśmy na drogę numer dziewięćdziesiąt pięć i skierowaliśmy się na południe. Ruch na ośmiopasmówce był większy niż normalnie, ale bez korków i paniki. Nic nie wskazywało, że oto zaczyna się koniec świata. Kierowcy, sądząc po tym, jak prowadzili, też nie byli raczej w nastroju apokaliptycznym. Wszystko wyglądało niemal normalnie.

Hm. Jest coś, na czym można się obłowić, gdy sytuacja staje się naprawdę groźna - broń. Wróciłem na Schwab i wydałem zlecenie zakupu pakietu akcji Halliburton, Bechtel i Raytheon. Po namyśle zgłosiłem też akces na GE. Wydawało się, że giełda działa w najlepsze, ale kiedy sprawdziłem po paru minutach swoje konto, okazało się, że wszystkie transakcje i kontrakty zostały zawieszono. Kurwa. Zasu-  
łem miniaturową klawiaturę komórki. Zamknęła się z cichym trza-  
skiem, jak gadget Jamesa Bonda. Rozejrzałem się. Odniosłem wrażenie, że słyszę daleki krzyk z góry, gdzie unosiły się sterowce, ale nie chciało mi się otwierać okna, by to sprawdzić. Cóż, sytuacja robiła się napięta. Może to dobra chwila, by pokazać, że jestem mężczyzną, objąć jej ramiona i uścisnąć panią Park pokrzepiająco... Tyle że Marena zapewne odgryzłaby mi palce.

-...to bez znaczenia, w porządku - mówiła właśnie do telefonu.

-Zawiń w koc lub materacyk czy coś podobnego. Świetnie.

-Tutaj, koleś - odezwał się Max do kogoś w świetle „Neo-Teo”.

-Blżej. Bańki na dół.

-Firma ma hotel na Collins Avenue. Roanoke? - Marena zwróciła się do mnie, gdy skończyła rozmowę. - Tam się zatrzymamy.

Ty też możesz, choć obawiam się, że dostaniesz bardzo mały pokój.

Zapewniłem, że mi to nie przeszkadza. Jednak sądząc po mapie i prędkości, z jaką się przemieszczaliśmy, spędzimy w samochodzie jeszcze co najmniej pięć godzin. Minęliśmy billboard reklamujący program przyrodniczy. Na wielkim plakacie widoczny był wij umykający przed kamerą.

Coś mi przyszło do głowy.

-Hej, zastanawiam się, czy... - zacząłem mówić.

-*Aigo jugeta!* - Marena chyba mnie nawet nie słyszała. Patrzyła w ekran na obraz z satelity. Spojrzałem na swój monitor. Właśnie zrobiło się zbliżenie, jak powiedziała wcześniej. Jednak zajęło mi długą chwilę zrozumienie, co właściwie widzimy. Miejsca wyglądają inaczej z góry - widać tylko dachy budynków i zieleń oraz układ terenu. W końcu udało mi się rozpoznać Space Mountain i wierzchołki wież

Pałacu Kopciuszka. Zdjęcie obejmowało część parku, gdzie znajdowało się Magiczne Królestwo.

Zatrzymałem obraz, przesunąłem kursor na środek Disney World, czyli na dziedziniec zamku przy północnym skraju Main Street USA, tuż przy węźle komunikacyjnym, Hubie. Przybliżyłem i powiększyłem.

Jasna cholera, pomyślałem. Oni wiedzieli. Przyjmij to do wiadomości, Jed: oni, kurwa, wiedzieli.

**[10]**

Przy Hubie spotykało się sześć dróg, tworząc rondo. Jego środek stanowiły okrągłe rabatki poinsecji i stokrotek wokół pomnika z brązu przedstawiającego Walta i Myszkę Miki. Plac przecinały pasma jakby confetti - na rabatach, przy drzewach i kioskach. To znaczy gdyby drzewa były takie, jak na makietach do kolejek elektrycznych, confetti miałyby normalny rozmiar. Kępka przy pomniku, gdy zbliżenie robiło się coraz wyraźniejsze, wyglądała dziwnie znajomo - obraz wreszcie się wyostrzył i ujrzałem kosmaty

kostium psa Pluto rozłożony na płytach chodnika, z czarnym antenkowatym ogonem wycelowanym na zachód. Ciężko było dostrzec szczegóły, ale wyglądało na to, że w kostiumie nadal jest człowiek. A potem zobaczyłem następne przebranie, chyba z bajki o Aladynie, tuż przy dolnym brzegu ekranu. Widać też było coraz lepiej confetti. Jasne, poskręcane kształty jedno przy drugich... I nagle wiedziałem, że to ciała - różnej wielkości, ale przede wszystkim małe. O cholera. Osłoniłem oczy przed słońcem i pochyliłem się do monitora. Wszystkie były skulone, przytulone do siebie lub trzymające się za ręce, szukające osłony... Och, *Jesucristo*, ruszały się. Przekręcały, drżały konwulsyjnie. Kurwa. Jasna kurwa. Dzieci. Kilka z widocznych sylwetek to na pewno dzieci. Jezu, Jezu. W bardzo złym stanie. Niekiedy wystarczy spojrzeć, nawet z daleka, i już wiadomo, że ten człowiek nie przeżyje. A tu było wielu takich, którzy nie przeżyją. Dzieci. Gdzie karetka? Gdzie policja? Kurwa, kurwa mać. Co tu się stało?

Z układu ciał wywnioskowałem, że ci ludzie musieli się poczuć źle w różnych częściach parku i ruszyli do centrum, a potem nie mogli już iść dalej. Jak długo to trwało? Nie dłużej niż... Nie wiem, to musiało trwać...

-To wygląda bardzo źle - stwierdziła Marena.

-To nie było zatrucie pokarmowe - odpowiedziałem.

-Nie mów? - Odwróciła głowę i zerknęła na Maksa. Z tylnego siedzenia nie mógł widzieć ekranów, ale obserwował nas jednym okiem, choć jednocześnie nadal grał - prostował się lekko, gdy raził potwory niewidzialnymi promieniami.

-To pewnie coś jak vx - mruknąłem - albo jakiś rodzaj...

-vx?

-Gaz. - Gdy to powiedziałem, natychmiast skojarzył mi się fragment filmu „Gruby i chudszy”, gdzie Eddie Murphy jako Buddy Love wygłasza podobną kwestię. Upokarzające skojarzenie. - To broń chemiczna, fatalna w skutkach...

-Dobrze, dobrze. Żadnych konkretów, co? Max tylko udaje, że nas nie słyszy.

-Co? - Nie od razu zrozumiałem, że chodzi jej o syna. Dzieciak bez wątplenia podsłuchiwał i pewnie dlatego starała się, by nie zrozumiał. - Ach, jasne.

Czasami strasznie wolno kumam.

-Wiesz, ci ludzie nawet nie dotarli do punktów pierwszej pomocy, oni po prostu...

-Uspokój się, dobrze? - Marena sięgnęła przeze mnie i wyłączyła monitor po stronie pasażera. Spojrzałem urażony, ale wbiła wzrok w drogę. Szczeka jej się poruszała, pewnie zgrzytała zębami. - Po prostu nic nie mów.

-Przepraszam.

Idiota, jestem idiotą. Do szczęścia, skarciłem się w duchu. Dobra, trzeba wziąć się w garść. Nie straszyć młodego. Chociaż i tak któryś z graczy „Neo-Teo” na pewno powie Maksowi, co się dzieje. Poczulem kolejny dreszcz, z tych niepokojących, które z wiekiem zastępują objawy zaskoczenia, smutku i gniewu. Szlag. Dzieci. Ile ich tam było?

Może to zdarzyło się tylko w Magicznym Królestwie, a nie na całym obszarze parku i w okolicach? Może większość uciekła i nic im nie jest? Kurwa. Próbowałem nie wyobrazić sobie, jak płakały. To najbardziej przerażająca rzecz na świecie: płacz i krzyk dzieci. Niestety, szczególnie lubię ludzi w ogólności, ale dzieci zawsze traktuje się łagodniej. Oczywiście zanim staną się bezczelne i głupie. Nie żebym chciał mieć kiedyś takiego małego człowieka, ale jednak...

Niech to... Mam maskę ochronną, to znaczy taką, która osłoni przed gazami radioaktywnymi, bronią biologiczną oraz chemiczną, i zostawiłem ją w domu. Kretyn. Stary Heckler & Koch p7 Sylwany, mojej eks, też tam został. Ale nie miałem pozwolenia na broń, więc może to i lepiej. Chociaż może jednak nie. W każdym razie...

Samochód zahamował gwałtownie, a ja walnąłem głową w rozgrzaną szybę.

-Au - jęknąłem, ale zaraz dodałem, że nic mi nie jest.

-To trochę dziwne - stwierdziła Marena.

-Co?

-Te kostiumy z kreskówek. Mają mnóstwo zabezpieczeń. Maski przeciwgazowe, klimatyzację, gogle z wykrywaczem metalu, radia, tasery... Miały wszystko.

-Och. Może to pojawiło się nagle. Albo przeniknęło przez filtry.

- Może... - Marena docisnęła gaz i wóz znowu ruszył.

Minęliśmy kanał przy Hungryland Slugh i znak, że wjeżdżamy na autostradę Moroso Memorial. A przed nami Rzeka Śmierci i Dolina Upokorzenia, pomyślałem ponuro. Ach, jeszcze zatrzymajmy się przy Mieście Zniszczenia, by zabrać pannę Melancholię...

-Dobra, respnij mnie - odezwał się Max do kogoś w grze. - Następny razem, jak już upadnie, wpakujemy w nią wszystko, co mamy. Jadeitowa Czarownica jest trudna do zabicia, bo ma strasznie grube łuski. No i długo zdycha.

-Ale w sumie miałeś rację z tym przekładem i przepowiednią...

-rzuciła Marena.

-Czyja wiem? - Westchnąłem. - Nie, niespecjalnie. Mogłem zrobić coś...

-Słuchaj, Jed. Może nie znamy się za dobrze i nie mam prawa cię pouczać, ale nawet nie próbuj tak myśleć, dobra?

-Dobra.

Miałem zamiar jej powiedzieć coś mądrego, pocieszającego, po-  
krzepiającego, ale nagle zabrakło mi słów.

-W każdym razie, gdybyśmy temu zapobiegli, okazałoby się, że Kodeks się myli.

-Co? Och, nie, nie! To nie działa w ten sposób - zaoponowałem.

- To nie jakieś nadprzyrodzone prawo, to zwykłe prawdopodobieństwo.

-Aha.

- Gra nie pozwala zobaczyć przyszłości, pozwala raczej dostrzec możliwości i na tej podstawie zgadywać z większym prawdopodobieństwem poprawnie.

Nie odpowiedziała, więc też zamilkłem. Szlag. Mogłem po prostu zadzwonić na policję z groźbą, że podłożę bombę, i podać przybliżony czas. Dla tych dzieciaków to był wielki dzień, wspaniała chwila, szczęśliwa, psiakrew, jak cholera. A potem nagle wszystko się rozpadło. Na zawsze. Tu nie chodzi o cierpienie tych dzieci, nie to budzi współczucie. To rozczarowanie. Oczywiście, gdy dzieci dojrzewają, zawsze jest to rozczarowujące, ale kiedy zostanie przerwane, wtedy już wiadomo, że nie ma żadnej wymówki i byłoby lepiej, gdyby świat nigdy nie istniał...

Włączyłem wiadomości lokalne z komórki.

...policja stanowa w okręgu Orange - zabrzmiał w słuchawce głos Kristin - twierdzi, że wcześniejsze doniesienia o ataku gazem są nieuzasadnione. Ron?

-Dzięki, Kristin. Na autostradach tłok - rozległy się słowa reportera. - Podobnie na bocznych i podmiejskich drogach, mimo że szerszące się pogłoski o ataku gazowym w Orlando nie zostały potwierdzone. Krążą plotki, że był to atak bronią chemiczną lub wojskowym



gazem. Przyjezdni oraz mieszkańcy Florydy uciekają do środkowej części stanu, choć Gwardia Narodowa nakazała obywatelom pozostać w domach, ponieważ termin ewakuacji... - dramatyczna pauza - minął. W wakacyjnej stolicy świata jest to...

Wyłączyłem dźwięk. Kurwa, nic nie wiadomo. Media też nie wiedzą. A może to po prostu czyste działania dezinformacyjne?

- Jed? - Marena wyrwała mnie z zamyślenia. Uniosłem wzrok. - Skoro władze mówią, że ewakuacja jest niepotrzebna, to chyba po prostu pojedziemy dalej, co?

Odparłem, że w porządku.

-I wszyscy się zgadzają, że kierunek południowy jest bezpieczny, prawda? Więc jak na razie dalej będziemy jechać na dziewięćdziesiątą piątą.

-Doskonale.

-Wybacz, jeżeli wyciągnęłam cię z domu bez powodu.

-Och, nie - zaprotestowałem. - Dziękuję, że mnie uratowałaś. Gdybym miał siedzieć beczynnym w domu, to wiesz...

-Nawet nie mów.

-Nic z tego - odezwał się Max. - Nie możesz zagrać w piłkę przeciwko Dziewiętemu Panu Nocy, chyba że jesteś powyżej sześćdziesiątego piątego poziomu.

Ponownie włączyłem wiadomości.

- ...atak o nieustalonym zasięgu... - usłyszałem Rona. - Prawdopodobnie jakaś broń chemiczna rozpylona w formie aerozolu. Co oznacza, że zagrożenie jest w powietrzu i że obejmuje bardzo duży obszar. A ponieważ objawy pojawiają również z opóźnieniem, nie można ustalić, jak duży zasięg ma strefa skażenia i gdzie pojawią się ofiary. Odezwę się ponownie po krótkiej...

Przełączyłem się na C-SPAN, niezależną prywatną stację telewizyjną z wiadomościami gospodarczo-politycznymi. Tutaj przynajmniej nie było reklam. W studio wyglądający na lekarza facet wymieniał objawy zakażenia. Najpierw pojawia się zaczerwienienie, swędzenie i ostry ból głowy, obrzęki oraz poczucie dezorientacji. Podrażnienia i otarcia skóry nie goją się, nie ustępują. U ofiary z Centrum Leczenia

Nowotworów w Tampa odnowiła się stara opryszczka, nawet trądzik zmienił się nieoczekiwanie w ostrą dolegliwość. Znowu poczułem natrętne swędzenie na karku. Podrapałem się i natychmiast postanowiłem więcej tego nie robić, po czym przełączyłem się na YouTube. Na pierwszym filmie widać było popiersie pulchnej, zarumienionej kobiety. Nawet na wyświetlaczu komórki można było dostrzec nieregularne różowe kropki wokół czerwonych krost na podbródku i lewym policzku nieznajomej. Strzałką uruchomiłem podgląd.

- Byliśmy w Disney World. Pojechaliśmy tam na Boże Narodzenie. - Przeciągała niektóre słowa, aż zmieniały się w zduszony skrzek. - A teraz mój mąż... On po prostu... Nawet nie potrafię tego powiedzieć, to po prostu-u kosz-marr...

Przerwała, by opanować szloch, pociągnęła nosem.

- Jestem cała w krostach. Nie mogę podnieść rąk. Byliśmy tu-u na świę-ęta! To przecież Disney World, koszmar-r, czysty koszma-a-r-r!

Ożeż. Wyłączyłem film. To nie wygląda dobrze, pomyślałem. Przeszukałem sieć na temat vx. Na każdej znalezionej stronie było napisane, że pierwsze objawy zatrucia tym gazem to mdłości, a potem drgawki lub konwulsje, wreszcie trudności z oddychaniem. Ani słowa o wysypce lub swędzeniu. Może to nie vx, lecz jakiś gaz łzawiący? Ale ofiary nie miały problemów ze wzrokiem. Objawów zatrucia jadem kiełbasianym, rycyną lub węglikiem czy podobnymi świństwami też nie przejawiały. Hm...

Mijaliśmy lotnisko General Aviation Airport w północnym Palm Beach. Ludzie wchodzili i wychodzili z budynku, samoloty przemieszczały się po pasach, ale żaden nie startował. Słońce świeciło jasno nad brązowymi sosnami taeda.

Sprawdziłem, czy są nowe wiadomości. Nic. Ani słowa również o tym, co widziałem na zdjęciach satelitarnych. Dranie. Stanowe aparatczyki i tyle. Przejrzałem nieoficjalne wiadomości na prywatnych stronach. Przynajmniej na kilku wspomniano o tym, co pokazały satelity i oczywiście pojawiły się sensacyjne domysły, ale nikt tak naprawdę nic nie wiedział. Niech to. Wydawać by się mogło, że żyjemy w epoce informacji, ale kiedy zdarzy się coś ważnego, wiadomości

o tym jakoś dziwnie mało. I to podejrzane poczucie separacji, które pojawia się w takich chwilach... Ale jeżeli się handluje akcjami lub towarami na giełdzie albo choćby wie trochę więcej niż tylko najnowsze plotki o gwiazdach i ich kotach, można się szybko zorientować, że informacji, co się naprawdę dzieje, zawsze jest za mało.

-Mówiłeś komuś spoza firmy o Kodeksie? - zapytała Marena.

-Nie. Nikomu.

-A o datach z Kodeksu?

-Nic nie mówiłem. Nikomu - zapewniłem. - No naprawdę. Jestem paranoikiem. Mam dwadzieścia trzy różne hasła i zmieniam każde co dwa dni. Nikomu nic nie mówię. Ty i Taro byliście jedyni. Nie powiedziałem o tym nawet moim ślimakom.

-Dobra, wierzę ci. Przepraszam. - Skręciła w dziewięćdziesiątą piątą.

-W porządku - zapewniłem. Też się nad tym zastanawiałem. To znaczy, czy ktoś widział datę z Kodeksu lub przynajmniej o niej słyszał i uznał, że do niego należy sprawienie, by przepowiednia się spełniła. To jak z tym gościem w Chinach, który zabił ponad dwa tysiące osób rycyną rozpuszczoną w rezerwarze wody pitnej. Przyznał, że chciał zabić wszystkich ludzi, ponieważ Dzień Sądu Ostatecznego powinien nadejść dwa miesiące temu. Chińczycy zawsze uważali, że Bóg naprawdę potrzebuje pomocy.

Przejechaliśmy przez Worth Lakę, Lantanę i Hypoluxo. Po obu stronach drogi stały sklepy i inne punkty usługowe, odruchowo zacząłem odczytywać szyldy: Stacja Benzynowa, Smaczne Jedzenie, Noclegi, Burgery, Tacos, Cheesburger Cheesburger, Klub Golfowy s&M, Astrologia, Tatuaze, Masaż Taoistyczny, Wyjątkowe Zwierzęta Domowe, Piercing, Piercing Astrologiczny, Artykuły Elektroniczne, Ubrania, Akcesoria Elektroniczne, Zwierzęta, Sex Shop, Animal Sex Shop, Tatuaz Wegański, Holistyczny Makrobiotyczny Wegański Piercing Genitaliów i znowu Burgery...

Jednego tylko nie rozumiem, pomyślałem. Co to ma wspólnego z Majami? Może to dlatego, że jest nas tutaj tak wielu? Albo może właśnie na tym polega nasze „dźwiganie winy”. Może ktoś z Majów

zostanie obciążony winą za to, co się stało w parku? Może to będę ja. Szlag. *Todo por mi culpa*. Nawet jeżeli nie.

Przez Boca przemknęliśmy jak wiatr, ale przed Deerfield trzeba było zwolnić do trzydziestu pięciu mil na godzinę. Nad autostradą zapłonęły pomarańczowe lampy sodowe. Myślami, które niezbyt dobrze udawało mi się kontrolować, nadal błądziłem wokół Kodeksu. Może dlatego ludzie z Warrena ujawnili istnienie księgi i powiedzieli o niej w „Timesie” dopiero osiemnastego? Gdyby coś miało się stać, byłoby za późno, by temu zapobiec. A może ktoś z firmy znał wcześniej treść Kodeksu? Albo to korporacja w ogólności stoi za atakiem w parku... Nie, to już zwyczajna paranoja.

-Chyba powinniśmy wcześniej zasięgnąć twojej opinii o Kodeksie - stwierdziła Marena.

-Nie wiem, co na to odpowiedzieć.

-Powiedz, co myślisz.

-No wiesz... To wygląda na nieprzypadkową zbieżność.

-Co masz na myśli?

-Nic. Tyle że księga była dostępna przez tysiąc trzysta czterdzieści osiem lat i nagle, trzy dni przed przedostatnią datą... nieważne.

-Co próbujesz powiedzieć?

-Nic... Po prostu jestem... No wiesz.

-Co próbujesz mi powiedzieć? - powtórzyła Marena. W jej głosie zabrzmiały ostre jak brzytwa nuty. - Chodzi o to, że może Warren to wredna, zła korporacja, taka jak, wiesz, SPEKTRA, i to ona rozproszyla ten gaz czy coś, sfalszowała Kodeks Majów, a teraz zamierza nas zabić? Oczywiście wcześniej nam wszystko dokładnie wyjaśni, po czym zostawi nas w jakiejś diabelskiej pułapce, z której będziemy musieli uciec. Jak ci się to podoba?

-Mało prawdopodobne - westchnąłem. - Ja tylko...

-Może to nasza wina, twoja i moja - stwierdziła Marena. - Pomyślałeś o tym? Może wszystko stało się dlatego, że podnieśliśmy alarm. Ktoś dowiedział się o zwiększeniu stopnia gotowości służb państwowych i postanowił przeprowadzić swój plan dzień wcześniej.

-Przepraszam, naprawdę, ja tylko...

- Przestańmy spekulować.
- W porządku, jasne, ja...
- I zamknij się. Mówię poważnie.

Zamknąłem usta. Szlag, pomyślałem. Teraz Marena mnie nienawidzi. Zerknąłem na nią czujnie. Trudno było dostrzec, czy ma zaściśnięte usta, ale z pewnością się napięła. Chyba już wspomniałem, że mam problem z odczytywaniem emocji? Ona nie jest na mnie zła, próbowałem sobie wmówić. Wystarczy spojrzeć z dystansu, zastanowić się. Marena stara się zachować spokój, udaje, że wszystko w porządku, luz, ale tak naprawdę jest przerażona. I nie dlatego, że boi się o siebie - boi się o Maksa. Jest matką. A matki to nie zwykli ludzie, nie. Trzeba to brać pod uwagę. Można tego nie rozumieć, ale należy przyjąć do wiadomości.

Dojechaliśmy do Miami River, skąd można już dostrzec ocean. Wyglądał zwodniczo przyjaźnie w zapadającym zmierzchu. Środkiem pustej przecznicy sunął ambulans, EINAWORETS ENLADZ - głosił napis na karoserii. Przynajmniej rząd nie wystawiał swoich ludzi na niebezpieczeństwo. Na Culter Ridge samochody przesuwwały się z prędkością najwyżej czterdziestu mil na godzinę. Ludzie musieli usłyszeć plotki, bo wyczuwało się niepewność i napięcie w ruchu ulicznym -zapewne dowiedzieli się o nieznanym zagrożeniu i mieli jeszcze nadzieję, że to jednak jakaś pomyłka lub złudzenie. F-18 świsnęły nad naszymi głowami i skierowały się na północ, do czerwonej strefy. Przy Naranja ruch zwolnił do piętnastu mil i wokół nas rozległy się klaksony. Jeden z kierowców uderzył lekko w tylny zderzak naszego jeepa - chciał nas wyprzedzić. Marena w odpowiedzi zahamowała i cofnęła się gwałtownie - na tyle, by uderzyć w wóz natręta. Mocno. Trzask. Max uznał, że to świetne, jak w grze. Grupa młodych Por-torykańczyków na yamahach minęła nas, meandrując pomiędzy samochodami. To jest sposób, by się wydostać z tego korka, pomyślałem. Tylko skąd wziąć motocykl? Ukraść? Cel uświęca środki. Trzeba tylko złapać... Ale czy nasza trójka zmieści się na jednym motorze? Nie, zapomnijmy...

- Pić mi się chce - oznajmił Max.

-Nie masz już kartonu z sokiem? - zdziwiła się Marena.

-Wypiłem.

-A możesz jeszcze trochę poczekać? Zatrzymam się przy nabrzeżu, jeżeli będzie można.

-Dobra.

Sprawdziłem wątek, który założyłem na StrategyNet. Zdumiewające, ale ludzie coś znaleźli. Pod tematem znajdowało się pięćdziesiąt osiem postów, niektóre z tabelami i diagramami. Desiriseofnationsnerd napisał, że to mu wygląda trochę na broń soniczną, może taką, jakiej Izraelczycy użyli w Gazie podczas ataku w 2009. Jeden z moich sieciowych znajomych, gracz w go z Los Angeles o nicku Statisticsmaven, rozrysował przebieg zdarzeń na mapie topograficznej i stwierdził, że szacując wedle rozprzestrzeniania się w czasie, nieznaną związek to przenosząca się w powietrzu trucizna o szybkim działaniu oraz że jest ona sporo cięższa od powietrza, skoro nie rozniosła się jeszcze dalej. Facet o nicku Heli Rot zgodził się z szacunkami, ale zauważył, że Statisticsmaven się myli, bo to bardziej wygląda na skażenie substancjami promieniotwórczymi. Bourgeoiseophobus sprostponował go wściekle, twierdząc, że to nieprawdopodobne:

Jeżeli to dostało się do płuc i układu krwionośnego wczoraj, a ludzie umierają od tego dzisiaj, to musiałaby być kolosalna dawka, min. 10 sivertów. To jakby trzymać w każdej ręce spory kawał plutonu 239 o masie krytycznej i uderzać nimi o siebie. Ten ruski szpieg próbował trzy razy załatwić się w podobny sposób - przyjął doustnie 10\*+ mikrogr polonu 210. to nie może być radioaktywność!!! Nie pieprz bzdur heli rot, ty trollu.

Dwieście dziesięć. Liczba atomowa osiemdziesiąt cztery. IDIOTA. Poczuję ucisk w żołądku, jakby zaczęło mi zasysać wnętrzności. Przerażenie.

Dobra. Spokój. Zachować spokój. Spokojnie. Spokój.

Wyprostowałem się i znieruchomiałem, jak wtedy, gdy miałem może pięć lat. Jak zwykle ucisk powoli ustąpił.

-To polon - oznajmiłem.

-Proszę? - Marena nie załapała, o co mi chodzi. Wyjaśniłem po-  
bieżnie. Chwilę to zajęło, a i tak moja towarzyszka nie  
wyglądała na całkowicie przekonaną, lecz przynajmniej  
potraktowała moje słowa poważnie.

-Wyślę wiadomość.

Miała na myśli, że prześle esemesem wyjaśnienie Lindsayowi War-  
renowi, a przez niego tajemniczemu kontaktowi w Departamencie  
Bezpieczeństwa.

Zaczęła kciukiem wpisywać tekst, przytrzymując kierownicę tyl-  
ko jednym palcem i od czasu do czasu zerkając tylko, co się dzieje na  
drodze. Jeszcze tylko tego brakowało, żebyśmy się teraz zderzyli z ja-  
kimś samochodem i zginęli w wypadku. Czy to byłaby ironia? Nie-  
stety, nie. Tylko stłuczka.

- Jak się pisze „polon”? - zapytała Marena. Powiedziałem jej. Za-  
częła wpisywać coś jeszcze, a ja zerkalem na nią raz po raz, próbując  
odgadnąć, jakiego edytora używa. Niestety, nie udało mi się dostrzec.  
Oczywiście teraz Departament Bezpieczeństwa pomyśli, że ta heka-  
tomba to nasza robota. O ile już wcześniej tak nie myśleli. Nie powin  
no nas to obchodzić, ale akurat ja się przejmowałem.

Marena skończyła pisać. Oparła komórkę na udzie. No dobra, po-  
myślałem. Trzeba się zastanowić. Jeżeli to skażenie polonem, cóż... to  
oznacza, że istnieje szerokie spektrum potencjalnych zagrożeń: może  
nic nam nie jest, a może jesteśmy napromieniowani tak, że liczniki  
przy nas wybuchną, a piekło już się szykuje na nasze przybycie, choć  
jeszcze sobie z tego nie zdajemy sprawy. Mogą minąć miesiące, zanim  
pojawią się pierwsze symptomy choroby popromiennej, a i tak może  
nas to zabić równie szybko jak... *scheisse*. Nie będę krzyczał, nie będę  
krzyczał, dopóki... Boże, po prostu sobie tego nie wyobrażam, no nie  
mogę sobie tego wyobrazić...

Zapisała komórka. Marena wcisnęła guzik i odsłuchiwała prze-  
słany tekst.

- Dobrze. - Wyłączyła słuchawkę. - Zapewnili mnie, że w to  
wchodzą.

Powiedziałem, że świetnie, i zapytałem, czyjej kumple z Pentagonu dorzucili parę dobrych rad, co mamy robić, by przeżyć.

-Powiedzieli tylko, żebyśmy nadal kierowali się na południe i pozwolili DW wykonać swoją robotę.

-Jasne.

DW? Czy miała na myśli... Nie. Zaraz, może powinniśmy jednak się zatrzymać i kupić tabletki z jodem? Chyba lepiej o tym nawet nie wspominać. Zresztą poruszamy się tak wolno. Jak się zatrzymamy, możemy nigdy się stąd nie wydostać.

Znajdowaliśmy się już blisko południowych rogatek Florydy. Dochodziła dziewiętnasta czternaście. Marena zrobiła zbliżenie mapy z Google Traffic. Wyglądało na to, że od miejsca, gdzie droga znowu była oznaczona na zielono, a nie na czerwono, dzieliło nas najwyżej dziesięć samochodów. Klaksony ryczały już nieprzerwanie, ludzie musieli je zwyczajnie przytrzymywać włączone - nie po to, by dać upust wściekłości, lecz raczej desperacji. Po lewej widać było cukierkowy różowo-błękitny horyzont, jak z plakatu drogiego hotelu nad Ocean Drive. Przynajmniej wydamy ostatnie tchnienie w stosownej scenerii.

Siedzieliśmy w milczeniu. Marena wierciła się trochę. W końcu włączyła CNN. W wiadomościach podano, że ponad sto samochodów zostało podpalonych w Winter Park i Altamonte Springs oraz że w całym hrabstwie Orange odnotowano kilkanaście trudnych do opanowania pożarów. Pokazano też na mapie Belle Glade, miasteczko na południowym krańcu Okeechobee, z relacją, że oddziały skinheadów, które ogłosiły się lokalną milicją, napadły na przyczepy imigrantów, ponieważ uznały je za sztab La Raza i obwiniły za rozniecenie pożarów. Osiemnaście osób zostało zabitych. Dranie z pochodniami, pomyslałem. Imperium znowu kontratakuję. Niech to szlag. Na ekranie pojawiło się sześć nieruchomych ciał na asfalcie, sfilmowanych z niskiego ujęcia.

-Nie znoszę trupów - oznajmił Max.

-Więc może lepiej, żebyś oglądał coś innego. - Marena dotknęła ikony, by zmienić kanał, i na monitorze pojawiła się kreskówka „SpongeBob Kanciastoporty”.



-Co się stało z ostrzeżeniami typu „program wyłącznie dla dorosłych”? - szepnęła do mnie Marena. Odpowiedziałem, że może dziennikarze z CNN nie umieli znaleźć jednosylabowego odpowiednika „tylko dla dorosłych”.

-Zostaniemy zabici? - zapytał Max.

-Małe szanse - zapewniła Marena. - To się stało daleko stąd. Lepiej obejrzyj film.

- Hej, panie Krab! To świetnie! - ucieszył się SpongeBob.

Ruch na drodze zamarł zupełnie. Próbowałem dodzwonić się do świetlicy w Indiantown, ale bez skutku. Sprawdziłem TomTomClub. Ktoś o nicku BitterOldExGreenBeretCracker twierdził, że za atakiem w Disney World nie stoją islamscy zamachowcy, lecz organizacja rdzennych Amerykanów nazywająca się Biały Bizon. Ale jego wyjaśnienia były dość pokrętnie. Inny użytkownik, Gladheather, upierał się, że to na pewno robota ugrupowania Naród Islamu. SpongeBob pobił Skalmara Obłynosa w tanecznym pojedynku. W końcu Marena miała dość.

-Podejdę i sprawdzę, co się dzieje - oznajmiła.

-Lepiej, żebym to ja sprawdził. - Zacząłem wstawać.

-Nie, sama się tym zajmę.

Sięgnęła do torby podróżnej, wyciągnęła z niej wielką kamerę--broszę z pierścieniowatym logo Warren Borromeo, włączyła i przypięła do klapy żakietu.

-Też chcę wyjść - wtrącił się Max.

-Nie, kochanie. Ty i Jed zostanieie w wozie - sprzeciwiła się stanowczo. - To nie potrwa długo. Pójdę tylko sprawdzić, co się dzieje na początku tego korka.

-Naprawdę, mogę... - zacząłem, ale nie dała mi skończyć.

-Wiem, co robię. Nic mi się nie stanie. Jak się nazywa ta baza wojskowa?

-Ta najbliższej nas? Homestead.

-Świetnie. - Marena wyprostowała się. - Słuchajcie, chłopcy. Nie wpuszczajcie nikogo do samochodu, nieważne, co powie lub jaki bę-

dzie miał mundur. Podłączyłam kamerę do telefonu, więc będziecie mogli wszystko obejrzeć na monitorach. Wrócę za parę minut.

Max i ja spojrzeliśmy na siebie, a potem powiedzieliśmy, że dobrze.

Marena nie wyłączyła silnika, uchyliła tylko drzwi i wyslizgnęła się z wozu. Poczułem uderzenie gorącego powietrza w klimatyzowanym wnętrzu jeepa. Przesunąłem się na siedzenie kierowcy. Było za blisko i za wysoko, ale nie ośmieliłem się zmieniać ustawień. Max wskoczył na moje miejsce i wbił oczy w ekran. Również zacząłem oglądać.

Czułem się wykastrowany. Nie pierwszy raz, niestety. Przy początku korka samochodu stały chyba jeden na drugim. Klaksony ucichły. Kamera Marena trzęsła się przy każdym kroku, kiedy kobieta podchodziła do pleców otyłych ludzi tworzących nieduży tłum.

-Przepraszam, media - usłyszeliśmy z Maksym jej głos przesycony pewnością siebie i autorytetem. Zdumiewające, ale ściśnięta tkanka tłuszczowa rozstąpiła się natychmiast, by zrobić przejście. Paru kierowców burknęło coś nieprzyjaźnie, ale nikt nie kwestionował obecności Marena. Durnie. W grupie mignęła mi dziewczynka z mysimi warkoczykami i wielkim koralikiem dyndającym jej między oczyma.

-Chcesz siusiu? - zabrzmiał nosowy głos jakiejś kobiety. - Natanielu, jeżeli chcesz siusiu, to teraz jest dobry moment.

-Przepraszam, media - powiedziała Marena. - Dziękuję, przepraszam, muszę przejść. Media.

Przepchnęła się przez tłum na wąski przesmyk między tłumem i linią pasiastych pomarańczowo-srebrnych stojaków tworzących blokadę drogową. Oficer policji wojskowej w przezroczystym hełmie przechadzał się w tę i z powrotem, machając podświetloną na czerwono tabliczką z napisem „niebezpieczeństwo”. Kamera w klapie Marena pokazała, że szeroka jezdnia skręcająca do miasta była całkowicie zastawiona samochodami, jednak za blokadą droga na południe, do Kuby, była pusta, gładki asfalt lśnił w promieniach zachodzącego słońca.

Marena stanęła przed policjantem, przerywając mu marsz.

-Dzień dobry? - Uniosła głowę, by spojrzeć w wizjer kasku.

-Może mi pan powiedzieć, co zrobić, by się stąd wydostać?

-Tak, proszę pani. Wystarczy wrócić do samochodu i poczekać na swoją kolej, by przejechać - odpowiedział. Jego głos brzmiał nieco metalicznie. Pewnie wojskowi specjalnie tak ustawiają system audio, by wydawali się bardziej groźni.

-Gwardia Narodowa kazała nam jechać na południe - skłamała Marena.

-Przykro mi, proszę pani, ale...

-Oczywiście możemy pojechać obwodnicą północną, ale nie chciałabym działać wbrew rozkazom federalnym...

-Obie drogi są potrzebne na wypadek sytuacji alarmowej. Poza tym nie ma powodu, by opuszczać teren. Wszyscy powinni wrócić do domów lub miejsc pracy. - Oficer odwrócił się, uznawszy rozmowę za zakończoną.

-Proszę posłuchać, oficerze Fuentes - zatrzymała go Marena stanowczo. Nazwisko musiała przeczytać z jego odznaki. - Założę się, że ma pan dzieci, prawda? Wie pan, co się dzieje? Jakiś dupek z Homestead postawił pana tutaj, by on i jego ludzie mogli się wymknąć. A pana zostawili na pastwę tłumu i zagrożenie. Pan może zostać zabity, podczas gdy pański szef będzie siedział na plaży i popijał tequile. Wie pan, o czym mówię? Dlatego myślę, że powinno się przesunąć kilka z tych stojaków i przepuścić samochody. Nie mówię, że koniecznie na autostradę, ale przynajmniej na obwodnicę północną. Co pan na to?

-A4, odbiór? - Funkcjonariusz uruchomił łączność w swoim hełmie. - Pedro? Tu Bob z piątej strefy. Cześć. Mam tu problem.

-Natanieł, chcesz siusiu? - zabrzmiał głos kobiety, którą słyszałem już wcześniej.

-Wie pan, że filmuję wszystko, prawda? - zapytała Marena. -I jeżeli okaże się, że ci ludzie tutaj zginą, będzie to we wszystkich mediach. To jedna z takich wiadomości, które przyciągają uwagę opinii publicznej, a pan i pańscy przełożeni staniecie się symbolem wszystkiego, co złe w tym kraju. Nie będzie pan mógł wyjść z domu, bo lu-

dzie będą pana wytykać palcami. Będzie pan musiał zapaść brodę i przeprowadzić się do San Juan.

- Tak, proszę się cofnąć. - Funkcjonariusz nie wydawał się poruszony. - Proszę pani, zaraz pojawi się oddział, który odeskortuje panią do samochodu.

Marena nie cofnęła się, tylko spojrzała na niego twardo. Oficer odpowiedział równie nieruchomym spojrzeniem.

-Na pewno nie chcesz siusiu? - znowu dało się słyszeć kobietę z nosowym głosem.

-Co on ma przy pasie, to żółte? - zapytał mnie Max.

-Butla tlenowa. Jeżeli filtry w jego masce się zatkają, może jej użyć i oddychać jeszcze kilkanaście minut czystym powietrzem.

-Och. - Max skinął głową. - Fajnie.

Fuentes przerwał pojedynek na spojrzenia i odwrócił się, by odejść. Marena popatrzyła na zgromadzenie może z trzydziestu kierowców, którzy jak ona przyszedli sprawdzić, co się dzieje. To, co zobaczyłem potem na ekranie, wprawiło mnie w konfuzję. Parę sekund później spoglądałem na tłum z innej perspektywy, a kiedy Marena się nieco pochyliła, okazało się, że wdrapała się na bagażnik zielonej półciężarówki stojącej w pierwszym rzędzie samochodów zatrzymanych przed blokadą. Marena oparła stopy na chromowanych rurach i balansując między dwiema kolorowymi deskami do surfingu, raz jeszcze spojrzała po zgromadzonych cywilach. Obraz z kamery chwiał się, ale i tak można było zobaczyć, że pod blokadą stali zwyczajni Amerykanie -spasieni na soli, cukrze i daniach z McDonalda, wszyscy biali, co zabawne. Funkcjonariusz przy blokadzie kazał im się cofnąć.

- Słyszycie mnie? - Marena zwróciła się do tłumu. - Przepraszam, ale wydaje mi się, że powinniśmy tu coś ustalić, i będę potrzebowała pomocy. Musimy się trzymać razem, jeżeli chcemy to załatwić.

Ludzie po prostu na nią patrzyli.

-Nataniel, na pewno nie chcesz siusiu? - po raz kolejny nosowy głos zabrzmiał wyraźnie w głośnikach.

-Nazywam się Marena Park. Jestem dziennikarką, reporterką i matką. Znajduję się na rozjeździe autostrady i drogi stanowej osiem-

set dwadzieścia jeden. Została tu pośpiesznie postawiona blokada, by powstrzymać ruch na południe. Jest nas tu całkiem sporo i nie podoba się nam sposób, w jaki władze próbują załatwić problem. Przed chwilą rozmawiałam z oficerem, który - jak twierdzi - jest tu dowódcą. A teraz chcę usłyszeć, co wy macie do powiedzenia. Oficer Fuentes powiedział, że nie możemy przejechać ani na autostradę, ani na obwodnicę, by wydostać się z terenu ataku, ponieważ dowództwo w bazie Homestead chce skorzystać z tych dróg jako pierwsze.

-Wcale tego nie powiedziałem - zabrzmiał z oddali głos funkcjonariusza, ale Marena go zignorowała. - To nieprawda, że...

-Oficer Fuentes ma na sobie pełny skafander chroniący przed bronią chemiczną, my nie mamy nic. Mój GPS pokazuje, że obie drogi są puste i przejezdne aż do Keys na wybrzeżu. Ale chciałabym usłyszeć, co mają do powiedzenia obywatele Stanów Zjednoczonych.

Wyobraziłem sobie, że Marena spogląda kolejno na ludzi w tłumie. Nikt się nie odezwał, poza młodą kobietą, która wymamrotała błagalnym tonem parę niezrozumiałych słów. Wydawało się, że zaraz zacznie narzekać lub szlochać.

-Co myślicie? - zapytała Marena raz jeszcze. Było jasne, że nawiązała kontakt wzrokowy z kimś w grupie, ale nie można było dostrzec, kto to. - Uważacie, że powiedziano nam prawdę, że powinniśmy tu po prostu siedzieć i czekać, czy też może to dezinformacja?

-Rozumiem, co masz na myśli, kochana - rozległa się odpowiedź. Max odszukał kobietę, która mówiła, i zrobił zbliżenie, nim sięgnąłem do panelu przy kierownicy. Marena wyłowiła z tłumy starszą panią, niską, drobną, zasuszoną - siwoniebieskie włosy, szaroniebieskie oczy, sinobiała skóra.

-Dziękuję za wsparcie. - Marena chyba się do niej uśmiechnęła zachęcająco.

-Wiadomo - kontynuowała starsza pani - że dziewięćdziesiąt pięć procent tego, co władza mówi w dzisiejszych czasach, to brednie.

Zapadła cisza. Nawet kobieta od siusiania się zamknęła.

-Mama umie sobie radzić - szepnął Max konfidentycznie.

-Twoja mama jest bardzo odważna - zapewniłem.

-Kto jeszcze powie, co o tym sądzi? - Marena rozejrzała się znowu.

-Władze potrzebują dróg, aby wywieźć pracowników - powiedział ktoś z grupy. - Wiedzą, co robią.

-Świetnie, mamy zatem dwie różne opinie. Doskonale. Ile...

-Chciałbym coś powiedzieć - wtrącił oficer Fuentes, ale chyba nie miał systemu nagłaśniającego, ponieważ jego głos był słabo słyszalny i zagłuszyła go wypowiedź kolejnego kierowcy - mężczyzny o donośnym głosie i ciemnych włosach. Mówca miał ponad czterdzistkę, wyglądał na porządnego, płacącego podatki obywatela. Obejmował ramieniem dwójkę dzieci - zapewne rozwodnik, który w przyznany mu przez sąd dzień odwiedzin zabrał pociechy do Disney World i właśnie odwoził je do domu.

-...gównu ich obchodzimy! - perorował. - Jeżeli odjedziemy na południe, możemy się uratować, ale jeżeli tu zostaniemy, umrzemy, to proste. Ten koleś z armii nosi pieprzony skafander kosmiczny, ale ma czelność wmawiać nam, że...

Potem znowu zrobiło się zamieszanie. Mamrocząca kobieta zaczęła pisać: „Umrzemy tutaj, umrzemy!” - i powtarzała to jak zepsuta płyta. Coraz więcej osób wysiadało z wozów i podchodziło, pytając, co się dzieje. Funkcjonariusz Fuentes próbował przekonywać, że blokada jest konieczna, że to element działań antyterrorystycznych.

- Słuchajcie! - zawołała Marena nad gwarem. - Wydaje mi się, że chyba nie powinniśmy za bardzo polegać na tutejszej władzy.

Zawtórowały jej nierówne potaknięcia i nawet nieco staroświeckie „racja, panienko!”. Jednak część osób zaprotestowała. Zdaje się, że nareszcie odezwał się również Nataniel, który zapewnił, że nie chce siusiu. Oficer Fuentes zniknął mi z pola widzenia, przypuszczalnie postępował zgodnie z procedurą dotyczącą konfrontacji z tłumem i wycofał się do opancerzonego wozu.

- Dobra, głosujemy - zawołała Marena. - Nikt nam nie pomoże, musimy radzić sobie sami. Ludzie? Chcę usłyszeć, co macie do powiedzenia.

Głosy sprzeciwu ucichły, choć nie całkiem.

- Świetnie. Proszę, najpierw ci, którzy uważają, że wojsko ma na względzie nasze dobro, więc powinniśmy wrócić do wozów i czekać, niech albo raz zatrąbią, albo krzykną „przeciw”. Gotowi? Trzy, dwa, jeden - głos!

Rozległ się chóralny okrzyk i z łatwością można było usłyszeć „przeciw”.

- Wspaniale. - Dziewięćdziesiąt pięć procent zebranych skupiło teraz uwagę na Marenie. - Wszyscy, którzy uważają, że wojsko wcale nie ma na uwadze naszego dobra, a właściwie ma nas gdzieś, wszyscy, którzy chcą po prostu przejechać, niech krótko zatrąbią dwa razy lub krzykną „za”. Pamiętajcie, że armia nie może nas wszystkich aresztować, zresztą jestem pewna, że nikt nie zostanie aresztowany, nawet ja. A zatem: ci, którzy chcą przejechać. Gotowi? Trzy, dwa, jeden - „za”!

Zawtórowało jej o wiele głośniejsze od poprzedniego „za”.

- Świetnie! - powiedziała.

Tłum nie ruszył, ale przysunął się nieco bliżej blokady. Nie zabrzmiały żadne wiwaty, tylko ciche stwierdzenia: „świetnie”, „no dobra”, „do roboty”. Jednak cel został osiągnięty. Ożeż, pomyślałem. Wolność prowadzi ludzi na barykady. *A la Bastille!* Tata rozwodnik pierwszy pchnął jeden ze stojaków. W wyrwę, nie czekając, aż reszta barierki zostanie odsunięta, wjechał samochód. Marena zeskoczyła z półciężarówki i zaczęła przepychać się do nas. Ktoś ją zawołał, ale go zignorowała. Samochody obok nas drgnęły.

-*Byong shina* - wymamrotała.

-Mamo? Samochody ruszają - zameldował jej Max przez telefon.

-Zaraz będę, kochanie - głos Mareny był lekko zdyszany.

Wkrótce potem zobaczyłem ją przez przednią szybę. Silniki samochodów obok naszego jeepa zaryczały głośno, jakby chciały w nas uderzyć i zgnieść. Marena wskoczyła do wozu, zatrzasnęła drzwi i kliknęła w panel na kierownicy - wszystko, skłonny jestem przyznać, jednym płynnym ruchem.

- Muszę do łazienki - oznajmił Max.

- Wytrzymasz jeszcze parę minut? - zapytała z troską.

Max zapewnił, że tak. Przejechaliśmy powoli między przewróconymi barierkami i niedługo potem otoczyły nas żółto-zielone połacie bagien parku Everglades.

-To było coś, naprawdę - powiedziałem z podziwem. - Ja tak nie umiałbym. Byłaś jak... yy...

-Joanna d'Arc? - odpowiedziała.

-Skąd wiesz, co chciałem powiedzieć?

-To nic takiego, w firmie mamy sporo kursów interpersonalnych. Istnieją pewne słowa kluczowe, które wywołują określone reakcje...

-Naprawdę? A skąd wiedziałaś, że ta starsza pani będzie po twojej stronie?

-Mógłbyś się tego nauczyć na kursie. Ludzie nieświadomie robią pewne miny, gdy się zgadzają z czymś lub nie.

Dla podkreślenia swoich słów dodała gazu.

- Chyba musimy zrezygnować z pomysłu, by zatrzymać się w hotelu w Miami.

Cudnie.

- Firma ma ośrodek wypoczynkowy w Key West. Nietrudno będzie złapać samolot, by się tam dostać.

Wspaniale. O ile w ogóle uda się nam dotrzeć na lotnisko, pomyślałem.

- A jeżeli nie dotrzemy na lotnisko - stwierdziła Marena - to i tak jesteśmy blisko wody. Firma może przysłać po nas łódź, jeżeli gdzieś utkniemy. Mam bardzo wysoki poziom OKP.

Nad naszymi głowami zahuczał wojskowy odrzutowiec.

-Wybacz, nie mam pojęcia, co to OKP.

-Ochrona Kluczowych Pracowników. Ubezpieczenie. Firma wysłała nawet służby specjalne, jeżeli zajdzie potrzeba.

Och, po prostu świetnie.

-Max, przestań - nakazała nagle Marena.

-Czemu? - usłyszałem z tyłu.

-Ponieważ taka jest wola boża. Przez ciebie Dzieciątko Jezus będzie płakało.



- Dobra, dobra - mruknął Max. Chyba musiał przestać, cokolwiek to było. Sprawdziłem CNN na komórce. Z przesuwającego się tekstu wyczytałem, że parę osób z podobnymi objawami jak te w Disney World pojawiło się w Chicago, Seattle i kilku innych miejscach, nawet tak odległych jak Lima. Ponieważ jednak wszystkie poczuły się źle na lotniskach, najprawdopodobniej przyleciały właśnie z Orlando, a dzień wcześniej musiały być w parku.

Kierowaliśmy się do Miami. Okolica wyglądała na zaniedbaną. Obawiałem się korków lub wypadków na drodze, ale nic strasznego się nie stało. Może ludzie byli na plaży. Za miastem jedzie się siedem mil przez bagna, a potem grobla i wjazd na autostradę numer jeden, przy Blackwater Sound w Cross Key. Pięć mil dalej znajduje się Key Largo. Przejrzałem Internet w poszukiwaniu organizacji Białe Bizon. Znalazłem stronę, ale było tam tylko logo, kilka cytatów z Leonarda Peltiera i zakładka do logowania się na forum. Wyglądało na to, że to jakiś odłam RIA - Ruchu Indian Amerykańskich. W CNN mówiono, że horror w Disney World - najwyraźniej incydent otrzymał nazwę -to wypadek, w którym zginęło wiele ofiar. Fajnie, że to wyjaśniono. Na drudgereport.com oszacowano na podstawie komunikatów radiowych z karettek, że śmiertelność chmura, z czegokolwiek się składała, objęła swoim zasięgiem nie tylko Czarodziejskie Królestwo, lecz także rozciągała się na południe do jeziora Tohopekaliga i na zachód co najmniej do centrum Orlando oraz na północny zachód wąskim pasmem uderzyła w wybrzeże jeziora Harrisa. Objawy w postaci wyprysków i krost zgłoszono jednak również dalej, ale ponieważ ludzie się przemieszczali przez cały dzień po wystawieniu się na działanie toksycznych substancji, nie do końca udało się ustalić obszar skażeń. Octavia Quentin, diagnosta nagłych wypadków z Departamentu Bezpieczeństwa, powiedziała, że niektóre z objawów są charakterystyczne dla zatrucia metalami ciężkimi lub ekspozycji na bardzo wysoki poziom promieniowania jonizacyjnego. Rzucający krosty, pomyślałem. Ci, co rzucają krosty. Z wnętrza kamieni. Światło z kamienia.

W Newsó mówiono o tym, że zamieszki z okolic parku zaczynają się rozprzestrzeniać coraz szybciej. Panika rodzi panikę, twierdził

jakiś rzekomy ekspert. Nazywamy to reakcją samowystarczalną. Skuteczna ewakuacja Orlando i okolic przeprowadzana przez Federalną Agencję Zarządzania Kryzysowego FEMA nie okazała się skuteczna i ruch na drogach w centrum stanu Floryda był spowolniony przez korki. Lotniska w Kissimmee, Lakeland, Lakę Wales i Vero Beach nie działały. Szpitale nawet tak odległe jak w Tampa, Gainesville i Fort Lauderdale, do których helikopterami przetransportowano pacjentów, były przepełnione. Pracownicy stanowych służb kryzysowych odmawiali dotykania ofiar - „światlików”, jak je nazywali - ponieważ uważali, że mogą się zakazić. Podobnie chyba było w Japonii po atakach na Nagasaki i Hiroszimę - ludzi dotkniętych chorobą popromienną również jakoś nazwano... Nie mogłem sobie przypomnieć jak - chyba *hibachi* lub jakoś podobnie. Funkcjonariusze policji pojawiali się rzadko, głównie dlatego, że albo pomagali w szpitalach, albo po prostu woleli unikać zamieszek. Drobnii przestępcy organizowali się w grupy szabrowników - już nie tylko zamierzali rozbić parę szyb wystawowych i zabrać drobiazgi, lecz załadować wszystko, co było w magazynach sklepów elektronicznych, na ciężarówki i wywieźć do paserów.

Ruch na drodze utknął w korku przy Fat Deer Key. Jednak, w przeciwieństwie do większości mieszkańców stanu, nadal się przemieszczaliśmy - głównie dlatego, że z grobli nie można było zjechać wcześniej, dopiero przy Keys. Z map w Internecie wynikało, że ruch drogowy kilka mil za nami zamarł całkowicie. Dobrze się stało, że Marena nie zawahała się działać stanowczo przy pierwszych oznakach kłopotów. Kiedy paranoja się opłaci - opłaci się po wielokroć.

Max wychylał się przez okno, by patrzeć w niebo. Zerknąłem również z ciekawości. Nad nami przelatywało mnóstwo samolotów - wojсковych maszyn różnego typu i wielkości, których kursy splatały się w węzeł gordyjski, jak podczas karmienia morskich drapieżników. EF2000 przypominały ryby młoty, harriery - żarłacze błękitne, globematersy - rekiny wielorybie, starfighterzy - żarłacze białe. Dostrzegłem nawet jednego B-2, który wyglądał jak wielka płaszczka. No, to mamy całą piekielną menażerię, pomyślałem. Próbowałem połączyć

się z domem, ale bez skutku. Napisałem wiadomość dla Za Nic - również bez odpowiedzi.

-Mamo? - Max odwrócił się od okna. - Jestem głodny.

-Zjadłeś już ciastka? - zapytała Marena. Potwierdził. Marena kazała mu poczekać pół godziny, ponieważ uczestniczymy w tajnej misji jak komandosi i musimy sobie radzić z trudnościami. A ja próbowałem się uspokoić. Najlepsze, co mogę zrobić, to nie denerwować kierowcy, upominałem się w duchu. Jesteśmy już blisko Islamorady, a stamtąd na wybrzeże jest rzut kamieniem. Stamtąd nie widać już zarysu półwyspu, a jedynie groblę łączącą zielone wysepki oraz zardzewiały wiadukt kolejowy z prawej.

Z informacji w CNN wynikało, że w samą porę wydostaliśmy się z Miami. W Pompano wybuchły zamieszki, a w Hialeah przerażony tłum zaatakował kordon wojska i żołnierze musieli strzelać - podobno użyto nowej broni, która strzela galaretowatymi pociskami czy coś podobnego. *Eh bueno*, pomyślałem, przynajmniej nadal mamy Internet. Nie ominie nas nawet minuta z nadchodzącego holokaustu. W dobie telewizji na żywo tak złe wiadomości to dobre wiadomości. Minęliśmy posterunek straży przybrzeżnej na południowym skraju Plantation Key. Dziwne, był opuszczony, żadnych łodzi na przystani ani samochodów na parkingu. Stado samolotów kierowało się na północny zachód.

-Ale przynajmniej to jest to - odezwała się Marena.

-Przepraszam, co?

-Myślałam o tym rzucaniu krost. Sprawdziło się. Ludzie, to znaczy ofiary, mieli krosty, mnóstwo krost.

-No...

Na długą, szarą, niepewną i ponurą chwilę zapadła cisza. W końcu Marena podniosła na mnie oczy.

- Słuchaj - zaczęła - znasz jakies...

W pierwszej chwili pomyślałem, że to powróciło słońce, ponieważ metalowe znaczniki na linii oddzielającej pasy zabłyśły jasną purpurą, na nawierzchni rozlało się żółte, zbyt pogodne światło. Ale słońce zaszło już jakiś czas temu, nieprawdaż? Potem poczułem, jakby powietrze zostało wciągnięte z taką siłą, że przednia szyba samochodu zadrżała i miała wypaść, a wieczność po tym usłyszałem grzechot, który narastał, zmieniając się we wrzask grzeszników w rękach wściekłego boga - huczące CHRURRURRSZ. Wszystko zakończył huk - bez wątpienia odgłos eksplozji; krótki, bezlitosny łomot. Zdawało się, że wóz został pchnięty do tyłu i na prawo siłą uderzeniową podmuchu.

- Kochanie! - Usta Mareny poruszyły się, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Wyciągnęła ramię, by chwycić dziecko. Drobną ręką chłopaka wystrzeliła spomiędzy siedzeń do kierownicy, ale Marena na to nie pozwoliła. Chwyciwszy dłoń Maksa, ułożyła ją sobie na udzie. Zerknąłem na niego. Wcisnął głowę między oparcia przednich foteli, rozchylone wargi obnażały zęby. Odłamki i gruz zaklekotały na metalu karoserii jeepa, w szyberdach uderzyły krople wody i zdawało mi się, że dostrzegłem także odłamki koralowca oraz rybnie łuski. Ledwie przeszła pierwsza fala uderzeniowa, już powstała następna. Zaskakujące, ale samochody na drodze nadal się poruszały - ostrożnie i powoli, ale jednak. Można było niemal wyczuć nastroje kierowców i wyobrazić sobie, jak powtarzają: „Co jest, kurwa?“, „Żyjemy czy

nie?". Jednak wszystko stało się tak szybko, że pewnie większość nie zdążyła jeszcze zareagować.

- To nie atomówka - powiedziałem. - To nie atomówka. To nie atomówka.

Ale Marena nie usłyszała. Nadal otaczała nas strefa ciszy, dzwoniącej w uszach, rezonującej na bębenkach i kosteczkach słuchowych. Towarzyszyło jej doznanie jak po ustąpieniu bólu. Rozejrzałem się szybko - żadnego ognia, ale z tyłu po prawej dostrzegłem rosnącą ścianę bieli. Wyglądała tak nierealnie, że długą chwilę zajęło mi zrozumienie, co to jest. Para. Jak daleko od nas? Między błyskiem i hukem eksplozji była może sekunda opóźnienia, ale nie miałem pewności. Pięć mil? Nie, bliżej... Zerknąłem na Marenę. Zacisnęła lewą dłoń na kierownicy tak, że pobielaly jej palce. Dobrze, że kierownice robiono solidne, nie łamały się pod ludzkimi palcami. Kobieta pytała bezgłośnie o coś Maksa, pewnie, czy nic mu nie jest. Chyba trwało to już jakiś czas. Początkowo nic nie słyszałem, aż wreszcie głos Maksa przebił się przez watę ciszy i dotarło do mnie, co mówi:

-Nic mi nie jest... Nic mi nie jest...

-To nie atomówka - powtórzyłem. - Nie atomówka.

-Dobrze się czujesz?

-To nie atomówka. Popatrz, okna są całe, nie pękły, nic nam nie jest - powtórzyłem. - To nie atomówka.

-Ale czy ty się dobrze czujesz?

-Ja? Tak, nic mi nie jest.

Zmieszane zapachy spalenizny przedostały się przez system klimatyzacji wozu.

-To dobrze.

-To nie była atomówka.

-Wiem.

-A ty i Max? Nic wam nie jest?

W pewnym momencie dzieciak musiał się przepchnąć do przodu i znaleźć na kolanach matki, ale nie pamiętałem, kiedy to się stało.

-Nie.

- To dobrze.

-Tak.

- Nie wydaje mi się także, że to w ogóle jakaś bomba - powiedziałem przytomnie. Biała ściana pary otoczyła nas niemal całkowicie. Wewnątrz była ciemniejsza.

-Co?

-Myślę, że to rurociąg.

-Rurociąg?

-Jak naturalna erupcja gazu - wyjaśniłem. Otoczenie pograżało się w ciemności. Tłusty, czarny dym. - Tyle że tu dochodzą jeszcze opary ropy, które zaczynają się palić.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że szczękają mi zęby. Samochody przed nami stanęły. Uciszcie się, nakazałem zębom.

-Zginiemy? - zapytał Max.

-Nie, jesteśmy daleko od zagrożenia - zapewniła Marena.

-Jed, zginiemy?

-Nie - powiedziałem dziecku. - Jesteśmy w najlepszym możliwym miejscu - blisko wody i na jezdni. Jezdnia się nie zapali.

-To dobrze - westchnął. Sądząc po brzmieniu jego głosu, dobiegł do siebie i już się nie bał. Słyszałem o tym wcześniej, na kursie pierwszej pomocy: dzieci łatwo ulegają strachowi, ale jeżeli dorośli wydają się spokojni, one również natychmiast odzyskują panowanie nad sobą. Po prostu nie wiedzą, co jest normalne, a co nie.

-Max, musisz się teraz skupić. Musisz nam pomóc - powiedziała Marena. - Wiesz o tym.

-Może znowu wybuchnąć, tylko bliżej - stwierdził dzieciak.

-Nie, nie wybuchnie - zapewniłem. - Rurociąg ma zawory. Ropa wyleje się przez otwarte otwory i spłonie. Poza tym rurociąg nie idzie pod drogą, jest na dnie zatoki.

-Dobrze. - Max wyraźnie odzyskał spokój. Jednak kolejny wybuch jest możliwy, pomyślałem. Ale może cała sekcja rurociągu zostaje odcięta w przypadku pożaru? Nie wiedziałem.

Powiedziałem, że muszę się rozejrzeć, i wysiadłem. Było gorąco, ale dzień był upalny i fala ciepła z wybuchu dodała tylko kilka stopni do rozgrzanego powietrza. W oddali rozbrzmiewały syreny i syg-

nały z łodzi oraz huk odrzutowców. Kilka osób również wysiadło. Zamknąłem drzwi i wdrapałem się na dach jeepa. Nie dostrzegłem w pobliżu ognia ani żadnych poważniejszych stłuczek na drodze. Ale przed i za nami kilkanaście aut obróciło się w różne strony. Cholera... To wystarczy, by zatamować ruch. Pewnie cała droga na wybrzeże jest teraz zakorkowana. Nie ma co liczyć, że się stąd wydostaniemy w najbliższym czasie. Można to było przewidzieć. Jednak „przewidywanie” chyba zaczynało się znacząco dewaluować.

- Jed, wracaj do samochodu - nakazała Marena przez zewnętrzny system nagłaśniający.

Posłuchałem. Moja kiedyś elegancka koszula pod marynarką zrobiła się mokra, jakbym wystąpił w konkursie mokrego podkoszulka. Marena wyłączyła silnik, ale upewniła się, że system komputerowy działa nadal, pobierając moc z zasilacza.

Wyglądała na spokojną. Biorąc pod uwagę okoliczności, doszła do siebie bardzo szybko. Siedzieliśmy. Słuchaliśmy. Powoli zapadała noc. Marena dotknęła ekranu i z przedniej szyby zsunęła się przyciemniona przesłona. Odgłosy z zewnątrz nie budziły nadziei, ale, na szczęście, dochodziły z daleka. Max w końcu wrócił na tylne siedzenie. Marena zaczęła przeglądać dane z komórki. Sięgnąłem po swoją. W CNN powiedziano, że paru techników z Universal Studio miało przy sobie dozymetry i zgłosiło policji niebezpiecznie wysoki poziom radiacji wczoraj po południu, ale najwyraźniej nikt na to nie zareagował. A przecież inni ludzie też musieli coś zauważyć, pomyślałem. Czy Departament Bezpieczeństwa nie sprawdza wskazań liczników Geigera? Zresztą tyle radów musiało wpłynąć na przewody elektryczne i uruchomić czujniki dymu lub alarmy przeciwpożarowe, nie wspominając, że naświetliłoby zdjęcia rentgenowskie w gabinetach dentystrycznych i tysiącach innych miejsc... I nikt nic nie zauważył? Chociaż, jeżeli się zastanowić, to chyba czytałem, że wczoraj w parku było kilka alarmów pożarowych...

Cholera, w Internecie są biliony stron i żadna się nie zainteresowała. Znowu zająrzałem na YouTube. Najpopularniejsze wideo przedstawiało długie, statyczne ujęcie autostrady międzystanowej numer

siedemdziesiąt pięć, gdzieś na północ od Ocala. Samochody wypełniały wszystkie sześć pasów po obu stronach drogi. Nagle zatrzymały się gwałtownie i znieruchomiały, jak skrzep zatykający tętnicę. Cztery zdające się ciągnąć w nieskończoność rzędy pieszych przeciskały się między pojazdami. Ludzie nieśli wypchane torby i butle z wodą, niekiedy chwiejące się na przewieszonych przez ramię kijach. Dwa ciała (a może tylko dwóch zmęczonych mężczyzn) leżały na pasie zieleni oddzielającym pasy autostrady. W dzieciństwie często widywałem uciekinierów, ale teraz, jak większości moich sąsiadów, na takie obrazy zdarzało mi się natknąć tylko w telewizji - głównie relacje z niedawnego holokaustu w Afryce lub Azji. I pewnie jak większość rdzennych amerykańskich obywateli nie potrafiłem uwierzyć, że piekło jest tutaj, że właśnie się w nim znalazłem. Tyle tylko, że na filmie z YouTube ludzie nie zachowywali się jak typowi uchodźcy - może dlatego, że poruszali się jak pyłki w wodzie. Ruchy Browna. W pierwszej chwili sądziłem, że starają się ominąć przeszkody terenu, ale zaraz zrozumiałem, że nikt nie chciał się znaleźć blisko sąsiada. Co znaczyło, że każdy w tym tłumie uważał, że może się zakazić od towarzysza, dlatego wszyscy trzymali się na dystans i unikali bliskości. Tłum powoli parł naprzód w paranoiadnych konwulsjach.

Cząsteczki polonu, pomyślałem. Cholera, może powinniśmy zmienić ubrania. Nawet nieznaczna ilość tego świństwa może wybuchnąć, a my nawdychamy się radioaktywnego paskudztwa albo coś... Hm. Szlag. Nie pomyślałem o tym wcześniej. Głupiec ze mnie i tyle. I jak na głupca przystało, wyobraziłem sobie natychmiast Marenę pozbywającą się ubrania i ukazującą dwa jardy kwadratowe gładkiej, kuszącej skóry. Brawo. Powinienem jej powiedzieć o ubraniach? Ale jeżeli w ogóle znajdziemy jakieś inne, będą prawdopodobnie równie skażone. Albo zarażone wszami. Zawsze możemy iść nago. Ale jest z nami dziecko. A poza tym przecież żadne z nas nie było blisko strefy skażenia, a jeżeli resztki polonu są w pobliżu, to zapewne przywiezione przez kogoś, kto wyjechał z parku, a wtedy - jeżeli będziemy nago - możemy je zaabsorbować przez skórę. Co znaczy, że szanse są tysiąc razy większe niż... powiedzmy, że jak... Och, nie-



ważne. Przydałby się Enrico Fermi, żeby to rozwiązać. Uznałem, że lepiej nic nie mówić.

Niestety, w realnym świecie zniknęły ostatnie promienie słonecznego światła. Jednak nie zapaliły się latarnie i lampy. Mimo tego noc wydawała się jaśniejsza niż dzień - wysoka chmura dymu miała kolor toffi, ponieważ odbijała pomarańczową lunę pożarów.

-Przynajmniej jedno jest dobre - mruknęła Marena bardziej do siebie niż do mnie lub Maksa. Spojrzałem na nią pytająco.

-Dostałam właśnie esemesa od DW - wyjaśniła.

-Wybacz, ale co to jest DW?

-Dział Wykonawczy. W ramach kontraktu z ubezpieczycielem. Zwykle sprawdza lokalizację i stan techniczny samochodów firmowych oraz negocjuje z porywaczami i tym podobne sprawy.

-Aha. Zaraz, możesz im przesłać wiadomość i...

-Nie, nie mogę. Ale dział już wie, gdzie jesteśmy - naprowadzanie nie działa, ale odebrali sygnał z naszego lokalizatora przez satelitę. I łódź jest już w drodze.

-To wspaniale. Myślisz, że straż przybrzeżna pozwoli im podpłynąć tak blisko?

-Ludzie z DW sądzą chyba, że nie będzie problemów.

Znowu zamilkliśmy. Po mojej stronie dostrzegłem przez okno strzelające w niebo zielone chryzantemy fajerwerków. Jak się dowiedziałem z TomTomClub, to muzułmańska społeczność w Homestead świętowała atak. Między samochodami przebiegło kilka osób i skierowało się na południe. Na CNN powiedziano, że federalni stracili kontakt z policją w Miami i innymi posterunkami. Zły znak. Kiedy i tutaj zacznie się szabrowanie? Wyjrzałem przez okno, ale nikt nie wyszedł z najbliższych wozów. Na drudgereport.com pojawiła się wzmianka o Orlando. Lekarze wojskowi szacują, że co pięćdziesiąty mieszkaniec miasta był wystawiony na promieniowanie, co znaczyło, że przynajmniej u tylu osób w ciągu najbliższych tygodni wystąpią objawy choroby popromiennej. Pojawiło się również kilka informacji o tym, jak w Belle Glade sześć na dziesięć osób przeżyło dzięki telefonicznemu ostrzeżeniu o „światlikach”, których określono jako „zombie”

lub „ofiary złej czarownicy”. Jak podał jeden z naocznych świadków zdarzenia, niektórzy uznali, że należy chronić rodziny i sąsiadów, co znaczyło, że najlepiej zabić i spalić potwory. Na StrategyNet mówiono, że żadna agencja rządowa nie miała nawet matematycznych obliczeń i przewidywać, jak szybko będzie narastać panika.

To bardzo skomplikowana sprawa - twierdził Bourgeoiseophobus. Panika się teraz rozprzestrzenia ze Śr. Florydy i staje coraz silniejsza, ponieważ sama się napędza. A im więcej ludzi zostanie ostrzeżonych, tym większa będzie skala i sita zjawiska.

Jak dla mnie wydawało się to rozsądne.

Połączenie się zerwało. Zrestartowałem komórkę i spróbowałem odzyskać Internet. Udało się. Przejrzałem YouTube. Były tam filmy z płonącymi sklepami i magazynami, zdjęcia rozwijających się zmian skórnych oraz obrazy uchodźców czekających na wejście do szkolnych autobusów. Krępe napuchnięte sylwetki w kombinezonach i maskach przeciwgazowych stawały przy pozostałościach lotniska w Miami plastikowe niebieskie namioty przy świetle łukowych lamp. Polujący nocą myszołów, który wkrótce będzie martwy, wylądował przy zmarłej kobiecie pod wielkim surrealistycznym grzybkim-halucynkiem w Ogródku Szalonego Kapelusznika. W tle majaczyła aleja Krainy Fantazji Świata Disneya i błakająca się para słoni, pozostawiona na pastwę losu podczas panicznej ucieczki ludzi. Obraz tonął w półcieniu rozproszonym tylko jedną lampą awaryjną i przypominał mi scenę z „Pinokia”, gdy Wyspa Przyjemności opustoszała, bo wszyscy chłopcy zostali zmienieni w osły. Samotny starzec, chyba jedyny poruszający się obiekt w promieniu wielu mil, kuśtykał między porzuconymi samochodami na West Gore w centrum Orlando. Grupa starych kobiet kradła paliwo na parkingu, jak... nie przyszło mi do głowy żadne porównanie. Może dziesięcioletnia dziewczynka wędrowała w kurzu i dymie do błyskającego pomarańczowego światła.

- Jed? - Marena wyrwała mnie z wirtualnego świata.

-Tak?

-Muszę powiedzieć parę rzeczy Maksowi.

-Dobrze - mruknąłem. Przypuszczałem, że chodziło o jakieś sprawy osobiste. - Masz jakieś większe słuchawki? Albo mogę wyjść z samochodu, żeby nie słuchać...

-Nie, w porządku. Tylko chciałam cię tylko uprzedzić. - Może uznała, że dzieciak nie spanikuje, bo będzie chciał przy mnie wyglądać na odważnego. - Max?

-Tak?

- Musimy porozmawiać.

Max powiedział, że w porządku. Szlag, pomyślałem. Naprawdę nie chcę tego słuchać.

W takim wieku chłopcy chcą uchodzić za dorosłych, ale nadal trzymają pod poduszką wytartego pluszaka. I nikt nie chce zranić uczuć takiego malca, dlatego wszyscy udają, że nie widzą dziecinnych łez. Założyłem słuchawki z komórki i pogłośniłem maksymalnie dźwięk - wzmógł się tylko biały szum, ale to nie pomagało. Skoncentrowałem się na przeszukiwaniu pasm nadawania, by zapewnić synowi i matce trochę prywatności, nie tej prawdziwej, lecz raczej w japońskim stylu, pseudoprywatności - gdy nie chce się czegoś słuchać, więc próbuje się wyłączyć i odseparować. Ale nadal wszystko słyszałem.

- Posłuchaj, kochanie - mówiła Marena cicho. - Wiesz, że dzisiaj może się stać coś niedobrego, prawda? Mogę zostać ranna, rozu-  
miesz?

Max potwierdził pomrukiem.

-Dobrze. W takiej sytuacji pewnie upadnę i zasnę albo stracę przytomność.

-Może tak być?

-Nie, małe szanse. Naprawdę minimalne. Ale jeżeli tak się stanie, musisz zostać w samochodzie i zamknąć drzwi, nawet jeżeli to nie będzie wyglądało dobrze, rozumiesz? Nie wychodź i nie odchodź z nikim obcym. Jed się tobą zajmie, masz go słuchać. A jeżeli Jed zostanie ranny lub poczuje się źle, albo go z tobą nie będzie, po prostu zostań w samochodzie i czekaj. Nie słuchaj niczyich poleceń, chyba

że to policjant w mundurze i z odznaką, która wygląda na prawdziwą. W każdym innym przypadku zostań w samochodzie i zamknij drzwi od środka. I nie otwieraj, nawet jeżeli ktoś będzie walił w okno. Nie przejmuj się, szkło wytrzyma. I na pewno przyjdzie policja, więc się nie martw. Możesz wysiąść z samochodu tylko wtedy, gdy wokół wybuchnie pożar lub pojawi się dym lub coś podobnego. Albo jeżeli w pobliżu będzie wielu policjantów z odznakami, wtedy powinienesz zrobić to, co ci każą. Ale nie oddawaj telefonu, nie zgub go i sprawdzaj często. Skontaktował się ze mną DW, a ludzie z DW mają zamiar na twój lokalizator w komórce, więc będą mogli cię odnaleźć. Dlatego nie zgub komórki. Może ludzie z DW będą do ciebie dzwonić, jeżeli będą blisko, ale cię nie dostrzegą. Rozumiesz?

-Jasne.

-Świetnie. Wiesz, że firma wysłała po nas łódź, prawda? Ludzie z DW się wylegitymują, to znaczy pokażą identyfikatory, powiedzą, że są z Działu Wykonawczego. Gdyby nie pokazali identyfikatorów, poproś. Ale nie pytaj ich, czy są z DW, powinni to sami powiedzieć, rozumiesz?

-Tak.

- I nie wchodź do żadnej łodzi, jeżeli nie jesteś pewien, że to fir mowa. Pamiętaj Anę Vergare? Pewnie będzie na łodzi lub zadzwoni. Powiedz, że chcesz z nią porozmawiać. Mówię ci to, ponieważ wiem, że jesteś już duży i w razie czego sobie poradzisz.

Cisza. Hm, Marena nie wspomniała ani słowem o ojcu małego. Może ją opuścił dawno temu?

-Kochanie? - zapytała.

-W porządku, rozumiem - odpowiedział Max. - Ale czy naprawdę są małe szanse, że coś się stanie?

-Bardzo małe, ale sytuacja jest niepewna, więc musiałam ci przypomnieć o zasadach postępowania. Na wszelki wypadek.

-A jeżeli zaczniesz umierać, mamy cię zabrać do kliniki kriogenicznej, tak?

-Jeżeli karetka po mnie przyjedzie, to mnie tam zabierze. Ale ty nie powinienesz się tym przejmować. Może nie być dość czasu, może

nawet nie będzie karetki. Dlatego nie waż się przy mnie zostać, jeżeli powiem, żebyś odszedł. Musisz iść z Jedem lub kimś, komu każę się tobą zaopiekować.

Max przygarbił się nieco. Myślę, że nawet zaszlochał. Nie dam sobie z tym rady, pomyślałem. To jeden z przekonujących powodów, dla których nie powinno się mieć dzieci. Zbyt trudno i smutno jest patrzeć, jak dowiadują się prawdy o świecie. Marena chyba chciała mi coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

Czekaliśmy. Coraz więcej ludzi opuściło samochody i ruszyło pieszo na południe. Niektórzy nieśli nosze, inni pchali rannych lub słabych na wózkach. Nie przyjrzałem się dokładnie, ale przecież to byli tylko kierowcy i pasażerowie, którzy chcieli jedynie dotrzeć na Key West. Za bardzo się spieszyli, by choć pomyśleć o szabrowaniu lub kradzieży. Zacząłem również mieć wrażenie, że Dział Wykonawczy to tylko złudzenie, skutek myślenia życzeniowego. Jutro może się okazać wyjątkowo ponure. Pewnie niedługo cofniemy się do czasów paleolitu i zaczniemy łowić rekiny, używając jako przynęty jednego z nas.

-Jed? - Marena znowu wyrwała mnie z zamyślenia.

-Tak? - Odwróciłem głowę, by na nią popatrzeć. Jestem przy tobie, mała - omal mi się nie wymknęło. Ej, co robisz? Jesteś pewna, że on śpi? Mmm, to przyjemne...

-Co to jest ADW? - Patrzyła na tekst przesuwający się przez

C-SPAN.

-Ach, pewnie chodzi o broń soniczną, Área Denial Weapon - wyjaśniłem. - To jak brudna bomba. Służy do odstraszenia żołnierzy wroga lub trzymania ich na odległość od miasta, na przykład, albo innego miejsca. Na jakiś czas, dopóki promieniowanie, no wiesz, nie opadnie, przez tydzień lub dłużej... Zależnie od czasu połowicznego rozpadu...

-Kto zrobiłby coś takiego? To znaczy tutaj.

-Nie wiem. Może to, czy ja wiem, jakiś spisek CIA-FBI-DIA-DHS tajny, tajemniczy, ukrywający przewrót lub inwazję... A przynajmniej tak mi się zawsze zdawało.

-DIA? Masz na myśli lotniska?

-Agencja Wywiadu...

-Słuchaj - przerwała mi. - Jeżeli coś mi się stanie... zajmiesz się Maksem, dobrze?

-Oczywiście, że tak - prychnąłem. - Jezu, za kogo mnie masz? Myślisz, że jestem bez serca czy co? Nie odpowiadaj.

-I zatrzymaj mój telefon. Ludzie z dw cię zabiorą, kiedy będą mogli. I zajmą się resztą, wiedzą, co zrobić, kogo powiadomić i w ogóle.

-Dobrze. Macie jakieś hasło?

-Co? Och, nie, nie. Wiedzą o tobie. Po prostu powiedz, kim jesteś, pokaż im paszport.

-Dobrze.

-Mogą się pojawić w każdej chwili. W ostatniej wiadomości, jaką dostałam, podali, że znajdą się u celu o dziewiątej dwadzieścia wieczorem.

-Jest już jedenasta.

-Wiem.

Próbowałem wymyślić, co powiedzieć - coś mądrego, pokrzepiającego i w miarę męskiego, ale nic z tego mi nie wyszło. Marena wróciła do oglądania telewizji, a ja przejrzałem CHEMnetBASE w poszukiwaniu informacji o polonie. Okazało się, że czas połowicznego rozpadu izotopu dwieście dziesięć wynosi tylko sto trzydzieści osiem dni, więc można go pewnie używać w bombach neutronowych, które przede wszystkim wyczyszczą miasto lub bazę z ludzi, by później mogła to miejsce przejąć armia. Polon dwieście dziewięć jest mniej trujący, ale okres jego rozpadu połowicznego wynosi ponad sto trzy lata, więc jeżeli się go rozrzuci na jakimś obszarze, stanie się on na dość długo niedostępny. No dobrze - dwie liczby się wyjaśniły. A co z tą ostatnią, która mnie dręczyła: sto dwadzieścia cztery tysiące trzydzieści?

Lepiej nawet o tym nie myśleć.

*Cono.* Oszołomienie. Strach. Lęk.

Internet znowu padł.

Cholera. Próbowałem go odzyskać raz po raz. Nic.

Zresztą po co się męczyć? Najprawdopodobniej wszyscy byliśmy w pewnym stopniu wystawieni na promieniowanie. Za jakiś czas,

wcale niedługo, poczujemy ciężkość w nogach, a kiedy spróbujemy się uczesać, zaczną nam wychodzić włosy.

Oszołomienie. Dobra, spokój.

Mózg ma związki chemiczne, które przeciwdziałają hormonom wywołującym strach - trzeba tylko poczekać, żeby wykonały swoją robotę, a wtedy wróci się do normy i nikt nic nie zauważy.

Okolo północy stało się jasne, że Max dłużej nie pociągnie bez jedzenia. Odbyła się krótka dyskusja w kwestii, gdzie można zdobyć pożywienie i czy będzie ono zakażone, wynik jednak był taki, że wyszedłem na zwiad. Okolo ćwierć mili dalej natrafiłem na samochód--przyczepę i zastukałem w okno w tradycyjnej prośbie o opuszczenie szyby. Facet przy kierownicy potrząsnął głową odmownie, ale wyglądał na Meksykanina, co uznałem za dobry omen. Zacząłem mu wyjaśniać, czego chcę, cichym kastylijskim i machać grubym plikiem banknotów. Kierowca w końcu się zorientował, że nie odejdę. Upewniłem się, że pochodził z Miami i opuścił Miami w porę oraz że w samochodzie nie miał nic z północnego Miami. Kupiłem od gościa parę paczek chipsów, ciastek i różnych gotowych kanapek oraz sporo różnych napojów. Zapłaciłem osiemset dolarów.

Udało się całkiem niezle, pomyślałem, wracając do jeepa. Noc była wilgotna. W powietrzu dawało się wyczuć morską biomasę, która chyba zaczynała gnić. Zapowiedź bardziej odstręczających woni, to pewne. W oddali zabrzmiał niski łomot jakby artylerii. Gdzieś na lądzie, dość daleko, ale nie na tyle, by nie słyszeć huku wystrzałów i brzęku pękającego szkła. Szlag. Powinienem zapytać faceta z przyczepy, czy nie ma broni do odsprzedania. Może wróćę? Albo poszukam wozu z naklejką na zderzaku: JEŻELI TO CZYTASZ - JESTEŚ W ZASIĘGU. Jasne, żaden problem.

Gdy wróciłem do samochodu, miałem już wszystko zaplanowane. Znajdę ciężarówkę z akcesoriami do sprzątania, kupię taśmę klejącą, rączkę od mopa, kartonową tubę i butlę detergentu, posklejam to i ubrudzę smarem z osi tak, że po ciemku będzie wyglądać jak strzelba. Z tym urządzeniem zajmę pozycję na dachu cheerokee i będę czuwał całą noc, a jeżeli jakiś gang szabrowników ośmieli się zbliżyć, odstra-

szę go spojrzeniem twardym jak hartowana stal. A o poranku Marena spojrzy na mnie z taką wdzięcznością i podziwem dla mojej męskości, że nie będzie umiała utrzymać rąk z daleka od mojej *casa de pinga* nawet w obecności małego Maxwella, więc wkrótce potem...

- Jed, wsiadaj do wozu. - Marena opuściła okno najwyżej o cal. Cofnęła się na tylne siedzenie i obejmowała Maksa. Otworzyła drzwi od strony pasażera. - Mówię serio.

Wsiadłem. Podałem jej łup. Czekaliśmy. Pozwoliłem, by Max i jego matka namówili mnie na ostro-słono-słodkiego batona Pulparindo i małą inca kolę. Nie ma co się głodzić, choć wydalanie okaże się pewnie problemem w naszej sytuacji, ale tym będziemy się martwić, gdy zajdzie konieczność. Powiedziałem Marenie, żeby się przewietrzyła, bo ja i tak nie zasnę, więc mogę czuć. Nie zasnąłbym o tej porze w normalnych warunkach, a co dopiero w obecnych. Zgodziła się. Wróciłem do oglądania telewizji i obserwacji przedniej szyby. Przynajmniej nadal była telewizja. Prawdę mówiąc, nieważne, w jakich czasach coś się działo, zwykle można było tylko patrzeć. Tyle że teraz jakość obrazu była o wiele lepsza niż kiedyś. Na CNN z napisów wynikało, że Biały Dom i Departament Obrony uznały incydent za atak terrorystyczny, jednak jak dotąd nikt nie przyznał się do jego przeprowadzenia, nie wiadomo również, w jaki sposób rozproszono materiały radioaktywne. Ta sama doktor Quentin, która wcześniej mówiła o objawach zakażenia, teraz przyznała, że cząsteczki, jakie znaleziono w próbkach ze strefy zagrożenia, okazały się izotopami polonu - bardzo rzadkiego pierwiastka i zwykle bardzo drogiego, wydawać by się mogło, że zbyt kosztownego, by rozrzucić go na tak dużą skalę. Któryś z dziennikarzy zapytał, skąd pochodził polon, i doktor Quentin odpowiedziała, że najprawdopodobniej z Rosji, gdzie wyprodukowano go jeszcze przed upadkiem Związku Radzieckiego.

Marena wróciła.

U pewnych ludzi - do której to grupy mam wątpliwy zaszczyt przynależać - reakcje chemiczne w mózgu przebiegają nieco bardziej gwałtownie. Efektem ubocznym jest to, że silne emocje, takie jak strach lub gniew, nadchodzą i mijają szybciej niż u neurologicznie



normalnych osobników. Albo pojawiają się nagle i znikają, by powrócić znowu. Teraz też stało się podobnie - strach narastał i opadał bez wyraźnej przyczyny, w interwałach mój umysł próbował umknąć i skupić się na czymś innym. Przyłapałem się na wspomnianiu Kodeksu, Gry, nawet odczytów poziomu azotu w moim akwarium, po czym uświadamiałem sobie, że tak nie powinno być, że to nie wypada, powinienem się bardziej martwić o innych, jeśli nie o siebie, a potem wracałem do obliczania, jak długo wytrzyma generator utrzymujący poziom wapnia w wodzie. Nie od razu zorientowałem się, że Marena śpiewa Maksowi po koreańsku.

Zacząłem słuchać. Całkiem ładnie śpiewała. *Chingalo*, pomyślałem. Spotkałem tę kobietę zaledwie wczoraj, a już przeszliśmy razem więcej niż Lewis i Clark, Bonnie i Clyde, Kirk i Spock czy Solo i Chewbacca.

Max milczał. Zerknąłem na tylne siedzenie. Dzieciak skulił się przy oparciu i, jak to tylko dzieci potrafią, zasnął, by odreagować napięcie. Marena też zamknęła oczy. Zauważyłem, że ścisła w dłoni aerozol z gazem pieprzowym. Jakby to miało się do czegoś przydać. Może powinienem też się przenieść na tył i zaproponować silne, męskie ramie? Nie, to śmieszne...

Spróbowałem znowu uruchomić Internet. Nic z tego. Mieliśmy tylko sygnał radiowy, jak w latach pięćdziesiątych zeszłego stulecia. Znaleźliśmy się ponownie w epoce Milтона Berle, w złotym wieku telewizji. Ale przynajmniej teraz w wiadomościach widać było korzyści z wszechobecnych kamer wideo - ludzie nagrywali i udawało się to puszczać na wizję w różnych stacjach. Pokazywano ziarniste, zielonkawe nagrania z kamer noktowizyjnych, przedstawiające młodzieżowe gangi rozbijające szyby wystaw, podpalające samochody i robiące jeszcze gorsze rzeczy. Troje nastolatków, dobrze się wystawiających i dobrze ubranych, nagrało swoje samobójstwo w płonącym domu. Pojawił się także film z młodymi Meksykanami niszczącymi magazyny, ale ta grupa wyglądała na zorganizowaną jak oddział paramilitarny. Inne wideo, które zyskało popularność na internetowych blogach

i zapewne stamtąd trafiło na antenę, pokazywało dwuletnią najwyżej dziewczynkę, próbującą napoić mlekiem martwą matkę.

Z daleka, bardzo daleka, dochodził krzyk. Dźwięk niósł się na mile pustymi drogami i nad płytką taflą wody - nienaturalnie wysoki, mrozący krew w żyłach krzyk przerażenia. Na szczęście większość ludzi nie może zrobić nic, ani rozmawiać, ani spać, ani patrzeć na śmierć bliskich lub czekać na własną, bez ulubionej muzyki w tle, dlatego krzyk niemal zagłuszyło łupanie ze sprzętu grającego w pobliskich wozach - jeden łomoczący przeboje hip-hopowe, a drugi powtarzający na autorewersie ciągle tę samą głupią piosenkę zespołu Pixies o małpach, które poszły do nieba: *If man is five, then the Devil is six, then the Devil is six* - i tak w kółko - *then the Devil is six...*

Niebo przybrało kolor planszy reklamowej kanału Playboya. Zrobiło się późno, pomyślałem. Albo wcześniej. W pobliżu rozlegało się staccato uderzeń. Co się dzieje? Musiałem odlecieć. Muzyka z sąsiednich wozów nadal łomotała głośnymi basami. W górze skrzeczały mewy.

Dobra. Trzeba się pozbierać. Lepsze to niż BUM-BUM-BUM-BUM. Zerwałem się. Głową uderzyłem w wyłożony miękką wyściółką sufit, po czym odwróciłem się do źródła hałasu. Ciemna sylwetka pu-kała w tylne okno. Marena też się odwróciła, ściskając w dłoni żaloszny spray z gazem pieprzowym. Och, kurwa, przemknęło mi przez głowę. Szabrownicy. Gwałciciele. Białe śmieci, czerwone karki. Wyrok.

-Co?! - wrzasnęła Marena.

-Mamo? - to obudził się Max.

-Jestem major Ana Vergara z DW.

Powoli balon strachu w moim brzuchu zaczął maleć. Zdumiewające, kawaleria przybyła jednak na ratunek. Powinienem mieć więcej wiary w ludzi.

- Musimy iść - powiedziała Marena do Maksa. - Czas na śniadanie.

Wyszliśmy z wozu. Powietrze cuchnęło spaloną gumą.

- A dostanę na łodzi racuchy? - ziewnął dzieciak. Kobieta z DW go zignorowała.

-Jest was troje, tak? - upewniła się wbrew temu, co widziała. Stała między samochodem i poboczem w lekkim rozkroku, tak po oficer-sku. Nie była zbyt atrakcyjna, w typie Cynthii Rothrock. Nosiła czarny kombinezon bojowy jak komandos z SWAT, okulary przeciwsłoneczne oraz buty na grubym protektorze. Na jej piersi błyszcząca jakaś odznaka, a przy pasie lśniła kabura z Glockiem oraz wielkie słuchawki z mikrofonem. Ta kobieta chyba nigdy się nie uśmiechała.

-Jest nas troje - potwierdziła Marena.

Spojrzałem w niebo. Myszolowy zataczały kręgi może dwieście stóp nad naszymi głowami. *Κυπέτιν οίωσι*, pomyślałem. Psy i padlinożerne ptaki. Wyżej kilka odrzutowców z wizgiem przeleciało na północ. Na południowym wschodzie za płyciznami morza kołysały się motorówki straży przybrzeżnej i marynarki. Na grobli od strony lądu, między nami i ciemnym, porzewiałym wiaduktem kolejowym, tafli lśniącej ropą, która wypłynęła z uszkodzonego rurociągu, nie marszczyła nawet najmniejsza fala.

To załatwi pozostałości rafy w tej okolicy, pomyślałem.

A jednak zatoka nadal była piękna, piękniejsza nawet, niż pamiętałem; może właśnie dlatego piękna, że umierała. W wirujących na i pod powierzchnią pasmach i falach wielobarwnej obcej tęczy mijały ostatnie chwile życia tej części morza. Przez zatokę płynęły śmieci, których nie chce się oglądać z bliska: kawałki koralowców, części kadłuba, połamane fragmenty szkieletu domu, kępy namorzynów, opony, zdechłe pelikany, plastikowe opakowania, średnio drogie meble, kłęb wodorostów... Poczulem dreszcz odrazy i strachu, kiedy w pole widzenia wpłynęło martwe ludzkie ciało, gruba kobieta z głową pod wodą i suknią w kwiaty podwiniętą tak, że widoczne były majtki obciskające, tylko o ton bielsze od bladej skóry ud. Co się stało? Czy gangi zaczęły wyrzucać trupy do wody? Szlag.

Spojrzałem w drugą stronę, na ocean. Tutaj również na falach rozlewała się oleista plama, ale przynajmniej nie pływały w niej ciała zabitych.

- Czy ktoś z was potrzebuje pomocy medycznej? - zapytała Vergara. Zaprzeczyliśmy. Dopiero teraz zauważyłem, że nieopodal, za nią,

zbiera się tłum. Ludzie byli zaskoczeni. Wcześniej nie zwróciła na siebie uwagi, gdy weszła na groblę. Odwróciłem się. Ludzie podchodzili też z przeciwnej strony. Prawie truchtali, jak zombie w „Świecie żywych trupów”, tyle że straszniejsi, bo jeszcze *nie* umarli. Hram... Lepiej trzymać się od nich z daleka, nie wiadomo, czy nie skończy się jako barbecue nadziane na jakąś gałąź. Sprawdziłem swój ekwipunek. Paszport, komórka, portfel. Pas. Marynarka. Buty. *Esta bien*.

Vergara pchnęła nas do barierki. Dużymi aluminiowymi hakami przyczepione było tu coś w rodzaju drabinki. Kobieta popatrzyła po schodzącym się tłumie. Dało się wyczuć napięcie. Ludzie spoglądali na nas zmrużonymi oczyma. Chudy koleś wysunął się przed szereg w isticie kowbojskim stylu, niczym szeryf szykujący się do strzelaniny. Miał paru przydupasów jakby żywcem wyjętych z powieści S. E. Hinton.

-Ty, świetlik, zabierasz ich na łódź? - wysyczał.

-Proszę się cofnąć - odparła beznamiętnym tonem Ana Vergara.

- Ci ludzie są aresztowani. Jeżeli chce pan iść z nimi, będę musiała pana również aresztować i skuć. Zrozumiano?

Kowboj chyba się trochę wystraszył. Zerknął na broń przy pasie kobiety. Jednak chwila na decyzję minęła - zanim udało mu się zrozumieć *sytuację i odpowiedzieć, już* byliśmy na dole. *Ustrojstwo*, które wisiało przy barierce, składało się z modułów i bardziej przypominało rurę-zjeżdżalnię niż prawdziwą drabinę. Zjechaliśmy nią prosto na pokład dwudziestostopowej płaskodennej desantówki GatorHide. Przy rumplu siedział tylko jeden mężczyzna, pilnując, by cichy silnik Yamaha nie zgasał. Na grobli Vergara odpięła zjazd, który spadł na pokład jak czarny złożony namiot, a sama zjechała na linie. Wraz z mężczyzną nakazali nam włożyć kamizelki kuloodporne. Po czym odpłynęliśmy.

Motorówka przetransportowała nas do czterdziestosześcioletniego jachtu typu Bertram. Baldachim na dachu mostka miał złożony, dzięki czemu z daleka przypominał jednostkę patrolową straży przybrzeżnej. A więc tak się ewakuuje najważniejsza jedna setna procenta

ludzkości, pomyślałem. Tak to się nazywa. Poczułem się, jak Alfons Rothschild uciekający z Wiednia przed Anschluss prywatnym pociągiem. Jacht miał zapewne jakiś rodzaj boi radiowej nadającej odpowiedni kod-przepustkę, bo nikt nie próbował go zatrzymać. Tak samo jak w samochodach korpusu dyplomatycznego, co pozwala na przykład wywieźć senatora z zagrożonego zamachem bombowym lotniska. Przepustka pozwalająca wydostać się z każdego piekła. Niemal było mi głupio. Wiadomo, że rząd USA jest po prostu jeszcze jedną mafią, rodzina Busha pomogła wymknąć się kumplom Saudiego po jedenastym września, a po tym, jak aresztowano w Pakistanie Khalida, został uwolniony z więzienia i przemycony na Guam przez najemników z Blackwater, jednak kiedy jest się traktowanym jak jedna z grubych ryb, można się poczuć niezręcznie. Zwłaszcza gdy się wcześniej uczciwie płaciło podatki, a teraz nagle na własne oczy widzi się, na co je wydano. Nie żebym narzekał. O, nie. Jacht obrał kurs południowy wschód, na wyspę Andros.

Załoga przypilnowała, abym się pozbył moich ubrań. Wrzucono je do plastikowego worka i szczelnie zamknięto, po czym zabrano do analizy, badania, sprawdzania, oczyszczenia, odkażenia, wyprasowania i ewentualnie miałem je dostać z powrotem. Zaprowadzono mnie potem do kajuty i dopilnowano, bym wziął prysznic. Dostałem nieco za duży biało-granatowy dres Akademii Marynarki Wojennej, który czekał na mnie złożony na wąskiej ławce, ubrałem się i sprawdziłem, co jest nadawane na kanale alarmowym. Na dużym ściennym ekranie pojawiła się mapa z kropkami i plamkami rozrzuconymi na południowym wschodzie i pokrywającymi większą część półwyspu Floryda. Głos z offu cały czas powtarzał, co należy robić i dokąd się udać, ale nie wspomniał nawet słówkiem dlaczego. Zmieniłem kanał na CNN.

- ...ewakuowane osoby, które nie mają środków transportu, zostały zwolnione ze schronisk - mówił komentator z offu. W górnej części ekranu przesuwiał się napis informujący, że prezydent wprowadził stan wojenny i wojsko otrzymało uprawnienia przewyższające

policię. Przeczytałem też, że ponad pięćset tysięcy ludzi zostało przesiedlonych oraz że spodziewana liczba ofiar, biorąc pod uwagę pożary, zamieszki i eksplozje (wybuch rurociągu, którego byłem świadkiem, okazał się tylko jednym z wielu) może przekroczyć osiemnaście tysięcy. To niewiele, pomyślałem, ale wtedy na pasku tekstowym pojawił się komunikat, że szacowana liczba ofiar horroru w Disney World wynosi ponad trzydzieści tysięcy.

Cholera. Szczęśliwe wydarzenia są zwykle do siebie podobne, ale każdą katastrofą rządzą inne bezlitosne zasady. Tym razem koszmar nie nadszedł z futurystyczną natychmiastowością jak w Oa-xaca, ani też nie uderzył ślepy gniew tsunami lub trzęsienia ziemi, ani nie pojawiły się artystyczne fajerwerki, jak podczas zamachu na WTC.

Wydawało nam się - nam, czyli ludzkości ogółem, a choć zwykle staram się nie używać takiej generalizacji, to chyba w tym przypadku jestem usprawiedliwiony - że staliśmy się koneserami i znawcami apokalipsy, ale kiedy zdarzyła się kolejna katastrofa, okazało się, że byliśmy zupełnie na nią nieprzygotowani. Oślepieni i zapędzeni w kozi róg. Znowu.

Szlag, powtórzyłem w duchu. Przełączyłem na Bloomberg, kanał informacji giełdowych i rynków finansowych. Film na stronie pokazywał podłogę magazynu usłaną rzędami ciał w plastikowych workach obłożonych suchym lodem, nad którymi unosiła się biała mgła jak w typowych horrorach. Głos zza kadru mówił, że personel medyczny odmówił zajęcia się zwłokami, chyba że dostanie kombinezony ochronne. W szpitalach udostępniono składy z lekami, próbowano leczyć pacjentów oraz udzielać porad ich rodzinom przez telefon i połączenia telekonferencyjne. W dole ekranu pojawiło się coś, za co tak kochamy Bloomberg: informacja, że transakcje na amerykańskiej giełdzie nadal są wstrzymane, ale za oceanem towary idą ciągle w górę. Poczekalem na informacje o kukurydzy. Ha! Kolejne pół dolara w górę za akcję. Cóż, nie powinienem się tak cieszyć, pomyślałem. Jestem spekulantem, który ciągnie zyski z katastrofy. Powinienem się wstydzić...

Odpląnąłem w sen.

Obudzono mnie, gdy jacht dobił do przystani w Nichols Town. Było po południu. Z portu Kiowa helikopter na pławach zabrał nas na prywatne lotnisko przy stacji Fresh Creek.

-Jak się czujesz? - zapytała Marena przez helmfon podczas lotu.

-Dobrze - zapewniłem. - Dokąd się wybierasz potem?

-Firma chce nas zabrać do Belize, do Palika.

-Palika?

-To mormońska nazwa.

Ach, racja. Palik. Określenie na małą misyjną wspólnotę, która z czasem może rozwinąć się w Świątynię.

-Głównie to wielki ośrodek rekreacji i sportu, nad którym pracuje Lindsay - wyjaśniła Marena. - Myślę, że religijne kwestie są tam traktowane jak podatki.

-Świetnie.

-Pomyślałam, że byłoby wspaniale, gdybyś poleciał z nami.

-Och... Cóż, dziękuję...

Cholera, zostaną porwani. Nie, to bez sensu. Popadam w paranoję.

-Byłoby dobrze, gdybyś pomógł Taro w badaniach - dodała. - Nie sądzisz? Chcę, żeby dano mojemu projektowi zielone światło.

-Jakiemu? Przymierzasz się do kolejnego filmu o Majach?

-Nie, nie filmu. Zamierzam poprosić Lindsaya, żeby dał mi większe fundusze na badanie Kodeksu i zrobienie tego, co konieczne.

-Przez to, co konieczne, rozumiesz ocalenie ludzkości i całą resztę?

-Cóż...

-Czemu Lindsay Warren chciałby to finansować? To znaczy, słuchaj, nie chcę robić trudności ani nikogo traktować z góry, ale... czy wielkie korporacje zwykle nie zajmują się NISZCZENIEM świata? A przynajmniej trzymają się z daleka od jego ratowania?

-Gdyby Lindsay nie miał z tego zysków, zapewne nie wydałby grosza ze swojego osobistego budżetu.



-Jasne.

-A wracając do twojego pytania, nie - wydaje mi się, że Lindsay uważa ocalenie świata za BEZGRANICZNIE opłacalne.

-Ach.

-W każdym razie, jeżeli nie chcesz lecieć do Belize, firma odtransportuje cię do domu. Ludzie i tak wkrótce zaczną wracać.

-Hm...

Czas na szybką decyzję.

-Gdzie dokładnie w Belize jest ten ośrodek? - zapytałem.

-Na wzgórzach, na zachodzie, to znaczy na południowym zachodzie... ee... Belmopan.

-Wiesz, że nie mogę pojawić się w Gwatemali? - rzuciłem. - Mam tam problem z prawem.

-Kto mówi o Gwatemali?

-Cóż...

-Granice są zamknięte, wojna między Gwatemalą i Belize wisi na włosku.

-Wiem, ale... Wydaje mi się, że ten ośrodek jest bardzo blisko granicy i... no, nie chciałbym wyjść na niewdzięcznika, to bardzo miło z twojej strony, że we mnie wierzysz i w ogóle, ale...

-Nie próbuj mi pochlebiać - przerwała mi stanowczo. - Po prostu zadzwoń do swojego prawnika i każ jemu lub jej przejrzeć umowę. Dobrze?

-Dobrze, szefowo. Umowę?

-O, właśnie. Taka postawa mi się podoba.

-Tak jest, MP.

-Doskonale.

Na trawie dwa samoloty szykowały się do startu, Pierwsza podjechała cessa wyczarterowana dla Maksa. Jakiś José - lokaj, zarządca domu czy ktoś taki, kto pracował dla człowieka Mareny - miał odebrać małego u celu. Lecieli do Kingston, a stamtąd, gdy już będzie wiadomo, że nie ma problemów, mieli wrócić do Stanów. Wydawało mi się to trochę przesadnie luksusowe. Czemu dzieciak leciał sam? Max wszedł na trap, zatrzymał się, zszedł i podał mi coś.

-Proszę, może się panu przyda - powiedział. Niebieska figurka grubego robota. Kleiła się, pewnie od ręki Maksa.

-Gigantor. Super. Dzięki.

-Nie, to Tetsujin dwadzieścia osiem.

-Racja. Dziękuję.

-To wskaźnik - czerwony laser.

-Fantastycznie. Nigdy takiego nie miałem.

Cessna zakołowała i wystartowała. Po niej podstawiono drugi samolot - piaggio avanti, dwunastomiejskowy, dwusilnikowy, z płatami nośnymi na dziobie, co oznaczało, że jego *uay* to rekin młot. Miał logo ze skrzydeł i liter *was*, znak Warren AeroSpace w kolorze szmaragdowej zieleni zastrzeżonej dla korporacji Warrena. Z samolotu wysiadł wielki, siwy, przysadzisty facet w hawajskiej koszuli i wyciągnął do mnie dłoń. Nie uścisnął mi ręki, tylko przytrzymał, ale i tak od razu wiedziałem, że ten facet wie, jak wykręcić rękę, gdzie wbić palce, by osłabić przeciwnika lub rozorać mu tętnicę, a potem wyrwać ramię ze stawu - zależnie od humoru.

-Jed, to Grgur - przedstawiła go Marena.

-Miło mi pana poznać - skłamał z chyba serbskim akcentem i bez śladu zadowolenia w głosie. Też skłamałem, że mi miło. Grr-Grr? -pomyślałem przy tym. Co to za przezwisko? Specjalnie dla twardzieli? Tak naprawdę pewnie miał na imię Evander...

Weszliśmy na pokład.

Wyobrażałem sobie kabinę jak wnętrze luksusowej przyczepy z trasy koncertowej Led Zeppelin, ale okazało się, że to po prostu dość przytulne pomieszczenie z fornirowanymi wiązowym drewnem meblami i obitymi wołową skórą siedziskami, wszystko beżowo-szaro-popielate z dodatkiem écru i żółtymi lampami w suficie, jak w każdym innym samolocie. Była tu już para pasażerów - pryszczaty młodzik w typie misjonarza i kobieta z Lotos Labs, jak się domyśliłem, jedna z właścicielek Warren Group, doktor Lisuarte. Drobna, ciemna, operatywna dama w kamizelce safari. Włosy ściągnięte ciasno w kucyk nadawały surowości jej twarzy, zapewne doktor Lisuarte czesała się tak samo od dwudziestego wieku.

- Mam was oboje przebadać - oświadczyła. Już miałem zaprotestować, ale zaraz uznałem, że lepiej nie zgrywać się na *cabron*. Co, u licha? Przebrano nas. Przyniesiono jedzenie. Nie rozmawialiśmy. Wystartowaliśmy. Na trzech tysiącach stóp słońce pojawiło się na chwilę w oknach, lecz zaraz znikło za widnokrzem. Na ośmiu tysiącach stóp Lisuarte poklepała mnie po ramieniu i zabrała do pomieszczenia, które zwykle - jak się domyśliłem - pełniło rolę kuchni. Co prawda samolot przystosowano do zwykłych lotów transportowych, nie medycznych, ale wyposażony został we wszystko, co potrzebne w karetce - i jeszcze trochę, jak się okazało, dodatkowego sprzętu specjalnie dla mnie.

Usiadłem na składanym fotelu medycznym. Lisuarte zrobiła, o wstydzie, pełne badanie, włączając trzykrotne sprawdzenie mi tarczycy. Geiger-Müller był tak czuły, że kiedy lekarka obróciła go pionowo, zareagował na czujnik dymu w suficie i musiała przestawić licznik. Okazało się, że jestem czysty. Co za ulga, pomyślałem. Jeszcze sto bitów równie dobrych wieści i mogę wrócić do gry. Lisuarte na wszelki wypadek jednak dała mi tabletki jodku potasu. Na pokładzie miała również czytnik równowagi płynów - gdyby okazało się, że mam obrzęki i trzeba je zbadać - oraz zestaw testerów metali ciężkich - gdybym miał objawy zatrucia. Takie testy w normalnych okolicznościach wykonuje się tylko w specjalistycznych laboratoriach. Podejrzewałem, że do samolotu załadowano nawet spektrometr. Lisuarte postanowiła również zbadać mi krew tętniczą - pewnie po to, żeby się popisać nowym samonaprowadzającym próbnikiem z igłami. Na ekranie komputera pojawiły się wyniki analizy - jak dla mnie, wyglądały dobrze, ale lekarka oczywiście postanowiła przy nich pomajstrować.

-Możemy przy okazji podnieść ci dwukrotnie czynnik VIII - zaproponowała.

-Jasne, hm... dziękuję.

-Mam też na wszelki wypadek krew zero minus. Jest zamrożona w magazynie w Paliku.

-Świetnie - zapewniłem. - Wypiję na miejscu.

- Powiedzmy. A skoro już przy tym jesteśmy, słyszałeś może o krwi Lakandonów?

Pokręciłem głową.

- Mamy kilku Lakandonów w grupie zajmującej się ochroną i transportem zwierząt. No wiesz, Indian Lakandonów. Mają dodatkowy składnik we krwi. To czynnik krzepnięcia, którego nie ma żadna inna grupa etniczna. Pewnie dlatego uważali się zawsze za wyjątkowych - ich rany goją się o wiele szybciej niż u innych ludzi.

-Naprawdę?

-Tak.

-Może powinienem podwędzić kilka butelek takiej krwi.

-Niestety, to tak nie działa.

-Hm.

-Przygotuję ci specjalną apteczkę ze specyfikami niezbędnymi w razie ukąszenia przez węża. A ty masz ją nosić cały czas przy sobie - nakazała, po czym przeszła do wyjaśnień, że grzechotniki, jaszczurki z rodziny heloderm oraz parę innych potworów ma jad, który sprawia, że w organizmie pojawia się wyższy poziom trombin, działających jak klej na limfocyty T, oraz jak to może zmienić mózg w pulpę, jeżeli już się wcześniej przyjęło dawkę preparatu poprawiającego krzepliwość krwi lub - jeżeli się jest hemofiliakiem i przesadzi z antytoksyną - można się zmienić w sikawkę, a także, że równowaga jest tu sprawą kluczową. Potakiwałem ruchem głowy w odpowiednich momentach, udając, że wszystko, co słyszę, nie jest dla mnie nowością.

-Ale czemu w ogóle miałbym się martwić, że mogę zostać ukąszony? - zapytałem.

-Bo znajdziemy się w miejscu, które nadal jest w budowie - odparła Lisuarte. - Wokół rośnie dżungla. W zeszłym tygodniu stado wrzeszczących małp ukradło z kawiarni cały zapas masła orzechowego. A miesiąc temu jeden z pracowników został paskudnie pokąsany.

- Przez *Barba amarilla*? - zainteresowałem się.

-Co?

-Nazywany jest też żółtobrodym, *fer-de-lance*, *Bothrops asper*... nie, *asper*.

-Ach, ten. Ma jad krwotoczny, hamujący krzepnięcie.

-Właśnie.

-Możesz zostać ugryziony przez wija lub coś równie egzotycznego. Wtedy musisz zidentyfikować, co cię ukąsiło, przeczytać jeszcze raz plik z instrukcją i zaaplikować sobie odpowiednie antygeny z apteczki. W odpowiedniej kolejności i jeszcze zanim ktokolwiek pomyśli o rozcinianiu ukąszenia. A jeżeli nawet będzie trzeba rozciąć miejsce ukąszenia, powinieneś poczekać godzinę i wstrzyknąć sobie poczwórną dawkę desmopresyny. Oczywiście przede wszystkim powinieneś wezwać mnie - o ile będzie to możliwe.

-Dzięki - wymamrotałem, starając się, by w moim głosie zabrzmiała stosowna wdzięczność.

-I chyba wiesz, że nie wolno ci zażywać aspiryny ani niczego podobnego.

-Nie wiem nawet, jak smakuje aspiryna.

Chciałem już wyjść, ale lekarka zmusiła mnie, bym znowu usiadł. Na zakończenie badania podała mi jeszcze meflochinę, a przy pomocy strzykawki ciśnieniowej preparat na dur brzuszny oraz szczepionkę zapobiegającą zapaleniu wątroby typu A, oraz jakieś substancje z jadu węży, jakbym był baronem von Humboldtem, który wyrusza w dżunglę na poszukiwanie źródeł Amazonki. Kiedy mogłem wreszcie usiąść w fotelu pasażera, uda bolały mnie jak... nie wiem jak co. Coś z bardzo bolesnymi nogami. Jak tłuszczochy z Vegas po zjeździe Ruchu na Rzecz Akceptacji Otyłości czy coś... Muszę popracować nad porównaniami.

Pełne badanie, w rzeczy samej, przyznałem w duchu. Doprawdy, mogłem sobie darować. Wystarczyło odmówić. Firma ubezpieczeniowa *chingalo*. Paranoicy. Czemu po prostu nie wsadzą mnie do wielkiego plastikowego namiotu i tyle?

Zerknąłem w iluminator. Woda. Popatrzyłem na Marenę. Siedziała obok, ale te przekłete fotele w klasie luksusowej są tak głębokie, szerokie i miękkie, że skutecznie oddzielają od siebie pasażerów i Marena

równie dobrze mogła przebywać w innej strefie czasowej. Podobnie jak ja, dała sobie spokój z oglądaniem nudnej jednolitej wody i chyba tworzyła grafikę na komórce. Uniosła na mnie wzrok i zapytała, czy wszystko dobrze. Potwierdziłem.

-Przypuszczam, że ludzie z firmy zajrzeli do moich danych medycznych? - zagadnąłem.

-Och, owszem - przyznała Marena. - Lance to zrobił. Wybacz. To nielegalne.

-Nic nie szkodzi... Ale to chyba nie takie łatwe, prawda?

-Dla tych ludzi to drobiazg. Gdybyś poprosił, by podali ci rozmiar spirali królowej Elżbiety, załatwiliby to w dziesięć minut.

Wróciła do swoich rysunków. Znalazłem wtyk USB na podłokietniku swojego fotela i podłączyłem telefon, internet pojawił się natychmiast, ale większość moich ulubionych stron była niedostępna lub niezaktualizowana. Zły znak. Bardzo zły znak. Włożyłem słuchawki i spróbowałem CNN.

- ...dziękuję, Alice. Tu Alexander Manning z CNN AU-Media News Center w Atlancie - zabrzmiał głos spikera. - Horror w Disney World okazał się jednym z najtrudniejszych wydarzeń w ciągu nie tylko ostatnich lat, ale i paru dziesięcioleci. Wypadek wzburzył emocje na całym świecie. Ale ten koszmar dotknął nie tylko mieszkańców i gości Florydy, lecz także dziennikarzy relacjonujących to, co się stało. Połączył się nami Brent Warshowsky, który opowie o tym więcej. Brent?

Nie miałem ochoty słuchać Brenta, więc przeskoczyłem na C-SPAN. WYPADKI W DISNEY WORLD SPOWODOWAŁA CICHĄ BRUDNĄ BOMBĘ, MÓWI NAUKOWIEC Z AGENCJI ZARZĄDZANIA KRYZYSOWEGO - głosił nagłówek kapitalikami. Octavia Quentin znowu pojawiła się na pierwszych stronach, tym razem zdawała raport przed komisją senacką. Zdaje się, że właśnie zaczęło się jej pięć minut.

- ...kryminolodzy, uwolnienie ładunku nastąpiło około południa dwudziestego ósmego grudnia - mówiła. - To prawda, że przez chwilę produkty rozpadu roznosiły się w powietrzu, jednak były dość ciężkie i lepkie. Dlatego pomimo wysokiej radioaktywności w strefie bezpo-

średniego zagrożenia nie przewidujemy, by przez najbliższe miesiące rozniosły się z wiatrem na większym obszarze.

-Ale skażenia popłyną z wodą, prawda? - zabrzmiał czyjś głos, chyba Dianne Feinstein.

-Niestety, tak - przyznała Quentin. - Ustaliliśmy zasięg skażeń niesionych przez wodę z jeziora. Istnieje duże...

Miałem dość. Wyłączyłem wiadomości i zerknąłem znowu na Marenę. Nadal rysowała. Przechyliłem się, by popatrzeć na wyświetlacz. Szkiecowała fantastyczny pejzaż: lśniąca sadzawka, dżungla, a w tle przy-sadziste zdobne piramidy. Jednak po dodaniu na ich ścianach czerwonych i różowych esów-floresów chyba się zdenerwowała, bo przeszła na pierwszy plan i zajęła się rzędem nagich pielgrzymów jadących na ptakach nietożach podobnych do gastornisów z paleocenu. Wreszcie spojrziała na mnie.

-Przepraszam, nie powinienem podglądać, ja tylko...

-Nic się nie stało - zapewniła mnie trochę zbyt głośno. Wyjęła słuchawki z uszu.

-Świetnie rysujesz. - Czy to nie zabrzmiało zbyt frywolnie w tych okolicznościach? Ile czasu należy odczekać po wielkiej tragedii, by można się było znowu uśmiechać? Wydaje się, że ludzie wiedzą to instynktownie, ale nie ja. To tak jakbym zawsze się śmiał na pogrzebach. Albo umierał na imprezie.

-Dzięki. - Marena wzruszyła obojętnie ramionami.

-Naprawdę. To grafika do „Neo-Teo u”?

-Owszem.

-To takie dziwne, że jesteś artystką.

-Dlaczego dziwne?

-No, może nie tyle dziwne, ale... bo ja wiem?

-Co?

-Po prostu... Skąd właściwie zainteresowanie tym wszystkim?

-Czym? Grą Ofiarną i resztą?

-Właśnie.

-Zawsze fascynowały mnie gry,

-Aha.

-No i Lindsay od początku finansował badania Taro. Kiedy „Neo--Teo” zaczęło się nieźle sprzedawać, Lindsay wpadł na pomysł, że powinnam poznać inne projekty firmy związane z grami.

-Ale Gra Ofiarna nie jest rozrywką.

-No nie, ale może nią się stać. Elementem większej gry. A nawet w pewnym sensie elementem wspomagającym, częścią stylu życia -jak właśnie Gra Ofiarna.

-Nie do końca rozumiem, co masz na myśli.

-Popatrz na historię ludzkości. Nie masz wrażenia, że przechodziła różne etapy? Od osiemnastego wieku dominujący na świecie paradygmat religijny zmienił się w naukowy. A dzisiaj, w dwudziestym pierwszym stuleciu, znowu się zmienia. Wydaje mi się, że teraz nadchodzi era gier.

-Rozumiem.

-Gry to jakby trzecia kategoria. Pomiędzy sztuką i nauką. Ale nie są tylko prostą mieszanką, są czymś więcej.

-Racja - przyznałem. - To znaczy sam gram bardzo często...

-Jasne. Ale zmierzam do tego, że większość ludzi sporo czasu spędza na graniu. Nawet w tej chwili wielu gra. I spora część praktycznie nie robi nic więcej.

-Zgadza się. Ale to dobrze dla was, dla firmy, czyż nie?

-Owszem. Jednak wydaje mi się, że istnieje zupełnie inny powód tej sprzyjającej koniunktury.

-Jaki?

-No... Może to zabrzmia trochę dziecinnie i niezbyt racjonalnie...

-Na pewno nie.

-Po prostu... Nie masz wrażenia, że wszyscy ci ludzie grają niemal... czyja wina? Desperacko?

-To znaczy?

-Tak intensywnie i z poczuciem silnej potrzeby, jakby to było bardzo pilne i ważne.

-Nie wiem. Ale od dziecka grałem w różne gry, więc może nie jestem właściwym człowiekiem, by to ocenić.



-Wydaje się, jakby czegoś szukali - westchnęła Marena. - Albo odwracając kwestię, to jakby inne rzeczy, inne media i rozrywki, praca czy w ogóle formy aktywności zaczynają się dezaktualizować, stają się przeżytkiem. Ludzie intuicyjnie wiedzą, że gry to przeszłość. A przynajmniej przeszłość stosunków społecznych. Przeszłość ludzkości.

-Czy ja wiem...?

-No dobra, może nie, ale mam przeczucie... Mam przeczucie, że moje projekty, nawet jeżeli są tandetne lub brutalne jak „Neo-Teo”, to krok w dobrym kierunku. Nadal chyba wierzę w utopię. Ma to dla ciebie sens? Przepraszam, pewnie paplam od rzeczy...

-Nie, nie! Nie od rzeczy, rozumiem, co chcesz powiedzieć...

-Dlatego badania Taro tak mnie fascynują. To przecież próba odpowiedzi na pytanie, o co chodzi z tymi grami...

-Możliwe - przyznałem. - Podoba mi się twoje podejście. Może powinnaś nauczyć się Gry Ofiarnej.

-Pewnie. Zwłaszcza teraz, gdy mam tyle wolnego czasu.

-Jak to?

-Żartowałam.

-I tak cię nauczę.

-Świetnie. Zatem jesteśmy umówieni. - Zamknęła komórkę i ocy, po czym zapadła w fotel.

Naprzód, zachęcił mój wewnętrzny Cary Grant. Pocałuj ją.

Nie mogę, pomyślałem. Nie wypada. Tylu ludzi niedawno zginęło.

Zrób to, kusił Cary. Ona tego chce.

Wybacz, ale nie. To nie jest odpowiednia pora.

Frajer, rzucił mi Cary i zniknął w obłoku dymu z lucky strike'a.

Cholera.

Aby się czymś zająć, czymkolwiek, po raz sto dziewięćdziesiąty drugi włączyłem zapisy z systemu monitoringu w domu. To, co zobaczyłem, trochę mną wstrząsnęło.

Generatory, filtry i dozowniki protein zawiodły - jeden po drugim - między środą a czwartkiem, ale kamery cały czas przesyłały obrazy. Odtworzyłem je teraz. I patrzyłem, jak w akwarium dusi się

kolonia *Nembrotha*, którą przywiozłem z Luzon i przymierzałem się, by nadać jej członkom imiona, o ile okaże się, że to *Nembrotha chamberlaini*, a nie *Chromodoris* ze szmaragdowymi pasmami i jaskrawymi fluorescencyjnymi plamkami oranżu na królikowatych głowach. Patrzyłem też na śmierć nagoskrzelnych hiszpańskich szalów z żółtymi i ultrafioletowymi mackami. Te mięczaki wyglądały jak harmonijki, gdy pęzały po przypominających palce trupa koralowcach. Teraz same zmieniły się w trupy, w gnijącą padlinę. *Todo por mi culpa*. Przyznaję, rozpłakałem się - ale nie tak, by ktokolwiek to zobaczył lub usłyszał. Płacz jest prostacki. Nastoletnie gwiazdki w telewizji robią to cały czas. Przez iluminator obok Mareny można już było dostrzec wybrzeże Belize - kontrastująca z błękitem czerń przecięta dwoma rzędami świateł południowej autostrady, przemykającymi niczym bąbelki w kroplówce.

Lecieliśmy na zachód, nad Dolinę Lepszego Jutra oraz Kotlinę Spokoju, nazwane życzeniowo strefy przesiedlenia uchodźców, a potem skierowaliśmy się na południe w Góry Maya. Marena rozmawiała przez hełmofon. A ja pograżyłem się w czarnych myślach.

-Hej, mam dobrą wiadomość. - Nareszcie raczyła mnie zauważyć.

-Naprawdę?

-Taro i Tony oraz Larry Boyle... nie znasz Larry'ego, ale to nieważne. Taro przyleciał dziś rano. Nic mu nie jest.

-To wspaniale.

Kapitan przez głośniki zawiadomił, że lądujemy za dwie minuty. Zbliżyliśmy się do kręgu oznaczonego kropkami lamp elektrycznych i ognisk.

Warren Development wybudowało dwa kompleksy na szerokiej równinie około piętnastu mil od ruin w Caracol i zaledwie cztery od granicy z Gwatemalą. Dwa tysiące dziesięć i pół akra świeżo przereźanego lasu deszczowego zajmował kompleks sportowy - idealny owal z gigantycznym, jednomilowej średnicy torem wyścigowym, który - według słów Marena - nadawał się zarówno do biegów, jak i wyścigów konnych, wrotkarskich lub samochodowych, o ile ustawi się bandy i zabezpieczenia po zewnętrznej stronie.

- Zaraz, ale dlaczego krążymy? - zapytała Marena.

-Co proszę? - zdziwiłem się, ale gdy przycisnęła mocniej słuchawkę w ucho, zrozumiałem, że zwróciła się do pilota przez system łączności wewnętrznej. No tak...

-Koniec rozmów - powiedziała do mnie. - Pilot wyjaśnił, że kontrola lotów nas sprawdza. Jak kiedyś statki, gdy podejrzewano, że na pokładzie panuje tyfus.

-O cholera...

-Właśnie.

Opadliśmy na pułap dwóch tysięcy stóp. Na środku głównego stadionu, a raczej - jak go tutaj nazywano - Hyperbowl, czerniła się dżungla rusztowań. Gargantuiczna tafla z elektrochromatyczne-go szkła wypełniała prawie wszystkie oczka w stalowej sieci dachu, który rozświetlały halogenowe reflektory oraz błękitnobiałe iskry rozpryskujące się ze stanowisk spawaczy.

- Trzeba było poprawić konstrukcję przed paraolimpiadą - wyjaśniła Marena. Żuła gumę. - No, wiesz. Specjalne igrzyska olimpijskie. Odbędą się tutaj za sześć lat.

O ile świat będzie istniał dłużej niż dwa lata...

- Trzeba nie tylko zamontować dodatkowe rampy, ale także przebudować wejścia i wstawić gigantyczną liczbę przenośnych toalet i tym podobnych.

Przyszło mi na myśl, że cały świat stał się paraolimpijskim igrzyskiem.

Marena powiedziała mi, że umowę zawarto osiem lat temu i stanowiła ona część kontraktu związanego z xxxiii Letnią Olimpiadą, a Warren Group zaoferowała, że wybuduje samowystarczalny obiekt sześćdziesiąt mil od wybrzeża i stolicy, by uniknąć problemów z transportem oraz przede wszystkim panującej w mieście nędzy.

-Zabawne, że na miejsce igrzysk wybrano Belize. Tutejsi sportowcy nigdy nie wygrali i nie wygrają, jeśli nie przestaną popijać rumu podczas olimpiady. - Potrząsnęła głową. - Chcesz gumę antynikotynową?

-Nie, dziękuję, zostanę przy vicodinie.

Nie skrzywiła się, tylko wróciła do tematu.

- Po igrzyskach firma zmieni to miejsce w ośrodek nauki golfa i rozbuduje go w kompleks, który docelowo ma być parkiem tematycznym na motywach z kultury Majów i rozrywek związanych z „Neo-Teo”, jak choćby rezerwat jaguarów, geotermiczna plantacja roślin ze słupami pary jak z wulkanu, oraz z subsydiowaną ponad dziesięciotysięczną społecznością rzemieślników Majów.

-Założę się, że umiałabyś to powiedzieć od tyłu.

-Nie, ale ty pewnie tak.

-Tak mi się zdaje.

-Naprawdę? No, to powiedz.

-Jówmna kównimieślrze... y... nośćleczspo.

-No, umiesz. Wiem, co chciałeś udowodnić. Tak, będą też sklepy-

Samolot skręcił i kołował teraz nisko nad asfaltową drogą wiodącą do Palika, albo raczej drogą prowadzącą z Palika na obrzeża kompleksu sportowego. Wioska olimpijska znajdowała się półtorej mili dalej.

Opony dotknęły ziemi. Zwolniliśmy, obróciliśmy się i wyhamowaliśmy, a wreszcie stanęliśmy. I czekaliśmy. Drzwi w końcu się otworzyły. Poczulem nieoczekiwaną falę nostalgii, gdy wciągnąłem pierwszy haust przepelnionego aeroplanktonem środkowoamerykańskiego powietrza. Ogarnęły mnie ciężkie zapachy koni i mokrego betonu z lekką domieszką charakterystycznego aromatu ozonu. Wysiedliśmy. W ostrym świetle reflektorów czekało na nas siedmiu ludzi.

Dwóch nosiło zielone uniformy ochrony Warrena, inspektor ze służb granicznych Belize również był umundurowany - charakterystyczna biała koszula z krótkim rękawem była łatwa do rozpoznania. Funkcjonariusz sprawdził dokumenty wszystkich, którzy przylecieli. Potem podeszło dwóch tak zwanych Starszych Palika (owi „starsi” nie mieli więcej niż trzydzieści lat), chyba robili za dyżurny komitet powitalny. Jeden z nich nosił koszulkę z nadrukiem przyczajonego na tle zachodzącego słońca osobnika z różdżką i spiczastą czapką czarodzieja. Księga Mormona, 421 role p.n.e. - głosił napis czcionką Papyrus

Bold. Ostatni z dobrych ludzi®. Mormoni zapytali nas o samopoczucie, upewnili się też, czy nasi „ludzie” mają się dobrze. Miałem ochotę powiedzieć im, że moi ludzie nie mają się dobrze od ponad pięciuset lat. Uścisnęli mi dłoń. Bywają chwile, gdy naprawdę się cieszę, że jestem mańkutem. To była jedna z takich chwil. Na koniec przedstawiło mnie i Marenie dwóch wysokich, napakowanych agentów z amerykańskiego Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego.

Teraz się zacznie, pomyślałem. Wracamy do *el bote*. Czy wspominałem, że w 2001 spędziłem osiem dni w gwatemalskim areszcie? Zdumiewające, ale kolesie z Departamentu Bezpieczeństwa dokładnie sprawdzili, kim jestem i kim jest Marena. Zeskanowali nasze paszporty i zrobili nam zdjęcia komórkami, a potem poczekali na odpowiedź swoich demonicznych panów z tajemnej krypty pod Pentagonem. Zapytali również, czy zamierzamy opuszczać teren budowy. Zapewniliśmy, że nie. Potem agenci poprosili, abyśmy w południe zameldowali się telefonicznie. Oczywiście, powiedzieliśmy. Poczułem się jak więzień na zwolnieniu warunkowym. Umówili się z Mareną na jutrzejszy ranek. A ja stałem tylko i udawałem, że niezbyt dobrze rozumiem po angielsku. Agenci spoglądali na mnie podejrzliwie, ale każdy patrzy na mnie podejrzliwie. Nie wyjaśnili, dlaczego mają na nas oko, jednak łatwo się było domyślić - uczestniczyliśmy w zdarzeniach po ataku na Disney World.

-Zajmijmy się najważniejszymi sprawami - oznajmił starszy ze Starszych, ten bez koszulki z nadrukiem. Podał Marenie czujnik i pomógł go wpiąć w klapę żakietu. Wyglądało to, jakby podarował jej bukiet balowy. Mnie również wręczył czujnik, ale przynajmniej nie próbował mi pomagać w przypinaniu. Spora plakietka miała seledynową kropkę i rysunek szczerzącego zęby aligatora. Poczułem się nieswojo, gdy zobaczyłem, że znajduje się na niej również moje zdjęcie - ze strony internetowej magazynu „Strategy”, zrobione wiele lat temu. Potem ja i Marena dostaliśmy karty telefoniczne.

-Tu są hasła do sieci LAN - powiedział starszy Starszy. - Możecie za pomocą komórek lub podręcznych urządzeń sprawdzać na mapie pozycję, skontaktować się z personelem Palika, przejrzeć terminarze

lokalnych wydarzeń, plan grupy „Zakręcony piątek”, dowiedzieć się, kiedy podaje się posiłki i innych przydatnych rzeczy.

-Dzięki - odpowiedziała Marena.

-Jednak - dodał Starszy - jeżeli ktoś z was spróbuje zdjąć czujnik, straci głowę w wybuchu.

Zartowałem, przepraszam. Wcale tego nie powiedział. Uśmiechnął się tylko i stwierdził:

- Nie ma za co.

Mormoni zabrali nas na wschód od kompleksu sportowego. Oficjele ruszyli przodem, tym ciężkim krokiem wzorcowym dla ilustracji pod tytułem „Dumny robot”. Mnie natomiast obcasy grzęzły w miękkim asfalcie. Grgur zapytał, czy ponieść mój bagaż, ale odpowiedziałem, że plecak służy mi do zasłaniania garbu, więc wziął tylko dwie niewielkie walizki Mareny i ruszył pięćdziesiąt stóp przed nami. Minęliśmy beczkowate chaty i hangary z prefabrykatów. Niewidzialne ómy muskały nam uszy w drodze do kremacji w gorącu przemysłowych lamp.

-Jed? - odezwała się Marena.

-Tak?

-Dlaczego te osły mają nogi owinięte różową gąbką?

-Ach, to.

-Czemu?

-Widzisz, jakie są chude? -Aha.

-Rzecz w tym, że nietoperze wampiry atakują kostki - wyjaśniłem. - Albo podudzia lub kolana. I zwykle napadają tę samą ofiarę noc w noc. Dlatego właściciele zakładają zwierzętom gąbki nasączone antykoagulantem. Polują głównie samce wampirów, więc kiedy tata nietoperz napije się krwi z takiego osła, przyjmuje też specyfik, a potem wraca do żon i dzieci. A samice i młode nietoperzy wiszą razem blisko siebie, jak winogrona w kiści, wiesz?

-Wiem.

-Samiec nietoperza sadowi się na wierzchołku takiego grona i wymiotuje, zwraca krew, a reszta ją wypija. A potem dzieci takie-

go nietoperza są bardzo wrażliwe na urazy, przez antykoagulant wykrwawiają się od najmniejszego skaleczenia i umierają.

-Wiesz, Jed, mnie nie jest po prostu przykro, że zapytałam - westchnęła Marena. - Przykro mi, że się urodziłam.

-Wybacz.

Główne zabudowania kompleksu otaczały dwie ośmiostopowe siatki, pomiędzy którymi pozostawało dwadzieścia stóp wolnej przestrzeni. Przez ogrodzenie prowadził wąski korytarz, również z żelaznej siatki, dzięki czemu nie musieliśmy stawiać czoła psom, które strzegły strefy zakazanej dla człowieka. Kilka z tych potworów podszło blisko, by tynąć groźnie na obcych. Były to wielkie nazi-owczarki, częściowo scyborgizowane, z kamerami przyczepionymi do głów i chromowanymi kłami.

Za ogrodzeniem znajdował się duży kwadratowy plac w militarnym stylu oraz budynek z prefabrykatów. Reflektory na narożnikach dachów z cynkowanej blachy bezlitośnie cięły mrok. Jakiś wizjoner ściał trzystuletni hiszpański cedr, uformował gałęzie w elegancką choinkę, wybił dziurę w betonie dziedzińca obok masztu z flagą i wstawił tam drzewo, które ozdobił siecią tysięcy migoczących na zielono i różowo diod LED. Była to najbardziej gustowna rzecz, jaką ujrzałem w tym miejscu. Minęła mnie para misjonarzy prowadząca rowery. Chrześcijaństwo, pomyślałem. Eliminuje bardziej interesujące religie od ponad dwóch tysięcy lat.

Starszy podszedł do nas z przeciwnej strony placu i wyraźnie miał problem z otwarciem drzwi baraku. Grgur zaparkował walizki Marenny, po czym przystąpił do wyjaśniania mu, jak należy najlepiej przeciągać kartę identyfikacyjną przez czytnik.

-Popatrzmy, jak to działa - powiedziałem do Marenny i przesuwałem włącznik na „szerokopasmowy” w laserowym wskaźniku od Maksa, po czym zatoczyłem promieniem przy kolorowej iluminacji. Światło zbudziło do życia fioletową chmurę insektów i kilka większych stworzeń.

-To nietoperze - wyjaśniłem Marenie. - Zwykli owadożercy, nie...



Marena tylko się skrzywiła.

-Jeżeli zechcę się w nocy budzić z krzykiem, pooglądam C-SPAN.

-Przepraszam.

Zwęziłem promień lasera i skierowałem na ścianę przed nami, po czym przesunąłem niewielką świetlną kropkę na środek nadal zamkniętych drzwi, tuż na granicy pola widzenia Grgura. Grgur w okamgnieniu pochylił się i umknął - wydawać by się mogło, że po prostu zniknął za rogiem budynku.

Cholera, pomyślałem. Wyszły na jaw bardzo kosztowne odruchy. Po szkoleniu w Specnazie?

Udałem, że nic nie zauważyłem, i bawiłem się nadal wskaźnikiem, zataczając promieniem kółka na ziemi. Grgur wrócił zaraz potem, oddychając nieco ciężiej i trzymając prawą rękę za plecami. Poprawił spodnie, by ukryć, że chowa broń do ukrytego olstra.

-Wszystko w porządku? - zapytała go Marena.

-Tak - burknął. Próbowałem zgrywać głupka, patrząc na Marenę i unikając wzroku Grgura, ale oczywiście wiedział, że ja wiem, a ja wiedziałem, że on wie et cetera.

Wspaniale, skarciłem się w duchu. Teraz Grgur naprawdę ma powody, by mnie nienawidzić. Brawo.

Drzwi w końcu się otworzyły i owiało nas klimatyzowane powietrze, pachnące freonem i gipsem. Przeszliśmy przez stanowisko ochronno-identyfikacyjne, oznaczone napisem: PRECAUCIÓN/SE PROHIBE LA ENTRADA SIN PERMISO, do długiego holu z migoczącym fluorescencyjnym oświetleniem i antypoślizgową wykładziną ubrudzoną rdzawymi plamami błota.

-Nie, dziękuję - Marena odpowiedziała Ashley Jeden, zwanej tak dla odróżnienia od pozostałych kobiet o tym samym imieniu. - Muszę się zobaczyć z Lindsayem, choćby na pięć minut.

-Nie wiem, czy będzie chciał teraz rozmawiać, jest zbyt rozbity - odpowiedział młodszy Starszy. - Ale cieszy się, że udało się wam dolecieć.

-Wiesz, że Taro Mora też tu jest, prawda? - wtrąciła Ashley Jeden. - I działa już ssc. Przygotowaliśmy ci dawny pokój.

Marena podziękowała. Ktoś wręczył mi kartę-klucz i poprowadził do celi. Przepraszam, do pokoju. Marena powiedziała, że zadzwoni do mnie za parę minut, po czym drzwi się za mną zamknęły.

Pokój był wysprzątnany i urządzony jak w prawdziwym hotelu wysokiej klasy. W szklanym wazonie stała nawet pojedyncza orchidea *Cypripedium*, a obok leżała broszura informująca, że obsługą hotelową zajmuje się korporacja Marriot International, restauracja i kawiarnia nie są jeszcze czynne, ale śniadanie jest podawane od siódmej do dziesiątej w jadalni, teren hotelu jest wolny od smogu oraz że pielęgniarka i doradca duchowy są dostępni przez telefon całą dobę. Poniżej znajdowało się pytanie, czy chciałbym, aby zamiast zwykłej wiadomości budziła mnie jakaś inspirująca i kreatywna.

O, nie, pomyślałem. Dziękuję bardzo. Wolę, by obudził mnie olbrzym Andre, wylewając mi na twarz zimny chlorox i przygniatając genitalia kolaniem.

Pokręciłem się po pokoju jak każdy gość hotelowy. W łazience znalazłem mnóstwo zawstydzająco luksusowych kosmetyków, ale -oczywiście - żadnych prezerwatyw. W szufladzie znajdowała się Księga Mormona. Na stoliku nocnym rozłożono wachlarz ulotek. Rzuciła mi się w oczy reklama przygód w Gwatemali ze zdjęciem majowskiego dziecka w tradycyjnym stroju ludowym oraz zadowoloną miną kota, który dorwał się do śmietany. Dzieciak stał przed stelą 16 z T'ikal. „Możesz poznawać kamienie Majów lub... Majów osobiście” - głosił tekst reklamowy. „Odwiedź Gwatemalę, kraj zagadek”. Słodkie, pomyślałem. Możesz wybrać eksterminację kamieni Majów lub... Majów, których zamyka się w więzieniach. Odwiedź Gwatemalę, kraj smutku i żałoby. *Dominio de Desesperanza*.

Usiadłem na łóżku, podłączyłem komórkę do LAN i włączyłem mapę, na której można *znaleźć* swoją pozycję. Wpisałem „Marena Park” i obok czerwonej kropki, która znaczyła moją lokalizację, pojawiła się niebieska. Zrobiłem zbliżenie. Wyglądało na to, że Marena jest nadal w holu. Wyszedłem z pokoju i ruszyłem według mapy do niebieskiej kropki. Z jasno oświetlonego, pustego pokoju wypoczynkowego dochodziły odgłosy telewizyjnych chyba komentarzy. Wszedłem.

Unosił się tutaj typowy zapach biura - jak by to powiedzieć: cuchnęło jak Commes des Garçons Odeur 53, ale bez przyjemnych dodatków. Oraz kawą rozpuszczalną. Na wyświetlaczu mojej komórki niebieska kropka znajdowała się niemal na mojej. Hm...

Na środku stał rząd automatów. Podeszedłem do jednego, wsunąłem kartę do czytnika - prądu najwyraźniej nie wyłączono - i wybrałem dwie paczki żelków.

-...na dziennikarzy relacjonujących wydarzenia - dobiegł głos spikera. Obszedłem automaty. Po drugiej stronie Marena, Taro i paru nieznanym mi ludzi siedziało przy owalnym stoliku, oglądając program w dużym telewizorze ustawionym jakby na sztalugach. Na białym fornirowym blacie wałały się przekąski i papierowe opakowania, kubki oraz różne urządzenia do komunikacji indywidualnej.

-Chodź do nas. - Marena zaprosiła mnie gestem. Podeszedłem.

-Więcej powie nam Brent Warshowsky - rozległo się z telewizora. - Brent?

-Dziękuję, Alexandre - Brent zrobił dramatyczną pauzę. - Reporterzy w kryzysie: czy potraktowali temat zbyt osobiście?

Powitałem Taro skinieniem głowy. Chwycił mnie za rękę i uściśnął mocno, jakby szczerze cieszył się z mojej obecności.

-*Setzen dich* obok mnie. - Marena wskazała miejsce po lewej. Tak zrobiłem.

-Rozmawiamy z Anne-Marie Garcia-McCarthy z wsvn tv w Miami - paplał Brent. Komunikat na dolnym pasku głosił: WYDANIE SPECJALNE: JAK REPORTERZY RADZĄ SOBIE Z PRZEŻYCIEM KATASTROFY? - Dzisiaj Annę przeprowadziła wzruszający wywiad z mieszkańcem przedmieścia Miami... Mężczyzną, który w tragedii stracił żonę.

-Jak pan się czuje? - zapytała Anne-Marie; najwyraźniej w programie pokazywano wzmiankowany wywiad. Mężczyzna odpowiedział coś cicho, ale słowa zmieniły się w szloch i pozostały niezrozumiałe.

-A gdzie pan mieszka? - pytała dalej dziennikarka.

-Nigdzie. Byliśmy tam, żona i ja, i próbowaliśmy się wydostać, i...  
uch... i... uch-uch... był ogień...

-A kto teraz jest z panem?

-Nikt.

-A gdzie jest teraz pana żona?

-Nikogo tu nie ma.

-Gdzie pana żona?

-Nie ma jej. Odeszła.

-Nie może pan znaleźć żony?

-Próbowałem... Próbowałem trzymać ją za rękę, ale była gorąca jak ogień, za gorąca, nie mogłem jej trzymać. Powiedziała: idź, zaopiekuj się dziećmi. A wnuki...

-Już dobrze, proszę pana, ale jak się nazywa pana żona? Może uda się ją znaleźć przez nasz program.

-To bez sensu, ona odeszła.

-Ale jak ma na imię pana żona?

-Lakerisha.

-A pan nazywa się...?

-JC Calhoun.

-Jeżeli słucha nas ktoś ze służb ratowniczych, niech odnajdzie Lakerishę Calhoun i da znać.

-Nie ma sensu, ona odeszła. Spłonęła. Moja mała... spłonęła...

-Reporterzy muszą stawić czoła trudnym i emocjonalnym zdarzeniom. Niekiedy ciężko jest zachować zrównoważoną postawę wobec takich przypadków - odezwał się Brent. - Anne-Marie, dziękuję, że przyłączyłaś się do nas dzisiaj. Niełatwo jest radzić sobie w sytuacjach takich jak ta, gdy na dodatek jesteśmy obserwowani. Z pierwszej linii relacjonowała dla państwa...

-Można wyłączyć dźwięk? - poprosiła Marena i ktoś to zrobił.

-Dzięki.

Popatrzyliśmy na siebie w naglej ciszy.

- Przepraszam, chyba przeszkodziłem - odezwałem się pierwszy. - Szukałem tylko czegoś do picia...

-Nie, zostań - zatrzymała mnie Marena. - Nie ma nic, czego byś już nie wiedział.

-Dobrze.

-Nie poznałeś jeszcze Laurence'a Boyle'a, prawda?

Mężczyzna powiedział „cześć”. Okazało się, że to jeden ze Starszych, którzy powitali nas po wylądowaniu. Marena pewnie próbowała wtedy nas sobie przedstawić, ale przez wrodzony brak talentów towarzyskich widocznie tego nie zauważyłem.

- Larry jest wiceprezesem i dyrektorem działu badań Warrena - wyjaśniła Marena. - Taro i Tony ego już znasz.

Wymieniliśmy powitania i zapewnienia, jak to dobrze, że udało nam się przeżyć. Taro wydawał się zmęczony. Sic wyglądał absurdalnie zdrowo.

-A to Michael Weiner - Marena przedstawiła mi górę cielska po prawej.

-Miło cię poznać - odezwało się cielsko niskim głosem z nowozelandzkim, wyszkolonym do publicznych wystąpień akcentem. Podobno telewizja dodaje dwadzieścia funtów, ale w przypadku Weinerja musiała mu odjąć ze sto. Był wielki. Wyglądem przypominał trochę Andrew Weila, tego newage'owego specja od zdrowia. Weiner nosił podobną szeroką brodę i miał wielką lśniącą łysinę, przez co sprawiał wrażenie, jakby jego twarz była odwrócona. Przynajmniej ma image, pomyślałem. Weiner przechylił się przez Marenę i zgniół mi rękę w uścisku.

-No dobrze - mruknęła Marena. - O czym mówiłeś, Taro?

Taro zwykle potrzebował chwili namysłu, zanim się odezwie, i teraz też milczał. Ale Michael Weiner nie czekał, lecz wpadł mu w słowo.

- Teraz na nas zagłada - stwierdził. - Precedens kuszy.

Właśnie - mruknęła Marena.

Wybaczcie, ale nadal nie rozumiem, o co chodzi - stwierdził Laurence Boyle.

Taro mówił...

- Zaczekajcie. - Boyle uniósł dłoń, po czym dotknął stylusem wyświetlacza swojej komórki. - Zamierzam nagrać wszystko dla Starszego Lindsaya. Na wszelki wypadek, gdyby komuś się coś nasunęło. Macie coś przeciwko?

Wszyscy zaprzeczyli.

- Świetnie. Postarajcie się mówić wyraźnie i wyrażać jasno. A ja upewnię się, że Lindsay wysłucha wszystkiego uważnie. Jak to zwykle robimy w Stanach. - Roześmiał się serdecznie z tego niezupełnie-dowcipu. - I, jeśli można prosić, bez wulgaryzmów.

Dotknął telefonu.

-No, to zaczynamy. Dobrze. Wróćmy do początku. O co chodziło?

-Chodzi o to - zaczął Weiner - że precedens kuszy zakłada zagładę. Pewni ludzie... jak ich się nazywa?

-Czarnowidze - odpowiedział Taro.

-Właśnie. Ktokolwiek zrobił zamach w Disney World, myślał zapewne, że zniszczy całą ludzkość. Jest teoria, że za rozrzuconiem polonu stała nie jedna, lecz kilka osób, zapewne jednak niewiele, ponieważ już by ich zidentyfikowano.

-Tak - dodała Marena. - Czarnowidze uważają, że jest coraz więcej ludzi, którzy myślą podobnie jak oni.

-A dokładniej? - wtrącił Boyle.

-Jest coraz więcej ludzi, którzy nie tylko chcą wyrządzić jak największą szkodę, lecz także wiedzą, jak wyrządzić takie szkody - wyjaśniła. - Taro na to wpadł.

-Wcale nie, ale dziękuję - sprostował Taro. - To nie mój pomysł. Kwestia czarnowidzów jest coraz bardziej istotnym zagadnieniem w modelowaniu katastrof.

-Rozumiem. - Boyle popatrzył na monitor komputera, gdzie pojawiała się transkrypcja nagrania z komórki. - Profesorze Mora, może pan dokładniej to omówić?

Taro zamilkł.

-Masz, napij się - szepnęła do mnie Marena, przesunawszy bliżej mnie kartonowy kubek. - Nie tknęłam nawet.

-Cóż, potencjalny czarnowidz - zaczął Taro - to ktoś, kto chciałby zetrzeć wszystkich ludzi z powierzchni ziemi, włącznie ze sobą. Prawdziwy czarnowidz będzie jedną z takich właśnie osób, która znajdzie sposób, jak to zrobić.

-Dobrze, ale przecież nie ma tak wielu szaleńców - zdziwił się Boyle.

-No cóż... Pojawiały się wcześniej podobne próby jak ta w Disney World - westchnął Taro. Jego głos nabierał mocy, gdy wszedł w tryb wykładu. - Dwukrotnie w Pakistanie, a potem w Oaxaca. Zdarzyło się również parę incydentów podczas zimnej wojny i zapewne kilka, o których nic nam nie wiadomo.

-Może - przyznał Boyle.

-Problem w tym, że nieważne, czy będzie dziesięciu takich szaleńców, czy dziesięć tysięcy. Rzecz w tym, że w pewnym momencie jeden z nich zdobędzie wiedzę, jak spełnić swoje pragnienie. A w oparciu o precedens kuszy to się stanie wcześniej niż później.

-Wyjaśnij lepiej jeszcze ten termin - wtrąciła Marena.

-Słucham? - Taro zmarszczył brwi zmieszany.

-Precedens kuszy.

-Ach, to. - Skinął głową. - Właśnie. W... chyba w tysiąc sto trzydziestym dziewiątym roku Sobór Laterański próbował zakazać używania kusz, ponieważ, jak twierdzili jego członkowie, doprowadzi to do zniszczenia cywilizacji, albowiem wówczas zwykły żołnierz będzie mógł zabić rycerza w pełnej zbroi.

-Ale okazało się, że kusze nie są tak groźne - dodała Marena.

-Właśnie. A później, w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku, producenci broni często cytowali ten przypadek, aby przekonać ludzi, że nie powinni się tak przejmować bronią nuklearną.

-Rozumiem - rzekł Boyle.

-Jednak z kuszy zabija się tylko jedną osobę naraz - kontynuował Taro. - A przeliczając strzał *per capita*, wychodziło, że kusza jak na ówczesne czasy była bronią bardzo drogą. Broń atomowa natomiast zabiła miliony ludzi, i to o wiele mniejszym kosztem w przeliczeniu na jednostkową śmierć. Powiedzmy - kilka dolarów na osobę. Oczywiście to nadal dość spory koszt. Jednak w dzisiejszych czasach mamy wiele rodzajów broni, niszczycielskiej i taniej. I łatwej do samodzielnego wykonania. To właśnie stało się w Iraku. Plany strategiczne okupacji, jakie przygotowały Stany Zjednoczone, nie wzięły pod uwagę, że technika, a dokładniej materiały wybuchowe, jak plastik czy nawet dynamit, znajdują się już w rękach bardzo wielu ludzi. Pentagon używał starszych wzorców, z czasów gdy materiały wybuchowe były drogie i trudno dostępne. Jednak po roku dwutysięcznym *CA* bardzo staniało i stało się łatwo dostępne. Dlatego jeden napastnik mógł zabić mnóstwo ludzi i wyrządzić szkody na wiele milionów dolarów wcale nie dużym kosztem własnym. Można to ująć też w inny sposób: masowa demokratyzacja technologii krzyżuje się z rosnącą populacją potencjalnych użytkowników tej technologii. Z tego wychodzi rosnąca liczba samobójców z bombami.

-Dobrze, możliwe - zgodził się Boyle. - Ale przecież nikt nie zdoła zniszczyć WSZYSTKIEGO. I poza tym nie ma aż tak wielu osób, które chcą tego dokonać.

Taro znowu się zamyślił. Upiłem napoju z kartonowego kubka. Okazało się, że to mrożona zielona herbata z kawałkami tapioki.

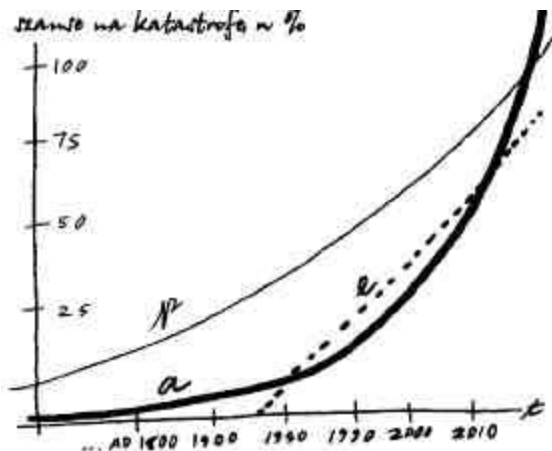


-Prawie każdy z nas doświadczył w życiu chwili, gdy był tak wściekły, że chciał ze wszystkim skończyć - podjął wyjaśnienia Taro. -Według większości tworzonych obecnie modeli w niedalekiej przyszłości ktoś, kto jest, powiedzmy, nieco mniej stabilny psychicznie i nieco bardziej wykształcony technicznie, poczuje to samo pragnienie, po czym je urzeczywistni.

-A kiedy to się stanie? - zapytał Boyle.

-Można to pokazać na wykresie. - Taro zaczął szkicować na swojej komórce. - Wszystko da się uprościć do zaledwie trzech głównych funkcji. Proszę. Gruba linia, a, pokazuje dostęp do technologii. Wynika ona ze zbioru zmiennych niezależnych, jak wskaźnik dostępu do Internetu oraz wskaźnik, dla jakiej części towarów - na przykład materiałów wybuchowych lub sprzętu do produkcji leków antywirusowych - barierą dostępności jest cena. Następną linią, cienką - p - to liczba ludzi, których można uznać za zestresowanych. Czyli takich, u których jest ryzyko, że zaczną mieć ekstremalnie radykalne myśli i pragnienia. Czarnowidze. Fani zagłady. Trzecia linia, przerywana, to e. Reprezentuje ona rosnące wysiłki zapobiegawcze, jakie podejmują agencje jak Departament Bezpieczeństwa Narodowego, policja i organizacje antyterrorystyczne na całym świecie.

Taro przesłał rysunek na komórki pozostałych. Marena pokazała mi wykres na swojej.



-Jak dla mnie, to trochę zbyt matematyczne - stwierdził Boyle. Dupek, pomyślałem.

-Jedną z przyczyn tak ostrego wznoszenia się linii p jest to, że obejmuje ona również wewnętrzne wsparcie. Chodzi o rywalizację. Na pewno wiecie, że ostatnio ludzie, którzy idą na wieżę lub do biurowca, by stamtąd strzelać do przechodniów, rywalizują ze sobą, kto ustrzeli więcej ofiar. Oczywiście częściowo wynika to z tego, że w Internecie są strony poświęcone wyłącznie zapisywaniu i przechowywaniu wyników takich strzelanin. Przede wszystkim jednak chodzi o to, że tworzy się wówczas pętla pozytywnego wsparcia. Zamachowcy naśladowują wcześniejsze sukcesy. A kiedy zobaczą coś spektakularnego, jak choćby zamach na WTC, pragną pobić taki rekord. Można matematycznie obliczyć współczynnik wzrostu takiego memu czar-nowidzów.

-Praktycznie rzecz biorąc, mówisz o swoistej modzie - dodała Marena. - Jak choćby w latach dziewięćdziesiątych zeszłego stulecia, wtedy seryjny zabójca był naprawdę kimś sławnym. Potem złą sławą cieszyli się terroryści. Teraz taką popularnością cieszą się wielbiciele apokalipsy i wszyscy, którzy mają podobne nastawienie, spoglądają na resztę świata z góry.

-Zaraz, zaraz - wtrącił Michael Weiner. - Jak wielu ludzi pragnie wszystko zniszczyć?

-O, właśnie - przytaknął Boyle. - Naprawdę uważacie, że ludzie są do tego zdolni?

-W rzeczy samej wielu ludzi dało wyraz temu pragnieniu - rzekł Taro. - I nie wszyscy z nich znajdują się w ośrodkach psychiatrycznych lub więzieniach.

-Dwadzieścia lat temu tworzenie wirusów komputerowych było cool - dodała Marena. - Teraz cool jest tworzenie wirusów biologicznych.

-Właśnie. Dzisiaj każdy, kto ma średnie wykształcenie biochemiczne i domowe laboratorium za pięć tysięcy dolarów, może zapewne stworzyć wirusa, który zabije wszystkich ludzi - powiedział Taro. - A na całym świecie jest ponad pięćdziesiąt milionów osób

z takim poziomem wiedzy. I przynajmniej kilka z nich chce dokończyć zagładę świata.

-Niech mnie piorun trzaśnie - szepnęła Weiner.

-Przywykło się oczekiwać, że będzie to jakiś szalony naukowiec - podjęła Marena. - Ale teraz wystarczy szalony maturzysta.

Sięgnęła do powszechnie znanych fraz, którymi wypełniła się teraz transkrypcja, dzięki czemu Lindsay lub ktoś, kto przeczyta naszą dyskusję, będzie mógł użyć tych wpadających w ucho sloganów na zebraniu zarządu czy podobnym spotkaniu.

-Można tak to ująć - zgodził się Taro. - Jest też inna perspektywa. Wyobraźmy sobie, że każdemu człowiekowi na świecie dajemy broń ostatecznej zagłady. Na pewno ktoś swoją zdetonuje w ciągu kilku minut od otrzymania. Tak naprawdę, część ludzi robi to od razu, ponieważ każdy z nich zechce być pierwszy. A nawet zakładając spory margines przypadkowości, co wcale nie jest konieczne, wykresy wskazują, że chwila jest blisko. Prawdopodobnie nadejdzie za kilka miesięcy.

-Czyli w okolicach daty kończącej kalendarz Majów - dodała Marena.

-Tak. Chociaż nasze obliczenia są oczywiście przybliżone, a Majowie wyznaczyli dokładny termin zdarzenia. Ale statystyki potwierdzają ich przewidywania. Koniec świata się zbliża, i to bardzo szybko.

-Ale przecież są ludzie, którzy mają powstrzymać takich szaleńców - zauważył Boyle.

-Tak. - Taro pokiwał energicznie głową. - To reprezentuje linia e. I, jak widać, e nawet się nie zbliża do punktu przecięcia p i a.

-Więc wystarczy, że podciągniemy linię e - stwierdziła Marena. Podczas dyskusji zdążyła rozedrzeć kartonowy kubek po herbacie w cienką, spiralną tasiemkę, na której dyndało denko.

-My albo ktoś inny - zgodził się Taro. - Tak. I to znacząco.

Przez długą chwilę nikt się nie odezwał. Rozdarłem jedną z torebek żelków, tych z dodatkiem soku z owoców tropikalnych. Zjadłem trzy drażetki, zrobiło mi się głupio, że taki ze mnie samolub, więc

resztę rzuciłem na stół. Kilka się wysypało - wyglądały jak nieregularne ziarna fasoli w pastelowych odcieniach kamieni szlachetnych.

-Ktoś ma ochotę? - zapytałem. Nikt nie miał.

-Dziękuję za wyjaśnienia. - Boyle wrócił do meritum. - Chciałbym jednak usłyszeć również wasze osobiste opinie. W końcu zawsze są tacy, którzy głoszą, że niebo zwali się nam na głowę. I zawsze się mylą. Ludzie lubią mówić, że coś jest końcem świata. Mówili, że bomba atomowa oznacza koniec świata. Albo że rok dwutysięczny będzie końcem świata. Mówiono również, że ten wybuch akceleratora w Meksyku stworzył... e... małą czarną dziurę i to będzie przyczyną końca świata.

Powiodł spojrzaniem po obecnych. Nikt się nie odezwał.

Trochę to dziwne, pomyślałem. Nie spodziewałem się, że ten Boyle okaże się jedynym, który zgłasza obiekcje. Pewnie dlatego, że sprawiał wrażenie wzorcowego mormona. W ogólności ludzie z Kościoła Świętych w Dniach Ostatnich są raczej bezkrytyczni, na dodatek wierzą, że koniec świata nastąpi już za chwilę. A tu nagle koleś wykazał się największym sceptycyzmem w gronie. Może po prostu dałem się zwieść stereotypom.

Marena otworzyła usta, jakby chciała się odezwać, ale zrezygnowała. Podejrzewałem, że miała ochotę rzucić coś w stylu: „pieprzenie”, „idiotyzm”, „bzdura”. Uznałem, że trzeba nieco wyluzować towarzystwo.

- Nie używajmy nazwy „czarna dziura”, jest obraźliwa. Mówmy: dziura, po prostu dziura.

Nikt się nie roześmiał. Nawet się nie uśmiechnął, nic.

Idiota ze mnie, pomyślałem.

-No tak - odezwał się Taro. - Różni ludzie mówili o końcu świata od dawna. Jednak, o ile wiadomo, świat się nie skończył. Ale taka indukcja jest fałszywa. Nie można...

-Mógłbyś najpierw wyjaśnić, co to jest fałszywa indukcja? - wtrąciła Marena.

-Dobrze ilustruje to indyk Russella - odparł Taro. - Możesz ignorować argumenty, Boyle, które...

-Przepraszam, ale zanim to rozwiniesz, lepiej wyjaśnij dokładnie, o co chodzi z indykiem - nakazała Marena.

-Och - stropił się Taro. - Tak, oczywiście. Bertrand Russell opowiedział historię o indyku, który wierzył, że gospodarz jest jego przyjacielem. Bo przecież gospodarz codziennie go karmił, od dnia, gdy indyk się wykluł. I nigdy nie wyrządził indykowi krzywdy. Dlatego indyk wierzył, że gospodarz będzie postępował tak samo jak wcześniej. Jednakże... pewnej niedzieli gospodarz przyszedł nie po to, by nakarmić indyka, lecz by mu uciąć głowę. Wniosek z tej historii: indukcja logiczna jest często fałszywa.

-Nie jestem pewien, czy ja lub reszta zarządu to zrozumiemy -zauważył Boyle.

Zapadła cisza. Zerknąłem na Marenę i nasze spojrzenia skrzyżowały się na chwilę. Wiedziałem, o czym myśli. „Niech to, Boyle, ten drań, próbuje nas odstrzelić. Nie chce, by projekt badawczy Taro nadal był prowadzony, prawdopodobnie dlatego, że chciałby, by pieniądze przekazywane na prace Taro zasilaty budżet jego gównianego wydziału. To dlatego podważa każde stwierdzenie i pewnie tylko czeka, aż któreś z nas powie coś głupiego, zbyt optymistycznego lub jeszcze innego, a kiedy tak się stanie, Boyle pogoni do Lindsaya i zacznie mu sączyć w uszy truciznę...”

Spojrzelśmy na Boyle'a, który właśnie zaczął mówić. Marena przewała mu bezceremonialnie:

-Zawsze są jacyś wariaci, którzy przepowiadają, że wielki meteor jutro spadnie na ziemię. Jak dotąd się to nie zdarzyło. Ostatnio. Ale jeżeli spojrzysz w niebo i zobaczysz spadający wielki meteor, nie powiesz przecież, że nie uderzy w ziemię, bo ci wszyscy wariaci zawsze się mylili, prawda?

-Właśnie - przytaknął Taro. - Musimy oszacować obecną sytuację na świecie w oparciu o aktualne warunki i okoliczności, a nie polegać na tym, co się kiedyś mówiło. Jedną z przesłanek na poparcie naszego zdania może być kwestia cywilizacji pozaziemskich. Jak dotąd nie znaleźliśmy nawet śladu takiej cywilizacji, choć prawdopodobieństwo przemawia na naszą korzyść. Całkiem prawdopodobne,

że takie cywilizacje same się zniszczyły, gdy osiągnęły poziom techniczny podobny do naszego obecnie.

Po raz kolejny zapadła niezręczna cisza.

-Hej, patrz, co zrobiłeś - przerwała ją Marena. Uświadomiłem sobie, że mówiła do mnie.

-Co? - zdziwiłem się.

-Poukladałeś je. - Puknęła w stół. - Popatrzcie na to - zwróciła się do pozostałych.

Popatrzyłem. Rzeczywiście, ułożyłem żelki w elegancki kwadrat, układając je liniami według koloru oraz w przypadku powtórzeń -według wielkości.

-O rany - westchnął Boyle.

-Och, tak. Był bałagan. Denerwowało mnie to... - mruknąłem i szybko zgarnąłem żelki do ręki. - Przepraszam.

-A jednym z najmocniejszych argumentów na poparcie tezy o nadchodzącej apokalipsie - Taro wrócił do wątku w zamyśleniu -jest kwestia podróżników w czasie. Jak dotąd nie pojawił się żaden przybysz z przyszłości.

-Czy to nie z powodu teorii Nowikowa? - zapytał Boyle.

-Może... - zaczęła Marena, ale Taro przerwał jej w pół słowa:

-Nie. To nie odnosi się do nas i naszej teraźniejszości. Najbardziej prawdopodobną przyczyną, że nie odwiedza nas nikt z przyszłości, jest to, że po prostu nie ma żadnej przyszłości.

Jedenaście godzin później LEON znowu był on-line. Nie wiadomo kto właściwie chronił urządzenia w kampusie, może LEON dysponował własnym generatorem, jednak fakt pozostawał faktem: LEON wrócił, podobnie jak asystentka Taro - Ashley Jeden - a także Tony Sic oraz Strażnicy Dnia na stażu. No i ja. Wszyscy znaleźliśmy się w prowizorycznej pracowni profesora Mory w Paliku. Pracownia przypominała bardziej skład nowych biurek, lśniących monitorów Sony, nierozpakowanych jeszcze ergonomicznych foteli Aeron - a wszystko to upchnięte byle jak w piwnicznej sali pod Aulą Tabernakulum. Nawet w kliknięciu klucza zdawała się dźwięczeć panika.

Laurence Boyle chciał skierować nasze wysiłki na znalezienie Dra X, prawdopodobnie osoby odpowiedzialnej za zorganizowanie horroru w Disney World. Jeżeli uda się nam go wyśledzić, dostaniemy więcej funduszy na kolejną fazę. Nie miałem pojęcia, co to za faza. Taro i - jak mi się zdaje - inni ludzie zza sceny przekonali jednak Boyle'a, że najlepsi gracze powinni się zająć czarnowidzem, który - kimkolwiek jest - zamierzał urzeczywistnić zdarzenie, jakie zajdzie 21 grudnia 2012.

Potem Taro wygłosił przemówienie. Jego zdaniem - podkreślił - należy założyć, że Kodeks się nie myli i dwudziestego pierwszego wydarzy się, jak to Taro określił, coś znaczącego, a jeżeli mamy temu zdarzeniu zapobiec, o ile to w ogóle możliwe, musimy się wziąć już

teraz do pracy. Powinniśmy być detektywami tropiącymi przyszłe zdarzenia. Odniosłem wrażenie, że tym samym osiągnęliśmy zero absolutne, przynajmniej jeżeli chodzi o dochodzenia detektywistyczne: mieliśmy złapać kogoś, kto jeszcze nic nie zrobił, a zatem nie zostawił żadnych śladów, a do grupy podejrzanych mogliśmy zaliczyć niemal całą ludzkość.

I nie tylko mieliśmy zacząć szukać tego faceta (naturalnie uważałem go za mężczyznę, choć starałem się zachować otwarty umysł), lecz także wymyślić sposób, jak go znaleźć. Krótko mówiąc, trzeba było napisać program, który pozwoli dokładnie przebadać daty i przepowiednie z Kodeksu, a dzięki temu wskazać czarnowidza.

My, gracze, dostaliśmy Grę Ofiarną 3.2, nową wersję oprogramowania, rozszerzoną o dane z wydarzeń w Orlando. Każdy z nas próbował przejść Grę od drugiej od końca daty - daty ataku na Disney World - i dojść do tej samej pozycji końcowej, która miała nadejść za trzysta pięćdziesiąt siedem dni, do 4 *Ahau*. Próbowaliśmy przesiać ogromne strumienie cyfrowych danych - głównie spisy milionów nazwisk, adresów i profesji - przez dwustusześcdziesięciooczkową sieć Gry. Każdy z graczy miał też dodatkowo otwarty przynajmniej jeden ekran. Na moim leciała relacja z Bloomberga (lubię dane ekonomiczne bardziej niż inne), a z paska na dole dowiedziałem się, że zdarzenia w Disney World kosztowały budżet państwa blisko bilion dolarów, a nie wliczono nawet odszkodowań od firm ubezpieczeniowych. Dowiedziałem się również, że moje kontrakty na kukurydzę zwiększyły swoją wartość niemal trzykrotnie. Jasna cholera. Wielka kasa ze złych wieści. Powinienem się przyzwyczajać, jestem teraz naprawdę bogatym starym draniem. Szkoda tylko, że tutaj nie mam na co wydawać tego bogactwa...

Boże, o czym ja myślę? Przecież nie będę miał na co wydać tego bogactwa, jeżeli przestanę istnieć. Lepiej wrócić do pracy.

Połączyłem się z LEON-em.

No dobrze, dość zwlekania. Czas popłynąć.

Wyciągnąłem woreczek z tytoniem do żucia i wziąłem szczyptę do ust.



Wpisałem swoje hasło, po czym wyzwalałem starego, dobrego LEON-a na grę czterema kamieniami, która ma się zakończyć 4 *Ahau*. Rzecz jasna, LEON się zgodził, ponieważ nie był ani dość sprytny, ani też leniwy.

Rozejrzałem się. Nikt na mnie nie patrzył. Rozsmarowałem przeżuty tytoń na udzie. Wyglądał trochę jak ślad po masturbacji. Dodałem LEON-owi sugestię dotyczącą kierunków i rozrzuciłem kamyki oraz ziarna.

Nigdy wcześniej nie próbowałem grać czterema pionkami. Nie było potrzeby. To jakby gracz w go postanowił grać na planszy dwadzieścia dziewięć na dwadzieścia dziewięć pól albo szachista rozstał figury na stu czterdziestu czterech polach i miał cztery króle - po dwa dla siebie i przeciwnika. W takich warunkach nie byłaby to nawet rozgrywka, tylko bezsensowny miszmasz dwóch armii błąkających się po omacku na pustkowiach. Ale nawet jeśli, pomyślałem, zrobmy to.

Szlag. Posłałem w ekran groźne spojrzenie.

Wymazałem obraz, wstałem i znalazłem asystentkę Taro, Ashley.

- Można zgasić część z tych świateł w suficie? - zapytałem. Lampy dawały ponure fluorescencyjne światło, które spłaszczało wszystko dookoła.

Ashley obiecała, że popyta, więc wróciłem do swojego biurka oddzielonego od innych stanowisk cienkimi, niskimi ściankami - moja podstawowa komórka biurowa. Tony Sic przeszedł obok i przywitał mnie krótkim „cześć”. Zaraz potem usłyszałem, jak wbiega na schody z tyłu. No dobra, oto jesteśmy.

Komórka.

Kurwa.

Nieważne, co się stanie, i tak dziewięćdziesiąt siedem procent mojego czasu spędzę, siedząc przed ekranem i wprowadzając dane. Zdobędę fortunę, miasta upadną, miasta powstaną, stracę fortunę, świat się zmieni, zdobędę kolejną fortunę, pojawią się nowi bogowie, bogowie umrą, wszechświat wywróci się na nice, ale to nie będzie mia-

ło żadnego znaczenia, ponieważ ja nadal będę wpisywał tylko dane. Spójrzmy prawdzie w oczy, jestem tresowaną małpą przy komputerze. Mam po prostu siedzieć w komórce, milczeć i wpisywać dane...

Połowa światła zamigotała i zgasła. Ach, o wiele lepiej. Mogę wrócić do Gry.

Zacząłem powoli, niczym formujący się lodowiec - w niektórych miejscach rozrastający się coraz wyżej, w innych malejący. Miałem wrażenie, że otacza mnie coraz gęstsza mgła, to z niej tworzył się lód, który potem znowu rozpląwał się w mleczny opar. Wprowadzenie każdego nowego pionka wymagało uwzględnienia ruchów wcześniejszych kamieni. To jak zbieranie w jedno wszystkich linii, jakie ruchy pionów wyznaczyły na planszy. A kiedy w Grze pojawił się czwarty kamień, przeskoczyłem na wyższy poziom. I oto mogłem spoglądać na setki mil we wszystkich kierunkach, przed oczyma duszy mojej rozciągało się całe Morze Weddella falstartów, obejść i ślepych uliczek, z pierścieniem jego łupkowego wybrzeża wyznaczonym przez krzywiznę ziemi. Krok. Krok. Krok. Piątek jest mroczny, po nim dwa nic nieznaczące dni, a potem świetlisty poniedziałek. *De todos modos*. Dotarłem już do i Wstrząs Ziemi, o Zmatowienie, czyli 2 kwietnia 2012, jak dotąd najbliższej daty końcowej. Wcześniej nigdy nie udało mi się dojść tak daleko, nie gubiąc drogi. Zaraz. Krok w tył. Dobrze, zatem przełom był przy czterysta osiem. Spróbujmy jeszcze raz. Dziewięćset czterdzieści osiem, trzysta dziewięćdziesiąt osiem. Dobrze. Teraz trochę jaśniej. Zaczęły napływać obrazy. Nie wizje ani nic podobnego, tylko wspomnienia urywków programów z telewizji lub sieci czy czegokolwiek, jednak ich pojawienie się wywołane było przecuciem, że może się wydarzyć coś podobnego. Długi szereg uchodźców, niosących plastikowe butle z wodą zaczerpniętą z kranu. Rozrzuciłem ponownie nasiona, by zredukować potencjalne scenariusze rozwoju zdarzeń. Parę zamglonych ścieżek zniknęło. Kilka dłuższych wyostrzyło się. No, dalej. Jeszcze kilka. Pozostało już tylko sto lub trochę więcej głównych scenariuszy, a potem tylko dwadzieścia, świetnie... Nie, zaraz, idę za szybko, opuściłem ścieżki, wiele potencjalnych ścieżek, minąłem, nie zauważywszy, całe rozgałęzienie możliwości, te

dwadzieścia scenariuszy okazało się tylko paroma z miliona, kurwa, kurwa, kurwa, niedobrze to wygląda, bardzo niedobrze. No dobra. Trzeba wrócić. Tutaj. Spróbujmy tak. Blokada. Dobrze. Tędy. *Bloqueado*. Do ciężkiej zarazy. Może ta ścieżka. *Bloqueado*. Albo ta. *Bloqueado*. Kurwa. *Desesperado*. Lodowce starły się wokół mnie z chrzęstem, jakby dziesięć tysięcy pitbullów rozgniało w zębach dziesięć tysięcy cielejących giczy. Musi być jakiś sposób, by rozegrać tę partię. Tędy. Tamtędy. Krawędź przepaści. Spadek. Nie mogę myśleć. Tędy. Nie. Zła droga. Obejście. Zła droga. *Ninguna manera*. Brak przejścia. Zła droga. Zła droga. Wszystkie drogi prowadzą do zagłady. Do Rzymu. Do zagłady. Rzymu. Zagła-a-ady-y...

Kurwa.

Kliknąłem „anuluj”. Plansza na ekranie zamigotała i znikła, ale przed oczyma nadal ją miałem, jakbym pochylił się nad Grą w realu, na stole, i rzucił nasiona, a one rozsypały się po linoleum. Zegar wskazywał szesnastą trzydzieści trzy. Odsunąłem się od monitora z poczuciem psychicznego rozbitcia.

- Hej - rozległ się głos Mareny.

Obróciłem się na krześle. Zakręciło się za daleko i musiałem niezdarnie wyhamować, by popatrzeć na przybyłą. Wtedy uświadomiłem sobie, że powinienem wstać, bo przecież Marena jest kobietą i w ogóle, ale ona już oparła się o ścianę komórki, więc gdybym wstał, wyszłoby jeszcze bardziej niezręcznie, więc zostałem tam, gdzie byłem.

-Dobrze się czujesz? - zapytała Marena.

-Cześć. O, tak. Dziękuję.

-Dostałam notatkę o... - zaczęła, ale nagle zmieniła temat. - Och, zapomniałabym. Ten gość od Żarłacza, Młota i Glonojada skontaktował się z tobą?

-Ach, Jerry? Owszem, bez problemu.

Zapomniałem dodać, że wczoraj w końcu dodzwoniłem się do mojego prawnika - Jerry'ego Weira z kancelarii Grey, Timber i Weir. Chociaż zachodnia cywilizacja się waliła, Jerry był gotów do pracy. Pewnie pracowałby nawet na łożu śmierci. Albo nawet zza grobu. Czerwonym pisakiem pozaznaczał poprawki na umowie i zakazał mi

czegokolwiek podpisywać, dopóki korporacja ich nie uwzględni. Co zaskakujące - uwzględniła. I tak oto zostałem pracownikiem Warren Group, jednej z najszybciej rozwijających się i najbardziej obiecujących firm na świecie. I, czego byłem żywym dowodem, firmy rozprzestrzeniającej się na różne kraje.

-Dostałam notkę z działu pracowniczego, potrzebne jest uzupełnienie danych - oznajmiła Marena. - Musisz tylko odpowiedzieć na parę pytań.

-Dobra.

-Wybacz. Miała to zrobić doktor Lisuarte, ale powiedziałam, że się tym zajmę. Chyba że wolisz ją.

-Och, nie, nie...

-To tylko dane do ubezpieczenia. - Marena sięgnęła po swój telefon.

-Świetnie. Ubezpieczeń nigdy dość.

-Właśnie.

-A skoro już jesteśmy przy ubezpieczeniach, to dostaniemy polisę na apokalipsę?

-Mój drogi, wiem, że to śmieszne - prychnęła Marena. - Ale pamiętaj: tO KORPORACJA.

-Jasne. Dobra.

-No, to najpierw ta twoja hemofilia. Czy twoje leki interferują ze znanymi lekami psychiatrycznymi?

-Zapewniono mnie, że nie.

-Czy bierzesz jakieś środki, których nie wymieniłeś na przekazanej nam liście?

-Nie.

-Jakieś używki, narkotyki?

-Kofeina.

-Tego nie musimy wpisywać.

-Okolo piętnastu filiżanek dziennie.

-I tak tego nie wpiszę. Ale powinieneś trochę spasować.

-Tak, mamusiu.

-Pewnie. - Wpisała coś do komórki.

-Następna kwestia też dotyczy chorób. Mamy dokument, który stwierdza, że po przybyciu do USA stwierdzono u ciebie... e... syndrom stresu pourazowego przejawiający się zachowaniami podobnymi do zespołu Aspergera.

-To prawda - przyznałem.

-Czy to nadal wpływa na twoje zachowanie?

-Niedysfunkcyjnie, o ile wiem. A skąd to pytanie? Dziwnie się zachowuję?

-Nie dla mnie - zapewniła Marena. - Ale ja cię już znam.

-Hm... Mogę wydać się dziwny. Tak mi powiedziano. Podobno jestem bardziej zainteresowany przedmiotami niż ludźmi.

-Tak jest?

-Przedmioty też mnie nie interesują.

-A co cię interesuje?

-A co za różnica? Ludzie to te rzeczy, łączące wokół i gadające, tak?

-Napiszę, że cię zapytałam i czujesz się dobrze - stwierdziła Marena.

-Dziękuję.

-W porządku. Też mam zespół.

-Naprawdę?

-Tak, nazywa się to syndrom Laurina-Sandrowa.

-To poważna choroba?

-Nie, drobna dolegliwość. Prawie niezauważalna.

-To dobrze.

-Jak wam leci, kochani? - rozległ się głos Boyle'a. Odwróciliśmy się jak na komendę. On i Taro właśnie nadchodzili.

-Skończyliśmy - stwierdziła Marena.

-Widzieliście tu gdzieś Tony ego Sica?

-Poszedł do Care Space. - Marena wskazała tylne schody.

-A tobie jak idzie z czterema kamieniami? - zwrócił się do mnie Taro.

-Niezbyt dobrze - przyznałem. Ups. Ostrożnie, przecież jestem teraz jego pracownikiem. Powinienem emanować optymizmem

i ochotą do pracy. - Ale mam parę pomysłów, jak sobie poradzić. Może...

-Zastanawiałem się, czy nie powinniśmy użyć pięciu kamieni, nawet jeżeli to rodzi więcej problemów - zauważył Taro.

-A nie powinniście raczej zająć się Grą - iloma to? - dziewięćcioma pionkami? - wtrącił Boyle.

-Nie wiedzielibyśmy nawet, od czego zacząć - odrzekł Taro.

-Każdy pion, każdy nowy kamień to jak dodanie kolejnego wirnika do Enigmy.

Nie sądzę, żeby Boyle zrozumiał analogię.

-Musimy iść. - Taro poprowadził go na schody. Marena ruszyła z nimi.

-Wyślij mi esemesa, jak tu skończysz - powiedziała jeszcze. Pomachałem jej na pożegnanie i wróciłem do pracy.

Hm...

Działo się coś dziwnego. Co robił Tony Sic? A, tak - poszedł do Care Space.

To brzmiało znajomo. Może mijałem to Care Space, a może nawet kiedyś tu byłem? To pewnie jakiś szpital dziecięcy lub przychodnia. Jakieś przedsięwzięcie non profit Lindsaya Warrena, może nawet jeszcze z Salt Lake? Tyle tylko, że to akurat nie wydawało mi się prawidłowym domysłem. Nie kojarzyło mi się wcale z hemofilią.

Może to przedszkole w Paliku. Czy Sic ma dzieci? Nie powiedział, że nie ma. Hm.

Ale to też nie wydawało mi się poprawne. Czułem, że Care Space musi się wiązać z czymś innym, bardziej abstrakcyjnym, matematycznym.

Wsunąłem do ust porcję tytoniu. Można mówić różne złe rzeczy o nikotynie, ale naprawdę potrafi rozruszać szare komórki.

Care Space przywodziło mi na myśl coś innego. Dwie sprawy. Coś, co usłyszałem zeszłej nocy, ale nie wiedziałem, czym jest, i nie miałem jak sprawdzić. „Zakręcony piątek”? Ktoś wspomniał o „Zakręconym piątku”... Czyli czym? Jedyne, co mi się kojarzyło, to durna komedia, remake jeszcze durniejszej komedii... Coś miało się wy-

darzyć w piątek? Może jakieś tutejsze święto? Później to sprawdzę. Ale co jeszcze się zdarzyło, co dziwnego? Poza tym, że cała noc była dziwna...

Ach, trochę mnie zdziwiło, gdy Taro wysunął podczas wczorajszej dyskusji argument z podróżami w czasie. To znaczy w przypadku Taro nie było to dziwne. Jak większość ludzi związanych z matematyką, on i ja często rozmawialiśmy na podobne tematy. Spekulowaliśmy, fantazjowaliśmy. Ale we wczorajszej dyskusji było coś dziwnego. Tylko co? Taro powiedział, że nie ma żadnej przyszłości. Ponieważ nie odwiedził nas ani jeden podróżnik w czasie. Dobra. A wtedy Boyle zapytał... właśnie. Zapytał, czy to nie przez teorię Nowikowa.

Hm... Tak się składa, że wiem, co to za teoria. Chodziło o zasadę wewnętrznej spójności Nowikowa, która mówi o aspektach podróży w czasie bez odwoływania się do starej i zdewaluowanej teorii wszechświatów równoległych. Głównie chodzi o stwierdzenie, że podróże w czasie wcale nie muszą prowadzić do paradoksów i sprzeczności z prawami fizyki. Ale skąd Boyle o tym wiedział? Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto się zna na wyższej matematyce. Wyglądał mi raczej na tępaka. Ale nikt nie zakwestionował tego, co powiedział. I w ogóle, dlaczego nikt nie rzucił argumentu, że podróże w czasie przecież nie istnieją lub są niemożliwe? Nawet Michael Weiner tego nie zrobił, a przecież tylko czekał, by wtrącić swoje trzy grosze.

I coś jeszcze, jakieś pojęcie, którego nie rozumiałem i nie mogłem wtedy sprawdzić...

Care Space. Nie! Kerr space!

Roy Kerr.

Czasoprzestrzeń Kerra...

Kliknąłem ikonę Firefoxa, otworzyła się przeglądarka Google. „Czasoprzestrzeń Kerra” - wpisałem. Lista tysięcy wyników. Odniesienia do metryki Kerra. Kliknąłem pierwszy link.

„Z obliczeń Kerra wynika, że czarne dziury mogą być tunelami czasoprzestrzennymi” - przeczytałem w Wikipedii. „Ponieważ czarna dziura może mieć dwa horyzonty zdarzeń, możliwe jest dzie-

ki temu uniknięcie upadku do osobliwości wytwarzanej przez wirującą czarną dziurę, o ile czarna dziura pasuje do metryki czasoprzestrzeni Kerr'a".

*Dios perro*, pomyślałem. Dobry Boże...

*No es posible, no es posible.*

Poczułem dreszcz w krzyżu. Nie *tzam lic*, tylko normalną gęsią skórkę, jakiej można dostać, gdy się doznaje olśnienia.

ssc - przyszło mi nagle do głowy. Ashley Jeden powiedziała, że ssc już działa.

Ale co to za skrót? Samoczynny Samobieżny Czółg? Societas Sanctae Crucis, SuperSpecjalny Certyfikat... No dobra, nie... To pewnie jakaś nazwa... Zaraz...

Ha! Superconducting Supercollider. Superwielki zderzacz cząstek...

Jasna kurwa!

To jest to. Tak jest. Ożeż. To... To...

Taro nie ciągnął spekulacji na podstawie różnych hipotez, jak to bywało w naszych rozmowach. On kontynuował wyjaśnienia. Zanim przyszedłem, Marena, Taro, Sic i Boyle dyskutowali o podróżach w czasie. *No es posible*, pomyślałem.

Podłączyłem się do mapy Palika i wpisałem „Taro”. Jednak nie pojawiła się fioletowa kropka, która go pokazywała. Jak śmiał się wyłączyć z systemu namierzania? - oburzyłem się w duchu. Może znajdował się w jakiejś tajnej części kompleksu. Cholera. Spróbowałem „Marená”. Jej błękitna kropka zabłysła w budynku, wkrótce hotelu, zapewne w pokoju. Zatem cokolwiek robił Taro z Boyle'em i Tonym, Marena w tym nie uczestniczyła. Hm...

Wstałem, ruszyłem - zbyt szybko - do wyjścia, na schody (windy jeszcze nie działały) i wyskoczyłem na zalany słońcem parking, a stamtąd pobiegłem do hotelu. Na długim korytarzu roili się Święci w Dniach Ostatnich, czyści, uczesani i zaangażowani. Wchodzili i wychodzili z pokoi, wnosząc walizki lub świeże ręczniki. Przeladowany mormonami samolot wylądował dziś rano, a z każdą godziną



przybywali kolejni. Na stronie LAN Palika pod zakładką „ważne informacje” pojawiło się ostrzeżenie, by nie nazywać ich uchodźcami, bo to Amerykanie. Przecisnąłem się pod pokój Mareny. I załomotałem w drzwi. Żadnej odpowiedzi. Podświetliłem na komórce jej kropkę i wcisnąłem „pilne”.

Czekałem. Wreszcie się odezwała.

-Czego? - zapytała.

-To pilne - wydyszałem.

-Jestem pod prysznicem.

-Mówię poważnie. Naprawdę.

-Chwileczkę.

Dwie minuty później otworzyła drzwi. Miała na sobie za duży zielony szlafrok z logo Marriotta i zielony ręcznik na głowie, jak turban. Jej twarz była mokra. W innych okolicznościach taki seksowny widok na pewno by mnie rozproszył. Ale teraz rzuciłem tylko, że chcę z nią porozmawiać prywatnie. Ultraprywatnie.

-Wyjdźmy stąd - odparła. Jak ja i jak wielu Azjatów oraz chyba coraz więcej ludzi w dzisiejszych czasach, instynktownie, kiedy chciała zachować prywatność, nie szukała małych pomieszczeń i nie zamykała drzwi, lecz raczej wychodziła na otwartą przestrzeń, gdzie można dostrzec, czy ktoś jest w pobliżu i słucha. Poprowadziła mnie na tyły hotelu, zamiatając połamami za dużego szlafroka kurz z asfaltu. Stanęliśmy na wewnętrznym, niewielkim dziedzińcu między budynkami, pod plastikowym daszkiem przy sześciostopowej dobudówce.

-No dobra, co to za ważna sprawa? - zapytała Marena.

W piersi mi łomotało, jakbym był Nefim umawiającym się na pierwszą randkę z Jessicą Gunnison. No już. Pora to z siebie wyrzucić...

-Myślałem o tej czasoprzestrzeni Kerra - wykrztusiłem.

-I co wymyśliłeś? - Marena bynajmniej nie udawała, że nie wie, o co chodzi.

-Tylko to, że... no... Jeżeli chcemy się nauczyć prawdziwej Gry Ofiarnej, dowiedzieć, jak ludzie w nią grali, trzeba ich po prostu zapytać.

-I jaki masz pomysł, by to zrobić? - Ledwo ją słyszałem przez huk silników kolejnego lądującego samolotu.

-Może trzeba skorzystać z tego waszego wehikułu czasu - rzucilem. Cholera, to nie zabrzmiało zbyt pewnie. Wcałe.

-Żartujesz? - Zsunęła z głowy ręcznik. Jak na tak małą osobę miała naprawdę dużo włosów, a teraz, gdy mokre kosmyki sterczały na wszystkie strony, przypominała dmuchawiec. - Wehikuł czasu się nie przyda. Nie wiedziałeś?

-Zależy, jak się go użyje.

-Co masz na myśli?

-To nie... To „Zakręcony piątek”.

-Kto ci powiedział o „Zakręconym piątku”?

-To znaczy, że nie planujecie wysłania materialnego obiektu.

Marena upuściła ręcznik i przeciągnęła dłonią po mokrych włosach. Spojrzała mi w oczy. Na to bliższe padały promienie słońca, więc można było dostrzec wyraźnie spłaszczoną soczewkę nad czarną głębią. Liczyłem, że zobaczę w źrenicach Mareny błysk lub drganie, coś... Ale choć mówi się, że oczy są zwierciadłem duszy, tak naprawdę nic nie wyrażają.

Zadzwonił telefon. Marena przerwała pojedynek na spojrzenia, by odrzucić połączenie.

-Obiecałam Maksowi, że zadzwonię o tej porze - wyjaśniła.

-Wystarczy wysłać falę przez to, co wytworzy się w ssc, nagą osobliwość albo tunel czasoprzestrzenny... A potem pewnie wystarczy ReWire, by się połączyć z podróżnikiem.

-Hm. - Marena skrzywiła się. - Zdaje się, że zajrzałeś do paru podręczników fizyki, co?

Powiedziałem, że do paru, ale pewnie zabrzmiało to bełkotliwie, bo w głowie wirowały mi myśli, tyle potencjalnych możliwości, tyle nowych możliwości...

W jednej z najstarszych opowieści o królu Arturze Merlin miał szachy z poruszającymi się figurami i pionkami - i co ważniejsze, nigdy nimi nie przegrywał. Dzisiaj większość z nas widziała takie szachy, praktycznie dorastała, natykając się na podobne tu i tam, więc

nic dziwnego, że uważamy je za coś zwyczajnego. Ale kiedyś, w 1998, pokazałem moje elektroniczne szachy, Excalibur 2400 Phantom, ponad osiemdziesięcioletniemu uzależnionemu od szachów Strażnikowi Dnia w Santa Eulalia, wiosce na wyżynie Huehuetenango, tak zupełnie przypadkiem. I mogłem niemal fizycznie poczuć wstrząs technologiczny, gdy w oczach starca ujrzałem strach pomieszany z ekscytacją i gdy potem obserwowałem, jak gra. Strażnik siedział przed chatą na starej skrzyni po puszkach z olejem, niewprawnie przyciskał guziki na panelu i przegrywał grę za grą aż do późnej nocy. W końcu po prostu zostawiłem mu zabawkę z zapasem baterii na parę lat. A teraz naprawdę poczułem to samo, co tamten starzec, to samo, co zapewne odczuwali też ludzie podczas pierwszego lądowania na Księżycu, owo rozdzierające niemal do DNA zdumienie i podziw. Skurwysyn, pomyślałem o Taro. Skurwiel do kwadratu.

Marena odwróciła się i ruszyła przez podwórko, obok przybudówki i między gigantyczne koparki i ładowarki oraz betoniarki z dopasowanymi do pozostałych maszyn apotropaicznymi szlaczkami. Poszedłem za nią.

-A Tony Sic tam poleci - dodałem.

-Gdzie?

-Wstecz.

-Wstecz, czyli w dawne czasy?

-Właśnie.

-To niezupełnie...

-Po prostu pożyczcie mi ten wehikuł na chwilę - przerwałem jej z mocą. - Oddam, zanim odejdę.

Pierdolony Sic, pomyślałem przy tym. Ten śmierzący skurwiel. On się tam cofnie i zobaczy wszystko. Dowie się, jak to jest. A ja nie. KURWA! Podobno seks, chciwość i strach to największe motywatory ludzkości, ale mnie się wydaje, że najsilniejsza jest zazdrość. Żadne inne uczucie nie jest równie potężne.

- Mówię poważnie - zwróciłem się do Mareny. - Mogę to zrobić

lepiej niż Sic. Pokonałem go w grze na trzy kamienie, wiem o niebo

więcej, on się uczy dopiero tego, co ja wiedziałem, gdy miałem pięć lat.

Hałas przelatującego helikoptera przerwał mi brutalnie. Maszyna skierowała się na zachód, by patrolować granicę.

-Jed... - Marena usiadła na murku z niedawno zestalonego betonu, założyła nogę na nogę i z gracją Marleny Dietrich zapaliła camela. A ja stałem i ze wszystkich sił próbowałem się powstrzymać od nerwowego spacerowania w kółko - laziłem jak zakrecony, gdy byłem zdenerwowany. Muszę wziąć się w garść, powtarzałem sobie w duchu. Pokazać, że mam choć kroplę zimnej krwi. Marena wie, że tego chcesz, ale nie musi wiedzieć, jak bardzo.

-Jed - powtórzyła. - To nie ja prowadzę ten projekt. To, co robi Tony, już dawno ruszyło...

-Ale to ja mogę nauczyć się WSZYSTKIEGO o Grze - przerwałem jej. Przyłapałem się, że zaczynam machać rękami, więc czym prędzej wsunąłem je w kieszenie. - Nieważne, jak bardzo okaże się to skomplikowane lub trudne. Nauczę się WSZYSTKIEGO.

-Nie wiesz, co zaangażowano... Nawet ja nie wiem, co zaangażowano w ten eksperyment. - Zaciągnęła się mocno papierosem, po czym wydmuchnęła dym. - Zresztą teraz mam kłopoty.

-Nie obchodzi mnie, co zaangażowano - prychnąłem. ZAANGAŻOWANIE, jasne. - Mam milion razy większą motywację, by zrobić to dobrze. Mam więcej motywacji niż... niż... No, nie wiem, niż cały Instytut Lee Strasberga.

-Wiem, że to prawda, ale...

-Najprawdziwsza prawda.

W istocie oddałbym prawe jądro za taką podróż. I prawe ramię, prawe oko, prawą nogę oraz lewą półkulę mózgu. Wszystko, co było niedominujące...

- Ale teraz, gdy się przed tobą wygadałam, będę musiała popęłnić seppuku. - Marena rzuciła papierosa na trawę i wgniotła go w ziemię stopą obutą w zielony, krokodylowaty kapeć. Wymowny, stary gest, który wykonała z niewątpliwą wprawą.

-Pomoże, jak będę błagał? Błagam cię. To muszę być ja. - I tyle, jeśli chodzi o zimną krew.

-Zobaczymy, jak będzie to wyglądało za parę godzin, gdy emocje trochę opadną - zaproponowała Marena. Potarła policzki, jakby próbowała wywołać na nich rumieńce. - Wiesz, niełatwo jest skłonić ludzi, by zmienili wszystkie...

-Błagam - przerwałem jej niecierpliwie. - To muszę być ja.

W 9 śmierciogłów, 19 Biel, 11.14.18.12.6 lub w piątek, 8 listopada 1518 roku, samozwańcza Armia Nowej Hiszpanii wmaszerowała sze-roką groblą do Tenochtitlan, stolicy Azteków, ówczesnie czwartego co do wielkości miasta świata, przeciętego siecią kanałów niczym czysta, elegancka Wenecja na środku jeziora zajmującego sześćdziesiąt mil kwadratowych centralnego Meksyku. Najlepsza relacja naocznego świadka, Bernala Diaza, jednego z adiutantów Corteza, stwierdza, że lśniące pastelowymi barwami pałace i piramidy wznoszące się nad lustrzaną taflą wody wyglądały jak czarodziejski zamek z opowieści o Amadisie i niektórzy z żołnierzy pytali nawet, czy to nie sen.

„Opowieść o Amadisie z Walii” była rozwinięciem pobocznego wątku z legend arturiańskich. Napisana w 1508 roku przez miernotę o nazwisku Garcia Ordenez de Montalvo okazała się bardzo popularnym i chętnie czytany romansem, ówczesnym odpowiednikiem twórczości Toma Clancy'ego, dopóki Cervantes nie ośmieszył *chansons de geste* w ogóle, a „Amadisa” w szczególności. Jednak samo to, że ten najemnik od Corteza na widok Tenochtitlan pomyślał właśnie o Amadisie, a zaraz potem wziął udział w jednym z największych przypadków ludobójstwa w historii świata, przekracza granice wszelkiej przyzwoitości.

Najgorsze jednak, prawdziwe *chingo*, że „Opowieść o Amadisie z Walii” jest faktycznie wspaniałą powieścią. Konkwista, a przynajmniej jej początkowy okres, stanowiła sama w sobie awanturniczą

epopeję na miarę ówczesnych opowieści rycerskich. Hiszpanie przecież naprawdę podróżowali do niesamowitych miejsc, przybyli do wspaniałego i dzikiego imperium, spotkali egzotycznych ludzi, torturowali ich, odnosili triumfy wbrew przeszkodom i niesprzyjającym okolicznościom i zdobyli wielkie bogactwa. Udało się im przeżyć na jawie własny sen. W tym właśnie problem. Ludziom zdarza się urzeczywistniać swoje halucynacje i należy się strzec, kiedy ulegają pasji i, jak to powiedziała Irene Cara, pozwalają jej się ziszczyć. Jednak w chwili, gdy zrozumiałem - bardzo mgliście, jak się miało okazać - nad czym pracują Taro i Boyle, nie zastanawiałem się nad podobnymi kwestiami. Przeniosłem się do krainy Amadisa, do Sennego Wymiaru Nieskończonych Możliwości, gdzie galaktyki zmieniają polaryzację, Lolita szepcze w ucho kuszące propozycje, a Moby Dick wynurza się spośród fal.

Marena nie powiedziała mi dokładnie, co planują zrobić. Ale domyśliłem się, że nie zanosi się na podróż w czasie jak z konwencjonalnych filmów science fiction, ponieważ wiedziałem na pewno, że to niemożliwe. Z pomruków i tego, jak Marena się jeżyła przy niektórych pytaniach, zrozumiałem, że może to będzie jakiś proces sterowanego podglądania, biernego, a zatem i niezbyt ryzykownego. Chyba już wyobrażałem sobie, jak siedzę wygodnie w laboratorium Taro i cieszę zmysły podłączone do jakiegoś urządzenia VR doznaniem swojego odpowiednika z czasów starożytnych Majów oraz przez oczy tegoż osobnika obserwuję, jak dwóch Strażników Dnia rozgrywa pełną, dziewięciokamieniową Grę Ofiarną. Bez problemu.

Marena stwierdziła, że na pomysł, bym próbował zająć miejsce Sica w projekcie Twix (najwyraźniej wszystkie specjalne i tajne przedsięwzięcia Warrena nosiły kryptonimy od nazw płatków lub batoników czy innych przekąsek), wpadła już wcześniej. Nawet podobno wspomniała, że mógłbym zostać dublerem Tony'ego. Ale ludzie od czasoprzestrzeni Kerra stwierdzili, że Sic ma nade mną przewagę. Niby jaką? - zapytałem. Choćby równowagę psychiczną, stwierdziła spokojnie Marena. Poza tym Sic podobno już przeszedł parę trudnych testów. Jednak nie podała mi więcej szczegółów.

Obiecała natomiast, że porozmawia o tym z Taro, i kazała mi albo wracać do pracy, albo wziąć parę vicodinów, by się uspokoić. Rozmawialiśmy potem jeszcze o dwudziestej czterdzięci przez telefon. Marena przyznała, że jest umówiona na kolację z Lindsayem w jego kwaterze, i zapewniła, że szepnie o mnie dobre słówko. Podziękowałem. Wziąłem vicodin. O jedenastej zadzwonił Taro. Powiedział, że Marena powtórzyła mu moją prośbę i postanowił to przemyśleć. Marena też. Zastrzegł też, że nie może mi powiedzieć nic o projekcie. Obiecał, że porozmawia o mnie z innymi.

Nie spałem całą długą noc. Wróciłem do pracowni o siódmej rano. Sica nie było. Chciałem go wyzwać do Gry, ale jeden z asystentów powiedział, że oni - a może nawet Oni - nie życzą sobie nawet, żebym rozmawiał z Sikiem. Może się bali, że go zabiją. Udało mi się jakoś zabrać do pracy, ale oczywiście nie potrafiłem się skupić.

Następnego dnia, trzydziestego pierwszego, Marena oznajmiła, że zostaną dopuszczony do testów, by sprawdzić, czy można mnie włączyć do puli kandydatów. Tego wieczoru mormoni z Palika w sile już prawie dwudziestu tysięcy zebrali się na największym stadionie, by oglądać jak obecny prorok wygłasza ogniste kazanie na sześciu wielkich ekranach wideo. Potem nastąpiły śpiewy wraz z tłumnym pokazem pod tabernakulum. Naprawdę chciałem tam pójść, ale nie mogłem się na to zdobyć. Zostałem w pokoju i sprawdziłem, co w domu. W Indiantown nie działa się dobrze. Ponad połowa ludzi, których znałem, nie została jeszcze odnaleziona. Zamiast zakwaterować ocalonych w innych miastach, co po huraganie Katrina spowodowało spore problemy, Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego wybudowała przy Camp Blanding obóz dla uchodźców, który teraz zasiedlało ponad milion mieszkańców.

Na blogach BitterOldExGreenBeretCracker pisał, że za atakiem na Disney World stał Naród Islamu, ponieważ to była środa, a przepowiedziano, że właśnie wtedy odbędzie drugie przyjście szalonego naukowca Yakuba, który - jak się domyśliłem - miał być kimś w rodzaju Antychrysta. Hell Rot twierdził, że drobiny polonu zostały rozprowadzone za pomocą jakiegoś systemu do rozpraszania smogu



i dymu, zbyt skomplikowanego, by niezależny haker/terrorysta/ktokolwiek mógł go kupić lub skonstruować, zatem za atakiem musiał stać bogaty rząd, najprawdopodobniej nasz. W pewien sposób on może mieć rację, pomyślałem. Problem z konspiracją nie polega na tym, że spiski nie istnieją. W rzeczy samej jest ich całkiem sporo. Jednak na każdy prawdziwy spisek dotyczący sytuacji X przypada kilka tysięcy fałszywych teorii, niektórych rozpowszechnianych nawet przez konspiratorów. Mnóstwo również jest półprawd maskujących rzeczywiste kwestie tak, że nawet dziesiątki lat później nie ma sposobu, by dociec, jak było naprawdę. Ale może nie tym razem...

W chwilę po rozpoczęciu testów zacząłem się zastanawiać, czy to coś, w czym mógłbym wypaść lepiej od innych kandydatów, gdybym ciężko pracował. Ale okazało się, że to całkowicie poza moim wpływem. To znaczy testy dotyczyły tego, jaki jestem. Najpierw przeprowadzono sześciogodzinne badanie zdrowia i test kardiowyśilkowy. Okazało się, że poza warunkami zagrożenia życia jestem w ponadprzeciętnej formie. Nie dlatego, że chciałem trenować lub lubiłem ćwiczenia fizyczne, ale kiedy się jest hemofilitykiem, to albo utrzymuje się formę, albo się nie żyje. Potem nadeszło czternaście godzin testów umysłowych, w tym sprawdzanie pamięci (łatwizna), zagadki logiczne i puzzle (prawie tak samo łatwe), egzamin ze znajomości języka (żadna trudność), emocjonalność (tu jak zwykle zapewne nie zdałem) i zdolności interpersonalne, jak określanie, czy ktoś na filmie kłamie, czy nie (absolutnie poza moim zasięgiem poznawczym). Przeszedłem też badanie empatii, jakbym był co najmniej Alekssem DeLarge z „Mechanicznej pomarańczy”: podłączono mnie do czujników i pokazywano filmy z chorymi dziećmi i poranionymi psami. Potem zrobiono test osobowości, włącznie z dokładnym badaniem na wariografie. Na ile mogłem się zorientować, chodziło o to, by sprawdzić, jak bardzo jestem gotów się zaangażować i co mną kieruje. Bóg jeden wie jakie wyszły wyniki. Nie miałem pojęcia, na ile mogę zdradzić moją prawdziwą motywację. To znaczy poza pragnieniem, by zostać bohaterem. Nie żeby nadchodząca zagłada mnie nie obchodziła, bynajmniej. Każdego obchodziła. Ale moje osobiste motywy

były inne. I nie dotyczyły Mareny. To znaczy oczywiście uważałem, że Marena jest niezłą laską, i naturalnie odruchowo chciałem w jej oczach uchodzić za bohatera. Normalna sprawa. Cóż, taka kobieta na pewno spotykałaby się tylko z kimś lepszym, więc to był mój sposób, by dołączyć do grona takich właśnie mężczyzn - nie bogaczy, lecz prawdziwych bohaterów, superherosów, takich, że nieważne, co głupiego czy wrednego zrobią potem, nie będzie to miało znaczenia. Ale nie to mną kierowało, absolutnie nie to.

Prawda jest taka, że miałem ukryte motywy. I miałem je praktycznie od urodzenia. Znane są przypadki bliźniąt, z których jedno umiera jeszcze w okresie ciąży lub jest wchłonięte podczas rozwoju drugiego płodu, a kiedy to drugie dziecko dorośnie, nawet jeżeli nie wie o bliźniaku, zawsze ma wrażenie, że kogoś mu brak. Mnie nie dotyczyła ta tęsknota, ale nieustannie miałem poczucie, że czegoś szukam, czegoś, co utraciłem. Trzy czwarte moich snów było o tym, że biegam w tę i z powrotem i czegoś szukam. Albo raczej jakiegoś miejsca. I to niemałego. Miejsca, które powinno znajdować się tuż za rogiem, ale nigdy go tam nie ma. A teraz, kiedy nareszcie udało mi się usnąć dręczące mnie demony, rzeczywistość przywaliła mi po twarzy tym moim leniwym, durnowatym życiem. Chciałem, by świat się zmienił. Chciałem moją pobitą, zgwałconą, okaleczoną, skażoną i porzuconą na poniewierkę kulturę z powrotem. I, do diabła, chciałem ją teraz. Banalne, lecz prawdziwe. Wystarczy wyobrazić sobie dziecko odesłane z jakiegoś umierającego miejsca, jak Atlantyda, getto warszawskie, Krypton, Bośnia lub Gwatemala, któremu przed odejściem rodzice dają jako rodzaj **γυφισμάτων** - to jest daru z okazji narodzin - parę części ze starej, drewnianej układanki. Kawalki są stare, wygładzone na krawędziach, ale kolory stanowiące część tajemniczego obrazu nadal pozostają mocne i jaskrawe. I owo dziecko nosi te kawałki przez całe życie ze sobą, ale przyglądając się im, może jedynie zgadywać, jakiego obrazu są częścią. Lecz oto nagle dowiaduje się, że ktoś ma ten obraz, a przynajmniej jego fragment. Co zrobiłoby w takiej sytuacji? Co każdy z nas zrobiłby? Co zrobiłby Jezus? Ktokolwiek?

Wiedziałem, co ja zamierzam zrobić. Zamierzałem sprawić, by wybrano mnie zamiast Sica, zamierzałem przejść przez czasoprze-  
strzeń Kerra. I zamierzałem poradzić sobie ze wszystkim, co zastanę  
po drugiej stronie. A potem zamierzałem przywrócić moją przeklętą  
cywilizację, teraz ściśniętą do mglistego wspomnienia w tysiąc  
pięćset trzydziestu czterech centymetrach sześciennych gąbki - czyli  
w moim mózgu.

W środę, czwartego, zadzwoniła Marena i powiedziała, żebym był gotów w piątek wcześniej rano na spotkanie z wielkim człowiekiem. Otatnia przeszkoda, jak się domyślałem. Można by pomyśleć, że bardziej opłaciliby się, gdyby ten facet skreślił mnie przed całą tą szopką z męczącymi i drogimi badaniami, ale Lindsay Warren należał do tych ludzi, którzy uznaliby za stratę czasu pochylenie się i podniesienie z ziemi tysiąca dolarów. Przebadanie mnie najpierw było pewnie standardową procedurą, tak samo, jak ongiś codzienne przygotowywanie kolacji dla Ludwika xiv w każdej z jego myśliwskich posiadłości na wypadek, gdyby król raczył zajrzeć.

Marena przyznała, że jak na razie plan się nie zmienił i to Sic miał się przenieść w czasie. Równowaga psychiczna i zdolności interpersonalne zawsze wygrywały z błyskotliwością. Jednak przynajmniej trzech ludzi głosowało na mnie, przeciwko Sicowi. Lindsay, ktoś o przezwisku lub nazwisku Snow oraz niejaki Ezra Hatch. To na pewno wpłynęło na ogólny rezultat. Nie wiem, jak głosował Boyle lub Michael Weiner. Albo Marena, jeżeli już o tym mowa. Ale Marena chyba mnie lubi, pomyślałem. A Taro... Cóż, Taro pewnie myśli... No dobra, Taro wie od dawna, że jestem trochę pokręcony. Ale pewnie zdążył do tego przywyknąć. Za to Boyle na pewno mnie nienawidzi. I Weiner-gównojad też mnie nienawidzi. Zatem dwa głosy za, dwa przeciw. Chociaż Lindsay prawdopodobnie tak naprawdę ma osiem głosów. Rzecz w tym jednak - i to mądrość do zapamiętania

dla młodych i starych - że rzadko się zdarza, by merytoryczne plusy przeważały szalę w danej sprawie. Nawet jeżeli chodzi o wybawcę, który pomoże w uniknięciu zagłady świata, zawsze najważniejsze jest, czy tego osobnika się lubi, czy jest przystojny i do jakich sekretnych stowarzyszeń należał oraz czy przypadkiem jego nazwisko nie kończy się na samogłoskę. Normalna sprawa.

Dwa dni spędziłem cały w nerwach. W piątek rano Laurence Boyle spotkał się ze mną i Mareną w niskiej, dość przestronnej Tymczasowej Pracowni Rozwoju i Badań numer cztery, mieszczącej się w bunkro-watych piwnicach stadionu. Chociaż była siódma sześć rano, Boyle miał na sobie najmodniejszy trzyczęściowy ciemny garnitur oraz koszulę ze stójką, przez co jego szyja wyglądała, jakby wystawała z ciasnej rury. Przecisnęliśmy się między kubikami - w każdym siedział już jakiś troglodyta zajęty swoją robotą. Kilku zrobiło sobie przerwę i grało w piłkarzyki na wolnej przestrzeni za kabinami. Wszyscy spoglądali na Marenę, jakby była królową Amidalą.

-Takie sale są na jeszcze dwóch poziomach? - ni to stwierdził, ni zapytał Boyle. -I we wszystkich prowadzi się badania nad systemem namierzania celów z powietrza?

-Po to właśnie robi się bezzałogowe aparaty latające - mruknęła Marena. Sprawiała wrażenie całkowicie niezainteresowanej.

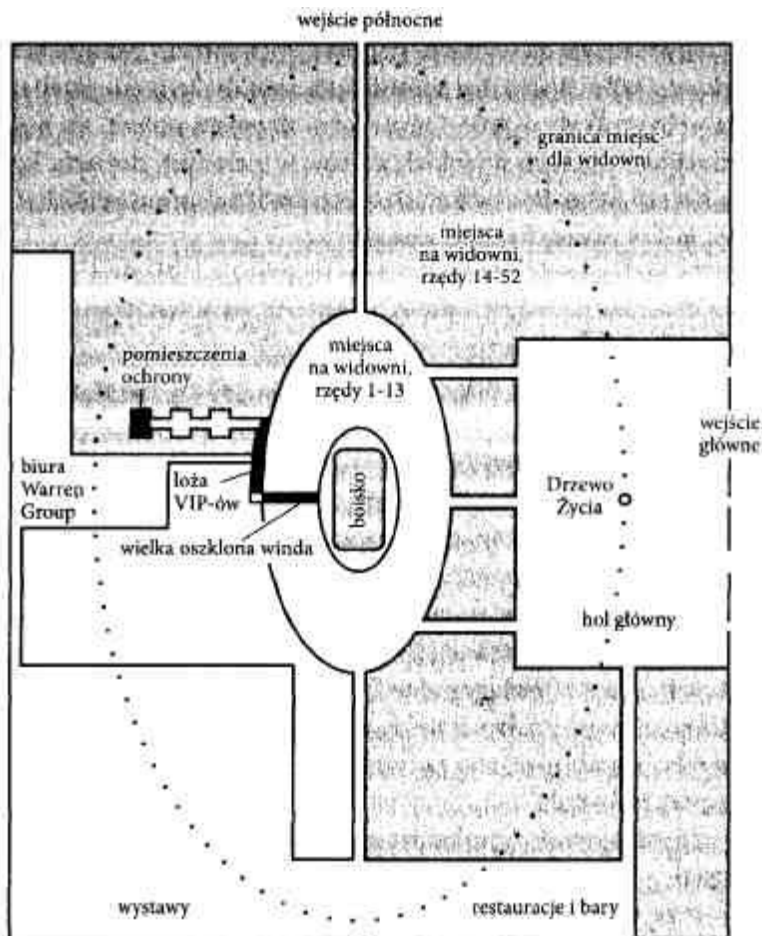
-No tak. - Boyle wprowadził nas do dużej oszklonej windy z umundurowanym ochroniarzem w środku. - Znajdujemy się dokładnie pod zachodnią krawędzią wielofunkcyjnego boiska - poinformował mnie Boyle. Z grzeczności podziękowałem skinieniem głowy i zerknąłem w wyświetlacz komórki na mapę pokazującą aktualną pozycję.

-Dzień dobry - zaświergotała Julie Andrews. Jak głupek zacząłem się rozglądać. - Proszę chwycić się poręczy bezpieczeństwa, kiedy winda ruszy.

Uświadomiłem sobie, że to winda - ale głos był tak realny i pozbawiony sztuczności, że dałem się nabrać.

- Proszę pana - Marena zwróciła się do ochroniarza i windziarza w jednym. - Czy można wyłączyć komunikaty? Dziękuję.

## STADION OLIMPIJSKI HYPERBOWL W BELIZE



Jej głos brzmiał oschle i pusto. Przy śniadaniu, a raczej między pośpieszonymi łykami espresso, powiedziała mi, że dostała wiadomość o śmierci przyjaciela, Yu Shiha, którego dosięgnął pożar w Vero Beach.

Winda ruszyła. Na początku otaczała nas ciemność, a potem nagle oblało jasne światło, gdy wynurzyliśmy się spod ziemi w gigantyczną

muszę stadionu. Choć niechętnie to przyznaję, byłem pod wrażeniem.

-Zbliżamy się do widowni stadionu Hyperbowl - oznajmiła winda głosem Julie. Widok był zdumiewający, jakby to rzędy foteli przybliżały się i znikaly w dole. Odruchowo złapałem poręcz. Na boisku dostrzegłem czterech wysokich atletów w zielonych dresach, kopiących lśniącą piłkę. Pochyliłem się nieco i mój nos prawie dotknął szyby, na której została mglista smuga.

-To Mohammed Mazandar, tam po prawej - odezwał się ochroniarz. Dopiero po chwili zorientowałem się, że mówi do mnie.

-Kto? - zdziwiłem się.

-Rozgrywający - odparł goryl tonem, jakim znużony rodzic zwraca się do dwulatka. Na mojej twarzy nadal jednak malowało się niezrozumienie. - Koszykarz.

-Ach, super - odpowiedziałem. *Chinga tu madre*, pomyślałem. Skąd to założenie, że wszyscy z chromosomem Y są choćby odrobinę zainteresowani sportem? Czy gdybym zaczął na ulicy kogoś obcego i rzucił: „Hej, kumplu, dasz wiarę, że Natalia Żukowa wygrała wczoraj sparing? W siedemnastym ruchu G na F5, pion bije F5, w osiemnastym wieża z H na Gi? Niewiarygodne!", nie dostałbym w mordę?

Choć może czułbym się inaczej, gdyby mnie choć trochę lubiano w szkole, a nie uważano za czerwonoskórego kujona i traktowano jak worek bokserski.

-Znajdujemy się teraz na wysokości pierwszego rzędu miejsc na widowni - zaświergotała Mary Poppins.

-Przepraszam, próbuję to wyłączyć. - Goryl gorączkowo klikał w ekran sterowniczy. Wydało mi się, że błysnęła tam funkcja „samooczyszczanie”.

-Po zakończeniu przebudowy na Hyperbowl będzie mogło zasiadać ponad sto osiemdziesiąt pięć tysięcy fanów, co oznacza, że stadion ten będzie trzecim co do wielkości na świecie.

To ci postęp, pomyślałem. Pewnie kiedy stadion będzie gotowy, goście sami tu przyjdą. O ile nie okaże się, że pod koniec 2012 zaleje go morze i wszystko zmieni się w „Wodny świat”.

-Pamiętasz, że masz nie przeklinać w obecności Starszego Lind-saya, prawda? - upewniła się Marena.

-Oczywiście - odpowiedziałem. I potraktowałem tę uwagę bar-dzo poważnie, skoro wyszła z ust osoby, która umiała kląć jak szewc. -Wiesz, że wychowałem się wśród takich ludzi? To znaczy mormonów.

-Starszy jest trochę zakręcony religijnie - wyjaśniła Marena.

-Pewnie dlatego, że jako archidiakon musi świecić przykładem, by nawrócić jak najwięcej osób.

No, pięknie. Ogarnęło mnie przecucie, że to spotkanie będzie ważniejsze, niż Marena mi powiedziała.

-Jesteśmy na poziomie czternastym - oznajmił generowany sztucznie melodyjny głos windy. Zaraz potem znaleźliśmy się na poziomie trzynastym, czyli inaczej mówiąc - na poziomie pierwszym wariatkowa.

-Witamy w łoży dla gości specjalnych.

Winda wyhamowała łagodnie i wyszliśmy na platformę. Potem nastąpiła pauza. Długa pauza. Wreszcie zabrzmiał płaski syntetycz-ny ton A i północna ściana łoży rozsunęła się z niskim i zapewne zu-pełnie niepotrzebnym sykiem.

Reszta budowli w kształcie pierścienia nadal była w ostatniej fa-zie konstrukcji, ale to pomieszczenie mogło już znaleźć się na okład-ce czasopism o wystroju wnętrz. Wykończone rudym i jasnobrązo-wym drewnem, przypominało wnętrze łoży prasowej na eleganckim torze wyścigowym z lat trzydziestych dwudziestego wieku. Po lewej, za szklaną taflą bez skazy, rozciągało się wnętrze stadionu, boisko i niekończące się rzędy zielonych krzeseł na widowni - wydało mi się, że widownia to zielony, ogromny wir, który zaraz mnie wciągnie, pożre i wypluje resztki na nieskazitelną murawę. Pod panoramicznym oknem na pochylonym panelu ciągnął się przez całą szerokość szereg monitorów dotykowych pokazujących kursy akcji, giełdę to-warową, mecz futbolu, obrazy z kamer monitoringu wnętrz, widoki budowy, wiadomości ogólnokrajowe, wybory Miss Universum, re-portaż z zamieszek w Indiach - rozpoczętych atakiem, który rozpra-



cowywałem w laboratorium Taro, a teraz zmieniających cały region w chaos. Jeden z monitorów miał włączony głos i świergotliwy głos Anne-Marie płynął przez łóżę:

- Orlando po katastrofie. Miasto próbuje wrócić do normalności.

Łoża była pusta. Jakbym znalazł się w Limbo i czekał na sąd. Marena odplynęła w najdalszy koniec pomieszczenia. Ruszyłem za nią. Windziarz pozostał przy wejściu. Za jego plecami drzwi windy zaczęły zaszuwać się powoli, zatrzymały, po czym zamknęły całkowicie z cmoknięciem zasysanego powietrza.

Oderwałem wzrok od okna i skupiłem na półkach.

Łał, pomyślałem. Lindsay Warren w mojej wyobraźni jawił się jako czarny charakter z filmów o Bondzie. Rzecz jednak w tym, że Bondowscy źli - przynajmniej w filmach, nad którymi pracował Ken Adams - mieli nieskazitelny gust. U doktora No wisiał Goya, w foyer Scaramangi żółtawa jadelitowa maska z Teotihuacan... Ale ozdoby w biurze Lindsaya były tak tandetne, że zawstydziłyby nawet drobnomieszczanina. Większość stanowiły pamiątki sportowe, piłki, dresy i koszulki, kije i czapki. Dostrzegłem parę starych rękawic podpisanych przez Jacka Dempseya oraz oprawioną fotografię ze sławnym bokserem. Tabliczka na ścianie informowała, że drewno w pomieszczeniu pochodzi z wraków wyłowionych z Zatoki Honduraskiej, natomiast płytki na podłodze głosiła, że różowy marmur został odzyskany z ruin wtc po zamachu jedenastego września. W północnym narożniku łóży znajdowało się chyba biurko Lindsaya Warrena, chociaż na pewno nie to najważniejsze - za mało nowoczesne i chyba rzadko używane do pracy, bo znajdowały się tutaj jedynie notki z przypomnieniami. Stał tu też model horneta F-17, stare szkło powiększające z kompasem, połączenie złota i plastiku z marką Nabisco oraz niska szklana niramidka z wygrawerowanym napisem ~~Dr. John T. ...~~ i zatopioną wewnątrz prawdziwą pszczołą. Obok stała szklana gablotka z piłką baseballową oraz podpisem ~~Martin ...~~ pogrubioną czcionką Bradley Hand. Pamiątka musiała być warta co najmniej trzy miliony dolarów. Za

cenę tej piłki można by leczyć trzydzieści tysięcy dzieci chorych na AIDS. Na ścianie pyszniły się nagrody za dobroczynność i honorowe tytuły oraz oprawione w ramki artykuły z „Financial Times”. Jeden zawierał rodzinne zdjęcie - wielki szczęśliwy klan zdrowych, typowo amerykańskich osobników szczerzących nienaganne zęby na tle fasady, którą rozpoznałem. „Wdzięczny Dział Badań Chorób Układu Nerwowego z Utah” - głosił nagłówek. Pochyliłem się, by przeczytać tekst pod fotografią:

Lindsay Warren, biznesmen z Salt Lake City i syn asa przestwo-  
rzy wojny koreańskiej, Efraima Sticka Warrena, oferował półto-  
ra miliarda dolarów na badania alzheimera oraz innych chorób  
układu nerwowego. Widać go na zdjęciu z rodziną - po prawej,  
trzymającego troje ze swoich osiemnastu wnuków, obok żony  
Miriam. Fotografię wykonano przed szpitalem w Salt Lake City,  
który nosi jego imię.

Obok wisiały również inne zdjęcia Lindsaya Warrena - z Geraldem  
Fordem, Michaeliem Jordanem, Bushem seniorem, Bushem juniorem,  
Tigerem Woodsem, rodziną Osmondów, Gladys Knight, Jamesem  
Woolseyem oraz z Bono. Było też kilka fotek z młodym Lindsayem  
stojącym w towarzystwie Johna Wayne'a, Vicki Carr i Ronalda Re-  
agana na tle wielkiej przyczepy. Można się było niemal spodziewać,  
że są tu także fotografie Warrena z J. Edgarem Hooverem, Jezusem  
Chrystusem oraz braćmi Marx. Poniżej wisiała gablota z ekspozycją  
broni patriotów: coltem Peacemaker, M1911 i podobnymi. Tylko jeden  
pistolet znajdował się poza gablotą, w osobnej skrzynce wyłożonej  
granatowym aksamitem - Beeman/FWB C8822-CO, broń pneuma-  
tyczna ze złotym medalem olimpijskim wkomponowanym w rękojeść  
oraz wypaloną inskrypcją: „Z wyrazami szacunku od Jego Ekscelen-  
cji Juana Antonio Samarancha, 21.02.2002”. Popatrzyłem w przeciwny  
kąt pomieszczenia i jak się domyśliłem, wisiała tam na ścianie meta-  
lowo-plastikowa tarcza strzelnicza z dziurami po pociskach kalibru  
0,177 milimetra otaczającymi środek. Kowboje. Pozerzy. Kogo teraz

interesuje celność? W dzisiejszych czasach nawet kapiszonowce mają zamontowane celowniki optyczne.

-Wszyscy czekają w sali wideokonferencyjnej - zabrzmiał kobiecy głos. Dopiero wtedy ją zauważyłem. Na początku sądziłem, że to hostessa lub sekretarka, ale okazało się, że to Ashley. Poprowadziła Marenę, Boyle'a i mnie przez drzwi za biurkiem, które wiodły do wyłożonego boazerią korytarza. Opuściliśmy wewnętrzną krawędź Hy-perpączka z dziurką, by zanurzyć się w ukryte w jego głębi pomieszczenia. Za kolejnymi, otwartymi tym razem drzwiami znajdowała się jasno oświetlona sala bez okien, za to z białymi aksamitnymi zasłonami. Na podłodze i przy ścianach walały się strzępy plastikowych i foliowych opakowań. Ashley zaprowadziła nas do drzwi na końcu niewykończonego holu.

-Wybaczcie ten bałagan - mruknął Laurence. - Kiedy się tu posprząta i wprowadzi obsługę, będzie to naprawdę wyjątkowe miejsce.

Powiódł nas do następnego pomieszczenia - większego niż poprzednie. Tutaj na ścianach zobaczyliśmy kiczowate freski przedstawiające życie w plejstocenie, z owocującymi roślinami, szczerbakiem *Megatherium americanum*, glyptodonem, fororakiem oraz kilkoma grupami przyczajonych wczesnych hominidów, obowiązkowo rasy kaukaskiej. Wisiała tutaj również postarzona mapa zachodniej półkuli ze złotą linią pokazującą, jak się domyślałem, wędrówkę Jeredów po zburzeniu wieży Babel od Zatoki Chesapeake w głąb Ameryki Środkowej, gdzie według Księgi Mormona dali początek Indianom.

Minęliśmy i tę salę, by przejść przez kolejne drzwi. Za nimi znajdowała się trzecia sala konferencyjna.

Tym razem mniejsza od poprzednich, najwyżej tysiąc stóp kwadratowych. Wzbudziła we mnie dziwny niepokój. Och, tak. Jasne. Ściany, sufit, podłoga, kwadratowy stół konferencyjny a nawet większość foteli Aeron - wydawały się półprzezroczyste, jakby wykonane z przydymionego szkła. Szybko domyśliłem się, że to nowoczesna instalacja wideo - jeżeli się puści specjalnie obrobiony obraz na gigantyczny, nieskazitelny ekran plazmowy, na który składały się ścia-

ny, podłoga i sufit, powierzchnie mebli dostroją się do niego i praktycznie znikną. Oglądając cokolwiek w takich warunkach, można się zapewne poczuć, jakby się naprawdę zanurzyło w wyświetlany obraz bez pomocy gogli czy innych urządzeń peryferyjnych. Można oglądać zachód słońca nad pustynią lub podwodną lodową jaskinię, albo ulubiony odcinek „Jeziora marzeń” czy cokolwiek. W tej chwili jednak na większości ekranów wyświetlał się chyba wygaszacz, mgliste pasma biało-szarego dymu na ciemnozielonym tle, i tylko na frontowej ścianie otwartych zostało kilka okien programu do odtwarzania plików filmowych. Na najmniejszym leciały wiadomości o zamieszkach na subkontynencie, na większym obracał się model buta wyglądającego na specjalistyczne obuwie do sportów wyczynowych, z płaską podeszwą i niską kostką. Na największym, które przypominało prawdziwe okno, rozciągał się trójwymiarowy leśny pejzaż. Dwa jaśniejące anioły polatywały między drzewami po prawej i po lewej, a pośrodku, tyłem do obserwatorów, klęczał mężczyzna w czerni-prorok Joseph Smith.

Przy stole siedziało czterech mężczyzn rasy kaukaskiej w średnim wieku, bez zainteresowania rzucając okiem na przekąski i owoce. Stały tu również dzbanki z ziołową herbatą i kubki, czekoladowe ciasto, również nietknięte, z jedną wypaloną świeczką na środku. Jeden mężczyzna był łysy, drugi siwy, trzeci miał zakola i niezbyt dokładnie wygoloną kozią bródkę, a czwarty i najmłodszy z grupy nosił króciutkiego jeża.

-...największą zaletą butorolek jest to, że nie potrzeba lodu, by się ślizgać - tłumaczył dobrodusznie. - Można się na nich poruszać na dowolnej w miarę gładkiej powierzchni. Ten model jest lżejszy i łatwiej w nim wyhamować. Co znaczy, że nie tylko można się w nich niezle rozpędzić, ale też bezpiecznie zatrzymać się bez obawy rozbicia sobie głowy lub kolan.

-A dzieci? Dobrze je przyjęły? - zapytał łysielec.

-O, tak - zapewnił jeź. - Mam wrażenie, że już zaczął się rodzaj pewien rodzaj nieoficjalnej dyscypliny sportowej. Jak wcześniej snowboard. Prawdziwy ojczysty sport wymagający umiejętności gry

zespołowej, jak i indywidualnych zdolności. Wyobrażam sobie tę grę trochę jak futbol z nastawieniem wszyscy za jednego, ale z dodatkiem komizmu typowego dla profesjonalnego wrestlingu.

-Ale to nie będzie taki teatrzyk jak wrestling?

-Nie, oczywiście, że nie. To prawdziwy, wymagający sport.

-Chwileczkę - przerwał jeżowi Łysielec. Wstał i powoli się obrócił się o trzydzieści stopni, by popatrzeć na mnie, Boyle'a i Marenę. Pozostali trzej mężczyźni również obrócili fotele i jak jeden mąż zaczęli wstawać.

-Proszę, nie wstawajcie - powstrzymała ich Marena, ale - rzecz jasna - nie posłuchali. Podeszła do stołu, uścisnęła dość serdecznie jeża, po czym w podobny sposób przywitała się z pozostałymi. Lau-rence zrobił to samo, poza obejmowaniem. A ja zdjąłem czapkę - nadal zapomniałem czasami, że powinienem to robić, gdy jestem w pomieszczeniach. Miałem na sobie marynarkę, którą nosiłem podczas ucieczki z Orlando, oczywiście wypraną w Paliku - w roślinne wzory - oraz staroświecki krawat od JC Penneya pożyczony przez Świętych mieszkających obok mnie w hotelu, więc uważałem, że wyglądam wystarczająco odświętnie i oficjalnie. Ale pewnie dla tych tutaj wyglądałem jak Frito Bandito z paczek chipsów.

Marena podprowadziła mnie do czterech znajomych i przedstawiła. Łysielec okazał się Starszym Snowem - był całkowicie pozbawiony włosów, nie miał nawet brwi i rzęs. Zastanawiałem się, czy paznokci też nie ma. Uścisnął mi dłoń wcale mocno jak na upiora. Następny, mniej więcej sześćdziesięcioletni, nazywał się Ezra Hatch. Miał siwe włosy sztywne od kosmetyków Tenex i jasny sportowy garnitur. A pod spodem pewnie kałesony z krzyżem. Chwycił moją dłoń, jakbyśmy byli co najmniej kumplami z akademika. Facet z kozią bródką nazywał się Orson Jakiśtam i nosił koszulę z logo Warren Group. Wszyscy byli wyjątkowo przyjaźni.

Zaraz... Chyba wypada sprecyzować opis sytuacji. Zwykle zapewne na ich wysokich stanowiskach mogli sobie pozwolić na jowialność i bezpośredniość - które w USA stanowią kompensację braku manier -ale teraz tę przyjacielskość manifestowano silniej pod wpływem oko-

liczności. Nie minął jeszcze okres niepewności po wielkiej katastrofie -gdy wszystkim wydaje się, że należy okazywać współczucie i smutek, choć się tego wcale nie odczuwa.

Okazało się, że mężczyzna ostrzyżony na jeża, który prowadził prezentację, był nie tylko pod względem wzrostu najwyższy z całej czwórki. Był to Lindsay Warren we własnej osobie. Zrobił trzy kroki w naszą stronę, kulejąc wyraźnie na skutek urazu - mógłbym się założyć - odniesionego podczas gry w piłkę nożną. W Utah futbol był praktycznie obowiązkowy dla biznesmenów w średnim wieku. Wystarczyło przejść się Temple Street w niedzielę i na pewno napotkało się przynajmniej trzech niezbyt starych, szpakowatych osobników truchtających na boisko na swojej drodze do zbawienia. Lindsay Warren nosił adidas z zielonym logo swojej korporacji oraz koszulę UNICEF-U z nadrukowanymi kolorowymi twarzami Dzieci ze Wszystkich Stron Świata. Do kompletu brakowało tylko, żeby przefarbował włosy na pomarańczowo i doprawił sobie czerwony nos klauna. Miał surową, przystojną twarz o anglosaskich rysach, idealną na billboardy, z siateczką zmarszczek wokół oczu niczym pasma na Delicate Arch w parku narodowym Utah. Czy skończył pięćdziesiątkę? Farbował już włosy? Zmierzył mnie spojrzeniem Starego Żeglarza i jak pozostali uściśnął mi dłoń. Skórę miał suchą, a chwyt silny - sparaliżował mi już i tak nadwyrężone nerwy śródreżca. Zawsze miałem problemy z witaniem się przez podanie ręki, a dzisiaj przekroczyłem swoją tolerowaną normę co najmniej czterokrotnie.

- Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać - powiedział Lindsay Warren.

## [IX]

Mnie również jest miło - odpowiedziałem. - Spędziłem trochę cza-su w jednym z pana szpitali.

Tak? W Salt Lake Central może? - uśmiechnął się Warren. Potwierdziłem skinieniem głowy. - Dobrze wiedzieć, pani Warren i ja jesteśmy dumni z tej placówki... Czuje się pan już lepiej, mam nadzieję?

-Tak mi powiedziano - zapewniłem.

-Hej? - wtrąciła Marena. - Z jakiej okazji ten tort?

-Mam urodziny - odparł Lindsay. - Skończyłem już pięćdziesiąt dwa lata.

-Łaskiś pełen - stwierdziłem.

-Co? - zdziwił się.

-Wtorkowe dziecko - wyjaśniłem. - To znaczy dziecko obdarzone łaską. Przepraszam...

-Och, nie! Masz rację. - Lindsay Warren uśmiechnął się szeroko.

- Rzeczywiście urodziłem się we wtorek.

-Powinieneś zobaczyć, co jeszcze Jed potrafi - dodała Marena.

-Jest jak Rain Man.

No, wielkie dzięki, pomyślałem.

-Ale bez tych wszystkich problemów - dodała z satysfakcją.

-Bardzo ciekawe - zgodził się Lindsay.

-Czy ktoś ma ochotę na tort? - odezwała się Ashley. Podziękowaliśmy zgodnym chórem.

-To może herbaty jaśminowej?

-Dziękuję. - Westchnąłem. - Wolałbym kawę.

-Przykro mi, nie ma kawy, ale... jest gorąca czekolada. Mogę zrobić aztecką lub zwykłą...

- Och, świetnie, chętnie napiję się czekolady, bardzo dziękuję.

Jezu, pomyślałem przy tym. Ci ludzie są ortodoksami, trzymają się kurczowo Księgi Mormona, a to znaczy, że w całym kompleksie pewnie nie ma nawet grama kofeiny.

-Zaraz przyniosę - zapewniła Ashley i znikła za drzwiami, którymi przyszliliśmy. Może to było jedyne wyjście.

-Przygotowano wielką fetę urodzinową - mówił Lindsay. - Ale po tym, co zdarzyło się w wielkim świecie... nie mieliśmy już ochoty świętować.

-O, tak - zgodziła się Marena. - Nic dziwnego. Ale i tak wszystkiego najlepszego.

-Dziękuję. - Warren spojrział znowu na mnie. - No dobrze. Jaki jest mój horoskop według Majów?

-W jakim dniu nadano panu imię? - zapytałem.

-W dniu, gdy się urodziłem.

-Zatem był to 2 Jaguar, 2 Rozrost. To dzień królewski, taki jak dla władcy. Tyle że to nie horoskop. Chociaż może pan zapytać o radę dotyczącą określonego dnia.

-Niewielka różnica. A jakiej rady mógłbyś udzielić mi na dziś?

-Mamy 3 Wenus, 16 Rozrost. Zatem dla pana jest to dobra pora, by zacząć jakieś przedsięwzięcie, na przykład wybrać się w podróż.

Nie wspomniałem, że dzisiejszą nocą włada Serce Gór i że to może oznaczać zdradę przez innego jaguara. To by brzmiało zbyt ponuro.

-Może będziemy mogli zacząć pewne przedsięwzięcie. - Lindsay uśmiechnęła się do swoich trzech towarzyszy, którzy już zdążyli wrócić na swoje miejsca. - Wystarczy mi drobna zachęta.

-Proszę. - Ashley wręczyła mi parujący kubek z pianistą słodyczą. Było na nim logo firmy Warrena i slogan korporacyjny: „Pracuje dla ciebie”. Podziękowałem.



-Przeglądałem raport Larry'ego o tej książce Majów - podjął Lindsay. - I to był naprawdę dobry raport. Ale nie zrozumiałem do końca, o co chodzi z datami, jakie zawiera ten Kodeks.

-Co dokładnie cię niepokoi? - zapytała Marena. Usiadła, a raczej przysiadła na podłokietniku fotela, stopami oparłszy się o siedzisko. Boyle przyzeglował również do stołu, ale nie usiadł. Hatch i Snów patrzyli, nic nie rozumiejąc. Ale Orson wydawał się zafascynowany.

-Choćby to, dlaczego Majowie wybrali właśnie takie daty, a nie inne? - zapytał Lindsay. - Na pewno było więcej dat oznaczających różne nieszczęśliwe zdarzenia. - Spojrzał wprost na mnie. - Dlaczego na przykład nie wybrali Katriny lub ataku na wtc?

Ten temat przewalkowaliśmy z Taro tysiące razy. Ale jak na nie-specjalistę Warren zadał dobre pytanie.

-Cóż... Majowie nie zapisali tych dat dla nas - wyjaśniłem. - Księga powstała zapewne na zlecenie Klanu Kota.

-Klanu Kota?

-To jak ród królewski.

-Ach, jasne.

-I prawdopodobnie członkowie klanu byli zainteresowani tylko tym, co stanie się z ich potomkami. Zamach na wtc lub huragan Ka-trina nie dotknął zbyt wielu Majów. To dlatego - z wyjątkiem incydentu w Orlando - wszystkie inne zdarzenia wspomniane w Kodeksie miały miejsce na obszarze zamieszkanym przez Majów.

-Logiczne - zgodził się Lindsay. Oparł nogę na stole. Choćby był przyjacielski, emanował aurą typową dla zamożnego i posiadającego władzę mężczyzny, który nie nawykł, by zadawano mu pytania lub wybierano temat rozmowy. I z całą pewnością nie zaprosił mnie, bym usiadł.

-Ale skoro tak, dlaczego uważacie, że ostatnia data, ta za rok, oznacza prawdziwy koniec dla wszystkich? Może oznacza ona tylko, że wówczas umrze ich ostatni potomek?

-Mądra myśl - rzucił pochlebco Boyle.

-Ma to mniej wspólnego z Kodeksem, a więcej z matematyką - stwierdziłem. - A poza tym, kiedy rozgrywam różne możliwe

sce-

nariusze wydarzeń w Grze, czuję, że z tą datą związane są naprawdę duże kłopoty.

-Więc myślisz, że świat zmierza do katastrofy.

-Na ile mogę powiedzieć, zacznam wierzyć, że jest to możliwe, albo raczej prawdopodobne. I oczywiście - jeżeli świat się skończy dla wszystkich, to również dla Majów.

-Ale nie jesteś pewny.

-Osobiście, owszem, jestem, ale nie umiem podać konkretnych argumentów, by to potwierdzić. To znaczy poza wynikami Gry.

-Więc może zbyt wiele się spodziewamy, może to tylko nasza nadinterpretacja, prawda? - zauważył Lindsay. - Może tak naprawdę nie ma problemu.

-Szczerze mówiąc, jestem przekonany, że problem istnieje - zaproponowałem. - Tydzień temu nie miałem tej pewności. Jednak podczas Gry nie mogę znaleźć obejścia tej daty. Trudno to wyjaśnić komuś, kto nie zna Gry. Żeby to zobaczyć, musiałby pan się nauczyć grać.

Szlag, ci ludzie nie są głupi, pomyślałem. W przeciwieństwie do przeciętnych Świętych, Warren potrafił okazać sceptycyzm. Większość mormonów uważa, że koniec czasów nadejdzie za pięć sekund. Cóż, może tym razem się nie mylą. Nawet ślepiej kurze od czasu do czasu trafi się przecież ziarno. I nic dziwnego, że mormoni zbudowali to miejsce na wzgórzach. Można sobie wyobrazić tysiące stóp kwadratowych bunkrów, jakie znajdują się pod stadionem. I pewnie są tu zapasy na pięćdziesiąt lat - zamrożone albo liofilizowane mięso oraz bezcukrowa oranżada w proszku. Wolę zginąć na miejscu, niż tu przetrwać.

-No dobrze. - Lindsay spojrział na mnie przenikliwie. - To powiedz mi, Jed, co się czuje podczas Gry.

-No... Na początku trzeba się ugruntować, to jak upozycjonowanie, umiejscowienie się na świecie. - Zacząłem odczuwać nie tylko obawę, lecz przede wszystkim rosnącą niepewność. Zawsze, gdy mówiłem o Grze, brzmiało to nieznośnie mistycznie i newage'owo. A nie wiedziałem, jak tego uniknąć. - A kiedy się zaczyna ruch, czeka się

na coś, co nazywamy oświeceniem z krwi, taki dreszcz lub łaskota-  
nie. Fizyczne doznanie.

-Gdzie?

-Gdziekolwiek na ciele, chociaż zwykle odczuwa się to blisko ko-  
ści... Niełatwo to opisać słowami. Ale kiedy się porusza po  
planszy zgodnie z tymi doznaniem, ma się wrażenie, że to  
podróż. Widzi się przed sobą wiele ścieżek. Albo, w przypadku  
ostatniej daty z Kodeksu, nie widzi się żadnej.

-No dobrze, pojmuję - stwierdził Lindsay. - Przejdźmy dalej.  
Przypuszczam, że ty i reszta zespołu chcecie znaleźć sposób, by  
grać -jak to nazywacie? - dziewięcioma kamieniami?

-Tak.

- Nie zamierzam nawet pytać, o co chodzi. Ale wyobraźmy sobie,  
że nauczycie się grać, ale okaże się, że to wcale nie pomoże. Co wte-  
dy, gdy okaże się, że owszem, świat czeka zagłada, ale nic nie moż-  
na zrobić?

Kolejne kluczowe pytanie, pomyślałem. Ciekawe, czy Sic też musiał  
na nie odpowiadać. A może na inne? Powiniennem pociągnąć Marenę  
za język, zanim mnie tu przyprowadziła. Głupiec ze mnie. Już udało  
mi się sklecić odpowiedź, kiedy Lindsay odpowiedział sobie sam:

-Wtedy nie będziemy musieli się już o nic martwić. - Parsknął.

-Nie będziemy mieli nic do stracenia.

-Niby tak... Ale osobiście nie wydaje mi się, że... to znaczy sposób,  
by uniknąć tego, co ma się zdarzyć, powinien zawierać się w tym,  
co ma się zdarzyć. - No, to zupełnie nie do pojęcia, skarciłem się  
w duchu. - Spróbuję ująć to inaczej. Należy przede wszystkim  
pamiętać, że Majowie nie uważali tego, co zapisali, za  
proroctwa. Uważali to raczej za raporty z wyprzedzeniem. I nie  
widzieli w tym nic nadnaturalnego.

-Rozumiem.

-Starożytni nie myśleli w kategoriach rozwoju. Tak naprawdę  
uważali historię za proces rozkładu. Dlatego w ich przekonaniu,  
żeby utrzymać świat przy życiu jak najdłużej, trzeba było wykonać  
określone czynności. Na przykład: u Majów nawet historyczne  
wydarzenie

jak wojna było świętym aktem, który należało przeprowadzić w określonym czasie i w określony sposób, a wcześniej się oczyścić i Bóg wie co jeszcze. I może to nie było wcale takie głupie, jak się wydaje. Może przez poświęcenie kogoś lub czegoś, choćby rozniecenie pożaru lasu czy coś podobnego, Majowie korygowali historię.

-Wcale zrozumiałe wyjaśnienie - zgodził się Lindsay. - Ale dla czego wszystko w tej książce jest o pożarach, morderstwach czy wojnach... no wiesz, w Kodeksie opisano tylko ZŁE wydarzenia.

-To prawda.

-Dlaczego tak się stało?

-Wydaje mi się, że Gra jest przeznaczona do wykrywania negatywów. Pomaga zidentyfikować lub wskazać problemy.

-To dlatego program do Gry najlepiej się sprawdza przy dużych spadkach na giełdzie - wtrącił Boyle. - Albo na funduszach krótkoterminowych.

Warren uśmiechnął się promiennie.

-No, to nie ulega wątpliwości - powiedział do Boyle'a, po czym zwrócił się do mnie konfidencjonalnym tonem: - Pewnie słyszałeś, że w dwa tysiące dziewiątym, po załamaniu się rynku nieruchomości, znaleźliśmy się na krawędzi bankructwa?

-Nie, nie słyszałem.

-Tak było. Ale udało się nam powstrzymać sępy i zacząć od nowa dzięki symulacjom rynku wykonanym przez twojego przyjaciela, Taro. Wtedy był lepszy zaledwie o pół punktu od naszych maklerów, ale na początku tego roku okazało się, że osiągamy trzydzieści dwa procent wzrostu kapitału rocznie.

-Łał - powiedziałem z podziwem. Kogo to, kurwa, obchodzi?

-pomyślałem przy tym. Właśnie zaczęły się „Ostatnie dni Pompejów”, a Warrena zajmują tylko zyski? To nieludzkie. Jednak trzydzieści dwa procent wzrostu rocznie to naprawdę coś.

-Ale, jak wspomniał Larry, ten program najlepiej działa tuż przed załamaniem rynku.

-Dobrze się sprawdza w przewidywaniu spadków - dodał Boyle.

-Niemal każdy procent zysków, jakie udało nam się osiągnąć dzięki

pracom Taro, pochodził ze spekulacji głównymi akcjami i funduszami przed kryzysem na giełdzie.

-Jak dla mnie, właśnie tak powinno to działać - przyznałem.

-Zarabiasz na kontraktach kukurydzianych, prawda? - zauważył Boyle.

-Zgadza się.

- No, to świetnie. Zatem jedziemy na tym samym wózku.

Skinąłem niepewnie głową.

-Ale wiesz, że niektóre z prac Taro są objęte prawami autorskimi?

-Mam tego świadomość - zapewniłem. - Nie używam żadnego z programów Taro do swoich interesów.

To nie całkiem była prawda, ale też nigdy nie podpisałem żadnej lojalności poza standardowymi formularzami dla uniwersytetu. Zresztą to było dawno temu, zanim po raz pierwszy zmieniliśmy wygląd planszy do Gry. Poza tym Warren na pewno używał rozwiązań, które wymyśliłem i o których wspominałem Taro jeszcze w okresie badań uniwersyteckich.

-Teraz ważniejszy jest inny problem - stwierdził Lindsay.

-Wróćmy do meritum. Kodeks opisuje tylko nieszczęśliwe zdarzenia. I wszystko się spełniło.

-To prawda - przyznałem. - Ale nie wszystko, co przewidziano za pomocą Gry, zdarzyło się co do dnia. W wielu przypadkach jak dotąd Gra pomogła ludziom trzymać się z dala od kłopotów. Mam rację?

-Tak. - Lindsay skinął głową.

-Dlatego istnieje nadzieja, że data 4 *Ahau* będzie miała podobny charakter. W szerszej perspektywie. Dobrze poprowadzona Gra może dokładnie opisać, co się zdarzy. I nie powinno to być nic, czego nie da się odwrócić.

Czy to dobre sformułowanie? - zastanawiałem się. Nieważne, trzeba mówić dalej.

- Zwłaszcza że prawie na pewno jest to zdarzenie antropogeniczne. To znaczy najprawdopodobniej spowodowane przez ludzi. To po prostu ostatnie ogniwo w łańcuchu.

-Jakim łańcuchu?

-Przyczynowo-skutkowym. Taro i ja uważamy, że... że dzięki Grze można z wyprzedzeniem odczytać sieć katastrof, które rozprzestrzeniają się od punktu w czasoprzestrzeni, w którym rozegrano partię Gry.

-Zatem uważasz, że to, co nazywasz siecią, te katastrofy, mają tę samą podstawową przyczynę?

-Właśnie. I nie chodzi o to, że te zdarzenia mają podobne cechy. Chodzi o to, że są częścią większego procesu. To jakby bitwy w nieustannej wojnie. I dlatego właśnie w Kodeksie nie wspomina się o żadnych naturalnych katastrofach. Zresztą Gra niezbyt dobrze się sprawdza w przewidywaniu naturalnych zdarzeń. W przypadku pogody wypada tylko nieznacznie lepiej od programów Agencji Meteorologicznej Sił Powietrznych. Gra dotyczy jedynie ludzi.

-Zatem jeżeli wielka asteroida uderzy w Ziemię lub nastąpi podobne nieprzewidywalne zdarzenie, to... co wtedy?

-Powiedziałbym, że to mogłoby całkowicie zmienić proces, jakim jest rozpad świata. I Majowie by tego nie przewidzieli. Ale to się nie zdarzy. Ciąg zdarzeń, jaki zidentyfikowali dzięki Grze, toczy się nadal.

-Pojmuję.

-Zatem nie w tym rzecz, że Majowie przewidzieli incydent w Disney World. Oni wiedzieli, że ciąg zdarzeń, jaki się rozpoczął, będzie wymagać tego rodzaju ośrodka pielgrzymek znajdującego się mniej więcej w określonym miejscu w danym czasie, aby wszystko w świecie trzymało się nadal kupy.

-Ale to jednak nie wyjaśnia, co powinniśmy wiedzieć - zauważył Boyle. Och, zamknij się, dupku, pomyślałem.

-Najważniejsze, co musimy wiedzieć, to czy wersja Gry z dziewięcioma kamieniami pozwoli nam przewidzieć, co się stanie.

Oczy Lindsaya na chwilę spoczęły na Boyle'u, więc zerknąłem na Marenę. Wiedziałem, o czym myśli, wyraz jej twarzy to zdradzał. Tak, Boyle jest dupkiem i bez wahania wbija nam nóż w plecy, szlag, nawet strzelił nam w plecy z dużej odległości i zadba, aby wyglądało to na robotę kogoś innego, a potem...

-To po prostu wysokie... bardzo wysokie prawdopodobieństwo -wtrąciła Marena. - Nie ma jednak stuprocentowej gwarancji. Ale, co powinno być w raporcie, sprawdziłam obliczenia Taro w dwóch różnych niezależnych laboratoriach i tam stwierdzono, że wyniki są bardzo prawdopodobne.

-Spójrzmy na to w ten sposób - podjąłem. - Wersja Gry z czterema kamieniami, w jaką teraz gramy, całkiem nieźle działa w przypadku zdarzeń spowodowanych przez ludzi i pozwala je odczytać na... powiedzmy, trzy dni. Wersja z dziewięcioma kamieniami będzie tysiąc dwadzieścia cztery razy lepsza w takich przypadkach, więc wyprzedzenie i ostrzeżenie przed...

- Przyjmijmy zatem, że Gra nam pomoże - przerwał mi Warren. Zapadła cisza. Lindsay spojrzął na Marenę. Ja spojrziałem na Ma-

renę. Marena popatrzyła na Lindsaya. Ja popatrzyłem na Lindsaya.

- Zatem kiedyś Majowie wiedzieli, jak się gra dziewięcioma kamieniami, ale teraz już nie wiedzą - stwierdził w końcu Lindsay.

Potwierdziłem skinieniem głowy, napiłem się czekolady. Ach, słaba, ale i tak smaczna.

-Ale to niesamowita umiejętność. Prawda? W dawnych czasach twoi ludzie mieli wpływ na wszystko. Starożytni Majowie odcisnęli swoje piętno w historii.

-Tak mi się zdaje... - Zastanawiałem się, czy mam pianę od czekolady na twarzy. - Zrobili wiele dobrego w okresie swojej świetności. Ale oczywiście nic nie trwa wiecznie.

Marena podchwyciła moje spojrzenie. Trochę mniej perswazji -mówiły jej oczy. Kretyn ze mnie.

-Do tego właśnie zmierzam - wyjaśnił Lindsay. Szybko i dyskretnie postarałem się oblizać wargi. - Jeżeli Majowie tyle wiedzieli, dlaczego nie zapanowali nad światem?

-Może wiedza nie wystarczy. Albo chcieli, ale z jakiegoś powodu utracili możliwości.

-Dlaczego?

-Może dlatego, że Gra była bardzo wąską specjalizacją. I może próbowano utrzymać ją w zbyt wielkiej tajemnicy.



-Zatem nie pozwolili ludziom czerpać ze źródła?

-To bardzo prawdopodobne - przyznałem. - Zresztą wiadomo, że technologie wychodzą z użytku cały czas. Jak choćby pierwsi ludzie, którzy przybyli do Tasmanii jakieś dziesięć tysięcy lat temu czy więcej. Wówczas znali garncarstwo, umieli budować canoe, którymi pokonali morze, wyplatali sieci rybackie... Ale na lądzie zapomnieli większość swoich umiejętności. Kiedy ponownie spotkali innych ludzi, nie umieli już nawet rozpalać ognia - czekali, aż piorun uderzy w drzewo, a potem nosili ze sobą żar.

-To jak dzisiaj. Nikt nie umie już przyrządzić prawdziwej lemoniady - wtrącił Lindsay. - Mam rację?

-Bez wątpienia - zapewnił lizus Boyle.

-Poza tym priorytety starożytnych Majów mogły się różnić od naszych - dodałem. - Mogło im wcale nie zależeć na panowaniu nad światem.

-Nawet dzisiaj nie każdy chce panować nad światem - poparła mnie Marena. - Ja na przykład nie chcę.

-Święta racja. - Lindsay podciągnął lewy mankiet i spojrzał na zegarek, srebrny Oyster Perpetual na brązowym skórzanym pasku. Nie sprawdził godziny na cyfrowym wyświetlaczu, który znajdował się w okienku przed nim na ekranie, chociaż wszystkie zegary w komputerach były zsynchronizowane z zegarem w Narodowym Instytucie Miar i Wag, znajdującym się w Boulder w stanie Kolorado, a przecież tamtejszy zegar atomowy odmierza czas z dokładnością do pikosekundy i może się spóźnić o sekundę co trzysta lat, ponieważ działa w oparciu o rozpad cezu. A jednak Lindsay Warren wolał własną metodę, o wiele mniej precyzyjną, opartą na wskazaniach mechanizmu, jaki nie zmienił się od osiemnastego wieku. Widziałem, jak wskazówka sekundowa przechodzi z dwójki na trójkę. Wreszcie Lindsay odczytał godzinę.

-Już po piątej, chyba musimy się zająć paroma sprawami - stwierdził, po czym popatrzył na mnie. - Może kiedyś porozmawiamy o tym więcej.

-Świetnie. - Chciałem powiedzieć jeszcze coś uprzejmego lub głupiego, ale Marena mnie ocaliła.

-A ja muszę się wykazać, że tu pracuję, Jed. Wybacz mi na parę minut - oznajmiła. Można by pomyśleć, że głosowanie nad moją kandydaturą do podróży w czasie odbędzie się właśnie teraz. Marena doprowadziła mnie do drzwi.

-Zaczekajcie jeszcze chwilę - powstrzymał nas Lindsay.

-Chciałbym ci coś dać, Jed. Rozdaję to ostatnio jak cukierki, ale nie mogę się powstrzymać. To jak ojcowska duma z pierwszego syna... -Sięgnął do niedużej sterty na stole i wyjął teczkę ze świńskiej skóry. W środku znajdował się e-book, który podpisał ukośnie przez ekran za pomocą jakiegoś srebrnego szwajcarskiego urządzenia wielofunkcyjnego, zawierającego również stylus, po czym wręczył mi zadedykowaną elektroniczną książkę.

-Och, bardzo dziękuję.

Podpis był granatowy z migającymi w nim iskrami złota jak żarówki w szyldzie francuskiego teatrzyku objazdowego, dlatego odczytanie, co znajdowało się pod autografem, sprawiło mi trochę trudności.

*DUCH PRACY ZESPOŁOWEJ:*

*TAJEMNICE UMIEJĘTNOŚCI PRZYWÓDCZYCH MOJŻESZA, JEZUSA,  
LOMBARDIEGO I JACKSONA*

*Ponadczasowa Mądrość, która pozwala lepiej radzić sobie  
zarówno w rywalizacji, jak i w życiu rodzinnym oraz duchowym*

*Lindsay R. Warren -  
przedsiębiorca międzynarodowy*

*Wstępem opatrzył dr  
filozofii Stephen Covey*

Zacząłem przewijać tekst, by sprawdzić, czy to interesująca pozycja. „Opanowanie Mocy Bólu” - głosił tytuł jednego z rozdziałów. Niewielkie bannery reklamowe migotały w rogach ekranu: audiowizualna wersja książki, wersja dla dzieci, wersja z kursem podprogowym,

powiązane materiały dla nauczycieli, kursy i seminaria, spotkania duchowe i rekolekcyjne, spotkania korporacyjne, energetyczna branżoleta z indu oraz spory asortyment tak zwanych dodatków. W sam raz dla łatwowiernych, pomyślałem. Proste odpowiedzi dla nowych ludzi. Opanowanie Mocy Samooszukiwania się.

- Szczęść Boże - rzekł Lindsay.

Przed wyjściem musiałem znowu uściskać wszystkim dłonie. Wy-mknąłem się do pustej sali. Szlag. Nienawidzą mnie. Wyglądam przy nich jak *papisongo*. A mówię jak *papisongo* do kwadratu. Wybiorą Sica. Kurwa, kurwa, kurwa...

Podniebna łoża była pusta. Głos Anne-Marie nadal świergotał wśród ścian. Dziennikarka opowiadała zapewne o kiedyś szczęśliwym i rozkwitającym Orlando, które teraz zmieniło się w miasto zniszczenia i śmierci. Ale z perspektywy długoterminowych zmian społecznych i ekonomicznych... to załedwie początek, mówiła. Na tym stadionie można zmieścić dwa miasta wielkości Salt Lake i jeszcze zostanie miejsce na Tadź Mahal i pizzę. Tor kolejki znajdował się na poziomie zero i z miejsca, gdzie stałem, okolica wydawała się doskonale symetryczna, tworzyło się złudzenie optyczne, jakbym znajdował się we wnętrzu gigantycznego owalu. Pociągnąłem łyk czekolady, postawiłem kubek i oparłem dłonie na biurku, próbując się uspokoić.

*Yahora que\**. Co teraz?

- Hej - odezwała się za moimi plecami Marena. I zanim jeszcze się odwróciłem, tylko po brzmieniu jej głosu, poznałem, że się udało. Udało się, pomyślałem. Zobaczę przeszłość. Polecę tam. Oto stałem się taki, jak ten australopitek z „2001: Odysei kosmicznej”, który podrzuca nietzscheańską kość udową. Jak Maria Curie spoglądająca na 0,0001 grama substancji jaśniejszej od słońca. Byłem nowym Pro meteuszem. Co za uczucie...

Odwróciłem się. Marena uniosła kciuki.

Campech to żółte miasto na Jukatanie z zatoką po złej stronie. Na Calle 59 było gorąco, głośno od ryczących klaksonami autobusów i ciasno. Na dodatek cuchnęło ściekiem. Muzyka obecnie nazywana Chyba *rakjano*, ale brzmiąca jak utwory grupy Ozomatli, tyle że przyspieszone do czterystu bitów na minutę, łomotała ze sklepiku wielobranżowego. Kupiłem w nim sześciopak oranżady Shasta Tamarindo, pięć paczek *malvaviscos* de la Rosa, pięć opakowań prawoślazu, pięć dużych świec i karton cukierków - wszystko w dużej torbie z szarego papieru, jak za dawnych dobrych czasów. Przeszedłem przez ulicę do małych drzwi na południowej ścianie Iglesia de San Francisco. Fasa-da i większa część nawy zostały wybudowane w 1694 roku, ale chyba je przemalowano zapewne już po raz tysięczny, przez co wyglądały jak okryte wierzbową korą. W środku unosił się charakterystyczny zapach zimnego kamienia i aromat kadzidła - w bezmyślnym odruchu uniosłem dłoń i nakreśliłem sobie na piersi znak krzyża. W nadziei na śmierć, pomyślałem. Mam na imię Jezus, Syn Boży, bierzcie i ssijcie mnie wszyscy, oto jest ciało moje. Pokój! Przeklęta niech będzie tresura za młodu. *Padre* Manuda stał przy ołtarzu, sprawdzając nowy system nagłaśniający kupiony za nasze pieniądze, ale główny amplituner postawił zbyt blisko podwieszonego mikrofonu, bo gdy wyciągnął wysokie tony, pisk rezonansu odbił się od różowego tynku kamiennych ścian. Nie spojrzał na mnie. Minąłem parę starych zakonnic w kornetach i wielkich białych bawetach, pewnie jedne z ostat-

nich członkiń licznego ongiś zakonu klarysek. Z tego, co wiedziałem, przez parę ostatnich stuleci zakon niemal doprowadził się do upadku, ponieważ nie godził się na kompromis dotyczący reguł zgromadzenia. Najprawdopodobniej siostry żyły w bardzo surowych warunkach, nie rozmawiając, klęcząc na kamiennej posadzce, jedząc skromne posiłki, i zaspokajały się nawzajem. Poza klaryskami w kościele były jeszcze dwie stare kobiety Tzotzil w wełnianych szalach i bawełnianych trzywarstwowych *huípiles*, białych z haftowanymi w zielono-czerwone wzory ropuchy i pana świata. Strój do pracy. Cztery brudne gołębie polatywały pod sufitem.

Podszedłem przez nawę do lewego transeptu i zatrzymałem się przed nowszym dyptykiem poświęconym matce Teresie z Ávila, która - o czym chyba wspomniałem - jest jedną z patronek Gry Ofiarnej. Jest także świętą od szachów i bólów głowy, przez co pewnie zawsze ma mnóstwo pracy. Postawiłem świecę, zapaliłem ją zippo od Za Nic, po czym ustawiłem obok pozostałe cztery. Dopiero wtedy przeszedłem do prawego transeptu i do niewielkiej kaplicy.

W pomieszczeniu znajdowała się kremowa, malowana w meksykańskie wzory *talavera* trumna, zamknięta, ale z okienkami na bocznych ściankach. *El mero ataúd delia santísima Abadesa Soledad* -czyli, jak to napisał tutejszy proboszcz, prawdziwa trumna błogosławionej ksieni Soledad. Jak się okazało, była to nieoficjalna tutejsza święta. Nikt poza mną nie wszedł do kaplicy. Przykucnąłem i zwalczyłem odruch, by klęknąć. Od dzieciństwa miałem problem z zakonnicami z powodu kontaktów z siostrami od świętej Klary z Asyżu. Szkło zmatowiało przez wieki, ale można było jeszcze dostrzec małą jak u dziecka czaszkę otuloną pajęczyną ręcznie wykonanej koronki, zaschnięta brązowa skóra sprawiała wrażenie przypalonego ciasta, z popękanych warg wystawały szare zęby. Przez głowę przeleciał mi obraz rzędu kurczaków maszerujących w tę i z powrotem, ale użyłem najpopularniejszego triku medytacyjnego - „Co jest, kurwa?” -by się go pozbyć. Sztuczka polega na tym, że po prostu się powtarza w kółko i z przekonaniem: „Co jest, kurwa, świat to gówniane miejsce”. Nawet nie trzeba oddychać w specjalny sposób.

Opuściłem kapliczkę. Minąłem balustradę przed prezbiterium i wyszedłem za ołtarzem. Naprawdę głupek ze mnie, pomyślałem. Przecież nikt nie próbuje mnie skrzywdzić. Po co się przejmować? Zwłaszcza że to nic konkretnego, tylko złe przeczucie. Ale nie zaszkodzi się upewnić. Chociaż to zaledwie próba. Kontrolowane warunki. Nic wielkiego, nie ma się czego bać. *Guarde sus pantalones.*

Dobra.

W południowym transepcie dostrzegłem małe stalowe drzwi. Otworzyłem je, jakbym był u siebie, i wyszedłem na plebanię. Za dużym dziedzińcem znajdowało się skrzydło budynku, służące jako Convento de la Orden de las Damas Pobres. Ruszyłem trasą, której nauczyłem się na pamięć ze szczegółami, czyli na drugie piętro po osiemnastu łamanych wąskich schodach. Trafiłem na długi niski korytarz, w którym po obu stronach ciągnęło się po pięćdziesiąt drzwi.

Grgur czaił się za drzwiczkami numer cztery, zerkając w wyglądający na wojskowy laptop. Miał na sobie koszulkę polo i szare spodnie od Ralpa Laurena, niczym menadżer na wycieczce statkiem. Pomachałem mu. Skinął głową i obrzucił mnie nieprzyjaznym spojrzeniem. Też się cieszę, że cię widzę, pomyślałem. Doprawdy, jego obecność poprawia atmosferę tego miejsca. W pomieszczeniu znajdowały się różne techniczne gadgety, w tym trzydziestocalowe monitory, dwa pudła z wielkimi głośnikami, czterostopowy pręt z rączką i dwa trójnogi z czymś, co wyglądało na przenośne anteny satelitarne, czyli płytkie pleksiglasowe owale o średnicy około trzydziestu cali, oraz pudła z okrytymi gąbką walcami, zapewne mikrofony. Minąłem Grgura i wślizgnąłem się do białej izdebki. Przez małe okno wlatywały muchy, panowała tu temperatura i wilgoć jak w saunie. Ujrzałem połowę prycze, tani nowy krucyfiks na ścianie, elektrokardiograf i stojak na kropłówkę. Koszmar. Widok skojarzył mi się od razu z tym, jaki zapamiętałem z pobytu w San Cristóbal, gdy miałem sześć lat.

Nieważne.

W celi znajdowało się też sporo ludzi. Przede wszystkim Taro i jego Ashley, to znaczy ta, którą w zespole nazywano Ashley Dwa.

W pierwszej chwili wydawało mi się, że to Ashley Thieu, ale nie. Siedziała na podłodze, grzebiąc wśród urządzeń, a Marena i doktor Lisuarte rozmawiały w niszy pod oknem. Hitch, nasz kamerzysta, jak go przezywaliśmy, ponieważ chciał zostać reżyserem i z wyglądu przypominał trochę hiszpańską wersję młodego Alfreda Hitchcocka, mocował mikrofon nad framugą drzwi. Poczęstowałem zgromadzonych przekąskami, ale nikt nie skorzystał.

Wyciągnąłem puszkę shasta. Miała samochłodzenie - *Ésta Frigorífica!* - jak głosił napis - i obawiałem się przez chwilę, że będzie smakować paskudnie, jeżeli się przeterminowała, a przecież mogła się przeterminować, ale... nie. Napój miał ten charakterystyczny ultrafioletowy posmak z epoki pierwszych lotów w kosmos, programu Apollo i zimnej wojny, wspaniały smak prostych estrów i aldehydów, zanim spece od chemii spożywczej wymyślili sztuczne polepszacze. Czy można coś takiego kupić jeszcze w USA?

Doktor Lisuarte powiedziała, że musimy zaczynać i że to równie dobra pora jak każda inna.

- Okej - zgodziłem się potulnie.

No cudnie, cudnie! Okej. Fajnie. Na litość boską, powinienem się zachowywać jak przystało na *menscha*, nie? Zdjąłem buty i usiadłem po turecku na pryczy. Zapewne w tym samym miejscu znajdowało się kiedyś łóżko zakonniczy, a także krzyż, pod którym zmarła *sor* Soledad. Oczywiście to nieco zepsuło mi nastrój. Tak naprawdę wcale nie musiałem tu być. Punkt w realnej przestrzeni - cokolwiek to znaczy - jaki teraz zajmowała cela, był oddalony o miliony mil od celu mojej próbnej podróży, więc teoretycznie mogłem siedzieć w Paliku, w pracowni Taro w Orlando lub gdziekolwiek. Ale miałem przecucie, że chodziło o to, by łatwiej uniknąć dezorientacji - zacznę i wyląduję w tym samym miejscu, otoczony identycznymi kamiennymi ścianami, z tym samym dziedzińcem za oknem, skąd dochodzą odgłosy tego samego miasta. Chociaż, rzecz jasna, u celu będą to raczej pobekiwanie owiec i kóz. Miałem znaleźć się w tym samym miejscu, o tej samej porze dnia, ale w zupełnie innym roku.

- Nie przeszkadza ci, że tu jestem? - zapytała Marena.

Zapewniłem, że nie, i dodałem, że też lubiłem obserwować skubanie kurczaków przez moją matkę. Marena chyba mnie jednak nie całkiem rozumiała. Z tyłu głowy zaczęło mi narastać groźne buczenie, *repente*. Doktor Lisuarte nie wzięła nożyczek, jak się okazało, lecz przeciągnęła po moich czarnogranatowych kosmykach maszynką do golenia, jakby to był kosiarkokombajn McCormicka, od którego pewnie się wywodziła. Maszynka, nie doktor Lisuarte, rzecz jasna.

-Jak poszło z *padre Cual-es-su-nombre?* - zapytałem.

-Nielatwo - przyznała Marena. - Zaproponowaliśmy Kościołowi dość gotówki, żeby kupić to zasrane miasto, ale nie chciał.

-Cóż, Kościołowi tutaj prawie się udało, nadal pewnie ma wielkie ambicje dotyczące tej części świata - stwierdziłem.

-Nie mów? - prychnęła Marena. - Musieliśmy pogadać z szefem proboszcza, a ten kazał nam wyposażyć szkołę.

-Rozmawiałś z Bogiem?

-Och, nie! Z człowiekiem ptakiem, to znaczy kardynałem. Założę się, że Bóg zażądałby o połowę mniej. Szkoła będzie mieć za patronkę Najświętszą Cholerną Technicznie Dziewicę-Matkę Niepokalaną od tysiąc dwanaście czy jakoś podobnie.

-Co za marnotrawstwo.

Doktor Lisuarte skończyła z lewą stroną mojej głowy.

- Właśnie. I jeszcze trzeba było dodać dwie walizki z gotówką.

*El Tesoro.*

Postrzyżyny zajęły jakieś dwie minuty. Czuję się słaby. Nie że-bym był Samsonem lub wierzył w te wszystkie indiańskie przesady dotyczące włosów, ale podmuchy bryzy na łysej czaszce nie należały do przyjemnych, zwłaszcza że nie miałem czapki.

-Gotowe - stwierdziła doktor Lisuarte. Dotknąłem czoła i ostrożnie przeciągnąłem dłonią po głowie. Miałem wrażenie, że ręka to czujnik próbnika Łuna-3, po raz pierwszy w historii ludzkości fotografującego ciemną stronę Księżyca.

-Hej, pasuje ci ta fryzura! - zabrzmiał głos Michaela Weinera. Nie zauważyłem, kiedy wszedł, a oczywiście nie zapukał. Podziękowałem jednak. Klepnął mnie w plecy. Auć! Śmierdziel. Za dużo tu ciepłych



ciał w małym pomieszczeniu. Michael zapytał Taro, jak idzie, profesor zapewnił, że jest gotowy. Doktor Lisuarte powiedziała, że dziesięć minut. Dla niej i Taro to wszystko stanowiło już rutynę.

- No, to... tylko małe przypomnienie? - Weiner rzucił do kame-ry swoim najlepszym, telewizyjnym tonem. - Dobra siostra kopnęła w kalendarz po jutrzni, około dziewiątej rano dwudziestego ósmego listopada tysiąc sześćset osiemdziesiątego szóstego.

Ten lekceważący slang przejdzie w telewizji? - zastanawiałem się. *Ocho ochenta*, duppek. Facet i tak jest, i na wieki wieków będzie sztywniakiem.

- Nie opuszczała tego pokoju co najmniej przez miesiąc - mó-wił dalej Weiner. A raczej paplał. - Ale dwudziestego czwartego była przytomna, bo wtedy podpisała swój testament, na co są co najmniej trzy świadectwa. Potem, dwudziestego siódmego, jak twierdzą źródła, przyjęła ostatnie namaszczenie i komunię. Poza tym niewiele więcej wiadomo, ale sądzę, że jeżeli się cofniemy do dwudziestego piątego, będzie dobrze.

„Cofniemy się”, jasne, pomyślałem. Uroczy egotyzm, doprawdy. Nie prowadzisz już popularnych programów archeologicznych w te-lewizji, Michael, pamiętaj.

-Postaramy się wycelować między jutrznią i nieszpory, kiedy za-konnice powinny być same, więc teoretycznie nikogo nie napotkamy.

-Oby - mruknęła Marena.

-Teraz opukam ci czaszkę - oznajmiła doktor Lisuarte. Zapew-niłem, że dobrze, o ile mi jej nie rozbije.

Dziwnie jest czuć dotyk palców na głowie. Tam, gdzie wcześniej nie sięgały żadne ręce. Poza palcami mojej matki. To znaczy tej ro-dzonej. Kiedy byłem jeszcze bardzo mały. W przeblysku wspomnień ujrzałem, jak siedzę jej na kolanach, a matka głaszcze mnie po czole i wmasowuje biały popiół w otarcie, by przestało krwawić. Lisuarte zapytała, czy może mi dać zastrzyki i zacząć odliczanie. Zapewni-łem, że tak. Precz z przeblyskami. Lekarka rozpakowała dwie strzy-kawki. Preparatów nie można było podać bezigłowo. Napiąłem się -

jak większość hemofiliaków mam lekką aichmofobię, czyli lęk przed ostrymi przedmiotami.

-I... już - powiedziała. - To co, zaczniemy od czterdziestu miligramów adderallu?

-Świetnie - zapewniłem. Nie przyznałem się, że to dla mnie tyle, co filiżanka *demitazza* zielonej herbaty. Lekarka roztarła mi wewnętrzną stronę prawego uda i wbiła igłę. Au. Potem dostałem trzy i osiem milimetra ProHance - preparatu zawierającego gado ter idol, paramagnetyczny środek kontrastujący. Dzięki niemu można wyraźnie jak teksturę warg Angeliny Jolie zobaczyć na ekranie każdą, nawet najmniejszą nieprawidłowość w barierze krew-mózg.

-Połóż się - nakazała doktor Lisuarte. Posłuchałem. Piankowa poduszka szpitalna ugięła się pod ciężarem mojej obnażonej głowy. Miałem na sobie pożyczone piłkarskie szorty i koszulkę „Neo-Teo”. W tym stroju i bez włosów czułem się nagi. Lisuarte upewniła się, czy naprawdę jestem gotów na sześciogodzinną nasiadówkę. Powiedziałem, że tak. Zapytała, czy chcę jeszcze skorzystać z łazienki. Nie chciałem. Gdybym chciał, powiedziałbym przecież. Szczerze mówiąc, nawet pozwoliłbym jej trzymać nocnik. Wścibska baba. Jak Clara Barton, wilczyca z Czerwonego Krzyża.

-A teraz przyczepię ci kilka elektrod. - Usłyszałem syk i poczułem chłód aerozolu odkażającego na potylicy.

-Chcesz to? - Marena miała na myśli moje obcięte włosy, które starannie zebrała. Potwierdziłem i podziękowałem.

- Zrobię z nich samobójczą laleczkę voodoo - wyjaśniłem.

Lisuarte i Ashley Dwa weisnęły mi głowę coś w rodzaju czepka zrobionego z worka, kiedyś służącego chyba do przechowywania sody, który zapewne przepuszczał fale elektromagnetyczne, i otworzyły wielką walizkę. Marena pomogła im w wyciąganiu przenośnego aparatu do rezonansu magnetycznego - urządzenia składającego się z obrotowej wielkiej jak opona ciężarówki, opatrzonej parą grubych kabli. MRI szybko otrzymał uroczy kryptonim „kibel”, ponieważ „wpycha się do niego głowę, by splukać mózg”. Oczywiście aparat nie przypominał w najmniejszym stopniu muszli toaletowej, ale na super-

technologię też nie wyglądał. W sumie, niewiele tutaj wyglądało na high-tech. Taro, kiedy opowiadał mi, co się działo po moim odejściu, przyznał, że dziewięćdziesiąt procent urządzeń to technologia z lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, a zespół badawczy jedynie połączył różne rozwiązania i wynalazki do celów Taro.

MRI zostało ułożone na poduszce. Uniosłem się nieco, by umieścić głowę w obręczy. Jeszcze tylko mały obrót, naciągnięcie czepek, wypełnienie luk kawałkami gąbki i aparat przywarł mi do czoła tuż nad brwiami. Lisuarte zapytała, czy nie za ciasno. Zapewniłem, że idealnie, i lekarka włączyła urządzenie. Rozległ się niski pomruk, gdy elektromagnesy zaczęły krążyć w obręczy z prędkością około trzyestu osiemdziesięciu mil na godzinę. Na początku bałem się, że aparat przyciągnie jakieś drobiny stali z mojego ciała, które wystrzelą mi przez oczy, ale najwyraźniej nie miałem w sobie żadnych szrapneli. Ashley Dwa przyciągnęła trójnóg z wysięgnikiem, na którym przymocowano duży monitor LCD, i ustawiła go pod krucyfiksem.

-Widzisz ekran? - zapytała.

-Trochę bliżej - poprosiłem. Ashley Dwa przesunęła trójnóg i przechyliła monitor. Dobrze. Oto moje szare wnętrze, warstwa po warstwie, prześwietlone jak bagaż podręczny na lotnisku.

-Taro? - odezwała się Marena. - Gotów?

-Właśnie wysyłamy sygnał naprowadzający - odpowiedział.

-Jak się czujesz? - zwróciła się do mnie Lisuarte. Parę godzin wcześniej zaaplikowała mi aripiprazol i lamotryginum, prawdopodobnie po to, abym myślał jasno, ale nie popadał w obsesyjną nadpobudliwość. Nie byłem pewien, czy to działa, ale zapewniłem, że czuję się znakomicie. Tip-top.

- No, to skanujemy - zapowiedziała Lisuarte.

Uniosłem kciuki.

-Nic ci nie będzie - pocieszyła mnie Marena. - Pamiętaj, chodzi przede wszystkim o motywację.

-Jasne.

-Postawiłam na ciebie mój stanik.

-Fantastycznie.

To zabrzmiało obiecująco. Przez ostatnie parę dni Marena i ja chyba zaczęliśmy powoli zmierzać ku intymności. A przynajmniej takie miałem wrażenie, choć obawiałem się, że poruszamy się po torach asymptotycznych i może nigdy tam nie dotrzemy. A dla mnie kwestia, czy przekroczymy tę granicę, czy też nie, z każdym dniem stawała się ważniejsza.

- Zacznę TMS od lewej półkuli - oznajmiła Lisuarte. Chodziło jej o Transcranial Magnetic Stimulation - przezczaszkową stymulację magnetyczną, dzięki której można zmniejszyć aktywność elektryczną wybranych części mózgu. A to podobno sprawia, że inne partie zaczynają pracować ciężiej, nerwy stają się bardziej pobudzone elektrycznie, dzięki czemu ich sieć jest dokładnie widoczna na monitorze. Ale wcześniej trzeba było zrobić mapowanie mojego mózgu.

- No dobra. Dajcie mu trochę prywatności - zarządziła Marena. Dzięki.

Taro i reszta wyszli. Przez kilka najbliższych godzin w celi zostaną tylko Marena, Lisuarte i oczywiście ja. Pozostali będą oglądać doświadczenie przez wideo i na pewno robić złośliwe uwagi.

- To co? Zaczynamy? - zapytała Marena. Potwierdziłem. Poprosiłem, żeby to ona czytała wskazówki zamiast doktor L. Grupa od PTŚ, czyli Protokołu Transferu Świadomości, też za tym głosowała i zdecydowanie tak było lepiej, ponieważ - jak chyba wspomniałem - przede wszystkim miało to pomóc mnie. A poza tym wszyscy chcieli wypróbować sprzęt przed właściwą wyprawą. Rzecz jasna, gdyby się nie udało, o niczym by to nie świadczyło. Mogłoby to tylko oznaczać, że *sor* Soledad była zbyt chora lub nieprzytomna i tyle. Gdyby nie wyszło, projekt byłby i tak prowadzony do końca. Jednakowoż - jak zapewnili spece od promocji Warren Group - jeżeli się uda, wpływ na morale będzie ogromny.

Ułożyłem się wygodniej na leżance. Lisuarte okryła mnie cienkim kocem. Jak się domyśliłem, teoretycznie miało mi to pomóc się rozluźnić. Cóż, chyba zacząłem trochę odpływać. Skupiłem wzrok na krucyfiksie, starając się wczuć w średniowieczny nastrój. Plastikowy Jezus miał całkiem niezłe wypełnioną przepaskę biodrową. Zadrżnij

dla mnie, ty gorący Boże. Niech serce zabije ci mocno. Rusz się, uwolnij stopy z gwoździ, pozbądź się tego pieprzonego krzyża. Ty zły Boże. O-och! Mój Boże, Boże. Ziemia drży, groby się otwierają, a zmarłym świętym staje! Och, jestem rozdarty od stóp do głów! Och, tak! OCH! O-OCH! O-O...

- Okej, zaczynamy - nakazała Marena. Żuła gumę z nikotyną, ale nie przeszkadzało jej to mówić wyraźnie. - Możesz opowiedzieć, co wczoraj robiłeś?

Opowiedziałem.

-Dobrze. Samarkanda jest stolicą...?

-Kazachstanu. - Na monitorze zielona gąsienicowata błyskawica przecięła mój płat czołowy.

-Która godzina?

-Osiemnaście po pierwszej.

-Jaki mamy dzień?

-Piętnasty marca dwa tysiące dwunastego, 7 Laska, 6 Mroczne Jajo. W kalendarzu chińskim to dwudziesty trzeci dzień drugiego...

-Dobrze, jakie wiadomości przeczytałeś?

-FBI aresztowało Hijos de Kukulkan. Co, jak mi się zdaje, wyjaśniło kwestię z Kodeksu, kto dźwiga winę. - Hijos de Kukulkan było nowym ugrupowaniem z Austin, trochę pseudozapatystami, trochę fanatykami, jak Naród Aztlán - nacjonaliści hiszpanoamerykańscy wywodzący swoje pochodzenie z mitycznej krainy Azteków. Najprawdopodobniej na fali medialnego zainteresowania przyjęli odpowiedzialność za horror w Disney World. Jednakże według Za Nic przywódca grupy, *subcomandante* Carlos, który wcześniej należał do Enero 31, twierdził, że Hijos nie mieli nic wspólnego z atakiem.

-Dobra... - Marena kiwnęła głową. - Co jeszcze?

-Y-y... Parę tysięcy świetli... y... to znaczy około ośmiu tysięcy osób, które zostały wystawione na promieniowanie, zostało poddanych kwarantannie w obozach pod Waszyngtonem. Biały Dom twierdzi, że na razie sytuacja jest opanowana. Zatrzymano marsz protestacyjny w Nowym Jorku. Co jeszcze... Szacuje się, że do ataku na Disney World użyto ponad pięćset funtów polonu dwieście dziesięć, który

znajdował się na obszarze obecnie określanym jako strefa czerwona, zakazana. Nikt nie może tam wejść bez ochrony. Tyle tylko, że obecnie nie ma na składzie strojów chroniących przed promieniowaniem radioaktywnym - wszystkie znajdują się w Pakistanie, a te, które pozostały w USA, są uszkodzone. I... w Internecie pojawił się film pokazujący rzędy ciał ofiar ataku. Podobno rząd chce zamknąć YouTube, by nie zobaczyła tego opinia publiczna, ale ACLU - Amerykańska Unia Praw Cywilnych - już złożyła pozew przeciw takiemu postępowaniu. A niektóre nagrania są naprawdę... naprawdę przerażające. - Myślałem o tym filmie pokazującym, co się stało z ludźmi, którzy zgromadzili się na megazlocie miłośników komiksu w Disney World. Nagranie zrobiono w tej gigantycznej hali, gdzie odbywały się główne imprezy i targi. Gdy ludzie poczuli się źle, na środku hali zrobiono miejsce, by mogli się położyć - i ponad dwustu uczestników umierało tłumnie, warstwami, bo chorzy szukali pomocy i kontaktu z tymi, którzy czuli się lepiej. Większość nie miała łatwej śmierci, zostały po nich skulone ciała z wykrzywionymi twarzami, otwartymi ustami. Większość miała sporą nadwagę, do tego ponad połowa nadal miała na sobie kostiumy na przykład orków, Hyperborejczyków, Klingonów i temu podobne - co sprawiało wrażenie, jakby to było średnio-wieczne pole bitwy. Takie, jakie mógł zostawić po starciu na stepach Timur Kulawy - z zaszlachtowanymi przeciwnikami zrzuconymi na trupi stos. Z tą tylko różnicą, że dramat rozegrał się w sztucznym fluorescencyjnym zielonym świetle. A potem kamera zrobiła zbliżenie i okazało się, że zmarli nadal ściskają w dłoniach różne przedmioty - jak różdżki z „Harry'ego Pottera”, amulety Sithów... i różne inne talizmany. A potem kolejne zbliżenie pokazywało, że ciała już spuchły, że latają nad nimi muchy... Niemal czuło się smród zgnilizny.

-Co jeszcze? - indagowała Marena.

-No... czyja wiem? Mnóstwo rodzin ofiar horroru żądało wydania ciał, ale władze i opinia publiczna sprzeciwiły się zgodnie w obawie, że w ten sposób rozniesie się polon dwieście dziewięć, więc należy jedynie wysłać jakiegoś zdalnie sterowanego robota do czerwonej

strefy, ewentualnie paru księży czy innych szamanów, i pogrzebać ciała na obszarze skażenia.

Urwałem, ale Marena się nie odezwała. Najpewniej dlatego, że ludzie z Palika widzieli już wystarczająco dużo błyskawic w moich ośrodkach mózgowych i nie chcieli przesadzić ze stymulacją.

-I jeszcze wmieszali się ludzie z Agencji Ochrony Środowiska -podjąłem. - I powiedzieli, że pogrzeb wzniesi zbyt dużo radioaktywnego kurzu, więc najlepiej zostawić miejsce skażenia nietknięte, a budynki potraktować jako pomnik. Inna frakcja zaproponowała, żeby budynki zburzyć, a drzewa wyciąć, bo jeżeli wybuchnie pożar, może roznieść drobiny polonu na całkiem sporym obszarze. Ale chyba wygrał pomysł, żeby po prostu zaopatrzyć tamtejszą straż leśną w samoloty z wyposażeniem przeciwpożarowym, by w razie czego zdusić każdy ogień w zarodku. A jeżeli chodzi o ciała, pojawił się precedens w prawie stanu Floryda, czyli rozwiązanie pompejańskie. O ile pamiętam, władze chcą wysłać ekipy ratowników w specjalnych skafandrach ochronnych, by poddali ciała plastynacji, spryskali je złotą farbą czy w inny sposób zabezpieczyli, a potem zostawili, aż z powietrza zniknie polon. Wtedy będzie można przeprowadzić w samolotach lub sterowcach jakąś ceremonię pogrzebową dla rodzin zabitych. Choć jak dla mnie to trochę śmieszne...

-No dobrze, co jeszcze? - zachęciła mnie Marena, gdy umilkłem.

-Ajtollah Razib twierdzi, że atak został przepowiedziany w Koranie. Ted Haggard przyznał, że to kara za legalizację małżeństw homoseksualnych. Oficjalna liczba zabitych przez promieniowanie, pożary i zamieszki to ponad czterdzieści sześć tysięcy. Jedna trzecia USA nadal jest w stanie wojennym. Ostatniej nocy w Tampa zostało pobitych mnóstwo ludzi...

-Interesuje mnie tylko to, co się wiąże z Disney World - naprowadziła mnie Marena.

-Zastanówmy się... Wojna domowa w Bangladeszu. Terrorysta, Hasani, został ujęty przez siły amerykańskie miesiąc temu. Okaza-

ło się, że jest śmiertelnie chory, i opinia publiczna domaga się, by go skazano na tortury. Prawda? I dzisiaj prezydent podpisał odwołanie konwencji genewskiej, więc będzie można to zrobić. O to chodzi? I jeszcze ceny kukurydzy skoczyły na giełdach o trzydzieści procent, a złoto osiągnęło cenę tysiąca sześciuset dolarów za uncję. I...

-Wystarczy. Świetnie. To znaczy nie wiadomości. Ale tobie idzie świetnie.

-Dziękuję.

-Dobrze. - Marena spojrzała na swoją komórkę. - Ile wynosi pierwiastek kwadratowy z dziewiętnastu?

-Cztery... y... przecinek trzy pięć dziewięć.

-Myślę, że to bardzo seksowne, że potrafisz tak dobrze liczyć w pamięci.

-Naprawdę? Ach... dziękuję...

Co to miało niby znaczyć? Czy to flirt? Och. Nie miałbym nic przeciwko temu, by się zanurzyć w tunelu czasoprzestrzennym Marena... Zaraz, czy to nie stanowiło części przygotowań? Trochę mnie podniecić, trochę zawstydzić... Prawdopodobnie. Trzeba uważać na ludzi z korporacji, to przebiegłe gady.

-Jakie jest pierwsze prawo metafizyki Kiri-Kin Tha? - rzuciła kolejne pytanie Marena.

-Co? - zdziwiłem się. „Star Trek”?

-Jakie jest...

-Czekaj, chyba pamiętam... Nic nie jest realne. Albo jakoś tak.

-Nic, co nierealne, nie istnieje - odpowiedziała Marena.

-Właśnie.

-Podam ci teraz serię rzeczowników. Masz je zapamiętać i zapisać, gdy znajdziesz się na miejscu.

-Tak, wiem.

-But... Czyścik... Ryba... Czaszka... Balon... Taczka.

-Pamiętam - zameldowałem. Miałem także własną wiadomość, coś, co przyszło mi niedawno do głowy i o czym nigdy głośno nie wspomniałem - wiadomość, jaką Houdini chciał przesłać z zaświatów: „Uwierz, Rosabelle”.



- Dobrze. A teraz zmienimy widok na monitorze. Pokażę ci kilka obrazków - oznajmiła Marena. - Oto pierwszy.

Na monitorze LCD pojawił się w plakat filmu „Stallion Road” z Ronaldem Reaganem.

-To straszne - mruknąłem. W moim ciele migdałowatym zapewne już migał napis: NIEBEZPIECZEŃSTWO! NIEBEZPIECZEŃSTWO!

-Odpowiadaj tylko na moje pytania - przypomniała Marena, a obraz zmienił się w gęś prowadzącą rząd swoich młodych. - Jakiego koloru nosisz skarpetki?

Niemal zapadłem w stupor, ale po chwili wziąłem się w garść i odpowiedziałem dobrze, jak mi się wydawało. Nie żeby to miało znaczenie. Gdy się nie zna odpowiedzi, w mózgu wzbudza się więcej ścieżek nerwowych.

Och!

Na ekranie łasica lub raczej kuna wpadła między gęsi i rozpoczęła rzeź. Gęś matka machała desperacko skrzydłami i gęgała rozpaczliwie, ale drapieźnik i tak zabił cztery z sześciu młodych. Piekło.

- Dobrze - stwierdziła Marena. - Wróćmy jeszcze raz do wiado mości, którą masz zapisać.

Po raz setny przeszliśmy przez sprawdzenie, co mam zapisać po dotarciu do celu, na czym mam to zapisać i gdzie zostawić.

- Dobrze. A teraz opowiedz mi o Pustynnym Psie.

Co?! - pomyślałem zdumiony. Skąd o nim wiedziała? Nikomu o tym nie wspomniałem... Może mamrotałem przez sen podczas sesji z encefalografem w Paliku? Pewnie nafaszerowano mnie wtedy barbituranami lub czymś podobnym. Draństwo.

-Jed?

-Wybacz... Ja... Nie wiem, czy... ach...

-Rozumiem, pytanie cię zaskoczyło. Ale odpowiedz.

Zapadła cisza. Dobra, pomyślałem i zacząłem opowiadać o przybranych braciach, którzy złapali psa, o tym, że nie miał przednich łap, tylko kikuty ze strzępami chrząstek, że jego oczy wypełniał strach i jak ten strach nieco zbladł, gdy dłużej posiedzialem przy klatce, jak próbowałem otworzyć kłódkę, ale mi nie wyszło, jak się szarpałem

z zamknięciem, a potem próbowałem rozgiąć pręty. Chyba chciałem potem je odgiąć tak, by bracia nie domyślili się, że to ja uwolniłem zwierzaka. Ale miałem tylko osiem lat i nie znałem się ani trochę na technice, a klatka okazała się mocniejsza, niż sądziłem, ciężka i wytrzymała, przeznaczona do przewożenia świń, a może bydła. Pustynny Pies wiedział, co chcę zrobić, i chyba sądził, że go uwolnię. Na początku niełatwo mi było mówić o tym Marenie, zwłaszcza że nie cierpię okazywać uczuć. Głos miałem ochryply i monotony. Jednak pewnie koktajl farmaceutyków, który mi zaaplikowała doktor Lisuarte, rozplątał mi język, bo z każdym zdaniem mówienie przychodziło mi łatwiej. Opowiedziałem, jak kupiłem puszkę mountain dew, jak nalałem do cynkowego korytka w klatce, jak zwierzak doczołgał się i wypił wszystko, wspierając się na łokciach, a potem spojrział na mnie z taką wdzięcznością w oczach, z jaką potrafią patrzeć tylko psy, i z nadzieją, kiedy nakarmiłem go paczką precli, z których wytarłem sól, i jak mu smakowało, jak zamachał do mnie wyliniałym ogonem i zastrzygł uszami, jak potem dałem mu resztę napoju i jak mu smakował, a potem patrzył na mnie z tym psim oddaniem i wiedziałem, co myśli: że na pewno postępuję słusznie, że jestem potężny i uwolnię go, jeżeli tylko zechcę, a wtedy pójdzie ze mną i będzie mnie strzegł. Opowiedziałem, jak wydawało mi się, że to spojrzenie mówi: „Tak, poradzę sobie nawet bez przednich łap, pójdę za tobą, zostaniemy dobrymi przyjaciółmi”. Opisałem, jak miękki był jego język, kiedy lizał mi rękę, jak gąbczasty i suchy był jego nos, ale nie tak suchy jak wcześniej, jak pies przesuwiał językiem po moich posiniaczonych palcach, gdy próbowałem raz po raz otworzyć jego więzienie przy pomocy dźwigni z kawałka metalu, ale pręty nie ustąpiły - i jak w końcu po prostu usiadłem i rozplakałem się bezsilnie, spoglądając na pokaleczone dłonie i wiedząc, że jeżeli nie wrócę do domu i nie opatrzę rozcięć na palcach i kłykciach, to się wykrwawię. Więc popraprałem Pustynnego Psa za uszami i powiedziałem mu, że muszę iść, ale wrócę, a on ma poczekać, dobry piesek, ale kiedy ruszyłem do domu przez opuszczone magazyny rozświetlone jarzeniówkami i przeszedłem na drugą stronę autostrady, czułem tylko nieopisa-

ną ZŁOŚĆ na wszechświat, jakbym próbował gołymi rękami ruszyć z posad bryłę świata. To była chwila życiowego przełomu, gdy się rozumie z nieprawdopodobną jasnością, że niewinnych czeka jedynie rozczarowanie, że ich nadzieje nigdy się nie ziszczą, a tylko zmieniają w gówno. Chwila, gdy pragnie się, by te tortury natychmiast zostały zakończone. Kiedy wreszcie doszedłem do domu, nadal słyszałem Pustynnego Psa, jego skomlenie dochodziło nawet przez hałas ulicy, niepodobne prawie do psiego wycia, lecz do szlochu małego dziecka. A następnego dnia...

-Dobrze - przerwała mi Marena. Pewnie Lisuarte powiedziała jej przez telefon, że moja kora jest już wystarczająco aktywna. Nareszcie, Jed Mixoc de Spock okazał prawdziwe uczucia.

-Teraz zaczniemy stymulację. - Miała na myśli stymulację neuronów.

Powiedziałem, że w porządku, i zamknąłem oczy. Przez dziesięć sekund nic się nie działo, a potem pod powiekami przemknęła mi zielona błyskawica.

-Widzę zieleń - oznajmiłem.

-Dobrze - odrzekła Marena. Po paru sekundach rozległ się szum deszczu.

-Słyszę deszcz. - Wyczułem również zapach sandałowego kadzidełka, zapewne kolejne pobudzenie. - I czuję kadzidełko.

-Dobrze.

Dźwięki, zapachy i obrazy pojawiały się i znikaly. Słyszałem akord g-moll zagrany na skrzypcach, fragment koncertu fortepianowego Prokofiewa, opus drugie. Czulem zapach cynamonu i palonej gumy (ktoś chyba mieszał mi w płatach skroniowych), a potem poczułem słodki drewniany aromat jak mokre stare książki. Zobaczyłem twarz Sylwany. Poczułem swędzenie na torsie i ukłucia w klatce piersiowej. Powróciły do mnie twarze ludzi, których nie pamiętałem, ale musiałem kiedyś spotkać. I twarz mojej matki. Jej uśmiech. Straszny wzór drewnianych słojuw w pokoju, który dzieliłem z przybranymi braćmi - wzór, który przypominał mi złośliwego kozła w szerokim krawacie. Przypomniałem sobie pomarańczową zabawkową koparkę, którą

znalazłem na podwórzu Odegardów i bawiłem się nią całymi dniami, kopiąc dziury i spychając piasek na kopczyki, pomyślałem o swojej pierwszej rasowej rybce akwariowej, *Glossolepis incisus*, którą nazwałem Generoso - jak pewnego dnia zrobiła się nerwowa i złośliwa, po czym zabiła wszystkie samczyki gupików, a następnie samiczki i wreszcie sama zdechła. Myślałem o rzeczach, o których przez lata zapomniałem, niekiedy zaraz po tym, gdy się zdarzyły. Dziwne, здаwały się odpływać gdzieś w zakamarki pamięci, ale nie znikać, lecz czekać, by znowu się wyostrzyć, bez ładu i składu, bez chronologii czy porządku, jakby pamięć mi się defragmentowała, po czym wspomnienia się ustawiały w nowych pozycjach na moim twardym dysku, a potem znowu się pojawiały w innej sekwencji i tak kilka razy, aż w końcu zacząłem mieć tego dość i zastanawiałem się, czy się rozdziwiłem i czy jestem tym, który udaje się w siedemnaste stulecie, czy tym, który zostaje. Zacząłem nawet rozważać, czy nie pomodlić się do złych i nieistniejących bogów, bym to nie był ten ja, niech to nie będę ja, który cofnie się w czasie, bo chcę zostać tutaj, ponieważ jeżeli jestem tym drugim mną, to przecież nie wrócę...

Może powinienem wyjaśnić to trochę dokładniej. - Weźmy przykład. Kiedy kapitan Kirk lub doktor Temperance "Bones" Brennan czy ktokolwiek przechodzi przez teleporter, jego ciało jest skopiowane, zdeintegrowane w punkcie startu, skąd promień z informacją wędruje do celu, a tam jest odtwarzany z dostępnych na miejscu atomów. I wtedy pojawia się pytanie: po co zdeintegrować kapitana, przecież to niekonieczne? Czy nie wystarczy go tylko położyć na miejscu z informacji niesionej przez na przykład promień lasera? Wtedy jednak będziemy mieli dwóch kapitanów Kirków - jednego na początku, drugiego na końcu drogi. Ale kogo obchodzi teleportacja, duplikacja jest o wiele bardziej przydatna. Czemu nie zrobić całej armii Kirków i nie obsadzić nimi każdego statku Gwiezdnej Floty? Cóż, można powiedzieć, że w czasoprzestrzeni Kerra stosuje się właśnie takie rozwiązania. To znaczy, że leżałem na kozetce z aparatem na głowie, nie zostałem zdeintegrowany czy wymazany z własnego umysłu, ani nawet nie zasnąłem i nie poniosłem żadnego uszczerbku - nie bardziej niż wtedy, gdy robiono mi zdjęcie. Pomimo pobudzania nerwów i psychotropów w organizmie nadal byłem sobą - przytomnym i świadomym, a nawet myślącym względnie jasno. Niczego nie czułem.

A może lepiej powiedzieć, że „ja”, które zostało i nadal jest tutaj po wykonaniu skanu, to „ja” nie czuje nic. Ale ów skan, bardziej pechowa wersja Jeda DeLandy, to ów hipotetyczny drugi Kirk - ten, który

znalazł się na planecie i musi sobie poradzić z Romulanami czy innymi obcymi. Ten Jed zostanie uwięziony w pomarszczonym, kostropatym ciele staruchy. Szlag. Pewnie umieranie na ospę jest piekielnie bolesne. Ale może biedaczka dostała chociaż opium. Nie, pewnie nie. Ten drugi Jed ma przerąbane, pomyślałem. Wybacz, bracie, ale musimy to zrobić.

Oczywiście podczas przekazu ten drugi Jed będzie tylko wzorcem, zestawem danych bez świadomości. Tylko kodem zapisanym w specjalnym protokole, który wynaleziono na potrzeby Projektu Zapisu Ludzkiej Świadomości. Ten kod przypomina trochę język programowania Assembler, tyle że na wyższym poziomie. W zasadzie, ponieważ kod przekazywany jest cyfrowo, można powiedzieć, że to po prostu liczba - złożona z ponad trylionu cyfr, ale nieróżniąca się niczym od innych liczb całkowitych.

W ciągu około sześciu godzin skan zrobiony metodą rezonansu magnetycznego oraz zapisy z encefalografu zostaną złożone w trójwymiarowy film obrazujący mój mózg w akcji, miliony elektrycznych i chemicznych reakcji mniej lub bardziej wywołanych przez test typu pytanie-odpowiedź. Neurony generują wtedy impulsy elektryczne o określonym napięciu, a procesy chemiczne wyzwalają ciepło i promieniowanie podczerwone. Każdy z tych elementów zostaje przeanalizowany i przypisany do odpowiedniego obszaru przez program. Potem wszystkie dane są sortowane pod kątem lokalizacji, siły i czasu trwania, a następnie przesłane do jednego z halitowych kryształów, gdzie dane zostają zintegrowane w przestrzeni matematycznej, gdzie sygnały elektrofizjologiczne nałoży się na matrycę biochemicznych i metabolicznych informacji. I wreszcie wszystko to zostanie zakodowane jako strumień danych. Kod w założeniu ma reprezentować, co o sobie myślę, wspomnienia, postawy i nawyki, racjonalizacje i mnóstwo sprzecznych samoocen oraz wszystko inne, co wywołuje złudzenia, niekoniecznie przekonujące. I te, z grubsza licząc, dwieście miliardów bitów informacji, które składają się na moją świadomość, moje id i ego oraz moje poczucie siebie, sos - Sense *Oi* Self - zostanie wysłane przez 2,4-gigaherzowy nadajnik przypominający wielki

głośnik, potem wiązką światłowodów dane popłyną przez korytarz i tylne schody do niewielkiej anteny parabolicznej na dachu plebanii. Z talerza dane trafią do satelitarnej sieci komórkowej Spartakus, przemkną po niewyobrażalnych sieciach łączy Pentagonu, a stamtąd do stacji przekaznikowej pod Meksykiem. Potem już tylko przez zwykłe łącza satelitarne przekazane zostaną do superszybkiego zderzacza cząstek, nowego pierścieniowego akceleratora o obwodzie ponad czteremastu kilometrów, który - jak dowiedziałem się z raportów - znajduje się obok ośrodka CERN na granicy francusko-szwajcarskiej. Zapis mojej osobowości zostanie utrwalony na twardych dyskach w systemie zderzacza - systemie pozwalającym zapisać ponad sześćset bilionów bitów.

To jednak mniej niż owe czterysta kwadrylionów bitów, które wyciągnięto z mojej głowy podczas sześciogodzinnej sesji. Pojawił się problem zapisywania informacji. W zasadzie na świecie nie istniały jeszcze komputery o wystarczająco pojemnej pamięci, by zmieścić wszystkie dane. Potrzebne byłoby ponad dwadzieścia miliardów pięćsetgigowych twardych dysków. Częściowo dlatego, że dane były cyfrowe, a nie analogowe. Jedynym urządzeniem zdolnym, by pomieścić taki ogrom informacji, był inny ludzki mózg. A mózg, który nas interesował, wysechł na wiór wieki temu. Dlatego należało go dopaść, kiedy jeszcze działał.

Sto lat temu, a szczególnie przez ostatnią dekadę, sporo się mówiło o podróży w czasie. Może dlatego, że ludzie powoli się przyzwyczaili, że fantastyka naukowa coraz częściej stawała się rzeczywistością. Te wspaniałe komputery osobiste, wycieczki na orbitę, nanochirurgia, wszystkie książki świata, muzyka i filmy, które można zmieścić w kieszeni, symulacje wirtualnego życia, mikrotechnologia, kriogenika, teledildo, świecące w ciemności zwierzątka - przy takich osiągnięciach łatwo było założyć, że w końcu ktoś rozwiąże kwestię podróży w czasie. Nic dziwnego, że tak wielu naukowców się tym pasjonowało. Podróż w czasie była niczym alchemia w średniowieczu. W tamtych czasach wyglądało to zapewne tak: „Pewnie, dajcie mi tysiąc miedzianych soldów, a przemienię je w czyste złoto do Wszystkich Świętych”.

Teraz to: „Dajcie mi jeszcze miliard, a będziemy mieć Kleopatę w biurze najpóźniej przed pierwszym wejściem na giełdę”.

Jak na złość jednak, czas okazał się trudnym orzechem do zgryzienia. A raczej - przeszłość się taka okazała. W przyszłość łatwo się dostać - wystarczy kriogenika. Ale wycieczka w przeciwnym kierunku wiąże się z dwoma sporymi problemami.

Po pierwsze, paradoks dziadka, rzecz jasna. Przez dłuższy czas sposobem na obejście tej sprzeczności była teoria wszechświatów równoległych. Jeżeli podróżnik cofnie się w czasie i zrobi, co mu się podoba, nawet zamorduje swojego dziadka, przyszłość będzie inna niż ta, z której przybył, rozegra się w równoległym wszechświecie. I wszyscy są szczęśliwi. Ale z tej teorii wynikają kolejne problemy. Na przykład, jeżeli istnieje tyle wszechświatów do wyboru, czemu nie przeskoczyć do takiego, który będzie doskonały: gdzie kupiło się Google'a w 2004, uncja mleka czekoladowego ma tylko jedną kalorię, a Bill O'Reilly nigdy się nie urodził, zatem nie usłyszy się jego wkurzających komentarzy komiczno-politycznych? Jednakowoż nie to jest największym mankamentem. Największym mankamentem teorii światów równoległych jest to, że według najnowszych eksperymentów i hipotez wszechświatów wcale nie ma nieskończenie wiele. A nawet gdyby ich tyle było, do żadnego nie można się dostać. Energia, którą promieniują obecnie czarne dziury, pochodzi z naszej przeszłości, nie z nieskończonej liczby przeszłości. Więc nawet jeżeli to nie jest jedyny wszechświat, to należy przypuszczać, że liczba uniwersów nie należy do wysokich. Co nie znaczy, że ten nasz jest wyjątkowy, rzecz jasna. Kiedy to omawialiśmy na jednym ze spotkań, Marena stwierdziła, że to tak, jakby zrobić tylko jeden odcinek ze Spockiem, choć przecież „Star Trek” nie mógłby się bez tej postaci obejść. Nikt z nas, włącznie ze mną, nie załapał analogii. Taro przedstawił to nieco lepiej. Powiedział, że granicę fizyki wyznaczają światy równoległe: tanie w teorii, kosztowne w praktyce. Czyli kiedy nie można zbilansować równań, zawsze można stwierdzić: „Och, reszta musi wejść do jakiegoś innego świata”. Nie dość, że to wykręt, to jeszcze w końcu ktoś inny rozwiąże równania bez teorii wielu wszechświatów. Polikosmiczny sen okaże się tylko ułudą.



Kolejny istotny problem podróży w czasie stanowi masa. Nietrudno jest znaleźć lub nawet zrobić czarną dziurę. W czarnej dziurze energia przepływa wstecznie w czasie. A jeszcze dokładniej: przepływ czasu w czarnej dziurze nie zależy wyraźnie od przepływu czasu w reszcie wszechświata - co więcej, czas w czarnej dziurze ma tendencję, by płynąć wstecz, dlatego czarna dziura wyparowuje. Nawet teraz istnieje energia z odległej przyszłości, którą wypływa osobliwość wcale nie tak daleko od Ziemi. Oczywiście to dla nas nic dobrego. Ale chodzi o to, że chociaż umieszczenie obiektu w czarnej dziurze, by automatycznie został wyrzucony w jakimś punkcie przeszłości, nie sprawi ogromnej trudności, to jednak obiekt ten zostanie całkowicie zniszczony na poziomie atomowym. Można wrzucić do czarnej dziury encyklopedię, ale do przeszłości dotrze jedynie jako ciepło i światło, czyli nic znaczącego.

Jednakże... Jednakże można wysłać coś innego. A konkretniej - nic, czyli coś, co nie posiada masy. Można wysłać energię.

W superzderzaczach cząstek strumień danych stanowiący moje sos zostaje przekształcony w zawierającą informację mapę falową. To również kompresuje sygnał, ściągając odległość między falami, dzięki czemu dane, których zebranie i ładowanie zajęło tyle godzin, w mniej niż czterdzieści sekund wybuchną po drugiej stronie. Strumień energii oparty na wzorze fal zostaje następnie wstrzelony odpowiednim torem w czasoprzestrzeń Kerr'a - wyobrażony doskonały okrąg w środku torusa zderzacza. Strumień przepływa przez pierścień około sześciuset tysięcy razy, przyspieszając tak, aż siła odśrodkowa wyrzuci go z pierścienia do stycznego z nim korytarza, gdzie znajduje się nowa instalacja elektromagnetyczna przygotowana specjalnie do tego, by stworzyć i utrzymać miniaturowe tunele czasoprzestrzenne Krasni-kowa.

Minęły już cztery lata od ogłoszenia przez gang z Wielkiego Zderzacza Hadronów, że udało się stworzyć mikroskopijną czarną dziurę. Stworzenie tuneli czasoprzestrzennych jest podobnym procesem, a nawet pod wieloma względami łatwiejszym. Czarne dziury posiadają bowiem horyzont zdarzeń, sprawiający tylko kłopoty. Tunele czaso-

przestrzenne - nie. Tunele mają dwa otwory, końce - oba zresztą niezbędne do podróży w czasie - a czarna dziura tylko jeden. No i żeby utrzymać czarną dziurę przez odpowiednio długi czas, szczególnie gdzieś blisko powierzchni Ziemi, potrzeba energii kilku słońc.

Utrzymanie tunelu czasoprzestrzennego jest łatwiejsze. Jednak nawet zwykły - jeżeli można tak powiedzieć - tunel czasoprzestrzenny wymaga zaawansowanej inżynierii i mnóstwa energii. Podstawowa czarna dziura, powiedzmy tunelu Schwarzschilda w czasoprzestrzeni  $R^1 \times S^2$  wygląda tak:  $ds^2 = -(1 - r_s / r) dt^2 + (1 - r_s / r)^{-1} dr^2 + r^2 d\Omega^2$ , kiedy  $\Omega$  to parametr gęstości i gdzie  $r_s = 2GM / c^2$ , a  $d\Omega^2 = d\theta^2 + \sin^2\theta d\varphi^2$ . Oczywiście  $M$  to masa cząsteczkowa,  $G$  - stała grawitacyjna,  $\theta$  - zakrzywienie,  $r$  - promień, a  $d$  - odległość. W każdym razie, jeżeli się przyjrzeć dokładniej, okazuje się, że na jej wlot działają potężne siły pływowe i bez wsparcia energii dziura się zapadnie. To po prostu część systemu czarnych i białych dziur. Ale wariant Krasnikowa ma metrykę Kerr'a:  $ds^2 = \Omega^2(\xi)[-dt^2 + d\xi^2 + K^2(\xi)(d\theta^2 + \sin^2\theta d\varphi^2)]$ , gdzie

$C$  i  $K$  są funkcjami dodatnimi, a

$$K = K_0 \cos \xi / L \text{ at } \xi \in (-L, L), K_0 = K(0)$$

i  $K$  jest stałe przy  $\xi$ . Jest zatem bardzo, bardzo stabilny. Do tego również statyczny, wystarczy mu niski poziom energii, nie potrzebuje egzotycznej materii i jest sferyczny symetrycznie. Na pierwszy rzut oka nie wygląda nawet na tunel czasoprzestrzenny, ale jeżeli się zmieni koordynaty:  $r = B^{-1}\Omega_0$  przy  $B\xi$ , z  $t = B\tau$ , wówczas można go dowolnie spłaszczyć, wystarczy zwiększyć  $r$ . I można go zagiąć w używalny tunel o długości  $\Omega_0 L$  i wejściu o promieniu minimum  $(\Omega K)$ . Oczywiście, aby rozszerzyć je na tyle, by można było w nie wejść, trzeba by jednak dorzucić parę planet do pieca fuzji. Ale bardzo mała wersja nie potrzebuje wytworzenia aż tak wielkiej energii do działania lub utrzymania jej, aby nie zapadła się w jądro Ziemi. Najwęższy punkt naszego maluszka jest tylko odrobinę szerszy niż atom wodoru. Lecz dopóki jest szerszy niż foton, informacja może przezeń przejść. Pulsujące promieniowanie gamma - chociaż tak naprawdę ma zupełnie inną długość fal, raczej ze spektrum twardego promieniowania X niż gamma, ale pozostajmy przy gamma, brzmi bowiem tak staroświecko, jak z czasów podboju kosmosu i zimnej wojny - wpada do wlotu

tunelu czasoprzestrzennego, zbiega się w jego gardle, a potem podąża krzywizną, by skąpać izdebkę *sor* Soledad zapisem mojego umysłu.

Ale nawet wtedy, choćby z powodu fluktuacji kwantowych, utrzymanie takiego otworu dłużej niż parę mikrosekund wymagałoby ogromnej energii. Na szczęście - dzięki ulepszeniom, na jakie wpadli badacze ze zderzacza - nie było to wcale potrzebne. Z grubsza rzecz biorąc, wystarczy stworzyć nowy tunel w tym samym miejscu. A dokładniej: wyprowadzić według rozkładu Cauchyego takie samo określone zakrzywienie hiperpowierzchni. I kolejne, a potem kolejne. Promienie gamma, w których zakodowana została moja świadomość, przejdą w częściach przez te tunele, po czym jak seria wyjdą po drugiej stronie, czyli u celu - w punkcie czasoprzestrzeni znajdującym się w przeszłości w stosunku do miejsca i czasu, skąd zostały wysłane.

Najtrudniejszą częścią był kolejny etap, czyli opracowanie współrzędnych docelowych. Ashley Dwa powiedziała, że zajęło to więcej czasu i obliczeń niż poskładanie do kupy wszystkich aspektów czasoprzestrzeni Kerra. Wierzyłem jej. Chociaż pracowała dla Taro, mogła się pochwalić dyplomem z fizyki eksperymentalnej na Uniwersytecie Nauki i Techniki w Pohang.

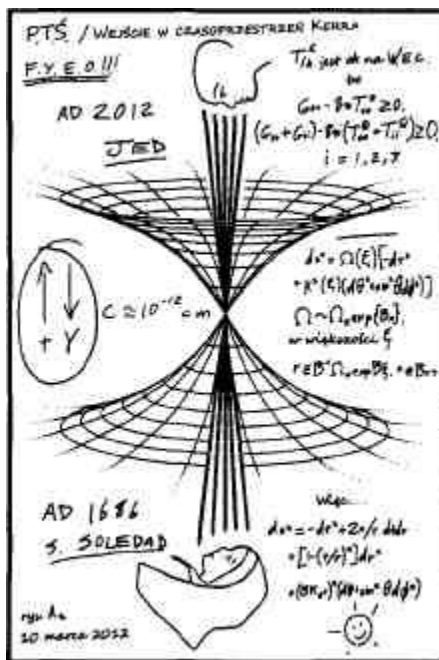
Człowiek, nawet jeżeli pozornie siedzi nieruchomo, w ciągu minuty przemieszcza się o około osiemdziesiąt pięć tysięcy mil w przestrzeni kosmicznej. Dlatego gdyby promień zawierający moje sos wynurzył się w przeszłości w tym samym miejscu, skąd został wysłany, trafiłby w nicłość, mniej więcej w połowie drogi między Słońcem a Alfa Draconis. Trzeba było zatem trochę pogłówkować. Oczywiście GPS przesyłał naszą dokładną pozycję do Szwajcarów, więc teraźniejszość nie stanowiła problemu. Ale należało również ekstrapolować lokalizację z przeszłości, by określić punkt czasoprzestrzeni, gdzie większość, a przynajmniej wiele atomów z celi siostry Soledad znajdowało się dokładnie 170 551 508 minut temu.

To wymaga zestrojenia około 1 do  $10^{32}$ . A dane o pozycji Ziemi nie sięgają, rzecz jasna, tak daleko w przeszłość. Nawet przy użyciu zapisów o zaćmieniu i innych astronomicznych zdarzeniach przybliżenie w przypadku Anno Domini 664 było bardzo, bardzo duże. Oczywiście

Słońce też się porusza. Tak samo jak Ziemia - kurczy się i czasami rozpala mocniej. Drży wokół swojego plazmowego jądra. Reaguje na meteory i kosmiczne wiatry. Na precyzji astronomii nie można było polegać; określenie punktu docelowego odbyło się starą jak ludzkość metodą - prób i błędów. Strzelano energią w środek świeżo ściętego kawałka drewna, znajdującego się na stole w piwnicy. Zakrzywiano promień tak, by pojawił się pięć minut wcześniej - co oznaczało, że jeżeli spudłowano, emisja trafiała w próżnię, kilka tysięcy mil od punktu, w którym znajdowało się jej źródło - a promień gamma przyspieszał izotopy węgla w rdzeniu pnia, by rozkładały się nieco szybciej niż te na powierzchni. Kiedy się udało, zespół zaczął celować głębiej w przeszłość, do starych budynków o dobrze udokumentowanej historii - starych kopalni przy opuszczonych osadach górniczych i porzuconych puebli wokół Bryce Canyon, zalewając fundamenty wybranych lokalacji promieniowaniem radioaktywnym. Po czym wywiercano próbki, badano je - co zwykle okazywało się bezowocne, więc szukano kilka stóp dalej i o kilka milionów mil w przód lub w tył na drodze Ziemi przez uniwersum. Obliczenia okazały się niezwykle trudne, a rozwiązania miały wiele wariantów. Nawet wewnętrzny ruch planety, który - jak się mogło wydawać - nie jest szczególnie duży lub znaczący, zmieniał wyniki. Pod powierzchnią, jak wiadomo, jest wielkie bagno, a to wywołuje wahania ruchu obrotowego tak chaotyczne, że bliskie losowym. A trzeba było jeszcze uwzględnić takie czynniki, jak dryf płyt kontynentalnych, erozję, zmiany poziomu morza w stosunku do jądra Ziemi, drobne zmiany orbity wywołane przelatującymi kometami i tysiące innych. Podobny problem był z obrotem Słońca i Drogią Mleczną. Jednak przez ostatnie dwa lata udało się całkiem nieźle odgadnąć, gdzie w przeszłości znajdowała się nasza planeta, i wytyczyć jej szlak wokół Słońca, ruch w systemie planetarnym, w galaktyce i w ogóle w naszym rozszerzającym się wszechświecie.

Na szczęście, drugi koniec tunelu czasoprzestrzennego nie musiał podróżować tak daleko. Nie trzeba było go umieszczać na statku kosmicznym i przenosić do Vegi czy w jej okolice. Zostawał z nami na Ziemi i z Ziemi go wykrzywiano, dzięki temu energia, którą wy-

słano takim korytarzem, wychodziła w innym punkcie przestrzeni i czasu. Szczerze mówiąc, projekt podróży w czasie rozpoczął się dawno temu, w 1988 roku, jako część programu kosmicznego NASA. Od lat dziewięćdziesiątych Warren kontynuował badania, koncentrując się bardziej na aspekcie czasu. A dzisiaj dzięki tym badaniom - nadal prowadzonym w Centrum Badawczym imienia Josepha Amesa w Mountain View w Kalifornii - można określić dowolną pozycję na powierzchni Ziemi w czasie określonym co do sekundy. To jak wypuszczenie strzały w niebo i trafienie w oko Tralfamadorianina w najdalszym zakamarku Tytana - jak w powieściach Kurta Vonneguta. Przy założeniu, że to wszystko działa, strumień danych wynurzy się z tunelu czasoprzestrzennego w odpowiednim miejscu przestrzeni i w określonym punkcie przeszłości - w tym konkretnym przypadku: w celi *sor* Soledad, trzy dni przed śmiercią zakonnicy. Asystentka Taro, Ashley Dwa, na ostatnią prezentację dla Boyle'a wykonała szkic, który pokazuje, że to w sumie całkiem proste:



Podobnie jak system Kerra, Protokół Transferu Świadomości też nie był wynaleziony na potrzeby podróży w czasie. I również rozpoczęła się skromnie, a potem rozrósł przez dekady. W latach osiemdziesiątych zeszłego stulecia były to badania płazińców przepływających przez proste labirynty, jakie prowadzono na uniwersytecie w Illinois. Jeden z robaków nauczył się ścieżki, a badacze nagrali pulsowanie jego małego splotu nerwowego i wyemitowali promieniami Roentgena zapisany wzorec do innego robaka, a ten nauczył się poruszania w labiryncie nieco szybciej. Celem badań było odkrycie metody chirurgicznej, która pomoże połączyć części mózgu dawcy z mózgiem biorcy, by ułatwić transplantację. We wczesnych latach dziewięćdziesiątych zamiast płazińców badano makaki, a w 2002 dział badawczy Warren Group wykonał pierwszą próbę na śmiertelnie chorych ochotnikach z Indii i Brazylii. Dwa lata temu odbyła się ostatnia prawdziwa próba z udziałem ludzi - pierwszy test protokołu, o którym wspomniała mi Marena w Paliku. Załadowano wtedy zapis świadomości Tony ego Sica do mózgu sześćdziesięcioletniego mężczyzny z Hondurasu, który umierał na raka żołądka. U Sica nie pojawiła się utrata pamięci, nie zniknęły żadne istotne wspomnienia czy zdolność myślenia, nie doszło też do zmiany osobowości. A przynajmniej tak mi powiedziano.

Odnosiłem jednak wrażenie, że zrobiono inne testy, o których mi nie wspomniano. Najpewniej wykonano podobną próbę, ale tym razem wysłano dane Sica do osoby z przeszłości. Ale nic na ten temat nie znalazłem w dostępnych materiałach. „Są sprawy tak nielegalne, że nikt nie chce o nich wiedzieć” - powiedziała Marena, jakby inne wystęпки, o jakich się dowiedziałem, były tylko drobnymi stłuczka-mi samochodowymi.

A przecież to, co robiliśmy, nie było wcale przyjemne. Zanim rozpoczęto przesyłkę mojej świadomości, Szwajcarzy strzelili wiązką fotonów w takiej konfiguracji, która miała oszołomić *sor* Soledad albo, jak to ujęła Ashley Dwa, oczyścić pole. Tak zwane niższe funkcje mózgu zakonnicy, jak doznania zmysłowe lub zdolność ruchu, pozostaną nienaruszone. Fala oczyszczająca nie miała również wpływać na pamięć noetyczną, jak semantyka i orientacja w przestrzeni,

czyli umiejętności takie jak zejście po schodach lub wiedza, jak się porozumiewać przy pomocy języka. Ale pamięć epizodyczna, wspomnienia zdarzeń, przypominają zbiór wielokrotnych kopii. Można powiedzieć, że Protokół Transferu Świadomości przypomina drukowanie fotografii lub raczej holozdjęcia. Negatywy holograficzny zawiera dwuwymiarowe dane o długości fali świetlnej odbitej od obiektu, ale kiedy przezeń przepuści się światło, promienie układają się tak, jakby odbiły się od przedmiotu, którego nie ma. Każdy bit hologramu jest całym obrazem - można przeciąć negatywy na pół, a nadal uzyska się cały trójwymiarowy obraz przedmiotu, choć może mniej ostro.

Jednak, by ujrzeć i rozpoznać taki obraz, potrzebne jest ludzkie oko. Tak jak trójwymiarowe zdjęcie, zapis mojej świadomości był tylko szablonem. Okazywał się użyteczny jedynie jako sposób organizacji innego systemu, a - jak chyba wspomniałem wcześniej - na obecnym stopniu rozwoju technicznego jedyny system dość duży i skomplikowany, by wykorzystać taki szablon, to inny ludzki mózg.

Zaletę stanowiło przynajmniej to, że zapis mojej świadomości -sos - nie musi być interpretowany. Na ile to możliwe, stanowił kompletną całość i żaden człowiek lub program, który pracował nad kodowaniem, nie musiał wiedzieć, który impuls zawiera jakie wspomnienie lub wywołuje takie, a nie inne czynności lub reakcje - nie bardziej niż aparat, który również nie ma pojęcia, czy fotografowana twarz się uśmiecha. Dopóki interwały między szczytami fal są dokładnie odmierzone, by naśladowały pracę hipokampu - a długoterminową pamięć zarządza hipokamp właśnie - dopóty kora mózgową będzie przekonana, że otrzymuje dane z wewnątrz.

Oczywiście wiele zależy od fotonów gamma, a te mogą wyrządzić sporo szkód. Dlatego aparat Gamma Knife jest najgorętszym narzędziem w mikrochirurgii. W przypadku transmisji mojego sos gospodyni - tak grupa badawcza lubiła nazywać *sor* Soledad, jakby zakonnica nas do siebie zapraszała - będzie wystawiona na prawie dwa siwerty radiacji, dawkę może nie od razu zabijającą, ale dość silną do wywołania nowotworu lub wymazania osobistych wspomnień, jak na przykład wygląd ojca lub sukienki z pierwszej komunii - pamięć

zakonnicy zostanie zmieniona. A to sprawi, że *sor* Soledad nagle dozna amnezji następczej.

Zatem to, co robimy, nie jest wcale dalekie od morderstwa. Nie, powiedzmy sobie szczerze - to jest morderstwo.

Według Taro, który co prawda nie jest neurobiologiem, ale na swój matematyczny sposób rozumie wiele z naukowych zagadnień związanych z projektem podróży w czasie, pierwsze testy wyszły niejednoznacznie. Testowani ludzie przejmowali część wspomnień, ale nie dość dużo, albo przesłane wspomnienia były interpretowane błędnie, albo powstawało zmieszanie się wspomnień już posiadanych z nadpisanymi i poczucie zagubienia u gospodarzy. Może biedny facet z Hondurasu zastanawiał się, kim jest - sobą czy Tonym Sikiem - czy po prostu oszalał. W zeszłym roku jednak wynaleziono rozwiązanie tego problemu: całkowite czyszczenie.

Umysł nie przechowuje wspomnień lub umiejętności w jednym miejscu. Są one rozłożone na różnych obszarach sieci neuronowej, a niekiedy nawet na innej korze. Dlatego możemy wysłać każdą porcję promieniowania gamma wiele razy. Jeżeli jakieś moje wspomnienie nie trafi w określony obszar mózgu *sor* Soledad, istnieje spora szansa, że osiadzie w innym miejscu przy kolejnym pakiecie wystrzelonym promieniami gamma. Taka strategia wykorzystuje to, że wspomnienia nie są zazwyczaj nadpisywane w pamięci. To znaczy, że kiedy neuroony zostaną oszołomione, wprowadzone w stan amnezji po przejściu fali czyszczącej, będą wyjątkowo chętne do tworzenia nowych połączeń. Jeżeli zatem jakieś informacje zapiszą się w danym obszarze siatki neuronowej, kolejne indukowane wspomnienie będzie musiało się zagnieździć w innym miejscu.

Prawdopodobnie, jeżeli mózg docelowy jest zdrowy, wszystko, co potrzebne, abym był sobą, zostanie gdzieś zapisane. Chociaż stare przekonanie, które głosi, że człowiek wykorzystuje tylko dziesięć procent swojego mózgu, nie jest do końca prawdą, jednak w umyśle pozostaje sporo miejsca na magazynowanie pamięci. Nie żeby to miało tym razem znaczenie. W każdym razie fale są wysyłane przez wiele godzin, ale mózg *sor* Soledad się nie ugotuje. Doświadczy natomiast



czegoś podobnego do serii krótkich, miejscowych udarów - obliczonych na to, by wyłączały świadomość - po których umysł zacznie dochodzić szybko do siebie. Uformuje nowe połączenia i powstaną nowe nawyki, EEG się ustabilizuje. A kiedy mózg odzyska sprawność -szczególnie przez pierwsze kilka godzin, ale także później jeszcze przez parę dni - zacznie układać wspomnienia tak, by zrobić miejsce dla nowych. I będzie reagował, uczył się i funkcjonował normalnie. W ten sam sposób umysł człowieka podczas snu nadaje sens przypadkowym bodźcom z receptorów czy nerwów ruchowych, przekładając je na mniej lub bardziej spójne śnienie. I tak samo mózg przeoryszy uleczy się, zapisując nowe wspomnienia odpowiadające moim, a nawet tworząc sposób pojmowania świata, który będzie podobny do mojego na tyle, że osoba, która wówczas zaistnieje, będzie myśleć jak ja o sobie. Jednakże ten nadpisany mózg nie będzie dokładną kopią mojego. Powstanie tak, jakby *sor* Soledad oglądała bardzo szczegółowy film z mojego życia, a po wyjściu z kina okazało się, że nie pamięta swojego życia, lecz sądzi, że przeżyła moje.

Tak naprawdę, jeżeli wszystko się uda, zakonnica nie będzie nawet świadoma różnicy. Będzie leżeć na pryczy, spoglądając na krucyfik wiszący na ścianie, i zacznie zapominać. Jej twarz zrobi się gorąca od wzrastającego ciśnienia krwi w naczyniach biegnących przez rdzeń kręgowy i szyję, podczas gdy miliony neuronów będą wysyłać impulsy raz po raz aż do niemal całkowitego wyczerpania. Technicznie rzecz ujmując, wystąpią krótkie okresy neuronowych wybuchów, a potem nieco dłuższe okresy stłumienia. Rytm oddechu czy praca jelit oraz inne funkcje narządów zapewne nie ulegną zmianom, ale zakonnica zacznie powoli zapominać, kim jest, gdzie się znajduje, a potem nawet jak się mówi. Jednak jeszcze później, jak mięśnie zwiększające swoją sprawność po dużym wysiłku, jej neurony połączą się w nowe ścieżki i w niedługim czasie kobieta stworzy sobie poczucie tożsamości, które - gdybym ją spotkał - rozpoznałbym jako własne.

Ale, oczywiście, nigdy jej nie spotkam. W 1686 roku przeoryszy pozostaną dwa dni życia, zrobi kilka rzeczy - tajemniczych, o których jeszcze nie ma słowa w historycznych zapisach - a potem umrze.

Odejdzie w habicie, jaki nosiła wcześniej, nie zostanie zabalsamowana, ani nawet umyta - w owym czasie oblubienice Chrystusa ufały, że czystość duszy ochroni je przed zgnilizną świata - lecz jedynie zamknięta na rok w przewiewnym pomieszczeniu w *almacen*. Następnie zostanie przeniesiona tam, gdzie spoczywa do dziś. A gdyby *sor* Soledad mogła widzieć swoimi wyschniętymi oczyma, ujrzałaby przez okienko w trumnie postacie, starzejące się zakonnice kuśtykające po kaplicy, modlące się i obracające w proch, a potem nowe siostry i księży, a później obcych, następnie obcych w dziwnych, nieskromnych strojach, przybyszy, oglądających ją przez przeszkłone otwory i niezdradzających najmniejszych chęci do modlitwy. A pewnego wieczoru z nawy zacznie padać dziwnie kolorowy blask. Następnego wieczoru również tak się stanie i następnego. I tak przez cały czas. Świece ofiarne, rozjaśniające kaplicę przez większość nocy, zbledną, lecz nie zgasną. A potem - pewnego popołudnia, nieróżniącego się od niezliczonych wcześniejszych - *sor* Soledad ujrzy Marenę, doktor Lisuarte, Grgura, Hitcha i mnie, jak z lekkim wahaniem nadchodźmy, by sprofanować jej szczątki.

- Możesz obudzić śpiącą królową? - zapytała Marena Grgura, który deptał jej po piętach wraz z Hitchem. - Dziękuję - zwróciła się do księdza.

Włączono halogen i skierowano światło na *retablo*. Gotycki nastrój, jaki panowałby zapewne w kaplicy, prysł. *Padre* Panuda wszedł ze stołeczkiem i usiadł przed trumną. Wyciągnął pęk kluczy - było ich chyba ze sto, o ile nie więcej, wiszących na pętli z zielonej dwudziestofuntowej linki wędkarskiej - wyłuskał właściwy, wcisnął w stary zamek Yale, po czym spróbował podnieść wieko z ciemnej dębiny. Zacięło się i nie ustąpiło. Książk wstał i szarpnął. Trumna drgnęła, ale wieko nie. Hitch wyciągnął mały łom ze swojego zestawu narzędzi, ale nawet z pomocą dźwigni się nie udało.

W końcu Grgur zauważył gwoździe o kwadratowych główkach, którymi przybito wieko. Wyciągnął je scyzorykiem. *Padre* Panuda szarpnął jeszcze parę razy i tym razem udało się otworzyć trumnę. Zgrzytnęło. Z wnętrza uniósł się zapach suszonych roślin, jakby ba-

zyli i starych róż. Ksiądz pochylił się i odsunął zasuszone bukieciki. Płatki kwiatów rozpadły się i nad trumną uniosła się chmura pyłu.

-*Mejor hacemos nosotros esta cosa* - odezwała się Marena zaskakująco dobrze po hiszpańsku. „Lepiej zajmijmy się tym sami”. Ksiądz zgodził się, pobłogosławił raz jeszcze miejsce, po czym wyszedł. A my we troje staliśmy tylko i przez długą chwilę patrzyliśmy na ciało.

-*Me da rabia* - przerwał ciszę Hitch. Powiedział, że czuje, jakby go paliło w środku. Ręka mu drgnęła, może chciał wykonać znak krzyża.

-I tak wszyscy pójdziemy do piekła - stwierdziłem.

-Puśćmy Jeda przodem - nakazała Marena. - Piekło jest wszędzie.

-W porządku, ufam ci - zapewniłem.

-Ależ proszę, ty przodem.

-Wiem na pewno, że nie masz ukrytego asa w rękawie.

-Oczywiście, że nie. Po prostu tobie się to należy. Poważnie. Zrób to.

-Dobra, jak chcesz. - Pochyliłem się nad szczątkami. Lisuarte uznała wcześniej, że jestem trochę nadpobudzony, i zaaplikowała mi strzykawką bezigłową jakiś uspokajacz, więc trochę się chwiałem. Sięgnąłem do trumny i zacząłem przeszukiwać fałdy samodziałowej tkaniny i muślinowo-bawełniane halki tuż przy kroczu. Materiał był stary, tłusty i kruchy - rozdzierał się, choć ledwie go dotknąłem. Ale ciało zmumifikowane przez powietrze zachowało się w lepszej kondycji. Pod tkaniną niemal ciemnozielona skóra opinała kości miednicy, które przypominały delikatny abstrakt, jaki mógł powstać pod dłutem Henry'ego Moore'a. Przesunąłem dłoń po prawej kości biodrowej i niżej, pod kątem czterdziestu pięciu stopni, nacisnąłem, by odnaleźć wzgórek łonowy. Nie było łatwo, skóra była tu twarda, ostra, a pod nią wyczułem tłuste pasma. Przemiana tłuszczowo-woskowa.

Odnalazłem chyba srom, niczym wyschnięte, skamieniałe liście, i wsunąłem palce w pochwę mumii.

Biedna kobieta. Oczywiście robiłem to z jedną lub dwoma powiedzmy dojrzałymi paniami, ale to był zupełnie nowy wyczyn. Roz-

luźnij się, mała... Natrafiłem na coś, co w pierwszej chwili uznałem za kość ogonową, ale zaraz uświadomiłem sobie, że właśnie tego szukałem. Chwyciłem ostrożnie między palce. Zalała mnie fala ulgi i niepokoju, nadałem się jak ludzik Michelina, a potem opadłem jak przekłuty balon. Wyciągnąłem rękę i ułożyłem znalezisko na dłoni. Małe, sześciokątne pudełko w rozmiarze fiolki na duże tabletki wapna z magnezem, czarne, ale chyba wykonane z miedzi. Znaczyły je złogi *adipocera* - kwasów tłuszczowych i mydeł powstałych w procesie saponifikacji zwłok. Oczyszcziłem pudełko kciukiem. Nie miało zamknięcia. Przypuszczalnie służyło do przechowywania igieł lub podobnych drobiazgów. Lisuarte rozłożyła ręcznik na posadzce, postawiła latarkę i szkło powiększające, a ja położyłem pudełko i dopiero teraz się mu dokładniej przyjrzałem. Wśród tłustych śladów jeden wydawał się jakby z czerwonego wosku. Po długiej chwili manipulowania szczypcami i haczykiem stomatologicznym udało mi się otworzyć wieczko. W pudełku znajdował się czarny mały zwój. Ująłem go szczypcami i ułożyłem na plastikowej tacy. Wyglądał jak płatek metalu. Zacząłem rozwijać go ostrożnie, a wtedy okazało się, że to faktycznie trójkątny arkusik wyklepanego srebra, wielkości co najwyżej znaczka pocztowego. Może *sor* Soledad odłamała go z cy-borium lub podobnego naczynia? A raczej - to ja.

Arkusik wyglądał na pusty, ale kiedy na niego chuchnąłem, pojawiły się wydrapane igłą litery - mieszanka hiszpańskiego i mojego ostrego, pochylonego charakteru pisma.



Rosalba Beker  
Shoorenacerygdeliditshallhadon —  
Wheubwun —  
L Y D X F E L T J Z B A X A Z I B H F K D E X I B E C G X A F F P L A M C A K D E F  
A R K D H X I Z F B H K A P Y B E C X A X D Z P A D X A C Y L Z C A T X F K H  
Turto-Diol

I to wszystko.

Co to ma niby znaczyć? - pomyślałem. „Tonto did”. Tonto zrobił? Ale co? Nie rozpoznałem też ciągu liter i liczb. Och. Nie wiem, czy ogarnęło mnie rozczarowanie, strach czy oszołomienie. Miałem tylko wrażenie, jakbym zerwał się na równe nogi po godzinie leżenia i relaksacji. Dużo później Marena przyznała mi się, że chwyciła mnie za ramiona, bo bała się, że upadnę - ale nie pamiętam, żebym poczuł jej dłonie.

- Łał. Gratulacje - powiedziała, zapewne po bardzo długiej chwili ciszy.

Nie zareagowałem.

-Jed? Dobrze się czujesz?

-Tak... - mruknąłem.

-Ale coś jest nie w porządku.

-To ten niejasny zapis.

Wyślizgnęli się z nami cicho, bardzo w stylu zen, jak węgorce. Mu-szę przyznać, to była niezła akcja, nie tak głośna jak regularna operacja wojskowa. Chyba nie wspomniałem dotąd o wojnie. Może dlatego, że jak wszystkie wydarzenia polityczne w Ameryce Łacińskiej, to stara historia. Krótko mówiąc, trzy dni po ataku w Orlando, Gwatemala oznajmiła, że należy ponownie negocjować wszelkie ustalenia, jakie podjęła pod presją USA i NATO, ponieważ sytuacja polityczna uległa zmianie, a Stany Zjednoczone są w rozsypce. Zażądała również, by Belize przyznało gwatemalskim inspektorom uprawnienia policji. Dlaczego w ogóle w Belize znajdowali się gwatemalscy inspektorzy, to kolejna długa historia, ale chodzi o to, że wielu z gwatemalskich kryminalistów tutejszych bojowników o wolność przeszło w Belize do podziemia, a rząd Gwatemali naciskał, by wytoczyć im procesy. Problem w tym, że Gwatemala zawsze uważała Belize za swój dwudziesty trzeci *departamento* i przy każdej okazji próbowała to udowodnić.

Naturalnie, władze Belize odmówiły wydania kryminalistów/bojowników i aresztowały inspektorów. Gwatemalczyki wysłali zatem oddziały zbrojne na granicę. Dwudziestego dziewiątego stycznia gwatemalska wioska pod Peten została ostrzelana belizeńskimi pociskami. Rząd Belize twierdził, że pociski chemiczne zabiły pięciu żołnierzy. Gwatemalczyki oświadczyli, że ta sama broń zabiła stu czterdziestu dwóch cywilów, przebywających w szkole. Parlament gwatemalski

wypowiedział wojnę. Oczywiście kilka tygodni wcześniej wmieszałyby się Stany Zjednoczone, ale teraz były zajęte porządkami u siebie. Przed dniem, który wybraliśmy na wyjazd - sobota, siedemnasty marca - konflikt ograniczał się do sporadycznych potyczek w pobliżu Benque Viejo del Carmen. Nic wielkiego. Oznaczało to jednak, że nie tylko mnie zależy na przejściu przez Gwatemalę incognito. Może gdyby nie chodziło o mnie, ludzie z korporacji Warrena przeszliby przez posterunek graniczny przy pomocy blefu, fałszerstwa lub łapówek, ale uznali, że lepiej polegać na sprawdzonych metodach starej szkoły i przeskoczyć granicę nielegalnie. Najpierw zabrano naszą piątkę: Marenę, Michaela, Grgura, Hitcha i mnie, a następnego dnia zaplanowano przeszmugłowanie pozostałych członków zespołu - rzecz jasna, innym szlakiem. Mieliśmy się spotkać wszyscy na rogatek San Cristóbal Verapaz.

Byliśmy dwadzieścia pięć mil na południe od Palika, w małej osadzie Pusilha. W późnym okresie klasycznym Majów było to z pewnością ważne miejsce, ale teraz wcale na takie nie wyglądało. Siedzieliśmy na plandekach w baraku, jaki archeologowie postawili parę lat temu. Och, przez *MY* rozumiem naszą piątkę - *mojados*, czyli nielegalnych imigrantów, Anę Vergare, tę samą dziewczynę jak z Zielonych Beretów, która zabrała nas z Florydy, oraz jej zastępcę, chłopaka w typie komandosa o nazwisku... hm, zaraz. Nie warto sobie zawracać głowy wymianianiem nazwisk pomniejszych współników naszych zbrodni. Czekaliśmy, aż zapadnie ciemność. W baraku znajdowały się dwa stoły, stos starych ramek na zdjęcia, mnóstwo mioteł i szczotek. Michael wygładził plandekę i położył się spać. Hitch usiadł i zajął się przeglądaniem swoich narzędzi. Marena rozmawiała z Aną. Nad nami terkotały helikoptery przelatujące z północy na południe nad granicą. Ana wręczyła mi dużą kopertę i powiedziała, że są w niej najbardziej kompromitujące mnie informacje, więc przejrzałem zawartość przy świetle z ekranu komórki. W kopercie znajdował się porządnie wyświechtany amerykański paszport i przyjemnie gruby portfel. Paszport był prawdziwy, żadna podróbka, i należał do niejakiego Martina Cruza, dziennikarza i podróżnika. Co więcej, wzmian-

kowany podróżnik i dziennikarz znajdował się w stolicy Gwatemali, choć nie pokazywał się władzom. Nad jego biogramem i artykułami spędziłem pół dnia - musiałem się ich nauczyć na pamięć.

Zajrzałem do portfela. Znalazłem tam dwie międzynarodowe karty debetowe na pięć tysięcy dolarów, kartę American Express Thulium, eleganckie prawo jazdy na nazwisko Martina Leona Cruza, ale z moim zdjęciem, tysiąc sto pięćdziesiąt pięć dolarów w dwudziestkach i piątkach oraz dwa tysiące czterysta gwatemalskich quetzali, czyli równowartość około dwustu dolarów - chociaż nie mogłem pojąć, jak można było tak bezwartościowej walucie nadać nazwę po porządnym i cennym ptaku - oraz trochę starych drobiazgów, które miały uwiarygodnić moją tożsamość: parę starych rachunków za taksówki i restauracje, a nawet trochę kurzu i kłaczek. I, oczywiście, także międzynarodową legitymację prasową „National Geographic”.

Ach, och, pomyślałem.

-Marena? - mruknąłem.

-Tak? - Przysiadła się bliżej.

-Ach... Wiesz, że „National Geographic” to przykrywka dla agentów CIA?

-No, i co z tego?

-To znaczy, że dostałem tę legitymację właśnie od CIA.

-Owszem.

-I tak się zastanawiam, co tu się dzieje?

-To znaczy?

-To znaczy dla kogo właściwie pracujemy?

-Tylko dla Lindsaya.

-Możesz to zagwarantować?

-Tak. O ile wiem. - Zamilkła na chwilę. - Słuchaj, na pewno Lindsay poprosił ambasadę USA o parę przysług, ale owszem, mogę zagwarantować, że agencja nic nie wie. No, Jed, pomyśl. Gdyby jakaś gruba ryba z Waszyngtonu dowiedziała się o projekcie, już dawno by go zamknęto.

-Czy ja wiem? Ostatnio dużo dziwnych rzeczy się dzieje.



- Jesteśmy za daleko dla jakiegokolwiek agencji rządowej.
- Mam po prostu ostrą alergię na koleśki z agencji. Zresztą wiesz, o co chodzi - to prawdziwe zbiry...
- Świetnie - prychnęła Marena. - Więc pieprz to, spadaj. Wycofaj się.
- Nie zamierzam - zapewniłem. - Chcę po prostu wiedzieć, czy jesteś pewna...
- Niczego nie jestem pewna poza tym, że nie zawsze można się rozmyślić. A tę legitymację masz na wypadek, gdyby nas złapano. Ale tak się nie stanie.
- Za Nic wybuchnie, jeżeli ją zobaczy.
- No, to jego... Słuchaj, to twój przyjaciel. Co mam ci powiedzieć?
- Nic, jasne. Nieważne.
- Dobrze.
- Może tylko powiedz, że nikt nie wspomni o legitymacji prasowej „National Geographic” w obecności Za Nic, dobrze?
- Osobiście ostrzegę każdego, by nawet nie ważył się wypowiedzieć nazwy „National Geographic” - przyrzekła.
- Dzięki.

Marena pewnie ma rację, pomyślałem. Może ludzie od Warrena jednak wiedzą, co robią. Przyjrzałem się, na ile mogłem - dyskretnie, ludziom z Działu Wykonawczego. Chociaż stacjonowali zazwyczaj w Afryce Południowej, ostatnio zaskakująco wiele zadań wykonywali w Ameryce Łacińskiej. Takich jak ochrona odwiertów ropy czy - jak się domyśliłem - rozwiązywanie problemów z handlem i produkcją narkotyków. Wydawali się naprawdę doskonale wyszkoleni. A Cruz może nawet pisywał czasami dla „National Geo”, choć w jego aktach jakoś tego nie dostrzegłem. Ale przecież muszą tam pracować także normalni ludzie, nie agenci, prawda? Zresztą moja legitymacja prasowa nie była tak istotna. Michael Weiner miał coś naprawdę imponującego. Pozwolono mi zajrzeć do teczki, którą nosił ze sobą. Były w niej listy i przepustki wystawione przez różne gwatemalskie władze, włącznie z pozwoleniem od ministra spraw wewnętrznych. Zapewne

część z tych dokumentów została podrobiona, a reszta uzyskana za łapówki, DW miał zamiar użyć jednej na czteroosobową grupę, by ułatwić nam przejście. A potem jeszcze dla pewności czeka nas festiwal w San Cristóbal Verapaz - jako akcja zmyłkowa. Przejdziemy przez tłum, a zwiadowcy z DW sprawdzą, czy nikt nas nie śledzi. Spędzimy parę minut na placu, gdzie zgromadzi się najwięcej ludzi, po czym wyjdziemy z miasta z przeciwnej strony, niż przyszliliśmy. Gdy tylko znajdziemy się w dżungli, zajmie się nami spora grupa - czworo z DW, towarzyszących nam w tej chwili, oraz jeszcze zwiadowcy chroniący tyły. Czyli prawie dziesięćnaścioro ludzi, pomyślałem. A przynajmniej o tylu wiem. Ach, plus Za Nic, mój przyjaciel z dzieciństwa, teraz z Enero 31, o którym już wspomniałem. Nieznana karta. Spotka się z nami dzisiaj w nocy i zostanie ze mną przez cały czas, pewnie jako mój osobisty ochroniarz. Uparłem się, by tak to rozegrać. No, to dwadzieścia osób. Nie taka znów mała operacja...

Cóż... *Calmáte que te cálmo*, pomyślałem. Wystarczy dać się ponieść, przynajmniej na razie. Przyjść energię fali.

-Przepraszam... - westchnąłem.

-W porządku. - Marena skinęła głową i wróciła do swojej części baraku. Szlag.

Wyglądała dobrze. Od próby na świętej nie opuszczałem Palika, trenowałem do tego, co nazywano projektem Twix, ale Marena zrobiła sobie przerwę. Na trzy dni wróciła do USA i z Maksem pojechała do Colorado. I teraz wydawała się odprężona. Miała na sobie krótką kamizelkę w stylu Jane z Dżungli oraz pasujące do niej spodnie. Miałem skojarzenia z szalasem na drzewie, po którym powinna się kręcić szympanśka Cheeta. I pewnie gdzieś w pobliżu jest też słoń Tantor...

Słuchaliśmy świerszczy. Brzmiały uspokajająco, ale odnosiło się wrażenie, że czegoś brakuje. Marena westchnęła. Sięgnąć i objąć ją ramieniem? - zastanowiłem się. Nie, lepiej nie. Jest teraz na mnie wściekła. Lepiej poczekać na jej ruch. Jeżeli nic nie zrobi, nie ma nadziei.

- Dobra, uwaga - odezwała się Ana. - Sprawdźmy łączność.

Wcisnęliśmy komunikatory do uszu. System był na pewno zaawansowany i zapisywał transmisje. Jeżeli ktoś z nas wda się w pogawędkę, nagranie będzie przypominać te z policyjnego radia.

-...słyszycie mnie? - rozległ się głos Any Vergary z głośnika.

-Tu Asuka. Słyszę - odezwała się Marena.

-Tu Pen-Pen, słysząc doskonale - zapewniłem. Michael i kamerzysta również zapewnili, że wszystko w porządku.

Jezu, kryptonimy...! *Pendejadas*. Ci ludzie zachowywali się, jakby próbowali zrobić zamach na Castro. Opuściliśmy barak i przedarliśmy się milę na zachód do Rio Moho. Ana prowadziła, ja szedłem za nią. Światła księżycy ledwie wystarczało, by widzieć bez noktowizorów. Pola kukurydzy i miedze ustąpiły miejsca cedrowym zagajnikom. Zaczynałem się czuć dobrze, jak zawsze, gdy idzie się nocą w towarzystwie. Chociaż sytuacja była nieco napięta, dodawała też w pewien sposób odwagi. Wydeptana dróżka zwężyła się, przypominając teraz ścieżkę tapirów. Ana zerknęła na mnie kilka razy przez ramię. Wreszcie zatrzymała się, odwróciła i wyprostowała, by popatrzyć mi w oczy.

- Panie DeLanda, na tym terenie nie ma min.

Ton jej głosu zdradzał wyraźnie, że chciała jeszcze dodać coś w stylu: „ty żółtodziobie” lub „ty tępy mięczaku”. Miała jednak rację. Patrzyłem pod nogi i starałem się stąpać dokładnie po jej śladach.

- Dobrze, dobrze - mruknąłem. Tak jest, sir, pomyślałem. Ana wróciła na czoło kolumny. Szybko dostosowałem się do tempa jej marszu. *Cerota*.

Ścieżka wiodła w zarośla cekropii. Ziemia pod naszymi stopami zmieniała się w muł i martwe trzciny. A najwyżej dziesięć jardów przed nami majaczyło czarne koryto Moho. Wcześniej była to zwykła rzeczka, potok raczej, ale teraz, po powodzi, można płynąć z jej nurtem.

Ana poprowadziła nas do brzegu, nad utworzoną przez wiry łachę przy zakolu rzeki. Dostrzegłem korpulentną postać po kolana w wodzie, a potem łódź, która wyglądała jak tubylcza *lancha* - drewniana płaskodenka przypominająca stare, kaczkowate czółno. Rufa spoczywała na piasku, więc cichy elektryczny silnik Minn Kota był

przechylony przez burzę. Wsiedliśmy w sześcioro. Omal nie skręciłem kostki na jednym z dużych akumulatorów, jakie ustawiono na dnie. Michael wszedł ostatni, łódź zanurzyła się głębiej i zakołysała, jakby miała zatonać. Przysadzisty mężczyzna popchnął kadłub i wskoczył za nami. Miał noktowizor - zapewne wojskowy - z wyświetlaczem GPS, na którym mógł zobaczyć swoją pozycję z dokładnością do pół cala. Opuścił piastę ze śrubą i włączył silnik. Popłynęliśmy z nurtem przez niewidoczną granicę. Ustawiono tu sieci, ale zwiadowcy zapewne je odsunęli, nie wywołując przy tym alarmu.

Zapewne korporacja ma tu swoich ludzi, pomyślałem. To znaczy po gwatemalskiej stronie. No, to nie ma się czym martwić.

Ze wzgórza na północy rozległ się ryk mały. Dziwnie było tak podróżować w ciemności. Niebo przecinało coraz więcej odrzutowców, wszystkie nieoświetlone, ale też żaden nie leciał dość wolno, by nas znaleźć nawet przypadkiem. Meandrowaliśmy kilka razy. W pobliżu uprawiano kardamon, można to było wyczuć. Przed nami blask gazowych lamp coraz mocniej rozpraszał mrok. Zbliżaliśmy się do wioski Bałam.

Słuchawka zabręczczała mi w uchu.

-Uwaga, grupa A - zabrzmiał głos Any. - Meldować się.

-Kozo, melduję się - usłyszałem głos Michaela. Potem wszyscy powtórzyliśmy, że się meldujemy. Łódź przybiła do rozłożystego gumbo limbo - drzewa z rodziny osoczynowatych. Dwie postacie przytruchtały nam na spotkanie po stromym brzegu. Jedna niedbale przywiązała cumę do powyginanego konaru i wskazała nam, na które korzenie stanąć, by nie zapaść się w bagnistym gruncie. Wdrapaliśmy się na wydeptaną dróżkę i ustawiliśmy w rzędzie. Może to tylko moja wyobraźnia, ale ludzie z dwu przyglądali się nam uważnie, z tą charakterystyczną odrazą, jakby mieli zaraz zapytać: „To są ci nowi rekruci?”. Skinęliśmy sobie głowami. Vergara sprawdziła ścieżkę na mapie - chyba ciągnęła się wzdłuż rzeki - i zasygnalizowała na migi mniej więcej dwugodzinny marsz. Ruszyliśmy za nią.

Przez dwie mile przedzieraliśmy się przez pola kukurydzy i łąki koniczyny. Nieoświetlony mały odrzutowiec przeleciał nisko z pół-

nocy na południe, wzbudzając drobne fale na rzece. Nie szuka nas, powiedziałem sobie w duchu. Zresztą już prawie się nie wykonuje obserwacji z powietrza. Od tego są teraz satelity lub małe sondy, których na pewno nie uda się dostrzec ani usłyszeć. Na dodatek po gwatemalskiej stronie nadal używano sonarów gruntowych oraz czujników ciepła, ale ze względu na mnóstwo żyjących tu świń, jeleni i podobnych stworzeń były bezużyteczne, chyba że nadeszłyby wielka armia. Ze wschodu bryza przywiała zapach koni. Pamiętałem, że kiedy byłem mały, w podobną noc wymknąłem się z bratem z domu i bałem się, że obdzieracze ciała - czyli bandyciszkielety, którzy zakładają na siebie kawałki ciała, by ukryć się przed światłem dnia - wyjdą z kukurydzy i mnie porwą.

Nasza mała grupa przeskoczyła kilka płotów i dotarła do drogi numer trzynaście. Od razu dało się wyczuć, że niedawno położono tu asfalt. Vergara ustawiła nas w szeregu i kazała czekać, a sama przeszła na północną stronę drogi. Po paru minutach dała nam znak, abyśmy do niej dołączyli. Ruszyliśmy. Księżyc schował się za drzewami, ale pozostało dość światła, by widzieć najbliższe otoczenie. Z tyłu nadjechała półciągarówka bez świateł, ocierając się o niskie gałęzie sosen. Ciemny ford bronco z lat osiemdziesiątych, ulubiony samochód dyskryminowanych imigrantów, którzy najmowali się do pracy na farmach w całej Ameryce Łacińskiej. Miał prowizoryczną pakę z desek, na której widniało logo producenta opakowań. Odsunęliśmy się. Wóz przejechał obok i wyhamował z dziesięć jardów dalej.

Kierowca został w kabinie. Od strony pasażera wysiadł człowiek z DW, kolejny zeskoczył z paki. A kiedy stopy trzeciego dotknęły ziemi, rozpoznałem sylwetkę znajomego z dzieciństwa. Może to przez postawę lub sposób poruszania, może dzięki bardziej subtelny cechom, ale wiedziałem od razu, że to Za Nic. Omal do niego nie podbiegłem. Wyglądał starzej, choć na oko wcale się nie zmienił, po prostu wydawał się nieco cięższy lub wolniejszy, jakby jego ciało odlano w identycznej formie, lecz z innego zupełnie stopu. Może to tylko wrażenie, jakiego młodość nie potrafi wywołać. Jednak dziwnie było ujrzeć go znowu, zwłaszcza tutaj. Poczulem dreszcz, jakbym miał się

zaraz rozplakać lub wybuchnąć, wiedziałem jednak, że to ani miejsce, ani pora.

-*Qué tal, vos?* - zapytał i objął mnie w *abrazo*. To znaczy w męskim, niedźwiedzim uścisku.

-*Cabron!* - odpowiedziałem. - *Qué onda, mano?*

-*Sano como un pimpollo* - zapewnił. Dosłownie: „zdrowy jak rzepa”. Wymieniliśmy uścisk dłoni z Enero 31.

-*Y que onda, al fin compraste esa Barracuda?*

-*Tengo dos. Podemos competir.*

-Hej, *mucha, callenze!* - przerwał mi głos Any w słuchawce.

-Uciszcie się. *Zolamente ezenciales.*

Przez chwilę myślałem, że sepleni w nieudanej próbie naśladowania kastylijskiego akcentu, ale zaraz domyśliłem się, że zrobiła to specjalnie, by nie słychać było syczących głosek. Uniosłem palec do Za Nic i powiedziałem:

- Praszam, kapuję, Keelorenz - pokazując, że mam w uchu radio. Nie chciałbym psuć tej zabawy w GI Jane. *Voy aca loca.*

Ana zajęła miejsce strzelca. Reszta z nas, włącznie z parą koleś z DW, stłoczyła się na pace. Leżało tu mnóstwo nylonowych worków na kukurydzę. Szeptem przedstawiłem Za Nic pozostałym. Przywitani się krótko, ale nikt nie miał ochoty na pogawędkę.

-*Pues, vos* - wyszeptalem przyjacielowi do ucha. - *Qué piensas de este?*

-*Me da pena, vos* - odparł. - *Confias en estos cerotes?*

-Nie wiem. A ty ufasz komuś?

-*Confío en que dios se cague en mi.* - Tylko Bogu, że mnie oleje.

-*Es verdad.*

-*Esa Ana, en los noventa trabajó para los embotelladores* - oznajmił Za Nic. W latach dziewięćdziesiątych Ana pracowała dla rozlewni. Przez rozlewnię rozumiał firmę zajmującą się napojami bezalkoholowymi, co w starym żargonie URNG - *Unidad Revolucionaria Nacional Guatemalteca*, czyli Gwatemalskiego Frontu Rewolucji Narodowej -znaczyło COLA, czyli dowódcę operacji w Ameryce Łacińskiej przy

północnoamerykańskim Departamencie Stanu, a wcześniej ogólnie wydział tajnych operacji na terenie Ameryki Łacińskiej, którym zajmowała się klika Billa Caseya, Johna Hulla i Olivera Northa.

-Słuchaj - powiedziałem cicho. - Nie zamierzam się ciebie pozbyć, ale jeżeli uważasz, że coś jest nie tak, lepiej się wycofaj.

-Nie. - Machnął ręką na tę sugestię, ale zaraz dodał, że zapłacóno mi w dobrej wierze, więc zostanie. Przypomniałem mu, że zaplacóno mi całkiem sporo, i to w twardej walucie. Za Nic odparł, że jest tego świadom. Powiedziałem mu również o sprawie z „National Geographic”. Stwierdził, że łatwo się tego było domyślić.

- I tak cieszę się, że cię widzę - zapewniłem. - Dzięki.

Trochę się rozluźniłem. Obecność Za Nic nieco złagodziła moją paranoję. Rzecz w tym, że tak naprawdę nie znałem dobrze ludzi z Warrena, oczywiście poza Taro, i nie byłem do końca pewien, w co się wpakowałem. Dlatego chciałem mieć choć jedną osobę po swojej stronie - kogoś, kto nie był związany z korporacją.

-W porządku - mruknął Za Nic. Uniósł ręce do winylowej plan-deki i przycisnął, jakby chciał sprawdzić jej wytrzymałość. Zapytałem, co słychać u starych znajomych. Odparł, że po Tio Xacu ślad zaginął i wszyscy uważają go za zmarłego.

-W zeszłym roku widziałem Sylvane - dodał. - W Tenosique.

-Och. Co u niej?

-Casada.

-*No con el pisado del ONU?* - zdziwiłem się. Nie z tym dupkiem

**Z ONZ?**

-Simon.

-Mierda!

-*Me das lástima, mano...*

-Nie mogę o tym myśleć - wyznałem. - *Si comienzo a pensar de él, me hago lata.*

Jeżeli zacznę o tym myśleć, zmienię się w puszkę. Tak naprawdę tego idiomu chyba nie da się przetłumaczyć. Zacząłem pytać go o plan awaryjny, ale Za Nic wskazał tylko sufit, dając do zrozumienia,

że o tym pogadamy później. Pewnie miał rację - o ile wiedziałem, ludzie z korporacji mogli ukryć jakieś nanomikrofony nawet w szczurzym łajnie.

- *Pues, vos, me voy a dormir* - oznajmił i zaraz zaczął cicho pochrapywać. Jak każdy dobry żołnierz umiał zasnąć natychmiast, w każdym miejscu i o dowolnej porze. Zresztą dla niego plandeka w półciężarówce z klimatyzacją była jak apartament Talleyranda w paryskim Hotel de Crillon. Zerknąłem na Marenę, ale niewiele zobaczyłem. Zwinąłem worek w poduszkę i wyciągnąłem się wygodnie. Zastanawiałem się, czy powinienem spróbować przytulić się do Mareny albo przynajmniej udać, że zasnąłem i niechący oparłem się o jej ramię, czy też po prostu otwarcie zapytać o pozwolenie. Nie, lepiej nic nie robić. Może Marena wykaże się inicjatywą.

Nic z tego.

Samochód zwolnił. Zbliżyliśmy się do tablicy oświetlonej pojedynczą żarówką. CAMPAMENTO MILITAR ALTA VERAPAZ - malowidło z wyglądającymi na wściekłych komandosami oraz tarczą z symbolem trupiej główki i skrzyżowanych piszczeli nad napisem GUARDIA DE HONOR. Tuż przed tablicą wóz skręcił w lewo na wyboistą drogę i ruszył trasą odchylną o sto trzydzieści stopni od poprzedniej. Na żółty szlak, w kierunku południowo-zachodnim, wiodącym do niedawno minionej przeszłości.



Wysiedliśmy z wozu na drodze milę przed San Cristóbal Verapaz. Było tuż po zachodzie słońca. Z oddali dobiegały *corridos* grane przez orkiestry marimba, które próbowała zagłuszyć płynąca z głośników stara wersja „Time in the Bottle” Ricardo Arjona. Samochód zawrócił i odjechał. Rozdzieliliśmy się na dwie grupy, by mniej przyciągać uwagę - jedną stanowiłem ja, Marena, Lisuarte, Za Nic i Ana Vergara, drugą - reszta. Ruszyliśmy pieszo.

To miejsce przywoływało złe wspomnienia. Szczególnie szpital, gdzie przebywałem, gdy nadeszły wieści o masakrze w T'ozal. Ale trwała fiesta na cześć świętego Anzelma i wykorzystanie tłumu, by przejść pieszo przez miasto, stanowiło znakomity pomysł. Ludzie z dw, którzy nam towarzyszyli, na pewno byli tutaj wcześniej. Kiedy przeciskaliśmy się przez zatłoczone zaułki, sprawdzali, czy nikt nas nie śledzi, nie rozpoznaje albo gorzej.

Nie martwiłem się tym, jak wyglądamy. Lisuarte w wielkim, wytartym kapeluszu mogła ujść za tutejszą. Marena w swoim przebraniu na pewno zostanie uznana za newage'ową studentkę - miała tani sznurkowy naszyjnik z turkusowych paciorków oraz amerykański militarny plecak z naklejką „Wolność dla Tybetu”. Tylko Grgur nie pasował. No, może przejdzie jako turecki handlarz heroiną. Nieważne. Minęliśmy kilka bezpańskich psów, potem stadko świń i grupki Indianek w parach i czwórkami. Wszystkie się przywitały. Obcych się tu zauważa, ale przyjmuje serdecznie. Zazwyczaj. Dostrzegłem

kilka znajomych twarzy, więc zdjąłem czapkę. Niedobrze się z tym poczułem. Ale nikt mnie nie rozpozna bez włosów. Każda z tych kobiet mogłaby być moją matką. Niech to... Zastanawiałem się, gdzie jest teraz Za Nic, ale szybko uznałem, że zna sposoby, by przejść niezauważony. Chociaż przyznał, że nie był w San Cristóbal od piętnastu lat z górą. Chudy, stary mężczyzna uśmiechnął się do nas, prezentując głównie srebrne zęby, typowy przykład środkowoamerykańskiej stomatologii. Moskity brzęczały wściekle. Dzieci tłoczyły się wokół nas, próbując sprzedać nam fajerwerki.

- Uwaga, drużyna A, zachowajcie ostrożność - rozległ się w naszych uszach głos Any. Dostrzegłem, że moi towarzysze się napinają, a potem starają wyglądać jak najbardziej niepozornie.

W przejściu rozbłysły reflektory samochodu i tłum rozszedł się na boki, by zrobić miejsce czterem umundurowanym na niebiesko żołnierzom w wozie terenowym z kamuflażem. Skinąłem im głową, ale przejechali, nie zwracając na nas uwagi. Jej! Zupełnie tak, jak się spodziewałem. Trudno mi było jednak patrzeć i nie wyobrażać sobie ich głów na skrzyżowaniu linii w wizjerze celownika optycznego... Spokojnie. To nowy kontyngent, tych żołnierzy nawet nie było w pobliżu, gdy zabrano moją matkę. Głęboki oddech...

Tonto, pomyślałem. Co to, kurwa, miało znaczyć? Tonto zrobił? Ale co? Pewnie coś złego. *Ay gevaltario*. Może po cofnięciu się w przeszłość nie miałem wspomnień, bredziłem, byłem chory? A może po prostu próbowałem przesłać własną wiadomość: „Uwierz, Rosabelle”. Tonto zrobił? Czy to znaczyło, że ja to tonto? Nie nazywano mnie tak odkąd skończyłem dziesięć lat, ale nawet wtedy było to tylko popularny zwrot, nie żadne przewisko lub pieszczotliwe zdrobnienie. Chciałem przekazać: „Tonto, zrób to: zaprzyjajnij się z białym człowiekiem”? Ale w hiszpańskim slangu „tonto” znaczy głupi. Głupi, tak? Ale co i jak? Co, co, co?

Droga zmieniła się w szeroką jezdnię wiodącą ze wschodu na zachód. Na poboczach blado migotały małe czerwone i białe bożonarodzeniowe lampki zawieszane wzdłuż lin z kolorową bibułą, ale lampa nad skrzyżowaniem była zgaszona. Elektryczność stanowiła przed-

miot dumy tubylców, domyśliłem się zatem, że zaciemnienie nadal pozostaje w mocy. Jakby Stany Zjednoczone miały zamiar dokonać inwazji w stylu tej na Falklandach na kraj, którego mieszkańców nie stać na papierowe ręczniki. Doprawdy, niech Gwatemala sobie nie schlebia. Po obu stronach drogi stały rzędy domów lub magazynów z pustaków - każdy budynek w innym odcieniu turkus, beżu, żółci lub błękitu, z ręcznie wymalowanym logo Orange Crush, Jupina Gaseosa de Pina i Cerveza Gallo. Ostatni - chłodnia - nosił również znak United Fruit *oficina del comisariato* - rodzaj magazynu firmowego. Na jego widok poczułem palący gniew. Zupełnie jak w powieściach B. Travena. *Mate el Pulpo*.

Rodzinne wioski to dziwne miejsca. Wydaje się, że nie mogą już być mniejsze lub bardziej obskurne, a jednak za każdym razem, gdy tam się wraca, wyglądają na gorsze, niż się pamięta. Niesamowita, kurcząca się przeszłość. A to przecież nawet nie była moja rodzinna wioska. W dzieciństwie wizyta w San Cristóbal była dla mnie jak dla dziecka z USA wyjazd z małego miasteczka na Manhattan. *Ay yi yi*. Szpital Najświętszego Serca znajdował się dwie przecznice dalej na południe. O ile można to nazwać przecznicami... Szpital można było niemal stąd dostrzec. Ale moją uwagę zwrócił dwupiętrowy budynek po drugiej stronie ulicy. Miał charakterystyczne brudne zielonkawe nacieki na różowym tynku ścian. Rozpoznałem je od razu. I wtedy uświadomiłem sobie, że to miejsce, gdzie żołnierze kazali stanąć mnie i moim bliskim.

Och, *mierditas*. Niepokojące wspomnienie.

G2 - gwatemalskie szwadrony antyterrorystyczne - przybyły tamtego ranka, by przygotować coś, co nazwali *celebración*. Żołnierze przyjechali starymi ciężarówkami armii USA, z zamontowanymi dużymi głośnikami. Zebrali wszystkich mieszkańców, łącznie ze mną i innymi dziećmi ze szpitala, które mogły jako tako chodzić. Mieliśmy na sobie tylko długie, szpitalne koszule. Ustawili ludzi według wzrostu - nadal nie wiem dlaczego - i kazali stać w pełnym słońcu, podczas gdy dowodzący oficer wygłosił dwugodzinną mowę, jak to rada miasta Tozal (oraz jeszcze dwóch innych miast) oszukuje nas,

ponieważ to komuniści opłaceni osobiście przez Castro. Powiedział też, jak to dobrze, że my mamy gospodarkę wolnorynkową, dlatego możemy zdobyć wszystko, co zechcemy, o ile nie będziemy się obijać. Oraz że kraj się teraz zmieni, nie tak jak pod rządami Garcii, że obecny rząd zawsze dotrzymuje obietnic i będzie traktował Indian uczciwie, a więźniowie staną przed sądem i zostaną sprawiedliwie osądzeni. Z głośników na ciężarówkach płynął na okrągło hymn „Gwatemala Feliz”. Odegrany został dokładnie sześćdziesiąt osiem razy. Co kilka odtworzeń kazano nam wygłaszać przysięgę wierności na wzór tej ze Stanów Zjednoczonych, a potem znów puszczano hymn - *que tus aras no profane jamas el verdugo*, et cetera, et cetera - a potem następowała kolejna przemowa. W końcu żołnierz przeczytał nam listę przesiadleń. Znajdował się na niej każdy z mojej wioski. Była jedną z czterech, które spalono w tamtym tygodniu za udzielanie schronienia Kubańczykom - tak żołnierze nazywali każdego, kto przejawiał choć cień sympatii dla buntowników. A potem znowu brzmiał hymn, nagrane przemówienia, znowu hymn i tak dalej, aż wreszcie wojacy zaczęli się nudzić - zaczęli prowokować ludzi i bić ich do nieprzytomności. Większość ze zgromadzonych na placu ponad trzech tysięcy Indian i Meksykanów nie uciekła, tylko stała - nie dlatego, że stawiała bierny opór, lecz dlatego, że mogłaby zostać zastrzelona.

Siostrze Elenie - nadal pamiętam jej szeroką twarz okoloną sztywnym czepek, skórę z widocznymi porami i ciemniejsze pasmo nad górną wargą - oraz innym zakonnicom udało się zabrać dzieci z powrotem do szpitala. Niewiele rozumiałem z tego, co się dzieje - byłem kłębkim strachu. Co się stanie z moimi rodzicami?

Ale w przeciwieństwie do wielu innych dzieci, nie widziałem, jak płonie mój dom, nie ujrzałem też gwałtu na mojej matce i siostrach ani przesłuchania i egzekucji ojca. Byłem daleko od domu. Przypuszczam, że długo nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, co się mogło stać. W tamtych dniach nie mieściło mi się w głowie, że matka może czuć strach. Ale teraz mam przed oczyma jej przerażoną twarz, krew we włosach i wielki czerwony kanister tuż przed nią - i wiem, że to prawda. *Todo por mi culpa, todo...*

- *Más despacio, vos* - szepnął mi do ucha Za Nic. Zwolnijmy trochę. Zapewne wolał, abyśmy nie rzucali się w oczy. Przeszliśmy przez plac. Wydawało się, że ponad pięć tysięcy ludzi zmierzało na *proce-sión* lub właśnie się stamtąd odłączyło. Luźne gromadki dzieci w para-fialnych marynarskich mundurkach, coca-colanizowanych, ze słuchawkami bluetooth i naszywkami z „Helio Kitty”, tłoczyły się przy piłkarzach w niebieskich dresach, którzy prężyli się, prezentując modelowo triadę „młodzi, wyposażeni i napaleni”.

Minęliśmy szereg kramików z *rosco*s i *buñuelos*. Kupiłem Marenie paczkę *empanadas de achiote* i wziąłem też dwie dla siebie. Czterech żołnierzy grało w domino na rozkładanym stoliku pod plastikowym baldachimem. Zerknęli na nas, nadęci i niewyszkoleni, ze starymi karabinami L85 opartymi o siebie tuż obok. Cichy klekot kostek przypomniał mi o ojcu i wujach, którzy też tak grali, gdy byłem jeszcze dzieckiem - pochylali się nad stolikiem i układali tajemniczy wzór z kropek, który obserwowałem, aż zasnąłem. Nasza grupa minęła także paru gringo, dostrzegłem kilku chyba niemieckich turystów i trójkę z całą pewnością protestanckich misjonarzy. Nie udało mi się zauważyć nikogo z ekipy DW, ale to było do przewidzenia...

Ups, przepraszam. Jakby znikąd wpadła na nas gromadka mormońskich misjonarzy. Obawiałem się, że któryś z nich rozpozna Lisuarte, ale chyba jednak tak się nie stało. Zapewne nie przyjechali z Palika w Belize. Przez całą Amerykę Środkową przewija się armia podobnych *huevos*, którzy wychwytyją ofiary o słabej woli, by podać je dalszej obróbce minimalizacji intelektu. Ktoś...

Och, przepraszam. *Huevos*. Wypada wyjaśnić to pojęcie. *Huevos* znaczy dosłownie jaja, a przenośnie - jądra. Wokół Peten nazywano tak mormonów, ponieważ byli biali jak jajka i zawsze występowali parami jak jądra. Rzecz jasna, brzmi to śmieszniej, gdy się nie jest na kawie od czternastu godzin.

Ktoś wyłączył *tapa cuarenta* i niewielka orkiestra zaczęła „O Salutaris Hostia”. Podążyliśmy wzrokiem za tłumem na północno-południowej ulicy, łagodnie pnącej się po zboczu wzgórza. Trzynastu *cofiadores*, starych mężczyzn w jasnych garniturach i szerokoskrzydłych

kapeluszach, wyszło z najwyższej północnej kapliczki i skierowało się w dół. Dziewięciu z nich niosło oplecione zielenią krzyże, czterech zaś dźwigało palankin ze starą figurą świętego Anzelma w biskupiej mitrze, spoglądającego łagodnie znad rozwidłonej brody.

Przestąpiłem z nogi na nogę. Spojrzałem na Za Nic, po czym obaj się odwróciliśmy. Obserwowaliśmy procesję, a kiedy Za Nic ruszył przez tłum na zachód, podążyłem za nim. Marena, Lisuarte i Ana ruszyły za mną.

Za trzecią przecznicą, którą minęliśmy, cztery kobiety Quiche-Quiche w języku Majów oznacza ludzi mieszkających na zachodzie -przeszły przed nami. Niosły świece, kwiaty bugenwilli i nieotwarte paczki marlboro, więc bez trudu domyśliłem się celu pielgrzymki. Wcześniej nie widziałem tego mężczyzny w mieście, ale musiał być blisko. Hm... Zapytałem Marene, czy ma jeszcze trochę kubańskich cygar. Przyznała, że zostało jej piętnaście, i zaczęła przeszukiwać plecak, by znaleźć pudełko. Wziąłem sześć.

- Dajcie mi chwilę - powiedziałem. - Zaraz wracam.

Po czym ruszyłem za czterema kobietami.

-Pen-Pen, co robisz? - w słuchawce zabrzmiał zirytowany głos Any. - Odbiór.

-Muszę coś załatwić - wymamrotałem.

-Nie zrozumiałam? Nie oddalaj się od reszty.

-Tylko chwilka - zapewniłem. Obawiałem się, że Vergara zaraz mnie zatrzyma, ale Za Nic niby przypadkiem zastąpił jej drogę i zanim go ominęła, byłem już przed otwartym wejściem do budynku z pustaków. Cztery kobiety przestąpiły próg i uklękły, by dodać świece do setek, które już paliły się na podłodze. *Cuandero* siedział przed rozkładanym stolikiem. Wyglądał znajomo, ale na pewno nie znałem jego imienia, a on z pewnością nie znał mnie. Skinąłem swoją łysą głową. Spojrzał na mnie podejrzliwie, ale odwzajemnił pozdrowienie, jakby chciał powiedzieć „proszę dalej”.

Odwróciłem się do Mareny.

-To może ci się wydać głupie - ostrzegłem.

-Och, nie - zapewniła z zakłopotaniem.

Kobiety skończyły i odeszły. Zacząłem meandrować między pękami kwiatów i butelkami oraz świecami na betonowej podłodze. Marena szła za mną. Nieopodal stało plastikowe podwyższenie z misą, a ja odruchowo zanurzyłem dłoń i wykonałem znak krzyża, po czym się zawstydziłem, że po tylu latach zaprogramowane odruchy ciągle są we mnie silne. Marena zerknęła do naczynia i przez jedną straszną chwilę miałem wrażenie, że wypłuje tam gumę.

Maximón, jak należy, siedział, palił i obserwował wszystko z kapliczki na tyłach pomieszczenia, obok swojej pustej trumny. Miał okulary przeciwsłoneczne, szerokoskrzydły kapelusz, czarny garnitur, czerwoną koszulę i dziesiątki szalów ofiarnych na szyi i ramionach. Był większy niż zwykle. Zazwyczaj figurkę tworzą z resztek, ale ten *cuandero* użył sklepowego manekina, dlatego dłoń postaci była kobieca, z paznokciami pomalowanymi jasnoczerwonym lub pomarańczowym lakierem. Twarz sprawiała wrażenie malowanej niedawno, czarny wąsik lśnił w blasku płomieni. Nogi były szeroko rozstawione, na kolanach spoczywała taca z miską poobijanych quetzali, butelkami wody mineralnej i *aguadiente*.

Ukląknęłam i dotknęłam posadzki.

- *Salud, Caballero Maximón* - powiedziałam. - *Ahora bien, le encuentro bien.*

Wstałam.

- Dziękuję ci za każdą chwilę, każdą godzinę, każdy rok - dodałam po hiszpańsku. - I dziękuję ci za dzisiejsze święto świętego Anzelma oraz za *cuandero* z San Cristóbal, który cię dzisiaj tu sprowadził. Przyniosłem ci kilka drobiazgów, tylko dla twojej przyjemności.

Raz jeszcze opadłem na kolana i położyłem cygara Cohiba Pyramides na serwecie przed figurą. Były dobrze przechowywane, zachowały odpowiednią wilgotność i nawet w zadymionym magazynie dawało się wyczuć ich pikantny aromat. Maximón uśmiechał się jak zawsze i miałem wrażenie, że skinął mi głową.

Wstałam.

- Dziękuję, señor - powtórzyłem. - Wielki Boże, mały Boże, średni Boże. Jest jeden większy i jeden mniejszy, ten, który troszczy się

o ziemię i o nasze stopy oraz ręce. Proszę, pobłogosław moje *grandeza*. Ty wszak wraz z nami liczysz czerwone ziarna i czarne ziarna. Ty liczysz z nami kamienie i czaszki. Wschód, północ, zachód i południe - ty spoglądasz na nas z rozstajów dróg. Troszczysz się o nas podczas trzęsień ziemi. Ty dajesz nam noc i władzę. Ci, którzy umarli, nauczyli nas cię czcić, a my nauczymy nowo narodzonych i nienarodzonych. Tak ma być. Dziękujemy ci, Sanita. Wybacz, że odwracam się do ciebie plecami. *Salud*, don Maximón.

Odwróciłem się i wyszedłem, na pożegnanie skinąwszy głową *cuandero*. Do pudełka po chusteczkach higienicznych przy stoliku włożyłem jeszcze pięćset quetzali, czyli około sześćdziesięciu pięciu amerykańskich dolarów, na nowenny. Potem z Mareną wróciliśmy do głównej ulicy. Ana posłała mi wściekle spojrzenie. Cóż, lepiej się ubezpieczyć, niż potem żałować, pomyślałem.

-Czy to jeden z katolickich świętych? - zainteresowała się Mareną.

-Raczej jeden spoza pism kanonicznych - odpowiedziałem. - Tak naprawdę nie dla dobrych katolików. Maximón jest dla tych trochę bardziej złych.

-Ach.

- Przeszedł długą drogę - dodałem. - Podobno.

Skierowaliśmy się na zachód, za miasto, a rdzawy księżyc drżał przed nami *wenn sie auf der Erde so wenig, wie aufdem Monde* - jak mi się pretensjonalnie skojarzyło. Potem ruszyliśmy w dolinę, na sieć ścieżek pod Cordillera de los Cuchumatanes. Miłą za rogatkami droga skręciła na południe, nad rzekę. Słyszałem szum wody tuż na granicy pola widzenia, czułem zapach korzeni i błota, zmieszany z aromatem jakby świeżego imbiru, a potem dołączyła ulotna woń ambry - podobna do tej, jaką w upalne popołudnie można wyczuć z zaschniętych resztek perfum w buteleczce po Guerlaine Samsara, znalezionej na pchlim targu w zakurzonym pudełku... Feromony domu.



Rzęsy Sylwany zatrzepotały na moim ramieniu. Przywykłem do tego, zawsze tak robiła, gdy śniła. Ale to nie Sylwana... Coś innego, drapiącego. Coś żywego. Dobra, rozumiem, ups! Poczulem ruch na grzbiecie mojej dłoni, pełznący wyżej wzdłuż przedramienia i... strząsnąć to, strząsnąć, strząsnąć! Zwinąłem się konwulsyjnie w dziecięcym odruchu wstrętu. Mała brązowa jaszczurka zeskoczyła objętnie z mojego przegubu i przetruchtała przez nylonową, lśniącą metalicznie płachtę. *Que jodedera*. Na starość stałem się mieszcuchem. Odwykłem już od małych stworzeń wciskających się w zakamarki. Zerknąłem na wyświetlacz komórki. Piętnasta cztery. *La gran puta*. Późno.

No dobra. Gdzie, u diabła, jestem? Światło miało dziwny fioletowo-woniebieski odcień. Zamrugalem, patrząc w sufit. Wysoki i łukowo sklepiony.

Och, prawda. Ruiny IX. Michael powiedział, że to jeden z pałaców.

Rozpiąłem wilgotny śpiwór i usiadłem. Wszyscy pozostali chyba wyszli. Pomieszczenie było dużą *audiencia* - salą przyjęć - długą na około pięćdziesiąt stóp, szeroką na dziewięć i sklepioną w najwyższym miejscu na dwadzieścia stóp. Prowadziło tu tylko jedno wejście, znajdujące się na długiej zachodniej ścianie. Zaskłaniała je nylonowa fioletowo-woniebieska tkanina. W epoce klasycznej Majów tylną ścianę zdobiła wielka płaskorzeźba - nadal pozostało około dwudziestu

procent. Można było zauważyć figurkę po lewej wspinającą się po schodach i dalej, po prawej, ledwie widoczną świątynię z symbolem ropuchy i rozwijającymi się, splątanymi pasmami, jednak ostatnio, to znaczy przez kilka dziesięcioleci, sączyła się tu woda, która wymyła resztki reliefu. Ale o tej porze roku w pomieszczeniu było dość sucho. Zwiadowcy Any uprzątnęli odchody nietoperzy, choć nie udało się całkiem usunąć ich smrodu. Przyniesiono tu za to wcześniej ekwipunek i północną część sali wypełniał sprzęt do odwiertów, elastyczne rury transporterów próbek, pudła wiertel, cztery silniki Hondy 90 HP, sześć akumulatorów Volvo, para dużych żółtych skrzyń z robotami do pobierania podziemnych próbek, która znalazła się tutaj dzięki uprzejmości Schlumberger Oilfield, w tym jeden wyposażony w kamerę wideo i lampy. Przypominało to złomowisko. Bliżej miejsca do spania ustawiono dwa ciche generatory i kilka klimatyzatorów, a wiązka grubych kabli wiała się do wyjścia i na północ, do Kopca A, dwie średniej wielkości lodówki laboratoryjne, pojemnik próżniowy, maszynę do próżniowego pakowania, zwoje folii aluminiowej na próbki izotopu węgla C14, trzydziestocalową tubę i jeszcze nierozpakowany system klimatyzacji, dwie pompy wodne, aparat ciśnieniowy (dzięki Safe Supply Lab), skrzynie z dwoma wiertłami do skał i ich okrężnymi ostrzami (także dzięki Schlumbergerowi) oraz typowe drobne wyposażenie archeologów - szufle, łopatki, pędzle, miotły, małe pudełka, samoprzylepne etykiety, zwoje folii bąbelkowej, latarki, diody LED i butle ze sprężonym powietrzem - wystarczająco dużo, by dać zajęcie świeżo upieczonym magistrom i ochotnikom na letnich stypendiach na co najmniej dekadę. Nie żeby były tu w najbliższym czasie planowane jakieś zajęcia dydaktyczne - co to to nie.

Nie będziemy potrzebować nawet połowy tego sprzętu, pomyślałem.

Cóż, następnym razem wywiesimy tabliczkę DON'T TAKE...

Zaraz...

TONTODID.

Hm.

DON TOD IT...

DON'T DO IT.

Próbowałem się ostrzec.

Szlag.

Nie rób tego. Nie cofaj się do dawnych lat. Nie ufaj tym ludziom. Nie daj się wciągnąć w to szaleństwo. Nie rób tego.

Hm...

Zamyśliłem się, zerkając na wysokie trapezoidalne starożytne przejście, błyszczące jasnyniebieską poświatą prześwitującą przez płachtę. Zęby zaczęły mi dzwonić. Dlaczego tego nie robić? Nie mogłem wyjaśnić choć troszkę dokładniej? Ponieważ to obraza boska? Ponieważ to nieprzyjemne? Ponieważ ominie mnie kolejny sezon „Plotkary” w telewizji?

Dobre sobie. Cztery dni zajęło mojej podświadomości rozwiązanie rebusu dla dzieci. Mogłem to zrobić na komórce w parę sekund.

A nie dziś wieczorem, gdy miałem umówione spotkanie z umarłym.

*Yahora qué* - co robić? Wykręcić się? Uciec w busz z Za Nic i przekraść się na południe do Hondurasu? Udać załamanie nerwowe? Po prostu odmówić?

Nic dziwnego, że Tony Sic wcale nie wydawał się zmartwiony, kiedy okazało się, że to ja wezmę udział w podróży zamiast niego. Ja czułem się trochę zakłopotany, ale Sic przyjął wieść z filozoficznym spokojem. Może i on się rozmyślił?

Jestem głupcem, kompletnym głupcem...

Daruj sobie, Jed. To jałowe rozważania.

Ba! No dobra. Trzeba poskładać wszystko do kupy. Czas zbudzić w sobie olbrzyma.

Podrapałem się po kostce, odnalazłem niebieskie woreczki, które w ciągu nocy przeczolgały się z dna śpiwora przez nierówną matę do zagłówek. W woreczkach znajdowało się pięć zamkniętych gumką zawiniątek w folii. Znalazłem kawę rozpuszczalną w porcjach, rozerwałem zębami jedną paczuszkę i wysypałem proszek na język. Fuj. Dobra. Zabiłem paskudny smak paroma Zelkami, po czym odnalazłem opakowanie z zestawem podstawowych medykamentów ochronnych.

Sięgnąłem po specyfik z „udowodnionym działaniem profilaktycznym przeciw gruźlicy, bakteryjnym zatruciom pokarmowym, sepsie i HIV”, po czym rozsmarowałem po twarzy i ciele wszędzie, gdzie udało mi się dosięgnąć bez wywichnięcia sobie stawów. Następnie odszukałem zawiniątko z wielkim jasnoniebieskim napisem „bez szczotkowania”. Rozsmarowałem preparat po moich trzydziestu jeden zębach, po czym przeciągnąłem drugą stroną papierowego arkusika z pastą po języku. Kolejne opakowanie zawierało plaster sześć na cztery cale z opatrunkiem nasączonym środkiem aseptycznym, który zapobiegał też wysuszaniu skóry wywołanym przez bakterie. Oderwałem również pasek z obrożą przeciwpchłową i przykleiłem go wokół łydki pod prawym kolanem. Ukąszenia stawonogów i hemofilia nie idą ze sobą w parze. Zebrałem resztki opakowań, zgniotłem w kulkę i schowałem do kieszeni. W lewe ucho wcisnąłem słuchawkę i wyczołgałem się pod płachtą na zewnątrz.

- Chcesz herbaty? - zapytał Michael, na szczęście nie przez interkom. On, Lisuarte i komandosowaci chłopcy siedzieli na kocu, jakby byli na pikniku. Nie zauważyłem Za Nic, ale wcześniej powiedział, że będzie się kręcił w pobliżu. Podziękowałem za napój. Pytanie zabrzmiało jak zaproszenie do towarzystwa, ale tylko się przemknąłem obok. Znajdowaliśmy się w cieniu długiej budowli, stanowiącej zachodnią ścianę osiemdziesięciojardowego czworoboku, zapewne pałacu mężczyzn z Klanu Ocelota w IX. Inne budynki przysypane były odłamkami skał, przez co przypominały raczej nieduże wzniesienia lub kopce, a i budynek, w którym obozowaliśmy, nie stanowiłby pod tym względem wyjątku, gdyby ludzie z DW nie oczyścili wcześniej frontu. Plac przed pałacem wyglądał, jakby parę lat temu służył za pole do uprawy kukurydzy, ale teraz porastały go pokrzywy i paprocie. Kompleks zabudowań znajdował się na tarasie w połowie zbocza, ćwierć mili nad poziomem rzeki i około stu jardów na południe od największej piramidy, którą wielki Sylvanus Morley nazwał dumnie Kopcem A, a która teraz, dzięki rozwojowi epigrafii, była znana jako siedziba Klanu Ocelota. Jednak przez zarośla nie dało się zobaczyć ani rzeki, ani piramid, tylko skrawki nieba.

Obok Michaela stała otwarta torba-lodówka z paczkami żelków i innych słodyczy, pudełkami soku, chrupek kukurydzianych oraz batonów z proteinami i podobnymi świństwami. Wyciągnąłem paczkę dla alpinistów i półlitrową butelkę najnowszej wody z „dopalaczami” dla sportowców. Co prawda miałem przy sobie saszetkę z własnymi witaminami i lekarstwami, ale zdołałem też podebrać jeszcze podstawowy zestaw medyczny. Z sykiem  $\text{CO}_2$  otworzyłem butelkę, wrzuciłem leki na język i zacząłem popijać, gdy uświadomiłem sobie, że trzymam rękę w zimnym wnętrzu torby, wyciągnąłem ją więc, a tabletki i kapsułki na w pół przełknięte utknęły mi w gardle i woda niezbyt już pomogła. Michael wręczył mi baton z proteinowym muesli. Ugryzłem i przełknąłem. Tym razem pomogło.

„Zwiększ siły!” - głosił napis na opakowaniu. „W tym małym batonie zawarte jest o połowę więcej protein niż w podobnych produktach. Dzięki temu nie trzeba się martwić, skąd wziąć siły, lecz na co je wykorzystać. W naszej firmie wierzymy, że prawdziwa siła to patrzanie na linię mety jak na początek nowego wyzwania. Zatem na przód. Spójrz dalej i wyżej. Nieważne, jak daleko zajdziesz, ważne, że dążysz do celu. Nasz baton ci w tym pomoże”.

Wspaniale, pomyślałem. Wypiłem resztki wody, zgniotłem butelkę i wraz z resztkami opakowań z kieszeni wyrzuciłem do worka na śmieci.

- Au! - rozległ się nieopodal głos Mareny. - Ty świnió!

Popatrzyłem uważniej na *milpa*. Ana i Marena walczyły na środku pola. Nie, ćwiczyły hopkwondo czy coś podobnego. Ana uczyła Marenę paru nowych niszczycielskich kopniaków w tydki. Jak w krwawym amerykańskim filmie o walczących psychopatach, pomyślałem. *El video mas sangriento de lucha-libre de marimachas*. Mistrzyni Ana, Szczurzyca z Abu Ghraib.

- Skrobi kukurydzianej? - zapytał Michael.

Co proszę? - pomyślałem.

-Co proszę? - zapytałem. Wskazał na otwarte pudełko „Argo” -mąki do ciast. Rany, przez kilka dekad logo się niewiele zmieniło.

-Czemu? - zdziwiłem się.

-Daję ją czasem tym, którzy nie przywykli do wypraw - wyjaśnił. - Zdarza się, że rozdrapują sobie nawet lekkie ugryzienia.

-Och, jasne. Nie, dzięki.

-Zjadłeś to coś z masłem? - wtrącił się do rozmowy komandos

ZDW.

-He? - popatrzyłem na papierek w swojej dłoni. - No...

-Lubisz proste dania? - dopytywał się koleś. - Jadłeś masło?

-No... Chyba nie tak łatwo z Indian wyplenić Trzeci Świat.

-Hej, ale założę się, że nie wiesz, ile cygar mam w lewej kieszeni? - Poklepał się po piersi.

-Nie, nie wiem. Nie jestem jasnowidzem.

-Mamy jeszcze pity, jak chcesz coś przegryźć - zaprosił Michael. Odmówiłem i zapytałem, gdzie jest latryna. Wskazał na południową stronę pola. Wyprostowałem się i ruszyłem we wskazanym kierunku.

-Zacieraj ślady - rozległ się nieopodal głos Any. Dzięki, skinąłem głową. *Tortillera*. Nie obchodzi mnie, ilu ludzi z *contras* zlikwidowałaś dla Billa Caseya. Wysunąłem się trochę naprzód. Ana przypuszczalnie była jedną z wielu kobiet, które służyły w marines i chciały prowadzić poważne akcje, ale kiedy USA im na to nie pozwoliło, zwolniły się z oburzeniem i zatrudniły w krajach o mniej stabilnej sytuacji lub w sektorze prywatnym. W każdym razie Ana upewniła się, że mam przy sobie wszystko, co potrzebne, niestety. To znaczy łączność i apteczkę. Powinienem zostać w śpiworze. Albo zjeść tę pieprzoną pite.

W słuchawce zahuczało.

-Włącz system - mruknąłem i urządzenie się włączyło.

-Tu Kozo - odezwał się Michael. - Dobrze nowiny, chodź.

Powlokłem się z powrotem i kucnąłem w *audiencia*. Hitch i komandos stali przy wejściu, grzebiąc w sprzęcie audio. Michael i Lisuarte pochylali się tuż za nimi nad monitorem.

-Otrzymaliśmy najnowsze informacje z centrali - odezwał się Michael. Usiadłem. - Wiesz o śladach w niszy *ahau*?

-Tak - mruknąłem. Uczyłem się ich na pamięć, o czym Weiner na pewno pamiętał.

-Właśnie. Powtórna koronacja, rytuał na nowy *k'atun*, odbyła się o świcie dwudziestego, prawda? W sześćset sześćdziesiątym czwartym.

-Dokładniutko.

Przy przeniesieniu w przeszłość zamierzaliśmy trafić na dwadzieścia minut przed wschodem słońca, gdy 9 Szponiasty Koliber będzie czekał w niszy, by wyjść i pokazać się tłumom zgromadzonym na placu.

-Pamiętasz San Martin? - dopytywał się Michael.

-Owszem.

-Max was pozdrawia. - Nie zauważyłem, kiedy weszła Marena. Wszyscy kazali jej przekazać od nich pozdrowienia dla dzieciaka, po czym Marena się rozłączyła i schowała komórkę - nową, większą, z modułem szyfrującym - do kieszeni na rękawie zapinanej na zamek.

-Co to jest San Martin? - zapytała.

-To wulkan na obrzeżu Veracruz - wyjaśnił Michael. - Około daty docelowej była niewielka erupcja.

-Aha.

- Właśnie zacząłem wyjaśniać Jedowi, Dzięki dendrochronologii nie można dokładnie określić daty - mówił dalej Michael. - Ale Jankesi z Connecticut znaleźli coś interesującego. Przesłali nam dane na serwer.

Odwrócił monitor w moją stronę. Widniała na nim pierwsza linijka skanu jakiegoś angielskiego tekstu liturgicznego.

**KALENDIS APRILIBUS POSTRIDIE QUINQUE PANUM**

Dotknąłem guzika „transkrypcja”.

kalendis aprilibust,] postridie quinque panum  
multiplicationem [,] anno consecrationis  
praesulis nostri wilfredit,] anno domini DCLXIV E,]  
indictione v...

Hm. Dobra, nieistotne. Nacisnąłem „tłumaczenie przez srm/cfsu”.

[KRONIKA, COLUMCILLE (OPACTWO NA WYSPIE IONA, HEBRYDY,  
SZKOCJA):]

W idy kwietniowe, dzień po rozmnożeniu pięciu kromek chleba, w roku konsekracji naszego biskupa Wilfreda, czyli roku pańskim 664, tdo króla Oswiu [Northumbria] przez posłańca: Upraszamy jego miłość o uwolnienie nas od brzemienia daniny na okres sześćdziesięciu dni [,] albowiem Pan nawiedził naszą trzodę, ostrzegając o grzechach tego świata i nadchodzącym Dniu Sądu Ostatecznego [,] a stało się:

Po pierwsze, siedem poranków temu, w Dzień Trzech Króli, po popielcu [tn. 24 marca 664 naszej ery] naszych nowicjuszy po jutrzni [ok. 7:15] zaskoczyły gromy letniej burzy [,] chociaż niebo pozostało czyste.

Po drugie, następnego dnia przed sumą [południe] Paulus [,] pastor przysiółków na wybrzeżu [Iony], w towarzystwie pielgrzymów na własnych nogach dotarł do opactwa, w wielkim strachu i utrapieniu błagając o wsparcie [,] tylko lament dobywał się z ust przybyłych, myśleli bowiem, że wybawiciel ich opuścił [,] gdy przed jutrznią [ok.5 rano] sroga fala niczym cielsko Lewiatana opadła na zachodnie brzegi, a za nią dwie kolejne, a potem nieprzeliczone [fale] o coraz mniejszej sile, przez co porty obu miast, sieci i przystanie zostały zniszczone [,] a czterech mieszczan i dziewiętnaście dusz [tn. chłopów pańszczyźnianych] utonęło, nieprzeliczeni zasię umierają i cierpią z głodu i niechaj Bóg się nad nimi zlituje...

-Czyż to nie przełom? - cieszył się Michael. - To oznacza, że możemy określić datę erupcji co do godziny.

-Ach... - zacząłem, ale Ana wpadła mi w słowo.



-Świetnie. - W jej głosie nie było jednak entuzjazmu. Musiała podejść, bo stała za mną i czytała mi przez ramię. Za zasłoną w drzwiach niebo zaczęło ciemnieć, w oddali rozległ się pomruk gromu.

-Ile czasu zajmuje fali pokonanie oceanu? - zapytała Marena.

-Irlandia... jest jakieś pięć tysięcy mil od Veracruz, fala posuwała się z prędkością około czterystu mil na godzinę... - Zastanowiłem się. - Mam rację? Więc jeżeli...

-Obliczono to - przerwał mi Michael. - Wybuch wywołał fale, zatem musiał wystąpić około wpół do piątej rano dwudziestego drugiego marca. Czasu miejscowego.

-To naprawdę coś... - przyznałem.

-Fantastycznie - ucieszyła się Marena.

-A jeszcze Taro twierdzi, że Majowie nie przewidzieli tego wybuchu - dodał Michael. - Bo, jak wiesz, Gra Ofiarna nie sprawdza się dobrze przy katastrofach naturalnych.

-Chyba że Strażnik Dnia wie bardzo dużo o katastrofach naturalnych - odpowiedziałem.

-Racja.

-Czy Jankesi powiedzieli, że ludzie w Ix na pewno wyczuli wstrząsy podczas erupcji? - zapytałem.

-Powiedzieli, że wybuch miał miejsce dokładnie o ósmej pięć i można go było poczuć nawet w Panamie.

-Aha.

- I, jak wiesz, zaćmienie słońca będzie parę tygodni później.

-Tak.

Miał na myśli, że całkowite zaćmienie słońca widoczne na tym terenie odbyło się według obecnej rachuby czasu i maja Anno Domini 664. Zaobserwowano je również w Europie, opisał je Beda Czcigodny, mnich z Northumbrii. Oczywiście Strażnicy Dnia Majów wiedzieli o zaćmieniu. Szczerze mówiąc, zapewne wyliczyli je co do godziny. Ale dzisiaj umieliśmy je obliczyć co do sekundy, więc miałem przewagę.

- W każdym razie to dwie przepowiednie, które na pewno się spełnią - rzekł Michael.

- Świetna robota - pochwalilem.

Weiner położył większy monitor na ziemi.

- Gotów zobaczyć, co mamy na stronie? - zapytał mnie tonem kogoś, kto pracował od świtu, gdy inni jeszcze spali. Skinąłem głową. - Tu masz najnowszą mapę górotworu.

Na ekranie pojawił się trójwymiarowy obraz miasta Ix. Można było zobaczyć warstwy gleby, skał i wody pod zielonymi bryłami budowli. Marena i Ana usiadły. Za Nic stanął za naszymi plecami.

- Najlepsze, że ten program umożliwia przeszukiwanie pod kątem gęstości i niektórych związków chemicznych - ciągnął Michael. - To pokaże ci skałę i niewiele więcej.

Podświetlił i usunął wszystko poniżej dwóch i sześć dziesiątych grama na centymetr sześcienny, czyli mniej więcej gęstości piaskowca. To, co pozostało, przypominało rozplaszczony wrzód na gąbce morskiej z rozrzuconymi blisko środka świątyniami i pałacami, otoczonymi chmurami odłamków i niedużych brył. Już wcześniej uznałem, że Michael Weiner wie więcej, niż to się mogło wydawać po obejrzeniu jego programów w telewizji, ale teraz byłem pod wrażeniem.

-Właśnie. To tutaj to obecny system jaskiń. Tutaj mamy model, który otwarte przestrzenie pod ziemią pokazuje jak solidne bryły. -Weiner usunął wszystko o gęstości ponad jeden i ćwierć kilograma na metr sześcienny lub temperaturze powyżej sześćdziesięciu stopni. Pozostała czerwona półprzezroczysta struktura jak podziurawiona skała. Michael zaczął ją powoli obracać.

-I to wszystko udało się zrobić w dwie godziny? - zapytałem.

-Tajest, pszepana - odparł. - Czyż to nie piękne?

Potwierdziłem. Na swój kujoński sposób to robiło wrażenie. W latach dziewięćdziesiątych, gdy dopiero testowano radary podziemne, trzeba było przejść teren z talerzem wielkości opony, ale dzisiaj mała antena na szczycie Kopca A dawała nam widok z perspektywy nietoperza na podziemny pejzaż w promieniu dwóch mil. Najlepszy sonar wykrywający pojedyncze ryby wyglądał przy naszym urządzeniu jak ciężarek na sznurku do sprawdzania głębokości zanurzenia.

-W dziesiątym *b'ak'tun* jaskiń było więcej - kontynuował Michael. - Wiele zapadło się dość niedawno. W sensie geologicznym niedawno. Najwyżej parę stuleci temu. Przesuniemy widok bardziej na zachód. Widzisz? To łańcuch jaskiń. Te niższe są nadal aktywne. Co znaczy, że są wilgotne i nadal podmywane przez wodę.

-Chodziłem trochę po jaskiniach - pochwaliłem się.

-To może się przydać. A teraz możemy wyselekcjonować więcej szczegółów. - Weiner dał zbliżenie i uruchomił w osobnym oknie pasek narzędzi zatytułowany „tunelowy skaner akustyczny”. Pasma po paśmie góra została pocięta na pionowe sekcje sięgające w głąb. -Poszukajmy wapnia.

Wpisał „kości”. Program zaczął zmieniać obraz w oparciu o różnice między przeciętną zawartością wapnia w piaskowcu, niemal czystym  $\text{CaCO}_3$ , składającym się w czterdziestu procentach z wapnia, a hydroksyapatycie, który ma go zaledwie trzydzieści trzy procent. Kości to w siedemdziesięciu procentach hydroksyapatyt, szkliwo zębów - dziewięćdziesiąt siedem procent. Po wyeliminowaniu piaskowca, który zbladł w tło, na obrazie zostały jedynie grudki jak żabi skrzek, rozrzucone po jaskiniach - szczególnie duże pasmo tuż przy powierzchni.

- Większość to szczątki zwierząt - wyjaśnił Michael. - Ale część to pogrzebane ciała. Zwłaszcza że to największa góra w okolicy. Ja skinie w strefie cienia. I te trzy tutaj - sam zobacz.

Podświetlił trzy nierówne prostopadłościany pod zachodnim zboczem Kopca A.

-Tu jest wiele kości. I sądząc po szacowanych rozmiarach, to nie zwierzęta. Wygląda na to, że spoczywa tu około czterdziestu ciał. Gdyby porównać, to miejsce przypomina rzymskie katakumby.

-Uch - westchnąłem tylko.

-Przypuszczam, że zwierzęta przemknęły się tutaj po schodach. Stopnie znajdowały się w jaskini, ale zostały sztucznie poszerzone i powiększone. Zapadły się długo po tym, jak złożono tu kości. Oczywiście możemy bez kopania określić dokładną datę.

-Jasne.

-Jednak próbuję powiedzieć, że z dużym prawdopodobieństwem te trzy jaskinie to królewskie grobowce. Dlatego mamy nadzieję, że do jednego z nich trafisz. To znaczy tak powinno się stać, bo tutaj będziemy szukać twojego... no wiesz.

-Mojego ciała - odpowiedziałem.

-Właśnie.

## [Z4]

Na dworze zaczęło padać, krople bębniły w niebieskofioletową osłonię jak kościste palce w ściany pułapki. Wślizgnąłem się między sprzęt zmagazynowany w sali tronowej i usiadłem na dmuchanym materacu między stosami skrzyń. W części przeznaczony na pracownię grupa zajęła się zabawą w obóz, trochę na pokaz moim zdaniem. Komandos wyciągnął antyczne wręcz głośniki Marantza i z uświęconą powolnością przestawiał pokrętła w wielkim odbiorniku Raytheon, przeszukując pasma fal VHF i UHF, odbicia z radaru miejscowych nadajników. Rozbrzmiewały urywane egzotyczne kapele i różne rytmy. Oparłem się o skrzynię sprężarki. Wilgotność powietrza sięgała dziewięćdziesięciu procent, ale zimny kamień sprawiał, że to nie przeszkadzało. Miałem wrażenie, że powoli i przyjemnie zmieniam się w żabę. Na sklepieniu dostrzegłem nieregularny kamienny blok w kształcie litery T, może stopę od łuku wspornika. Nie mogłem odebrać od niego oczu.

Za Nic wślizgnął się do sali i usiadł obok mnie. Był mokry. Milczał.

-Zobaczyłeś coś ciekawego? - zapytałem.

-Przynajmniej pięciu ludzi z DW na zachodzie - mruknął. Wyciągnął paczkę papierosów bez filtra. - Nie jestem pewien, ilu na wschodzie. Ale wydało mi się, że burmistrz... - Za Nic użył tego określenia na nieoficjalnego przywódcę wioski - jest przez nich opłacony. Powiedział swoim, by nie chodzili w te okolice.

- Przynajmniej wiedzą, co robią - przyznałem.

Mruknął „*supongo*” i odpalił papierosa starą zippo. Ana posłała mu groźne spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: „Proszę pana, ten pałac jest dla niepalących”, ale nie odezwała się słowem. Na szczęście.

- Chciałbym wreszcie zająć się tym zarośniętym kolesiem - oznajmiłem. Miałem na myśli, że chcę na poważnie zaplanować, jak dopaść Garcię-Torresa, oficera, który dowodził wojskowymi w dniu śmierci moich rodziców. Garcia-Torres miał długą brodę.

Za Nic wydmuchał dym i popatrzył w sufit, co oznaczało, że ludzie z Działu Wykonawczego na pewno podsłuchują i nagrywają wszystko. Każde słowo, każdy ruch, może nawet rejestrują reakcje chemiczne. Dym popłynął szeroką wstęgą pod nierówne sklepienie i zawisł tam jak mgła nad kanałem.

-Nie obchodzi mnie to. Chcę, by się udało.

-Jeżeli tak ci zależy, czemu nie weźmiesz trochę ECA i nie pójdziesz do jego domu? - Przez ECA Za Nic rozumiał *explosivo combustible-aire*, czyli materiały wybuchowe i zapalające.

-Ponieważ chcę mieć pewność, że się udało. Zresztą jestem teraz bogatym tchórzem. Czas zaangażować trochę pieniędzy, by rozwiązać mój problem.

-Sprawdzę, co da się zrobić.

-Poza tym chcę, żeby to było bolesne - dodałem. Jakiś czas temu uznałem, że G-T powinien wiedzieć, że zaraz umrze. Ludzie, którzy znaleźli się w centrum wybuchu czy też dostali strzał w plecy lub w głowę, ledwie to zauważyli. Więc po co się wysilać?

-Róbmy to, co trzeba, po kolei - przestrzegł Za Nic.

-A tak na poważnie, ile to może kosztować twoim zdaniem?

-Pięć doliców.

-Jasne.

-I nie, nie zamierzam tego robić. - Mój przyjaciel zaciągnął się tak głęboko, że spalił prawie pół papierosa, strzepnął popiół i zaciągnął się ponownie.

-Nie chcę, żebyś to robił - zapewniłem. - Chcę, żebyś był w jednym kawałku i pomógł mi przy następnej sprawie.

Mam tylko nadzieję, że świat będzie istniał dłużej niż dziewięć miesięcy, pomyślałem przy tym. Przynajmniej na tyle długo, bym przeprowadził swoją straszliwą zemstę. A potem - kogo obchodzi, co potem?

Po przeciwnej stronie długiej sali zapłonęła lampa. Deszcz przeszedł i zrobiło się ciemno. Za Nic usadowił się wygodniej i zamknął oczy, jak to miał w zwyczaju. Wstałem i podszedłem do miejsca, gdzie stały monitory. Zegar na jednym z nich wskazywał, że do T pozostało pięć godzin i czterdzieści dziewięć minut. Do chwili, gdy zacznie się moja podróż. Powinienem poćwiczyć jeszcze marszrutę, pomyślałem.

Marena podeszła do mnie cicho.

- Chodźmy na spacer - zaproponowała.

Przystałem chętnie. Ana pojawiła się znikąd i wyszeptwała coś do ucha mojej towarzyszki. Pewnie ostrzeżenie, aby mnie pilnować, bo ucieknę. Ruszyłem do drzwi.

- Będę miała na niego oko - usłyszałem jeszcze zapewnienie Mareny.

Odsunąłem klapę. Marena wyszła za mną. Trzyma mnie na krótkiej smyczy, przyszło mi do głowy. Jakbym nie miał nadajnika lokalizacyjnego w słuchawce. Jakbym miał się wymknąć. Cóż, trudno się dziwić. Dla ludzi od Warrena byłem największą inwestycją, jakiej się podjęli. Miliony milionów dolarów tylko po to, by przeczesać mi płat czołowy elektrycznym grzebieniem.

Marena wysunęła się naprzód i ruszyła wąską ścieżką nad rzekę. Już miałem wyciągnąć latarkę z torby z najpotrzebniejszym wyposażeniem według ludzi z DW, ale wtedy uświadomiłem sobie, że nadal widzę. Ścieżka wiła się między smukłymi, rozgałęzionym drzewami *ixnichizotz*, nietrudno było omijać ich korzenie. Przypadkowo *ixni-chizotz* znaczy *palo de colmillos de murcielago*, czyli „drzewo z kłami nietoperza” - nazwa wzięła się stąd, że owoce tych roślin mają dwie wypustki. Starożytne miasto natomiast wzięło skróconą nazwę od tych drzew - IX. Podłoże było mokre i chłupotało pod podeszwami moich butów z cholewkami chroniącymi przed ukąszeniem węży.

Komandosi z DW wyciągnęli *lancha* na brzeg przy zakolu rzeki, gdzie odwrócony kadłub ukrywały zarośla. Usiadłem na nim. Nie było całkiem ciemno, ale woda wydawała się czarna. Jednak płynęła dziesięć jardów ode mnie, więc nie wyglądała groźnie. Chór owadów umilkł, miałem wrażenie, że czegoś brakuje.

Marena usiadła obok, ale nie za blisko. Co zaskakujące, prawie nie zwróciłem na to uwagi.

-Dobrze się czujesz? - zapytała.

-W porządku, dziękuję - odpowiedziałem uprzejmie, choć mój głos brzmiał zapewne beznamiętnie i z dystansem, jakbym był nieobecny duchem. Na krótką chwilę położyła mi dłoń na ramieniu.

-Hiperwentylujesz - zauważyła.

-Cóż, normalnie raczej infrawentyluję.

- Pływałeś już?

-Nie.

-A ja pływałam dziś rano. Jest wspaniale. A Michael sprawdził, w rzece nie ma krokodyli. Ani piranii.

-To ma sens. Piranie żyją na innym kontynencie.

-Świetnie.

Marena miała na sobie tylko bezrękawnik i króciutkie szorty. Właśnie zaczęła je zdejmować. Łał! *Quietamente*.

-Wybacz, nie chciałam wywołać w tobie skrępowania.

-Och, nic się nie stało - zapewniłem, starając się nie gapić, ale też nie odwrócić wzroku, co byłoby równie głupie. - Skrępowanie to moje drugie imię.

-Tylko niech ci się nic nie wydaje.

Marena balansowała na jednej nodze, by pozbyć się bielizny... cóż, trudno tę małą szmatkę nazwać bielizną. Miała seksowne ciało, w etnicznym stylu - drobne, trochę muskularne i zaokrąglone we właściwych miejscach. Do tego nosiła się w ten europejsko-arystokratyczny sposób, bez skrępowania, jakby chciała powiedzieć: „Och, proszę, dorośnij - tu są tylko dorośli”. Chociaż tak nie było. Miała też niewiele włosów łonowych, ale nie wyglądało, że je goliła, po prostu miała ich mało.



-W życiu nic mi się nie wydawało - zapewniłem. Było już za późno, by się odwrócić i przerwać tę grę, więc wsunąłem nonszalancko dłoń do kieszeni, by dyskretnie poprawić mojego wielkiego *verga* do całkowicie pionowej pozycji. Ale Marena zauważyła.

-Nie wstydz się, wielu facetów dostaje erekcji, gdy widzą mnie nagą.

Jej sutki się napięły, ostre i zapraszające w szarej poświacie zmierzchu, jak miniaturowe trufle z La Maison du Chocolat.

- Na pewno... to znaczy to czysta biologia... wiesz...

Uniosła się na palcach i bezszelestnie wskoczyła do wody. Wykorzystałem okazję, by się poprawić. Te męskie reakcje są tak zawstydzające. Po dwustu milionach lat ewolucji mogłoby się wydawać, że człowiek oderwał się od stawonogów, ale pozostał mu po nich jeden hydrauliczny mięsień, właściwie to połowie ludzkości został. Wiadomo który. Ten automatyczny syfon, gotów w każdej chwili wybuchnąć. Kobiety stały się ssakami, ale mężczyźni to nadal owady.

Marena wynurzyła głowę.

-Ach, to odświeżające - oznajmiła.

-Tutaj możesz się tylko obawiać wielkich żółwi, które mogą cię ugryźć - zapewniłem. - No i może pijawek.

-Bzdury. Założę się, że też się chcesz wykąpać.

-Cóż...

-Och, zaraz. Wyjaśnijmy sobie jeszcze kwestię molestowania seksualnego. Masz kontrakt współpracownika i to nie ja cię zatrudniam.

-Jasne, nie ma się co przejmować.

-Nawet gdyby, mógłbyś doprowadzić do mojego zwolnienia. Nie żeby to było jakoś ważne, nie musisz się tym przejmować, naprawdę... Byłabym szczęśliwa, gdyby...

-Proszę, nie ma o czym mówić. - Ciekawe, do czego prowadzi ta rozmowa? Interesujące. Myślałem o Marenie od tygodni, a teraz nagle zrobiłem się tak głupio niezdarzy...

-No i świetnie. To chodź - zachęciła Marena. - Woda jest wspaniała i ciemna.

-Przyjemna, ciemna i głęboka?

-Właśnie. Jak ja. Nie tchórz.

-Hm. Czy nic się nie stanie, jeżeli wejść do wody ubrany? - rzu-  
ciłem. Czuję się trochę niezręcznie, rozmawiając tylko z głową w  
zapadających ciemnościach.

-Owszem. Musisz obnażyć ciało tak, jak obnaża się duszę.

-A co, jeżeli nagle pojawi się Gułag i mnie zabije?

-Chodzi ci o Grgura?

-Tak... Przepraszam. To brzmi trochę jak Trog lub Grur - jak ja-  
kieś imię jaskiniowca.

-To po chorwacku Gregory.

-Och, cudownie.

-Grgur się nie pojawi.

-Hm...

- No dobra, dość tego zwlekania, bo pomyślę, że się boisz.

Dobrze. Zdjąłem buty z ukrywaną trudnością i zacząłem zdeierać  
resztę szat... znaczny ubrania. Zostawiłem jednak słuchawkę w uchu.  
Ruszyłem powoli do brzegu, wyobrażając sobie, że idę po nie do koń-  
ca oczyszczonych z ciała czaszkach. Jak w większości rzek tropikal-  
nych, woda była tutaj zimna. Na śliskim dnie od czasu do czasu wy-  
czuwałem gładki kamień. W okamgnieniu Marena pojawiła się  
obok i wciągnęła mnie pod powierzchnię. Połknąłem tylko trochę  
wody, ale udało mi się nie zakrztusić.

-Dziwnie się teraz dotyka twojej głowy - stwierdziła Marena.

-Jakby ci tu zaczęła rosnąć rzeżucha.

-No... - Poczuję miękki dotyk jej ciała pod wodą.

-Słuchaj - odezwała się naraz stanowczo. - Chcę się z tobą pie-  
przyć, ale jestem zbyt zmęczona i zestresowana na grę wstępną,  
te wszystkie przytulanki i podobne takie. Rozumiesz?

-J-jasne... Pewnie, świetnie.

O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże! - tyle tylko zdołałem po-  
myśleć.

-Na pewno? Wchodzisz w to?

-Jasne.

To śmieszne, ale nagle poczułem się, jakbym był licealistą, który ma po raz pierwszy zaprosić dziewczynę do tańca. Kręciło mi się w głowie. Zaraz, a co z traumą pourazową? Ale Marena przecież widziała moje akta medyczne. I nie zamierzałem darowanemu koniowi zaglądać w zęby. Marena wie, co robi. Prawda? Prawda. Przecież ma dziecko, na litość boską! Musi wiedzieć, co robi i czego chce. Na pewno. Trochę się denerwowałem, że ktoś nas może słyszeć, ale uznałem, że Marena wyprowadziła mnie poza zasięg niepowołanych uszu i żadna przysłowiowo wręcz wścibska Ana nie poszła za nią.

-Nie przejmuj się za bardzo.

-Pewnie... - mruknąłem. - Jasne. To znaczy tu jest nawet trochę romantycznie...

-Cała ta dżungla i reszta gówna jest wystarczająco romantyczna.

- Marena wdrapała się na mnie. Niewiele ważyła, a w wodzie była lekka jak piórko. Dlaczego to się dzieje właśnie teraz? - zacząłem się zastanawiać. Motyw? Żeby mnie rozweselić? Pozbyć się seksualnego napięcia w typowy dla współpracowników sposób? Sprawić, żebym był mniej czujny, nim nadejdzie wielka chwila przerzutu mojej osobowości w przeszłość? A może niedługo umrę? Nieważne, nie zagłada się darowanemu koniowi...

- Nie martw się, nie pieprzę się z litości.

Cholera, Marena znowu czytała mi w myślach.

-Co? Och, nie - z litości też byłoby dobrze. To znaczy biorę wszystko...

-Ale tak nie jest. Jesteś słodki. A mnie się robi mokro przy tobie. Tylko ostatnio byłam trochę zajęta. Macierzyństwo.

-Oczywiście.

-No chodź. - Marena zanurkowała, wynurzyła się, potrząsnęła głową jak labrador i wyszła na brzeg. Ruszyłem za nią. W ciemnościach widać było niewiele więcej niż kontury jej sylwetki. Stała na wąskim pasie błota między korzeniami i wodą, odrzuciła włosy i wykręciła je mocno. Wiedziałem, że należy trzymać się blisko, ale na chwilę się zawahałem i zanim udało mi się odzyskać choć minimum kontroli, Marena chwyciła mnie za... no, wiadomo, za... cóż, nie

wiem, jak to nazwać - wyprężoną męskość? Dziewięciocalowy pazur? W każdym razie chwyciła go i wykręciła jak włosy.

- Tylko sprawdzałam - zapewniła. - Zawsze należy sprawdzić.

Uklękła, sięgnęła do kieszeni porzuconych szortów, odpięła zamki i wyciągnęła saszetkę z tym nowym wynalazkiem, kondomem, który zakłada się na jądra.

- Załóż - nakazała Marena.

Ledwie mi się udało. Ustrojstwo miało jakiś klej lub coś podobnego po wewnętrznej stronie. Czuję się trochę dziwnie, ale i tak lepsze to niż zwykłe stare prezerwatywy.

- A teraz chodź. Tylko pochwa, dobrze? Nie mam dzisiaj siły na anal...

- Nic nie szkodzi - zapewniłem. - Czekaj, zaraz... Ach...

Zebrałem się na odwagę.

-No dalej. Na dwa. *Uno... uno y medio...* ach-ch! Wspaniale. - Objęła mnie za szyję, uniosła się nieco, by nasze twarze znalazły się na tym samym poziomie, otoczyła mnie udami w pasie i wprowadziła do swojej... swojej... *yonP*. Szparki? *Su Tusa? Concha? El Gallo?* Nieważne, w każdym razie się udało.

-Łał... - westchnąłem.

-Nieźle, co? Czujesz, jaka jestem ciasna?

-Bardzo. - Bez ścierny. To było, jakbym próbował poruszać palcami w o numer za małej rękawiczce.

-To dzięki waginoplastyce z zeszłego roku.

-Mówiłaś, że miałaś cesarskie cięcie.

-Bo miałam. Ale wiesz, nowoczesna dziewczyna od czasu do czasu powinna sobie poprawić to i owo. To jak wybielanie zębów.

-Świetnie. To bardzo...

-Czujesz? To blizna po Maksie. - Przesunęła mi dłoń na, powiedzmy, granicę strefy bikini. Niczego nie wyczułem prócz skóry opinającej ciało pozbawione tłuszczu, ale zaraz pod palcami przesunęło się leciutkie zgrubienie, jak rysa na lakierze mojego plymoutha z siedemdziesiątego trzeciego. Tędy w dwa tysiące czwartym wydobyto na świat chłopaka Mareny.

-Dobra robota, nie? - Uśmiechnęła się.

-No... W dzisiejszych czasach rodzenie dzieci jest chyba tak łatwe jak manicure.

-Prawie. Uch-ch!

Wątpliwe, bym wytrzymał dłużej, więc ukląknęłam i opuściłam wygięte plecy Mareny na śliski od błota brzeg.

-Jed... - westchnęła. Chciałam odpowiedzieć jej imieniem, ale wolałam ją pocałować. Pocałowała mnie krótko w odpowiedzi. Jej skóra smakowała słodko-gorzkim repelentem - dwuetylotoluamidem -zmieszanym z jakimś kremem.

-Bez żartów, nikt się już nie pieprzy na misjonarza - powiedziała.

-Dobra, czekaj - zacząłem, ale mi przerwała.

-Nie, to miłe. I nostalgiczne. I pasuje do ciebie. Jesteś taki retro, jak z lat sześćdziesiątych.

-Mmm - zdołałem tylko odpowiedzieć. Nie zabrzmiało to zbyt inteligentnie. Próbowałem udawać, że jestem cool, ale - rzecz jasna -Marena lubiła, gdy mi nie wychodziło. Zaciśnęła wytrenowany na wspinaczce *gluteus medius*, a mnie wydało się, że zostałem wessa-ny do jakiejś niebiańskiej myjni samochodowej i ułożony na taśmowym przenośniku, gdzie zaczęły nade mną pracować różnego rodzaju szczotki i pianki. Palec Mareny nieoczekiwanie znalazł się w moim... ach... *culo*<sup>7</sup>. Tylnym wejściu? W Jęczącej Marcie? W każdym razie tam, niezbyt głęboko, na ile mogłem ocenić, nie mając doświadczenia - dla lepszego uchwytu, jakbym był kulą do kręgli. Próbowałem wsunąć dłoń między nasze ciała, ale Marena mnie powstrzymała.

-Ja się tym zajmę. Ty tylko mnie pompuj jak dobrze naoliwiony tłok, dobrze?

-Jesteś taka romantyczna.

-Romantyzm jest dla małych dziewczynek.

Postąpiłem zgodnie z instrukcją. Marena poprawiła mnie, abyśmy oboje dotykali tego samego punktu na wierzchołku jej trójkąta. Jęknęła niewyraźnie. Ach, nieświadoma wokalizacja. Moja ulubiona...

- Cudownie - wyszeptwała Marena. - Tak trzymaj.

Wpadliśmy w nieco szybszy rytm. Przypuszczam, że pośpiech zwykle nie jest celem seksualnych kontaktów, ale czasami wystarczy tylko ulec erotycznym doznaniom i zapomnieć o reszcie. Zwłaszcza w takich chwilach jak ta, gdy od tygodni narastały we mnie tylko obawy. Pewnie zapomniałem nadmienić, że ostatnio byłem na skraju załamania nerwowego. Dlatego, przynajmniej jeśli chodzi o mnie, to, co się działo, było bardziej sposobem na pozbycie się stresu niż erotyką.

- Dobrze, teraz! - jęknęła Marena. Rrrrr! Ty suko! Przed oczyma duszy przemknął mi obraz Hindenburga na okładce płyty Led Zep pelinów i ten znajomy dźwięk-niedźwięk:

***ngghngghngghngghbbbbBUMP!!!zhwoooohzhngzhng...***

Cholera. No, to był orgazm, dobra.

Auć. Marena ugryzła mnie w ucho.

-Au - jęknąłem.

-Wybacz.

-Mały Elvis wyszedł z domu.

Marena, jak na tak drobną kobietę, dysponowała supersiłą. Zepchnęła mnie z siebie, obróciła i wsparła się o mój tors. Teraz oboje byliśmy uwalani błotem. A potem kobieta dosiadła mnie i zostałem wygladzony, wyciśnięty, podrapany i wymasowany, nim wybuchłem w ostatnim desperackim akcie ulgi.

-Rany - westchnęła Marena. - Chyba miałam orgazm w jajowodach.

-Uch... Tak, poczułem.

Czy w ogóle coś takiego istnieje? - zastanawiałem się przy tym.

- Ila... Ach... - Urwałem. Miałem wrażenie, jakbym dostał dzie sięć centymetrów sześciennej dopaminy i mózg mi zamarł w oszołomieniu. - Wybacz - udało mi się wreszcie wydusić. - Nie wiem, co wiedzieć... yyy... powiedzieć.

- Co powiesz na kolejny raz?

-Hę?

-Mam parę niebieskich pigulek. Postawią cię w ciągu dwóch minut.

-No... pewnie...

*Qué pistola*, pomyślałem.

-Daj mi to. - Marena szarpnęła lekko za koniec nowomodnego ustrojstwa dla mężczyzn i ściągnęła je wraz z niewielkim zbiorniczkiem teraz wypełnionym... *Qué debe llamarle? Leche? Néctar?* Perłową esencją? Moje niewymowne skurczyły się pod naciskiem, lecz zanim odniosłem jakiegokolwiek obrażenia, przylepna część puściła skórę.

-Jau - jęknąłem.

-Dobrze... - Marena przeciągnęła się i sięgnęła nieprawdopodobnie giętkim ramieniem do pleców, by się podrapać. Szlag. Mo-skity nas namierzyły.

-Jak działa ten przylepiec? - zapytałem. - Jest tam klej czy...

-Czekaj. - Marena znieruchomiała. Dopiero teraz dotarło do mnie, że w słuchawkach rozlega się sygnał alarmowy.

-Uwaga wszyscy. Tu Keelorenz - zabrzmiał głos Any. - Wykryliśmy ruch na zdjęciach satelitarnych. Nie podoba mi się to. Meldujcie się i wracajcie do obozu.

Komandos z DW, Michael, doktor Lisuarte, Grgur i Hitch zapewnili, że są w obozowisku. Po dłuższej chwili rozległ się też niechętny głos Za Nic.

- Tu Shigeru. *Capisce*.

Włączyłem system i zameldowałem się posłusznie.

-Tu Pen-Pen.

-Tu Asuka - dodała Marena. - Powiedz dokładniej, o co chodzi.

-Grupy ludzi posuwające się pieszo. Dziesięć lub piętnaście jednostek. Prawdopodobnie patrole. Są co najmniej dwadzieścia kilometrów od nas, ale wolę spakować się w ciągu trzech godzin i przenieść na Kopiec A. Nawet jeżeli do nas przyjdą, będzie czas na etap pierwszy. Dlatego wszyscy muszą wrócić do bazy. Jasne?

-Jasne. Ja i Jed będziemy za parę minut.

Marena wyłączyła nadajnik.

-Czas na nas.

Chciałabym podziękować Akademii - oznajmiła Marena, spoglądając ze szczytu schodów na wymyślną widownię. - A także Stevenowi i Jamesowi oraz Francisowi i Marty'emu, a szczególnie - kręgowi. Tym, którym ufam.

Uniosła ramiona w geście „urodzonej zwyciężczyni”.

-Jestem panią świata!

-Jeszcze cię ktoś zobaczy - ostrzegła doktor Lisuarte.

-Przepraszam. - Marena zaczęła szybko schodzić.

Lisuarte, Hitch, Michael i ja przenieśliśmy kilka skrzyń, stojaków, koszy, monitorów oraz kamer, po czym zrzuciliśmy brzemię na najniższym tarasie piramidy Ocelota. To tutaj znajdowało się wejście do komnaty *ahau*. Patrzyliśmy na południowo-wschodni kraniec kotliny aluwialnej średnicy może dwóch mil. Można było dostrzec białe rzeczne osady poprzecinane korzeniami drzew, a po przeciwnej stronie - zarys paru bliskich wzniesień, ongiś *mulob*, piramid. Za nimi pierścień naturalnych wzgórz otaczał najwyższe, San Enero.

Chyba mówiłem już, że *mul* Ocelota była najwyższą piramidą w tej części Gwatemali? Według Morleya sięgała równie wysoko jak tak zwana Piramida Księżycy w Teotihuacan. Ale korzenie robinii wrosły między kamienie budowli, błoto na dnie kotliny podmyło ją i świątynia, której wierzchołek znajdował się trzydzieści stóp nad nami, częściowo się zawaliła. U jej stóp Strażnicy Dnia z pobliskiej wioski palili żywicę, opakowania batoników czekoladowych oraz



inne śmieci, a pogruchotane bloki piramidy chrzęściły pod naszymi butami.

-Będę w środku. - Marena przecisnęła się przez niewielkie wejście.

-No dobrze, Jed. Rozejrzyj się, zorientuj w otoczeniu i stronach świata - nakazała Lisuarte. - Zapamiętaj, co widzisz.

-Dobrze.

Prawie pełna i jeszcze żółtawa tarcza księżycza nadal wisiała nisko nad horyzontem. Starożytni Majowie widzieli na księżycu Krwawą Królicę - z uszami w Mare Fecunditatis, a norą w Mare Nectaris. Jeżeli jej kontury się rozmywały i tworzyło się *halo*, oznaczało to nadchodzący deszcz. Ale nie tym razem. Było dość światła, abym mógł się dobrze rozejrzeć. Co też uczyniłem.

-Chyba już wiem, gdzie jestem - oznajmiłem.

-Świetnie. Idźmy dalej - odparła Lisuarte.

Ruszyłem przodem. Trapezoidalne przejście było dostosowane do ludzi o wiele mniejszej i drobniejszej postury niż moja. Tacy by się tylko pochylili, ale ja musiałem leżeć na czworakach. Wewnątrz zalegał charakterystyczny zapach starego kamienia, typowy dla zamkniętych budowli sprzed wieków. Marena pisała na laptopie. Na jej twarz padała błękitna poświata od ekranu i czerwony, przyćmiony blask lampy, której Hitch używał przy nocnych nagraniach. Pomieszczenie miało najwyżej dziewięć stóp długości i pięć szerokości oraz wysokości. Przytulne. Na trzech ścianach widoczne były wyrte glify, ale ponad połowa stała się nieczytelna. Michael stwierdził, że kiedy zaglądał tu poprzednio, około 1994 roku, były w znacznie lepszym stanie, ale kwaśne deszcze zrobiły swoje. *Cancer de piedra*. Z tyłu znajdowała się niewielka nisza lub alkowa, według Michaela - przejście na wewnętrzne schody, które dawno się zawaliło. Nas troje, stos pudeł i kabli, toaleta oraz przenośny skaner do rezonansu magnetycznego, którego pierścień wisiał na linach zakotwiczonych w suficie, to wszystko sprawiało, że w komnacie zrobiło się dość ciasno, choć dawało się wytrzymać. Dobrze, że nie starczyło miejsca dla Michaela. Co za szczęście, że tego ogra tu nie ma. Właściwie nie było go od dość dawna, jak się

zastanowić. Może Marena uznała, że Weiner mnie za bardzo denerwuje. Zapewne on, komandos i Za Nic pojawią się później, po tym, jak spróbują przyrzeć się domniemanym grupom zwiadowczym.

Lisuarte ujęła mą głowę dłońmi w rękawiczkach chirurgicznych i pomogła ułożyć się na materacu, po czym podłożyła mi worek z piaskiem pod szyję, bym mógł widzieć niebo przez otwór wejściowy. Dostrzegłem, że Hitch zamontował jedną z niewielkich kamer tuż nad wejściem, w załomie sklepienia. Lisuarte przykleiła mi elektrody do pomiaru czynności serca i oddechu, przyciągnęła kroplówkę z natlenioną krwią, owinęła mi lewe ramię rękawem ciśnieniomierza, wstrzyknęła pełną dawkę medykamentów i kontrast czy co tam było potrzebne do podglądania aktywności mózgu. A ja jedynie patrzyłem na glify nad wejściem. Niektóre inskrypcje musiały pochodzić sprzed roku 500, ale napis, który interesował wszystkich najbardziej, znajdował się po prawej stronie. Data: 11 Ziemski Grzechotnik, 5 Drzenie, 9.10.11.9.17, czyli 15 czerwca Anno Domini 644. A dalej fraza, którą Michael zinterpretował jako ogłoszenie śmierci 14 Ropuszego Jaszczura, wuja 9 Szponiastego Kolibra i wcześniejszego *ahau*. Nieco dalej, czego z tej pozycji nie mogłem dojrzeć, znajdował się kolejny blok tekstu, datowany *uinal* później, 5 lipca. Upamiętnienie przejścia tronu lub może dziedzictwa przez 9 Szponiastego Kolibra w wieku dwudziestu czterech lat, jako patriarchy Klanu Ocelota i nowego *ahau* IX. Trzecia inskrypcja, która również przyciągnęła naszą uwagę, znajdowała się z tyłu, poza zasięgiem mojego wzroku. Datowana *k'atun* później, czyli dwadzieścia lat od poprzedniej, 3 Ziemski Grzechotnik, 5 Deszczowa Ropucha, upamiętniała ponowne zajęcie tronu przez 9 Szponiastego Kolibra, a raczej przywrócenie mu władzy jako *K'alomte' Ixob* i *Ahau Pop Ixob*, czyli jako wodzowi i panu miasta.

W pierwszym *k'atun* panował w drugim okresie rozwoju IX. Wiadomo, że pokonał miasta nazywane Ixtutz i Sakajut oraz wziął do niewoli jednego z ich *ahau*. I oczywiście zachował władzę. Przed retrofizacją *ahau* IX będzie czuwał w komnacie, zapewne przez dwa dni, i wyjdzie dopiero o świcie dwudziestego - w wiosenną równonoc -by pokazać się poddanym. W tę właśnie chwilę celowaliśmy. Dalej

na ścianie z tyłu znajdowały się dwie inskrypcje dynastyczne, zbyt zniszczone, by odczytać cokolwiek poza datami. Pierwsza: 13 Morski Grzechotnik, 9 Żółć, 9.11.12.5.1 - sobota, 19 listopada Anno Domini 664. Ostatnia: 8 Huragan, 10 Zdobna Sowa - zapewne 13 maja Anno Domini 692. Poza tym tylko jedno czytelne słowo: „splot” lub „tkanie”, ale nie wiadomo, czy był to rzeczownik zwykły, czy odczasownikowy.

-Ikari, mów, co z nim? - poprosiła Ana.

-Wszystkie wskaźniki vitalne w normie - zabrzmiała odpowiedź Lisuarte. Zapewne moje niewitalne wskaźniki pojawiłyby się na liście chorób. - Jesteśmy gotowi.

-Dobra, nagrywam - zameldował Hitch.

-Grupa na górze, możecie zaczynać - zabrzmiał głos Any. Ona i komandos siedzieli w błocie u stóp piramidy i pewnie malowali sobie twarze w kamuflujące wzory.

-No, to jazda - odezwał się Michael.

Jazda? Błagam... Ta cała wyprawa w czasie wydawała się o wiele bardziej skomplikowana, niż powinna. Przynajmniej z mojego punktu widzenia. Bo tak w ogóle to nie stanowiła jakiegos wielkiego wydarzenia. Nie musieliśmy jej nawet odbywać tutaj. Mogliśmy wysłać skan mojego mózgu z Palika - byłoby o wiele prościej. Tyle tylko, że i tak musielibyśmy się w końcu pofatygować do Ix, bo przecież gdy zakończy się przekaz mojej osobowości, natychmiast zacznie się przeszukiwanie grobów. W sumie byliśmy tutaj, by kopać. A przy okazji ułatwić mi orientację w terenie i do minimum zmniejszyć szok po przejściu w czasie.

Shock. Miejmy nadzieję, że to będzie mój największy problem.

-Jak się czujesz? - zapytała Marena.

-Pen-Pen gotów - zapewniłem. I szczający ze strachu.

-Dobrze. Michael?

„Nie rób tego” - głosiła notka, którą wysłałem do siebie przez czas.

- Zwarti i gotowy - odezwał się Weiner jak w telewizji. Z-zwar-ty i go-o-otowy. Jest już, och, druga dwanaście nad ranem, transmisja

danych potrwa trzy godziny i osiemnaście minut. A zatem cały personel, uwaga: proszę zadbać o swoje potrzeby, by nie trzeba było później przerywać prac. *Caliate el pico*, pomyślałem. Zamknij się, zamknij się, zamknij się zamknij się...

Wystarczy. Trzeba zachować uprzejmość. Trzeba pamiętać, że Michael ciężko pracuje, a ma już pod sześćdziesiątkę. I pewnie teraz cały się poci i ledwie dyszy...

- Postaramy się wycelować transmisję tak, by dotarła dokładnie dwunastego marca roku Pańskiego sześćset sześćdziesiątego czwartego - mówił dalej Weiner. - Ta sama pora nietoperzy, ta sama osrana przez nietoperze komnata *ahau*, lecz z grubsza tysiąc trzysta czterdzieści siedem lat, jedenaście miesięcy oraz dwadzieścia osiem dni i dwadzieścia dwie godziny wstecz do starych dobrych czasów.

Świetnie, pomyślałem. Ale teraz ZAMKNIJ... KURWA... SIĘ... KURWNIJ... SIĘ... ZAKUR...

-Skończyłeś? - zapytała Michaela Marena.

-Zaczynamy - odpowiedział. Zamknij się, do kur... - pomyślałem.

-Dobra, wyłączam nadawanie.

Usłyszałem kliknięcie w słuchawce. Nareszcie koniec nadawania. Bogu dzięki.

-Uwaga - odezwała się Lisuarte. - Mamy około czterech minut na sprawdzenie systemu, a potem zaczynamy transfer.

-Świetnie - mruknąłem.

Lisuarte wyczołgała się z pomieszczenia, by oglądać przebieg operacji na dużym monitorze. Albo może Marena dała jej do zrozumienia, że potrzebujemy chwili dla siebie. Dogadały się jak kobieta z kobietą...

Marena przyklękła i pocałowała mnie krótko.

-Jak ci idzie? - zapytała.

-W porządku - odpowiedziałem. Nie można mnie powstrzymać, dodałem w duchu.

-Fantastycznie.

-Jasne.

-Pamiętasz, że masz uważać na pasożyty, prawda? Postaraj się pić przegotowaną wodę albo bardzo zimną.

-Wiem, wiem. Przerabialiśmy to setki razy.

-Majowie mieli napar z kory wierzbowej, taką herbatkę z chininą, prawda? I odstraszacz owadów. Używaj tego. I postaraj się jeść jak najwięcej protein, więcej niż przeciętny mieszkaniec Ix. Możesz jeść chrząstki indyków.

-Tak, mamusiu.

-Och, i jeszcze mieli herbatę z kory sosnowej, która zawierała dużo witaminy C. Powinieneś pić ją regularnie.

-Oby dobre samopoczucie i zdrowie było moim największym zmartwieniem.

-Oby.

-Może zostanę uznany za *brujo*, wtedy zmienię się w karmę dla zębaczy i sumów.

-Albo może się okazać, że jest świetnie, a prawdziwi dawni Majowie to najmiłsi ludzie na świecie.

-Może. Dzięki.

To prawda, pomyślałem. Byliśmy zbyt mili. Nic dziwnego, że wykorzystywano nas przez ostatnie pięć stuleci. Zawsze zachowywaliśmy się w stylu: „Jasne, proszę, wejdź, usiądź, poczęstuj się *tamale*, zgwałć moją siostrę...”.

-W każdym razie nie wpakuj się w żadne walki lub coś podobnego, dobrze?

-Nic mi nie będzie.

-Nie próbuj nic kombinować. Żadnych reform ustrojowych, żadnych planów podboju całego kontynentu, dobra?

-To i tak się nie uda - zapewniłem. O ile wiadomo, w tamtym okresie nikt nie próbował zawładnąć całą Ameryką Południową.

-Jasne... - westchnęła Marena. - Nadal tego nie rozumiem, ale chodzi o tę teorię Nabokowa, tak?

-Nowikowa. - Miała na myśli zasadę wewnętrznej spójności Igora Nowikowa.

-Właśnie.

- To oznacza tylko tyle, że nie mogę zrobić nic, co zaprzeczy już istniejącej wiedzy. O przeszłości.
- Tak, dobra, ale nie łapię, co chodzi. Skoro dostałeś się w przeszłość i zrobiłeś to, co miałeś zrobić, dlaczego nic o tym jeszcze nie wiemy? Dlaczego nie mielibyśmy sobie darować tego całego transferu i po prostu nie zacząć kopać?
- Ponieważ na razie nic jeszcze nie zrobiłem. Za Nic też mnie o to pytał i...
- Tego właśnie nie rozumiem. Mam wrażenie, że nadal istnieje problem paradoksu dziadka.
- To jak... Hm... Dla nas, dla ciebie i dla mnie tu i teraz, przeszłość jest jedynie zapisem historycznym. Rozumiesz? Więc mogę cofnąć się w czasie i zrobić tam wiele rzeczy, ale nic, co zrobię, nie zmieni historii, jaką już znamy. Na szczęście, niewiele wiemy o tym mieście i w ogóle o dawnej Mezoameryce. Dlatego nie będę tak bardzo ograniczony w swoich działaniach, jak się to może wydawać.
- No dobrze, ale powiedzmy, że cofniesz się w czasie i ujawnisz, jak zrobić proch strzelniczy. To zmieni historię.
- Nie, nie... Mógłbym to zrobić. Ale jeżeli to uczynię, proch i tak się nie przyjmie w przeszłości. A przynajmniej nie na taką skalę, byśmy się o tym dowiedzieli. Może wynajdę proch, a potem ludzie będą go przez chwilę używać, ale szybko zapomną, jak go wytwarzać, a wszelkie zapiski na ten temat nie dotrwią do obecnych czasów. Tak może się zdarzyć. I pewnie potem, jutro, znajdziesz gdzieś w pobliżu tysiącdwuletni dzbanek z prochem strzelniczym. To bardzo możliwe.
- No, nie wiem... Nadal nie sądzę... uch...
- Łatwiej to zrozumieć, gdy się patrzy na równania. Wyjaśnienie słowne jest jak... składanie żuka origami bez instrukcji.
- Jasne. Zdaje się, że mam pracę domową do odrobienia.
- Nie przejmowałbym się tym tak bardzo.
- Nie przejmuję się, tylko trochę denerwuję.
- Dziękuję.
- Nie ma za co. Jesteś moim przyjacielem.

-Może nie powinienem o tym wspominać, ale czuję do ciebie przywiązanie.

-Porozmawiamy o tym później.

-Oczywiście.

Maska twarziela, nakazałem sobie w duchu. Maski twarziela. Maski twarziela!

Od dawna żyłem w stanie permanentnego strachu - najpierw podczas horroru w Disney World, jak wszyscy zresztą, potem z powodu sprawy z 4 *Ahau*. A potem, kiedy już udało mi się jakoś się po tym pozbierać, nadeszła pora, by martwić się, w jakie kłopoty się wpakuję, gdy dotrę do przeszłości, do czasów Majów. Czuję, jakbym miał w brzuchu kostkę lodu, która topi się powoli od miesiąca, ale nigdy nie znika. I jeszcze, jak na złość, przez ostatnie parę tygodni robiłem wszystko, by mieć wreszcie tę podróż w czasie za sobą. Jednak nadal chciałem być Jedem Dwa, czyli tym, który znajdzie się w przeszłości. Teraz natomiast nagle zapragnąłem być po prostu sobą - tym, który zostanie w teraźniejszości, w dwudziestym pierwszym wieku, nawet jeżeli nie czekała mnie tu długa i świetlana przyszłość. Z powodu Ma-reny. Ale doprawdy - to tylko marzenia. Czemu Marena miałaby się mną zainteresować na dłużej? Ona jest jak mała czerwona corvette. Zróbmy to lub nie. Dobrze? Dobrze.

Lisuarte przykucnęła w wejściu.

-Wszystko wygląda dobrze - oznajmiła.

-Świetnie - odparłem. Tylko spokojnie, upomniałem się w duchu.

-No, to do dzieła.

Ona i Marena opuściły „kibel” na przygotowane worki z piaskiem tuż przy mojej głowie. Teraz tylko musiałem się trochę unieść. Dobrze. Lekarka pomogła mi wsunąć głowę w pierścień i unieruchomiła szyję gąbczastym kołnierzem.

-Czy nie za ciasno?

-Nie, w porządku - zapewniłem. Jakbym miał na szyi prezerwatywę. Prezerwatywę-rezerwatywę...

-Zaczynajmy. Możesz się skupić? - upewniła się jeszcze Lisuarte.

-Oczywiście.

-Świetnie. - Marena podjęła swoją rolę. Znowu poprosiłem, żeby to ona prowadziła test pytanie-odpowiedź i, rzecz jasna, nikt nie zaprotestował. Zanim jednak przeszła do testu, musiała odebrać wiadomość.

-Taro cię pozdrawia.

Był w Paliku z resztą grupy zajmującej się transferem osobowości i przekazywał Marenie pytania oraz sprawdzał odczyty pracy mojego mózgu podczas odpowiedzi.

Też przekazałem pozdrowienia.

-Zaczynamy rejestrację. Mamy dwanaście sekund spóźnienia -oznajmiła Lisuarte. Dotknęła komórki i w oddali rozległ się cichy pomruk, gdy magnesy w obręczy zaczęły się rozpędzać. Skupiłem wzrok na równonocnym niebie za wejściem dla karłów. Można było dostrzec kometę Ixchel, niewielką smugę błękitu na tle gwiazdozbioru Koziorożca.

-Wszystko gotowe - zameldowała Lisuarte.

-Dobrze, Jed - odezwała się Marena. - Pierwsze pytanie: ile to jest dziewięć silnia?

-Uch, zaraz... Trzysta sześćdziesiąt dwa tysiące osiemset osiemdziesiąt.

-Jaki mamy dzień?

-Dwunasty marca dwa tysiące dwunastego.

Jak na złość, choć nadaliśmy temu dniowi określenie „Zakręcony piątek”, to wcale nie był piątek. Dziś był i Ziemska Ropucha, 12 Mroczne Jajo. A w...

-Dobrze. Co się dzisiaj zdarzyło interesującego?

-Cóż... Rozpoczęto pewne duże przedsięwzięcie. Wszyscy śmiertelnie chorzy z Florydy nagrywają swoje pożegnalne filmy i nagrania te znajdują się w muzeum poświęconym horrorowi w Disney World. Około ośmiu tysięcy napromieniowanych to dzieci.

Ups! Powinienem ugryźć się w język, przecież Marena jest matką. Nie wypada przy niej wspominać o śmierci dzieci. Maksowi co prawda nic nie dolega, ale jednak... Matki zawsze się martwią. Ale



też nic dziwnego, że właśnie to mi się przypomniało, skoro wcześniej oglądałem kilka takich filmów. Chyba z głupiego poczucia obowiązku. A teraz nie mogłem się uwolnić od tego, co zobaczyłem. Taki film złamałby serce nawet Stalinowi. Szybko zmieniłem temat.

- Stany Zjednoczone... no... staczają się w totalitaryzm, taki w chińskim stylu. Na każdym rogu stoi policjant. Niedawno, może wczoraj, została uchwalona ustawa o działaniach na rzecz utrzymania wolności i swobód obywatelskich, która pozwala przejść całkowicie kontrolę i władzę siłom zbrojnym.

Marena milczała, więc mówiłem dalej:

-Chodzi o to, jak podano w oficjalnym uzasadnieniu, że różne organizacje w siłach zbrojnych przeszkadzały i strzelały do siebie nawzajem, dlatego był już najwyższy czas, by scentralizować ich działania, tym bardziej że zdarzył się już atak, który dowiódł, jak niesprawna jest organizacja armii... Co w praktyce stanowi po prostu uchycenie swobód obywatelskich, naruszenie prawa *habeas corpus*. Przeprowadzka do Szwecji zaczyna wyglądać coraz bardziej pociągająco. Gwałtownie wzrosło też zapotrzebowanie na płytki krwi, a w Tampa i Miami wybuchają co noc zamieszki. Główna strefa skażenia została oficjalnie uznana za pomnik narodowy - to największa na świecie *qarafa*.

-*Qarafa*? Co to?

-To jak miasto zmarłych. Nekropolia. Zamknięta i uznana za absolutne tabu.

-Dobrze. Stolicą jakiego państwa jest Abudża?

-Hę? Och... Nigerii?

-Przeliteruj wyraz kalejdoskop.

-K, A, L, E, I... ech, J, D, O, S, K, O, P.

Marena nie powiedziała mi, czy przeliterowałem prawidłowo, co zresztą nie miało znaczenia, lecz zasłuchała się w instrukcje z Pali-ka.

- No i świetnie. Taro mówi, że wszystko wygląda znakomicie.

Czyli moje wahania: zrobić to czy nie zrobić - oto jest pytanie, nie zaważyły na odczytach. I już w tej chwili części mojej osobowości

pokonywały tryliony jednostek Plancka w czasoprzestrzeni w ciągu nanosekundy. Ale oczywiście ja nic nie czułem, niczego nie doświadczałem podczas podróży - jak podczas rozmowy przez komórkę, gdy cyfrowo przetworzony głos zostaje przeniesiony z przekazników do satelitów, po czym rozbrzmiewa na drugiej półkuli.

- A teraz jeszcze raz powtórzmy pryncypia misji - oznajmiła Marena.

Właśnie. To miała być absolutnie ostaną rzecz, którą mógłbym zapamiętać, nawet jeżeli nowotwór pojawi się wcześniej, niż przewidywano. Och, czyżbym nie wspomniał? Transfer osobowości wywołuje kłopotliwe skutki uboczne: 9 Szponiasty Koliber zaabsorbuje tyle promieniowania gamma, że spowoduje to rozwój poważnych nowotworów mózgu. Zespół naukowców zakładał, że będę miał około ośmiu miesięcy na nauczenie się Gry Ofiarnej i przesłanie tej wiedzy do dwudziestego pierwszego wieku. A potem...

- No, to zaczynajmy - powiedziała Marena. - Trzyście?

## N

iech działają odruchy, to ci doda otuchy - zacząłem wymieniać. , , -  
Dobrze - potwierdziła Marena. Chodziło o to, że kiedy przejmę ciało 9  
Szponiastego Kolibra, mam nie panikować, lecz pozwolić, by jego  
wyuczone i wrodzone nawyki ruchowe, gesty i tym podobne  
zadziałały same. To powinno wystarczyć, bym bez problemów  
przeszedł ceremonię powrotu na tron. Po czym pójde się umyć lub  
przespać albo trafię do haremu (mam nadzieję!) czy gdziekolwiek. I  
będę miał czas odpocząć, wziąć się w garść.

-Dwanaście?

-Jeśli się zdarzą animozje, przepowiedz rychłą eksplozję.

Co znaczyło, że jeżeli coś mi się wymsknie lub coś pójdzie nie tak,  
albo jeżeli wyczują zagrożenie, mam wygłosić mowę, jaką przygoto-  
waliśmy z Michaeliem, i przepowiedzieć wybuch wulkanu San Martin.  
Erupcja miała się zacząć szesnaście godzin po ceremonii. W przemó-  
wieniu zaakcentowaliśmy, że słuchacze znajdują się w wielkim niebez-  
pieczeństwie, a ja jestem jedyną osobą, która może ich ocalić przed  
nadchodzącym mrokiem. Wyszedł nam całkiem przyzwoity kawałek  
po cholsku i byliśmy z tego dumni.

-Jedenaście?

-Zaprzyjaźnij się ze swoją świtą, by egzystencję mieć znakomi-  
tą.

Od tego właśnie muszę zacząć, gdy tylko rytuały dobiegną koń-  
ca i wrócę do codziennych spraw, czyli wydawania rozkazów i tym

podobnych rzeczy. Powiniennem związać ze sobą moich bezpośrednich podwładnych. „Będziesz jak szef mafii” - tłumaczył mi Michael. „Będziesz rządził przy pomocy paru kluczowych współpracowników. Nawet jeżeli nie zrozumiesz, co się dzieje, albo nie będziesz wiedział, co powiedzieć lub zrobić, to będziesz miał ludzi, od których dowiesz się wszystkiego, co potrzebne, i nauczysz się, jak reagować”.

Przeszedłem szkolenie, podczas którego nauczono mnie przydatnych zwrotów w stylu: „Powiedz mi, co sądzisz o X” lub - gdy zostanie o coś zapytany - „A co byś zrobił, gdyby mnie nie było w pobliżu i musiałbyś sam decydować?”. I mnóstwa podobnych odzywek.

-Dziesięć?

-Jak trzeba grać, naucz się wnet, po czym zagraj jeszcze raz, Jed.

Co znaczyło, że mam się dowiedzieć, jak Majowie radzili sobie z dziewięcioma pionkami, i spróbować, o ile to będzie możliwe, odtworzyć Grę, której wyniki zapisano w Kodeksie z Norymbergi. Jeśli mi się uda, może dowiem się, co ma się wydarzyć 21 grudnia 2012, a naukowcy z grupy Twix zdołają wykorzystać Grę Ofiarą. Po prostu posłużą się moimi notatkami.

Ten ostatni wymóg wydawał mi się jednak trochę zbyt wygórowany. Miałem pewność, że potrafię się nauczyć sporo o Grze, a Michael i reszta towarzystwa wierzyli, że Gra była wśród Majów dość powszechna, nawet jeżeli stanowiła tajemnicę klas wyższych, jak pismo. Ale nie miałem pewności, czy uda się dobrze grać w oparciu o cudze instrukcje.

Sądziłem, że wybrano mnie do tej misji ze względu na dobre wyniki testu motywacyjnego. Później jednak Taro zdradził mi, że na moją korzyść przeważały zdolności sawanta dotyczące kalendarza. Według Taro Mory i współpracujących przy projekcie naukowców ten talent uda się przenieść do umysłu gospodarza, a to z kolei może się przydać, ponieważ będzie niewiele czasu na uczenie się Gry Ofiarnej. Mieli szczęście, że się pojawiłem. Według badaczy od transferu osobowości moja świadomość powinna dać sobie radę w dowolnym mózgu. O ile, rzecz jasna, docelowy umysł miał normalny, średni

współczynnik inteligencji. Wówczas dostanie dość z mojej architektury połączeń nerwowych, abym mógł swobodnie i bez problemów myśleć w ten sam sposób, jak robię to teraz.

Czyli: cel zyskałby trochę podstawowych umiejętności związanych z Grą, trochę mało ważnych wspomnień i może nawet część moich głupkowato-genialnych sztuczek. A jeżeli okaże się, że gospodarz to debil, wtedy - uspokajała mnie Lisuarte - będę się po prostu czuł przez cały czas nieco sennie. Ale nadal będę mógł podejmować dobre decyzje, ponieważ pozostanę sobą, zachowam własny styl myślenia. Odniosłem wrażenie, że doktor Lisuarte próbuje mnie i siebie za wszelką cenę przekonać, jakby nie do końca wierzyła w to, co mówi. Jednak na podstawie nawet drobnych dowodów można było założyć, że 9SK nie był debilem. Wydawał się twardy, surowy. No, to czeka go niespodzianka. A potem zapomnienie. Biedny drań.

-Dziewięć.

-Zapisz to, czego się dowiesz, bo inaczej nam nie powiesz.

-Osiem.

-Suche miejsce znajdź koniecznie, by przechować dane wiecznie.

Po niedługim szkoleniu miałem w głowie wcale dokładną mapę Alta Verapaz i nieco bardziej zgrubną Mezoameryki. Wybraliśmy osiemdziesiąt dwa punkty - gdzie łatwo można było kopać, ziemia pozostawała sucha i w ciągu minionych jedenastu stuleci nie prowadzono tam żadnych wykopalisk - ani archeologicznych, ani wydobywczych. Kiedy zakopię tam moje zapiski, zabezpieczone woskiem, solą i gumą, będę pewien, że nic ich nie naruszy przez okres przed konkwistą, erę konkwistadorów aż po współczesność.

-Siedem.

-Krzyż z magnesów zrób jak trzeba, aby był widoczny z nieba.

Miałem zakopać notatki w środku krzyża o pięciostopowych ramionach. Zaplanowano, że utworzę znak z połączonych woskiem grudek magnetytu lub namagnetyzowanego żelaza z meteorytu. Potrzebowałem na to około dwudziestu funtów. A tymczasem tutaj, czyli w roku 2012, w kilka godzin po wysłaniu mojego alter ego w prze-

szłość, satelity kartograficzne Spartakus zmienią nieco obszar obserwacji i zaczną skanować okolice Ix. Na wszelki wypadek przeczeszą prawie całą Mezoamerykę od równoleżnika dwudziestego piątego, czyli od Monterrey w Meksyku, aż do dwunastego, czyli do Managua. Jeżeli któryś namierzy elektromagnetyczną sygnaturę w kształcie krzyża, zawiadomi dw i helikopter zabierze kopaczy na miejsce, po czym z odnalezionymi zapiskami przetransportuje do Palika, do Michaela Weinaera i reszty ekipy. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, poszukiwania nie potrwać dłużej niż dobę.

-Sześć.

-Swój grobowiec z notatkami zasyp gładzów odławkami.

To oznaczało drugi etap operacji, czyli „Pochówek w bursztynie”. W razie gdyby notatki nie mogły wyjaśnić wszystkiego lub gdyby okazało się, że Gra wymaga o wiele większych umiejętności, których nie da się opisać, istniała jeszcze jedna szansa, by przekazać informacje do dwudziestego pierwszego wieku. Niełatwa w realizacji. To dlatego do pałacu w Ix przywieziono tyle specjalistycznego sprzętu. Musiał być gotów do natychmiastowego użycia, jeżeli ta część misji się powiedzie. Przy odrobinie szczęścia mój mózg również powróci, o ile uda się go odpowiednio zakonserwować. W tym celu miałem znaleźć kryptę, w której mogłem się zamurować od środka, aby żaden konkurent do tronu czy zwykły rabuś grobów lub ktokolwiek inny nie mógł się tam dostać. Stąd właśnie te „gładzów odławkami”.

-Pięć.

-Osiem ingrediencji znajdź, żeby potem zmartwychwstać.

Miałem zakonserwować swój mózg, a przy okazji i ciało. A dokładnie - mózg i ciało 9 Szponiastego Kolibra, ale z moją osobowością -w szybko zastygającym koloidzie. Alcor pracowało nad tą substancją od dziesięcioleci, szukając alternatywy dla kriogeniki, ale dopiero w ostatnich latach badania zaczęły przynosić obiecujące rezultaty.

W Paliku pokazano mi parę nagrań, jakich nie znajdzie się w Internecie - testy nowej technologii na makakach. I muszę przyznać, że małpy miały się całkiem dobrze, gdy tylko przywykły do swoich nowych ciał.

W każdym razie w laboratoriach korporacji Warrena udało się wymyślić, jak zastosować wynalazek Alcor bez użycia zaawansowanej technologii... No, powiedzmy raczej: bez użycia jakiegokolwiek technologii. Oraz przy pomocy składników, jakie mogłem sam znaleźć i przygotować. Wymyśliliśmy też osobne mnemowierszyki, dzięki którym mogłem zapamiętać dobrze ingrediencje, jak wosk pszczeli, alkohol, żywica i inne, a kolejna, dłuższa rymowanka opisywała, jak to wszystko zmieszać. Zapewne będę musiał to jeszcze raz powtórzyć. W Paliku przez ostatnie dni przed wyprawą preparowałem i mieszałem ten żel cztery razy i tylko raz mi nie wyszło. Wypadłem dobrze jak szef kuchni. Świetnie.

-Cztery.

-Zawieś worki z piaskiem tak, by od środka zamknąć sarkofag.

-Trzy.

-Nie zapomnij się wysuszać, zanim schowasz wszystko tutaj.

Jako zabezpieczenie miałem umieścić w grobowcu kopię notatek o Grze. Przeciwwaga z worków wypełnionych piaskiem miała opuścić kamienne wieko na sarkofag. A jeżeli chodzi o ostatnie polecenie - lepiej, żeby koloidu nie zanieczyściły jakiegokolwiek wydzieliny poza krwią.

-Dwa.

-Podgrzej żel i opuść worki, po czym pozbądź się eskorty.

-Jeden.

-Przetnij sobie żyły dwie, wtedy wszystko skończy się.

Nieszczególnie mi się to podobało, ale cóż...

-Zero.

-Zanurz się w żelu - i będziesz bohaterem, przyjacielu.

Ta część również nieszczególnie mnie pociągała. Miałem obciążyć się workami z piaskiem, zwłaszcza głowę, do której należało przywiązać jeden, zanurzyć się w koloidowym roztworze, zrobić wydech, policzyć do dziesięciu od tyłu, po czym wziąć pod powierzchnią żelu wdech.

- Dobrze - pochwaliła mnie Marena. - No, to dalej. Wymień ty tuły trzech filmów Felliniego.

-„Satyrykon”, „La Strada”, „Rzymianka”... Nie, ostatnie nie.  
„Osiem i pół”.

-Wymień cyfry w kolejności od tyłu: dziewięć zero cztery dziewięć trzy cztery pięć trzy trzy dwa.

-Dwa trzy trzy pięć cztery trzy dziewięć cztery zero dziewięć.

-Bardzo dobrze.

-Zatem mogę kupić zambijskie numizmaty za dziesięć tysięcy, prawda?

-Ja tu zadaję pytania.

-Przepraszam.

-Gdyby pomalować wszystkie ściany tetrahedronu na czerwono lub niebiesko, ile wzorów kolorystycznych można otrzymać?

-Hm... Pięć.

- A teraz mógłbyś opowiedzieć trochę o swojej matce?

Cholera. Wiedziałem, że coś podobnego w końcu wypłynie. Lisuarte wspomniała, że kiedy przeglądała z innymi naukowcami zapisy poprzedniego ładowania, czyli tego, które wykonano na potrzeby transferu do Soledad, uznała, że trzeba ze mnie wyciągnąć więcej emocji przy kolejnej podróży. Podrażnić głębsze warstwy mojego hipokampu. Cóż, nieważne. Zacząłem opowiadać, jak matka nauczyła mnie Gry i jak nasze gospodarstwo popadło w kłopoty. Może to przez lekarstwa, którymi zostałem nafaszerowany, a może przez nastroj, trudno powiedzieć, ale uświadomiłem sobie, że paplam o swoich pobytach w szpitalu oraz o dniu, gdy dostałem powiadomienie, że rodziców aresztowano w T'ozal. I o tym, że to moja wina. *Todo por mi culpa*. Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina... Niech to szlag. Szlag.

-*Los Soreanos están un grande calamidad* - powiedziałem. Soreano znaleźli się w kłopotach. Pamiętam, był ranek, ponieważ dostałem grzankę z białego chleba.

-*Diciendo debido a Teniente Xac?* - spytała ta miła, *sor* Elena, jak zwykle obojętnie. To z powodu porucznika Xaca?

Oczywiście byłem wtedy niezdarłym, nadgorliwym siedmiolatkiem. Zapomniałem, że nie powinienem nic mówić... a może po pro-



stu wpadłem w złość lub pragnąłem zwrócić na siebie uwagę albo poczuć się ważnym.

- *Mi padre y Tío Xac van a quemarse la casa Soreano* - wyznałem. Mój ojciec wraz z porucznikiem Xakiem zamierzają spalić dom Soreano.

Cholera, cholera, cholera. *Todo por mi culpa*.

Skupiłem wzrok na Homam, czyli Zecie Pegasus, właśnie wschodzącej w bladym blasku świtu po lewej stronie na dole. Nie była to jasna gwiazda, ale ładna, żółta, lśniąca na dość pustej części nieboskłonu między Formalhaut i Vegą. Naraz dotarło do mnie, że zamilkłem. Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

- Dobrze - odezwała się Marena może o dwa decybele ciszej niż zwykle. - No, to teraz rozwiąż równanie:  $x$  do trzeciej razy pięć po dzielone przez  $x$  do kwadratu plus siedem równa się zero.

Test pytanie-odpowiedź toczył się w podobnym stylu przez następną godzinę. O trzeciej czterdzieści pięć Lisuarte zaproponowała krótką przerwę. Oczywiście ładowanie danych trwało nadal. Marena pomogła mi się napić energizera przez słomkę.

- Dziękuję. Chyba powinienem... hm...

Żegnanie się nie miało sensu, skoro na własne oczy można się było przekonać, że nigdzie się nie ruszę. Po teście P-0 zapewne zasną. Wyczołgam się z tego metalowego odbytu i sterty brudu. I ten ja, który zostanie w dwudziestym pierwszym wieku, nawet nie zauważy, że coś się zmieniło.

Jeżeli jednak to ja udam się w podróż do przeszłości... Ach.

-Chciałbym się pożegnać w imieniu mojego bliźniaka - oznajmiłem.

-Jasne - zgodziła się Marena. - Połamania nóg, kolego.

-Dzięki.

-Tylko się nie zabij.

-Wielkie dzięki. - Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że Marena trzyma mnie za rękę. Joj! Czułość. Uwaga na to gównno...

-Dobra, idźmy dalej. Jakiego miałeś pierwszego ślimaka morskiego?

- To była para *Hermisenda crassicornis*...

Nadchodził świt. Zapewne przez czerwoną lampę niebo za drzwiami wydawało się zielonkawe. Ixchel nadal była widoczna - niemal pomarańczowa i większa niż wcześniej. Odkaslnąłem.

-Kim była twoja pierwsza dziewczyna?

-Jessica Gunnison.

-Kto był głosem Myszkki Miki?

-Chwileczkę... - wychrypiałem. Język mnie bolał. Nadal patrzyłem na Ixchel. Teraz zrobiła się czerwona, a Vega, która znajdowała się wyżej po lewej, również nabrała czerwonej barwy, po czym gwiazda poniżej również zmieniła barwę na czerwoną, a potem już było ich pięć, dziewięć, trzynaście - świetlne punkty rozbłysły, urosły i zlały się ze sobą. I wtedy zrozumiałem, że to krople krwi kapiące z mego języka na złożony list-petycję do Jedynego Ocelota w Gwiezdnym Łonie. Przez kamienie przebiegły zgrzyty i trzaski wielkich mahoniowych pni.

-Jed? - usłyszałem głos Mareny.

-Wszystko w porządku, nic mi nie jest - chciałem odpowiedzieć, ale w ustach miałem krew i ból. O czymś zapomniałem.

- Nie martw się - próbowałem powiedzieć - czuję się świetnie.

Czułem się tak, jakbym nie spał od dawna, ale zarazem lekko i przyjemnie. Wziąłem głęboki wdech. Wilgotne powietrze przesycone dymem ofiarnym pachniało żywicą, dzikim tytoniem, geranium, spaloną skórą, kolendra, gumą i czymś jeszcze, ledwie wyczuwalnym - czymś z przeszłości, kojarzącym się ze szczęściem... Och, rozpoznałem - czekoladą...

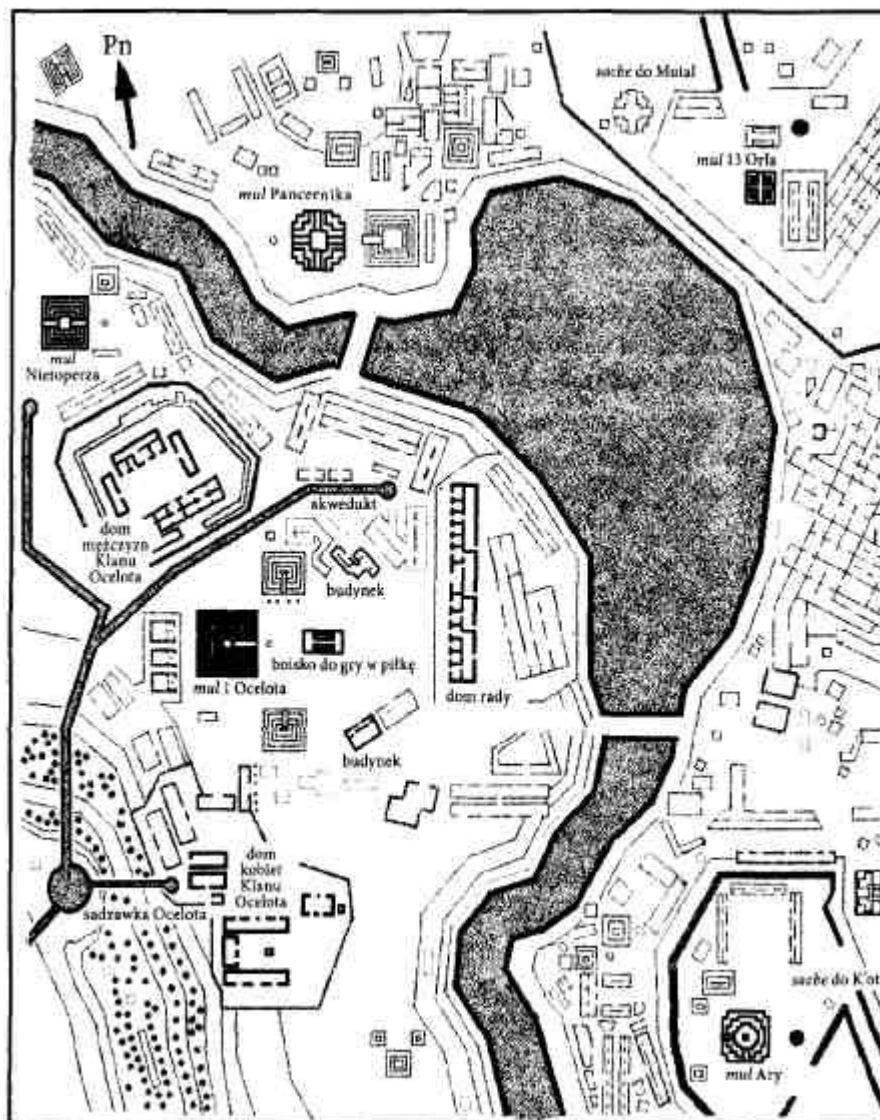
Chwileczkę.

O czymś zapomniałem, nie...

**DWA**

**PRZECIWIENSTWO CYNAMONU**

## MIASTO IX W ROKU PAŃSKIM 664



## W

yrwaliśmy i spaliliśmy ciernie. Wyczołgaliśmy się przez drzwi i po paru krokach stanęliśmy na szczycie wielkich schodów. Roześmiani mieszkańcy IX spojrzeli na nas i podjęli liczenie, a raczej odliczanie, pulsując do rytmu, przekładając tarcze z piór to do przodu, to do tyłu, przez co tłum zmieniał kolor z chłodnej czerwieni na błękitną zieleń i tak w kółko.

Niech to, pomyślałem. Naprawdę nic nie wiedzieliśmy.

Miałem dość jasne wyobrażenie o tym, jak to miejsce wygląda. Rzeczywistość jednak w ogóle do tych wyobrażeń nie przystawała. Przez chwilę wydawało mi się, że źle trafiłem - nie do IX, ale do starożytnego Khmeru, na Atlantyde czy do przyszłości lub na jakąś odległą planetę. No dobra, trzeba ustalić fakty. Ten szczyt to San Ereno. Tyle tylko, że na jego zboczach jest mnóstwo zabudowań. O, do cholery. Widok przesłaniają wirujące wiatraki ofiarne z piór. W dole zabrzmiał wrzask skazańca przechodzący w urywany skowyt.

O kurczę, pomyślałem. Udało się.

Odchyliłem głowę i przełknąłem własną krew. *Es delicioso* - tyle różnych smaków, słodki olej kukurydziany, metaliczny posmak miedzi, urnami, woda morska... nie ma nic lepszego na świecie niż jas-noczerwony płyn, który tryska z ciemnofioletowej żyły i natychmiast ciemnieje, początkowo do koloru żółtobrunatnego, aby przejść w czerni, zanim ostatecznie zacznie tworzyć te smakowite skrzepy...

*MAX ECHE? Kim jesteś?*

*Jesteś jednym z czterechset czterystu'? Co takiego? Hę?*

Co to było?

*Jesteś jednym z trzynastu? Albo jednym z dziewięciu?*

Czy to byłem ja? *Wynoś się ze mnie.*

O cholera. Nie miałem kontroli nad ciałem. Umysł docelowy nie został zlikwidowany. Znalazłem się w pułapce.

*Uuk ahau k'alomte'yaxoc...*

„Władco, praojcze, praojcze-  
pramatko, zerowe słońce,  
pierworodne słońce...”

Niech to szlag...

Mam pecha. Złe miejsce w bardzo nieodpowiednim czasie. Nie, czas dobry, miejsce mniej więcej też - tylko ciało zdecydowanie nieodpowiednie. *Coño coño coñocoño...* Noż kurwa mać.

Istotnie, to nisza *ahau*. Miała być nisza *ahau*, więc to naturalne, że *ahau* powinien być w środku, prawda? *Malo*. Nieprawda.

Ten Szakal udaje 9 Szponiastego Kolibra. Zastępca, który za króla złoży się w ofierze. Rzuci się ludziom-rekinom na pożarcie, a po kilku dniach z grobu, a raczej z zaplecza, wyleci 9 Szponiasty Koliber, który wróci do sprawowania rządów. Ależ byliśmy głupi. Dobra robota, chłopaki. To też moja wina. Dobrze mi tak, skoro zaufałem ludziom z korporacji. *Cutre!* Frajer ze mnie, głupek, debil.

Czekaj.

Pech. Trzeba coś zrobić. Oszacować straty. Zmienić taktykę.

O, w mordę, *Dios te salve, Maria, ni modos*, nie ma mowy.

Falanga, powieka, mięsień okrężny, nieważne. Trzeba się ruszyć.

O, *chingalo*, o ja pierdołę, o Boże.

Uwięziony. Zamarznięty. *Helido*. Zastygły w żywicy. Świadomy przycisk do papieru.

Skup się, nakazałem sobie w duchu. Weź się w garść. Ruszaj. Otwórz usta. No, odezwij się!

*Nada*.

Klaustropanika. Kurwakurwakurwa.

*Está chupado*, nie ma problemu, krzyknijmy razem. Zróbmy to.

Wszyscy to robią, wszyscy, ptaki, pszczołki, nawet tresowane pchły, zróbmy to, przestaśmy istnieć, Boże! O Boże.

Dajmy tym draniom zabójczą dawkę R-E-S-P i tak dalej. Ustawiaj się w kolejce, aby pocałować nas w *culo*. Prawda?

Brak odpowiedzi.

*Jesu-pierdolony- Cristo*.

Ostatnia szansa. No dalej.

*Szakał? Jesteśmy kumplami, tak? Compadre? Nie rób tego. Posłuchaj mnie. Przynajmniej mnie wysłuchaj. Zastanów się przez chwilę. Jak często się to komuś zdarza? Nie można czegoś takiego zignorować. Nieważne, co mówią ci te mięśniaki. Zaczną słuchać, jeżeli tylko się wysilisz. Możemy przejść to miejsce. Razem - ty i ja. Chang i Eng. Bez problemów. Daj mi dziesięć dni, a te koty będą nam podcierać calabazo. Wszyscy będą nas szanować. No, dalej. Powiedz to. Powiedz.*

Nic.

*Posłuchaj - pomyślałem twardo -jeżeli choć na moment uwolnisz się z tego transu, to chyba zdołam cię z tego wyciągnąć, ale musisz mnie posłuchać. Posłuchaj mnie przez chwilę, posłuchaj mnie przez chwilę, przez chwilę mnie posłuchaj, posłuchaj...*

Cisza. Nie kupił tego. Jakby jego oczywiste oczywistości rzucały mnie w objęcia śmierci.

*Hej - pomyślałem do niego znowu. Spróbuj zrozumieć, co do ciebie mówię. To nie jest środek wszechświata, por el amor de Dios, to tylko Ameryka Środkowa. Jeżeli dasz mi wytłumaczyć kilka podstawowych spraw, nie będziesz chciał już umierać. Mogę nas z tego wyciągnąć, mogę nas wyciągnąć...*

„Cztery słońca, pięć słońc...”

Szakal miał lepszy słuch ode mnie. Jak gdyby umiał namierzyć każdy głos i określić, czy jego właściciel jest zdrowy, czy chory; młody, czy stary; czy ma zdrowe, czy leczone zęby. I każdy głos wierzył, każdy wiedział, że obecność *ahau* na szczycie schodów ma kluczowe znaczenie, że bez tego kolektyw nie zdoła wezwać Jedyne Ocelota z jaskini w niebie.

„Osiem słońc...”

Spojrzeliliśmy w dół. Z dwóch olbrzymich *incensarios* u stóp schodów wiły się słupy czarnego dymu, a w oku wiru... O Boże! Te schody. Schody, ale nie do nieba. Schody do piekła. Zgodnie z obliczeniami Michaela, gdy ktoś o wadze przeciętnego mężczyzny z okresu Majów - powiedzmy, że Szakal - wybiłby się mocno, spadałby przez około dwie i dziewięć dziesiątych sekundy - mniej więcej tyle trwa, zanim kula pokona tor i trafi w kręgle - choć najprawdopodobniej w dwóch kawałkach. W krótkiej chwili zmienimy się w farsz do *tantale*, nasza głowa stanie się piłką w kosmicznej grze. Nie tylko ja będę *fuqueteado*, ale wszyscy w 2013 roku, naprawdę wszyscy, będą *fuqueteados*.

No dalej, Joaquin, złap za kierownicę. Zaczynaj poruszać ustami Szakala - znajdź właściwą synapsę, NACIŚNIJ ten przycisk, LIF' DAT BALE. No już. Zaraz. Czy moja lewa noga właśnie się poruszyła? Chyba tak. I jeszcze raz.

I znowu.

Nic.

Do czoła przykleił mi się płatek popiołu. Wydawało mi się, że widzę *uay* Szakala, to znaczy jego zwierzęcą postać szarej sowy, jak leci przed nami. Przez moment udało mi się uzyskać stan idealnej równowagi. Jednocześnie napięły się wszystkie mięśnie mojego ciała. Wydawało mi się, że widziałem, dokąd zmierzam, jak gdyby ktoś zatrzymał kadr, czułem się jak połyskująca od wody ryba nad szmaragdowozie-



loną wodą - i nagle nie byłem już jedną rybą, ale całą ławicą ryb skaczących unisono i płynących na wietrze. Nasz ostatni wdech...

Niech to szlag. Marena będzie się zastanawiać, co się wydarzyło. Pomyśli, że nawaliłem.

Spróbuję jeszcze raz. Rusz się!

Nic.

*Wuklahun tun...*

„Dziewiętnaście słońc...”

Ostatnia szansa przepadła.

Cóż, przynajmniej dane mi było ujrzeć Ix na własne oczy. To już coś.

Gotowy.

Proszę, jeszcze tylko sekunda - proszę!

Moje stopy przesunęły się nerwowo na kamiennym podłożu, aż znalazły idealne oparcie. Przykucnąłem, gotów do skoku, do skoku nad czeluścią schodów. Na pewno zdążę. Nie dam się zniewolić Nocnym Przeżuwaczom. Czekają mnie przeprawa przez podwodny świat. Tłum widoczny w kłębach dymu potraktuje mnie, jak gdybym naprawdę był 9 Szponiastym Kolibrem. Przeniesie mnie do trzynastej muszli niebiańskiego łona, prosto w ogień. W końcu dane mi będzie odpocząć. Osiągnę stan zapomnienia.

„Dwadzieścia i więcej, dwadzieścia i więcej snopów słońc...”

Oto liczba, o którą prosimy, Jedyny Ocelocie, daj ją nam, panuj nam, zstąp do nas, pobłogosław...”

Zapadła cisza. Tylko w oddali zagruchał gołąb.

No dobra, to koniec, pomyślałem. Teraz muszę wymyślić coś sprytnego...

Z tyłu nade mną rozległ się okrzyk. Pomyślałem, że nie dobył się z ludzkiego gardła - to pewnie ara. Nie, tresowana małpa. A może

jakiś instrument, kamienna *guira*, kościana gwizdawka, cokolwiek -ale nie człowiek. Wtedy z otchłani mojej nowej pamięci napłynęło wspomnienie i już wiedziałem, że to jednak człowiek - że to głos karła wzmocniony gigantyczną tubą i zniekształcony echem odbijającym się od tysięcy tarasów i ścian miasta. Głos męski, wyższy niż tenor, jak Alessandra Moreschiego, ostatniego kastrata. Trochę dziwny, opanowany. Albo raczej pozbawiony wahania. Jakby właściciel tego głosu nigdy nie miał wątpliwości. Nie chodziło o to, że był to głos człowieka nawykłego do wydawania rozkazów, raczej kogoś, kto nigdy nie powiedział niczego, co nie było z założenia poleceniem, i jakby w umyśle tego człowieka nigdy nie powstała nawet myśl, że jego słowa można zignorować. A z zakamarków mojej nowej pogmatwanej i pomieszanej pamięci wypłynęła wiedza Szakala. Szakal dobrze znał ten głos, więc zaraz i ja się tego dowiedziałem. Oto usłyszałem prawdziwego 9 Szponiastego Kolibra, *ahau* i *k'alomte'* miasta IX.

- *Pitzom b'axb'al!* - rzekł prawdziwy *ahau*. Co w zgrubnym przekładzie znaczyło: - Zagrajmy w piłkę!

Nadszedł czas. Pora skakać.

*Ch'oopkintikeen kin ox utak!*

To byłem ja. To ja krzyknąłem. ZROBIŁEM TO, pomyślałem. MOGĘ ZAPANOWAĆ NAD SZAKALEM! YyyaaaAAAAjjjED! Cisza. A potem w oddali zaskrzeczała zielona sójka. Dobra. Przejdźmy do dalszej części. Trzeba pamiętać o różnicy w czasownikach. I zwięźeniu wymowy spółgłosek. *Ch 'opchin*, nie *ch 'oop-kin*. W tym swoim narzeczu nazywają się *ajche'ej winik*. Roześmiani Ludzie. Muszę pamiętać, by oddychać na przeponie. Do dzieła.

- *Ch'opchintikeen k'in ox utakl* - krzyknąłem, starając się nie skrzeczeć.

„Jestem ślepcem. A  
trzeciego słońca, czyli:  
czternastego *k'atun*, 12  
Wiatr, 12 Ropucha,  
Północna Pani plunie ogniem,  
Wystrzeli kwasem, Spuści  
czarny deszcz Na wzgórza i  
doliny,  
I tylko ja wiem, jak was przez to przeprowadzić,  
Was, Roześmianych Ludzi. Musicie wiedzieć...”

WA'TAL WA'TAL WA'TALWA'TALWA'TALWA'TAL!!!

*Stop stop stop stopstopstop!!!* - umysł Szakala zacisnął się na moim. Zadławiłem się, a do końca zostało sześćdziesiąt jeden słów. No już. Do cholery. Trzeba dokończyć. Przez mrok, przez...

Nic. *Mierda*. Szczałem tylko zduszenie, jak postrzelony w płuca pies. Paskudne uczucie, naprawdę koszarne, jak wstyd, tylko głębsze, ogarniające mnie niczym fala kwaśnych wymiocin. Wsączyła się w mój umysł i pozostawiła tylko jedno słowo:

AJSAT!

Jak wszystkich ważnych pojęć tego też nie dało się dobrze przetłumaczyć. Ale istnieje dość podobny wyraz w języku angielskim. Trzeba sobie tylko wyobrazić, że słowo to jest używane wyłącznie w warunkach silnej presji emocjonalnej, jak choćby na ważnym meczu piłki nożnej:

FRAJER!

Sfajerowałeś się, sfajerowałeś i przegrałeś, przegrałeś. Sfajerowałem się i jestem teraz frajerem przez ciebie. FRAJEEERRR...

*Chingate*, pomyślałem. Pierdol się, pierdolę cię, gnoju. Spróbowałem jeszcze raz. W mieście narastało napięcie, jakby wszyscy zgromadzeni na placu wstrzymali oddech. Co sobie myślą? Wydawało mi się, że wraz z Szakalem robimy malutki krok naprzód, ale nie spadliśmy. Jeszcze nie. Tłum zamarł, po czym zaczął wirować wokół mnie, a wykute z kamienia nierówne schody pośpieszyły mi na spotkanie. Skupiłem wzrok na poszczerbionej krawędzi trzeciego od góry stopnia - tego, o który miała się rozbić moja twarz. I wtedy czas się zatrzymał.

Jestem martwy, pomyślałem, a obraz wyszczerbionego stopnia wyrzył mi się w pamięci (tych resztkach, które jeszcze pozostały), ponieważ była to ostatnia rzecz, jaką miałem ujrzeć na tym świecie. Odejdę powoli, rozplynę się bezszelestnie. *Na'na*. Mamusiu, proszę. Hm...

Dziwne. Kątem oka złowiłem ruch. Z lewej nadleciała barwna piłka i odbiła się od stopni. Przy czwartym odbiciu rozprysła się w zielone i niebieskie odłamki. Pióra? Nie, pędzą zbyt szybko. Za szybko. Jeden z „odłamków” przemknął obok mnie. Koliber. Ach.

Nie, to nie złudzenie. Nie spadałem. Zawisłem nad przepaścią, a raczej ktoś mnie chwycił od tyłu i powstrzymał. Hm... Wielkie *potit* z niewypalanej gliny dorównywały owym dzbanom na oliwę wysokim jak dorosły mężczyzna... Jak je nazwano? *Pithoi*? Znaleziono je w pałacu w Knossos... *Potit* nakreśliły nade mną łuk, po czym opadły na siódmy stopień schodów, rozniecając wielką jak dom chmurę żółci i czerni. Tuman uniósł się i zawirował wokół nas. Pszczoły. A obok spadły inne przedmioty - odłamki jadeitu, orchidee, nagietki, twarde i kruche okrągłe podpłomyki toczące się po stopniach jak frisbee... Nie dostrzegłem więcej, bo nagle obrócono mnie szarpnięciem tak, że słońce miałem teraz za plecami. Znowu ujrzałem wejście do sanktuarium, mroczną paszczę minoga o wielkim kocio-żabim pysku, przy którym złożono stopy warzyw.

*Me pozwól mi upaść na plecy, to zbyt upokarzające.* Ja to pomyślałem? A może Szakal?

I dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że nie oddychamy.

Umrzemy, spłoniemy.

No, to niewątpliwie był Szakal.

*Wybacz, że zepsułem ci wielką...*

Zero, zero. Gak.

Klaustropanikolękofobia. Nie uduś nas, proszę, oddychaj, po prostu wdech, wydech, wdech, wydech. Wciągnij. To. Jebane. Powietrze. Zrób. Wdech.

Gkk...

Silne ramiona powstrzymały mnie, kiedy przez trapezowe przejście przecisnęła się wielka, żywa istota. Pierwsze skojarzenie, a może intuicyjna ocena: ptak. I to nie jakiś zwyczajny, ale fororak, wysoki na ponad osiem stóp mięsożerny nietop, prawdziwy rzeźnik z miocenu o dziewięciocalowych pazurach i ogromnym, ostrym dziobie. Ale część umysłu należąca do Szakala - a teraz była to także moja

część - wiedziała lepiej. Wysoki ród, czyli arystokrata, w ceremonialnym wielkim pióropuszu. Chociaż pióropusz nie jest wystarczająco precyzyjnym określeniem. Nakrycie głowy przypominało raczej protezę, serwomechaniczną, kubistyczną konstrukcję *avant la lettre*. Jedna z pierzastych wstęg owego pióropusza musnęła mi czoło i dopiero wtedy zorientowałem się, że jest spleciona z setek czerwonych papuzich piór przymocowanych do bambusowego szkieletu. Przybysz ujął mnie pod brodę wysuniętym pazurem. Pod kościaną formą oklejoną papier maché, by tworzyła wielki dziób, dostrzegłem o wiele mniejszą głowę - łysą jak u żółwia i pomarszczoną jak koralowiec. Skóra lśniła czerwienią, a świdrujące, płonące oczy rzuciły mi groźne, posępne spojrzenie. Wyczuwałem, że Szakal znał tego mężczyznę osobiście, a nawet że darzył go przywiązaniem i czcią. I natychmiast uświadomiłem sobie, że to czerwony *bacab*, czyli *bacab* wschodu. Poznałem też jego imię: 2 Inkrustowana Czaszka.

*Zabij mnie* - pomyślał Szakal. *Uwolnij mnie. Zniszczyłem nas, zniszczyłem siebie, zabij i wyrzeknij się mnie na zawsze.*

Wstyd. Niech to, próbowałem się przekonać, że tu nie chodzi o mnie. Ale Szakal i ja dzieliliśmy emocje w sposób, w jaki bliźnięta w łonie matki dzielą krew przez łożysko, dlatego wpadłem w te same ruchome piaski kosmicznego zawstydzenia. Dobrze znałem to uczucie, chociaż już dawno nie miałem z nim do czynienia - nawet nie pamiętam, od jak dawna. Podejrzewam jednak, że każdy potrafi sobie je przypomnieć z czasów, gdy był dzieckiem - jak choćby przegrany mecz w piłkę, gdy inne dzieciaki obrzucały mnie kawałkami kory brzoźowej. Pamiętałem, jak to jest. Pamiętałem, jak się ze mnie śmiano i jak pragnąłem wtedy ze wszystkich sił zapaść się pod ziemię, jak nienawidziłem prześmiewców, a zarazem pragnąłem ich akceptacji. A potem wystarczyło w podobnej sytuacji wyobrazić sobie Szakala, który nie miał nawet nadziei, gdy patrzył na zamglony widnokrąg za placem boiska. Nie miał rodziców, do których mógłby uciec, nie mógł liczyć na współczucie szkolnej pielęgniarki ani pocieszać się, że kiedyś przecież dorośnie... Nie miał nic. Dla niego istniało tylko jedno wyjście, a ja zatrzaskałem mu je przed nosem. Skupiłem wzrok

na ramieniu 2 Inkrustowanej Czaszki, na szerokiej bransolecie z jadeitu wyrzeźbionej w łuski, na pojedynczych ciemnych włoskach na pomarszczonej skórze, wyrastających rzadko jak aporokaktusy na Mojave. No, epifity rosną zwykle... Ach.

Zakręciło mi się w głowie. Nie oddychaliśmy już dobrą minutę i zaczynała mnie ogarniać szara mgła, jak w czasach, gdy byłem mały, skaleczyłem się i omal nie wykrwawiłem na śmierć. Posępny głos -domyśliłem się, że należał do 2 Inkrustowanej Czaszki - przedarł się przez opary dwutlenku węgla i chyba usłyszałem wyraz *luk'kintik* -zbezczeszczenie. I chyba brzmiało w nim... współzucie? Błaganie? Gorące palce wsunęły mi się w usta, a choć straciłem propriocepcję, nadal pozostało wrażenie spadania w miękką ciemną czerwień. Czy nareszcie toczę się jednak po schodach? - zacząłem się zastanawiać.

*Proszę, pozwól mi upaść, nie powstrzymuj mnie, pozwól mi się stoczyć po schodach, tego właśnie pragnę, tylko tego pragnę, tego pragnę...*

### [Z3]

Byłem świadom rozmiarów klatki od dłuższego czasu, choć nie widziałem swojego więzienia. Zbyt krótkie, by wyprostować nogi, i zbyt niskie, by usiąść. Nie przeszkadzało mi to, bo pragnąłem jedynie zwinąć się w kłębek.

Swędzenie. Swędzenie oczu. Podrap się.

Nie mogę. Związane ręce.

Pić.

Próbowałem przełknąć, ale nie mogłem zamknąć ust. W końcu mi się udało, ale język miałem tak wyschnięty, że poczułem tylko ból. Cholera.

Chyba leżałem w pozycji płodowej na lewym boku... nie, na prawym. Nie miałem ramienia. Albo raczej... pewnie po prostu je schowałem pod siebie. Zdrętwiałem od szyi w dół. Nie czułem tak-że prawej stopy, a może lewej? Łatwiej powiedzieć, gdy się je widzi. W każdym razie więcej niż połowa ciała mi odrętwiała. A to, co nie zeszytywniało, przypominało o sobie bólem i naciągniętymi ścięgnami. Nieważne.

Swędzi. Poczulem, że ciało się wierci, próbując otrzeć o ścianę. Udało się. Ach, co za ulga.

Hę?

Wydawało mi się, że przestałem się wiercić, ale wrażenie ruchu pozostało. To nie byłem ja. To klatka. W przód i w tył. Huśtanie. Wisząca klatka? Jak wysoko? Przycisnąłem twarz do ściany. Była guzłowata



i pełna. To nie drewno, uświadomiłem sobie. To wiklina. Zawieszono mnie w wiklinowym, plecionym koszyku. Koszu-klatce.

W sumie to miało sens. Żadnych krawędzi, którymi mógłbym się skaleczyć, żadnej twardej podłogi, by sobie rozbić głowę - bezpieczna cela. Miałem żyć. Mniej więcej. Nic dziwnego, że nie mogę zamknąć ust. Mam wałek, który nie pozwoli mi przegryźć sobie języka i wykrwawić się na śmierć. Rozprostowałem się nieznacznie, potem lekko obróciłem, naciskając na ścianki klatki. Miała szerokość ramienia i dwa razy większą długość - nieoczekiwanie dotarło do mojej poobijanej głowy, że zacząłem myśleć w miarach, jakich używali Majowie, a nie w stopach lub metrach. Ramię oznaczało jednostkę długości odpowiadającą około dwudziestu sześciu calom. Wydawało mi się także, że klatka ma wysokość mniej więcej półtora ramienia - a zatem niewystarczająco wysoka, bym mógł stanąć, ani nie dość długa, by się wyciągnąć. O, nie... Szlag.

Klaustrofobia ścisnęła mi pierś i niemal uległem panice, ale może dlatego, że moje nowe ciało było zbyt wyczerpane, udało mi się opanować. Spokój, spokój, *cálmate*, wszystko w porządku, żyję i to się liczy. Trzeba zachować zimną krew. Zimną jak lód. Jeżeli teraz spanikuję, mogę stracić wszystko.

Pić.

Może dzięki prądom powietrza, emanującym ciepłem kamieniom poniżej albo skamleniu szczeniaka dobiegającemu zza ścian uznałem, że klatka wisi nad zamkniętym, niewielkim dziedzińcem wewnętrznym i że jest już późne popołudnie. Natężyłem słuch. W oddali zabrzmiał skrzek, gdzieś zagulgotał indyk, zaszczekał pies, na pewno nie szczeniak, nisko i głośno, a ponad tym hałasem niósł się rytmiczny klekot - wyciskający mi z oczu łzy i przywołujący wspomnienia odgłos kobiet przygotowujących *waahob*, tortillę, rozgniatających i przerzucających z ręki do ręki kukurydziane ciasto. Dokładnie taki sam dźwięk nierozzerwalnie związany był z dzieciństwem Jeda, to znaczy moim dzieciństwem. Ale poza tym - och, cholera, te nowe uszy były naprawdę wspaniałe - słyszałem echo okrzyków podczas gry i stukot gumowej piłki o kamienie boiska.

Rany...

Przed oczyma duszy ujrzałem przebłyski z gry w piłkę, tej odbijanej biodrami i udami - nie moje wspomnienia. To znaczący obrazy z pamięci Szakala. Ujrzałem polaną w lesie otoczoną stertami brudnej ziemi i stosami chrustu oraz dwóch nagich chłopców, a za nimi grupki dorosłych zgromadzone wokół umownego boiska. Jeden z chłopców miał twarz zalaną krwią i zastanawiałem się, czy drugi zostanie ukarany, ale usłyszałem radosne okrzyki i dotarło do mnie, że uderzenie przeciwnika piłką w twarz oznaczało zwycięstwo i było mistrzowskim zagranie. A zaraz potem ujrzałem ostatnią tak zwaną rozgrywkę Szakala - ustawiony mecz jeden na jeden przeciwko nie komu innemu, jak samemu 9 Szponiastemu Kolibrowi. *Ahau* grał jako 7 Hunahpu, bohaterski boski bliźniak, a Szakal wcielał się w 9 Pana Nocy. To znaczący, że Szakal był czarnym charakterem. Gra odbyła się nocą, dziedziniec rozświetlono pochodniami. 9 Szponiasty Koliber stanął na jednym końcu placu w rytualnej masce i szcudłowatych sandałach, ale nadal widać było, że to achondroplastyczny karzeł. Lalkarze, choć może lepszym określeniem byłoby „niewidzialni” - jak ci w teatrze no - poruszali pustą papierową kulą na dwóch cienkich sznurkach połączonych z długimi kijami tak, by huśtała się w górę i w dół niczym marionetkowy ptak. Oczywiście nie mogli oszukać widowni, ale też nie o to chodziło. O ile osiągnięty został wpływ duchowy, odegranie wyreżyserowanej rozgrywki było równie dobre jak prawdziwa gra.

Domyśliłem się, że dwaj mężczyźni obok grają ze mną, a raczej z Szakalem. Gładkolicy miał na imię chyba Hun Xoc, czyli 1 Rekin, a bardziej krępy dzieciak o płaskiej twarzy nazywał się 2 Ręka. Niełatwo mi jednak przychodziło przeglądanie wspomnień Szakala, przypominało to...

Cóż, powróciło wcześniejsze pytanie. Jakie to uczucie, gdy się jest częścią kogoś innego? Zapewne to trochę tak, jak poruszanie się w całkowitych ciemnościach w wielkim, nieznanym domu pełnym sprzętów i mebli. Trudno wtedy znaleźć drogę do drzwi. Wydawało mi się, że jestem prawdziwym, hardcorowym Majem. I dopiero tutaj zroz-

miałem, że byłem jedynie pozbawionym wiedzy fanem. Z perspektywy tego ciała i tego umysłu przekonałem się, że wszechświat wygląda zupełnie inaczej. Na przykład nadal wiedziałem, że ziemia albo, jak my to mówimy, *mih'kab*, ziemia zero, zerowa lub zerowa muszla stworzenia, jest kulą, czy raczej geoidą. Jeżeli jednak o tym nie myślałem, czułem zupełnie inaczej - jakby świat wokół mnie wcale nie był sferyczny czy płaski, lecz przypominał stos tortilli. Każda warstwa lub muszla znajdowała się wewnątrz poprzedniej, trochę jak w spłaszczonej cebuli, ale - rzecz jasna - nadal była pełna życia.

Zacząłem się dusić.

No dalej, oddychaj. Ten knebel w ustach. Chyba gąbka. Otwórz usta. Dobrze. Zamknij. Nie mogę. Auć. Zgaga i wrzody żołądka. Próbowiałem zassać powietrze przez wysuszone gardło i mój próg wytrzymałości na ból osiągnął rekordowe wartości, ale zlekceważyłem cierpienie, co Jedowi w życiu by się nie udało. Szakał miał zahartowane, sprawne ciało - bez wątpienia. Niewiele to pomoże, skoro nie można się ruszyć. Pić. Naprawdę muszę przełknąć. Użyć języka. Gdzie jest mój język? Odcięty? Nie, zaraz. Odrętwiały. Dobry język, rusz się...

Udało mi się odkleić język od podniebienia i zacisnąć zęby, choć niezbyt dobrze pasowały - Szakał nie miał najlepszego zgryzu. Przełknąłem, jednak sprawiło mi to tylko ból. Suche gardło, auć! Przesunąłem obcym językiem, teraz już moim językiem po kneblu i obróciłem kłębek w ustach, szukając wilgoci. Zassałem trochę, przy okazji zaznajamiając się ze szczerbami i zgrubieniami w ustach. Zaraz, gdzie moje więzadełko? Ach, przepadło razem z poprzednim ciałem. Z moimi zębami też jest coś nie tak. Nie źle, inaczej. Para górnych siekaczy została wzmocniona po wewnętrznej stronie jakimś mostkiem w kształcie odwróconego L. Zęby środkowe wydawały się w porządku, ale dalsze, zarówno po prawej, jak i po lewej, chyba częściowo się połamały. Nie zdawałem sobie sprawy, jak lubiłem przesuwać językiem po moich dawnych zębach. Te połamane resztki były dla mnie zupełnie obce. Mogę się boleśnie ugryźć, jeżeli nie będę uważał. Och, a to co? Po kobiecej stronie wyczułem dziurę - brakowało dwóch

trzonowców. Ach, prawda - straciłem je w grze na 39 Dziedzińcach przeciwko 2 Grzechotnikowi, gdy zdobyłem cztery i zabiłem...

Nie. To nie ja. SZAKAL. To była kariera Szakala. Ja ją tylko oglądam.

Dobra, pora otworzyć oczy.

Au. Nie mogę.

Chyba kichnę.

*La gran puta.* Ale *Schande* się zrobiło. Dlaczego to ja się tu znalazłem? Powinienem być tym, który został w 2012. Ten drugi ja teraz pewnie grzeje się w śpiworze z Mareną. To znaczy „teraz” w przeszłości. Drań. Nie ma o niczym pojęcia. Chwileczkę, czyżbym czuł się zazdrosny o siebie? Nie popadajmy w obsesję. Trzeba się wziąć w garść.

Dobra. Otwórzmy oczy...

Nic.

No, po prostu świetnie. Projekt badawczy za ponad sześćset milionów dolarów, a ja kończę w plecionej wiklinowej klatce. A w ogóle to jak długo tu siedzę? Dni?

Pić.

Co z wulkanem? Przepuściłem wybuch? Nie, *ni modos*. Nie mogły jeszcze minąć trzy dni. Nie ma mowy. Zresztą powiedziano mi, że nie da się tego przeoczyć, nawet z dużej odległości huk erupcji podrażni bębenki w uszach. I zapewne dzień lub dwa po wybuchu, kiedy chmura popiołu uniesie się dość wysoko, nocami w całej Mezoameryce będzie można dostrzec blask bijący z krateru.

Może Majowie czekają, by sprawdzić, czy to, co przepowiedziałem, naprawdę się zdarzy. Może mam jeszcze szansę. Przynajmniej osobowość Szakala znikła. A przynajmniej już mi się za często nie wydaje, że jestem Szakalem. I to dobrze, prawda? Poczucie siebie to sposób, w jaki się o sobie myśli, a nie rzecz nadana odgórnie i obiektywnie.

Au. Swędzenie oczu jest irytująco realne. Podrapać. Wykręciłem...

TRZASK.

Oj!

Poruszyłem palcami. Każdy trzasnął cicho, przynosząc oczekiwany ból. Auć. Dobrze, trzeba teraz zająć się ramieniem, na którym leżę. Zaraz, ale gdzie ono...

Szlag! Amputowane?

Ogarnęła mnie panika.

Wydawało mi się, że wyczuwam kikut ręki, a potem nic. Szlag. Zaraz. Coś się poruszyło... Po prostu nie ta ręka i nie w tym kierunku. Dziwne...

Ha! Może zostałem odwrócony. Teraz jestem praworęczny.

Hm...

O, tak. Zgadza się. Zacząłem niezdarnie masować zdrętwiałe palce tymi bardziej mobilnymi, ale ciągle mi się wymykały. Jak kursor, gdy myszka nie działa za dobrze.

Spróbowałem unieść dłonie do twarzy. Au. Kurwa. Jeszcze raz. Och...!

Ręce zatrzymywały mi się w pół drogi. Ach, już rozumiem. Miałem je skrępowane z przodu i przywiązane do liny zwisającej z sufitu klatki. Cholera. Próbowałem się do nich nachylić, ale to także się nie powiodło. Może przywiązano mnie też do podłogi. A owszem. Szlag. Pić.

Wziąłem głęboki oddech. Z jakiegoś powodu przenikliwy słodki zapach przywołał wspomnienie Pustynnego Psa. Miał duże, poszarpane rany na łapach. Tak... Wyływała z nich ropa i unosił się smród gnijącej skóry. Szlag. Teraz i ja tak cuchnę. Kurwa.

Zaraz.

Co to za dźwięk?

Skrzypienie, coraz głośniejsze. Nagle zrozumiałem, że to na pewno nie może być skrzypienie. Brzmiało raczej jak pomiaukiwanie. Kot? Nie, to człowiek. Jęczał.

Próbowałem unieść oczy, ale zaraz się poddałem. Dziecko? Nie, raczej nie. To... Och. Stary człowiek.

Jęki uruchomiły znowu twarde dyski Szakala. Ujrzałem osiem lub dziesięć identycznych wiklinowych klatek, wiszących na okorowanym pniu przed frontową ścianą. Miały różne kolory: dwie najdalej

na prawo były jeszcze nowe i zielone, ale im dalej w lewo, tym bardziej stawały się wypłowiałe od słońca, niemal szare. Może nawet znajdowałem się właśnie na tym dziedzińcu, a może tylko w podobnym miejscu. Wiedziałem jednak dzięki wspomnieniom Szakala, że w każdym koszu przebywał więzień oraz że moja klatka wisiała najdalej na prawo, a cichy drżący szmer wywoływały oddechy jeńców. Wyraźnie czułem słodki zapach gnijącego ciała odpadającego od kości i zdawałem sobie sprawę, że więzień z najstarszego kosza - ten, który jęczał - przebywa tam od wielu, wielu lat...

Ja też spędzę w tym koszu długie, długie lata. Cały *k'atun*, jeżeli będę miał pecha, czyli dwadzieścia lat, dopóki nie nadejdzie ten sam śmiertelny dzień. Czeka mnie niekończące się cierpienie. Ból, ból i tylko ból.

Oto piekło - wszędzie piekło. Ostatnia rzecz, którą zobaczę. Ostatnie miejsce, w którym spędzę życie. Tutaj. Na zawsze. O Boże, Boże, Boże...

Prawdziwa panika nie przypomina snu lub utraty świadomości, choć równie trudno ją zapamiętać. Zapewne straciłem panowanie nad sobą, może zacząłem krzyczeć, a może to inny więzień, a potem próbowałem coś zobaczyć, cokolwiek - otworzyć oczy i zobaczyć. Skupić się na oczach.

Poruszyłem gałkami ocznymi. Poczułem, jak napinają się mięśnie okrężne, o których istnieniu nie miałem wcześniej pojęcia. Ale nadal nic nie widziałem. Aż w końcu uświadomiłem sobie - przez ból powiek lub może ich nieruchomość, albo dlatego, że Szakal wcześniej widział, jak to robiono innym - że powieki zostały zaszyte. O Jezu...

Zaraz. Ktoś tu jest. Obok. Nie powinienem się wiercić. Co się dzieje? Jestem obserwowany? Pić. Nie, nie będę błagał. Nie będę...

Poczułem unoszenie. I uderzenie. Au, zabolalo! Za jasno, nawet przy zamkniętych powiekach. Wulkan? Zaraz...

Ściana więzienia uderzyła mnie w bok. Poczułem dotknięcie, ale nie rąk. Może to były mitenki? Więzy zostały przecięte - profesjonalnie, sprawnie, jak gdyby zajmowali się mną policjanci, którzy skują podejrzanego i wsadzą go do aresztu w parę sekund. Klatka się przechyliła, jasne i gorące promienie słońca sparzyły mi skórę jak rozgrzany olej. Powietrze smakowało dziwnie słodko. Upadłem bezradnie na kamienne płyty dziedzińca. Świeża krew napłynęła do mojej odrętwiałej nogi, wypełniła też odleżyny na plecach. Nad głową usłyszałem kwakanie lecących kaczek.

To na pewno nie wybuch wulkanu, pomyślałem. Moja dłoń, to znaczy prawa dłoń zacisnęła się odruchowo na wystającym odłamku piaskowca, jaki wymacałem palcem wskazującym po upadku. Czasami, gdy nic się nie układa, podświadomie chwytny się czegoś materialnego, żeby sobie udowodnić, że to się dzieje naprawdę. A przynajmniej ja tak robię.

Nie pomyliłem się, było późne popołudnie. Mogłem to określić, nawet nie widząc słońca, tylko czując jego gorące promienie padające pod niewielkim kątem na mój bok. Szakal miał czułe zmysły i świetne wyczucie przestrzeni. Byłem zwrócony na południe. Ale nie na południe Jeda. Strony świata były inaczej zorientowane. Jak prawie każdy z dwudziestego pierwszego wieku odruchowo umieszczałem północ na górze i południe na dole, a wschód po prawej i zachód po lewej - jak na wszystkich ówczesnych mapach. Ale dla Szakala na górze

znajdował się południowy wschód, a na dole północny zachód. A to miejsce - świat - zdawało się zwracać, opadać na zachód z...  
Gardłowy tenor ni to zaśpiewał, ni to warknął do mnie:

*Into'on ho tuulo  
Ta'anik-eech...*

My, pięciu, zwracamy się do ciebie,  
Ty, który jesteś poniżej nas: Kto cię  
wysłał, kto cię urodził, Ty  
zaropialcze?

Mówiący musiał się znajdować w odległości najwyżej dziesięciu ramion ode mnie. Na podstawie doboru słów domyśliłem się, że to Strażnik Słońca z Klanu Orła, trochę jak ksiądz w rodzinie. A jeżeli chodzi o sam głos... Tak, rozmazany nieco obraz wypłynął ze wspomnień Szakala. Strażnik nie był karłem, choć też został pokiereszowany fizycznie... Nie przez naturę jednak. Na końcu języka miałem jego imię... Jakie to imię? Przecież wiedziałem, wiedziałem...

Dajcie mu żółtą wodę,  
Czerwony olej i czerwone ale,  
Białą wodę, wytłoczony olej I  
biało-niebieskie popioły..

Zaczęło padać. Gorące krople z różnych stron. O kurwa - to mocz! Instynktownie zwinąłem się w kulkę, choć odrętwiałe udo zapulsowało tak boleśnie, że omal nie straciłem przytomności.

Wokół musiało stać przynajmniej czterech mężczyzn. Odlewali się na mnie. Pierdolę, pomyślałem. Kurwa. Zawody w sikaniu. Ale przecież dla nich to nic osobistego. To oczyszczenie. Prawda? Może...

Jeden skierował strumień na moją twarz. Wydawało mi się, że słyszę chichot. Może to tylko wyobraźnia. Ciężko jest zachować spokój, gdy... Jezu, jak oni mogą tak długo? Schowajcie siłki, chłopcy, już mi



pokazaliście, co potraficie. Dranie. Poczekaście, dorwę was. A kiedy tak się stanie, dostaniecie zajęcie w latrynach - to znaczy wy będziecie robić za latryny.

Jak to zwykle bywa, świat toczył się dalej. Uderzyła we mnie kłująca fala, śliska i zimna - mieszanka gorzkiego *b'alche'* czyli piwa z bzu, oleju i ługu o ostrym zapachu kwasu mrówkowego, który w czasach sprzed sody kaustycznej otrzymywany był z rozgniecionych mrówek. Pręgi wgnieceń na moich plecach zapłonęły żywym ogniem. Gdybym był tylko Jedem, pewnie wrzeszczałbym już jak banshee, ale Szakal wyszkolił się tak, by nigdy nie krzyczeć, nie jęczeć, a nawet nie drżeć. Jedno z jego wczesnych wspomnień i jedno z najwyraźniejszych, ponieważ powracało do mnie więcej niż raz, pochodziło z czasów dzieciństwa. W wysokiej trawie Szakal leżał nagi i nienasmarowany olejem, pozwalając, by owadzia menażeria wędrowała po jego skórze w poszukiwaniu pożywienia, i tylko sprawdzał, jak długo wytrzyma w bezruchu. Napiąłem się mocniej i zacisnąłem zęby na kneblu, ale ostra woń ługu podrażniła mi nos i kiedy próbowałem kichnąć, gałgan w ustach zatkał mi gardło.

- *Ku'ti bin oc* - zabrzmiały słowa z innego niż iksyjski języka, który chyba też rozumiałem. Obrócić go - to był rozkaz. Wzdrygnąłem się, jakbym posmakował czegoś, czego nie lubię. A raczej to reakcja wpisana w system nerwowy Szakala - to jemu coś się nie spodobało. Głos. Cichy i wysoki - przypominający piszczenie Timothy ego, myszy cyrkowej z Disneyowskiego filmu „Dumbo i przyjaciele”, tyle że w wersji dla Majów. Taki głos chyba związany był z przynależnością do jakiejś kasty nietykalnych czy co...

Obrócono mnie i wyprostowano. Zaraz, chcę mój kawałek zwi-ru. To specjalny kamyk! Oblano mnie jeszcze dwukrotnie cuchnącą kwaśno miksturą, po czym pozostawiono ociekającego i rozedrganego. Przynajmniej wyciągnięto mi knebel, a ktoś wlał mi w wyschnięte usta trochę wody pitnej. Nieopisana łaskawość. Wychleptałem co do kropli, jak pies rosę na łące. Znowu mnie dotknięto, ale nie rękoma. Mężczyźni założyli mitenki z jeleniej skóry, nie chcieli się pobrudzić. Oskrobali mnie zapewne przy pomocy większych muszli. Oczyszczili

wszystkie miejsca, nawet te najbardziej krępujące. Wygrzebali spod siedmiu paznokci, jakie mi pozostały, resztki błękitnego barwnika ofiarnego, po czym wysmarowali mnie jakimś olejem, zalatującym rybą, którą to woń maskowała wanilia i bergamotka. Może to tłuszcz z morświna? Uczesano mi także włosy, a przynajmniej to, co z nich zostało, a potem dłonie w mitenkach dotknęły tego, co przed nie do końca ofiarą było moimi niewymownymi. Odruchowy wstyd ścisnął mi krtań. Dranie. W końcu posypano mnie jakimś proszkiem, zapewne wspomnianym wcześniej niebiesko-białym popiołem. Leżałem jak świeżo upieczona szarlotka ozdabiana cukrem pudrem przez piekarza i pozwalałem, by Majowie robili swoje. Próbowiałem nawet udawać, że jestem w salonie kosmetycznym Georgette Klinger na Madison Avenue 980, gdzie robi mi się zabiegi na całym ciele, ale wyobraźnia nie chciała się poddać sugestii.

Wreszcie związano mi ręce z przodu, ale niezbyt mocno, a kolejną liną otoczono tors i szyję, jak psu złapanemu przez hycła. Mężczyźni chwycili mnie pod pachy i podnieśli. Jak wspomniałem, ciało Szakala nawykło do poniewierki. Było silne, ale nie tak, jak ciała współczesnych atletów, nie miało rzeźbionych na siłowni mięśni czy rozciągniętych na aerobiku stawów - wyczuwałem w sobie twardość i solidność, jakbym mógł wytrzymać zderzenie z ciężarówką. W każdym razie nawet po sporej utracie krwi i dniach głodówki po nieudanej ceremonii ofiarnej, mnie, a raczej Szakalowi, daleko było do utraty przytomności. Majowie próbowali mnie wyprowadzić, a ja starałem się im w tym pomóc, ale odrętwiałe nogi nie chciały słuchać. Skończyło się na tym, że powlekli mnie przez dziedziniec, pozwalając, by nogi objęły mi się o kamienie.

Na podstawie zmiany natężenia światła domyśliłem się, że przechodzimy przez otwór w ścianie, a wznoszącym się nieco korytarzem wydostaliśmy się na szczyt muru. Poczulem wiatr i przestrzeń, co mogło oznaczać, że znaleźliśmy się na zachodnim stoku wzgórza. Po sześćdziesięciu krokach skręciliśmy w prawo i otoczył nas cień, po czym osiemdziesiąt stopni w ciemności zawiodło nas w górę na

kolejny, wąski korytarz, którym niósł się wyraźny aromat wysokiej jakości tytoniu, jak w *humidor*, pudełku do przechowywania cygar, oraz słabsza woń wanilii. Tu przystanęliśmy. Rozległ się szelest, chyba odchylanej kotary, a potem zostałem wprowadzony do chłodnego, kamiennego pomieszczenia.

Przez powieki przesączyło się do moich wyschniętych oczu purpurowe światło. Zostałem popchnięty lekko, bym ukląkł. Wyczułem miękką tkaninę na kamiennej posadzce. Poprawiono mi nogi i przechylono mnie bardziej, bym przybrał odpowiednią dla jeńca upokarzającą pozycję. A potem wszystko znieruchomiało.

- Ten nad nami zwraca się do ciebie, który jesteś poniżej nas - śpiewny tenor zabrzmiał po lewej. W komnacie dźwięki były stłumione i bez echa, jak w studio nagraniowym.

Nastąpiła kolejna długa i ciężka chwila ciszy. I chyba zostały wydane jakieś rozkazy, ponieważ silne ramiona uniosły mi głowę, a potem poczułem ostrze na oczach... O Boże, zostanę oślepiiony, Boże... Ale nie. Małe ostrze przecinało szwy na powiekach. Pewnie próbowałbym się wrywać, ale ciało Szakala ani drgnęło. W końcu mnie puszczone i mogłem otworzyć oczy. Pierwsze, co zobaczyłem, to własne, pozbawione włosów i obce genitalia. Miałem napletek.

To coś nowego, pomyślałem. Większość Majów z dwudziestego pierwszego wieku nie jest obrzezana, ale ja urodziłem się w prawdziwym szpitalu, gdzie lekarze wiedzieli swoje. Potem zauważyłem wielkie, kalafiorowate odciski na kolanach, typowe dla graczy w piłkę, oraz krwawe łyzy kapiące na moje zielone uda... Zielone?! Dostrzegłem też łukowatą bliznę na biodrze, gdzie uderzyła mnie, a raczej Szakala, piłka, a gdy uniosłem wzrok wyżej, natrafiłem na glif wielkości może zapalniczki zippo wytatuowany na torsie. Dzięki Szakalowi rozpoznałem symbol - gracz na poziomie dziewięciu czaszek.

Na posadzce leżały czerwone płatki kwiatów. Geranium? Tak naprawdę nie były czerwone. Ale moja skóra naprawdę była zielona, i to nie od oleju, jakim mnie natłuszczono. Kolor wyglądał dziwnie. Nie sądzę, abym miał narkotykowe wizje lub krew z usuniętych szwów

mamiła mi wzrok. Barwa skóry to prawdopodobnie skutek przebywania w wiklinowej klatce, ale teraz nie wydawało mi się to ważne, więc odłożyłem rozważania na później.

Wzrok Szakala też był inny niż Jeda. Kolory nie pasowały do tych, które znałem. Choćby moja skóra - niezupełnie zielona, raczej w odcieniu, jaki można uzyskać, gdy się zmiesza czern i żółć, ale też nie do końca. Płatki geranium na podłodze powinny mieć odcień głębokiego oranżu, a miały wyraźny poblask fluorescencyjnego błękitu. Jednak też nie do końca. Kolory, jakie teraz widziałem, różniły się diametralnie od tych, jakie zapamiętałem... może Szakal jest daltonistą? Tyle że widziałem WIĘCEJ barw. Może zatem jest tetrachromatykiem, czyli kimś, kto widzi cztery, nie trzy podstawowe barwy. Właśnie. Tyle tylko, że te kilka udokumentowanych przypadków tetrachromatyzmu dotyczyło wyłącznie kobiet.

Ach...

Później. Nie warto się tym teraz zajmować, później się nad tym zastanowię.

2 Inkrustowana Czaszka Zwraca się  
do ciebie, Więźniu, który jesteś niżej  
od niego. Słuchaj uważnie.

Znowu ten tenor. Uniosłem głowę i skupiłem wzrok na czerwieni otoczenia.

Znajdowałem się w wysokiej komnacie, może piętnaście ramion od muru. Wszystkie ściany zdawały się lśnić purpurą, a raczej barwą, którą Jed określiłby jako purpura. Dla mnie teraz wyglądała mniej więcej jak rozwodniony błękitno-czerwony blask. Po prawej i po lewej stronie ściany się nachylały o jakieś trzydzieści stopni i tworzyły ostre sklepienie o przekroju trójkąta równoramiennego z wierzchołkiem około trzydziestu ramion nad podłogą. W pomieszczeniu nie było drzwi poza tymi, którymi wszedłem - te znajdowały się dokładnie za moimi plecami. Kiedy w głowie mi się trochę przejaśniło, zo-

rientowałem się, że ściany wcale nie są podświetlone od tyłu, jak mi się wydawało, lecz przesłonięte gobelinami lub parawanami utkany-  
mi z puchu trogona rdzawego na trzciniowej kanwie, które przepusz-  
czały i odbijały promienie zachodzącego słońca padające z wąskiego  
trapezowego wejścia.

W komnacie znajdowało się sześć osób. Z trzech wartowników,  
którzy mnie tutaj przyprowadzili, dwaj kucali obok mnie po obu stro-  
nach, a trzeciego wyczuwałem za sobą. Każdy dzierżył w gotowości  
pałkę czy raczej małą maczugę - nietrudno się było domyślić, że spr-  
awują nade mną kontrolę nie tylko dzięki przewadze liczebnej. Jedna  
z tych pałek znajdowała się blisko mojej twarzy, więc mogłem się przy-  
rzeć. Jej końcówki nie wykonano z kamienia, lecz z drewna, do którego  
wbito mnóstwo kolców. W odległości trzech ramion przede mną po le-  
wej natomiast znajdował się mężczyzna, przysadzisty, ale normalnego  
wzrostu i postury, poza wielką łysą głową pomalowaną w niebieskie  
koślawe paski i ozdobioną stożkową czapką, która upodabiała go do  
ary błękitnej. To mogło wydawać się głupie i zabawne, ale mnie wcale  
nie było do śmiechu. W mojej nowej, update'owanej niedawno  
świadomości wszystko to wyglądało śmiertelnie poważnie.

Na wprost mnie, nie dalej niż cztery ramiona, w półmroku na  
szerokiej ławie wykończonej głowami jaguara, skrzyżowawszy nogi,  
siedział 2 Inkrustowana Czaszka i palił długie zielone cygaro. Był  
odwrócony ode mnie o czterdzieści pięć stopni i spoglądał na usta-  
wione u swoich stóp drewniane misy wielkości może bochenka chle-  
ba, każda była wypełniona zielono-białymi kamykami oznaczonymi  
glifem *awal*, czyli wróg. Mężczyzna odziany był w rodzaj spódnicy  
lub kiltu przewiązanego szeroką, sięgającą przyrodzenia przepaską.  
Dostrzegłem *profil perdu* zmumifikowanej i zmniejszonej głowy,  
przyszytej za włosy do tkaniny z tyłu, by mogła strzec pleców 2 In-  
krustowanej Czaszki. Widziałem grymas na tej małej twarzy. Stroju  
dopełniały jadeitowe bransolety na kostkach i nadgarstkach, sandały  
z niewyprawionej skóry oraz skomplikowane nakrycie głowy, jakby  
turban ze sztucznymi kwiatami wanilii i orchidei oraz piórem bieli-  
ka nad czołem.

Kolibier z zielonym podgardlem - prawdziwy, dobrze wyprawiony, z niemal żywymi lśniącoymi oczyma - znajdował się na prawie niewidocznym mocowaniu tuż przy orchidei i wyglądał, jakby zaraz miał zanurzyć dziób w kwiatach, by napić się nektaru. Trochę mnie ten widok zaskoczył, pewnie dlatego, że byłem nastawiony, że znajdę się w umyśle 9 Szponiastego Kolibra - *ahau* rodu panującego, Ocelotów, i *k'alomte'*. Jednak sytuacja nie wydawała mi się już tak prosta i oczywista, jak w dwudziestym pierwszym stuleciu. 9 Szponiasty Koliber to tylko imię - jedno z niewielu znanych, a przecież imiona *k'alomte'* nie zawsze ujawniano lub uwieczniano w kamieniu. Imię nie miało nic wspólnego z totemem czy *uay*, nic nie oznaczało - tak samo, jakby ktoś miał na imię Ryba, a na nazwisko Kwietniowa, nie oznaczałoby to, że musiał się urodzić w kwietniu ani że jest rybą. Koliber na kapeluszu 2 Inkrustowanej Czaszki nie wskazywał na żadne konkretne związki z tym ptakiem, choć w przenośni mógł sugerować, że ludzie lubią wanilię. Przypomniałem sobie raptem, że nasiona wanilii były ważne dla rodu Orłów - może stanowiły główne źródło ich *nouveau richesse*.

Spod sztucznych kwiatów na czoło 2 Inkrustowanej Czaszki zwieszała się niewielka listewka przesłaniająca brwi i podkreślająca sępią krzywiznę nosa. Od kącików ust do przyczernionych powiek ciągnęły się wytatuowane niebieskie spiralki. Pomimo pomarszczonej, osmaganej słońcem i wiatrem skóry nie wydawał się stary, ale dzięki wspomnieniom Szakała wiedziałem, że 2 Inkrustowana Czaszka naprawdę jest w sędziwym wieku, przekroczył już drugie urodziny, czyli musiał skończyć przynajmniej pięćdziesiąt dwa lata, a podświadomie miałem pewność, że był jeszcze starszy.

Mężczyzna nareszcie uniósł na mnie wzrok. Podobno w oczach tych, którzy zabili wielu ludzi, czai się pustka. Nie sądzę, aby to była prawda. Niektórzy z najbardziej krwawych psychopatów na świecie mieli nieprawdopodobnie wyraziste spojrzenie. W oczach 2 Inkrustowanej Czaszki wyczułem jednak chłód i odruchową niechęć, zapewne podobną do tej, jaką widzą świnie w oczach rzeźników. Miałem wrażenie, że zostałem przyłapany, niczym zbieg po długim pościgu zatrzymany w blasku reflektorów z radiowozów i policyjnego heli-

koptera. Czym prędzej opuściłem wzrok na tykwy u stóp mężczyzny. Zamrugalem, bo tykwy się poruszały, drobiły na łapkach po posadźce. Chwilę zajęło mi zrozumienie, że to pancerniki - przywiązane do ławy sznurkami przeciągniętymi przez ucho, z pancerzami ozdobionymi kawałkami azurytu.

- Kim jest Myszka Miki? - zapytał 2 Inkrustowana Czaszka.

Serce mi się ścisnęło i zamarło.

2 Inkrustowana Czaszka mówił po angielsku.

Nie udało mu się wymówić poprawnie wszystkich głosek, więc zabrzmiało to bardziej jak Meish-kha Mih-kay, ale bez wątpienia sie nie przesłyszałem. Na pewno? Tak, na pewno. Poczulem zawrót głbwy

-Ja, poniżej ciebie, odpowiem tobie, który jesteś nade mną - odparłem odruchowo. Nie byłem tylko pewien, czy powiedziałem to po cholsku, czy po angielsku. Chyba po cholsku... Szlag, zdaje się, że zaczynam wariować. No dobra. Będę mówił po angielsku. No to hop.

-Myszka Miki nie jest żywym stworzeniem. To postać z kreskówki. Rysunkowa.

Cisza.

- Kim jest *ahau pop* - Ditz'ni?

Co?! - pomyślałem zaskoczony. Och. Jasne...

- *Ahau* Disney umarł dwa *k'atunob'* przed moimi czasami - wyznałem. - Był głosem Myszkki Miki.

Niełatwo było rozmawiać bez użycia form grzecznościowych, więc zaraz dodałem:

-Ja, poniżej ciebie, rzekłem.

-Czy Myszka Miki jest jego *uay*?

-Nie, Miki to tylko rysunek... To... kukła. *B'axal*.

-Czy *Jed-kas* to twój *uay*? - 2 Inkrustowana Czaszka zadał kolejne pytanie. Trudno uwierzyć, że ów wysoki głos, niemal piskliwy,



może być tak rozkazujący. Zresztą „rozkazujący” to za słabe określenie. A może to przez Myszkę Miki?

Niedobrze, pomyślałem. Przyrostek *-kas* dodany do mojego imienia stanowił pośrednie, między wierszami, wskazanie, że jestem jakiegoś trzynaście poziomów poniżej tego mężczyzny. W piramidzie hierarchii społecznej plasowało mnie to na najniższym stopniu. Tego rodzaju określenia *ahau* użyłby, gdyby zwracał się do kopoluogłowego, czyli barbarzyńcy, do kogoś, kto nawet nie był wrogiem Majów, lecz po prostu nikim, nawet nie osobą.

- Nie - odpowiedziałem. - Nic z tych rzeczy.

Nastąpiła pauza. Jak, do kurwy nędzy, wpakowałem się w to gówno? Jak do tego doszło? - zastanawiałem się panicznie. 2 Inkrustowana Czaszka nie mógł przecież nauczyć się angielskiego tak po prostu...

Och, zaraz. Już wiem jak.

Musiał tam być.

2 Inkrustowana Czaszka musiał znajdować się w królewskiej al-kowie na szczycie *mul*. A przynajmniej był tam przez okres, gdy odbywało się ładowanie mojej świadomości, czyli w trakcie trwającego może osiem minut okna. I kiedy pakiety danych napływały do mózgu Szakala, zapewne dotarły również do umysłu tego mężczyzny...

Kurwa mać.

-Co przyszedłeś ukraść? - zapytał 2 Inkrustowana Czaszka.

-Niczego nie chcę ukraść - zapewniłem.

Znowu zapadła cisza. Uświadomiłem sobie, że 2 Inkrustowana Czaszka chce, abym na niego spojrział. Uniosłem głowę, ale moje nowe ciało powstrzymało mnie przed kontaktem wzrokowym - nic dziwnego, patrzeć w oczy tym, którzy są lepiej urodzeni i stoją wyżej w hierarchii, nie należało do dobrego tonu - więc wbiłem spojrzenie w gify wytatuowane na piersi mężczyzny. Nigdy nie widziałem podobnych. Zapewne jakiś tajny język, szyfr. 2 Inkrustowana Czaszka odłożył cygaro, które dotychczas trzymał między kciukiem i palcem wskazującym, na niewielki stołeczek. Uczynił to z nieświadomą gracją, która z czymś mi się skojarzyła, tylko z czym, do cholery... och, już wiem. Z japońskim kelnerem, który podawał herbatę - chyba w Naoe,

restauracji japońskiej w Miami, gdzie byłem z Sylvana. Stary człowiek wykonał dla nas prawdziwy popis, przygotowując napój, a potem odłożył drewniane mieszadło przy dzbanku w ten specjalny sposób. Tyle tylko, że w ruchach 2 Inkrustowanej Czaszki była ciężka, pełna namysłu wyniosłość, niemająca nic wspólnego z japońskim lub azjatyckim wdziękiem, nie znalazłem też podobieństwa do Navajo czy innych Indian - było to całkowicie w stylu Majów. Czulem spojrzenie mężczyzny jak kamienne ostrze przeszywające mi tors, żyły na moich przedramionach, drżące palce, po czym powracające do mojej twarzy. Na pewno szukał mikroekspresji, które zdradzą mu o mnie więcej. Ale skoro miał w głowie moje wspomnienia, czemu nie wiedział, co myślę? Może jego umysł nie zaabsorbował tylu danych co Szakala? Albo może 2 Inkrustowana Czaszka był twardszy niż Szakal i stłumił moją świadomość. No, dalej... Muszę coś wymyślić. Co tu się właściwie stało? Wiadomo, że 2 Inkrustowana Czaszka wyznaczył Szakala, by służył 9 Szponiastemu Kolibrowi za sobowtóra. Tak? Zatem w którymś momencie ceremonii zapewne poszedł się pożegnać czy coś. Dlatego 2 Inkrustowana Czaszka znalazł się w królewskiej komnacie z Szakalem. I przejął sporą część mojej świadomości, fednak udało mu się zachować w całości własną tożsamość. A przynajmniej udało mu się utrzymać władzę nad swoim ciałem. Jak widać.

Chryste, co za pieprzony burdel. Chociaż Taro chyba kiedyś wspomniiał mi, że może wystąpić - jak to nazwał - rozproszenie transmisji. Oczywiście wzruszyłem na to tylko ramionami. Podobno nawet rozważano, czy nie umieścić mojej świadomości w promieniu o większym zasięgu, by dotrzeć do więcej niż jednej osoby. Ale sanktuarium na szczycie *mul* było jedynym miejscem, które było dobrze określone w czasie i w którym, dzięki kamiennym ścianom, rozproszenie promieni niosących dane z encefaloskopii molekularnej mojego mózgu będzie najmniejsze. Zresztą gdyby mnie tak przerzucono bez ładunku i składu, kto wie co by się stało. Tłum Jedów i semi-Jedów biegających we wszystkie strony to recepta na kłopoty nawet w dwudziestym pierwszym wieku.

- Przybyłeś, by nauczyć się, jak grać przeciwko dymnym - stwierdził 2 Inkrustowana Czaszka. Dzięki pamięci Szakala wiedziałem, że miał na myśli to, co tak zwany mieszkaniec Zachodu błędnie uznał by za bogów. Ale czy mówimy o Grze? Chyba tak. Czy 2 Inkrustowana Czaszka wiedział, jak grać? Czy jest Strażnikiem Dnia? Może wszyscy *ajawob* wielkich rodów byli w pewnym sensie Strażnikami Słońca. Przynajmniej znalazłem się nareszcie we właściwym miejscu. Czy powinienem spytać o Grę? Najlepiej jeszcze, żeby pojawiło się więcej Strażników...

A czy przybędzie tu  
Więcej takich jak ty?

- zapytał 2 Inkrustowana Czaszka, tym razem w iksyjskiej odmianie języka ch'ol.

- Nie. Zapewne nikt już nigdy.

Nie warto wyjaśniać, pomyślałem.

I myślisz, że możesz  
Pogrzebać siebie  
Żywcem, tak? I  
przechować ciało  
Przez trzynaście  
Razy trzynaście  
setek deszczów.

Nie, niezupełnie tak - chciałem powiedzieć.

I chcesz utrzymać  
Ciało swoje w niebiańskim łonie,  
Do twojego *b'ak'tun*,  
Do twojego *k'atun*,  
I znowu być w swojej  
Porzuconej skórze.

„Ciało w niebiańskim łonie" oznaczało przede wszystkim „żywe". Tutaj wierzone, że zmarli chodzą pod światem do góry nogami, jak odbicia w wodzie.

Ty nade mną,  
Jesteś w świetle...

- zacząłem mówić, ale 2 Inkrustowana Czaszka mi przerwał.

Kiedy cię zabijemy, Czy  
twój podły bliźniak Umrze  
we mnie też?

Co? Och, cholera. Może lepiej nie odpowiadać na to pytanie.

Cisza.

Nagle wpadłem na pomysł.

- Jed? - rzuciłem. - Też jestem Jed DeLanda, jak wiesz. Ty i ja jesteśmy jak bliźnięta.

- Nie jestem Jedem.

Oho! - pomyślałem.

- Jak ty nade mną - zacząłem, lecz 2 Inkrustowana Czaszka otworzył prawą dłoń i obrócił ją lekko w lewo, co - jak wiedziałem dzięki Szakalowi - stanowiło gest nakazujący milczenie. Zareagowałem na tychmiast niczym pies Pawłowa - zamknąłem usta. 2 Inkrustowana Czaszka popatrzył na garbusa za mną.

Gwardziści klęczący obok wyprostowali się lekko. Garbus przykuśtykał i zatrzymał się może o trzy ramiona ode mnie, po czym zaczął mi się przyglądać. Badał mnie. Starąłem się nie skrzywić lub drgnąć. Przez Szakala byłem pewien, że znam imię przybysza. Miał skarlłowaciałe ramiona ze szponiastymi palcami jak T.rex, na prawej dłoni syndaktylię. Uśmiechał się stale, odsłaniając górne zęby, pomiędzy którymi miał przerwy niemal tak szerokie jak siekacze. Zespół Morquio, pomyślałem. Stary jest ten dinozaur? Wyglądał staro, ale

tacy ludzie nie żyją dłużej niż czterdzieści lat. A może jednak? Kurczę, jak on ma na imię?

10 Pałaca Gąsienica albo Drwiący Żółw czy jakoś tak. Och, już wiem. To 3 Niebieski Ślimak. Był *ajway*, czyli trochę jak rodzinnym kapłanem, tyle tylko, że kapłan oznacza przynależność do większej organizacji o charakterze religijnym, a ten mężczyzna pracował na niezależnym kontrakcie. Chyba lepszym określeniem byłoby: szaman, ale to słowo kojarzy się raczej z syberyjskim kolesiem potrzęsającym grzechotką. Może raczej teurgista? Nie za wyszukane? Nie, chyba nieźle oddaje sens. W każdym razie byłem pewien, że to właśnie on, 3 Niebieski Ślimak, teurgista rodu Orłów, mówił tenorem. Właśnie. Na pewno. Wyciągnąłem nawet parę wspomnień, w których zobaczyłem, jak ten człowiek tańczy podczas ceremonii pierwszego rozpalenia. Przynajmniej zaczynałem się uczyć, jak dobrać się do wiedzy Szakala. Sztuczka polegała chyba na tym, że należało myśleć w *ch'ol* i nie starać się za bardzo, tylko pozwolić, by skojarzenia słowne wywołały obrazy.

3 Niebieski Ślimak odłożył liść tytoniu, którego używał jak wachlarza, obok misek, wstał, wyprostował się i znieruchomiał na długą chwilę. Wydawało się, że nikt nie oddycha, zwłaszcza ja. Usłyszałem szum krwi w uszach. I wtedy uświadomiłem sobie, że teurgista węszy.

Tu się dzieje coś jeszcze, pomyślałem. Rzecz jasna, nie miałem pojęcia, jak ci ludzie zachowywali się na co dzień. Ale miałem wrażenie, że są czujni i na coś czekają, coś zupełnie niezwiązanego z moją osobą. Jakby znajdowali się w obcym domu i nie chcieli, by ich podsłuchano. A przecież to *audiencia* lub sala tronowa 2 Inkrustowanej Czaszki, prawda? A może nie, może to tylko tymczasowa komnata... Zapewne moje pojawienie się trochę wszystkim namieszało w dworskich grach i intrygach.

Z tego, co mogłem się dowiedzieć z pamięci Szakala... cóż, sytuacja była skomplikowana. W uproszczeniu, gdyby Ix znajdowało się w Anglii w roku 1450, ród Ocelota byłby jak Lancasterowie. Nadal dzierżyliby królewską władzę, ale nie byłiby popularni i do tego dziesiątkowałyaby ich hemofilia. Orły natomiast, ród 2 Inkrustowanej

Czaszki, byłyby jak rodzina York, długi czas zajmująca niższą pozycję, ale zbierająca siły i szemrząca o przewrocie. W IX były jeszcze trzy inne możliwe rody. Dwa z nich wspierały Klan Orła, ale ostatni - Klan Nietoperza Wampira - związany był całkowicie z Ocelotami.

Oceloty zapewne użyją fuszerki na szczycie piramidy jako wymówki, by pogrozić Orły. Jasne, proszę bardzo.

3 Niebieski Ślimak obrócił się na pięcie, potem znowu i znowu, aż zaczął wirować. Ale nie wolniej niż sufficientni derwisze, czyli naprawdę powoli. Za każdym razem, gdy mijał jedną ze stron świata - to znaczy północny wschód, południowy zachód i tak dalej - uderzał w gliniasty bębenek trzymany w lewej dłoni pierścieniem, jaki nosił na palcu wskazującym prawej, ale nie na dole, lecz bliżej czubka. *Ajway* nasłuchiwał echa, jak się domyśliłem, a raczej nieprzyjaznych *uayob* -zwierzęcych szpiegów lub oczu bez ciała, homunkulusów i innych takich. Przeszywał wzrokiem dwanaście kątów komnaty i przy tym miałem wrażenie, że jedno oko porusza się niezależnie od drugiego. A przecież nie miał zęba. Wyglądało na to, że 3 Niebieski Ślimak potrafił patrzeć w różne strony jak kameleon. Wreszcie się zatrzymał, pochylił, podniósł świeży liść tytoniu i użył go jak łyżki, by nabrać proszku lub popiołu z naczynia, po czym sygnął owym proszkiem przez prawe ramię, nad głową, za kark i za lewe ramię, a na koniec przed sobą. Potem znowu zamarł w bezruchu. W końcu na swoim bębnieku zagrał ostrą, głośnie jakby pobudkę. Może dzięki wspomnieniu Szakala, może dzięki logice domyśliłem się, że to oznacza „czysto, brak podsłuchu”. I wiedziałem, że powinienem teraz spojrzeć na 2 Inkrustowaną Czaszkę. Udało mi się. Wystarczy skoncentrować się na ozdobie nad brwiami. I nie patrzeć mu w oczy.

-Dlaczego wybrałeś mnie, a nie zrodzonego z niebios *k'alomte*\*\*.

-zapytał 2 Inkrustowana Czaszka po iksyjsku. Miał na myśli 9 Szponia-stego Kolibra. 2 Inkrustowana Czaszka i jego krewni byli *ahau popob*, doradcami, arystokratami na dworze, ale - jak wspomniałem wcześniej - *k'alomte*' to tytuł podobny do imperatora lub wodza armii.

-Nie wybraliśmy - odpowiedziałem w tym samym języku. - Szukaliśmy 9 Szponiastego Kolibra. To był... to był wypadek.

To ostatnie powiedziałem po angielsku, ponieważ w języku Ix nie istniało określenie na wypadek, szansę i tym podobne pojęcia.

-Dlaczego wybrałeś właśnie to słońce? - tym razem 2 Inkrustowana Czaszka pytał o datę.

-Ponieważ znaleźliśmy ten czas opisany w Kodeksie... To znaczy zapis wyników Gry na arkuszach zebranych w księgę.

Cisza.

2 Inkrustowana Czaszka nie powiedział, że nie rozumie, ale miałem wrażenie, że jego angielski nie był zbyt płynny. Chyba naprawdę zaabsorbował mniej danych niż ja. O ile tak to można określić. Może po prostu udało mu się uniknąć tego fragmentu, który miał oczyścić mózg. Nadal pozostał sobą. Zresztą nawet Szakala nie udało się odpowiednio wymazać. I może dlatego przyjął tylko niewielki fragment mnie. Chociaż pewnie nawet tyle wystarczyłoby większości ludzi. Powtórzyłem całe zdanie po iksyjsku.

- A czy ukląkłeś przed *ahau-na* Koh?

Co?

- Chodzi o to, czyją spotkałem? - upewniłem się. - Nie, nie. Prze czytałem o niej w Kodeksie.

Cisza. Pomyślałem, że zaraz zapyta, dlaczego wybrałem właśnie to miasto, ale nie. Może dlatego, że dla 2 Inkrustowanej Czaszki Ix było pępkiem świata i nikt nie pragnął przebywać gdzie indziej. Jednak, co dziwne, mężczyzna nie wydawał się ani trochę zaskoczony tym, czego się dowiedział. A raczej wyglądał na poruszonego i zaniepokojonego, ale... ale nie tym, że w Ix pojawił się ktoś z przyszłości. Przypuszczalnie dlatego, że dla 2 Inkrustowanej Czaszki, jak i współczesnych mu Majów, przyszłość była po prostu miejscem. I zapewne *uayob* lub duże z przeszłości i przyszłości pojawiały się w ich świecie cały czas.

- Jak zapłacisz mi za najszlachetniejszego syna? - zapytał nie oczekiwanie.

Co? Jestem odpowiedzialny za śmierć jego syna?

Szlag. To nie wróżyło dobrze...

Czy to znaczyło, że syn 2 Inkrustowanej Czaszki został złożony w ofierze po fiasku z Szakalem? Całkiem możliwe. Cholera. Dobra

roboty, Jed, pogratulowałem sobie. Teraz na pewno wszyscy w Ix mnie pokochają. Władcy bywają wrażliwi na punkcie pierwotnych potomków. Czy mam przeprosić? Jak?

-Ja pod tobą nie rozumiem - powiedziałem.

-Okazałeś brak szacunku mnie nad tobą - odrzekł.

-Nie, bardzo głęboko cię szanuję - wykrztusiłem. - Przepraszam, ale nie rozumiem.

Naprawdę nie rozumiałem. Nic a nic. Kurwa.

-Wiem coś, co może nam pomóc - oznajmiłem. - Za dwa światła na północnym zachodzie rozpocznie się ognista burza - przeszedłem na angielski. - Erupcja wulkanu.

-My nad tobą już to wiemy. Strażnicy z Klanu Ocelota ostrzegli nas dwadzieścia słońc temu. Ty poniżej mnie nie masz nic do zaferowania.

Och. Świetnie. Doskonale. I tyle, jeśli chodzi o moje proroctwo zdolności. Czas zatem na jankesa na dworze *ahau* Majów, czyli to, co przygotowali Jankesi z Connecticut. Cóż, dobrze, *me caigo en la mar*. Co jeszcze mogę postawić? Dobra, czas na drugą mowę awaryjną.

Ja poniżej ciebie Spłcę jakoś  
dług ten. Mogę zbudować dla  
ciebie Kukłę, która rzuca  
Wielkimi oszczepami,  
Piłkami, które mogą Zapalać  
się u celu, I idealnie okrągłe  
Naczynia.

My nad tobą Nie  
chcemy Pomocy od  
łajna

- odgryzł się 2 Inkrustowana Czaszka.



Zdaje się, że byłem zbyt splamiony, by zawierać ze mną umowy. Przeszedłem na angielski.

- Mogę pomóc ci obronić się przed Ocelotami. Zostaniesz *k'alomte'*. Spójrz w moje wspomnienia. Sprawdź, co to proch strzelniczy. W parę dni możemy go zrobić, wystarczy wykopać trochę guana z pobliskich jaskiń na północnym stoku i wytrącić azotany...

Przechylił głowę i ten gest sprawił, że zamknąłem usta, zanim jeszcze zrozumiałem, że to znaczy: „Masz nasze pozwolenie, by milczeć”.

- Mówisz z piaskiem w ustach - stwierdził 2 Inkrustowana Czaszka. - Władcy tego *b'ak'tun* nie zezwolą na takie rzeczy.

Co? - pomyślałem zaskoczony. Luddyzm tutaj? Zaraz, właśnie zacząłem opowiadać...

-*X'imaleech t'ul k'ooch mix-b'a'al* - prychnął 2 Inkrustowana Czaszka. Chyba przychodzisz z pustym nosidłem. To jeden z tych idiomów, które rozumie się bez dodatkowych wyjaśnień. Znaczy mniej więcej: chyba nie masz mi nic do zaoferowania.

-Zabiorę twój świat - wyznałem - i odrodzę go w moich czasach. Oddam twoim potomkom imiona, czas, historię, wszystko.

-*B'a'ax-ti'a'al chokoj upoi?* - zapytał 2 Inkrustowana Czaszka. Dlaczego miałyby mnie to obchodzić? Tak naprawdę nie było to pytanie.

-Jak rzekłeś, ty nade mną - odpowiedziałem odruchowo - ale...

- Zatem ci zezwalam zabrać Jeda ode mnie.

Och.

Przecież powinien wiedzieć, że nie mogę tego zrobić. Może nie wie? A może naprawdę przejął tylko niewielką część mojego umysłu. Albo może ma za wielkie ego, by to zaakceptować. Czy ten facet w ogóle ma pojęcie, kim jestem? Może myśli, że jestem tylko brudnym robalem-chochlikiem, który wślizgnął mu się do głowy uchem. Cóż...

- Ale ty nade mną możesz się od niego wiele dowiedzieć - za oponowałem.

-Zabierz swoje odbicie z ciała mojego. Już - rozkazał 2 Inkrustowana Czaszka. Głęboko w jego opanowanym głosie zabrzmiało stłumione drżenie. On się brzydzi, zrozumiałem. Czuję się zbrukany. Moja obecność w jego umyśle jest hańbą. Ten mężczyzna uważa, że nie dostanie się przez to do niebiańskiej łoży dla VIP-ów czy czegoś podobnego. O cholera... Jasna cholera. Czy powinienem mu powiedzieć, że jest na mnie skazany? Nie, kurwa, to mnie tylko pograży. Czas kłamać jak z nut.

-Zrobię tak, ale wymaga to czasu - stwierdziłem.

Ból jak uderzenie zerwaną struną od banjo przemknął mi od brzucha do lewego oka. System nerwowy Szakala nie chciał pozwolić, by to się stało, nie można było przecież ukrywać czegokolwiek przed swoim praojcem-pramatką. Skłamanie temu gościowi było po prostu poza zasięgiem gestaltu Szakala. Uspokój się, na litość boską, nie kul się i nie wstrzymuj oddechu. Oddychaj, po prostu oddychaj, oddychaj...

-Jak szybko może to zostać uczynione? - zapytał 2 Inkrustowana Czaszka.

-Nie można tego zrobić bez odpowiednich przygotowań - wyjaśniłem na w pół po iksyjsku, na w pół po angielsku. - Musimy ofiarować najpierw... Muszę znaleźć pewne zioła.

Właśnie, jedenaście tajemniczycy ziół i przypraw... Uwierzył, na szczęście.

Poczułem na ciele jego przenikliwe spojrzenie. Szukał drżenia, wzdrygnięcia...

- Czego będziesz potrzebował? - zapytał.

Zapewniłem, że jeżeli da mi arkusz i pędzelek, naszkicuję to dla niego. Trzeba grać na zwłokę. Postanowiłem, że narysuję też katapultę. Może kuszę. Obce wynalazki do przeprowadzenia zwycięskiej wojny. Byle zainteresować tego człowieka, a może zapomni o...

- Usuń TERAZ swojego robaczego *uay* z mojego brzucha. Skończone.

„Skończone” mówiło się, gdy rozmówca skończył z tematem raz na zawsze. To jak powiedzieć: „Koniec i kropka”.

Zawahałem się. Powtórzyłem swoje kłamstwo. 2 Inkrustowana Czaszka przeszył mnie spojrzeniem.

W dzieciństwie Szakał wierzył, że 2 Inkrustowana Czaszka może wyczuć jego myśli przez brudne ściany, że pod postacią złotego orła 2 Inkrustowana Czaszka przelatuje nad osadami i obserwuje swoich śpiących niewolników przez otwory kominowe w dachach - że ich strzeże, lecz jest także gotów w każdej chwili zaatakować i wydzierać oczy zdrajcy. I nawet teraz wyglądało na to, że Szakał nie przestał w to wierzyć. Czuję się jak świeżo upieczony sierżant, który próbuje łączyć pięciogwiazdkowemu generałowi.

2 Inkrustowana Czaszka - albo, skoro już się bliżej poznaliśmy, czemu nie nazywać go 21c - musiał dać jakiś sygnał, ponieważ w komnacie nieoczekiwanie pojawił się kolejny przybysz, niewyróżniający się niczym mężczyzna w średnim wieku noszący prosty szary turban i bez tatuaży, które mogłyby mi zasugerować jego pozycję. Miał twarz jak nauczyciel wychowania fizycznego w szkole średniej - taka majowska wersja starszego George'a Busha. Zmaterializował się wprost ze ściany po lewej. Zapewne czaił się w ukrytym przejściu za gobelinami z ptasich piór.

Przybysz kucnął i postawił tacę na trzech krótkich nóżkach najwyższej ramię ode mnie, po czym odwrócił się do 2 Inkrustowanej Czaszki i przyłożył prawą pięść do lewej piersi, unosząc łokieć równolegle do podłogi. Wyglądało to zupełnie jak salut starożytnych Rzymian lub francuskich żołnierzy w średniowieczu. Może gest należał do uniwersalnych stałych ponadkulturowych. Spojrzałem na tacę. Znajdowało się na niej czarne butelkowate naczynie, jakby parujący bakłażan.

- O rany - mruknąłem po angielsku. - Płód Cajuna?

Zero reakcji. Niektórzy biorą wszystko zbyt poważnie.

Starszy gość podniósł naczynie. Miało rodzaj dzióbka na końcu. Poczulem dezorientację i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że gwardziści mnie unieśli, po czym przechylili. A potem poczułem, jak w odbytu wsuwa mi się wąż - miałem wrażenie, że naelektryzowany...

AUUUUUAUOOUUUFF!

Au... I to na pierwszej randce.

Widziałem gwiazdy, i to nawet we właściwych konstelacjach. Był Smok, Skorpion, Dzwonowata Mgławica nad nimi... A potem wszystko się skończyło, pozostało tylko łaskotanie gorącej ciecicy spływającej mi po nogach i rozlewające się w jelitach pieczenie.

Łał. Niezły odjazd.

Gwardziści puścili mnie i wpadłem prosto w morze czerwieni.

- Dziękuję panu, mogę jeszcze raz? - wyszeptalem. Mój oddech roztrzącił płatki na posadzce.

Zgromadzeni w komnacie czekali. I czekali. Nie trwało to długo. Narkotyczna lewatywa działa niemal natychmiast. W latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku panowała moda na K - syntetyczny uspokajacz popularny wśród weterynarzy, który u ludzi wywoływał radosną pewność siebie - zażywano go często w lokalach, gdzie spotykali się homoseksualiści. Wziąłem go kilka razy - no dobra, szesnaście - ale to naprawdę było coś, odjazd w dwadzieścia sekund. A teraz już poczułem, że grawitacja maleje.

- A czy kiedy zabierzesz swojego bliźniaczego *ixnok'ol mak* z mojego brzucha - zapytał 21c - to zgnilizna nadal będzie toczyć moją głowę?

Długą chwilę zajęło mi zrozumienie, o co chodzi. *Ixnok'ol mak* znaczyło złośliwy *uay* lub może pasożytniczy robak, a może i jedno, i drugie, zależnie od kontekstu. Najwyraźniej idea opętania przez demona jest uniwersalna dla wielu kultur, więc to nic zaskakującego. Ale przez zgniliznę w głowie 21c rozumiał... cóż, nie owijając w bawełnę, miał na myśli raka.

Cholera. Choć nie dostał wszystkich wspomnień Jeda, jak na złość to jedno mu się udało przejąć.

Problem w tym, że - jak chyba wspomniałem - proces transmisji danych przez czas nie jest całkowicie nieszkodliwy. Wiązka promieniowania trafiła cel - czyli mózg Szakala - z mocą około czterdziestu tysięcy radów. To jakby robić sobie prześwietlenie klatki piersiowej trzysta tysięcy razy non stop. A ponieważ długość fali została dostosowana do tkanki nerwowej, nie spowodowała raka skóry czy białaczki. Ale w mózgu i prawdopodobnie rdzeniu kręgowym nowotwory za-

częły się tworzyć zaraz po napromieniowaniu. Doktor Lisuarte powiedziała, że w ciągu sześciu-siedmiu miesięcy, nawet jeżeli cel nie miał predyspozycji do nowotworów, wzrost chorej tkanki będzie na tyle poważny, że uniemożliwi prawidłowe funkcjonowanie. Szanse, że przeżyje rok, były jak jeden do pięćdziesięciu. Zegar dla mnie już tykał. A jeżeli chodzi o 21c... Na pewno nie dostał tak dużej dawki jak ja, ale i tak był w kłopotach. Na pewno umrze, może nie za dziewięć miesięcy, ale też nie w sędziwym wieku. Przypuszczalnie zostało mu najwyżej pięć lat. No dobrze, ale co robić? Skłamać? Nie. Odpowiedać wymijająco.

- *Uay* Jed został nam подарowany. Nam obu. Jako sługa. I ogromnie się nam przyda. Jed przybył tu, by chronić nas i naszych potomków.

Cisza.

Szlag, to było żalosne. Lamerskie. Czuję się rozbity i opuchnięty. Sądziłem, że narkotyk mnie otumani do poziomu kretynizmu, ale stało się inaczej. Zrobiłem się nadwrażliwy. Płatki pod moimi udami stwardniały w ostre kamienne odłamki, a podmuchy wiatru na skórze odbierałem jak uderzenia bicia.

-Nakaż swojemu *xcarec-uay*, żeby przestał mnie dręczyć.

-Zrobię to - zapewniłem. - Ale nie tutaj i nie teraz. Nie mam odpowiednich narzędzi.

Trzeba mówić prosto, pomyślałem. Mimowolnie przesunąłem dłoń po płatkach geranium. Miałem wrażenie, że stado gigantycznych karaluchów z sykiem kąsa mi skórę.

-Jak? - padło pytanie.

-To sprawa umysłu, są na to sposoby, ale wymagają treningu.

Chryste, czyżbym próbował namówić tego faceta na terapię?

-A jeśli nie, to co? - zapytał 21c. Pytał, co się stanie, jeżeli moja metoda nie zadziała.

-Wtedy, jeżeli uda mi się przekazać swoje wspomnienia do dwa tysiące dwunastego, będę mógł zrobić to stamtąd - powtórzyłem to po iksyjsku. 21c nie odpowiedział.

Zająknąłem się lekko.

- Jak ty nade mną musiałeś widzieć u *uay* Jeda, trzeba mnie przechować w żelu, to znaczy w koloidzie, takim płynie, który stwardnieje w podobny sposób, jak żywica przemienia się w kryształ.

Cisza. Szlag.

- Zawieszina asfaltowa... ochroni połączenia w moim mózgu wy starczająco dobrze, żeby je skopiować - zacytowałem po angielsku podsumowanie z raportu naukowego Taro, po czym dodałem po iksijsku: - To znaczy, że w ten sposób powstrzymam swoje dusze, żeby nie uleciały. Moje *b'olonob*.

*B'olan* oznaczało jedną z trzech lub czterech rzeczy, które tutejsi ludzie uważali za dusze. Jedną widywało się w cieniach i odbiciach, inna pozwalała przejść przez Xibalba, by służyć tamtejszym władcom, nim otrzyma pozwolenie, by rozpląnąć się w nicłość. Innymi duszami były *uay* - czyli zwierzęce odpowiedniki - oraz *pal*, niczym imię, które zostaje z resztkami ciała po śmierci. Znano jeszcze *chal*-oddech, choć może określenie „dusza” w tym przypadku jest trochę na wyrost.

- I wtedy moje dusze pomogą tobie, któryś nade mną, pomogą po tym... - Umilkłem. Moje cholerne mięśnie napięły się na kamień. Inie dlatego, że wyczuwałem, jak Szakal cenił i wielbił 2 Inkrustowaną Czaszkę, jak Szakal wierzył, że starszy mężczyzna ma niemal nadnaturalne zdolności (mówiąc szczerze, w moim stanie nic nie wydawało się nadnaturalne - niektóre stworzenia były po prostu bardziej naturalne niż inne), lecz dlatego, że emanował autorytetem i wyczuwałem ten autorytet, nawet gdybym nie wiedział, kim jest 2Inkrustowana Czaszka. Wydało mi się, że ściany za nim zaczynają się rozpląwać, jakbym znajdował się w kryształach i powoli zanurzał w lawie.

-A co będę robił, czekając, aż ty pode mną wrócisz, by zabrać swojego *uay*\* - zapytał 2 Inkrustowana Czaszka.

-Ty, któryś nade mną, nie będziesz musiał czekać - skłamałem.

-Możemy wybrać dokładnie porę.

-A co wysłesz, by zabrać swojego *uay*?

-Coś jak wiązkę promieni słońca, rodzaj błyskawicy.

Żadnej odpowiedzi. Może 21c nie odpowiada na to, czego nie rozumie? Zmieniłem język na iksyjski.

- Z mojego *k'atun* wysłę odpowiedzią... odpowiedzią wiadomość przejściem, którym sam się tu dostałem. I kiedy wiadomość dotrze do ciebie, wymaże mnie, usunie z ciebie.

Cisza.

Mam nadzieję, że to kupił, pomyślałem. Zaraz, nie wolno nawet tak myśleć. Tak się nie kłamie. Trzeba wierzyć w swoje słowa. I nie zmieniać tego, co powiedziało się wcześniej. I zachować spokój.

2ic popatrzył na niewyróżniającego się faceta. Miałem wrażenie, że oblałem próbę. Nagle wpadłem na pomysł.

- Albo możemy udać się razem do moich czasów. Możemy obaj spacować w grobie, a potem twoje dusze zostaną odesłane.

Popatrzył na mnie. Umknąłem wzrokiem na zasuszoną głowę u jego pasa. Lśniła złotą poświatą. Wszystkie twarze, nawet te indiańskie, kryją w sobie wewnętrzny blask, wystarczy tylko dobrze się przyjrzeć.

-Ty poniżej chcesz mnie oszukać - wyszeptał 2 Inkrustowana Czaszka.

-Nie - zapewniłem. - Nigdy bym tego nie zrobił.

Strach, jak samochłodząca się puszcza coli, eksplodował mi w trzewiach. Och, *chingalo*. System nerwowy Szakała może i powstrzyma mnie przed drżeniem, ale umysł należał do Jeda, a Jed to mięczak. Bałem się coraz bardziej.

- ZABIERZ ZE MNIE SWOJEGO PASOŻYTA ALBO BĘDZIESZ CIERPIAŁ!

Próbowałem coś powiedzieć, ale nie zdołałem.

Och, rozkład i zgnilizna. Zaraz stracę życie. Nigdy nie byłem dobrym aktorem, a teraz na dodatek miałem obce ciało, niechętną widownię i koszmarną treść.

Wreszcie dotarło do mnie, kim jest ten facet podobny do Busha. To *bet-yaj*, dręczyciel albo raczej oprawca. Usiadł po lewej obok mnie i przesunął mi palcem po policzku. Opuszki miał śliskie i wilgotne, zapewne od tego, co wpakował mi w odbył. Kiedy dotarł do mojego

lewego oka, delikatnie unióś mi powiekę, a potem otworzył miniaturową *incensario*.

- *Hun tzunumtub tz-ik-eeen yaj* - zaintonował oprawca. Mówił językiem kobiet i jego głos brzmiał kobieco. Uniósł kadzielnicę do mojego oka. Dostrzegłem przeblysk pomarańczowego żaru i kłęb brązowego dymu.

W zasadzie lubię chili. *Poblano, serrano, rocoto, habanero* - kroić się je, dodaje do potraw, kupuje... Oprawca pozwolił, by dym dostał mi się do oka. Na początku nie było tak źle. Może Majowie używali specjalnej mieszanki albo reakcję opóźniła bufotenina czy inny psychodelik, którym mnie nafaszerowano i który teraz krążył mi we krwi. Najpierw wyczułem tylko lekkie łaskotanie - jak wtedy, gdy ktoś po drugiej stronie pokoju kroić cebulę. Dręczyciel ukląkł wygodniej i zamknął *incensario*. Taki sam ruch wykonywał mój ojciec, gdy odkładał puszkę oranżady, i zalała mnie fala nostalgii. Z trudem powstrzymałem szloch. Oprawca liściem tytoniu rozpedził dym. Jeden z podtrzymujących mnie gwardzistów stłumił kaszel - jakby się obawiał, że jeżeli sobie na to pozwoli, straci pozycję; zapewne tak by się stało. Moje powieki stawały się coraz bardziej suche wokół gałek ocznych i chyba wiązki nerwów wzrokowych, ale ciało Szakala, ciało wojownika, nie chciało się poddać i zamrugać - Szakal za nic nie dałby satysfakcji katu.

-Zabierz swego bliźniaka - rozkazał 2 Inkrustowana Czaszka.

-Zamierzam - wydusiłem przez zaciśnięte zęby. - Musisz mi pozwolić zacząć.

W nosie zbierała mi się wydzielina, a w oczach tańczyły pyłki i kurz. Zapewne każdy, kto nie urodził się w kulturze chili, przeżył coś podobnego, gdy ugryzł niewinnie wyglądający kawałek pizzy z paroma kawałkami *habanero*. Ten rodzaj bólu łatwo rozpoznać. Tyle tylko, że teraz nie rozchodził mi się z ust, lecz rozptywał po całym ciele. A to ciało, jak pewnie wspomniałem, wspaniałe ciało Szakala, miało cudowną zdolność do odcinania się od największego bólu. Jednak niemal widziałem, jak ów dystans maleje, niczym szpara w zamykających się powoli automatycznych drzwiach windy. Mięśnie okrężne



jednego z moich oczu zacisnęły się gwałtownie. Udało mi się utrzymać otwarte drugie oko i nie odwrócić głowy, ale zanim się zorientowałem, już próbowałem mrugnąć. Nie udało się, bo dręczyciel tylko silniej przytrzymał mi powiekę, po czym spojrział na 2 Inkrustowaną Czaszkę i uśmiechnął się szeroko. 21c również na mnie spojrział i odniosłem wrażenie, że zachichotał, choć jego twarz pozostała nieruchoma, a z ust nie dobył się żaden dźwięk. W oczach miałem teraz pełno oparów jak po krojeniu ton cebuli i im bardziej chciałem zacisnąć powiekę, tym mocniej bolało - a łzy, które zaczęły mi płynąć, odczuwałem jak ostrza, co pogłębiało tylko torturę. I w końcu wszystko wybuchło, gdy kapsaicyna dotarła do długich komórek okrężnych mięśni wzrokowych i do nerwów. Ból eksplodował mi w rdzeniu kręgowym. Bezcenny dystans zniknął i wyparował. Zacząłem wrzeszczeć, choć próbowałem tego nie robić - z zaciśniętych warg dobył się ostry syk, jak wtedy, gdy woda pada na rozgrzaną patelnię, a chociaż ogarnęło mnie mniej lub bardziej szaleństwo, z odruchów pamięci Szakala wyplął też wstyd - brązowy, gniotący wstyd, który niemal zaniknął z emocjonalnej aury dwudziestego pierwszego wieku pod wpływem Ophry i jej programów. Jednak ciało Szakala wiedziało, że moja słabość je hańbi.

-Jak go zabierzesz? - padło pytanie.

-Muszę ci pokazać.

-Zabierz swojego robaka-bliźniaka. Już.

Dobra, pomyślałem na oparach rozsądku. Dobra, jasne. Powiedzmy, że mogę oszukać tego kolesia. Tylko się uspokoję. Twardym trzeba być, nie miękkim ninją.

-Nie mogę tego zrobić - wydusiłem. - Zajrzyj we wspomnienia Jeda, poszukaj Taro Mory. Zobaczysz, że nie mogę, nie mam takich możliwości, nie mogę, nie mogę...

**-ZABIERZ GO** - rozkazał ponownie 2 Inkrustowana Czaszka.

-Ja poniżej ciebie nie mam możliwości, aby to uczynić - powtórzyłem, starając się nie wrzeszczeć. - Nie mogę się wyjąć z twojej głowy tak samo, jak nie mogę się wyjąć z własnej głowy.

Cisza.

- Ale ty nade mną i ja możemy działać razem - podjąłem. - Jed w tobie i we mnie może się zająć Ocelotami w każdej chwili i myślę, że wygra, pobije ich, pobije...

Dotarło do mnie, że zaczynam paplać. Próbowalem się zamknąć, ale nie mogłem. Nadal gadałem o fajerwerkach i plodozmianie, gorzej - bełkotałem.

- Wspaniale, nie? Myszka Miki cię tam zabierze - usłyszałem swoje słowa. - To bardzo silny demiurg i mój kumpel, ale może być też twoim przyjacie-eleeeeEEEMMM...

2 Inkrustowana Czaszka musiał znowu dać znak, bo dręczyciel zaintonował:

-*Hun tzunumtub tz-ik-een yaj...* - Mięśnie okrężne mojego oka odruchowo się zacisnęły. Myślałem, że gałki mi pękną, tak mocno. Wtedy właśnie dotarło do mnie, że to musi być uwarunkowane, jak u psa Pawłowa - ta krótka formuła, powtarzana przed każdym uderzeniem różgi. Oprawca ponownie okadził mnie dymem. Oczy mi za-skwierzały jak jajka na patelni. Oto oko na toście. Byle nie prosić kata, by przestał. Wtedy będzie tylko gorzej. Czy może być gorzej? Dobre pytanie. Ale ten oprawca wygląda na profesjonalistę - Majowie musieli się nieźle znać na torturach. Chyba zatem wypada założyć, że może być gorzej. Zaczną śpiewać przeboje Alicii Keys, na przykład...?

-Zatem powiedz mi, jak zmusić twojego bliźniaka do odejścia.

-Zmusiłem Szakala, by odszedł - udało mi się wydusić. - Więc możesz zmusić Jeda, by odszedł. Nie powiem ci, jak to zrobić. Po prostu zrób to.

Znowu zapadła cisza. Zapewne powinienem dodać, że nieprzyjemna, ale w obecnych warunkach nie byłoby to odpowiednie określenie.

Nagle dręczyciel cofnął palce. Oko zamknęło mi się odruchowo. Łzy trysnęły z kanalików łzowych i chyba usłyszałem, jak rozpryskują się na piersi kata. Poczulem miękkie dotknięcie i palenie opadło łagodnie do lekkiego ćmienia. Jakby ktoś włożył mi w pusty oczodół łagodzący kompres. Oczywiście gałka oczna wielkości krykietowej piłki nadal była na swoim miejscu.

Dręczyciel wezwał Jedyne Orła tym swoim cichym, matczynym tonem. Posmarował mi oko jakąś uzdrawiającą maścią, która pachniała jak wyciąg z goździków, choć przecież w Nowym Świecie nie rosły goździki... A może jednak? Zapewne ani kat, ani 21c nie chcieli mi całkowicie wypalić oka, woleli, żeby szybko się zagoiło - a wtedy będzie można rozpocząć kolejną rundę tortur, i jeszcze jedną, i jeszcze... Poczulem prysnięcie morskiej wody w twarz, gwardziści puścili mi głowę i pozwolili się otrząsnąć jak psu, a potem ktoś wytarł moje oczy miękką, wilgotną szmatką. To było tak cudowne, że zalała mnie głupia i żalosna fala wdzięczności.

- Zatem zabiłeś mnie - rzekł 2 Inkrustowana Czaszka.  
Zacząłem wyjaśniać, że otrzymałem mniejszą dawkę promieniowania.

-*B'aax ka?* - przerwał mi spokojnie. Jak długo?

-Więcej niż jeden i mniej niż siedem obrotów *tz'olk'in*.

-A dokładnie?

-Tylko tyle wiem - zapewniłem. - Spójrz w moje wspomnienia, nie da się...

-*Hun tzunumtub tz-ik-een yaj* - zaintonował znowu dręczyciel. To było jak bębnienie w kotły, o którym się wie, że będzie narastać coraz głośniejsze, niczym nadciągające tornado lub armia krzyżowców pod Pskowem. Pragnąłem tylko to powstrzymać. Ciało mi się napięło, jakby chciało rozerwać więzy i wcisnąć do oka rękę lub stopę, nieważne, lecz wszystko zawiodło i znowu ogarnął mnie ból nie do zniesienia wywołany na rozkaz, swędzenie, które domagało się podrapania i ten imperatyw był ważniejszy niż kolejny oddech. Myślałem, że jako Jed poznałem ból, gdy dziesiątki pielęgniarek pobierało mi krew tętniczą do testów związanych z hemofilią czy podobnych. I zawsze uważałem, że to i tak lepsze niż wieczna nicność. Byłem ignorantem. Śmierć jest milion razy lepsza niż prawdziwy ból.

Po nieokreślenie długiej chwili moje oko - a raczej długie włókna w grubej tkance otaczającej gałkę oczną - znowu wróciło do normy, a ja poczułem się dobrze, a nawet wspaniale... Miałem ręce, a na

posadzce leżały śliczne płatki kwiatów - o, tak! Widziałem je nadal. Uniosłem wzrok.

2ic kucnął przede mną. Jego twarz znaczyły strużki potu, przez co wydawało się, że na skórze ma jaszczurcze łuski. Dłonie okrywały mu długie mitenki ze skóry rekina, co wyglądało jak tanie rękawiczki, które niedzielni kucharze z podmiejskich dzielnic kupują w Williams Sonoma. Kciuki natomiast miał wysmarowane pastą z chili. Ujął mnie za głowę i potrząsnął, jak pies, który schwytał wiewiórkę.

- ZABIERZ SWOJEGO PASOŻYTA! - warknął. - SKOŃCZONE!

Nie miałem nawet szansy, by odpowiedzieć, bo 2ic wcisnął mi kciuki w oczy. Tym razem naprawdę wrzasnąłem. I wrzeszczałem długo. A potem, gdy łąpałem oddech, okazało się, że wdycham opary chili, unoszące się z kadzielnicy przytrzymywanej przy moich ustach. Wydawało mi się - nie, wierzyłem - że wyrócono mi ciało na nice i zanurzono w kwasie siarkowym.

A potem nagle uświadomiłem sobie, że nie czuję już bólu. Cudowna, aromatyczna bryza pieściła mi twarz. Leżałem na brzuchu, z policzkiem na kamiennej posadzce. Otworzyłem zdrowsze oko i ujrzałem coś dziwnego: długi, porośnięty szorstką rzadką sierścią pysk wielkiego szczura, spoglądającego na mnie czarnymi paciorkowatymi ślepiami. Tak naprawdę był to jeden z pancerników. Lizał mi oko. Szarpnąłem się w praludzkim odruchu wstrętu, lecz nie zdołałem cofnąć - gwardziści nadal mnie trzymali. Mogłem jedynie drzeć.

- *Hun tzunumtub tz-ik-een yaj* - zaintonował oprawca.

Wielki ból sprawia, że czas się rozciąga. Nie wiedziałem, ile razy 2 Inkrustowana Czaszka powtórzył, żebym zabrał mojego *uay* - może dziesięć, a może sto. W końcu ochrypl, a wtedy pałeczkę przejął dręczyciel, który zaczął mi krzyczeć w ucho rozkazy, używając języka odrzucenia. Dopiero wtedy zrozumiałem, że nie torturowano mnie z gniewu, lecz próbowano wyegzorcyzmować Jeda z Szakala. Dość logiczne założenie, że jeżeli odejdę, może zabiorę też swojego bliźniaczego *uay* od 2 Inkrustowanej Czaszki. Co parę rund dręczyciel smarował mi oczy maścią do wtóru pieśni *Ukumil can...* I za każdym razem wybuchala we mnie na nowo nadzieja i pragnienie, żeby ból się

skończył - jakby się było w restauracji i zjadło *habanero*, a już podchodził kelner z wielką szklanką mlecznego koktajlu z mango...

...i wtedy dręczyciel cofał się, nie dając mi nic. Nie chodziło już tak bardzo o ból, chodziło o pragnienie, by dostać maść, choć wiedziałem, że zaraz potem dostanę chili. Trzy miliardy lat później prawie nic ze mnie nie zostało, tylko wielki kłębek zwierzęcego przerażenia. Ale też odnosiłem wrażenie, że moi oprawcy już się poddali. I rzeczywiście, odezwał się 21c:

-*Ch'an*. - Wystarczy.

-*Xa' nanbal-een ek chak'an* - dodał 3 Niebieski Ślimak. Zajmiemy się nim w trakcie.

Może to była tylko iluzja pomieszanych zmysłów, ale w jego głosie usłyszałem wyraźny pośpiech i niepokój, napięcie, jakby cały czas oglądał się za siebie. Dziwne...

Gwardziści podnieśli mnie i wyprowadzili na dziedziniec, w roślinną wilgoć nocy. Nie trzeba mi było zasłaniać oczu, rzecz jasna, ale i tak wiedziałem, że nadchodzi świt. Powiedli mnie w dół po czterdziestu nierówno ciosanych stopniach do dużego okrągłego szałasu, gdzie przywiązali mnie do drewnianej ramy. W szałasie było gorąco od dwóch migoczących pochodni. Próbowałem rozluźnić mięśnie, by przygotować się na kolejne tortury. Na nogach, ramionach i torsie poczułem zimne łaskotanie. Nie było przypadkowe.

Co za gówno? - zastanawiałem się nie po raz pierwszy tej nocy. Gwardziści zaczęli mi wiązać cienkie, sięgające kostek sandały do biegania, wąską przepaskę na biodrach, a potem poczułem ucisk na skroniach. Jak się okazało, przy pomocy gumy i włókien z jelit mocowano mi na głowie skórzaną czapkę z drewnianym stelażem - jak ostrze włóczni na trzonku. Próbowałem sobie wmówić, że to tylko doktor Lisuarte przykleja mi elektrody do czoła i żadne tortury nigdy się nie zdarzyły, ale wtedy na szyi poczułem znowu zimne łaskotanie. Mimowolnie zachichotałem, szarpnąłem się w uniku i otworzyłem zdrowe oko. Ujrzałem pędzel o długim włosiu, podobny do tego, jakiego w Chinach używa się do kaligrafii. Malowano mi białe kropki glifów na skórze. Zerknąłem na zygzak wytatuowany na ramieniu

trzymającym pędzel i od razu wiedziałem, z kim mam do czynienia, tak samo, jak po koszulce w czarno-białe pasy rozpoznaje się sędziego w futbolu. To był *ajjo'omsaj* - ktoś, kto przygotowuje, jak garderobiany lub lokaj. Chyba najlepszym określeniem jest preparator. A z tego, że zygzaki tatuażu były brązowe, a nie białe, domyśliłem się, że to *emsa'ajjo'omsa*, czyli preparator niższej klasy, nietykalny, który jako jedyny może poradzić sobie z niebezpiecznie nieczystymi rzeczami. Próbowałem odwrócić głowę, by przyjrzeć się, co robią inni, ale nie mogłem - nie pozwalało mi wielkie nakrycie głowy z dużymi gałkami po bokach... może to rogi... Nie, nie rogi - poroże. Przebierano mnie za jelenia.

Poczułem napięcie, a powietrze stało się duszne i gorące. Próbowałem wyciągnąć dłoń do twarzy, ale ramiona miałem przywiązane mocno do boków. Kołysałem się w plecionym kocu. Niesie mnie dwóch ludzi, uświadomiłem sobie. I zdaje się, że idziemy w górę. Nadstawiłem uszu.

Tragarze się zatrzymali. Położyli mnie na twardej darni. Udało mi się wychwycić kilka słów - 21c mówił, że zaprosił tych wszystkich ludzi w ramach swojej pokuty, po czym zaferował jelenia najszybszemu spośród nich i dodał kwieciste przeprosiny wraz z obietnicą bardziej wyszukanej rozrywki w najbliższej przyszłości. Jak głupiec poczułem wstyd za 21c i cały ród Orła, choć przecież zamierzali mnie zabić. Czterokrotnie przetoczyłem się po ziemi, gdy rozwinięto więżącą mnie tkaninę.

Powietrze. Było jak łyk zimnego alkoholu.

Leżałem plecami na ostrej darni w ciepłym blasku pochodni. Wokół zabrzmiały ni to drwiny, ni wiwaty, po czym nagle umilkły, jak na dany znak.

Po ciszy trwającej cztery uderzenia serca zabrzmiało chóralne:

- My, sporo poniżej ciebie, dziękujemy ci, któryś nad nami.

Było to trzydzieści lub czterdzieści wysokich, arystokratycznych głosów należących zapewne do *k'ük'ob'*, czyli dosłownie - krewnych. Krewniakiem był każdy mężczyzna, który został poddany inicjacji

i włączony do jednego ze stowarzyszeń wojowników. W praktyce zatem termin odnosił się zarówno do wysoko urodzonych, jak i adoptowanych przez klan, zdolnych do służby i w wieku poniżej osiemnastego roku życia.

Otworzono mi usta i wiano gorącą miksturę składającą się z *b'alche'*, miodu i chyba krwi oraz czegoś jeszcze - pewnie jakiegoś super-duper tajemniczego dodatku, który dodawał mieszance żywicznego posmaku. Ale gardło miałem tak wyschnięte, że smakowałoby mi pewnie gorsze świństwo, więc połknąłem wszystko bez wahania. Kolejna para rąk, również w tych przeklętych mitenkach, pomogła mi otworzyć oczy. Lewe było zbyt opuchnięte, by się udało, ale prawe już prawie się zagoiło. Ha.

Wraz z trzema garderobianymi znajdowałem się w środku kręgu, czy raczej nonagonu, dziewięcioboku foremnego, szerokiego na dwaście ramion i wyznaczonego przez dziewięć krótkich pochodni wetkniętych w świeżo wypaloną ziemię. Zgromadzenie odbywało się na nagim zboczu szerokiego wzgórza daleko od zamieszkałego obszaru, od miejsc ceremonii w IX dzieliło mnie przynajmniej kilka mil. Krąg otoczony był przez większy - wyznaczony przez pięćdziesiąt pochodni, jednak bez księżycza niewiele więcej mogłem dostrzec.

Wokół tłoczyli się krewniacy. Naliczyłem trzydziestu jeden - moja nowa osobowość nie umiała liczyć tak szybko jak Jed, ale chyba i tak miałem przewagę - a zatem musiało się ich zgromadzić czterdziestu, bo Majowie lubili załatwiać sprawy dwudziestkami. Każdy krewny dzierzył nieco wyższą od siebie włócznię. Większość tych oszczepów składała się z dwóch części, długiego drzewca i dwustopowej obejmmy, dopasowanej na tyle, by ją zdejmować lub nakładać, zależnie od potrzeb. Jednak tym razem obejmmy nie przytrzymała krzemienno-szpiculca, lecz drewnianą tępą końcówkę. Drzewca oszczepów owinięte były kawałkami futer - jaguara dla Klanu Ocelota i małp dla innych rodów. Krewniacy nosili kilty ze skóry jelenia i bawełniane szerokie pasy, a przy nich po dwie zapasowe nakładki. Mieli też sandały na gumowej podeszwie, jak ja, zaś na nocne polowanie wysmarowali się zabarwionym czerwono psim tłuszczem. Włosy związali



w kity i zaczesali do góry tak, by spadały im na czoła. Ponad połowa młodzieńców była raczej krępa i dość postawna. W Indiach, jeżeli kogoś stać na jedzenie, to się z tym obnosi - i tu chyba było podobnie. Wspomnienia Szakala musiały dopływać teraz bez przeszkód, ponieważ bez trudu na podstawie skomplikowanych wzorów na strojach i ciałach rozpoznałem co najmniej pięć wysokich rodów z IX. Krewni z rządzącego Klanu Ocelota mieli turkusowe kropki na łydkach, a ci z Klanu Nietoperza Wampira, blisko związani z Ocelotami, choć stroną ich patrona był północny zachód, nosili czarne i pomarańczowe pasy wymalowane przez całą długość nóg. Klan Ary, reprezentujący południowy zachód i najsilniejszy sojusznik Klanu Orła, wyróżniał się żółtymi cętkami. Przybyli też krewni z Klanu Orła, w czerwieni z czarnymi pręgami - rozciągali nogi i machali oszczepami, wraz z resztą myśliwych gotując się do pogoni. Świetnie, pomyślałem, nawet moja rodzina rywalizuje o to, by się mnie pozbyć. Nie potrafiłem się zdobyć na to, by spojrzeć w oczy krewniakom, ale z tonu ich głosów mogłem wywnioskować, że paru znało Szakala.

Przerzucano się formalnymi żartami, puszone i wywyższano, a przy tym szacowano mnie spojrzzeniami pozornie znużonych zawodowców, jakbym był koniem wyścigowym na wybiegu.

- *Ymiltik ub'aj b'ak ij koh'ob, impek'ya'la* - usłyszałem. Ja wezmę poroże i zęby, a moje psy resztę.

Rozległ się śmiech. Zresztą słyszałem tu mnóstwo śmiechu. Szczęśliwi ludzie, pomyślałem. Sól ziemi.

- Nie, ja wezmę poroże, ty możesz sobie zabrać penis, a moje psy resztę - zaoponował inny krewniak. Świetnie, jakbym znowu trafił do liceum. Wbrew sobie próbowałem wychwycić mówiącego z tłumu i wymyślić jakąś ciętą ripostę.

Krewniak, który się odezwał, jeden z młodszych Mrówkojadów, pochylił się do mnie, wydał policzki i zrobił zęza, przez co stał się bardzo podobny do jednego z braci Marx, Harpo. Roześmiałem się z innymi. Wydawało mi się, że to najlepsza zabawa na świecie. Oczywiście byłem zdobyczą i miałem się znaleźć po tej gorszej stronie włóczni, ale w tej chwili jakoś mało mnie to obchodziło. Liczyło się tylko, że

żyć. Odpowiedziałem równie zabawną miną i wywołałem kolejny atak wesołości. Nieważne, kto jest po której stronie - świata przyda się więcej radości. Rozejrzałem się po kręgu. Wydało mi się, że kilka twarzy należy do starych przyjaciół. Niektórzy z nich uśmiechali się do mnie ze szczerą aprobatą. Również się do nich uśmiechnąłem. Panowała tu empatia. Ale nie taka, która powstrzyma od tego, co myśliwi zamierzali mi zrobić, ponieważ nie prosiliby o inne traktowanie, gdyby byli na moim miejscu.

Preparatorzy postawili mnie i pomogli utrzymać równowagę, co z porożem nie było łatwe. Najważniejszy z nich ujął ostrze z muszli i ukląkł przede mną. Przestraszyłem się, bo myślałem, że chce mnie obdrzeć ze skóry albo gorzej, ale on tylko ząbkowaną krawędzią zrobił mi faliste płytkie nacięcia na łydkach. Kiedy się rozejrzałem, dostrzegłem, że myśliwi robią sobie to samo. A potem preparator zanurzył dłonie w naczyniu i wklepał mi proszek w skaleczenia. Och! Po skórze przebiegły gorące iskry. Stopy mi drgnęły, jakby chciały się zerwać do biegu. Ten proszek musiał być niezłym dopalaczem. Wywoływał napięcie nerwowe i niewrażliwość. Nieważne. W kręgu krewniacy wklepywali sobie ten sam specyfik, robili przysiady i drobili, gotowi do gonitwy. Preparatorzy wreszcie przecięli mi więzy i cofnęli się w krąg, a ja zatoczyłem się, z trudem złapawszy równowagę. Ciężka głowa chwiała się niebezpiecznie. Głośny syk, mezoamerykański odpowiednik aplauzu, poniósł się w przesyconym wonią piwa powietrzu.

Myśliwi ucichli, zupełnie jak trzecioklasiści, gdy do klasy wchodzi nauczyciel, a potem cofnęli się, by zrobić przejście wysokiemu, starszemu mężczyźnie. Ten podszedł do mnie z zawiniątkiem. Od-ruchowo przysiadłem w pozycji „możesz ze mną zrobić, co zechcesz”. Mężczyzna przykucnął o dwa ramiona ode mnie i rozwiązał rzemie-nie białej jeleniej skóry, a potem rozwinął swój pakunek. Miał w nim cztery małe, lecz doskonale wykonane jadeitowe celty, czyli wygładzo-ne ostrza obusiecznych toporków, które według antropologów pełniły rolę waluty. Po czym starszy mężczyzna zwinął skórę i starannie ją obwiązał. Na koniec wysypał ze stożkowego koszyka stosik kakao-

wych ziaren i z wprawą doświadczonego krupiera zaczął je przeliczać jak żetony. Odliczył osiemdziesiąt i wrzucił je do sakiewki z moszny jelenia, którą ciasno związał. Z przyzwyczajenia zacząłem przesu-kiwać pamięć Szakala, aby oszacować wartość zawiniątka. Oczywiście ekonomia tutaj była zupełnie różna i nie dałoby się jej przełożyć na walutę z 2012 roku. Na przykład duże pióro z ogona quetzala było tu warte dwóch młodych niewolników. Ale z grubsza licząc, właśnie oceniono, że jestem wart około ośmiu tysięcy dolarów. Wystarczająco, by zacząć życie w nowym mieście. Czterdzieści akrów i *mul*. Nędznie. Mężczyzna zawinął sakiewkę w duży kawałek bawełnianego płótna i wręczył ją preparatorom, którzy z kolei przywiązali ją z tyłu mojej przepaski. Gdy wszystko odbyło się jak należy, starszy mężczyzna wrócił do kręgu. Krewniacy cofnęli się, robiąc przejście na północno-zachodnim boku nonagonu.

- *Ch'een b'o'ol* - rzekł starszy. Głos miał śpiewny, radosny, jak objazdowy licytator. Podawać swoje stawki. Znaczyło to samo, co *faites vos jeux*.

Rozpoczęcie zakładów.

Za kręgiem szczyt wzgórza przypominał szybką wyprzedzą pod Muzeum Historii Naturalnej. Zgromadziło się tam ze czterystu ludzi, próbujących teraz przyjrzeć mi się zza pleców myśliwych. Rozłożono pakunki i paczki, nosidła i tobogany, i dziesiątki zielonych mat handlowych, na których znalazły się różne towary, zwitki białych tkanin i aromatycznej kory, torby chyba z ziarnami kakaowca, wiązki piór warzęchy białej, zielonkawoczarne odłamki obsydianu i wyłupane oraz wygładzone dwusieczne ostrza i toporki, związane żywe *kutzob'*, czyli dzikie cętkowane indyki występujące w strefie neotropikalnej, a także stopy drewnianych i glinianych odłamków, które - jak się domyślałem - pełniły funkcję żetonów, choć Bóg wie jakiej wartości. Urzędnicy w czarno-białych pasiastych narzutkach i nakryciach głowy przypominających głowy małp, najwyraźniej zarządzcy lub bukmacherzy, spacerowali wśród tłumu parami, pilnując zakładów dzięki papierowym skrawkom-żetonom, na których zaznaczali stawki. Na skraju tłumu dostrzegłem dwa jasnoskóre ciała, chyba

ludzkie, wiszące na wysokim trójnogu przypominającym stelaż tipi. Może ofiary lub skazańcy - wystawione jako przestroga. Lepiej o tym nie myśleć. Słuchałem ludzi, próbując się zorientować, jak wysokie są zakłady. Z tego, co podsłuchałem na początku, obstawiano, który myśliwy dopadnie mnie pierwszy. W końcu wychyciłem też kilka zakładów, że uda mi się uciec. Od razu poczułem dumę, dopóki nie zrozumiałem, że obstawia się przeciwko mnie - osiem do jednego. Nieopodal po lewej rozgorzał spór i wydawało się, że zaraz wszyscy przejdą do rękoczynów, a ja będę mógł się wymknąć niezauważony, jak w marnej komedii, ale sprzeczkę rozwiązano, pozwalając, by obejrzał mnie ktoś trzeci, niezależny sędzia. Był to niski, przygarbiony mężczyzna, na pewno nietykalny, ale musiał słysząc z dobrego szacowania, ponieważ założył te cholerne mitenki i wprawnie uniósł mi ramiona, a potem rozchylił nogi, by pomacać moje mięśnie. Było to krępujące, ale nie protestowałem. Mężczyzna oznajmił, że jestem w zaskakująco dobrej formie, i zakłady przeciwko mnie natychmiast optymistycznie spadły - na pięć do jednego.

To nie wygląda dobrze, pomyślałem. Beznadziejnie. To nie fair. To znaczy, jasne, jest SZANSA, że mi się uda. Ale, doprawdy, nikt tak nie obstawia, chyba że dla kaprysu lub na pokaz. Jestem skreślony, stracony.

- *Tz'o'kal, tz'o'ka* - oznajmił Strażnik Dnia. Ostatnie zakłady. Jak w kasynie: *lesjeux sontfaits*.

Tłum ucichł. Niektórzy z krewniaków wyciągnęli drobne kamienie szlachetne i podali je giermkom czy jak ich określić. Za moimi plecami ktoś zadał w róg jak herold. Tłum zwrócił wzrok na północny zachód, więc i ja tam spojrzałem. W ciemności, gdzie niknęły gwiazdy, rozbłysły ogniska, jedno po drugim, wyznaczając drżący kontur wzgórza jak sznur bożonarodzeniowych lampek. Jak daleko jest to wzgórze? Może pół mili. Nie widziałem doliny, którą miałem przebiec. Cholera...

Wiedziałem z pamięci Szakala - zresztą każdy mógłby się łatwo domyślić i bez tego - że jeżeli dobiegnę do linii ognisk, będę wolny i będę mógł odejść, dokąd zechcę. Oczywiście w pewnym stopniu na-

dal pozostaną napiętnowany i zbyt splamiony, by ponownie dołączyć do krewnych, kolejny bezdomny albo - jak to się mówi w Ix - zero bez paleniska, przemykający z jednej bezimiennej osady do kolejnej. Próbowałem wyciągnąć z zamglonych wspomnień Szakala jakieś informacje o geografii terenu, żeby wymyślić plan działania na później, ale jedyne, co udało mi się znaleźć, to przekonanie, że powinienem udać się na północny *sache*, czyli święty trakt, i trzymać się go, dopóki znajduję się na pograniczu między obszarami wpływów Yaxchilán i jego odwiecznego wroga, Ti'akal - imperium, które obecnie chyliło się ku upadkowi. Ale pewnie już pierwszej nocy zostaną okradziony i zjedzony. A nawet jeżeli nie, to co mi z tego przyjdzie? I tak nie przeżyję roku. Może po prostu usiądę i poczekam. Może nie mam ochoty uczestniczyć w tej grze. Czy ktoś o tym pomyślał? Zresztą zabawy w berka i inne gonitwy to nuda. Jednak jeżeli się nie ruszę, Majowie po prostu zrobią pokaz swojego mistrzowskiego opanowania paskudnych tortur. A może powinienem chwycić jakiś mały kamienny grot z najbliższej maty i po prostu go połknąć. I niech diabli porwą świat za trzystaście stuleci. Za wielka odległość w czasie, by się przejmować. Ołać go.

Znowu zapadła cisza na cztery uderzenia serca, a potem rozległ się głos 2 Inkrustowanej Czaszki:

- *Tz'on-keej b'axb'al!*

Wyszedłem z kręgu i na ile to było możliwe, z godnością minąłem tłum krewnych i *Ixob'* za nimi. Nie spojrzałem na nikogo. Cofnęli się, tworząc dla mnie szeroki szpaler, ale gdy tylko minąłem linię pochodni wyznaczających granice zewnętrznego kręgu, myśliwi zaintonowali:

„Dziewięciu chłopców ściga dużego tłustego jelenia i mówi:  
Łeb masz lekki, ale zad ciężki, Jeleniu. Uszy jelenia posłużą  
za łyżki dla dziewiątego chłopca...”

To była wyliczanka, jak ene-due-like-fake, a Szakal i każde inne dziecko w Ix słyszało ją od urodzenia. Nie potrzebowałem wyjaśnień,

by wiedzieć, że gdy tylko śpiewający dojdą do ostatniego słowa - *ts'ipit*, którym będzie „pierścień”, ruszą w pogoń. I tak było uczciwie.

„Poroże jelenia stanie się grabiami dla ósmego chłopca...”

Zbiegłem po zboczu na łagodnie opadającą terasę.

„Kopyta jelenia staną się młotkami dla siódmego chłopca, Z ogona jelenia będzie sakiewka dla szóstego chłopca...”

Krok. Krok. Krok, krok. Rozpadlina. Przeskoczyć. Drzewo. Ominąć. Szakał nie był myśliwym, ale jego stopy bezbłędnie przesuwały się po nierównej darni. Obok rozległo się przenikliwe granie cykad, wyczułem zapach sosen i długolistnej mięty. Co z tego, że wpadłem w tarapaty? Czuję się wspaniale. Mógłbym chyba przeskakiwać nad drzewami, zamiast je omijać.

„Jelita jelenia będą naszymi dla piątego chłopca...”

Bez problemu. Krewniacy nawet jeszcze nie zaczęli pogoni. Przeskoczyłem nad krawędzią pierwszej terasy i zachwiałem się, tracąc poczucie kierunku. Poniżej ujrzałem więcej gwiazd niż nad głową, migoczących w nieokreślonych konstelacjach, i przez chwilę zdawało mi się, że mam przed sobą jezioro, dopóki nie minąłem kilku drżących iskier. Okazało się, że to świetliki, armie biało-zielonych chrząszczy z rodziny sprężykowatych odbywające orgiastyczne gody na paprociach i jasnotowcach.

Chyba jestem na wschód od Ix, pomyślałem. Na ziemi Orłów, zapewne między rozpadlinami ciągnących się ze wschodu na zachód piaskowcowych wzgórz, które wrzynają się w Sierra de Chama i powoli opadają w Lago de Izabal. Dobra. Trzeba ocenić odległość. Od wzgórza do linii ognisk było około pół mili w linii prostej. Ale jaki dystans mam przebiec? Dwie mile? Raczej trzy. Jedną pod górę. No to co? Dam radę.

Ups. Krzew. Ostatnio nie wypalano tu roślinności. Na wpół ślizgając się ze stoku, potoczyłem się wśród goździków i nagietków. Wyżej, wyżej. Hop! Nie widzę ognia na górze. Naprzód. Zoom. Dobra, znowu na kursie. Nadal słyszałem rytm wyliczanki dudniący z kręgu i przyląpałem się, że odruchowo dostosowałem do niego swoje kroki. Zbocze tutaj najeżone było eukaliptusami i drzewami puchowca. Niektóre przypominały ogromne parasole, inne - bezlistne - piki. Leżały tu przewrócone pnie, niektóre jeszcze twarde, niektóre spróchniałe lub przegniłe.

Jednak drzewa rosły zbyt regularnie i za rzadko jak na naturalny las. Musiały zostać posadzone lub systematycznie przerzedzane. Nawet gdyby się zignorowało, że na ich gałęziach wisiały wstążki i liście tytoniu przewiązane różnobarwnymi sznurkami - dary dla klanowego *uay*, któremu poświęcone było drzewo - i tak pozostawało wrażenie, że to wypielęgnowany park w stylu angielskim. W oddali krewni skandowali coraz głośniejsze, zbliżając się do końca wyliczanki.

„Szczeka jelenia będzie widelcem dla czwartego chłopca...”

Szybciej, szybciej. Dobrze mi idzie. Instynkt Szakala już się włączył, ciało poruszało się na starym jak świat autopilocie adrenaliny. Wystarczyła aktywność głównej kory mózgowej, nic więcej. W lewo.

Krok-krok. Krok-krok. W bok. Drzewo, drzewo. Ominąć. Przeskoczyć. Grunt coraz bardziej niepewny. Przeszkody. Bieg z przeszkodami. Czuję się dziwnie lekko. Nie dlatego, że ciało Szakala było tak młode albo silniejsze od mojego, ani też nie z powodu postu przed ceremonią ofiarną. Pewnie miało to wiele wspólnego z tym, że byłem teraz mniejszy. Dlatego małe dzieci mają tyle energii - nie z powodu niewiedzy, jakim padołem łez jest ten świat, lecz również ze względu na małe rozmiary i ciężar. Właściwie to ile teraz mam wzrostu? Gdybym nie był trochę zajęty ostatnio, mógłbym zrobić porównanie w odniesieniu do wysokości sklepienia w niszy *ahau*. Wiedziałem, że nadproże tam znajduje się dokładnie cztery stopy i dwa cale nad podłogą. Przeciętny wzrost Majów z niższych klas w tym okresie

wynosił około pięciu stóp i dwóch cali, a ja byłem tylko trochę wyższy od innych. Powiedzmy, że mam pięć stóp i cztery cale. Jed miał pięć i dziewięć.

Jeżeli zatem siła rośnie wraz ze wzrostem, ale wzrost podnosi także wagę, to mój poziom optymalny wynosi...

Au! Ostrożnie. Dokładnie. W prawo. Krok-krok. Krok-krok. Nie rozpraszać się. Jeszcze nie jestem wolny.

„Nos jelenia stanie się fajką dla trzeciego krewnego...  
Trzydzieści zębów jelenia stanie się kośćmi do gry  
dla drugiego...”

Dam radę, dam radę, dam radę, dam radę. Nierówność. Uniosłem ręce do *cagado*, umocowanego poroża - może uda się je zdjąć... Nie, przyklejone, omal się nie oskalpowałem. Normalnie jakbym je miał wrośnięte. Nieważne, trzeba się skupić.

„Zwieracz jelenia będzie dla pierwszego chłopca pierścieniem.  
Zwieracz jelenia będzie dla pierwszego chłopca PIERŚCIENIEM!”

Słowo *b'aac* - pierścień - przeszło w radosny długi syk i tupot cichych złych stóp. Krewni skończyli odliczanie i ruszyli w pogoń. Nie oglądaj się - patrz przed siebie. Naprzód.

Drzewa. Slalom między pniami. W prawo, w lewo. Nie, w lewo, teraz w prawo. Znowu w lewo. Prawie połowa drogi. Dobrze mi idzie.

Kroki zbliżały się do mnie jak ściana drobnego deszczu.

Pieprzyć myśliwych. W lewo, w zarośla. Uwaga na rogi. Uwaga na ściółkę. Trzeba chronić oczy. Lewą ręką. Prawą odsuwać gałęzie. Przewidywalnie. Najpierw myśleć, potem biec.

Nadal mam przewagę nad myśliwymi. Nawet się nie spociłem. Kiedy zbiegłem w kotlinę między wzgórzami, ziemia się wyrównała, ale leżało tam mnóstwo gałęzi i chrustu. Trzeba uważać. Wydają pod stopą ten sam głośny trzask. Trzask znaczy śmierć. Cisza równa



się życie. Pobiegłem na palcach. Nadal miałem milę do pokonania. W większości pod górę.

Auć! Krok. Auć! Igły. Po łydkach przemknęły mi ukłucia bólu. Rozwidlenie. Jeżeli igły mnie spowolniły, spowolnią też pościg.

Stać! Słuchać.

Jakaś grupa jest już blisko. Ilu? Czterech? Może się rozproszą. Są dobrymi tropicielami. Nie wolno zostawić śladów. Może pobiec po swoich śladach, a potem ich ominąć? Nie, za trudne. I pewnie nie zadziała. To wychodzi tylko lisom.

Naprzód. Cicho. Krok-krok. Całkiem niezła gra. A i nagroda niczego sobie - ofiara, którą można zjeść.

Unf.

Ciało Szakala rozpoznało ten dźwięk - sapnięcie przy rzucie oszczepem. Odruchowo wykonało unik. Włócznia świsnęła trzy stopy nade mną. Naprawdę świsnęła w wysokim akordzie A-dur. Do drzewca przywiązane były małe świstawki z trzciny.

...lilii-st.

Kolejna włócznia. Całkiem blisko. Wbiła się chyba w drzewo. Powinienem jej poszukać. Nie, nie ma czasu. Przeciąłem suchą łachę piasku na dnie kotliny. Za mną na zboczu krewni gwizdali i świstali do siebie myśliwskie sygnały klanowe. Można było się zorientować, że biegli tyralierą, parami, starając się ogarnąć całe zbocze. Klasyczna i ponadczasowa technika polowania.

Zatrzymałem się. Biec prosto na górę? Tak, nie ma się co wahać. No, to już. Pochyliłem się i zacząłem wspinać.

Świiist...

Kolejna włócznia. Unik!

Bach-ch.

Szlag. Przecież nie mogą mnie widzieć zza drzew. Rzucają na słuch. Tylko sprawdzają. Nie ma się co martwić. Wystarczy pozostać poza zasięgiem i wszystko będzie dobrze. Skręciłem w prawo. Cholera, poroże się zaplątało. Już słyszałem ciężki oddech najszybszych myśliwych, gdy zaczęli się wspinać. Kurwa. Już sobie wyobraziłem dziury

w moich plecach. Szarpnąłem. Gałęzie. Wyrwałem je. Szarpnąłem się znowu. Pnącza. Au! Moja szyja. Szlag.

Wiiiizg. Buch-ch!

Udało mi się uwolnić poroże. Teraz uciekać. Uniosłem głowę wysoko i ruszyłem. Na górę i w lewo. W lewo. Kurwa...

Wiiiiizg...

Naprzód. Unik. Przysiad. Unik. Nie można pozwolić, by krewni mieli czysty rzut. Trzymać się drzew, po czym ruszać w górę, do linii ognisk, szukać rozpadlin. Szlag. Nie ma tu dobrych kryjówek jak w prawdziwym lesie. Przypomina to bardziej ukrywanie się za filarami kolumnady. Trzeba przebiegać od pnia do pnia. Dobra, w górę. Przez poroże mam zaburzoną równowagę. I do tego jest ciężkie. Cholera. Przypomniały mi się prehistoryczne irlandzkie łosie z łopatami ciężkimi i szerokimi jak kierownica yamahy Road Star. Nic dziwnego, że wyginęły. Muszę się pozbyć tego kurewstwa z głowy.

Wcisnąłem palce pod skórzane paski, lecz natrafiłem na gumę lub żywicę, którymi przyklejono je do mojej skóry. Nieważne.

Cisza. Kto biegnie cicho, dotrze daleko. Myśliwi też są szybcy. Nie wolno się zatrzymywać.

Rzygać mi się chce. Problem w tym, że gdy się biegnie naprawdę szybko, zaraz potem się wymiotuje. Muszę. Uch. Faj. Chyba udało mi się załatwić to cicho. Przynajmniej niewiele miałem w żołądku. Trzeba biec. Nie ma się co martwić, skąd wziąć siłę, ważne, na ile jej starczy. Hop. Hop.

Skierowałem się na południe w górę zbocza. Nie zniosę dłużej tego wysiłku. Węzeł bólu w brzuchu. A może to płuca. Wszystko jedno.

Znowu zrobiło się cicho. Żadnych okrzyków. Ale myśliwi nadal mnie gonili. Nasłuchiwali. Trzeba zwolnić, robię za dużo hałasu.

Ukradkiem. Mądrze i cicho.

Linia ognisk jest już blisko. Jeszcze tylko trochę wysiłku. Po prostu biec. Nie, zaraz...

Zamarłem.

Och, kurwa. Tuż za mną po lewej. Szlag. Trzask gałązki. Lepiej poczekać.

Nie. Ten myśliwy robi za dużo hałasu. Zbyt ostentacyjnie. Chce mnie wypłoszyć w stronę pozostałych. Pomyślmy. Co robi reszta myśliwych?

Pewnie są wyżej i czekają na mnie. A pozostali się rozproszyli. Kilku tropicieli idzie moim śladem, a reszta czeka przed linią ognisk. Wkrótce mnie otoczą i pułapka się zamknie.

Myśliwi nade mną czają się i nasłuchują.

Trzeba być cicho. Mojsa pobiegnie - mojsa zginie.

Najlepiej podejść do linii z innej strony. Z lewej.

Dobra, do tyłu. Po swoich śladach.

Wycofałem się najciszej jak mogłem w stronę kotliny. Ziemia była tu czysta, choć niekiedy trafiały się wyschnięte gałęzie eukaliptusa. Musiałem na nie uważać. Odwróciłem się i potruchałem w dół. Po raz pierwszy skierowałem się na południowy zachód i dopiero teraz dostrzegłem łunę zza kolejnego zbocza sierry - blask, który Szakał rozpoznał od razu: ognie strażnicze na świątyni w IX.

*De todos modos.* Trzeba skrócić na zachód i zacząć jeszcze raz. Krewni pewnie spodziewają się, że będę uciekał w lewo. A zatem w prawo.

Nie widziałem szczytu, ale gwiazdy służyły mi za GPS. Sądząc po pozycji 9 Śmiercionośnej Głowy, czyli Regulusa, linia ognisk znajdowała się tuż obok na prawo.

Oszacowałem, że mam około siedemdziesięciu trudnych kroków po wypalanej darni.

*Bueno.*

Naprzód.

Skierowałem się na wzgórze po szerokiej krzywej tak, by nadejść zza drzew jak najdalej na zachodzie.

Blisko. Ale... Rzuciłem się na ziemię, nawet nie wiedząc dlaczego-

Szszszuuu-uch.

Kurwa. Podskoczyłem. Au! Upadłem znów. Chwycił mnie za szyję, nie, *cono Dios*, kurwa mać, ktoś trzyma mnie za te przekłete rogi. Wykręciłem głowę, ale chwyt na rozgałęzieniu wieńca po prawej nie

osłabł. Szarpnąłem się w lewo, za późno, nic to nie dało. Wtedy, nie myśląc, wygiąłem plecy i uderzyłem rogami z całej siły. Chwila oporu i krótkie zaskoczone westchnienie - i kiedy szarpnąłem się naprzód, ręce myśliwego tym razem mnie nie powstrzymały. Odwróciłem się. Po nogach poznałem, że napastnik jest z Klanu Ocelota, dwunastolatek, najwyżej czternastolatek z kusząco długimi włosami, które aż się prosiły, by za nie chwycić. Trzymał się za prawy obojczyk, gdzie dosięgły go moje rogi. Pochyliłem się lekko i uderzyłem go w twarz.

Fala wstrząsu przeszła z jego czaszki na moją, jakbyśmy byli parą piłek wodnych. Obciągnij mi roga, pierdolony ojcomatkojebo. Pierdol się. Młodziak chwycił mnie za poroże - jak Tezeusz Minotaura. Pozwoliłem się przewrócić, dzięki temu mogłem złapać za gruby węzeł z przodu jego przepaski i pchnąć rogami w szyję. Młody cofnął ręce i mogłem się wyprostować.

Och. Chyba złamałem sobie kark. Niemożliwe, nie mógłbym się ruszać. Zrobiłem krok w tył i przyjrzałem się Ocelotowi. Po prawej stronie jego twarzy w blasku gwiazd lśniła gładka czerń, krew z rany pod okiem. Zatoczył się na mnie.

Bez obaw, jest ranny. Za bardzo, by mi zaszkodzić.

Cofnąłem się.

Traci krew, będzie coraz słabszy. Trzeba tylko trzymać go blisko, dopóki nie padnie, a wtedy go przebić. A może po prostu go tu zostawić i biec dalej?

A może lepiej go zabić, by nie ostrzegł innych? To śmieszne. Biec. Inni myśliwi już wiedzą, gdzie jestem. Słyszeli mnie. Szybciej.

Pobiegłem. Już niedaleko i będę wolny. Wolny jak ptak, wolny jak ptak, wolnyyyy...

Och! Kto mnie zaskoczył?

Znowu leżałem na ziemi. Obróciłem się i podniosłem. W prawej nodze poczułem gorąco. Oszczep uderzył mnie w tył uda, dwa cale nad kolanem. O cholera, trafienie. Psiakrew. Gdy sprawdzałem obrażenia, uświadomiłem sobie, że włócznia jest nadal cała i leży niedaleko. Lecz zaraz zaczęła się ode mnie odsuwać, umykając jak wąż w trawie. Chwyciłem ją za przywiązane do drzewca pasma futra tuż

przy wymiennej obejmie. Właściciel próbował ją wyrwać z drugiej strony. Spojrzałem na niego. Ten sam krewniak Ocelota, który wcześniej mnie dostał. O Chryste. Pogódź się z tym, Jed, zostałeś pokonany. Spoglądaliśmy na siebie groźnie, Ocelot i ja, ale nie było między nami zrozumienia.

Och, dobra. Tylko nie wzywaj posiłków, pomyślałem do młodego. Zachowaj mnie dla siebie.

Szarpnąłem oszczep, by wykręcić mu kciuki, ale się nie udało. Udało mi się za to wstać. Opuściłem poroże, nadal trzymając wólczyńnię. Byle jej nie puścić. Ruszyłem w lewo, zataczając krąg i starając się, by pień o średnicy około ośmiu cali zawsze pozostawał między nami, i używając go jako punktu podparcia, by poruszać się coraz szybciej. Sięgnąłem za pień i załapałem za ozdobną skórzano-jadeitową bransoletę na ramieniu przeciwnika. Trzymałem go teraz z jednej strony za oszczep, z drugiej za ramię, a między nami było drzewo. Przez moment wydawał się zaskoczony. Nie zareagował, gdy szarpnąłem go ku sobie. Usłyszałem głuchy łomot, gdy klatka piersiowa młodego uderzyła w pień. Mięśnie mu się rozluźniły, ale nie puścił oszczepu. Musiałem go szarpnąć jeszcze raz. Usłyszałem trzask łamanej szczęki. Napchaj się korą, gnojku! Nieuczciwi gracze rulez! Młody krzyknął niewyraźnie, po czym przeszedł na serię jęków, które łatwo pomogą zlokalizować źródło dźwięku. Jebany gnojek. Pewnie uznał, że skoro sam nie może mnie zabić, to da okazję innym.

Zamknij się, zamknij się, zamknij się... - pomyślałem w panice. Wydałeś mnie na śmierć, skurwielu.

Wychyliłem się zza pnia, z prawej strony chwyciłem młodego za włosy na karku, a potem jeszcze raz uderzyłem go o pień. Usłyszałem trzask łamanej kości i wiedziałem, że czaszka młodego straciła sztywność, jak jajko z pękniętą skorupką, choć jeszcze nieprzebitą błoną. Jęki się urwały. Skończyłeś, kapujesz? To ja jestem tu panem. Ha! Pewnie. Mam lekką zadyszkę, ale nic gorszego. Zadyszka przejdzie. Dam sobie radę. A poza tym jestem teraz uzbrojony. Mam oszczep, zaśpiewałem w duchu. Mam oszczep, mam oszczep, mam broń. Naprzód. W górę. Ogniska czekają. Do wolności.

Za plecami usłyszałem coś niepokojącego.

Och, nie...

Węszenie.

Myśliwi próbowali wywęszyć mój pot. I krew. Szlag, szlag...

Cicho.

Wdech. Pauza. Wydech. Ciszej. Wdech. Dostroilem zdyszany oddech do odgłosu węszenia najbliższego tropiciela. Wtopić się. Zama-skować. Myśleć jak krzew.

Ale i tak myśliwi czują mój zapach. Lepiej się oddalić.

Już. Nie, zaraz.

Strach lub może sytuacja w całokształcie wywołał napływ wspomnień Szakala - urywki z początkowego okresu treningu, próby charakteru, kiedy pilomanci, czyli augurowie gry w piłkę, poprowadzili go do jaskini dusz Bractwa Piłkarzy. Szli przez kawernę bez pochodni, rozpoznając otoczenie po wykrotach i kamieniach, po czym położyli nagiego nowicjusza w kamiennym sarkofagu i zostawili go samego. A gdy zaczęło mu się wydawać, że minęło dużo czasu, rozległy się szepty. „Kto to jest, wyczuwam kogoś, kto nie powinien tu być, zjedzmy go, oczyścimy z mięsa jego kości...” To *uayob* starożytnych zhańbionych graczy przyszły, by zabrać Szakala do Xibalba - podchodziły coraz bliżej, żądając, by złamał przysięgę i wyjawił sekretne imiona, oraz rozkazując, by opuścił trumnę. Głosy zbliżyły się i zdawało się, że wnikną do ciała, i Szakal nie wiedział, czy zaczął krzyczeć z nimi, czy też w huraganie wrzasku próbować je odepchnąć, ale wiedział, że nie uciekł, nie powiedział zakazanego imienia, że nawet się nie poruszył. Kiedy wyciągnięto go następnego dnia, ośmiolatek, który miał być Szakalem, przekroczył granicę czystego szalonego przerażenia. A kiedy później dowiedział się, że to pilomanci szeptali do niego w ciemności przez otwory w sarkofagu, nie miało to żadnego znaczenia. Jeżeli chłopak miał przeżyć tę i wiele podobnych prób, musiał urodzić się twardym jak krzemień lub szybko się tego nauczyć. Ból ich nie wzruszał. W dwudziestym pierwszym wieku powiedziano by pewnie, że trauma, jaką chłopcy przeżyli podczas prób, zabiła w nich zwykle emocje i zasiała agresję, która może wybuchnąć przy

najmniejszej prowokacji lub nawet bez żadnego powodu. Tutaj oznaczało to, że chłopcy mogą już zostać krewniakami.

Dwadzieścia stóp ode mnie zaszeleścił liść. Nic z tego. Naprzód. Biegiem. Już, już, już.

Pobiegłem.

Och, szlag. Za wcześnie.

Oszczep zaświstał z lewej. Odskoczyłem, przetoczyłem się naprzód, po czym wstałem, wspierając się na swojej włóczni. Przez chwilę wydawało mi się, że wszystko zrobiłem jak należy, ale wtedy prawa noga się pode mną załamała. Trafienie? - zdziwiłem się, bo nic nie poczułem. Za dużo adrenaliny czy co? Podparłem się i dźwignąłem na kolana, po czym szybko rozejrzałem. Krewny z Klanu Mrówkojada już mnie doganiał, unosząc jak maczugę pozbawione nakładki drzewce swojego oszczepu. Wsparłem włócznię o ziemię i wycelowalem, gotując się do zderzenia. Z prawej nadbiegali dwaj kolejni myśliwi, dzieliło mnie od nich ponad trzysta ramion, ale wiedziałem, że wkrótce znajdą się w zasięgu rzutu - oni też, bo już unosili oszczepy. Jeden był Ocelotem, drugi - dzieciakiem od Orłów z miłą, okrągłą buzią. Chyba znałem imię tego Orła. Szakał grał z nim w piłkę, mały niedawno został wprowadzony do drużyny piłkarskiej, musiał znać jego imię... Ha! Wiem! Hun Xoc. I Rekin.

Dobra. Muszę tylko minąć tych trzech gnojków i gotowe. Skupiłem uwagę na Mrówkojadzie. Zrobił unik i ruszył, by zająć mnie od tyłu i uderzyć drzewcem w głowę. Odwróciłem się, by sparować cios, ale napastnik się zawahał, po czym cofnął pół kroku. Ach, rozumiem - jestem zbyt nieczysty. Przesądny dupek. Rozłożyłem ramiona i opuściłem głowę, by zaatakować rogami. Oszczep dzieciaka ześlizgnął się po moim ramieniu i skaleczył mnie w czoło, ale nie zrobił żadnych poważnych szkód. Niszczysz sobie trofeum, koleś, pomyślałem. Otrząsnąłem się z oszołomienia, uniosłem włócznię i zamachnąłem się, zataczając nią ośmiostopowy łuk. Mrówkojad podskoczył, ale i tak sięgnąłem do jego prawej kostki i zwałem go na ziemię. Upadł, po czym usiadł. Bez namysłu cofnąłem oszczep do pchnięcia. I nagle skóra Mrówkojada wydała mi się przezroczyista w świetle gwiazd,

jakbym mógł przez nią widzieć sieć naczyń krwionośnych. Wycelowałem w arterię biodrową niknącą w kroczu. Pchnąłem. Zaostrzony koniec, którego nie chroniła nakładka, przebił się przez skórę. Przez uderzenie serca czułem opór, a potem włócznia się zanurzyła w ciało, arteria pękła i ujrzałem wytrysk krwi - tak, wytrysk, WYTRYSK!

Ha! Prawdziwy ze mnie twardziel. Krewniak z Mrówkojadów nie krzyknął, a jedyną reakcją na ból było lekkie skrzywienie ust i rozczarowane spojrzenie. Odwróciłem się od niego i wspierając się na włóczni, ruszyłem w górę zbocza.

Trochę się zataczałem. I z nieznanego powodu pomyślałem o liczbie osiem.

Nie trzeba wiele czasu, by zauważyć mnóstwo drobnych szczegółów, o ile nie próbuje się ich opisać słowami. W mniej niż sekundę zrozumiałem, że Mrówkojad nie żyje i że to pierwszy człowiek, którego zabiłem. Podobno pierwsze zabójstwo wywołuje falę poczucia winy i satysfakcji, reakcja układu вегетatywnego może doprowadzić nawet do utraty przytomności, słyszy się łomot krwi w uszach, doznaje widzenia tunelowego albo też skok adrenaliny może wywołać orgazm, można też poczuć wyrzuty sumienia i pogрузić się w spirali winy... I podświadomie oczekiwałem, że coś podobnego nastąpi, przynajmniej częściowo. Ale miałem tylko uczucie, że już to robiłem. Czułem się podobnie, gdy robiłem zakupy, gdy kupiłem coś drogiego - jak ostatnio plymoutha barracudę. Albo gdy wygrałem dużą aukcję na eBayu pięć sekund przed końcem. Czułem wtedy ten sam skok napięcia, a potem ulgę i blaknące poczucie żalu po zakupie zmieszane z satysfakcją posiadania wymarzonego towaru. Jakby Mrówkojad stał się moją własnością. Albo raczej jakbym rozdzielił jego ciało od *uay* i teraz *uay* Mrówkojada drepcze i węszy wokół mnie, gotów iść moim śladem, a jeżeli zrobię, co należy, będę mógł nie tylko powstrzymać go przed odwetem na mojej osobie, lecz także uczynić z niego mojego chowańca. Albo niewolnika. Czułem też lekkie poczucie winy, ale nie do końca winy. Bardziej fizyczne poczucie, że jest się brudnym, jakby się weszło w psie wymiociny lub jakby się zabawiało materiałami radioaktywnymi i po tym, jak chemikalia trafiłyby na dłoń, trzeba by



było poddać ją odkażaniu. Nie wydawało mi się, że coś ze mną jest nie tak. Po prostu znalazłem się blisko śmierci, a śmierć jest zakaźna. Wreszcie zdałem sobie sprawę, dlaczego tak właśnie się czuję. Nie zabiłem pierwszy raz. Zabijałem wcześniej. To znaczy Szakał zabijał wcześniej, siedmiu ludzi, na boisku podczas gry w piłkę.

Nie czułem się tak, jak się spodziewałem. A raczej jak spodziewał się Jed. Czułem tak jak Szakał. Owszem, miałem kontrolę nad jego ciałem, ale emocje były jego. I nic dziwnego - dziewięćdziesiąt dziewięć procent układu nerwowego nadal należało do Szakała. Tylko ten drobny, nieznaczny wzór wypalony w płatach czołowych mówił mi, że jest mną, a nie sobą. Poczucie siebie nie jest jakąś kosmiczną stałą. To tylko cienka powłoka.

Niski Ocelot podbiegł z prawej, krzycząc triumfalnie. Przyśpieszyłem, ale nie miałem szans go wyprzedzić, więc się odwróciłem. Ocelot uniósł oszczep jak kopię, pewnie, żeby mnie przewrócić. Zrobiłem unik i odczyłem się szybko. Przeciwnik zareagował równie szybko i już gotował się do kolejnego ataku, ale był na tyle blisko, że udało mi się splunąć na niego śliną i krwią. Trafiłem w pierś. No, i co ty na to? - pomyślałem z zadowoleniem.

Pozbierał się. Za nim biegł krewny Orłów. Zatrzymał się. Czemu?

Może też obawiał się zakażenia. Albo może był jednak po mojej stronie? Nie, wszyscy krewniacy po prostu bali się mnie dotknąć. Byłem nieczysty. Ogarnęło mnie irracjonalne oburzenie. Och, na litość boską! Powinienem to wykorzystać i tyle.

Niski Ocelot zbliżał się od tyłu. Ognie ze szczytu odbijały się w jego oczach i wiedziałem dzięki instyktom Szakała, że skoro patrzył w światło, nie mógł mnie widzieć tak dobrze jak ja jego. Przykucnąłem, sparowałem pchnięcie jego oszczepu lewą ręką i wycelowałem swój w usta młodego myśliwego. Trafiłem. Poczulem coś miękkiego, jak przy wycinaniu migdałków. Odskokylem i wyrwałem oszczep z policzka myśliwego. Chłopak nie wydał żadnego dźwięku ani się nie cofnął - etos macho - złapał tylko równowagę i ruszył do ataku. Odpowiedziałem również atakiem. Mój oszczep ześlizgnął się po jego i trafił w palce. Cichy trzask i włócznia wypadła mu z dłoni.

Podnieść ją? Nie, za późno. Czas na taniec. Krok. Krok. Osiem kroków wyżej usłyszałem charakterystyczny klekot paciorków z muszli, krewny Orła pozbierał się i rzucił. Łatwy cel.

Szlag, mogło się udać. Przygotowałem się na wstrząs, uderzenie w kręgosłup, ale oszczep ze świstem przeciął powietrze obok mnie. Cudowny, przepiękny odgłos, gdy włócznia wbiła się w ziemię. Jeszcze dwa skoki. Usłyszałem, jak krewniak Orła potyka się i upada. Dziwne. Niedoświadczony młodziak. Może chybił celowo? Nieważne. Najpierw ta *chingado* linia ognisk. Szczegóły potem.

Naprzód. Ostrożnie, trzeba nasłuchiwać, gdzie jest pogoń.

Myśliwi wiedzą, jak oddychać bezgłośnie, nawet gdy są zdyszani. Pożyteczna sztuczka. Potrafią biegać bezszelestnie jak lisy. Ale teraz bransolety na ich kostkach klekotały cicho, a przy każdym ruchu świstały ozdobne kolczyki i wydawało mi się, że wyczuwam nawet gorąco ich ciał, gdy zbliżali się do mnie z prawej. Ilu ich było? Nie chciałem zwalniać, zwłaszcza że kulałem, więc nawet nie odwróciłem głowy. Wystarczy posłuchać. Słuchać między krokami.

Trzech. Trzech na tyle blisko, że mogli odciąć mi drogę. Ten z lewej bliżej. Dwóch po prawej, ale dalej. Pozostali byli daleko. Nie warto się nimi przejmować. Trzeba się przedrzeć przez tych, co już mnie doganiali.

Przygotowałem się na poważne starcie. Udo mnie łaskotało, jakby przepływała przez nie w miejscu trafienia woda strumieniem tak wąskim, że zaraz zmieni się w kapanie. Poczulem ucisk dawnego lęku przed wykrwawieniem się na śmierć. Wziąłem garść ziemi i przytknąłem do rany. Potrzebuję krwi, później będę się martwił o zakażenie. Nie, nie będzie żadnego później. Nie ma już dla mnie żadnego później.

Wyczuwałem coraz więcej myśliwych w pobliżu - i po prawej, i po lewej. Obserwowali szczyt zza drzew. Gdy zacznę biec do linii ognisk, przynajmniej dla kilku będę w zasięgu rzutu.

I wtedy dotarło do mnie, że się śmieję - i to nie całkiem bezgłośnie. Cicho, kretynie, napomniałem się w duchu. A może jęczałem?

Stoicyzm nieszczególnie mi wychodził, Szakal na pewno zachowywałby się lepiej.

Zaraz. Kto to?

Nikogo nie ma. Ale...

Dziwne.

Miałem wrażenie, że ktoś jest w pobliżu, tuż obok. Ale nikogo nie widziałem. Ktoś we mnie?

*Szakal?*

*Jesteś tu?*

O Jezu, on tu jest, obserwuje mnie i ŚWIETNIE się bawi, kurwa...

Cii. Nadchodzą.

Skuiliłem się za krzewinkami mirtu. No, chodźcie, *maricones*. Będę wam deptał po piętach. Cii-cho!

Zadrzałem. Zachowuj się jak kamyk.

Czas na plan. Właśnie. He, he. Cii... Cii...

Myśliwy między mną i linią ognisk zaczął śpiewać:

„Masz lekki łeb, lecz ciężki zad, Jeleniu...”

Dłonie i stopy zaczęły mi marznąć od utraty krwi, a zęby szczękać. Nie, nie! Opanuj się. Nie pozwól, by zęby szczękały o siebie. Cicho, cicho.

„Uszy jelenia posłużą za łyżki dla dziewiątego chłopca...”

Cholera, to nie działa. Nic to. I tak już nie żyję. Jestem trupem, zimnym trupem.

Wokół usłyszałem kroki. Czterech ludzi. Nie, pięciu. Szlag. Dobra, ruszam się. Zacząłem się czołgać do światła. Zresztą jakie tam czołganie, raczej pełzanie. Ledwie się ruszałem. Jak krab w podkowach. Krab w podkowach i z paralizem poprzecznym, czyli paraplegią.

Czas sobie to powiedzieć: nigdzie już nie dojdę.

Za wolno. Za wolno.

„Poroże jelenia stanie się grabiami dla ósmego chłopca...  
Kopyta jelenia staną się młotkami dla siódmego chłopca...”

Szlag. Bieg pod górę. Już nie żyję, już nie żyję, już nie żyję.

„Z ogona jelenia będzie sakiewka dla szóstego chłopca... Jelita jelenia będą naszyjnikami dla piątego chłopca...”

Ale przecież gdzieś jeszcze istnieje druga wersja mnie, prawda?  
Tyle że to mało pocieszające w obliczu śmierci. Jestem już martwy  
i tylko to się liczy, umrę i tyle...

No, to po co zwlekać? To...

Coś było nie tak. I to nie ze mną. Cisza. Nie pomyślałem o tym wcześniej - no cóż, trochę byłem zajęty, przecież próbowałem przeżyć - zresztą było tak głośno, że prawie nie dało się słyszeć kroków pogoni. Ale teraz wznosił się i narastał szum, jakby tysiące krupierów popisywało się rozkładaniem dwudziestu tysięcy talii na tysiącach karcianych stolików.

Mój umysł, a może Szakala, wychwycił z tej kakofonii kilka pojedynczych odgłosów i wtedy zrozumiałem, co to jest: gromadny ruch niezliczonych skrzydeł, ptaków i nietoperzy. Uciekały. Razem. Szum był zbyt głośny, nienaturalny, a co najgorsze - ptaki nie wydawały żadnych dźwięków.

I nagle gwiazdy znikły. Niewidzialne niebo rozbłysło i zamigotało, ale jedyny odgłos, jaki temu towarzyszył, to wysoki, niesłyszalny pisk nietoperzy.

Trzask.

Nacisk na bębenki w uszach.

...rrRRRg!g!g! DDDDDDDDDDDDDDDDD!

Podziemna bestia warknęła i poczułem, jakbym spadał zamknięty w windzie. Panika ścisnęła mi serce, gdy ziemia zafalowała. Upadłem, z przerażeniem szukając czegokolwiek, by się chwycić, choć świat właśnie się zaczął rozpadać.

Gdy trochę przywykłem do wstrząsów, ujrzałem nad sobą sylwetkę jednego z myśliwych. Stał nade mną z maczugą lub pałką w lewej dłoni i tylko patrzył.

To jest to, pomyślałem.

Erupcja wulkanu San Martin.

Cholera, ludzie z zespołu „Zakręconego piątku” dobrze to wykonywali. Taro, Marena, Jankesi z Connecticut, nawet Michael Weiner. Przynajmniej raz wiedzieli, co mówią. W lutym 2008 byłem w Gwatemali podczas mniejszej erupcji i czułem wstrząsy w San Pablo Villa de Mitla. Ale ten wybuch to zupełnie inna liga. Pode mną drżały i dudniły nawet najmniejsze pyłki i ziarna piasku. Czteryście mil od krateru, a wydawało się, że wybuch nastąpił tuż za wzgórzem. Cóż, wybuchy są jak...

Ach.

## [34]

Przez dwadzieścia pięć sekund - po raz pierwszy i ostatni w życiu -

wierzyłem, że istnieje życie po śmierci. Próbowałem krzyknąć, lecz ciężka maczuga krewniaka uderzyła mnie brzuch i zaparło mi dech. Próbowałem chwycić napastnika za nogi, ale wtedy pojawił się drugi i z tyłu złapał mnie za ramiona. Próbowałem kopać, ale ten pierwszy usiadł mi na kolanach. Plunąłem na niego. Nawet nie drgnął. Szarpnąłem się. Nie pomogło. Panika.

Wybuch nie wybuch, a i tak zaraz obedrą mnie ze skóry. Nic ich nie obchodzi jakiś wulkan. Oskórują mnie. O Boże, Boże, Boże...

Krewny - ten z Klanu Orła, Hun Xoc - odłożył maczugę i przycisnął mi czoło do darni. Dziwne. Nie poczułem tego. To nie może być tak, musi być coś więcej, proszę, dajcie mi jeszcze chwilę, to się nie dzieje naprawdę, tak być nie może. Hun Xoc otworzył mi usta, przytrzymał zuchwę i wcisnął kciuk pod język. Nadal nic nie czułem. Myśliwy poruszył ręką w prawo i w lewo, a potem szarpnął. Szczęka ustąpiła z głośnym trzaskiem w fontannie krwi i śliny. Język zwisał komicznie spomiędzy zębów.

Dziwne, przecież powinienem czuć piekielny ból. Może przekroczyłem już granicę bólu...?

Nadal jednak było to dziwne. Obserwowałem scenę z boku, jakbym leżał obok swojego ciała. Nade mną stało czterech krewnych, wszyscy z Klanu Orła. Ten z szeroką twarzą trzymał malutką pochodnię jak świeczkę urodzinową, zasłaniając płomyk ręką. Inny krewniak

zrobił nacięcia pod moimi ramionami, ale ostrożnie, by nie poszarpać skóry i aby ręce nie oderwały się od skulonego ciała. To była chwila, gdy zalała mnie nadzieja, jakiej nigdy wcześniej nie przeżyłem i jakiej zapewne nigdy już nie doświadczę. Myślałem, że w formie astralnej opuściłem swoje truchło i zatrzymałem się tylko na okamgnienie, by sprawdzić, jak zostaną potraktowane moje ziemskie szczątki, po czym oddalę się w nieznane zaświaty.

Wkrótce uświadomiłem sobie jednak, że nie można wierzyć w takie bzdury. Przede wszystkim dlatego, że nadal czułem ból. Silny. Czułem rany, jakie odniosłem, nacisk ramion trzymających mnie krewniaków, a nawet mrówkę czy innego insekta wędrującego mi po plecach. A co ważniejsze, nawet jeżeli ciało, którym zajmowały się Orły, miało jak ja obcięty warkocz i twarz, a raczej to, co z niej zostało, podobną do mojej, to jednak nie należało do mnie i Szakala. Przedramiona zmarłego nosiły ślady uderzeń piłki, lecz nie tak wiele jak moje, odciski na kolanach też nie były tak imponujące i duże. Poza tym nie zgadzała się perspektywa, z jakiej oglądałem przebieg zdarzeń. Nie unosiłem się nad ciałem, jak przystało na ektoplazmę. Nadal leżałem z twarzą wciśniętą w darń, nadal mrugałem, by pozbyć się kurzu i krwi z oczu.

To nie ja, zrozumiałem. To jakiś inny facet. Chociaż z grubsza rozmiary, wiek i postura się zgadzały, to po prostu nie byłem ja.

Och. Niech to szlag. Co jest nie w porządku z moim torsem? Spuściłem oczy, by sprawdzić. Jeden z krewniaków, którzy mnie unieruchomili, ujął w palce małe obsydianowe ostrze, po czym przycisnął je do mojego brzucha, gdzieś na wysokości mostka. Pociągnął nóż w górę, wyciął łuk na mojej piersi i wrócił niżej. Rozcięcie miało kształt migdała - i tym razem naprawdę robiono to mnie, nie sobotórowi. Krewniak szczytnął brzeg nacięcia, po czym szarpnięciem oderwał płat wyciętej skóry. Au-au! To naprawdę zabolalo. Bicie, chili, lewatywa - wszystko bardzo bolało, ale to, och - to było naprawdę boooooleeeeeesneEEE.

Fragment skóry - około pół cala szeroki i cztery cale długi - odszedł z cichym trzaskiem. Krewny uniósł go tak, że widziałem lewą



stronę - lśniącą od okrągłych, malutkich komórek tłuszczowych. Białe światło przeniknęło przez cienki płat i ujrzałem znajomą kolumnę niebieskich glifów - mój tatuaż gracza na poziomie dziewięciu czaszek.

Czy zemdlałem? Nie wiem. Wszak omdlenie jest doznaniem, które można rozpoznać tylko po skutkach, jak mroczna energia. Nagle poczułem, że owinięto mnie tkaniną utkaną z bawełny. Dwie pary rąk obróciły mnie i uniosły. Poczułem twarde drzewca oszczepów, chyba wsunięte tu, by zakamuflować prawdziwy ładunek, czyli mnie. I w tamtej chwili, wbrew wyszkoleniu Szakala, zapłakałem, szlochając egzystencjalnie jak Nancy Kerrigan: „Dlaczego, och, dlaczego? Dlaczego, DLACZEGO?!” - rozpaczając, że nie jestem martwy i nie jestem duchem, lecz nadal pozostaję uwięziony na tym świecie, w pułapce... I że to nie byłem ja.

Smak a raczej wspomnienie smaku, który rozpoznałem jako mleko matki, pojawił się pierwszy, a potem kolejne nieobrazowe wspomnienie. Trochę trwało, zanim zrozumiałem, że to nie moje, lecz Szakala. Wiedziałem, że mam ciało, ponieważ każdy milimetr kwadratowy skóry swędział, jakbym miał pod nią drobne okruszki. I nie mogłem się podrapać, ledwie udawało mi się wiercić pod grubymi, mokrymi warstwami pledu, którym zostałem tak dokładnie owinięty. Muszę się podrapać, muszę... I wtedy świerzbiecie skupiło się na torsie, gdzie straciłem chyba stopę kwadratową skóry, a potem powoli ustało i pozostał tylko ucisk w suchym gardle, pragnienie, jakbym był na płaskowyżu Nazca, gdzie morze po wyschnięciu pozostawiło jedynie słoną pustynię. Pić, pić...

I nareszcie, po stuleciach suszy, odsłonięto mi oczy na jasne słońce, wciśnięto w usta słonawą kukurydzianą papkę, po czym znowu mnie zawinięto. Po długim łagodnym opadaniu w ulgę uświadomiłem sobie, że nadal mam język, spuchnięty jak wielki ogórek, ale nadal tam, gdzie być powinien, a twarz okrywa mi tylko cienka warstwa wilgotnej tkaniny i mogę niemal normalnie oddychać. Chyba nastąpiło już południe, a tragarze nieśli długie, wąskie zawiniątko ze mną w środku zygzakowatą ścieżką w dół stoku, na wschód, potem pod górę, na wyżyny, sznurowymi mostami i wzdłuż górskich strumieni.

Dlaczego w ogóle mnie uratowano?

Orły chciały zmylić i oszukać innych z wysokich rodów. O to pewnie chodziło. Chciały, by wszyscy w Ix myśleli, że nie żyję. No, to świetnie, prawda? 2 Inkrustowana Czaszka zmienił zamiar. Uznał, że do czegoś jednak mu się przydam. Postanowił zatem utrzymać mnie przy życiu.

Może 2 Inkrustowana Czaszka wyznaczył polowanie na czas, w którym przepowiedziałem wybuch wulkanu?

Jasne. Teraz, gdy nareszcie mogłem się nad tym zastanowić, wydawało się to bez sensu. Tutejsi ludzie nie graliby w protopaintball, gdyby wiedzieli, że zaraz niebo spadnie im na głowy. Siedzieliby w domach z ikonami przy piersi, mamrocząc modlitwy do swoich żalonych bogów.

Może stary dobry 21c zmienił zdanie, ponieważ moje przepowiednie były dokładniejsze niż tutejszych geomantów, o ile w ogóle były jakieś przepowiednie. Może po prostu mnie okłamał. W każdym razie domyślił się, że wielki wybuch ma nadejść wcześniej, niż zakładano -może też reszta społeczności nie spodziewała się dużej erupcji, lecz co najwyżej paru drobnych wstrząsów, iskier i odrobiny dymu - więc tak ustawił wszystko, by polowanie na jelenia odbyło się właśnie wtedy. Zatem dzisiaj był dwudziesty siódmy, około czwartej rano. I kiedy nastąpił wybuch, zaskoczył krewniaków, którzy brali udział w pogoni. Poza Orłami, ponieważ Orły wiedziały i wykorzystując zamieszanie, podstawily zastępcę, by oskórowano go zamiast mnie. Dlatego zdarły mi skórę z piersi, tatuaż gracza... nie mogli go sfalszować. Przyszyły ten kawałek skóry sobowtórowi i postarały się ukryć szwy.

Dobra, to ma sens. A zatem ten Orzeł, krewniak z gładką, miłą twarzą, Hun Xoc, naprawdę celowo chybił, gdy rzucił we mnie oszczepem z odległości może czterech stóp. I dlatego Orły deptały mi po piętach, ale nigdy nie dopadły. Śledziły mnie podczas polowania, pilnowały... A gdyby ktoś z innego klanu mnie dopadł? Może miały też plan awaryjny, by podmienić mnie później... choć pewnie nie. Pewnie gdyby dopadł mnie inny myśliwy, Orły by mnie porzuciły.

Dranie. Ale jednak mi pomogli.

Czyli jednak mi się udało? Przepowiedziałem wybuch wulkanu dokładniej niż tubylcy. Czy to znaczy, że zyskałem wreszcie jakąś pozycję?

Na trakcie panował spory ruch - długim pieszym karawanom towarzyszyło szczekanie psów, ostrzegawcze grzechotanie marakasów zapowiadało, że minie nas posłaniec. Zmysły Szakala wychwyciły w grzechotaniu ponurą nutę, jakby posłańcy się śpieszyli. Jakby uciekali. Długoszpony i jerzyki skrzeczały i ćwierkały, trochę niepewnie, czujnie, może oszołomione wybuchem, jednak Szakal na podstawie tych odgłosów nadal potrafił określić, że zbliżał się zmierzch. Zwolniliśmy. Dźwigający mnie tragarze zmienili się parę razy, jak przy przenoszeniu canoe łądem. Potem niesiono mnie przywiązanego do deski przez cienie i rzadko w promieniach słońca. Okolica robiła się chyba odludna, bo tragarze zaczęli śpiewać - jakąś rodową pieśń, w której wymieniali imiona swoich niezliczonych przodków. Jednak nie była to zwykła przyśpiewka, miała w sobie powagę, jak czar przeciwko gnomom. Dość często sprawdzali, czy jeszcze oddycham. Od czasu do czasu przystawali nawet, by jeden z garderobianych mógł odsłonić mi twarz, wsunąć do ust palce i wyjąć bawełniany knebel, po czym, nim zdążyłem choć jęknąć, wlewali we mnie specyfik, który zwałił mnie wcześniej z nóg. Mikstura smakowała mocno *b'alche*, ale miała silniejsze działanie. Gdy tylko przełknąłem, zatykali mi nos, po czym znowu wpychali w usta knebel i owijali twarz. W końcu jednak zawiątko ze mną musiało za bardzo rzucać się w oczy w okolicy, gdzie się znaleźliśmy, albo był to z rzadka nawiedzany teren, ponieważ położono mnie i uwolniono. Kiedy odsłonięto mi oczy, spojrzałem w niebo i wziąłem głęboki oddech.

Nadszedł już ciemnoniebieski zmierzch. Nie było chmur ani żadnych wyraźnych oznak wybuchu, tylko niepokój w głosach ptaków. Hun Xoc pochylił się nade mną i - zanim zrozumiałem, co się dzieje - dźwignął mnie do pionu, pomagając zachować równowagę. Nikt z mojej eskorty nie odezwał się, a i ja nie czułem potrzeby, by mówić. Tylko oddychałem ciężko.

Duży kłęb bawełny i popiołu przytknięto mi do rany na torsie. Jeden z nietykalnych splunął na mnie słodką wodą, udało mi się przełknąć kilka kropel. Rozejrzałem się ostrożnie. Przyniesiono mnie na południowe wzgórze, na wąski tarasowaty uskok. Po lewej pochyłość wznosiła się pod kątem czterdziestu pięciu stopni, ciemne głazy spoczywały w sieci żółtych pnączy. Po prawej zbocze opadało o trzysta lub czterysta stóp do linii sosen Montezumy. Za drzewami widać było wioskę, skupisko małych chat, spichlerzy i otwartych warsztatów -budynki z surowych gładów połączonych wyblakłą czerwoną zaprawą, zadaszone strzechami z palmowych liści. Czerwone i czarne pasma na ścianach wskazywały, że to osada Orłów, ale na jednym z głównych domów pojawiły się też czarno-niebieskie kropki, co umysł Szakała natychmiast zinterpretował jako oznakę, że Klan Ocelota również tu rezyduje. Nie dostrzegłem natomiast żadnych *mulob* lub ołtarzy. Może wioska należała do sfery profanum, a jej bliźniaczka, gdzie odbywały się rytuały i święta, znajdowała się gdzieś indziej - w sacrum. Jednak w centrum osady zauważyłem duży, wyszukany zbiornik ze schodkową platformą, do którego niewolnicy - krótkowłosi, z pasmami szarych szmat w uszach i skórą pomalowaną szarym barwnikiem -nosili wodę w nagumowanych wiadrach zamocowanych na plecach. Wyglądali jak mrówki. Za osadą wznosiło się kolejne wzgórze, a dalej - ledwie widoczne - kolejne. Nie widać było dymu na niebie, co oznaczało, że nie zaczął się jeszcze sezon wypalania pól. Może opóźnił go wybuch wulkanu. Nieopodal miejsca, gdzie leżałem, ciągnęły się schody, a może raczej drabina, wyciosane w szarej skale i ciągnące się przynajmniej siedemdziesiąt stóp w dół. Orły najpewniej zamierzały owiązać mnie liną zabezpieczającą i sprawdzić, czy dam radę zejść.

Zobaczmy...

Dopiero teraz zauważyłem, że towarzyszyło mi dwudziestu ludzi. Czterech było krewnymi Orła. Do tego sześciu *liksajob* - gwardzistów. To znaczy, że byli wojownikami z podległego Orłom klanu, którzy nigdy nie staną się w pełni krewniakami, nieważne, jak bardzo byliby odważni i posłuszni. Pozostałą grupę tworzyli tragarze i nietykalni.

Popatrzyłem po ich twarzach. Odpowiedzieli zaciekawionymi spojrzeniami, jakbym stanowił największą zagadkę na świecie, ale nikt się nie odezwał. Skupiłem się na Hun Xocu. On również przyglądał mi się z namysłem, ale też z odcieniem współczucia. I wtedy sobie przypomniałem. Hun Xoc. Właśnie. Szakal pomagał go szkolić w czymś, co można by nazwać małą ligą przy Bractwie Piłkarzy. Hun Xoc był ciemny i jak na krewniaka wysokiego rodu niezwykle szczupły, żyłasty niemal. A jego imię po przełożeniu na angielski brzmiało i Rekin. Dwa czekoladowo-brązowe bezwłose psy myśliwskie podeszły bliżej i zaczęły mnie obwąchiwać. Przypominały meksykańską rasę xolo-sów, nazywanych też xoloitzquintie, lecz były większe, niemal wielkości dalmatyńczyków. W górze gęgający klucz gęsi leciał na południowy wschód, choć nie była jeszcze pora na odlot. Ptaki uciekały przed wulkanem.

Hun Xoc odwrócił się do reszty grupy, by pomóc w przygotowaniach przed zejściem po stromych stopniach. I wtedy zrozumiałem, że przytrzymywały mnie jedynie dwie ręce w mitenkach zaciśnięte na moich przegubach.

Tylko jeden strażnik przede mną. I jeden nietykalny za moimi plecami. Dwa psy. I schody.

Gęś odezwała się na południu. NIE MA LEPSZEJ PORY. TERAZ.

Wykręciłem się z uchwytu nietykalnego, uwolniłem, zatoczyłem obok zaskoczonego gwardzisty na pierwszy schodek i wyskoczyłem znad krawędzi zbocza. Zanim jeszcze poczułem uderzenie wiatru w uszach i pozorną utratę wagi, wstyd opadł ze mnie jak skażony skafander antyradiacyjny. Zachichotałem, gdy zawisłem w powietrzu - i nie tylko ja, lecz Jed także, ponieważ obaj poczuliśmy chyba po raz pierwszy w życiu absolutną wolność. I nawet kiedy uświadomiłem sobie, że to nie ja, lecz Szakal przejął kontrolę nad ciałem, nie miało to znaczenia w kokainopodobnej euforii...

Prawe ramię eksplodowało bólem przy uderzeniu o kamienny próg. Odrzuciło mnie i obróciło, nim znowu opadłem na skały, tym razem z trzaskiem lewego biodra. Zderzenie nie było jednak zbyt bolesne, jakby stłumione. Powinienem staczać się coraz szybciej, a zwal-

niałem. Poczułem uchwyt rąk, wielu rąk. Ci ludzie skoczyli za mną i przywarli do mojego ciała, by je chronić, to ich łokcie i nogi przyjęły największą siłę przy upadku. Paru jęknęło, ale nikt nie krzyknął. Przetoczyliśmy się jeszcze cztery razy, niczym śniegowa kula ze splątanych ciał, i wreszcie z gulgotem rozpadliśmy się i zatrzymali. Szlag. Wypchnąłem resztę powietrza z płuc. Muszę się udusić. Nie, nie ja. Szakal. Szakal wstrzymywał nasz oddech. Kurwa.

*Naprawdę możesz wstrzymać oddech, aż umrzesz?*

Szakal chyba odpowiedział, że może zrobić wszystko.

Otoczenie zaczęło się rozplýwać, jak to zwykle się dzieje przed utratą przytomności. Kończyny przy mnie zesztyniały. Odchylono mi głowę i pomyślałem, że nareszcie ktoś mi podetnie gardło. *Mnie. Ja poniżej was dziękuję, ojcowie-matki, weźcie moją giowę, tego właśnie...*

[3fi]

*Więc po prostu się ukrywałeś - pomyślałem do Szakala.  
Czekałeś tylko na okazję, gdy nie będziesz pilnowany, aby  
załatwić nas obu.*

*Żalotne*

Szakal nie odpowiedział. Ale wiedziałem, że mnie słyszy. Wyczuwałem, że czai się ponuro w zwojach kory mózgowej, zwinięty, napięty, nieruchomy...

*Wiem, że mnie słyszysz - powtórzyłem. Cieszyło cię obserwowanie, jak popadam w panikę podczas polowania. To ci dopiero uciecha, co? Jesteś żalotny. Ale skoro chciałeś się zabić, dlaczego po prostu nie przejąłeś kontroli nad ciałem w czasie pogoni?*

*Żadnej odpowiedzi.*

*Mogłeś rzucić siebie i mnie na oszczep, wystawić się na cel. Ale tego nie zrobiłeś. Nie chciałeś, by nas złapano, prawda? Nie masz nic przeciwko samobójstwu, ale nie chcesz, by upokorzył cię jakiś gówniarz z Ocelotów. Mam rację?*

*Nic.*

*Cóż, jeżeli wolisz się obrażać - proszę bardzo.*

*No dobra. Gdzie tym razem się znalazłem?*

Przede wszystkim tym razem byłem naprawdę naćpany. I czułem, że to zwykły narkotyk, może *ololiuqui* lub inna pochodna LSD. Nie wiele zatem pamiętałem. Wiedziałem, że znowu niesiono mnie długi czas - najpierw po płaskim terenie, potem stromo w dół, a teraz poło-



zono mnie na macie w świeżo splecionym, jak wskazywał zapach, wiklinowym szałasie. W ustach nadal miałem gąbczasty knebel, a wokół oczu kleiste resztki. Ręce związane mi z przodu - luksus w obecnych warunkach w porównaniu do wcześniejszych więzów z tyłu - stopy również miałem skrupowane, choć przy tym odrętwieniu nie miałem pewności. Na ile mogłem stwierdzić, poroże i reszta kostiumu jelenia zniknęły. W pobliżu słyszałem szelest, może wiatr wśród nagich gałęzi, oraz czułem zapach wody. Możliwe, że szeleściły ptaki - byłem przekonany, że słońce właśnie wzeszło.

Muszę się upewnić, że to ja rządę, pomyślałem. Przekręciłem się lekko. O, tak - zdaje się, że to przedstawienie jest moje. Przynajmniej na razie. Kiedy umysł Szakala przejmował kontrolę, wyczuwało się to jak...

Ach. Właściwie jak się wtedy czułem? Trudne pytanie. W ogólności chyba... czyja wiem? Chyba jak posmak soli. Jak melodia skrzypiec. Miałem wrażenie, jakbym znajdował się w czterowymiarowej kuli.

Coś się zmieniło.

Rytm kroków ludzi, którzy nieśli mnie i Szakala, stał się nierówny, niezorganizowany, jakbyśmy się znaleźli blisko celu. Powietrze było tu inne.

*Znam to miejsce* - nieoczekiwanie odezwał się Szakal.

Wcześniej tego u Szakala nie wyczuwałem - nie gniew lub przerażenie, lecz dokuczliwy niepokój.

*Nasze drzewo* - pomyślał. *Miejsce, Skąd Pochodzi Nasza Glina.*

Byliśmy w pobliżu Bolocac, wioski, gdzie urodził się Szakal. Przechwyciłem obraz wykarczowanego lasu i szmer zmieniający się w bulgot, a potem w biały szum wodospadu.

*Wydajesz się trochę niepewny* - pomyślałem do niego.

Nie odpowiedział.

*Wiesz* - kontynuowałem - *możemy wypracować terminarz, by dzielić się sprawiedliwie tym ciałem. Co powiesz na to, że będzie należało do ciebie podczas posiłków i seksu, a do mnie przez resztę...*

Powietrze, uświadomiłem sobie nagle. Nie oddychałem. Zrobiłem wdech. Nic. O kurwa.

Odszukałem połączenie z ciałem i wniknąłem w nie szybko. Wy-rolowany, tym byłem.

No już.

Mam! Wciągnąłem głęboko powietrze. W nosie zakręcił mi się chłodny, cudownie uspokajający zapach gliny zmieszany z mniej wyczuwalnymi woniami, jak prażona kukurydza, chyba kreozot, odrobina unoszącego się znad miejsc pracy smrodu spalonego i zjełczanego tłuszczu. A także aromat kardamonu, a raczej czegoś, co pachniało podobnie. Orchidee?

*Mój wdech* - rzekł Szakal. *Mój.*

Gak. Znowu się zadławiłem. No, dalej. Muszę przejąć kontrolę. Przejąć system nerwowy. Miałem wrażenie, że przerabiałem już tę grę, kiedy ja i podobnej postury przyjaciel z dzieciństwa staraliśmy się utrzymać równowagę na wygiętej, przyciągniętej do ziemi gałęzi. Za mocne wychylenie, jeden nieostrożny ruch, drobna zmiana środka ciężkości ciała stanowiły o różnicy między staniem a upadkiem. Dlatego obaj zrobiliście się nadwrażliwi na siebie, na swoją pozycję, wagę i drobne ruchy - wyczuwaliście się nawzajem jak syjamskie bliźnięta.

Gkk. Wdech. No już.

Wbrew temu, co się słyszy, niemożliwe jest uduszenie się przez połknięcie własnego języka. Można co najwyżej popełnić samobójstwo, przegryzając jego koniec i może jeszcze usta, wypluwać krew i mieć nadzieję, że takie krwawienie okaże się śmiertelne. Ale to nic pewnego. W 2004 próbował tego sierżant marines, zaraz po Salat-al-Isha, a jednak rano rebelianci znaleźli go i odratowali. Poza tym gąbkowaty knebel w moich/naszyc ustach uniemożliwiłby Szakalowi wypróbowanie tej metody. Ale zdarzały się - a raczej zdarzą -przypadki, gdy ofiary porwań dusiły się kneblem. I to zamierzał zrobić Szakal.

Wciągnąłem powietrze. *Me pozwolę ci udusić nas na śmierć* -ostrzegłem.

Odnalazłem połączenie z płucami i wykonałem wdech, zaciskając ramiona i uda jak zęby. Jestem tak samo twardy jak ty, przejmuję kontrolę...

*Na wschodzie nasz oddech zanika,  
Na północy się zatrzymuje, Nasz  
oddech nie żyje, Zanika, umiera,  
zanika.*

*Mój oddech* - pomyślałem, ale nie było żadnego oddechu. Napiałem się i zadrzałem, ale nic się nie stało. Och, szlag. Zaczynałem się dusić, dławić, a w uszach załomotało mi jak przy pierwszym słuchaniu na winylu „Metal Machine Music”. Serce mi zatrzepotało. Trzyznaście uderzeń. Język napuchł do rozmiarów piłki tenisowej. Skóra już mi się robiła szarozielona...

*Zanika i kończy się.*

Odetchnąć. Już. Kurwa. Niedobrze. Ludzie, którzy się topili, mówili potem, że nadchodzi taka chwila, gdy musi się odetchnąć, nawet jeżeli się wie, że wokół jest tylko woda i że ten oddech równa się śmierci. Ale Szakal miał siłę woli o wiele większą - zresztą określenie „siła woli” nadal było za słabe - i wiedział, jak jej użyć. Zamierzał udusić nas, zatruć własnym dwutlenkiem węgla. Miałem wrażenie, że się topię w oceanie, a wokół mnie pływają ultramarynowo-elektryczne *Phyllidia varicosa* wśród rubinowych koralowców. Niech to się stanie. Po prostu zanurz się jeszcze raz i...

TRZASK. Hkk. Uderzenie.

Ch-chs... Cios w brzuch.

Wdech. Ha! Odruch bezwarunkowy.

Przytrzymały mnie dłonie w mitenkach, palce wcisnęły mi się do ust i wyciągnęły knebel jak korek z butelki. Powietrze zaświstało i pierś mi się uniosła. Słodycz. Zawiasy szczęk aż zatrzeszczały. To co? Dzięki, ropuszy boże. Bałem się, że ci kolesie zasnęli. Dupki. Rychło

w czas. Jeden z nich wcisnął mi patyk, niepozwalający zamknąć ust. Och, tak-tak-tak, nie-nie-nie, nieeee...

*Zamknij się - pomyślałem. Oni chcą, abym żył. Kapujesz?*

*Umrzycjmy, po prostu umrzycjmy,  
Umrzycjmy, umrzycjmy.*

Podtrzymywano mnie, jeden z mężczyzn wykonał rękoczyn Heimlicha, ale nadal szarzałem. Szakał nie może mnie zmusić do śmierci, prawda? To niemożliwe. Przecież mam żyć, żyć, żyć...

Łup! Zrobiłem wydech. Gak. Dłonie w mitenkach pomogły mi utrzymać się w pozycji siedzącej. Jakoś oddychałem. Dobrze. Krok w dobrym...

*Boisz się, tak bardzo się boisz, l  
jesteś splamiony, nieczysty, Bo  
boisz się, boisz...*

*Owszem, i co z tego?* - pomyślałem w odpowiedzi. Głupio jednak. Nadal czułem... cóż, czułem wstyd. Oczywiście, że byłem przerażony, i oczywiście Szakał o tym wiedział, a ja wiedziałem, że on wie, że ja wiem. Żadnej prywatności w tym związku. Jakby się zastanowić, to istotnie najsilniejszym i najbardziej dokuczliwym uczuciem jak do-  
tąd był dla mnie zwyczajny wstyd.

*Jesteś za głupi, żeby się bać* - pomyślałem do Szakała. *Jesteś jak inni, wierzysz we wszystko, co ci się wmawia od...*

*Nie jesteś z trzynastego b'ak'tun* - przerwał mi Szakał. *Tylko to wymyśliłeś. Wymyśliłeś całe swoje życie.*

Jak na zawołanie napłynęły do nas obrazy.

Łodzie płynące na Księżyc, pudełko wielkości ludzkiego języka, które wie więcej niż człowiek - to wszystko kłamstwa, niewiarygodne i śmieszne.

*Może to wygląda trochę niewiarygodnie* - zgodziłem się w duchu. *Ale nie, nie wymyśliłem tego. Nie umiałbym. Nikt nie umiałby po pro-*

*stu wymyślić helisy DNA albo Chin, albo Ann Nicole Smith. To się zdarzyło naprawdę.*

A raczej zdarzy.

*B'aax? Doprawdy? Co jest bardziej prawdopodobne: że istnieją takie rzeczy czy że ty jesteś po prostu kakodaimónem?*

*Nie masz w sobie ciekawości - zarzuciłem Szakalowi. Pewnie zaintrygowałoby cię, skąd pochodzę, gdybyś bardziej interesował się sobą. Jesteś jak każdy prowincjusz.*

Nawet gdy to pomyślałem, czułem się nie na miejscu. Jakbym siedział w pokoju przesłuchań i próbował teksańskiemu szeryfowi wyjaśnić różnicę między barokiem a rokoko. Zresztą czułem rozdrażnienie, więc byłem opryskliwy. Najbardziej mnie rozczarowało, że Szakala nie wzruszało ani skąd pochodzę, ani co wiem. Sądziłem, że gdy tylko się spotkamy - czy jak to określić - Szakal będzie pod wrażeniem, wręcz przygnieciony moją wiedzą i umiejętnościami, wyobrażałem sobie, że natychmiast padnie na kolana i zacznie bełkotać: *Yessuh, massa Jed, suh.*

Ale Szakal pozostał obojętny i niewzruszony. Czuł tylko wstręt. To znaczy ja również miałem swoje resentymenty i nienawiść, ale Szakal czuł czysty, głęboki i niepodważalny wstręt. Klasyczny, rasistowski, wszystkoistyczny wstręt. Jeżeli nie należało się do Orłów lub Ocelo-tów, można było ewentualnie stać się jedzeniem. To znaczy można było zostać zjedzonym.

Co za drań, pomyślałem. Wiedzieć nie znaczy wybaczyć. Nie mogłem go zabić. To do niczego nie prowadziło. Nawet nie mogłem rozbić sobie głowy lub skoczyć z urwiska - bo przecież właśnie tego pragnął Szakal. Prawda?

Jednak trochę racji miał - dwudziesty pierwszy wiek wydawał się rzeczywiście nieprawdopodobny. Przynajmniej z obecnej perspektywy. Trochę arbitralne podejście. Nawet gdyby udało mi się wymyślić choć część...

Łał! Zaraz, zaraz! Takie myślenie to prosta droga do szaleństwa.

Dłonie w mitenkach wysmarowane teraz olejem masowały nas, drapały...

*Ah cantzuc che* - wykrzyknął Szakal w naszym umyśle. Twoje wewnętrzne oko jest chore. Co znaczyło po prostu: jesteś szalony. *Ah cantzuc che!*

*Rozumiem, że jesteś zmartwiony* - pomyślałem w odpowiedzi. *Nie co dzień twoja koncepcja wszechświata wali się w gruzu. Może przy innej okazji, ale...*

*B'ukumil bin cu...*

*Wypchaj się* - odparłem. *To ciebie nikt nie chce. 2 Inkrustowanej Czaszce wcale nie zależy na tobie. Chce zatrzymać mnie.*

*Nie.*

*Owszem. Wiesz, że to prawda.*

*Chce cię znowu torturować.*

*Nie, chce mnie wykorzystać do własnych celów. Przegrałeś, frajerze.*

*Ah cantzuc che, ah cantzuc che...*

Auć, cholera. Zszywano mi tors. Chociaż zszywanie to może przesadne określenie. Czuję, jakby używano do tego grubego szydła i kabla. Milion szwów później ranę posmarowano oliwą i obrócono mnie, by owinąć bandażem, jakbym był niemowlęciem. Zawiązano mi wyszywaną przepaskę na biodrach i przeciągnięto kolczyki przez przebite i naciągnięte płatki uszu, po czym mnie uczesano i chyba mi związano resztki włosów. Czuję się jak shih tzu na psim występie. Bransolety zostały zapięte na moich przegubach, do prawej dłoni przywiązano kamienny chwytak używany podczas gry w piłkę. Potem umocowano mi dość ciężkie ceremonialne nakrycie głowy i ceremonialny pas, zbyt ciężki do prawdziwej gry. Wreszcie posypano mnie proszkiem, który Szakal rozpoznał po zapachu - cynamon i popiół z kości. Z dodatkiem odrobiny wanilii, rzecz jasna. Na pewno wyglądałem i pachniałem tak dobrze, że nawet bogowie chcieliby mnie schrupać. Jednak nie po to tu byłem.

Preparatorzy pomogli mi stanąć. Szakal przejął kontrolę nad ciałem, by zachować równowagę. Na szczęście, nie próbował mi sprawić kłopotów, po prostu powiódł nas do niskich drzwi. Po dziewięciu stopniach wyszliśmy na światło dzienne. Preparatorzy posadzili nas

i upozowali na sztywnej, gładkiej macie. Główny przygotowywacz, który - jak zauważyłem - nie miał mitenek, zdjął mi bandaż z oczu i wylał z powiek resztki żelu. Zamrugąłem.

Znajdowaliśmy się głęboko w zadrzewionym wąwozie ciągnącym się na wschód, dwadzieścia stóp od stromego brzegu strumienia. Spokój wokół i chłodna zieleń, wszystko w pionowej kompozycji, jak na drzeworytach Hiroshige przedstawiających wodospad Fudo. Słysząc było zresztą łomot kilkustopniowej kaskady na stromym klifie piaskowca, tworzącym ścianę jaru, niknącą sto stóp nade mną we mgle, która utrzymywała się nawet teraz, pod koniec pory suchej, co dziwiło Szakala, a może i mnie także.

Darń wokół maty została wypalona w krąg o średnicy może piętnastu ramion i okryta kwiatami dzikich magnolii jak sztucznym śniegiem. Stały tu rozmaitej wielkości kosze z różnej wielkości paciorkami, kamiennymi ostrzami do toporów, cygarami, zwojami tkanin, nasionami wanilii, ziarnami kakao - wcale sporo jak na Szakala, robola z prowincji, któremu udało się dorobić. Pięciu mężczyzn usiadło po wschodniej stronie polany. 2 Inkrustowana Czaszka zasiadł pośrodku, na grubej, zwijanej macie, odziany w maskę orła harpii i pióropusz. Na prawym przedramieniu trzymał sokoła, żywego ptaka, ale nie zakapturzonego jak ptaki tresowane przez średniowiecznych europejskich sokolników, lecz tylko przywiązanego za łapy do szerokiego drewnianego napiętnika. Trudno było dostrzec choć skrawek skóry pod bransoletami z jadeitu i sznura. Nawet pierś zasłaniał mu naszyjnik z błyszczącą na środku, wypolerowaną jak lustro tarczą z pirytu.

Cholera, wyglądał znakomicie.

Dwóch reprezentantów Stowarzyszenia Graczy w Piłkę z Klanu Orła zajęło miejsca po prawej. Jednym był Hun Xoc, ten z gładką, pogodną twarzą. Był głównym blokującym w drużynie Szakala, a może tylnym obrońcą. A obok usiadł starszy krewny, który przypominał mniejszą, bardziej niechlujną wersję Bena Grimma z „Fantastycznej Czwórki”. Poczulem falę sympatii, jaka zalała Szakala na widok tego człowieka, choć przecież przez niego parę razy omal nie umarł po

grze, a może właśnie dlatego? Imię wypłynęło natychmiast: 3 Przewrót - przyboczny i doradca Orlego Klubu Piłkarskiego. Oznaczało to, że praktycznie rzecz biorąc, jest trenerem. Był też drugim wujem Szakala i adoptowanym krewnym 21c. Przezywano go 3 Jaja, ponieważ po prostu był największym macho w towarzystwie. Zanim został mentorem Szakala i jego przybranym ojcem, przeszedł do legendy jako obrońca, który nigdy nie przegrał. W swoim ostatnim meczu - osiemnaście wojennych sezonów temu - odniósł poważne rany, a przecież i wcześniej miał urazy. Teraz jego lewe ramię zmieniło się w nieruchomy, skurczony szponiasty kikut, pozostały mu tylko dwa zęby i jedno oko błyszczące spod kalafiorowatych blizn na szerokiej twarzy. Ale nadal 3 Jaja wyglądał na kogoś, kto może, jeżeli podejdziesz się zbyt blisko, złamać kark zdrową ręką lub zmiażdżyć głowę przeciwnika w potężnych, choć niemal bezzębnych szczękach.

Dwóch miejscowych usiadło po żeńskiej stronie 21c, czyli po lewej. Jednym był wyglądający na rolnika mężczyzna w niebieskim, walcowatym kapeluszu, „nosiciel brzemienia” lub „przeznaczony”, czyli zarządca małej osady. Pochodził z owalnych chat, czyli był kimś, kto przynależał do niższej klasy, mieszkającej w okrągłych szałasach, nie w kwadratowych domach, jak szlachetnie urodzone elity. To nie była jego liga, nie jego poziom w społecznej hierarchii, ale starał się wyglądać godnie. Szakal go znał oczywiście, ale jego widok wywołał u mnie, to znaczy u mnie-Jeda, falę nostalgii, bo zarządca ogromnie przypominał Diega Xolę, jednego z *cofradios* w Tozal, mojej rodzinnej wiosce. Niewiele się tu zmieniło. Lub zmieni, pomyślałem. Obok nosiciela brzemienia, bezpośrednio na ziemi, ponieważ nie miał maty, usiadł mój ojciec, to znaczy - rodzony ojciec Szakala, wyglądający surowo, ale zaskakująco młodo *milpero* z popsutymi zębami i pomarszczonym czołem z wyraźnym śladem opaski służącej do podtrzymywania nosidla-plecaka. Jego szerokie nakrycie głowy przypominało letni kapelusz w stylu lat sześćdziesiątych. Nazywał się Wak Cho, czyli 6 Szczur - imię odpowiednie dla typowego włościanina z okrągłych chat. Wiedziałem, że matka Szakala nie żyje - zresztą



i tak by jej nie pozwolono tu przyjść - ale mojego towarzysza w umyśle to nie obchodziło. Jednak miał przecież braci, a ich też tu nie było. Ciekawe czemu? A poza tym można by sądzić, że spotkanie z ojcem wzbudzi jakieś emocje, jak miłość lub smutek czy cokolwiek. Jeżeli jednak Szakal coś poczuł, dobrze to przede mną ukrywał. Czułem tylko emanujący od niego wstyd. A może coś jeszcze... jak... Och, już wiem. Przypominało to tremę.

Z miejsca, gdzie siedziałem, dostrzegłem jeszcze dwóch ludzi. 3 Niebieski Ślimak, garbus z gardłowym tenorem, stanął daleko po prawej. Założył niebieską narzutę z piór i nieduże nakrycie głowy w spirale, co wywoływało wrażenie, jakby składał się głównie z głowy i paszczy, jak owe ryby głębinowe o elastycznych żołądkach. A po drugiej stronie strumienia, ponad pięćdziesiąt ramion dalej, przy zagajniku kolczastej guajawy, stał wysoki krewniak z Klanu Orła.

Należało jeszcze doliczyć trzech preparatorów za moimi plecami. Był też ktoś jeszcze, siedzący po prawej stronie - ktoś, na kogo nie powinienem patrzeć. Jeżeli pojawili się tragarze lub gwardziści, to na pewno poza zasięgiem mojego wzroku.

- *Te'ex!* - krzyknął mi niemal prosto w ucho 3 Niebieski Ślimak. Ty!

Szakal natychmiast się skupił i napiął czujnie. Nic nowego dla niego, tymczasem dla mnie było to, jakby jakiś glina traktował mnie z buta: hej, ty, Pancho! Tak, ty, w tym śmiesznym kapelusiku! Nie ruszaj się!

*Te'ex m'a'ka'te!*

Ty, zasrane dziecko z końca!  
Kim były twe matki, kim byli ojcowie?  
Nie wiesz? Kurzy pomiot nigdy nie wie.

2 Inkrustowana Czaszka wyciągnął w naszą stronę rękę dłonią do góry. Co znaczyło, że jeżeli mam coś do powiedzenia - a raczej jeżeli

Szakał, który miał pełną kontrolę nad ciałem, chce coś powiedzieć lepiej, żeby zrobić to teraz. Wrzasnąłem:



- *Cal turnen hum pic hun, pic ti ku ti bin oc!*

Co znaczyło: „Ojczy-matko, uświęć mnie, daj mi śmierć”.

A raczej Szakał to wykrzyczał. A może powinienem powiedzieć, że zmusił nas do krzyku. Nie mógł się ruszać, oczywiście. Nie dlatego, że głos 2ic miał magiczną moc, lecz dlatego, że jeżeli się należało do Orłów, słuchało się tego właśnie głosu. Szakał wiedział, co zgromadzeni chcą zrobić, i nie podobało mu się to ani trochę. Chciał, aby go zabili albo nas, zajmujących to ciało, jego dawne ciało. Odpowiadała mu śmierć, ale pragnął zabrać mnie ze sobą i odebrać mi kontrolę.

2ic obrócił rękę dłonią w dół. Odmowa prośbie. 3 Niebieski Ślimak wziął to za wskazówkę i zaczął nas uwodzić swoim wyszkolonym, dzieciennym głosem:

„O ty, Jedyne Szakału, Wielki graczu,  
napastniku, łamaczu kości, Ty silny, ty  
czerwony,  
Zwycięzco z 1x, któryś pokonał 22 Grzechotnika,  
Lepszy od Ocelotów, Zwycięzco z 20 Dziedzińców  
Nad Panem 18 Śmiertelnego Deszczu Z Jaguarów,  
Dlaczego tu siedzisz, Odziany w tę ohydną skórę?  
Twa oto prawdziwa. A twoje trzy dusze są tutaj, Oto  
twoje drzewo,

Oto twa skóra, Oto twój  
sokół- *uay*, I to, co należy  
do ciebie. Wszyscy są  
tutaj, Twoi ojcowie,  
Twoi starsi bracia, Twoi  
młodszy bracia, Twoi  
bracia z drużyny..."

Na słowo „drzewo” spojrziałem na zagajnik guajawy za strumykiem. Na każdym z drzew wisiały stare ofiary, ale jedno zostało całkowicie przybrane bawełnianym włosiem, wstążkami i pomarańczowymi muszlami przegrzebków, sznurami paciorków i splamionych krwią arkuszy z prośbami i błogosławieństwami. Nawet gdybym nie miał wspomnień Szakala, zgadłbym, że to jego *motz*, jego korzeń, czyli drzewo, które zasadzono z okazji narodzin Szakala, a przynajmniej poświęcono mu po narodzinach.

A 2ic miał sokoła, oczywiście. Co ze skórą?

Łamiąc zasady, Szakal zerknął w prawo. Cztery ramiona od nas nagi nastolatek przykucnął wśród kwiatów w pozycji suplikanta. Uśmiechał się trochę bezmyślnie i promiennie, co zapewne wywołane zostało przez narkotyk podany mu przed rytuałem. Był młodszy, ale po włosach poznałem, że przeszedł pierwszą inicjację, zatem znajdował się na tym samym etapie życia, co Szakal. Zapewne miał też podobną datę urodzin i nadania imienia, co było ważniejsze niż jego wiek. Twarz nieco podobna do mojej, jak mi wynikało ze przeblysków wspomnień Szakala. Choć w zasadzie nie byłem pewien -lustra były tu niezwykle rzadkie, a spoglądanie w wodę uważano za niebezpieczne, ponieważ pod wodą znajdował się świat podziemny. Dlatego Szakal widział swoje odbicie tylko kilka razy w życiu. Jednak tatuaże chłopca były takie same jak Szakala, podwójne spirale drobnych kropek zaczynające się w kącikach ust i ciągnące przez policzki, miał też znamię podobne do blizny Szakala.

Tylko tego mi trzeba, pomyślałem. Kolejnej transplantacji mózgu. Domyśliłem się, że poprzedni zastępca, ten z pogoni za jeleniem, był fałszywy. Ten natomiast był prawdziwym sobowtórem. Chyba...

„Oto twój ogród, Twoje podwórze, twoje palenisko,  
Twój hamak. Tutaj! Tutaj! Zostaw ten stos odpadków  
albo Wszyscy uznamy cię za zhańbionego, odrzucimy  
cię...”

*No, i co ty na to, Szakal? Dla mnie to oczywisty wybór, nie sądzisz?  
No, Szakal? Nawet dobytek ci spakowano ładnie. Zrób, co trzeba, stary.*

Nie odpowiedział, ale wydawało mi się, że się waha, niczym rozhuśtany na wietrze samolot. 3 Niebieski Ślimak zamilkł w pół słowa i przykucnął przy moim lewym boku jak stufuntowy niemowlak. Przyłożył mi do ust walcowate naczynie i może dlatego, że pragnienie było silne, a może dlatego, że Szakal przywykł do fizycznego posłuszeństwa, wypilem do dna. Uk. Dają tu niezłe koktajle, ale ten smakował zagadkowo. Początkowo wydawał się niemal bez smaku, jak rozcieńczony rosół czy wywar, ale zaraz poczułem teksturę i posmak korzeni lub przypraw, aż wreszcie wyczułem wyraźny kredowy smak. Przypominał mi coś... Ach, wiem. Taki śmieszny drink, jaki piłem za czasów szkolnych. Nazywaliśmy to Korkociąg Philipsa: wódka plus mleko z magnezem i wapnem. Wysuszyło mi i wypchało żołądek. Resztki napoju, jakie zostały w naczyniu, miały błękitny odcień. Czyżby wyciąg z kukurydzy? Potem 3NŚ uniósł szarą obręcz i dwa gliniane kubki. Poczulem jego palce na uchu. Przeciągnął mi obręcz przez płatek z cichym szmerem, po czym powtórzył z drugiej strony.

Uszy strasznie krwawią i wkrótce naczynia były pełne. Moi preparatorzy przykłękli przede mną i wzięli naczynka, po czym przy pomocy gąbek zaczęli malować, a raczej kropkować sobowtóra moją krwią. Kiedy chłopak był cały okrwawiony i wzory zaczęły wysychać na brąz, preparatorzy wrócili za moje plecy. Wewnątrz umysłu Szakal jęknął: nienienie - ale nie słowami.

*Koniec z tobą - pomyślałem. Jesteś historią. Odejdź.*

Tymczasem preparatorzy jeszcze nie skończyli pracy. Opatrzyli mi uszy i oczyścili tors z krwi. Rozcięli też wiązania bransolet, które wcześniej przywiązali, rozpięli mocowania nakrycia głowy. Zabrali też moją przepaskę biodrową, ekwipunek do gry, wszystko. Kiedy byłem nagi, odziali w mój strój nieszczęsnego nastolatka. Niemal się załamał pod jego ciężarem. Po czym zdrapali mi tatuaże z policzków, ścięli z łokci i kolan wielkie odciski typowe dla graczy w piłkę. Założyłem się, że gdybym miał nietypowe oczy, po których można by mnie było rozpoznać jako Szakala, też by mi je wydłubali.

Bolało.

Z trudem wytrzymałem.

3NŚ zwracał się teraz do sobowtóra w imieniu rodziców Szakala, dziadków, pradziadków i zapewne protoplastów - imiona wszystkich wymienił sumiennie, a z jego słów wywnioskowałem, że według wierzeń wzmiankowane osoby nadal żyją w zagajniku guajawy lub na wzgórzu za nim. I każda z owych osób błagała, by Szakal się do niej przyłączył.

*Ta oferta wygląda całkiem niezłe - pomyślałem ponownie do Szakala. Na twoim miejscu już bym wyskoczył z tego ciała i przeniósł się do dzieciaka.*

Kątem oka dostrzegłem, że garderobiani wycięli kawałek skóry na piersi sobowtóra, w miejscu, gdzie u mnie były świeże szwy. Z doskonałą synchronizacją 3NŚ coś im podał. Skrawek z glifami, który zdarło mi po zakończeniu polowania. Oczyszczono go - był teraz jasny i niemal przezroczysty. Trochę mnie to zaskoczyło, ponieważ sądziłem, że użyto tego kawałka skóry do ucharakteryzowania poprzedniego sobowtóra i zmylenia myśliwych z innych klanów. A może skóra jelenia z polowania nie była wystawiana na pokaz. Może zabierano ją do domu jako trofeum. Nieważne. W każdym razie preparatorzy zaczęli przyszywać glify do piersi nastolatka przy pomocy włókien z jelit i cierniowej igły bez dziurki.

- *K'aanic teech chaban* - oznajmił 3NŚ, co z grubsza znaczyło: to twoja ostatnia szansa. Między kolanami podstawił mi na macie szero-

ką miskę i ujął ozdobną jodeitową szpatułkę służącą, jak wiedziałem, do wywoływania wymiotów. Vomitus - można by ją nazwać „naukowo”. Świetnie. Czy prawdziwy Szakal zechce zwymiotować? 3 Niebieski Ślimak ujął mnie za żuchwę - i przez ułamek sekundy poczułem strach, że chce mi ją wyrwać gołymi rękami - po czym rozchylił mi usta i wraził w gardło szpatułkę.

E-ech...

Żołądek mi się ścisnął, ciśnienie wypchnęło jego treść i zwymiotowałem. Trzy fale gorzkich, żółtych wymiocin rozprysły się w szerokiej misie. Myślałem, że wyrzygam wnętrzności. Opadłem na matę. Jestem martwy, pomyślałem. Udało się mnie też załatwić. Dostrzegłem jeszcze, że mój, a raczej Szakala, sobowtór unosi misę i wypija jej zawartość. Kiedy skończył, do misy wiano kubek *b'alche* i nakazano mu gestem wypić również to. Na drugim brzegu strumienia przy zagajniku wysoki krewniak uniósł kamienną, wypolerowaną siekiere na długi trzonku, grożąc, że zetnie drzewo urodzin Szakala.

- Ja, Szakal, poniżej ciebie, szczęśliwy jestem z tego naczynia - rzekł chłopak, krztusząc się lekko, ale starając mówić wyraźnie. Oczywiście został wyćwiczony i nauczony, co ma mówić, ale wyglądało na to, że naprawdę wierzy w przemianę. Dla niego był to ogromny zaszczyt. Nawet więcej. Dla niego to było jak małżeństwo z następcą tronu i przyszlým królem. Był małą lady Dianą Spencer. Tak, szczęśliwy dzieciak. Jasne...

Zaraz.

Szakal zniknął. Odszedł.

Naprawdę. Nie było po nim śladu.

Krewny odłożył siekiere.

Czułem pustkę i zmieszanie. Nic dziwnego, właśnie zwymiotowałem ze dwadzieścia stóp jelit oraz dwie trzecie komórek mózgowych. Ale przynajmniej było to moje uczucie. Jeden z preparatorów, inny - już nie nietykalny - sięgnął do torby i wyjął garść orlich piór, chyba nawet orlego puchu, który rozsypał na mojej wilgotnej skórze.

Dziewięciu honorowych gości witało teraz nowego Szakala, po czym wracało na swoje miejsca. Ostatnim był 2 Inkrustowana Czasz-

ka, który wyciągnął stopę, a sobowtór, lub raczej nowy Szakal, dotknął jej od spodu. Był to ogromny zaszczyt. Po powrocie na matę Zic podniósł konchę z wygrawerowanym, zabarwionym na czerwono wzorem chmur i zadał w nią jak tryton. Cichy, nieśmiały dźwięk. A potem wyczekująca cisza.

I wtedy z tyłu, z północnego zachodu, zabrzmiał odgłos małych glinianych dzwoneczków, jak klekotki trędownych. Nie obejrzałem się, ale wkrótce majestatycznym krokiem nadszedł *nacom* Klanu Orła, to znaczy ofiarnik, kapłan składający ofiary z rodu 2 Inkrustowanej Czaszki. Zachowywał się, jakby miał cały czas wszechświata. Jego skóra była poczerniona węglem, nosił też czarny turban z czarnymi piórami przedrzeźniacza oraz wielką maskę, która sprawiała, że przypominał wyglądem złe wcielenie Kaczora Daffy'ego. System nerwowy Szakala sprzeciwiał się nie tylko patrzeniu na niego, ale też myśleniu o nim, jednak i tak udało mi się wyszukać imię: 18 Salamandra. Za *nacomem* szło dwóch bliźniaków - chłopców ośmio- lub dziewięcioletnich, również pomalowanych na czarno.

- Ojcowie-matki, uświęćcie mnie, dajcie mi śmierć - wyszeptał sobowtór, a raczej - jak powinienem go teraz nazywać - nowy Szakal. Pomocnicy *nacoma* pomogli biednemu dzieciakowi ułożyć się na macie, po czym przytrzymali mu ręce i nogi, a ofiarnik wykonał krzyżujące się cięcia na brzuchu ofiary, po czym wsunął dłoń pod jego mostek, kamiennym nożem przeciąwszy jeszcze przeponę oraz *venae cavae*, czyli żyły główne, i aortę. Zajęło to prawie dwadzieścia sekund, nim wyciągnął serce. Odłożył je potem na talerz z papką kukurydzianą, obok którego spoczął też nóż. Nie miałem tego widzieć, ale wszyscy chyba o mnie zapomnieli, więc uchyliłem powiekę zdrowego oka, choć nadal leżałem nieruchomo na macie. Okazało się, że serce naprawdę bije jeszcze jakiś czas po wycięciu - narząd na talerzu skurczył się i rozprężył jeszcze piętnaście razy, wyrzucając różową mgielkę, po czym tylko powietrze, aż wreszcie zamarł.

Pomocnicy *nacoma* ułożyli ciało nowego Szakala w dużym koszu. Wyglądało jak skulony we śnie pies. Wiklinowe wieko zostało przywiązane czterema skomplikowanymi węzłami, które znaczyły to

samo, co glify na czterysta razy czterysta - idiomatyczne określenie wieczności. Naprawdę się starano, by Szakał nie wrócił. Tego też nie miałem oglądać. Zanim się zorientowałem, już pochylał się nade mną 3 Niebieski Ślimak, mrużąc oczy od słońca. Na jego pomalowanej niebieską glinką skórze pot wyźłobił cienkie smugi. 3NŚ nakazał mi nigdy nie wyjawiać mojego sekretnego imienia, nakazał mi obiecać, że tego nie zrobię. Imienia mojego nowego *uay*. Obiecałem. Jeżeli wyjawi się swoje wewnętrzne imię, ktoś może go użyć do rzucenia klątwy, można też stać się łatwym celem dla drapieżnych demonicznych stworzeń. 3 Niebieski Ślimak pochylił się i wyszeptał mi do zakrwawionego ucha nowe imię, po czym kazał je powtórzyć. Próbowiałem, ale niełatwo jest mówić, gdy ma się usta pełne krwi lub żółci i wymiocin, więc najpierw przełknąłem ile się dało, a nowy preparator otarł mi resztki z warg i policzków. 3NŚ myślał pewnie, że zwlekam specjalnie, ponieważ uderzył mnie w ramię i odepchnął garderobianego. Wyszepiałem swoje nowe imię. 3 Niebieski Ślimak kazał mi je powtórzyć dwukrotnie, zanim wstał i ogłosił moje zewnętrzne, powszechne imię. Jak większość odzwierzęcych, i to nie miało nic wspólnego z moim *uay*.

- 10 Scynka - oznajmił. - Skończone.

Szlag, pomyślałem. Zawsze dostaję nefajne imiona. Niech to...

Ktoś podпалиł szałas. Pewnie i tak był jednorazowego użytku. Popatrzyłem przed siebie. Pomocnicy *nacoma* unieśli na ramionach wielki kosz i ruszyli przodem, za nimi podążyli rzędem tragarze z *tchotchke*. Ojciec Szakala i nosiciel brzemienia poszli za nimi ścieżką wiodącą do wioski. Potrząsali marakasami, by odstraszyć Xilbalbańczyków. Poczułem się samotny. 2 Inkrustowana Czaszka wypuścił sokoła. Ptak nie chciał lecieć, dopiero zmuszony powoli zamachał skrzydłami i wzniósł się nad wierzchołki drzew.

*Koniec części I, księgi I*



## GLOSARIUSZ

- ahau** - pan, władca
- ahau-na** - pani, szlachetnie urodzona
- bacab** - „dźwigający świat”, jeden z czterech miejscowych ahaub podlegających kalomte
- b'ak'tun** - okres 144 000 dni, około 394,52 roku
- b'alche'** - piwo z bzu
- b'et-yaj** - dręczyciel, kat
- ch'ol, cholski** - dwudziestopierwszowieczna odmiana języka, jakim mówiono w Ix i innych miastach Majów
- grandeza** - sakiewka z kamykami
- h'men** - kapłan lub szaman zajmujący się kalendarzem, nazywany także Strażnikiem lub Opiekunem Dnia
- hun** - jeden
- k'atun** - okres 7200 dni (prawie dwudziestu lat)
- k'iik** - krewny, krewniak, czyli mężczyzna należący do wojowników
- k'in** - słońce, dzień
- koh** - ząb
- kutz** - cętkowany indyk z regionu neotropikalnego
- milpa** - pole kukurydzy o powierzchni około 21 x 20 metrów, uprawiane tradycyjnie i wypalane
- mul** - wzgórze, a także piramida lub wulkan
- nacom** - ofiarnik
- pitzom** - gra w piłkę Majów
- popol na** - dom rady
- quechquemitl** - trójkątna narzuta noszona przez meksykańskie kobiety
- sache** - biały szlak, święta grobla
- sinan** - skorpion
- tablero** - poziomy element charakterystyczny dla piramid w Meksyku
- talud** - spadzisty element charakterystyczny dla piramid w Meksyku
- teocalli** - słowo z języka náhuatl oznaczające „dom boga”, świątynię
- tun** - 360 dni
- tu'nikob'** - ofiarnicy lub kapłani składający ofiary, dosłownie: karmiący piersią
- tzam lic** - iskry we krwi, pod skórą, łaskotanie, drżenie pod **skórą**
- tz'olk'in** - rok rytualny składający się z 260 dni
- uay** - duch współzystający z człowiekiem, mający formę zwierzęcia
- uinal** - okres dwudziestu dni
- waah** - tortilla
- Xib'alb'a** - kraina zmarłych rządzona przez Dziewięciu Panów Nocy
- xoc** - rekin
- yaj** - ból, dym bólu
- yucatec** - współczesny język z Półwyspu Jukatan, którego odmian używano również w okresie klasycznym Majów